

# Łysiak Tomasz

## Psy Tartaru

### ILUSTRACJE

HELENA TWORKOWSKA-CEGIEŁA

Warszawa 2010

copyright: Tomasz Łysiak 2010

projekt okładki: Piotr Rzyński

fotografia na okładce: Bartosz Fajge

na zdjęciu: Justyna Sieńczyło

ilustracje: Helena Tworkowska-Cegieła

zdjęcia z Mongolii: Tomasz Biernawski

produkcja: Ewelina Pertkiewicz

redakcja: Magdalena Łysiak

korekta: Paweł Rusinowski

skład: Maciej Kiełkucki

druk i oprawa: Poznańskie Zakłady Graficzne

wydawca: Picaresque Maciej Pawlicki [www.picaresque.pl](http://www.picaresque.pl)

ISBN 978-83-926413-1-5

[www.szalbierz.pl](http://www.szalbierz.pl)

wyłączna dystrybucja: Firma Księgarska Jacek Olesiejuk [www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Od wydawcy

Tempo gonitwy za sukcesem, jaka przetacza się przez masową kulturę, coraz częściej oddziela to, co „łał i cool”, od tego co sensowne. Jedni jadą bez trzymanki, byleby się sprzedawało, inni gorzknieją w poczuciu niezrozumienia. Tym cenniejszy jest dar uwodzenia odbiorcy kunsztem opowiadania, ale także danie mu czegoś więcej, znacznie więcej.

Oto mam poczucie, że od dawna w polskiej prozie historycznej nie było tak brawurowej i barwnej powieści. Od dawna nikt spośród polskich autorów nie stworzył tak sugestywnej wizji polskiego średniowiecza. Od dawna nikt w literaturze popularnej nie stanął tak serio w obronie „kilku starych zakłęć”.

„Psy Tartaru” to powieść awanturnicza i heroiczna o antybohach-terach i zarazem arcybohaterach, o ich losach pełnych grozy i krotko-chwili, magii i rycerskiej świętości. Opowieść o tym pierwszym razie, gdy Polska stała się Przedmurzem Chrześcijaństwa. Historia polskiego władcy, który ginie broniąc chrześcijańskiego świata przed piekielną nawałnicą ze Wschodu.

„Psy Tartaru” to zwieńczenie trylogii „Kroniki Szalbierskie”, ale - podobnie jak u Mistrza tej formy - budowa powieści pozwala odebrać ją w pełni także czytelnikom nie znającym dwóch pierwszych części, a więc „Szalbierza” i „Bliznobrodego”.

Tomasz Łysiak zakochał się w XIII wiecznej Polsce. Dostrzegł w niej i opisał niebywałą intensywność wydarzeń, malowniczą rubaszność, urok obyczaju i kolorytu, ale chyba przede wszystkim to, czego tak dojmująco brakuje w dzisiejszej spsiałej kulturze masowej - przepiękną czystość uczuć najwyższych: honoru, heroizmu i miłości.

„Psy Tartaru” to - w przeciwieństwie do dwóch pierwszych części Szalbierskiej Trylogii, gdzie dominowała fikcja, nawet fantastyka - powieść przede wszystkim historyczna, głęboko osadzona w dramatycznych i ważnych faktach z dziejów Polski i Europy. Mamy tu na

przykład prawdziwy fresk obyczajowy w XIII-wiecznym Wrocławiu. Tętnią życiem ulice i wyspy, targi i karczmy, kościoły i leprozoria. W tle wydarzeń trafimy na opisy obyczajów, potraw, zabaw, modlitw, ubiorów. Poznamy światek wrocławskich rzeźmieszków (czyli obrzynaczy trzósów), oszustów, fałszywych pańników i pospolitych morderców. Zanurzymy się w zaułki, odnajdziemy - jak pod Notre-Dame Wiktora Hugo - Podwórce Cudów, trafiamy pod furkę nieistniejącego już dzisiaj klasztoru Zakonu Świętego Ducha przy ujściu Oławy do Odry...

Fikcyjni bohaterowie uczestniczą w wydarzeniach historycznych: zdobyciu przez Mongołów Kijowa, obronie i upadku Sandomierza, bitwach pod Turskiem i Chmielnikiem, obronie Wrocławia i wreszcie - uznawanej za jedną z najważniejszych bitew w historii Europy - bitwie pod Legnicą.

W fabułę wplecione są postaci historyczne. Święty Jacek Odrowąż prezentowany jest zgodnie z duchem opisujących go legend i zapisów żywota, a jego atrybuty (monstrancja oraz trzymana na ręku Matka Boża) stają się jednym z głównych motorów akcji. W powieści spotykamy istny korowód postaci autentycznych: wojewoda kijowski Dymitr, wodzowie tatarscy - Batu-chan, Subedej, Ordu, obrońca Wrocławia bł. Czesław Odrowąż, księżna Anna, święta Jadwiga, papież Grzegorz IX, cesarz Fryderyk II Hohenstauf, krzyżacki Mistrz Poppo von Ostern, legat papieski Giovanni da Pian del Carpine i wielu, wielu innych.

Tomasz Łysiak podejmuje pełną ekspresji próbę uchwycenia grozy tatarskiego najazdu. Studium niebywale nowoczesnych i zaskakujących również dzisiejszego czytelnika technik wojennych przeplata się z opisami mrozących krew w żyłach praktyk zwycięskich minganów Batu-chana. Kulminacja następuje w najpełniejszym od czasów Zofii Kossak-Szczuckiej opisie bitwy pod Legnicą. Autor oparł się na większości dostępnych źródeł historycznych i opracowań, w tym Kronik Długosza i zapisów C. de Bridia (bezpośrednia relacja bitwy od strony tatarskiej, spisana przez polskiego podróżnika, franciszkanina Benedykta Polaka).

Opisując bitwę dokonuje też Tomasz Łysiak własnej interpretacji historycznej. Jak choćby opisując słynny „atak gazowy” Tatarów. W „Psach Tartaru” użycie dymu bojowego ma zupełnie inny charakter, tożsamy z technikami używanymi przez Mongołów w czasie wcześniejszych kampanii. Podobnie jest z wyjaśnieniem zagadki nagłego odwrotu części sił polskich w momencie, gdy bitwa zdawała się być już wygraną.

Najważniejszą postacią powieści jest książę Henryk Śląski zwany Pobożnym. Oto zмага się z własnym przeznaczeniem, czuje nadchodzącą śmierć. Jest uosobieniem wiary w odnowienie i zjednoczenie polskich księstw pod jedną koroną. Jako stronnik papieski w walce z cesarzem i Niemcami jest coraz bliższy zrealizowania marzeń o Królestwie Polskim. W czasie tatarskiego najazdu czuje się obrońcą chrześcijańskiego świata. Staje do bitwy i - niczym Leonidas - walczy do końca, wraz z czwórką najwierniejszych rycerzy. I jak Leonidas - przegrywa przez zdradę jednego człowieka. By w końcu zginąć śmiercią męczeńską. Właśnie - męczeńską. Pierwotnie sądzono, że Henryk zginął na polu bitwy śmiercią rycerską. Tymczasem z relacji mongolskich przywiezionych przez Benedykta Polaka okazało się, że Henryk na polu bitwy był jedynie ranny. Zaś po bitwie został postawiony przed Ordu, zmuszony do ukorzenia się i uznania władzy chana. Odmówił i umarł śmiercią męczeńską - za prawdę i za wiarę. Stało się to dnia 9 kwietnia Roku Pańskiego 1241.

Ma Henryk - jak się uznaje - wiele cech postaci chrystologicznej: okres lęku i modlitwy przed głównym Dniem, pogodzenie z wolą bożą i koniecznością odkupienia świata, postać Matki cierpiącej w czasie męczeństwa, dwie kobiety szukające ciała na miejscu śmierci - polu bitwy, przebicie boku włócznią...

Dwukrotnie malował Henryka Pobożnego Matejko, a Wyspiański nawet go koronował w swoim rapsodzie i wybrał do panteonu polskich władców w projekcie witraży na Wawel.

Przez propagandę PRL-u Henryk - jako „najbardziej chrześcijański polski władca” - został zepchnięty w cień. Chętnie pisano o wojującym z Niemcami Łokietku, nie zaś o obrońcy

chrześcijańskiej Polski przed barbarzyńskim najazdem ze Wschodu. Próbowano też w propagandzie Pobożnego zniemczyć - jego, który Niemców bił, prowadził propapie- ską i wyraźnie antyniemiecką politykę, zaś słowa wypowiedziane przez niego w czasie bitwy pod Legnicą stanowią najstarsze zachowane zdanie polskie („Górze są nam stało”, wcześniejsze od „Day ać ya pobrusę...”).

Przez lata jedynie środowiska tradycjonalistyczne pielęgnowały legendę Henryka. Powieścią „Psy Tartaru” Tomasz Łysiak chce przywrócić świadomości społecznej, a może i kulturze masowej postać Henryka Pobożnego.

„Na Termopilach ja się nie odważę osadzić konia w wąwozowym szlaku, bo tam być muszą tak patrzące twarze, że serce skruszy wstyd w każdym Polaku...”, - pisał Słowacki w poemacie o Beniowskim. A przecież znał polską historię, słynne zwycięstwa, obrony i ofiary. Widać żadnego z nich nie uznał za godne porównania do heroizmu Leonidasa. Może nie znał historii Henryka Śląskiego zwanego Pobożnym.

„Szalbierz” był powieściowym debiutem Tomasza Łysiaka, „Psy Tartaru” są jego trzecią powieścią. Miałem honor je wydać mając poczucie, że polskiej literaturze przybył ktoś naprawdę istotny, kto z siłą talentu i konsekwencją łączy trzy najważniejsze w tym fachu przymioty: wyobraźnię, pasję i wierność.

Maciej Pawlicki

Kim są ci oto? Kim są ci ludzie, którzy tutaj pędzą, jak wilk, który ścigając stado owiec, przybiega za nimi aż do owczarni?

Dżamuka powiedział:

- Mój pobratymiec Temudżyn wy karmił mięsem ludzkim cztery psy i trzymał je na łańcuchu. To pewnie one nadchodzą w pościgu za naszymi patrolami. Te cztery psy mają miedziane czoła, pyski jak dłuta, języki jak szydła, żelazne serca, a miecze są ich batami. Piją rosę i dosiadają wiatru. Gdy nadchodzi dzień śmiertelnego boju, jedzą ludzkie mięso. W dzień mającego tu nastąpić starcia dostały na drogę ludzkiego mięsa i spuszczone je z łańcuchów. Cieszą się teraz, że są wolne i nadchodzą ze śliną w pyskach.

Na pytanie Tajang-chana, kim są te cztery psy Dżamuka odpowiedział:

- To są Dżebe i Kubłaj, Dželme i Subedej. Ci czterej.

„Tajna historia Mongołów. Anonimowa kronika mongolska z XIII wieku” przekład Stanisław Kałużyński.

ad Kijowem szarzał poranek zimowego dnia. W jednej z cel monastynu Ławry Peczerskiej paliło się światło. Brodaty, ciemnowłosy mnich siedział nad kartą kroniki i patrzył na wypisaną datę. Był rok 6748.

Tyle to czasu minęło odkąd Bóg Gospodin zrodził niebo i ziemię, stworzył Adama, z gliny ulepił Abrahama i jego potomstwo, dał ujść Mojżeszowi z niewoli, prowadził Dawida, a wiele lat później Kijowi kazał gród osadzić na wzgórzach nad brzegami Dniepru.

Niewiele dalej, za wałami górnego Kijowa, w Obłoniu na Padole, w murach klasztoru dominikańskiego kilku Lachów w czarnych płaszczach okrywających białe habity, wpisało w swoich księgach rok MCCXL od narodzenia Pańskiego poprzedzając cyfry łacińskim Anno Domini.

Gdyby wysłać jakiego parobka, żeby przeniósł ciepły placek wyjęty z pieca w monastyrze prawosławnym i zaniósł do zakonników katolickich, to ten placek byłby jeszcze ciepły po przyniesieniu. A chłopakowi nawet by przez głowę nie przeszło, że przebiegając podcieniem Bramy Żydowskiej, a potem pędząc w dół zbocza na złamanie karku, co zajmowało jeno kilka chwil, pokonał po prawdzie 5508 lat!

Śnieg nie zważając na inne bieżenie czasu, padał jednak i bez różnicy na złote kopuły Dziesięcinnej cerkwi Bogurodzicy, na trzynaście wież Soboru Sofijskiego, na dach dominikańskiego kościoła, na Babyn Torżok jeszcze pusty o poranku, lecz mający się niedługo zaludnić tłumem kupców, na Ławrę Peczerską i na Michajłowski Wydubicki Sobór, na brązową kwadrygę przywiezioną jako łup z Chersonesu, na dachy domów i pałaców, na szczyty wież i bram, na dumny Kijów jeszcze drżemiący na swoich trzech wzgórzach, lecz już czekający dźwięku porannych kołokołów\*\*.

Białe płatki padały na dłoń mężczyzny, który spał wsparty głową o pionową belkę podtrzymującą daszek. Jednak woj nie czuł zimna. Tak i drugi strażnik był we śnie pograżony, beztroski jak dziecię, zostawione przez matkę przy piecu. Oni obaj, i śnieg padający, i wiatr co lekko świszczwał w szparach obudowanej drewnianymi deszczułkami Bramy Lackiej nie dbali całkiem o to, czy rok był 6748 wzorem Konstantynopola, czy też 1240 wedle Rzymu. Z kosza, gdzie drwa były wrzucone, już się tylko tliło. Siwa smużka dymu leniwie unosiła się w mroźnym powietrzu.

Daleko za wodami Dniepru szarzało niebo, kłamiąc jasnością, że dzień będzie Boży.

Włócznia jednego z wojów, oparta o ścianę, zaczęła w pewnej chwili drżeć leciutko, obijając się oszronionym żelazem o drewnianą ścianę wieży. Nad głową drugiego strażnika, na poziomej belce leżał kawałek chleba owinięty gałgankiem. Rąbek zawiniątka nagle się odsunął i kilka okruchów wyleciało na belkę. Mróz był coraz silniejszy. Para szła z ust śpiącym. Jeden ze strażników jęknął coś przez sen, nogi wysunął w stronę kosza z palącym się drewnem. Okruchy chleba nad głową drugiego trząść się zaczęły mocniej, zsuwać, aż spadły gdzie na ziemię.

Buczenie wichru przybierało na sile. Niby rzecz normalna na wieży strażniczej, lecz gwizd nabierał mocy i zaczynał dudnić basowo i inaczej, niż zwykle.

Nagle, kierowany jakimś psim instynktem, jeden ze strażników otworzył oczy. Patrzył przez chwilę nieprzytomnie w dal, jakby nie z tego świata wyrwany, ale zaraz i do rzeczywistości powrócił. Nosem siąknął, chuchnął w rękę i wstał. Klepnął się w ramiona i przetarł powieki. Spojrzał w stronę jutrzeńki. Tam gdzie jasność dzień zapowiadała, tam i huk jakiś się rozdił.

Strażnik kopnął w stopę drugiego woja.

- Wsiewółka, nu, wstawaj! - syknął.
- Czego? - mruknął tamten, chcąc się na bok przekreślić dla lepszego snu.
- Wstawaj, mówię. Słyszysz?
- Co ciebie za bies napada o tej porze, a? - Wsiewółka lubił spać.
- Słyszysz to, czy nie?
- Co? Ot, burza idzie.
- Widział ty kiedy burzę zimą? A tam grzmi coraz mocniej.

Wsiewółka trzepnął się dłonią w policzek. Szybko się zebrał i wraz stanął za druhem. Oczy zmrużył i wyszeptał:

- Tać prawda. A grzmi, jakby to Perun wracał zezłoszczony z tysiącem błyskawic. Czego to?

- Ech, nic nie widać przez zadymkę. Śnieg pada mocniej.

Milczeli obaj nasłuchując. Potem spojrzeli sobie w oczy.

Wsiewółka pociągnął nosem, otarł szron z wąsów i wyciągnął zza pleców róg. Nabrał powietrza w płuca, a drugi ze strażników złapał za powróż od dzwonka. Zaczęli, jak na komendę, jeden dąć, a drugi dzwonem bić, rozbijając ciszę poranka.

Dźwięk poniósł się daleko po całym Kijowie, wdarł do każdego domu. Naraz się otworzyło pięćdziesiąt tysięcy par śpiących oczu i trwożliwie zerknęło w półmrok przedświt.

Załomotały stopy po drewnianych stopniach wszystkich dzwonnicy trzydziestu trzech kijowskich cerkwi. Wojewoda Dymitr wyrwany ze snu, wpatrywał się w powalę. Nie odpowiadał na pytania żony. Uśmiechał się. W niebo gruchnęła modlitwa, szeptana struchlałymi wargami, mieszając się ze świstem wiatru i muzyką panicznych dzwonów. Bicie kołokołów oplotło miasto jak biegnące, jedna za drugą myśli w głowie człowieka, które mogą do szaleństwa doprowadzić.

Dymitr zerwał się nagle z łoża, podbiegł do okiennicy, wychylił się i krzyknął w dół:

- Każcie zamilknąć! Dzwonom zamilknąć!

Straże stojąc w równych odstępach na murach przekazywały rozkaz hospodyna. W końcu opętańcza muzyka ucichła.

- Cóż tam? - z jękiem dopadła do jego pleców przerażona niewiasta. Przyłożył palec do ust.

Kijów cały zamilkł. I pośród świstu wiatru słuchał, patrząc daleko w mglistą zadymkę.

Grzmot narastał i zbliżał się. Nieuchronnie. Miarowo. Twardo.

Kobieta drżała ściskając rękę wojewody tak, jakby miała palce z żelaza.

- Pomiłuj, panie Boże, pomiłuj - szeptała gorączkowo - Dymitr, ja ci to skazywała, ty mnie nie słuchał. Ot, książ Michał Wsiewołodowicz, on wiedział co robi, że z Kijowa uciekał, do Lachów gdzie uszedł ze synem. Tyś musiał kniazia Daniela usłuchać, jak pies. Jak pies niewolny iść na jego skinienie i ot masz, masz co żeś chciał. Masz, co żeś na nas sprowadził.

Wojewoda nic nie odpowiedział patrzył dalej na wschód, w śnieżycę. Płatki śniegu padały mu na twarz i topniały mieszając się z kroplami potu

Dobry Bóg, Gospodin w niebie, 6748 lat wcześniej stworzył Świat. A tego poranka, w mieście Kija nad Dnieprem, zaczął się koniec owego stworzenia.

\*\*\*

Nad głowami jeźdźców łopotały w mroźnym wietrze chorągwie i buńczuki. Był Ósmy Rok Myszy, licząc od narodzin Szarego Wilka, a drugi licząc od Jego śmierci i przyniósł on mroźną i wczesną zimę. Lód ścisnął rzeki, tak że horda mogła jechać po nich, jak po ubitym trakcie, bagna stwardniały, a szlaki mogły unieść ciężar jadącej armii. Czterdzieści tysięcy konnych wojowników ułożonych w marszową formację karagany, stepowego krzewu, płynęło nad śnieżną przestrzenią, jak wąż złożony z kilku cielsk. Za nimi ciągnęło sto dwadzieścia tysięcy niskich, krępych koni, gotowych do zmiany pod siodłem. Setki wielbłądów wyło uderzane witkami poganiaczy. Skrzypiały osie potężnych wozów. Bębny grały melodię bezlitosnego grzmotu, uderzane raz po raz pałkami wprawianymi w ruch przez niewolników.

Harban za harbanem, dżaun za dżaunem, mingan za minganem, tumen za tumenem<sup>2</sup> - pełzył azjatyckim szlakiem handlowym zdyscyplinowany potwór zrodzony w stepowych jurtach Tartaru.

Jechali równo, strzemię w strzemię, z sajdakami<sup>3</sup> po lewej a kołczanami po prawej, z workiem na każdym końskim zadzie, z ustami zasłoniętymi skórzanym kołnierzem, z szablą u boku i dwiema włóczniami.

Zdawać się mogło, że ta armia wypływa gdzieś daleko spod ziemi i nie ma końca. Stukały metalowe części upręży, warczał zimny, mroźny wiatr w szczelinach lamelkowych zbroi i na szczytach kopii, a na szyjach dowódców huštały się Pajdze<sup>4</sup>: drewniane dla dziesiętników i setników, srebrne dla tysięczników i złote dla najważniejszych wodzów.

Tych ostatnich zresztą znać było z daleka. Nad ich głodami kiwały się buńczuki z dziewięcioma białymi ogonami górskich jaków. Mongke, Gujuk, Kajdu i Bajdar - każdy jechał na czele dziesięciotysięcznego oddziału. Ich złote pajdze Zawieszane na szyjach były

wielkie, jak krople słońca, a krom Wyrzytego w ujgurskim języku imienia każdy z nich miał na swojej blaszce oznakę najwyższej rangi, nojana tumenu - wizerunek tygrysa.

Z tyłu, za gwardią ciężkozbrojnych mangkuta<sup>5</sup>, w otoczeniu gońców, sług, doradców i najbardziej zaufanej osobistej straży, jechał na białym koniu Batu-chan, syn Dżodziego, wnuk Dżyngis-chana, obdarzony łaską nieba wódz mongolskiej armii. Obok niego kiwał się w siodle Subedej, pogromca Chorezmu, na którego długich węsach nie znać nawet było szronu i opadającego śniegu, bo były równie białe jak jego włosy, równie czyste jak jego myśli i równie zimne jak jego zamiary.

Za nimi, ciągnięty przez dwadzieścia trzy woły, pełził wóz wielkości dużego statku, osadzony na czterech osiach i ośmiu kołach wysokości człowieka. Na nim zaś płynęła przez białą przestrzeń kijowskiej Rusi wielka jurta Chana. Gdyby Batu zechciał, mógłby klasnąć i jednym uderzeniem dłoni zatrzymać pochód wielotysięcznej armii. I gdyby armia stanęła, mógłby zejść z konia i wstąpić do swojej jurty na kołach, a tam napić się mleka i odpocząć. Teraz jednak syn Dżodziego mrużył oczy patrząc w stronę, wynurzającego się z zadymki śnieżnej Kijowa. Rzekł w końcu, przekrzykując wiatr:

- Oto serce ludu Orosut. Oto ich Kara-korum. Wielkie miasto.

- Wielkość nie ma znaczenia - odparł równie głośno stary lis.

Batu zaśmiał się.

- Ile bram miała Samarkanda? Ile Buchara? Jeszcze pamiętasz, lisie? Wiesz ile tu bram na nas czeka, w stolicy Orosut, jak sami mówią: w Kijowie?

- Jedna - odpowiedział Subedej.

- Jedna?

- Jedna - strateg Dżyngis-chana patrzył przed siebie - ta, przez którą wejdziemy.

Wnuk Szarego Wilka wybuchnął śmiechem. Wiatr pochwyił ten śmiech i poleciał z nim szybko w stronę Dniepru, a potem upuścił prosto na głowy biegnących tam i z powrotem mieszkańców grodu Rurykowiczów, zamieniając rechot tatarskiego wodza w złowieszcze wycie śnieżnej zamieci.

\*\*\*

Pod wejściem do Michajłowskiego Wydubickiego Soboru stał owinięty w łachmany starzec i wznosząc w niebo pokrzywione, źle zrosnięte po złamaniach ręce, krzyczał:

- Owóż i macie częgoście chcieli! Oto biesy wypełzły spod ziemi, na głowy nasze spadną, krew naszą wychleją, dzieci nasze zreć będą! Płaczcie, syny Kija, żeście tu zrodzeni na samą zgubę. Idą woje Peruna, spalą i zniszczą nas do szcztetu! Nie trzeba było kniazium Włodzimierzowi z ziemi wyrwać starych bogów, nowych sprowadzać i na ich grobach cerkwie stawiać! Tam! Tam, w mateńce dniewowej, Peruna topił nieszczęsny carze nasz! A lud wołał za nim! Wydybaj, nasz hospody Boże, wydybaj! Nie tonął jednak posąg Włodzimierzowi, nie tonął! Oto powrócił po swoje! Jest armia perunowa pod naszymi murami! Ubieżać nam! Ubieżać! Miasto Perunowi oddać!

Ludzie biegli stawić się na wałach, mało kto go słuchał, czasem tylko który zatrzymał się, coś uchem złowił, potem głową pokręcił i pobiegł dalej. Wieszczyk lamentował skrzekliwie i nieustannie. Przerwał jeno, gdy zbliżył się do niego mężczyzna w szarej opończy, który wsunął starcu w dłoń parę monet. Zamienili kilka szybkich słów. Człowiek w opończy odszedł prędkim krokiem w stronę Babiego Targu. Starzec pieniądze schował, po czym ręce na powrót w stronę nieba wznosił dramatycznym gestem i zaś począł lamentować, a zawodzić, a wieszczyć upadek grodu.

\*\*\*

W cichości konwentu, kilka kroków od ołtarza, przed alabastrową figurą Matki Bożej, zatopiony w modlitwie klęczał zakonnik w białym habicie i w czarnym płaszczu narzuconym na plecy. Dłonie o zaciśniętych palcach trzymał pod brodą i skupiony, rozmodlony patrzył w stronę posągu Bogurodzicy. Twarz miał pociągłą, o wyraźnych rysach, w której znać było

pomieszanie łagodności i żelaznego charakteru, pokory i pewności siebie. Gładko był wygolony, przez co na policzkach miał zapadające się bruzdy, a głowa jego z dala jaśniała tonsurą i biegnącym wokół czaszki wąskim otokiem włosów. W niewielkim wejściu prowadzącym z kaplicy do klasztoru stanęło dwóch dominikanów. Obaj mieli kaptury na głowach, z racji przejmującego zimna. Brat Godyn i brat Florian, pełniący tu posługę odkąd klasztor postawiono w Kijowie, patrzyli na modlącego się konfratra i nie śmieli przerwać mu rozmowy z Najwyższym.

Chrzążąc i popychając się wzajem jak dzieci, podeszli. Przeżegnali się i uklękli, jeden z prawej, drugi z lewej. Zrzućli z głów kaptury, zerkając na zakonnika, który jednak nie zwracał na nich uwagi. Dopiero, gdy skończył jeden z pacierzy, rzekł do nich, nie odwracając głowy:

- Modlicie się, czy chcecie coś ode mnie?

Florian popatrzał na Godyna i dał mu znak, żeby tamten gadał, bo z natury ma większe zdolności kaznodziejskie i języka potrafi użyć odpowiednio. Godyn więc się delikatnie na kolanach podsunął, odkaslnął, dwa razy jeszcze przeżegnał, a potem wyszeptał:

\_ laudetur Iesus Christus, frater Hyacinthe6. Wybacz, bracie Jacku, że w modlitwie przeszkadzamy.

\_ Przeszkadzamy... - dodał bezwiednie Florian. Godyn zgasił go spojrzeniem i gadał dalej:

- Jakieś wrzenie poszło po mieście. Ludziska krzyczą, że wojska obce pod mury podchodzą...

- Cóż więc? - spytał Jacek patrząc nadal w stronę figury.

Obaj braciszkowie się stropili, zasię patrząc głupio jeden na drugiego. I znów Godyn począł mówić, acz głosem niepewnym:

- Chodzi, bracie Jacku, czy by nie podjąć jakiego działania.

- Działania... - skończył za nim, jak echo, Florian.

- A jakie to działanie macie, bracia, na myśli?

- Rzeczowe. Co by się na sprawie rozpatrzyć.

- Rzeczowe - mruknął Jacek - macie rację. To je podejmijcie.

Florian popatrzał na Godyna robiąc szerokie oczy i rozkładając ręce, a potem sam spróbował zagadać:

- To tak rzeknijcie, co najlepiej nam czynić teraz?

Brat Jacek nie odrywając wzroku od Matki Bożej wyszeptał:

- Ja już czynię, co najlepsze. I wam to zalecam.

Podrapali się zakonnicy po głowach wygolonych i naprędce dłonie złożyli do modlitwy, idąc za przykładem założyciela konwentu.

Jacek z rodu Odrowążów myślami pobiegł wysoko ku Najświętszej Maryi Pannie i jej wstawiennictwa zaczął upraszać w chwili próby.

\*\*\*

Stopy dudniły po deskach mostu. Tam i z powrotem biegali ludzie, układając wiechcie słomy i lejąc smołę na podpory.

Kilku wojów na koniach pognało na drugą stronę rzeki, bo na wzgórku widać było jakąś niewielką grupkę jeźdźców wroga, ukrytą za krzewami. Był to tylko oddział zwiadowczy i zaraz zniknął, nie nawiązując żadnego kontaktu. Strzały puszczone za nimi poleciały daleko, ginąc w lesistych kępach. Most łączący oba brzegi Dniepru, a stanowiący dumę rodziny kniaziewskiej, miał być spalony jeno w ostatniej chwili, w wypadku groźby ataku. Taka chwila nadeszła. Podłożono ogień z pochodni i w niebo uniosła się wielka chmura czarnego dymu.

- I tak przejdą - rzekł jeden z wojów stojących nad brzegiem i patrzących na płomienie - Dniepr zamarzną. Na co im mosty?

- Może lód nie strzyma? Mróz ścina od niedawna.

Zawrócili konie i pognali w stronę wałów.

\*\*\*

Wojewoda Dymitr stał na samym szczycie dzwonnicy cerkiewnej pośrodku Dietincy i patrzył przed siebie. Daleko w przód, w stronę wschodu, za Dniepr i na dolinę Poczajny, gdzie Padół, i na Gród Włodzimierza, i Gród Izasława, i Gród kniazia Jarosława zwanego Mądrym, i w stronę zachodnich wzgórz. Czarny dym unosił się znad rzeki, mostu już widać nie było i zdało się, że to Dniepr płonie. Dobrze by to było rzekę podpalić, żeby lód stopić - myślał Dymitr, zagryzając wargi.

Spoglądał wojewoda na miasto i czuł, że oto nadchodzi najważniejszy czas jego życia. Może się wypełni, znajdzie ujście i koniec. Hańbę lub chwałę.

Kniazio wie uciekli. Na Węgry i do Lachów. Większość bojarów kijowskich poszła za kniaziami. Kilku jeno ostało ze swoimi ludźmi, a to też byli bojarzy niższego rzędu - z tych co to się w pas kłaniają, a nie z tych, co czapki jeno dotkną końcem palców na powitanie.

Pozostawiono mu we władaniu ruski Carogród<sup>7</sup>, jak Kijów zwano, z jego załogą, mieszkańcami i dziesięcioma tysiącami uciekinierów - teraz się miało okazać, czy jest Dymitr godny tego, by Konstantynopol naddnieprzański przed Tatarami obronić.

Zasłonił się kołnierzem, obszytym sobolowym futrem, szarpnął za brodę i patrzył na miasto, nie dbając o to, że za nim ludzie stoją na drewnianych stopniach wiodących na szczyt dzwonnicy i czekają na jego decyzję. Mrużył oczy, które łzawiły od ostrego wiatru.

Pod czubkami butów, jak przez dzieci z piasku usypany, miał cały Kijów. Stolicę prawosławnego świata - gdzie latopisy w bibliotekach zostawiały ślad starej historii grodu, gdzie cerkwie liczone w dziesiątki, a marmur i jaspis do ich budowy przywożono z Krymu i gdzie kupcy z całego świata ciągnęli z dobrami przywożąc tkaniny perskie, srebro i perły arabskie, jedwabie chińskie, naczynia egipskie, ozdoby bizantyjskie, złotogłów, miecze frankijskie, sukna flamandzkie, cudenka nadreńskich artystów, wina greckie i węgierskie, bursztyn i kły morsów znad Morza Lodowatego i Białego. I gdzie właśnie pięćdziesiąt tysięcy ludzi obawiało się jutra.

Patrzył tak więc Dymitr na Kijów rozłożony na trzech wzgórzach i oddychał powoli, próbując zebrać myśli. Spojrzył na wschód, w stronę Dniepru i Bramy Lackiej, potem na północ, ku umocnieniom Padołu, dalej na zachód w stronę Końca Kopyriewskiego i Bramy Lwowskiej, i wreszcie na południe, gdzie rozciągał się gród Jarosława, opasany grubym wałem z widniejącą pośrodku olbrzymią Złotą Bramą. Szukał wojewoda słabego punktu w tej wielkiej układance wzgórz, jarów, rozpadlin, kolejnych pierścieni wałów i coraz wyżej położonych grodów, a tak na to spoglądał, jakby to on sam miał wszystko zdobywać. Gdzie uderzą? W którym miejscu wyłom zechcą uczynić?

Nagle za jego plecami rozległ się rumor. Ktoś wbiegał po schodach dzwonnicy. Jakiś intruz zaczął się przekrzykiwać. Potem słychać było szarpaninę, głucho uderzenia i jęk.

Do wojewody podbiegł jeden z jego bojarów.

- Kniaziu! - krzyknął brodac - Lach jakiś do was.

Zaczęli mu „kniaziować”, choć nie miał tego tytułu, ale odkąd obronę przejął, tak go bojarstwo nazywało przez szacunek. I ten bojar w pokłonie gadał, jak przed władcą:

- Zda się znaczniejszy z przemowy, ale dość pomieszany. Skazał, że musi rzeczy jakies pierwszej wagi przedstawić. Nie dał się powstrzymać. Daniłkę właśnie ze schodów zrzucił, pcha się. Co z nim? Do lochów, czy jak?

Dymitr odwrócił się i rzucił ze spokojem:

- Dajcie go tu.

Potem odstał dwa kroki, wszedł na rusztowanie koło dzwonu i rękę oparł na wielkim spizowym płaszczu.



Ktoś parł na górę, roztrącając bojarów i pachołków. W powstałym hałasie dał się słyszeć jeden, wyraźny, nosowy głos:

- Panie mój najukochańszy. Toć już winieneś wiedzieć po tylu latach mojej posługi, że się karły nie nadają do wchodzenia na żadne budowle. Chodzi o zachowanie równowagi. Człowiek zwykłej postury ma części ciała tak poukładane, że się kolebią równomiernie na boki - w tę go przechyla, albo w drugą, a osoba czcigodna się pośrodku utrzyma. Inna rzecz z karłem. Tego garb na tył ciągnie swoim ciężarem. Właśnie z tego względu każdy karzeł pije miód, albo piwo. Gdy się napije, to pomroczość wynikła z trunku zaczyna gibać w przód, równoważąc ciężar garba. I dzięki temu może się poruszać godnie. A na wysokich wieżach i zamkowych murach garb się robi niebezpieczny. Zważ mój panie, to jakby ci kto kulę kamienną do pleców na żywicę przykleił. A jak wiatr dojdzie...

- Zamilcz, chamie. Do kniazia wchodzim - odezwał się drugi głos i przed oczami Dymitra pojawiła się cudaczna para. Pierwszy był skulony garbus wzrostu dziesięcioletniego dziecka, o twarzy wykrzywionej jakąś chorobą, w brudnych łachmanach, rzucający spode łba chytre spojrzenia, uśmiechający się usłużnie i zacierający czarne od brudu dłonie.

A za nim, trzymany pod ręce przez strażę, szedł jego pan - chudy i długi jak tyka rycerz, o siwej bródce sterczącej w przód, niczym dziób łodzi prującej fale. Jego hełm z odwiedzionym do góry nosalem, miał doczepione jakieś części ruchome, kolczuga była ruda od rdzy i starości, a na puklerzu, w okolicy pępka widniała duża dziura. Rycerz ów skrzypiał i chrząścił za każdym krokiem. W jego twarzy świeciły mądre, żywe oczka, którymi świdrował rozmówcę z taką pewnością siebie, jaką mają w sobie jeno szaleńcy boży.

Wyszarpnął ramiona z uścisku straży i syknął:

- Puszczajcie, chamy. Dotykacie rycerskiego i świętego ciała. Puście, gadam. Na honor przysięgam, że nic się kniaz mnie może nie obawiać. Jestem rycerzem, psy. Ja bojar Lachów!

Dymitr skinął na strażników, którzy puścili rycerza, ale na wszelki wypadek zostali w pogotowiu. Karzeł cały czas się uśmiechał w stronę wojewody, mrużąc oczy, rozciągając szerokie wargi, prezentując resztki żółtych zębów i ciągle pocierając ręce, jak mucha zbliżająca się do mięsa.

Rycerz walnął go z tyłu w łeb.

- Odejdź Karlito. Z kniazem tylko szlachetnie urodzeni gadać mogą.

- Za co to, panie? - zajączał garbus - za sztukę politycznego grymasu, którąm opanował stojąc w progu tynieckiego klasztoru? Ot, niewdzięczność pańska na słudze jeździ, jak stary pies na wyleniałym kocie.

Odszedł na bok mrużąc.

Rycerz postąpił krok na przód, przyjął szlachetną postawę, spojrzał w stronę wojewody i rzekł:

- Jam jest Dragiełło herbu Kraplan, rycerz księcia Henryka, a także księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy, obrońca słabych i uciśnionych istot tego padołu, omnium primum vir dei, z nadania księżnej Jadwigi, błogosławionej nam wszystkim pani nieskalanej, a także pogromca smoków i wszelkich gadzin, wnuk w prostej linii świętego Jerzego i człowiek rycerskiego stanu, a duszy czystej!

To powiedziawszy wygiął się w tył i zamilkł. Dymitr spojrzał na niego i warknął:

- Gadaj szybko. Czasu nie mam na zabawy.

Wąsy się rycerzowi Dragiełło poruszyły ze złości, ale zaraz je okiełznał, jak zbyt porywczego konia i powiedział:

- Tatarzy tam podchodzą, a miasto w niebezpieczeństwie.

Dymitr prychnął ze wzgardą. Wrócił do okna i znów zaczął patrzeć w stronę miasta. Wiatr poruszył sobolowym futrem jego kołnierza. Rzekł głośno, przekrzykując świst wichru.

- Idź z takimi nowinami do swoich Lachów. Może oni jeszcze nie wiedzą. Ja wiem. Odejdź!

Po czym dał znak strażom, żeby wyprowadzili dziwaka.

Rycerz westchnął, obszedł dzwon po rusztowaniu i wyrzał z drugiej strony.

- Kniaziu, nie bierzcie mnie za człeka bez rozumu. Za mną piaski Jerozolimy, bitwa pod Damiętą, służba Bogu i Cesarzowi. Wiem, co gadam.

Tymczasem strażnikom drogę zatarasował karzeł, któremu opończa dziwnym trafem zaczepiła się o drzazgę, szarpał się więc z nią, zajmując całą szerokość prześwit. Dragiełło mówił spokojnie dalej:

- Mówię wam nie o tym, co dla każdego jasne, miłościwy panie. Ale o tym, czego nie widać. To co ci grozi, jest tu, w samym grodzie!

Wojewoda objął go nagle żywym spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

- Tam jeden wróg, na razie za rzeką. Drugiego masz tu, w mieście. On tylko czeka sygnału. I z tym do was, wojewodo Dymitrze, przychodzę.

Oczy ruskiego dowódcy przez chwilę mierzyły prosto w źrenice Dragiełły, jakby w czeluści czarnych otworów chciały zbadać dno rzeczy i zobaczyć prawdę.

- Zaprowadźcie tego Lacha do mojego dworu - padł rozkaz skierowany do strażników.

W tej chwili brudnemu karłu udało się oswobodzić z zaczepionej o drzazgę opończy.

- Nawet dzwonnice zbudować im trudno, ot łachy - wyburczał - to nie można belek wygładzić, żeby się przyodziewek dzwonnikom nie niszczył?

Wygiął dumnie wargi, odepchnął wojów i podążył za swoim panem rozsiewając niemłą woń, jakby za pazuchą niósł poleć padliny.

\*\*\*

Łucznicy biegli na wały, wspinając się po drabinach i ustawiając na miejscach wskazywanych przez dziesiątników. Zapelniał się wojskiem zewnętrzny pierścień umocnień - potężny wał ziemny, z rdzeniem skrzyniowej konstrukcji, szeroki na dziesięć sążni, wysoki na pięć, z nadbudową idących w górę ścian z belek: drewnianych horodni<sup>8</sup> wypełnionych ziemią i kamieniami, a oblepionych gliną dla ochrony przed ogniem. Całość się wojska kijowskiego rozlewała po cielsku obwałowań, w izbicach strzelniczych, na galeriach i wieżach, jak wielobarwne żuki wpełzające na martwego węża leżącego nad rzeką. Woje popychali się, trącali wzajem w nieporządku, nie mogąc wyrozumieć, gdzie najlepiej będzie im stać. Za Dnieprem już się rozlewała potęga tatarska, a hałas szedł od tego taki, że trzeba było wrzasku, by się porozumieć.

Ludzie czekali na nich od miesięcy, co wieczór z niepokojem zasypiając i co rano z napięciem nasłuchując, czy się wróg nie zbliża. Wielu napłynęło uciekinierów z innych stron, wieści przynosząc tak potworne, że się niejednemu włos na głowie jeżył - o wojsku dzikim, co z piekła wyszło i bez litości wyznawców Krysta morduje, zmiłowania nie znając ni nad dzieckiem, ni białogłową. Ponoć się owe biesy urodziły gdzieś w podziemiach świata, w odległym Tartarze, za rzeką umarłych, a teraz na kraje ruskie przyszły, by je za grzechy wielkie kniaziów ukarać, za pychę i spalenie chramów dawnych, za wygnanie bogów tej ziemi, a sprowadzenie obcych. Jereje z monastyrów, batuszki z ławry z ikonami wychodziły na place targowe, na wały, pieśni zawodząc, kadząc dymem a lud w słabościach ułomny pouczając, że owe Tatary to kara Boża, za przewiny wysłana.

Grody i miasta ruskie, jedno po drugim, przed ową potęgą padały: Włodzimierz, Suzdał, Czernihów, Moskwa, Pe- rejesław, Riazan i Kozielsk. W tym ostatnim jedynie, siły tatarskie ponoć się zachwiały, aż się chan mongolski dziwował i w końcu rzekł o Kozielsku „złe to miasto” Reszta szeszła, jak wrzucona do kotła piekielnego w Dzień Sądu.

Przerażeni ludzie do Kijowa parli, wierząc że ruski Konstantynopol wrogowi ostoi.

Snuły się wieczorami opowieści o płonących domach i cerkwiach, o ludziach żywcem palonych, o darciu skóry pasami, o hańbieniu niewiast na oczach mężów i dzieci, o rzucaniu niemowląt o ściany, o pruciu flaków z wnętrzości, o jedzeniu ludzkich trupów,

przy piekanych na rożnie jak świnie, o ofiarach, co swojej kolejki na zjedzenie czekały przywiązane do pala i patrzyły, jak owe diabły jedzą ich matki, córki i ojców.

W kijowskim grodzie szykowano się na najgorsze, zapasy chowając, chaty sposobiąc, wały uszczelniając, pałac świece na intencje ochrony. Każdy patrzył na wielkie bramy Kijowa i myślał: także są potężne, że ktoś by je dał radę wyważyć? Takie wspaniałe. Ot, choćby Złota, z wrotami obitymi blachą miedzianą, tak iż w promieniach słonecznych się zdawała zrobiona z najszlachetniejszego kruszcu, z cerkwią zbudowaną u góry nad wjazdem. A ona przecież nie jedna: cerkwi tyleż w Kijowie, że się przez nie żadna siła piekielna nie przebieje. Załoga do tego liczna, wały potężne, grody postawione na trzech wzgórzach, a od wschodniej strony Dniepr - wszystko dawało nadzieję na odparcie najazdu.

Uciekinierzy napełniali Kijów tysiącami. I razem z mieszkańcami czekali na Tatarów. Ci jednak przez całe lato nie nadchodzili. Nikt nie wiedział, że się Batu-chan wycofał i czekał aż zima przyjdzie, mróz chwyci i zetnie lodem rzekę.

Gdy więc tego ranka ludzie usłyszeli ów złowrogi dźwięk, który taki się zdawał, jakby burza nadciągała, wiele dzieci trzeba było w płaczu utulić.

\*\*\*

- Nie wiem, co czynić. Ona tam siedzi? Albo i nie? Widać co? - brat Florian przystawił oko do szpary w drzwiach. Na plecach poczuł kuksańca.

- Gdzież to przystoi, żeby sługa boży dziwował się przez szczeliny na niewiastę! Obrza boska, tfu! - z tyłu go walił pięścią brat Godyn. Zaraz też biednego Floriana odciągnął na bok i palcem mu pogroził.

- Ech, jakby to było za czasu, gdy ja był przeorem...

- Czegóż to? Patrzałem celem grzecznego podejścia, żeby białogłowy nie wystraszyć niepotrzebnym dźwiękiem.

- Już ja znam te twoje gruczne podejście. Święty się Florian pewnie teraz na twoje podejścia tak sumituje, że aż się jego relikwiarz w Krakowie trzęsie z błogosławionego oburzenia - tłumaczył Godyn, marszcząc groźnie brwi, a wbiwszy palec wskazujący w pierś chudsze dominikanina kontynuował:

- Nie wiem czy to podejście twoje to gruczne, bo mi się raczej z goła widzi, że grzeszne. Między gruczne, a grzeszne, widzicie bracie Florianie, niby niewielka różnica. A ile znaczy. Dlatego to kopiowanie tekstów świętych tyle nauki i skupienia wymaga. Bo się przez omyłkę w jednej literze można znaleźć w piekle, zamiast w raju.

- To i racja - przyznał skruszony imiennik najświętszego z rzymskich legionistów.

- No. Więc patrzaj, jak to się robi w boży sposób, in modo latino\* - to rzekłszy Godyn wznosił oczy do nieba, przeżegnał się i zmówił jakąś modlitwę, z taką prędkością, że nikt poza Najwyższym nie mógłby poznać jej znaczenia. Potem

In modo latino (łac.) - na sposób łaciński.

chrząknął i skrobął paznokciem w drzwi. Jako że nikt nie odpowiedział, a gdzieś od miasta straszny gwar szedł, to i Godyn zaniechał skrobania, lecz cienkim głosem zawołał:

- Panno szlachetna, azaliż przystoi nam, właśnie, my... ]

Potem znów wymamrotał coś na kształt modlitwy i schylił się do tej samej szpary, co Florian wcześniej. Nie zdążył jednak niczego zobaczyć, bo drzwi się nagle rozwarły. Za nimi stała piękna białogłowa, o włosach koloru dojrzewającego zboża i zamglonym spojrzeniu osoby z ciężarem na duszy. A kilka kroków za nią kołysały się na ugiętych nogach dwa olbrzymie, jednorękie dziwolągi.

-1 cóż? Czasu dla mnie znajdzie? - spytała kobieta, po czym widząc, iż jeden z dominikanów przedziwnie skulony dodała:

- A to co wam, braciszku? Coś dolega?

- Brat Godyn właśnie do drzwi kołacze, in modo latino... - wyrwał się nagle Florian, ale dostał od razu kuksańca w bok, więc zamilkł.

Godyn wyprostował się zaczerwieniony.

- Laudetur Iesus Chrístus, panno Pieniążkówno. Brat Jacek prosił przekazać, że rozmowę z przyjemnością odbędzie, lubo się właśnie rwetes po mieście zrobił, więc się musi teraz z przeorem rozmówić o sprawach konwentu i jego ratowania. Zda się, że diabelskie siły jakieś pod miasto podchodzą, co zresztą słyhać. Zechciejcie tu poczekać, niedługo do was podejdzie...

To powiedziawszy złapał za habit drugiego braciszka i pociągnął ze złością w stronę kościoła.

- Dość, Florian - warknął - nam się tu kroi niezła sprawka z pomiotem diabelskim. Więc musimy, rozumiesz...

- In modo latino?

- In modo divino.

\*\*\*

Grupy zwiadu mongolskiej awangardy ruszyły w stronę głównego korpusu, po czym zgodnie z opracowanym planem rozpoczęły rozprawianie oddziałów na wyznaczone nad brzegiem pozycje. Kolejne setki i tysiące jeźdźców wypływały z jasu i zjeżdżały nad rzekę w równych formacjach. Wierzchowce tańczyły pod nogami Tatarów, a sprawność i zgranie ich ruchu, sprawiało takie wrażenie, iż obrońcy na murach Kijowa patrzyli z otwartymi ustami, jak na widowisko. Tyleż było koni po drugiej stronie rzeki, że wypełniały przestrzeń po horyzont i że się biała od śniegu przestrzeń w mgnieniu oka stała czarną, jakby kto wsadził kij w mrowisko i nagle je wyroił. Pierś w pierś, siodło w siodło, łeb w łeb - równe szeregi ustawione w dziesiątki, setki, tysiące, dziesiątki tysięcy.

- Szatan, tylko szatan tym może kierować - szeptał jakiś woj w Bramie Lackiej, najbardziej na wschód wysuniętej.

Owóz i może gdzie Szatan stał nad wszystkim, za sznurki ciągnął i chichotał, kto wie. Wielka jego moc. Na pewno śmiał się z modlitw, które w tej chwili były w każdej cerkwi wznoszone, a wobec potęgi mongolskiej miały się, jak szmer strumyka do wybuchu wulkanu.

Z tyłu, od wschodu, armię czterdziestu tysięcy jeźdźców podświetlało Słońce. A ludzie przecież wierzyli, że piekło jest tam, gdzie Słońce zachodzi. Magiczny Orient wypłuł teraz jednak to, czego nie powinno być w raju. Milion diabelskich kopyt.

Sztab tatarski pojawił się na, wcześniej przygotowanym przez oddziały rozpoznawcze, miejscu - Batu i Subedej zsiadli z koni, oddając wodze adiutantom. Obok stanęli doradcy. Szczwany Lis podał chanowi rulon pergaminu. Batu odczepił kołnierz zasłaniający twarz od zimnego wiatru i stanął tyłem do wichru, żeby wygodnie patrzeć na rozłożoną mapę.

Przyjrzał się jej, potem popatrzył w stronę płonącego mostu i leżącego za nim miasta, jakby chciał okiem zważyć każdą złotą kopułę. Uśmiechnął się i pokiwał głową. Subedej wskazał mu na mapie dwa miejsca.

Huk narastał - wielbłądy, wozy z zaopatrzeniem i wojska inżynieryjne zajmowały miejsce na tyłach.

Cztery tumeny stanęły na wyznaczonych pozycjach, sygnalizując to chorągwiami w stronę punktu dowodzenia. Chan Złotego Ułusu podniósł wysoko rękę w przepięknej, czarnej rękawicy ze skóry węża, przetykanej drobnymi kółeczkami srebrnymi.

I nagle hałas urwał się. To, co biło w uszy obrońców nieznośnym rytmem, nieustannym drzeniem, potwornym, zwielokrotnionym basem, po prostu ucichło. Jakby dłoń Batu-chana mogła złapać za gardło każdego konia, ściągnąć wodze wielbłądom, wstrzymać wozy. Cały wielostrumienny ruch ustał, skamieniał, zamarł. Zapadł się w ciszę. Milion kopyt stanęło. Pałki nad bębniami zawisły. Gońce wstrzymali spienione konie.

Tak samo ruch zamarł w Kijowie. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi zatrzymało się zdziwionych.

Pewien dziesiętnik stojący na galerii strzelczej wału, spojrział powoli nad głowę - pod grotem jego włóczni łopotąła niewielka chorągiewka. Na skrawku błękitnego materiału

wyhaftowany był wizerunek Świętego Jerzego. Po drugiej stronie Dniepru leżał nieruchomy smok o czterdziestu tysiącach głów.

Batu-chan, syn Dżodżiego, wnuk Szarego Wilka, opuścił rękawicę.

Czterdzieści tysięcy rąk sięgnęło do sajdaków przytroczonych do siodeł.

T

atarzy wyciągnęli łuki. Gdzieniedzie zarżały konie, poruszyły kopytem, lecz od razu w szereg wracały pchnięte kolaniem wprawnego jeźdźcy. Subedej patrzył na swoje wojsko i milczał zamyślony, wydawałoby się, że nieobecny duchem. Jakby chciał podliczyć, który to już raz wyda tę samą komendę do pierwszej salwy.

Samarkanda też była cała w bieli - słońce odbijało się od jasnych murów, od wielkich wież, od piasku pustyni. Subedej nie żałował Samarkandy. Ani Buchary. Albo tych wszystkich miast zostawionych gdzieś daleko w stepach i górach bez jednego żywego człowieka. Wiatr i sępy czyszczą je tak szybko, że gdy teraz jechał tym szlakiem, na kolejną wyprawę i mijał opustoszałe ruiny, gdy patrzył na mury o przetrąconych kręgosłupach, na zawalone baszty, na resztki bram wjazdowych, to wydawało się, że minęły wieki, tysiąclecia od bitew, które tu się rozegrały. Stary Lis Dżyngis-chana lubił zostać z tyłu, pozwolić odjechać wojsku, a potem przyglądać

się bezludnym ulicom, które sam zamordował. Spacerowa} wtedy pośród wymarłych domów, między którymi wiatr wzbijał w powietrze tumany kurzu.

Wchodził po stromym zboczu góry, aby tylko postawić stopę na samym szczycie jednej z wież Bamianu i patrzeć w dół, smakować każdy pusty zaułek. W Herat przytulił twarz do ściany jakiejś świątyni. Nikt go nie widział, armia omijała twierdzę szerokim łukiem. Długo trzymał policzek na chłodnym kamieniu. Dopiero wtedy miasta stają się piękne, gdy zostaną zniszczone, myślał sobie.

Teraz nie było palącego słońca Persji. Tylko mróz ścinał skórę na twarzy. Ale cisza nad miastem była taka sama. Ciekawa.

I miasto jeszcze żyło.

Subedej obudził się z zamyślenia, spojrzął na Batu-chana. Ten uśmiechał się widząc dziwny stan ducha starego dowódcy. Skinał mu głowę. Zdobywca Samarkandy, miłośnik martwych miast, machnął dłonią.

Czterdzieści tysięcy tatarskich jeźdźców sięgnęło do kołczanów i wyciągnęło z nich strzały. Każda z nich miała grot z wyżłobionym wgłębieniem, które w czasie lotu wydawało przeraźliwy jazgot.

Chorągiewki sygnalizacyjne przekazały następny rozkaz, powtórzony przez dowódców minganów krzykiem „napinać”, a głos poniósł się daleko i odbił echem od ściany lasu. Najpierw koniec łuków włożyli między strzemień a but, by znaleźć punkt oparcia. Potem nałożyli strzały. Zgięli środkowe palce, tak by cięciwy położyły się na kamiennych, śliskich pierścieniach ułatwiających napinanie i strzał. Zaczęli ciągnąć. Rozległ się głośny skrzyp naprężanego drewna.

Subedej patrzył w stronę miasta i uśmiechał się, łowiąc ostatnie ułamki ciszy, którą tak lubił. Dał znak. Zaszleściły chorągwie sygnałowe. W niebo wyleciało czterdzieści tysięcy wyjących strzał.

\*\*\*

Matki czasem straszą dzieci gadając klechdy o biesach, dybukach albo i strzygach. Mówią im, że jak dzieci są nie- czne, to może taki czart przyjść gdzie z lasu, albo jakiś otwór z rzeki wypłynie i zabierze je. Szkraby wierzą w to i od razu stają się grzeczniejsze. Potem gdzieś płaczą sobie cichutko, w słomę, w siennik, żeby to brat nie widział, ni siostra, bo wyśmieją,

ale przecie licha może być. Może przyjść. Starsi bracia gadają - czyś ty głupi? Matulce wierzysz? W te bajdy i klechdy? Nie bój się.

Ale się boją. Ot, małe, to i mogą. A matkom to letko jest na świecie? Wstać o świtaniu, bydło obrobić, co zreć podrzucić, a potem jeszcze dzieciśka oporządzić, a szyć, a opruć chłopu, a na pole pójść, a na targ, a gęś z pierza obrać, a w piecu napalić. Nie dziwota, że jak dzieciak niedobry, to matka mu o biesach gada. Tak zawsze ścichnie. Śpi. Spokój jest chociaż z wieczora, co by przy kominie siadnąć, patrzeć tak na chłopca swojego, co już chrapie, na te wszystkie niebożęta, małe i duże, o brudnych piętach od latania po dworze, ale takich kochanych, słuchać trzaskania drew na ogniu, a na gębach cichych, dobrych od snu, widzieć migotanie czerwonego światła i marzyć sobie. Marzyć o tym, co było. Bo już nie Iza, o tym co będzie. Ona stara, ręce zmęczone, twarz jej się pomarszczyła. To i jak roić o tym, co będzie albo o tym co mogło być, a nie było. Aleć dumać, że było. Iak spacer nad rzekę, jak pocałunki w lesie. Tak matki dzieci diabłem straszą, żeby mieć trochę wieczora dla siebie.

I tak to jedna matka stała z chłopcem pod ścianą ich chałupy, na Padole kijowskim, niedaleko Michajłowskiego podjazdu i patrzyła na te czarne mrowie na koniach. Na Tatarów.

Synek trzymał matkę za rękę. Było cicho i choć wiatr hulał po ulicy, to nawet zimna nie czuli, tak ich widok przyciągał.

- Czy to biesy, matuś? - spytał chłopiec.

Matka przygarnęła go do siebie.

- Biesy.

Nagle znad tej wielkiej, czarnej masy diabelskiej uniosła się chmura. Jakby wzleciał w niebo straszny rój, jakby każdy z tych biesów miał worek z szerszeniami i go rozwiązał. Wznosiły się w niebo kaśliwą chmarą, coraz wyżej i wyżej. I ciszę rozdarło ich wycie. I czterdzieści tysięcy skowytów nad Kijów leciało. Zasłoniły niebo, tak że zdało się, iż mroczność przedświtów wróciła.

Gdybyż to diabłów miało czterdzieści tysięcy w niebo wzlecieć i wyć nad głowami mieszkańców miasta, to by lepiej nie mogło wzbudzić przerażenia, niżli owych strzał dźwiękowych krocie.

Chłopiec mocniej przytulił się do matki i powiedział:

- To klechda, tak? Matuś? Bajanie? Matuniu, rzeknij mi co, nie stój tak! Bajdy to?

Zaczęła mu się trząść broda. Matka nie potrafiła nic mu odrzec. Patrzyła tak, jakby ją kto w kamienny posąg odmienił.

Synek płacząc pociągnął ją za rękę i zaprowadził do domu.

\*\*\*

Po drugiej stronie rzeki Subedej obrócił się w stronę Ba-tu-chana i spokojnie powiedział:

- Lęk zabija szybciej od żelaza.

Było coraz mroźniej. Stary Lis znowu zawinał twarz kołnierzem, a ręce włożył w grube rękawice. Poruszał stopami w bucie. Był już naprawdę stary - krew nie krążyła jak niegdyś, było mu zimno w palce u nóg. Za to czas płynął z każdym rokiem coraz szybciej. Subedej popatrzył w górę, szukając nieba. Tengri10 skryło się za szarą powłoką chmur.

\*\*\*

W izbie tak było ciepło, że się bojary z kozuchów i kaftanów rozdiali, zostając jeno w białych koszulach. Wojewoda siedział na tronie kniazia, wspierając łokcie na oparciach z rzeźbionego, ciemnego drewna. Ogień palący się w kominie czerwienił wszystko, oblewał pomarańczem migotliwego światła i rzucał cienie na twarzach. Dymitr miał brwi ściągnięte, szczęki na zmianę zaciskał i rozluźniał, a ruda broda zdawała się płonąć w blasku idącym od paleniska. Dowódca patroli złożył mu właśnie raport o ruchach wojsk tatarskich, lecz wiewa z jego gadania nie wynikało poza tym, że jest ich tak mnogo, iż się we łbie mózg gotuje od samego patrzenia.

- Po lodzie przejdą? Jak on mocny? - spytał wojewoda Oleg, potomka starego rodu Waregów, co z tej racji miał włosy czerwone, jakby mu rdza głowę okryła.

Oleg, zaufany kniazia Rurykowicza, a Dymitrowi do pomocy zostawiony, zdawał się być nieporuszony sytuacją. Bawił się długim warkoczem.

- Przejdą. Nasze czujki przeszły. Łód nawet nie skrzypnęła.

- Jak to może być? - obruszył się Dymitr - Od niedawna ścisnął.

- Od niedawna, ale mocno. Na to oni czekali. I teraz tylko patrzeć, gdzie po lodzie przejdą.

Dymitr zacisnął dłoń na rzeźbionym końcu siedziska i rzekł przez zęby:

- Idź, zobacz jak się nasi na murach szykują. I niech w bramach już gotują smołę. W każdej chwili mogą Tatarzy uderzyć, nawet przed postawieniem obozu.

- Obóz to już kończą stawiać - rzekł Wareg i zniknął w drzwiach nie oczekując żadnych dalszych uwag.

Wzrok Dymitra teraz spoczął na owym Lachu, co się podawał za potomka świętego Jerzego i pogromcę smoków. Siedział ów rycerz za ławą, do obrad dopuszczony na równi z bojarami i kilku co znamienitszymi dowódcami drużyn, ale nic nie gadał, ino swoją siwą bródkę skubał. Dymitr nie mógł się co do niego dobrze rozeznąć, bo z mowy zdawał się szlachetny, miał ogładę przynależną wyższym rodom, a z oczu się zdawał jednym z tych, co im Bóg rozum zabiera, bo ich wyznaczył do innych celów, niżli te ziemskie.

- Wasza kolej, mości rycerzu, co gadacie, żeście od Lachów. Mówcie po waszemu, mowa wasza do ruskiej podobna.

Dragiełło poruszył się, całkiem jakby ktoś go ze snu wytrącił. Przyglądził siwe wąsy, a potem rzekł:

- To wiedzieć musicie miłościwy Panie, żem się począł z krwi archanielskiej...

- Ja nie kniaź - przerwał mu Dymitr - jeno wojewoda na urzędzie, mnie miłościwym panem tytułować nie musicie.

W oczach rycerza zamigotały żywsze błyski, nie wiadomo, czy od ognia buchającego w kominku, czy od myśli świdrującej.

- Wojewoda nie cham. A na stolcu kniaziovym siedzicie.

- Ino siedzę.

- A gdzież to kniaź w takim wypadku? - pytał rycerz.

- Michał Wsiewołodowicz najpierw się do Węgrów wybrał, a potem do was, do Lachów. Może być, że w Krakowie pomieszkuje na ten czas.

Polski rycerz wstał nagle z ławy i podszedł do okna. Popatrzył na miasto, obrócił się do bojarów i spytał:

- A on kniaziował gdzie? W Krakowie, zaliż w Kijowie?

- W Kijowie - odpowiedział mu jeden z ruskich panów.

- Ale tu go nie ma?

Dymitr tylko pokiwał głową, potwierdzając.

- A Tatarzy pod wałami?

Bojarzy wszyscy zgodnie skinęli głowami.

- To mi się zdaje, wedle tego, co mnie mateńka uczyła i wedle tego jak mi krew w żyłach gada, że jak on tam, to już nie kniaź na Kijowie. Was jeno widzę, że się za Kijów bić będziecie. Tak więc dla Dragiełły, herbu Kraplan, co niejedną już kurzawę nosem wachał, jest pewne, że jeśli ktoś tu kniaź, to wy, wojewodo Dymitrze.

Namiestnik popatrzył na niego z ukosa i rzekł:

- Mnie teraz nie patrzeć kto kniaź, a kto nie kniaź. Ty się o mnie nie bój, ja radę dam. Gadaj mi, co masz za wieści?

Potomek świętego Jerzego rozejrzał się po izbie, jakby chciał sprawdzić, czy ma należyty posłuch, po czym do zdania sprawy przystąpił:

- Od roku już idę po śladach jednego łotra. Jako że krew mam w sobie świętą i ślub wyniosłem, żeby godzinę wszelką po świecie ściagać przykładem mego pradziada, tak i jemu nie odpuszczam. Nos mój rycerski mnie za nim wiedzie od wsi do wsi, od miasta do miasta, jak psa gonnego za ranionym turem w kniei. Zwie się ów łotr, uważaj miłościwy panie, Wulfstan, ale żeby cię nie zwiodło wilcze brzmienie jego imienia rzeknę, że z szarych drapieżców to on ma jeno w sobie łaknienie krwi ludzkiej, a nie upodobanie swobody. Żeby do rzeczy przejść, bo czasu mało, nawet na rycerskie słowo, ze szlachetnej gardzieli dobyte: starzec ów mnie i moich towarzyszy powiódł w daleką drogę, do księcia Jaćwieży, zwanego...

- Bliznobrodym - wtrącił nagle Dymitr. Dragiełło wyrwany z toku opowieści powietrzem się zachłysnął, uważniej na wojewodę spojrzął i ciągnął dalej:

- Bliznobrodym właśnie. Jak widzę, dobrze go znacie. Do niego to żeśmy podążali na wiec ponadplemienny, który w mieście pośrodku puszczy zwołał, a na który zjechały wszystkie pruskie plemiona. Wulfstan, o którym waszej miłości prawie, starzec przebiegły, co udawaną głuchotą maskował swój spryt, najał się u nas za przewodnika. Miał mnie i towarzyszy przez bagna nieprzebyte, przez lasy i mokradła do Sudovii doprowadzić, wprost do stolicy jaćwieskiej i zamku stojącego na jeziorze.

Dymitr słuchał opowieści rycerza coraz bardziej zniecierpliwiony, bo czas leciał, a do obrony trzeba było miasto szykować. Dragiełło przyśpieszył więc zdawanie sprawy:

- Dość rzec, kniazio Dymitrze, że się on okazał przekupiony. Sprzedał nas, jak niewolników, Jaćwiegom. Ledwie głowę unieśliśmy z areny, gdzie nam przyszło potykać się z dzikim zwierzem. Na koniec, zdrajca przeklęty, uprowadzić chciał jedną białogłową i gdyby nie...

- Wystarczy rycerzu - przerwał mu wojewoda - gadacie i gadacie. Jakby czas pokoju był, ot wspaniale, tak byśmy siedzieli w izbie, przy kominku i słuchali waszych opowieści, ale tam się zaraz bój o wały nasze rozpocznie. Mówcie, co najważniejsze! Na inne sprawy potem czas będzie...

Targnął się Dragiełło za bródkę, skurcz przebiegł mu po policzku i skupiwszy uwagę skończył wyjaśnienia tak sprawnie, jak umiał:

- Tam u Bliznobrodego widzieliśmy posłów tatarskich, z którymi Jaćwiegi na układy poszli. A tropiąc owego psa zdrażliwego, Wulfstana, tu w Kijowie na drużynę Jaćwiegów żeśmy natrafili. I tak mi się zdaje, że jak jedno z drugim się tu spotkało, one pacholki Bliznobrodego i starzec przedajny, to nic innego być nie może, jak przeszpiegi, zмова i szykowanie tajemnego otwarcia bram po nocy!

Rwetes powstał. Zerwali się bojarzy z ław, krzycząc, że zradę żelazem trzeba wyciąć. Latem to przyszli Jaćwiegi, dary ze skór bobrów złożyli, z bursztynu, a potem rzekli, że do Kijowa ich księżę Bliznobrody wysłał, żeby obronę przed możliwym najazdem wspomóc, jako że i Sudovia się zdawała zagrożona. Teraz rzecz się stała jasna. Dymitr wstał miotając z oczu pioruny.

Potem kazał przydzielić Lachowi dwie najlepsze drużyny, wszystkich Jaćwiegów pojmać, do lochu wtrącić i wybadać na okoliczność zmowy z Tatarami. Jeśliby takowa wyszła, to ich przykładnie ukarać i życia pozbawić. Gdybyż to nie była prawda, to rzecz taką samą z owym rycerzem Dragiełłą wykonać. Wulfstana zaś, jeśli będzie gdzie żyw, do niego samego przyprowadzić.

- Teraz mnie wiedźcie na niskie miasto. Trzeba obronę opatrzyć - rzekł twardo, zarzucił na siebie kozuch, na głowę szłom\* nacisnął, obwiązał się pasem, przytroczył miecz i ruszył żwawym krokiem. Gdy wyszedł z rozgrzanego dworu owinął go siarczysty mróz. Dymitr stanął wciągając ostre powietrze przez nos. Pachniał dym.

Ha razie to dobry dym. Jeszcze dobry dym, z kominów - pomyślał wojewoda i spojrzął na dachy domostw.

- Boh, pomiłuj - powiedział cicho, ale nie miał pewności, czy Bóg to słyszy.



Na niewielkim stołeczku siedziała niewiasta. Obok niej na skraju ławy, opierając plecy o ścianę, przysiadł zakonnik, w dominikańskiej czarnej kapie. Ona nerwowo plotła palcami kraj włosów, jakby chciała warkocz ułożyć, on dłonią po łysinie tonsury przejechał, a potem narzucił na siebie ciemny kaptur. Może dlatego, żeby mu zimno nie było, a może z tego względu po prostu, że mówić jest łatwiej, gdy się twarzy spowiednika nie widzi. Z ciemni kapuzy zakonnej buchnął kłęb pary wyrzuconej przez oddech.

- Cóрко, snadź jest rzeczą chwalebna, żeby przed Bogiem zdać sprawę ze swoich uczynków i prosić o wybaczenie... - zaczął mówić.

- Ja nie proszę - przerwała mu szybko i nerwowo. Drżała na całym ciele, ściskając dłonie włożone między uda.

- Czemu drżysz? Lękasz się, czy chłód...

- Mróz ojciec - odrzekła i wstrząsnęła się, jakby coś ją w trzewiach zabolalo. Potem naciągnęła na siebie mocniej płaszcz obszyty futrem i opatuliła się nim tak, że w obszernym kołnierzu jaśniała jej drobna twarzyczka okolona blond włosami. Dominikanin wyszedł na chwilę i wrócił z zapaloną świecą. Postawił ją na stole.

Hanna wyciągnęła rękę i zbliżyła dłoń do ognia, patrząc na różowiejące palce i nie mogąc opanować drżenia. Zimno było w klasztornej przybudówce.

szłom (starop.) - hełm, szyszak.

Za ścianą słychać było krzyki przebiegających ludzi, ktoś konie pędził, ktoś coś ciągnął po ziemi, ale do nich tylko dźwięki dochodziły, jak z innego świata.

- Czasu wiele nie mamy - rzekł zakonnik - miasto będzie płonąć. Na Padół najłatwiej wrogowi się dostać, bracia się szykują do ucieczki z klasztoru, pakują rzeczy. Jeśli chcesz ode mnie posługi kapłańskiej, mów cóрко...

Białogłowa spojrzała na niego, lecz twarzy nie mogła dostrzec pod kapturem.

- Proszę ojca, czy zakon kaznodziejów od Dominika powołany został do ścigania sług Szatana we wszelkiej postaci?

Kapuza uniosła się trochę, w półcieniu błysnęły oczy brata Jacka. Nie pytał, nie odpowiadał, ino patrzył.

- Czy każdą herezję, odstępstwo od wiary świętej, przeistoczenie Szatana w postać ziemską ma wynaleźć, a potem wypalić w słusznym ogniu świętej kary? Czy wyście owi Domini Canes - Psy Pana, jak słyszałam, że was zowią?

- Laudamus Omnipotentem Deum<sup>1</sup> - odrzekł jej spokojnie - jesteśmy Sługami naszego Pana w niebiesiach. Do chwały idziemy Jego drogą, nie własną. Non nobis Domine, non nobis, sed tuo nomine da gloriam<sup>2</sup>. Czemuż pytasz, cóрко?

W jej błękitnych oczach nie było lęku, ni uczuć szalejących, jakby źrenice jej były taflą zamrożonego jeziora, pod którym gdzieś głęboko w wodzie zmrożonej trwa jeszcze jakieś życie.

- Ojciec, czy wiemy, czarownice przez diabła opętane, szatańskie wymioty w ludzkiej skórze, dziewczki zrodzone z piekielnej siarki wstrzykniętej w ciało bab po chatach zabobon dymiących, strzygi mgły porannej nad wodą, czy cały ten pomiot biesa jest dla Domini Canes jak zwierz godzien pościgu?

\_ Zwierz godzien pościgu? Czegóż ty chcesz? - brat ze świetnego rodu Odrowążów coraz uważniej patrzył spod kaptura.

Z jej słodkich, pięknych ust uniosły się kłęby pary, jakby się dym puścił z trzewi, gdy powiedziała:

\_ Jestem wiedźmą, proszę ojca.

Brat Jacek zerwał się z ławy i odrzucił kaptur na kark. Cofnął się dwa kroki. Próbował dojść do tego, cóż ta dziwna białogłowa zamierza. Wiedział, że w drugim pomieszczeniu stali dwaj jej słudzy, co się tak w ruchach mieli, jak stwory leśne. Może być, że dybuki na sługach czarownicy - spojrzenie dzikie, spode łba, karki pochylone, a z barków każdemu jedno tylko

łapsko wisiało. Brakło jeno, by mieli oko w środku czoła, albo by głów nie mieli, ino twarze na piersiach, jak lud psiogłowców. A może być przecież, że diabeł przybierze postać białogłowy, by mężów do zguby doprowadzać, nawet tych mężów, co na co dzień żyli w świętym stanie. Jacek wiedział, że im gładsze lico, tym to może być łacniej szatańska intencja ukryta w niewieścim cieie.

- Apage Satanas!\* - rzekł mocnym głosem i w powietrzu znak krzyża uczynił. Za ścianą jakiś oddział przebiegł, łomocąc orężem i pokrzykując na siebie wzajem, kołokoły na cerkiewnych wieżach znowu bić poczęły, całkiem tak jakby jeszcze być mógł ktokolwiek w Kijowie, kto by nie wiedział, że wróg podszedł pod miasto. Hanna patrzyła na zakonnika, lecz nagle tafla skrywająca lodem jej oczy pękła, a z głębi duszy wypłynął, przez czarne otwory żrenic, płacz i wołanie o pomoc. Opuściła głowę, spazmy wstrząsały jej plecami, oddech się rwał.

Powoli ojciec Jacek na ławę usiadł i kaptur na głowę założył.

- Co ci to, córko? Cóż ci na duszy siedzi? - spytał.

Po chwili lica ku niemu uniosła, włosy poprawiła. I szybko, rwanymi słowy, zaczęła mu opowiadać o swym losie, ° tym, jak ją z kupieckiego wozu ojca pochwycili Ludzie Lasu, a Koszi, wódz owego dzikiego plemienia, trzymał ją za żonę w swym szałasie, potem o tym, jak uwolnienie przyszło nagle od dwóch wojów, z których jeden się miał za potomka świętego Jerzego, a drugi nosił imię Świętego Miasta, Jeruzalem. A gdy prawiała o tym ostatnim, to przy każdym słowie twarz jej gorzała i w oczach budziła się dziwna gorączka. Gadała o wozie z towarami, o małpce uciesznej, z którą ów Jeruzalem jeździł, i o chłopcu Ignasiu, co się do wozu przypalał, o wspólnym jechaniu i o tym, że odkąd się w ich drużynie znalazła, to ją duch niemocy ogarnął.

- Nie czułam się swoja - zaczęła tłumaczyć i zapominając o mroźnym powietrzu opuściła kołnierz na ramiona - coś mi w głowę wlatywało, jakieś myśli nie moje, jakieś sny różnorakie, silne, z jakichś dymów zrodzone. Cóż to było? Ja to byłam, czy inna? Co też tak moją duszą szarpało? Tu jeszcze ciało moje było, zimno czuło, gorąco, głód, albo radość wiatru na policzku, a tam już myśl moja wpadała w wiry. Widziałam, ojcze, wieszczęłam o tym co będzie, co przyszłość ma przynieść. Czy ja wiedźma?

Utkwiła w nim wzrok i złapała z wielką siłą za rękę. Próbował nadgarstek wyszarpnąć, lecz trzymała mocno. Drugą więc dłonią sięgnął po niewielki krzyżyk, jaki miał zawieszony na piersi. Wyciągnął go naprzód i rzekł:

- Ucałuj Krysta. Jeśli jest w tobie bies, nie zezwoli ci wargami go dotknąć...

Pocałowała go, a zakonnik rzekł ze spokojem:

- Widać, panno, że do wypalania ogniem antychrysta jeszcze daleko. Choć może być, żeś na dobrej drodze ku niemu. Jednak, jeśli nie masz grzechów do wyznania, czego ode mnie żadasz więcej?

- Chcę się oddać w służbie Bogu, zamknąć do kresu żywota w klasztorze. Jeśli nie jestem wiedźma, to ino Najwyższemu służąc może swoją duszę i umysł chory uzdrowię, bo teraz to męka jeno i ciągle sny na jawie. Jego już nie zobaczę...

\_ jego? Kogóż masz na myśli?

Splonęła się, głową potrząsnęła i w bok uciekła wzrokiem. I cichutko, takim szeptem, że się musiał dominikanin nachylić ku niej, rzekła:

\_ Jeruzalema. Jego i Szalbierzem zwali, chociaż serce w nim dobre było... ja wiem. Aleć... taki był, jak sokół, co się dwa razy zakoluje i nigdy nie zgadniesz w którą stronę polecą. Sokół tam leci, gdzie go wiatr od Boga dmuchnie. Tak i on...

Ojciec Jacek aż chrząknął i dławiąc rodzący się uśmiech powiedział do niej ciepło:

- To wy mi tu, panno, czas nie wiadomo jakim gadaniem zajmujecie, snujecie opowieści o wozach, małpach i miastach w głębi puszczy, dalej się przyznajecie do procederu czarów i sił nieczystych, chociaż sama nie macie to panno pewności, czyście wiedźmą, czy tylko wam się

zdaje, z tego zmierzanie do wstąpienia w klauzury i na koniec, jakby to już nic warte nie było, cichcem dodajecie, że się wam jaki ukochany w życiu przytrafił, a potem zniknął. I stąd one klasztory, trąby nieziemskie, szlochy i westchnienia. Bodaj tam, żeby kiedy zakonnik pojał niewiastę. A czemuż to ów rycerz, co Szalbierzem go zwiecie zniknął wam z oczu? Czyżby jakaś wiedźma inna lepszym czarem owinęła jego serce?

Hanna zastygła patrząc na niego w taki sposób, że aż po plecach brata Jacka dreszcz przeleciał, wzmagając poczucie chłodu. Schował dłonie w rękawy czarnego płaszcza. Widział, że w twarzy kobiety coś wzbiera, zmienia się, wykrzywia, tężeje, pulsuje, powieki zaciska i rozwiera, oddech przyspiesza, a nozdrza się zaczynają unosić, jak u zwierza dzikiego przed atakiem. Szum jakowyś zaczął iść i jemu samemu w głowie od tego widoku. Sięgnął szybko po krzyżyk i zacisnął palce na niewielkiej figurce Chrystusa rzezanej w ciemnym drewnie. Nagle jej ciało zaczęło drżeć. Upadła w tył, wywracając białka oczu, trzęsąc się, bijąc piętami w ziemię, a potylicą uderzając w stół. Poleciała świeca na bok, aż pukiel włosów niewiasty znalazł się w ogniu i zaczął skwierczeć. Dominikanin zerwał się, krajem rękawa tłący się kosmyk ugasił, świecę zdmuchnął, a białogłową na ręce uchwycił, podniósł lekko, żeby głową nie biła o kraj stołu. Złapała go rękami za szyję, spojrzała mu prosto w oczy i wtedy zajrzał daleko, przez studnie źrenic w głębię jej duszy. Jęknęła, po czym zaczęła, rwąc słowa, jak kawałki szmatek rzucane na wiatr, gadać, wypluwając swoje sny przed oblicze spowiednika:

- Czy jesteś, kochany? Gdzież twoja dłoń na moim czole? Płyniesz z rzeką czarnych głów, luby, nie toniesz, na bałwanach tętnią twoje stopy, tam widzę cię. Szybciej, popędzaj, luby, nie czekaj, nie patrz w niebo, tam chmur nie ma, tam Słońce utonęło, tam dymy tylko czarne idą, archanioł już nie strąci nietoperza, czarny duch się unosi, w twarz wrzodami pokrytą się wlewa, w nią się zajmuje, szukaj kochany, dziecka. Dziecko mieczem będzie, ono wybawi, w nim Bóg mieszka, zaraz na karku, pod piętą, na środku palca, w piersiach się kryje. Nie stój, popędzaj! Konia nie szczędź, w tobie ratunek!

Siedmiu was być musi, o tym pamiętaj, siedmiu szukaj, sam poleżesz, nie dufaj w swoje siły, sześcioro szukaj, tak jak jest pisane. I szukaj mnie, daleko, za górą, za stepami, gdzie się ziemia zapada w dolinę śmierci. Tam mnie szukaj, kochany. Gdzieżem ja, Boże, gdzieżem? Matko Święta ratuj mnie, od złego ochraniaj. Tam biesy za rzeką, tam się ogień gotuje, tam woda pali śniegi, tam wiatr potrząsa korzeniem, tam się kopyta wiją wokół szyi, tam jabłka lecą w stronę matek i biją między ślepią i wyrwywają serca. Wejdz na jabłoń, kochany, zerwij mnie, usłysz, dotknij, skosztuj, jaki sok wypływa z mojej głowy. Płynie sok zielony, z piórami złotymi na całym ciele, a potem w Słońce, coraz wyżej i wyżej. Kochany, ja ptaszka, ja twoja ptaszka, ty leć za mną. Tam szczęście, wysoko, na chmurze przyszło. W słońcu mnie spal. Rzuć mnie z rydwanu na ogień, przebij mnie promieniem, spal moje lzy, one dobrze się palą, zostawią ślad na palcach. Kochany, gdzieś ty?

Boże chroń Go! Ukochany, uklęknij! Głowę pochyl. Usłuchaj. Skosztuj. To dobre.

Ojciec Jacek stał skamieniały, patrząc na nią z troską i przestachem.

- Czegóż tobie to, córeńko? - spytał, próbując jej gorączkę uspokoić, włosy na bok odgarnąć, żeby jej do oczu nie leciały - Czegóż Tobie? Co za duch to? Co cię ogarnia?

Ułożył ją delikatnie na ławie. Potem zaczął szeptać słowa modlitwy, prosząc Matkę Bożą o pomoc, o uspokojenie zmysłów dla białogłowy. Wieszczyby Hanny, jak wykwit podziemnych mocy bluzgające, mieszające się, niczym szalony wir płonącej rzeki, starał się ukoić monotonnym rytmem modlitwy. W słowach Bożych była moc, porządek, harmonia niezmiennej konstrukcji. Był kierunek, jak oś, wokół której kręci się świat, były zaprzeczeniem chaosu, jaki jest po diabelskiej stronie wszechrzeczy. Im bardziej Hanna w zamęt popadała, a jej wargi miały się szarpane kolejnymi sylabami, tym bardziej brat Jacek nadawał pewności żelaznym, stałym, frazom modlitwy.

- Miły mój, przyjdź, nie daj czekać sępom, likaonom nie daj gryźć ziemi nad mogiłą. Czekam na ciebie. Przyjdź - jęczała, aż w końcu ucichła zapadając się w coś na kształt snu.

Dominikanin pogładził dziewczynę po głowie, jakby była dzieckiem. Zdjął swój czarny płaszcz i okrył Hannę, a potem poszedł szukać brata Godyna, co by mu nakazać zajęcie się chorą na duszy.

Śnieg tymczasem padał na dachy Kijowa z takim spokojem, jakby to za rzeką piekło wcale nie rozkładało się obozem.

\*\*\*

- Panie dwa razy na rozmyśl węź, a nie na krew gorącą - karzeł szybkimi ruchami szmatki smarował miecz - choć raz mnie wysłuchaj, swego giermka. Któż by ci lepiej życzył, niż- li Karlito, twój ukochany sługa? Czego szukać u Jaćwięgów znowu? Mało to nam było, jakeśmy do Bliznobrodego w niewolę trafili? Mało to było, jak nas na arenę ten ksiązę rzucił, na pożarcie tygrysom?

- Milcz, chamie, nie tobie rozpatrywać o rycerskiej rzeczy - mrucał Dragiełło przypatrując się sporej dziurze, która widniała w szyszaku, strasząc rdzawym próchnem. Wsadził w nią palec i sprawdził, czy rdza czasem się na dalsze części szłomu nie przedostaje.

- Jakby nas, panie, Jeruzalem strzałami nie wybawił, to by nas dzisiaj tu nie było - garbus zaczął szykować tarczę z herbem rycerza, Kraplanem, co jest znakiem smoczego ziela i rycerzy walczących ze złem wszelkim tego świata - tak, panie mój, właśnie tak. Wyście mężni i pewnie tygrysa byście ubili. Jednego. Ale jak pomnę, to już nie było nam wesoło, oj nie było. Dopiero jak się nasz Szalbierz z między tłumów wydobył, na piach skoczył, tak nas z opalów wybawił. Pomnisz?

- Dobrze to pomnę - rzekł rycerz, wyciągając w górę rękę, tak by karzeł mógł na niego naciągnąć kolczugę - ale i pomnę, że uszedł ów łotr z Tatarami. I pomnę, że mapy rysował, że szpiegował, a myśmy mu wiarę dali. On nas ciągle zwodził, Karlito i na koniec też nas zwiódł. Coś go ruszyło, żeby nas ratować, prawda to, tego zapominać nie należy. Aleć dusza jest duszą, jej nie zmienisz - tak i z duszą Jeruzalema, pozostanie ona szalbierska i tatarska do kości. Tyleć. Może być, że on gdzieś teraz za rzeką do ataku się szykuje. Może być, że on ich teraz tu pod Kijów doprowadził i na nas dybie. Ty się więc, Karlito, do rycerskich myśli nie bierz, bo i tak chamskim rozumem nie pojmisz.

Garbus podrapał się po tłustych, zlepionych włosach, wytarł nos ręką i zaczął zakładać na Dragiełłę opancerzenie. Mamrotał jednak dalej pod nosem:

- Pewnikiem i chamski umysł w karle śpi, może to być, czasem sam się dziwuję, jakie mnie chamskie myślenie bierze, oj panie straszne, najsamperw jak jaką dziewczkę mój nochal gdzie wyczuje, oj wtedy głowę mam chamską, a przyrodzenie jeszcze mocniej. Ale mój panie kochany, twój Karlito oczy swoje ma i co trzeba widzi, a z tego co widzi, swoje wyciąga i wie gdzie jest ziarno prawdy schowane.

- Cóż więc takiego widzi twoje karle oko?

- A pierwsze, że mój pan, rycerz Dragiełło, rzeczy takie wygaduje, o świętym Jerzym prawi, a ciągle czyni coś, co się do rycerskiego stanu tak ma, jak gównno ptaka do książęcej mitry. Czasem i na mitrę ptasie gównno zleci, aleć nie znaczy to...

- Ty mnie mitry z gównnem nie mieszaj - rycerz zezłoszczony uderzył karła w łeb.

- Takoż mój najśłodszy panie, wyrozumiały i łagodnego serca - ciągnął garbus z kwaśnym uśmiechem na gębie - tego nie zaprzeczysz, że się żaden ze znamienitych rycerzy nie nosi na twój sposób.

- Prawda to - przyznał Dragiełło stając szerzej na nogach. Sługa dopinał paski pancerza, łapiąc go w pasie, a gadał dalej.

- Ot, zobacz panie, taki kawał blachy na brzuchu targasz. Kto widział takie? Toć rycerz porządny kolczugę ma na sobie i mu starczy za ochronę. Ty zaś masz na niej jeszcze jakies

stalowe płyty. Takoz posiadasz na nie indult i bulle, jak na swoją kuszę? Nie można to, jak inni woje?

Dragiełło złapał go za kark i przyciągnął ku sobie. Mówił wyraźnie, tak by słowa dobrze się układały w karlim mózgu:

- Oni wszyscy zginą. Co do jednego. Pamiętaj, Karlito, że twój pan służył w egipskich piaskach pod legatem Pelagiu- szem, a niosąc krzyż poganom wyprawił się do Ziemi Świętej i to, czego tam zaznał, tego nikt z tych tu wojów nawet we śnie wymyślić nie potrafi.

Garbus coś mrucał na znak potwierdzenia, byle żelazna dłoń rycerza już puściła jego kołnierz i przestała dusić. Jednak Dragiełło tłumaczył mu dalej:

- Kolczugę moją, Kundzię, szanuję i ty też ją miej w opatrności. Jednakowoż ona dobra, gdy potyka się chrześcijanin z chrześcijaninem. Gdy staniesz wobec Saracena, co szablę zetrze w pojedynku z twoim mieczem, też strzyma. Aleć gdy walczyć ci przyjdzie z niewiernym, który z łuku zacznie prażyć strzałami, wtedy kolczuga do obrony słabsza. Jeno pancerz, taki jak mój, wytrzyma, a grot strzały się po 1 nim ześlizgnie. Tego żaden z wojów, o jakich gadasz, nie wie. I nie wie, że tam za rzeką...

Przerwał, podciągnął karła do okienka i łeb mu wystawił, I tak by widział wojsko za rzeką.

- Widzisz ich tam? Znasz ich? To są syny stepu, woje I Dżyngis-chana. Oni cesarza Chorezmu pędzili jak psa przed ] sobą, aż zdechł na małej wyspie. Oni zniszczyli wiszące ogro- ] dy Samarkandy. Nikt im się nie oparł. Rozumiesz, chamie? ] Myślisz, że ktoś z tych, co Kijów mają bronić, zna ich sposób i wojowania? Nikt. Ufaj swemu panu. Ufaj, Karlito - oto waż- I ne słowo. Nim się kieruj, plotąc swój żywot. Ufaj!

Garbus szybko dopiął paski. Narzucił jeszcze na rycerza I opończę z barwą i herbem, spiął wszystko pasem, miecz do- ] czepił, tarczę założył, hełm na głowę nacisnął i rzemienie ściągnął na przedramieniu. Dragiełło był gotów. Zachręścił ; metal i rycerz stawiając kroki, jak żelazny szkielet dawno ] umarłego człeka wyszedł, a czekali na niego woje Dymitra. Razem ruszyli w stronę kwatery Jaćwiegów i zdrajcy Wul- ' fstana.

\*\*\*

Śnieg obsypywał kopułki wieżyczek malutkiej cerkwi, zbudowanej na szczycie Złotej Bramy. Przed ikonostasem kilku jerejów\* z trebnikami<sup>13</sup> w dłoniach śpiewało półgłosem pieśni, które miały uprosić ochrony miasta u samej Trójcy Przenajświętszej. Czterech kapłanów o ciemnych brodach

. ^arzach ukrytych pod kłobukami, brzmiało basowym tonem, nadając mu jednocześnie miękkość ruskiej mowy. Bohu pomiłuj - drzał ów jednostajny bas i jakby płożył się nisko, na poziomie stóp. W mroku cerkiewnym świeciły jeno blade płomyczki chudych świec, ustawionych jedna koło drugiej, jak wielki jeź z długimi igłami o płonących końcówkach. Powietrze nie tylko mroczne było przez brak światła, ale też od dymów kadzideł, mirry i miejscowych ziół. Diak bujał kadzielnicą, wiszącą na łańcuszku, z której unosiły się kłęby wonnej mgły. Twarze świętych, wypisane na ikonach, pojawiały się i znikwały w rytm migoczących płomieni świec, jakby śpiew współgrał z jakąś otchłanią mroku. Jakby przychodzili, by ukazać oblicze modlącym się i odchodzili, dając miejsce następnym, wśród spękanych farb pokrywających drewno ikonostasu: złotej, purpurowej, srebrnej, czarnej, ugrowej i zielonej. A jereje wznosili śpiew, prosząc ubłagania kolejnych, pojawiających się twarzy: świętego Spasa, świętych Gleba i Borysa, świętej Zofii, świętej Ireny, świętego Michała, świętego Dymitra, świętego Piotra i Pawła, świętego Jerzego i na koniec Deisusa, czyli We Trójcy Obaczonego - Chrysta, jego Matki Świętej i świętego Iwana Chrzcziciela.

Niewielkie okienka cerkwi wychodziły na stronę podjazdu do bramy. Woje ustawili się w galeriach, na wysokim obwałowaniu, po obu stronach Złotej Córy Konstantynopola, nasłuchiwali śpiewu kapłanów modlących się nad bramą i zaraz za nimi powtarzali prośby do świętych, dodając do każdego imienia „pomiłuj”. Naraz jednak ucichli. Ihumen nie zaprzestał modlitwy, chociaż się bracia stojący obok nerwowo poruszyli, a trebniki zadrżały im w

dłoniach. Skrzypnęły drzwi i do cerkwi wszedł setnik, dowodzący tym odcinkiem obrony. Starając się nie przeszkadzać duchownym przeszedł w stronę okienek, a za nim dwóch jego przybocznych wojów. Cisza na zewnątrz coraz bardziej drażniła uszy śpiewających kapłanów. W końcu sam ihumen zakończył modlitwę. Dwa jego palce powędrowały najpierw nisko do ziemi, potem do czoła i ramion, czyniąc znak krzyża. Kapłani wychylili się z ciekawością na zewnątrz i dopiero wtedy zrozumieli powód ciszy panującej na wałach. Od strony rzeki, wzdłuż murów, jechało stępa czterech jeźdźców. Trzech z nich miało na sobie mongolskie zbroje, migoczące dziesiątkami niewielkich pasków blachy naszytej na skórzane płaszcze. Każdy ich ruch powodował zmianę ułożenia płytek, co sprawiało wrażenie, jakby na koniu siedział jakiś prastary jaszczur. Nad głowami ich powiewały, zwieszona na lancach, czarne buń- czuki o czterech ogonach. Z Tatarami jechał człowiek, który niczym się nie różnił od Rusów, mieszkających w Kijowie: takż miał strój, a spod futrzanej czapki sterczały jasne włosy w kolorze dojrzałego żyta. Widać, jako znający mowę ruską i tatarską, miał służyć za tłumacza. Mongołowie zdawali się nie zważać na żołnierzy kijowskich, stojących w milczeniu, za drewnianymi osłonami ścian i obwałowań, patrzyli hardo przed siebie, żaden mięsień nie drżał im na twarzach. Cisza była taka, że słyszeć było z daleka spokojny trucht koni, uderzenia kopyt w zbity śnieg, stukanie sprzączek i strzemion. Ktoś kaszleć zaczął, na jakiejś galerii strzelczej, ale szybko i kaszel ustał. W końcu dojechali w tym milczeniu obrońców, śledzących ich wzrokiem, pod same wrota Złotej Bramy.

Stanęli równo, jeden obok drugiego. Rusin służący im za tłumacza ustawił się bokiem, a koń zaczął tańczyć pod nim, tak że aby go opanować, musiał silnie za wodze pociągnąć. Spojrzał w górę, w stronę okien bramy i krzyknął:

- Posły Batu-chana wielkiej armii chana Ugedeja do wojewody Dymitra! Otwierajcie!

Zrobiło się zamieszanie. Posłano gońca do Dymitra. Setnik patrzył ze spokojem w dół, toż samo kapłani, przyglądali się słowiańskiej twarzy tłumacza, szerokiej, po rusku rumianej i obliczom Tatarów, ciemnym i stwardniałym, jak gleba zmrożona wichrem. Nagle, jak na komendę, posłowie mongolscy głowy unieśli i spojrzeli na stojących w oknie. Jereje natychmiast wycofali się w mrok. Tylko setnik oddał harde spojrzenie. Po chwili nadeszło polecenie wojewody, więc pochylił się w stronę niewielkiego otworu między czarnymi, mocno pachnącymi belkami i krzyknął:

- Otwierać wrota! Otwierać!

Skrzypnęły liny, zakreśliły się zębatki, uniosła się kratownica wewnętrzna, potem ruszone wieloma rękami wyskoczyły antaby z żelaznych obejm.

Dwa potężne skrzydła Złotej Bramy drgnęły i zaczęły rozchyłać się z głębokim westchnieniem lewiatana otwierającego paszczę. Obłożone blachą miedzianą wrota, na których w kolejnych kwadratowych planszach widniały płaskorzeźby przedstawiające historię wielkiego miasta, mówiły przybyszom - spójrzcie na potęgę Kijowa.

Gdy otworzyły się całkiem, do środka, głęboko w cień wjechali posłowie chana tatarskiego. Jeden z nich obrócił głowę i splunął na rzeźbione skrzydło bramy. Ślina płynęła w dół, między zagłębieniami drewna i metalu, po czym zastygła, ścięta mrozem. Ślina zamarza wolniej niż krew. Jest bardziej gęsta.

.  
?

Dymitr siedział w otoczeniu bojarów, stopy trzymał na skórze niedźwiedzia, a brodę unosił wysoko i wysunawszy w przód dolną wargę patrzył z pogardą na stojących przed nim posłów mongolskich. Odebrano im broń przed wejściem do izby i rzucono na ławę sajdaki barwnie

przeszyte, kołczany pełne strzał, łuki misterne, noże z butów wyciągnięte, szable od pasów poodpinane, ale i tak gdy weszli, to się bojarzy pół kroku cofnęli i wszystkie rozmowy ucichły. Tłumacz padł na kolana przed wojewodą, a gdy straż do posłów podeszły i próbowały ich do ziemi przygiąć, to się szarpnęli gniewnie, mroząc zimnym spojrzeniem. Ów jasnowłosy, co miał przekładać z tatarskiego na ruski, w przód się podsunął i zaczął gadać:

- Mnie zowią Fiodor. Ich do klęczek nie zmuszajcie, dla nich to najgorsza hańba. Śmierć już lepsza, niżli klękać przed obcym carem.

Dymitr przerwał szybkim ruchem ręki.

- Czego chcecie? - spytał twardo.

Twarze posłów bardziej się zdawały diable, niżli ludzkie - ciemne, płaskie, w kościach policzkowych szersze, z oczami rozciągniętymi na boki, z dziesiątkami cienkich blizn wokół szczęk. Głowy mieli wygolone według dziwaczного wzoru - całe czaszki były tyse, ale na czole, skroniach i potylicy widniały wysepki włosów, z których zwieszały się tu ówdzie długie, cienkie warkoczyki. Jeden z Tatarów zaczął mówić, a tłumacz przekładał jego słowa na ruski:

- Nad nami ciągnie się Tengri, Wielkie Niebo. Jeśli coś się na ziemi dzieje, nie może to się dziać bez woli Tengri. Jeśli tu jesteśmy, to nie może się to dziać bez woli Tengri. Jeśli macie zginąć i to nie może się dziać bez woli Tengri. Tengri przysłała tu wielką armię chana Batu, byście karki przed nim ugięli. Jeśli więc taka wasza chęć, żeby zgodzić swoją wolę z wolą Tengri, miasto poddajcie, bramy otwórzcie. Wtedy przeżyjecie. Inaczej śmierć.

Dymitr opuścił brodę i patrzył, jak zwierz na przeciwnika, okiem błyszczącym spod krzaczastej brwi.

- Coś jeszcze? - spytał.

Tatar wysłuchał krótkiego tłumaczenia i rzekł:

- Sławny chan Batu dowiedział się, że twoja żona, Dymitrze, wielkiej jest urody. Podaruj ją w darze chanowi Batu, a wtedy miasto twoje i wszyscy ludzie w nim przeżyją.

Szum poszedł po bojarach, dały się słyszeć głosy oburzenia. Dymitrowi jeno powieka zaczęła drżeć. Wargi zacisnął i wstał.

- Powiedźcie chanowi, że jam jest wojewoda chrześcijański. Wyście są z piekła zrodzeni. Z wami paktował nie będę. Chrystus nasz Zbawiciel jest z nami.

Posel zaśmiał się chrapliwie. Zmierzył wojewodę twardym spojrzeniem i zaczął gadać, a ci, co nawet języka Tatarów nie znali, to zanim tłumacza usłyszeli, już wiedzieli, że mowa ta jest pełna pogardy.

- Szybciej wasze mury padną niżli myślicie, psy. Wasz słaby Bóg nie jest od miecza, znamy go już. Żadnego z waszych miast nie uchronił. Wejdziemy tu i kobiety wasze na naszą chuć weźmiemy, dzieciom waszym odgryziemy głowy, a wam każemy na to patrzeć, jak bydłu na kolanach. Tak będzie Dymitrze, chyba, że przed wolą Tengri się ugniesz, do obozu chana Batu pojedziesz sam, żeby hołd mu oddać i przyrzec, że wiernie służyć będziesz. Masz ze sobą żonę wziąć i chanowi w podarku zawieźć. Wtedy on, jak już ciebie na kolanach zobaczy i brodą twoją stopy sobie obetrze, a żonę twoją posiędzie, wtedy może pomyśli, czy żywota wam nie darować. To jest słowo nasze.

Dymitr podszedł blisko posłów, jakby im w oczy chciał zajrzeć. Uśmiechnął się zimno i rzucił rozkaz do straży:

- Na pole ich, na śnieg i na kolana rzucić.

Woje złapali Tatarów i wywlekli na dziedziniec przed pałacem kniazia. Tam ich zmusili, żeby w śniegu uklękli. Dymitr wyjął z pochwy miecz i jednym ciosem obciął trzy głowy poselskie. Poleciały w górę tryskając krwią, a gdy spadały w śnieżny puch, warkoczyki kręciły się wokół nich, jak wokół jakiejś zabawki.

Wojewoda podniósł ociekający czerwienią łeb, przyjrzał mu się i rzekł:

- Odesłać im posłów. Strzelcie nimi z maszyny, szybciej nad rzeką przelecają.

Potem rzucił głowę na ziemię i odszedł umyć ręce. \*\*\*

Głowy posłów tatarskich związane warkoczykami i wystrzelono z katapulty stojącej na wałach. Leciały w mroźnym powietrzu, wysoko ponad sino-białą wstęgą Dniepru, a każda kręciła się w inną stronę, błyskając oczami zastygłymi w przedśmiertnym wytrzeszczu. Upadły pod stopami setnika z tumenu Ordu. Mongoł schylił się i uniósł je na wysokość twarzy. Splunął w śnieg. Podbiegł do niego dowódca minganu i kazał oddać, co przyleciało od kijowian, ale on jakby nie słyszał rozkazu. Trzy łby splecione warkoczami, oblepione skrzepami krwi i śniegiem, bujały się w jego dłoni i obracały zgodnie z kierunkiem wiatru.

- Puszczaj, słyszałeś? - dowódca szarpał wojownika za rękaw - Chan chce je zobaczyć.

Tatar stał jak skamieniały, całkiem jakby te trzy poselskie głowy, ucięte głównią ruskiego miecza, miały w sobie jakąś moc zrodzoną w zaświatach. Splunął ponownie i rzekł metalicznym, nieobecny głosem:

- Wróciły. Z chaty Skumny wróciły. Karlito gadał prawdę. Przekłete głowy. Przekłeta wiedźma. Przekłety mój los. A gdzie czwarta? Karlito gadał, że miały patrzeć na cztery strony świata, a czwarta gdzieś zginęła, gdzie ona?

Dowódca wściekły nie słuchał dłużej bredni swojego zwiadowcy. Rozwarł mu na siłę palce, zaciśnięte na skrwawionych warkoczach.

Czwarta głowa w tym czasie zwijała się z bólu - tłumacza Fiodora ukarano obcięciem obu dłoni. Języka na razie nie wyrwano, bo mógł się kijowianom jeszcze przydać, ale jego właściciela wojewoda Dymitr kazał wtrącić do wieży, by tam przemyślał, czy warto z diabłem się bratać.

\*\*\*

Gdy poselskie łby rzucono pod nogi chana Batu, ten dotknął je tylko czubkiem buta i kazał zakopać z honorami gdzieś na tyłach. Potem stanął obok Subedeja, Ordu i Mong-ku. Wszyscy patrzyli w stronę miasta.

- Znowu będzie tłok w podziemiach umarłych - rzekł Mongku, a w jego głosie zabrzmiał nawet jakiś rodzaj smutku. Gdy był tu pierwszy raz, kilka miesięcy temu, na wypadzie rozpoznawczym, już wtedy upatrzył sobie Kijów na przyszłą stolicę mającej mu przyspaść ordy podbitego kraju.

- Obciąć łeb tego miasta - warknął Batu i wsiadł na konia. Subedej wydał rozkazy i armia mongolska ruszyła. Na zmrożony Dniepr wyjechały pierwsze oddziały jeźdźców. Konie dobrze sobie radziły na śliskiej powierzchni - miały wołokowe ochraniacze na kopytach, a za sobą całe dnie jazdy po oblodzonych rzekach, które w okresie zimowym dla tatarskiego wojska stawały się lepsze niż drogi na lądzie. Kilka minganów, ustawionych na skarpie, zaczęło ostrzalać za pomocą płonących pocisków i już po chwili pożar ogarnął chaty podgrodzia. Wzniosły się w niebo czarne dymy, przesłaniając obrońcom widok i utrudniając ocenę sytuacji.

Większość mongolskiej armii przekraczała rzekę w miejscu, gdzie Dniepr odbiegał od miasta na wschód i południe. Stamtąd się oddziały tatarskie rozlewały po całym terenie, zamykając pierścień okrażenia, tak by nikt żywy z grodu nie uszedł.

Dymitr stał w jednej z wież cerkwi Dziesięcinnej i obserwował ruchy przeciwnika, wydając ciągle nowe dyspozycje.

Doniesiono, że dymy się pojawiły na Obłoni i Padole.

Wojewoda targał brodę i patrzył na pojawiające się zewsząd wrogie oddziały. W dole pod sobą widział na ulicach Kijowa mieszkańców szykujących się do obrony. Był w najwyższym punkcie miasta, ponad marmurową świątynią, stanowiącą chlubę grodu, a wiatr rozwiewał mu kosmyki włosów, które odgarniał ze złością, jak szalenciec.

- Ja nie wojewoda, ja książę - szepnął nagle do siebie. Potem spojrzął w niebo i oznajmił Temu u góry:

- Jak martwy będę, to wojewoda. Jak sławę mnie przyniesiesz to i książę może.



Bicie dzwonów drażniło go tak mocno, że Ilję kazał przywołać. Wydał rozkaz, by nikt w mieście nie dzwonił bez jego przyzwolenia. Musiał mieć ciszę w głowie, by rzeczy oceniać właściwie. Od pół roku wiedział, że Tatarzy tu przyjdą. Teraz jednak miał wrażenie, że wszystko się zmienia z taką szybkością, iż ciężko myśli zebrać. Rady czyjej słuchać? Nic to nie da, wiedział. Sam musi znaleźć sposoby, sam przeciwnika rozeznaczyć, a gdzie on będzie chciał uderzyć, tam samemu pięść pokazać.

Patrzył jak na ośnieżonych łąkach naddnieprzańskich, gdzie latem pasły się krowy, a dzieci biegały łowiąc ważki i motyle, teraz się rozsiada potęga, jakiej w życiu nie widział. Ciemne stada stepowych jeźdźców pojawiały się jedno za drugim, jakby im końca nie było, potem się w sekretnie ułożonym porządku ustawiały coraz dalej i dalej. Tatarzy zamykali Kijów opasując go tak dokładnie, jakby pętlę zaciskali na szyi miasta. Dymitr złapał za kołnier i szybkim ruchem go poluzował.

- Są od strony Głuboczycy. Szlak lwowski zamknęli - doniósł mu zdyszany goniec i poleciał z powrotem w dół po schodach.

- Na górze Szczekowickiej widziano grupy konnych, ale nieduże - dorzucił następny. Potem pojawił się jeszcze jeden. I jeszcze. Wojewoda wsparł się ręką o ścianę, czując że przytomność traci. Wieści od posłańców mieszały mu się w głowie, jak gotująca woda, która w końcu wrzeć zacznie doprowadzając do szaleństwa.

Nad Poczajną port płonie, łodzie w ogniu. Górze wszystko na podgrodziu. Padół się pali, nie wiadomo skąd strzały ogniste lecą. Dymy, wojewodo, dymy czarne, nic nie widać od południa. Patrol tatarski wdarł się pod sam Kopyrewski Koniec, potem się psy bezbożne wycofały. Od Oblonia zachodzą. Boh pomiłuj nad nami! Boh pomiłuj!

- Dość! - wrzasnął wreszcie i zakazał wpuszczania gońców. Musiał w spokoju zebrać myśli.  
\*\*\*

Grupa Jaćwiągów została przydzielona do obrony Bramy Lwowskiej. Rozłożyli się zaraz pod wałem, paląc ogniska dla ogrzania się. Tylko kilku z nich stało na górze, pod daszkami, wypatrując niebezpieczeństwa. Na razie jednak nie z zachodniej strony ono nadciągało, stąd raczej spojrzenia kierowały się na miasto, próbując gdzieś coś między kopułami cerkwi i słupami dymu dojrzeć. Ludźmi z Sudovii dowodził zwywy dziesiętnik, prosty wojak kijowski, mający do pomocy niewielką drużynę straży miejskiej.

Gdy zobaczył, że w ich stronę zmierza grupa zbrojnych, zbiegł na dół, żeby się dowiedzieć, co za rzecz. Przybyły oddział składał się z doborowych wojów wojewody. Znać to było po opończach barwionych na czerwono-żółto i obramowaniu hełmów szlachetnym metalem. Dziesiętnik zmierzył ich lęklwym wzrokiem. Rycerz stojący na czele podniósł nosal, tak że twarz całą widać było spod szyszaka i kaptura kolczego.

- Jestem Dragiełło, herbu Kraplan, tu wysłany przez wojewodę Dymitra - rzekł szybko, mocnym głosem - kto dowodzi Jaćwiągami?

- Jakby rzec, mnie dano... - zaczął niepewnie tłumaczyć dziesiętnik, ale nie skończył. Jaćwiągowie nie w ciemność bici, od razu zobaczyli co się święci i zaczęli za broń chwytać. Nie czekając na rozwój wypadków rzucili się na kijowian. Ale doborowi woje Dymitra byli gotowi do walki i zaraz uzyskali przewagę w pojedynkach.

- Żywcem! Żywcem psubratów! - krzyczał Dragiełło. Schwytano kilku na arkan, pozostali zginęli. Jednego rycerz wziął pod but, nogą do śniegu docisnął, a potem czubek miecza mu na gardle położył.

- Gadaj, psie, gdzie Wulfstan?

Jaćwiąg albo udawał, że nie rozumie, ale po prawdzie nie wiedział, co rzec.

- Wulfstan? - wycharczał - któż to? Nie znam takiego.

- Gadaj, albo zaraz ci z gardła całą juchę na śnieg wyleję. Gdzie on?

Dragiełło pulsował złością, a jego wąsiki i bródka, od pary idącej z ust zaczęły szronem oblażyć.

- Kto? Jaki Wulfstan? - kaszłąc pod ostrzem miecza wił się Jaćwięg.  
- Stary przewodnik. On tu z wami był.  
- Gadasz o Gierzwałdzie?  
- Mnie nie ważne, jak się zwie ten pies. Pewnie imion ma tyle, co ja włosów na brodzie.  
Stary, siwy i głuchy. Gadaj gdzie on.  
- Gierzwałd z nami był. Prawda. Ale wczoraj ujechał gdzieś, za sprawami i od onego czasu aniśmy go widzieli. Sakwa jego zniknęła, kij podróżny, zioła, wszystko zabrał.  
Dragiełło odjął ostrze żelazne z gardzieli Jaćwięga, podniósł poganina za kark i przekazał go wojom Dymitra. Otarł miecz o suknię i wsadził do pochwy. Szron z wąsów stracił, brodę schował za kołnierz i nakazał zająć się pokonanymi. ]

Tak więc Jaćwięgów dorżnięto i wszystkie trupy wyniesiono wysoko na wały, po czym na drugą stronę do fosy wrzucono. Tego, co z rycerzem gadał oddano w ręce kata. Ale nawet go ponoć mękami nie zdążył obłożyć; gdy nieborak ujrzał rozpalone cęgi, zaraz wyśpiewał, że pod wodzą Gierzwałda mieli po nocy bramę otworzyć i Tatarów wpuścić. Dymitr rozsierdzony tymi wieściami kazał utłuc i tego zdrajcę, co zrobiono niezwłocznie, topiąc go w beczce z wodą.

Dragiełło zaś ruszył dalej za Wulfstanem przeszukując obłożone miasto i tropiąc, jak pies, który odyńca zachodząc nie odpuszcza nigdy, do samego końca, choćby nawet już plamek krwi nigdzie nie było. Póki zapach zwierzyny gdzieś się unosi, póty ogar kierowany instynktem łownym dalej pędzi.

\*##\*

- Wasylko, czegoż ty uparty, wszystkie przez ciebie zginiemy - kobieta szlochając padła na kolana i drżąc na całym ciele ścisnęła rękę swego męża. On, w latach już podeszły, z twarzą poraną bruzdami wyrzezanymi w licu, jak ślady po wietrze idącym od stepu, zdawał się tego nie słyszeć. Między kolanami miał napędzane nogą kamienne kółko. Naciskał stopą, by drewniana podstawa się kręciła, a potem dociskał do niej grot włóczni, a pomiędzy nóg tryskały mu snopy iskier. Długie włosy opadały mężczyźnie na ramiona, a skórzany kaftan skrywał mięśnie nawykłe do ciężkiej pracy. ?wiadczące o niebywałej sile. Kobieta szarpnęła go za rękę i zaczęła całować, zlewając łzami i prosząc, by zgodził się choć na ucieczkę rodziny.

- Daj mnie, z najmniejszymi do grodu uciec. Ty, jak chcesz, zostań. Nam nie kaź - płakała.  
Nie słuchał. Kazał najstarszemu z synów osadzić grot w drzewcu, zalać laką wiązanie i podać kolejny do obróbki i naostrzenia.

Starsi synowie, wedle zalecenia ojca, ubrali się w najlepsze ubrania, topory zostawili oparte o ławy, a teraz pomagali mu w robocie. Żona dalej szlochała. W końcu mężczyzna pchnął ją na ziemię.

- Tu żywot my wiedli, tu go skończym - warknął.  
- Tobie bogi rozum odebrały. Odebrały. To giń. Sam giń - wyszlochała i zawodząc porwała dwie córeczki, jedną jeszcze w zawiniątku, drugą kilkuletnią. Opatuliła je sukniami, na młodszą narzuciła kożuszek.

- Uciekam do grodu - rzuciła ze złością i ocierając łzy, wypadła z chaty, po czym brnąc w śniegu i zasłaniając siebie i córki od wiatru biegła w stronę miasta. Mijała kolejne opustoszałe chałupy rybackie. Nikt przy zdrowych zmysłach na wyspie nie pozostał, poza jej mężem. Może być, że lata, gdy z księciem kijowskim na wojny chodził, tak go odmieniły, że jakąś część rozumu utracił. Tatarskie wojsko znał, nad rzeką Kałką za młodu z nimi wojował i gadał, że ucieczki przed nimi nie ma żadnej. Lepiej zginąć broniąc swego, by honor zachować, niżli jak szczur się chować w grodzie, który zostanie spalony do ziemi, a krew ludzka go zaleje tak, że przez lata całe z tego popiołu i z tej krwi będą się rodzić jeno złe duchy. A kto na tej ziemi mieszkać będzie ten już zawsze juchy i popiołu poszuka. Tyś bez

roзумu, ciebie duch szaleństwa opętał, ciebie wily jakieś do reszty pod władztwo wzięły, gadała mu jego żona, lecz zdawał się nie słuchać.

Kowal Wasylko chatę swoją pobudował na wyspie, którą ludzie zwali Ciertoryja - jak głosiła kijowska legenda, leży się na niej czarty, zakładając dybukowe gniazda i wysiadując diabełki. Stało na niej kilka chat rybackich. Wszędzie na wyspie, na kijach i palach suszyły się sieci, na brzegach i przy pomostach stały czółna i łodzie, a wokół domostw pełno było wędzarni, niewielkich chatek, co by się zdać mogły jakimi domkami leśnych ludków, a temu one służyły, by rybę na prętach i linkach pozawieszać, pod spód pokłaść jałowca i liści ziół, a potem owędząć palac mały ogień i podrzucając żaru. Może to i z tego się wzięła czarcia legenda wyspy na Dnieprze, bo gdy się dziecko jakie patrzyło na taką maleńką chatkę, z której dym wychodził wszelkimi szparami, to musiała mu matka gadać, że to właśnie jest domek biesa. Kto wie zresztą, skąd się biorą takie bajdy? Tyleć rzec trzeba, że tej zimy Czarcia Wyspa była całkiem opustoszała i jeden tylko na niej został człowiek ze swoją rodziną. Wasylko.

\*\*\*

Przez odnogę Dniepru na wyspę wjeżdżał tatarski patrol w sile jednego dżaunu. Setka jeźdźców powoli, noga za nogą, posuwała się po drewnianej kładce. Na wyspie było całkiem cicho. Kopyta strącały śnieg, bębniąc głucho na drewnianym mostku. Twarzy Tatarów nie było widać, zostały okryte od mrozu skórzanymi kołnierzami, zapiętymi na bokach szyszaków. Nad głowami unosiły się futrzane wykończenia hełmów. Dowódca patrolu podniósł rękę. Cały dżauun zatrzymał się jakby był jednym organizmem. Nojan odpiął zatrzask kołnierza i odrzucił końce, tak że położyły się na barkach. Jego zastępca stuknął konia końcami pięt i lekko ściągając wodze podjechał do przełożonego, nadstawiając ucha.

- Jorci-ja!14 - nojan rzucił rozkaz i wciągnął w nozdrza mroźne powietrze. Wysunął nogę ze strzemienia i zeskoczył z konia. Jego zastępca w ciszy przekazywał komendy, pokazując na palcach, co należy zrobić. Setka jeźdźców w mgnieniu oka znalazła się na ziemi. Kilku zostało z końmi, reszta,

, orzyca)one duchy zaczęła ze wszystkich stron wkładać siłę do wnętrza rybackiej wioski.

Między domami wisały sieci, których nikt na zimę nie chował. Całe były obrośnięte szronem, jak jakim mchem, utrudniając przemieszczanie się. W labiryncie białych łódek, stosów drągów, wioseł opartych o ściany stały małe, dziwne domki- Tatarscy wojownicy wyjęli z pochew szable i szli na ugiętych nogach. Powoli wsadzali ostrza w szparę między drzwi i otwierali je po kolei. W małych, czarcich chatkach było czarno i pusto, jeno kije wisały w poprzek, gotowe do wędzenia rybich trupów. W mroźnym powietrzu unosił się silny zapach jałowcowego dymu, osmolonego drewna, tłuszczu i wędzonego mięsa. W pewnej chwili rozległ się krzyk ptaka. Z otwartych drzwi wypadł na Tatara siedzący we wnętrzu kruk. Wojownik wyrzucił się na plecy, przerażony ptasim wrzaskiem, a kilku jego towarzyszy wybuchło śmiechem.

Nojan dowodzący patroliem spostrzegł, że jeden ze zwiadowców przywołuje go szybkim ruchem ręki.

W śniegu były ludzkie ślady. Prowadziły do chaty stojącej na krańcu sioła.

Drzwi uderzone kopniakiem otworzyły się i gdy stanął w nich Tatar z obnażonym mieczem w dłoni, w jego stronę poleciała włócznia, przebijając bez trudu skórzany płaszcz wojownika. Kolejny biegnąc w stronę wejścia dostał cios w samą szyję. Po dwóch rzutach z zasadzki Wasylko się zabarykadował, podpierając drzwi belkami.

Mongolski zwiad nie miał zamiaru jednak podejmować niepotrzebnego trudu. Obu rannych odciągnięto na bok, szybko ich duchy odjechały galopować po wielkim stepie. Nojan rozkazał spalić chałupę ze wszystkim w środku. Trzciniowa strzecha zaczęła płonąć szybko, jak pochodnia. Ze środka dał się słyszeć zwierzęcy ryk palonych ludzi. Nagle się otwarła okiennica, buchnęły języki ognia i kłęby dymu. Przez okno wyskoczył młody człowiek, za

nim drugi, a po chwili trzeci, najmłodszy. Synowie uciekali z chaty, nie chcąc zgorzeć razem z szalonym ojcem. Wasylko krzyczał w środku a synki jego biegły, nie patrząc za siebie, w stronę kępy drzew nad rzeką. Jeden padł dosięgnięty strzałą, a drugi wleci prosto w ręce tatarskie. Toż samo mały chłopiec. Przywlekli obu przed nojana, rzucili ich w śnieg.

Starszy spojrzął hardo i zaraz upadł, a tatarski wojownik wyjął z niego miecz i wytarł krew o jego spodnie. Inny Mongoł zamierzył się na mniejszego chłopca, lecz wstrzymała go nagle ręka dowódcy. Nojan podszedł na dwa kroki i spojrzął w buzię szkraba. Malec miał może osiem, może dziesięć lat, umorusaną buzię i na głowie szopę rozczochranych, jasnych włosów. Patrzył oszołomiony na to co się dzieje. Obok broczył krwią jego martwy brat.

Dowódca patrolu splunął na ziemię. Nic nie rzekł. Mięśnie na gębie mu zagrały, jakby się mocował, z jakim wewnątrz nym demonem. Znowu splunął, zacisnął pięść. Nagle rze' do chłopca mową Lachów:

- Uciekaj, mały.

Chłopiec zamrugał nie do końca rozumiejąc. Język był do ruskiego podobny, ale nie ten sam.

- Bieżaj, gadam ci - warknął do niego Tatar, a potem w języku mongolskim wydał komendę. Złapali Tatarzy małego pod pachy, zawlekli w stronę Dniepru i pchnęli, pokrzykując. Chłopiec zaczął biec, nie oglądając się za siebie.

Nojan złowił pytające spojrzenie swojego zastępcy. Zdjął rękawicę, otarł twarz z potu, splunął ponownie w śnieg i spokojnie wyjaśnił podwładnemu:

- Niech się dowiedzą, co ich czeka od tatarskiego miecza.

Podwładny kiwnął potakująco głową i pobiegł wydawać kolejne polecenia. Wyspę trzeba było przysposobić, bo za niedługo tutaj miały się pojawić dziesiątki machin oblężniczych. To miejsce Subedej wybrał za najlepsze do rowadzenia ostrzału. Dowódca przywołał do siebie gońca i kazał mu pędzić do sztabu z informacją, że Czarcia Wyspa jest zajęta. Już niedługo, miało się wypełnić przeznaczenie tego kawałka lądu na środku Dniepru, zgodnie z jego przeklętą nazwą.

\*\*\*

Nocą rozpoczął się ostrzał. Poroki\* stanęły na niewielkim wzniesieniu pośrodku Czarciej Wyspy. Inżynierowie chińscy kierowali ruchem i składaniem machin z elementów wieszonych na grzbietach wielbłądów. Setki jeńców schwytanych w czasie podbojów pracowało przy wznoszeniu konstrukcji, wkładaniu belek w odpowiednie otwory, zakręcaniu sznurów i lin, noszeniu gładów, szykowaniu pocisków i oddawaniu kolejnych strzałów. Olbrzymie trebuszety obciążone z przodu wielkim ładunkiem przeciwwagi wyrzuciły w niebo tysiące płonących pocisków. Beczki wypełnione palnym roztworem rozbijały się o cel, a płynny ogień rozlewał się wokół pochłaniając wszystko i wzniecając pożary nie do opanowania.

Na tle szalejącego morza ognistych języków widać było jeno maleńkie figurki ludzi biegnące bezwładnie tam i z powrotem. Płonął Padół i Obłoń na północy, paliło się podgrodzie na południu. Pożary dolnej części miasta podświetliły górne obwałowania, jakby całość miała się rozegrać przy świetle, by nikomu nie umknął żaden szczegół z tego, co się będzie działo. Najświetniejsze miasto słowiańskiego świata, przewyższające ogromem Kraków dwudziestokrotnie, a Londyn piętnastokrotnie, zaczęło płonąć, jakby kto podłożył żagiew smolną pod stos żałobny: stos taki zajmował się powoli, lubo jak kto patrzył na pierwsze płomyki liżące dolne belki, to już wiedział, że całość będzie gorzeć tak, że na dwa kroki się nie podejdzie. Tak też i serce Kijowa dalej było nienaruszone - jeno kilka budynków zajęło się od strzał w grodzie Jarosława, zaś w grodach Włodzimierza, Izaśława i Świętopelka widać tylko było daleko

Poroki - olbrzymie katapuły.

w dole koszmar wpełzającej z piekieł ognistej poczwary. Ciągli trwały modły we wszelkich możliwych cerkwiach, soborach, ławrach, monastyrach, chramach i synagogach. Biły dzwony, unosiły się śpiewy błagające u Boga przebaczenia za grzechy i odpędzenia najeźdźców. Na ulicach, wśród blasku płomieni biegli ludzie - gasić coś, donieść, pomóc, ratować sąsiada, wspomóc gdzie wojów na murach, szukać rodziców, wynosić dobytek w bezpieczne miejsce, gęsi uciekające pochwycić, zakopać srebrne monety i co jest z biżuterii, pochować co łatwopalne, dowiedzieć się, kędy uciekać do następnych wałów, jak się do środka wedrą. Panował rozgardiasz nie do opisania, hałas taki, jakby to nie środek nocy, ale dzień nastał. Zresztą jasno było całkiem od ognia. Śnieg topniał od gorąca, wszędy się unosiły dymy i opary, a krzyk szedł taki, że się na chwilę nawet ciszy nie można było doczekać.

Matki wołały za dziećmi,

dzieci za ojcami, bracia i siostry nad trupem jakimś; to ktoś

|

imi mi.

biegł, to szlochał, to modły wznosił. Między ludźmi uwijali się woje książęcy, wysłannicy Dymitra i jego drużownicy. Gród był podzielony na części, tysięcznicy dowodzili kwartała: i starali się sytuację opanować i na wałach, i między doma! Mijało kilka pacierzy bez ostrzału i znowu świst szedł potwor-ny z nieba i znowu leciały pociski, jak spadające komety, które wloką za sobą płomienny ogon i wieszczą zgubę samym swym widokiem.

W drzwiach klasztornych stanął Dragiełło, z twarzą przy- czernioną od dymu, tam, gdzie nie miał osłony od hełmu. Także i jego opończa, z herbem Kraplan w paru miejscach była nadpalona. Za nim było całkiem jasno, w górę strzelały wyso-| kie płomienie. Z niewielkiej galerii wybiegł klasztorny żebrak, trzymany tutaj do posługi, a także i w tym celu, by nie nachodziło żebractwo obce - własny żebrak miał tę zaletę, że siedząc w wejściu do kościoła na ludzi patrzył, a jakby co złego widział, to przeorowi mógł donieść. Biegł teraz, z jakimś zawiniątkiem

od pachą, a za nim gnały trzy psy, szczekając i skacząc jeden p e z drugiego. Chciał prześlizgnąć się koło rycerza, gdy ten zatrzymał go żelaznym chwytem za kołnierz.

- A ty gdzie? - syknął Dragiełło.

\_ jak wszystkie. Uciekam.

\_ Dokąd to?

- Do Jarosławowego grodu. Tu już ogień dochodzi.

- Gdzie ojcowie?

- Na kościele.

Już go chciał puścić dalej szlachetny obrońca uciśnionych, gdy jego uwagę przykuł zawiniątek trzymany przez żebraka.

- A tam co niesiesz?

- A nic tam. Puście panie - próbował się wyszarpać biedaczyna z rycerskiej dłoni. Rogi zawiniątka odskoczyły i wewnątrz ukazały się jakieś srebra, lichtarze, kosztowne naczynia.

- A to taki z ciebie złodziej? - Dragiełło chciał go zdzielić w łeb, ale się łajdak wykręcił, ugryzł rycerza w rękę, po czym uciekł szybko i zniknął gdzieś za płonącym obok budynkiem. Robiło się coraz goręcej i potomek Jerzego musiał odpuścić pościg. Pobiegł przez niewielką kaplicę do korytarzyka prowadzącego do kościoła. I znów wpadł ktoś na niego. Tym razem w niewielkiej, cuchnącej postaci, okrytej po białka oczu starą, cerowaną dziesiątki razy opończą, rozpoznał swojego wiernego sługę, Karlita.

- Karlito? Co tam wynosisz? - warknął Dragiełło widząc w jego rękach podobny zawiniątek do oglądanego przed chwilą.

- Nic, panie mój, nic - wyszczeniwał słowa garbus - ratuję kościelne dobra przed diabelskim nasieniem.

- Ratujesz dobra? - Dragiełło już chciał Karła pouczyć za pomocą rycerskiej pięści, gdy z tyłu nadeszli Godyn z Florianem. Obaj nieśli jakieś pakunki.

- Niesie, szlachetny rycerzu, niesie nasze księgi - wyjaśnił dominikanin widząc, że dłoń Dragiełły wisi nad uchem sługi.

- Deo gratias! - westchnął bardzo głośno Karzeł - anio! stróż mnie uchronił przed prawicą mego własnego pana. Nic nie robisz - źle. Ratujesz księgi uczone i święte - też źle. Znaczący - nie da się iść na tym świecie ścieżką dobra.

- Ścieżką ty jeszcze pójdziesz i to nie jedną, Karle - uci szły garbusa rycerz - lepiej mi wskaż gdzie Hanna jest i brać cię Job.

- Tego nie wiem, bo się wszystkie rozbiegły. Jak się ogień zaczął z nieba sypać, tak ich wszystkich diabli wzięli. Dziwowałem się, bo ten ogień musi Boży być, a nie diabelski. Pomyśl, mój panie, czy by ogień diabelski leciał z nieba? No nie, to całkiem nie jego kierunek. Ot, gdyby tak spod ziemi buć! - co innego, wtedy po prawdzie, od razu znać że płomień nie czystego chowu. Ale co ja będę gadał, Karle i tak nikt nie słucha. Panie mój? Gdzie jesteś? Dokąd poszedłeś? Panie mój?

Karzeł był już sam w korytarzu, więc wzruszył ramiona i pognał za Godynem i Florianem rzucać rzeczy klasztoru na niewielki wóz.

Dragiełło w tym czasie już szukał Hanny na dziedzińcu, przebiegł kruzgankiem i wpadł do refektarza. Tam było pusto, jeno ławy wywrócone świadczyły, z jakim pośpiechem wszystek dobytek pakowano. Brata Marcina nigdzie widać nie było, aleć pewnikiem przeora kierował wszelkim działaniem, więc nawet nie było sensu biec do jego celi. Także rycerz poleciał do samego kościoła. Pchnął drzwi ciężkie, dębowe i zaraz za przedsionkiem znalazł klęczącą Hannę, a obok niej braci Job, posłusznie na kolanach tkwiących, lecz zerkających na siebie co i raz bezradnie, co było widomy znakiem, że im te pozycje nie w smak.

- Wstawaj panno, trzeba nam się zbierać! - krzyknął Dragiełło i złapał niewiastę pod rękę - cały Padół już ogniem zajęty, zaraz i tu dotrze, na Obłóń.

Ona jednak zdała się nie słyszeć, zapatrzona daleko przed siebie, w stronę ołtarza.

- Co z nią? Nie swoja jest? Naszły ją te zwidy? - spytał rycerz braci Job.

- Och pan, taka mgła - jęknął Hiob.

- Mgła na łeb - zaraz za nim, jak echo dorzucił Niob.

- Myśli szczerp.

- Duma w głowie.

- Duma w duszy.

- Nic nie ruszy.

- Nie odpowie.

Dragiełło złapał Hannę za brodę, obrócił twarz ku sobie i widząc szkliste oczy, myśl gdzieś daleko w głowie pulsującą i duch, który lata nie wiadomo gdzie, szybko kazał obu braciom:

- Bierzcie ją pod rękę. Hiob z lewa, a Niob z prawa. I nieście do wozu, który dominikanie szykują do ucieczki. Na ten wóz ją rzućcie. Nie odstępujcie na krok, a jak by kto chciał krzywdę zrobić - ubijcie go.

- Ubijem - z radością huknął Niob.

- Zabijem - z równą ochotą krzyknął Hiob.

Unieśli ją zgodnie z rozkazem swego pana. Tymczasem Dragiełło zeskoczył o kilka stopni w dół kościoła, próbując odgarnąć ręką co siwego dymu, jaki się wdzierał już do środka. Popatrzył po wnętrzu, bo mu się wcześniej zdawało, że widzi tam jakąś postać, ale chyba nie było już nikogo. Pobiegł bokiem, do wyjścia na północnej ścianie. Tam pchnął drzwiczki i przebiegł do małej chatki, gdzie miał własne rzeczy zostawione, dzięki zezwoleniu przeora Marcina. Pozbierał szybko, co się dało, zarzucił na ramię swoją potężną kuszę, Adelajdę, na drugie kołczan ze strzałami, z których każda była takiej długości, iżby można z niej wędzisko

zrobić 1 ryby łowić. Potem zerknął jeszcze na leżącą na stole kupkę dziwnych, niewielkich metalowych przedmiotów, kawałków zawiasów okiennych, gwoździ żelaznych, kółek od uprząży 1 sprzączek od pasów. Rzucił się zawijać to wszystko w kawał szmaty, żeby w tobołku zabrać ze sobą. Wreszcie, objuczony ponad miarę, sapiąc pobiegł w stronę klasztornej bramy

i w sam raz zdążył, bo już się ogień na ścianach drewnianych położył, zaczął iść w górę po belkach, sycząc i plując\* żywicznymi racami. Na dziedzińcu stał wóz z dobytkiem klasztornym. Co się dało, to bracia wynieśli, żeby uratować - naczynia liturgiczne, krucyfiksy, dzbany, misy i kubki, księgi i zapiski w dużej skrzyni malowanej na czarno i białą oraz miedziane wota, co wisiały przy posągu maryjnym. Na górze, na kawałku zwiniętych tkanin, siedziała Hanna, patrząc w stronę gorejącego kościoła. Obok zaś stali dominikanie, gadając między sobą i żywo gestykulując. Dragiełło dopadł do nich i szybko wrzucił rzeczy na wóz.

- Ruszamy, ojcowie? - krzyknął i chciał machnąć do woźnicy, ale go Godyn powstrzymał.

- Jeszcze nam jednego brakuje.

- Kogóż? - spytał rycerz ogarniając wzrokiem całą grupę. Bracia Job zaśmiali się do niego głupkowato, więc im pogroził palcem.

- Brat Jacek jeszcze gdzieś się zapodział - wyjaśnił ojciec Marcin.

- Nigdzie go nie ma. Szukalim w refektarzu, w celi, na krużgankach, w kościele. Jakby go lichy porwał - dodał Florian, ale zaraz oberwał szturchańca od Godyna, za źle dobrane słowa.

Dragiełło spojrział na kościół, który coraz się mocniej zajmował ogniem, po czym rzuciwszy co tylko niepotrzebne na wóz, pobiegł w stronę świątyni i zniknął w jej wnętrzu.

Dominikanie jak na jedną komendę złożyli ręce do modlitwy i wzniesli oczy ku niebu.

\*\*\*

Wewnątrz kościoła brakło już powietrza. Brat Jacek kasłał co chwila, wymawiając słowa modlitwy. Dymu było coraz j więcej. Czerwony blask szedł od okienek i oświetlał wnętrze purpurowymi wstęgami, które przecinały siwiznę dymu, jak promienie wybuchającego Słońca. Snop szkarłatnego światła

świecił postaci dzielnego zakonnika z rodu Odrowążów, właśnie w chwili, gdy ujmował w ręce kielich ze Świętym Sakramentem. Jęknął cicho i na chwilę puścił złote, misternie rzeźbione naczynie - było już mocno rozgrzane. Na zewnątrz płonęły ściany absydy i prezbiterium. Ogień wpadał do środka wąskimi szparami, jęczał i huczał, jakby był żywym złym duchem, który oplata dom Boży ze wszech stron i próbuje dostać się do wnętrza by pożreć to, co wadzi mu na świecie istnieniem dobrych i jasnych elementów. Nagle runęła płonąca belka i uderzyła końcem w ścianę kościoła, wzbijając w górę tysiące iskier. Zrobiło się gorąco, jak w piecu, coraz trudniej było oddychać. Brat Hiacynt złapał za róg czarnego płaszcza i przez niego ujął kielich z Sakramentem. Zaczął biec w stronę wyjścia. Dym gryzł w oczy i zakonnik patrzył już tylko przez zmrużone, łzawiące powieki. Przed nim, pośród gorejących obłoków, pojawiła się nagle postać rycerza, jakby mu Bóg zsyłał Archanioła ku pomocy.

- Dajcie mi rękę - krzyknął rycerz i wyciągnął prawicę.

Jacek chwycił rękę anioła i dał się prowadzić. Wyjście było o kilka kroków, gdy nagle wyrwał dłoń i odwrócił się.

- Bracie Jacku, za mną! - krzyknął do niego rycerz- archanioł. Lecz Jacek na powrót zanurzył się w kłębowisko dymu i ognia.

- Ojcze, wracajcie, tam śmierć! Tam ogień! - anioł próbował go zawrócić.

- Ona woła pomocy! - odkrzyknął mu zakonnik i nie zważając na spadające z góry pojedyncze deski, na żar palący twarz, szedł dalej, w stronę ołtarza.

- Kto woła? Ktoś tam jest? Ojcze? - rycerz zasłonił opończą usta, by nie zakrzuszyć się dymem i zaczął wchodzić w górę gorejącego piekła za dominikaninem.

- Gdzieście? Ojciec? Kto tam jest? Kto woła? - powtarzał, nie mogąc zobaczyć nigdzie brata Jacka. W końcu dotarł do niego, złapał za rękę.

- Gdzie ktoś jest? Kto woła?

Dym gryzł w gardło, więc krzyczeć można było tylko szybko i krótkie wyrazy.

- Ona woła pomocy - wycharczał zakonnik. Powietrze było coraz mniej. Zaraz obaj mogli utracić przytomność. potłapał się po całym ciele rycerza strugami. Ognie gorące na ścianach rozgrzały wewnątrz tak, że kolczuga objęła wojownika płaszczem żaru. Setki metalowych kółeczek parzyły mu ciało, jak najbardziej wyrafinowana tortura.

- Kto woła, ojciec? Na Boga, uciekajmy, bo tu razem zgorzeję! - archanioł krzyczał teraz z bólu i przerażenia zaczął ciągnąć zakonnika do wyjścia - Nikogo tam nie ma! Ojciec! Za mną!

- Ona woła! - dominikanin podał rycerzowi kielich z Sakramentem i wbiegł na stopnie ołtarza, w stronę figury Matki Boskiej.

- Ktoż woła? Figura?

- Ona woła! Do mnie krzyczy! Nie słyszysz? Posłuchaj!

- Nic nie krzyczy! Uciekajmy!

- Woła do mnie! Jacku, krzyczy, nie zostawiaj mnie, weź mnie ze sobą! Ona woła pomocy!

Rycerz trzymał kielich rękawicą, patrzył na bijące od niego odbite światło ognia, przed nim wśród dymów, stała figura Matki Bożej. Misternie rzeźbiona, alabastrowa, płynąca w górę, jak winorośl, w koronie złożonej i z małym Chrystusem na ręku.

- Ojciec! Nie dacie rady! Kto ją uniesie! Uciekajmy! Górze już! Pali nas! Ogień nas spali! Boże! Piekło dokoła!

Płomienie szalały wewnątrz kościoła. Zostało już niewiele czasu. Rycerz czuł, jak z każdą chwilą coraz mocniej pali go każdy mały kawałek zbroi. Tysiące diabłów wbijało swoje widły w ryczące z bólu, oszalałe ciało.

- Bracie! Jacku! Nie dam rady!

W oczach zaszkliły mu się łzy. Siwa bródka zwinęła się i zaczęła zajmować płomieniem. Upadł na kolano. Kielich z Sakramentem dalej trzymał.

Wokół tańczyły biesy, taniec radości, dla archanioła po-  
nalny- Święty Jerzy uniósł się na obłoku i patrzył z góry na swojego potomka. Zapłakał. Łza jego z chmur poleciała,

zabiła dym, wpadła w mały otwór w dachu i owionęła na chwilę ciało rycerza, przynosząc ulgę w cierpieniu.

Archanioł ciągle trzymał kielich. Diabły zaczęły gryźć jego rękę. Puszczaj, puszczaj, puszczaj - słyszał ich wycie. Zaciskał palce tym mocniej. Musiał dać radę. Choćby go miało milion przeszyć kolców gorących. Daj mi siłę, Boże, proszę się \_ błagał. Patrzył, a w dymie widział Jacka. Dominikanin złapał za podstawę figury i dźwignął. Upadł, lecz tak, że ona nie poleciała.

- Jak? Jak to zrobić? Matko moja, ja za słaby jestem! Ja sam nie dam rady!

Otóż to samo czuł rycerz z kielichem. Obaj zapłakali. Pomóż, Maryjo!

Alabastrowy pomnik był tak ciężki, że go czterech ludzi ustawiało na postumencie, gdy budowano kościół. Jak mógł go jeden braciszek udźwignąć wśród morza płomieni?

- Dam Wam siłę - usłyszał ojciec kaznodzieja. Dam wam siłę, usłyszał rycerz. Dam wam siłę, popłynął głos wśród pożogi, jak lina rzucona topielcom. Jacek nagle dźwignął figurę, założył na barki, jakby Chrystus szedł z belką krzyża i krok za krokiem zaczął przebijać się przez dymy i ognie, w stronę wyjścia. Wstał rycerz z kielichem w ręku i zaczął za nim iść. Płonęło wszystko, waliły się deski, syczały płomienie. Oni jednak w ciszy stawiali kroki, noga za nogą.

Środkiem ich wiodła ścieżka alabastrowa. Matczyzna troska. W dymie i zawierusze utworzył się kojący tunel. Nie czuł już bólu rycerz. Leciał na skrzydłach archanielskich. W dłoniach



miął kielich. Przed sobą widział plecy zakonnika. Ktoś prowadził. Nie musiał myśleć. Nie myślał. Dał się nieść obłokom na wietrze.

Wyszli z kościoła na ulicę. Stał rycerz nieruchomo. Płonął. Kielich jeszcze oddał w ręce dominikanów, po czym upadł twarzą w śnieg. Broczyło jego ciało, każdym kawałkiem spalonego od kolczugi mięsa. Śnieg zasyczał pod wpływem gorąca. Obok niego padł zakonnik. Alabastrowa figura Bogurodzicy,' wyniesiona z piekielnej otchłani już w rękach współbraci bezpieczna, więc i on mógł gasić ból w śniegu. Leżeli półprzytomni, stygnąc przed płonącym kościołem i patrzyli sobie w oczy, przez półprzymknięte powieki. Nad Dragiełłą płakał Karlito, zdejmując z niego rozżarzone kawałki zbroi, nad bra-! tem Jackiem płakał Florian i Godyn, delikatnie odejmując kawałki nadpalonego płaszcza. Obaj jednak, i mnich i rycerz, nie słyszeli tych płaczów, przejęła ich cisza dudniąca w sercach, a w głowach szumiał wiatr Bożego Ducha. Patrzyli na siebie, niby zdziwieni, że ktoś jeszcze jest równie szalony, że jest jeszcze ktoś, kto spali się by iść tam, gdzie trzeba, nie bacząc na nic. Po co? Żeby wiernym być, iść.

Może tę odpowiedź chcieli znaleźć tak leżąc obok siebie, na wyciągnięcie ręki, z policzkiem na śniegu. Rycerz, jakby chciał zapytać, lecz w końcu nic nie rzekł. Uniósł głowę, patrząc w stronę figury stojącej o kilka kroków. Na jej podstawie, tuż pod nogami Świętej Rodzicielki wyrzeźbiona była niewielka postać. Rycerz na koniu przebijał kopią smoka. Święty Jerzy.

Więc dlatego, pomyślał Dragiełło. Jacek patrzył na niego i dotknął końcem palców czarnej od dymu rękawicy rycerza. I on nie musiał tłumaczyć tego, że po matkę wraca się nawet w środek płomieni.

Obaj zasnęli, umęczeni bólem, ogniem i dymem. Na ich skrzydła o nadpalonych pióry spadały płatki śnieżnego snu.

oże ty mój. Żeby kto Trojanom powiedział, jak to się dla nich skończy, jeśli Heleny nie wydadzą, a przeciw Atrydom stawać zechcą, wierząc w siłę murów. I cóż, że boskim były stawione tchnieniem obwałowania Ilionu? Runęły po dziesięcioletniej wojnie. Na nic się zdały bohaterskie czyny Hektora. Ojciec jego, poniżony, w pyle klękał, całował skrawek szaty Achillesa, by mógł ciało syna wykupić. Czegóż nie nauczyły nikogo jego łyzy? Na cóż się Homer trudził, by jego upadek opisać? Li tylko k temu, by się stały ludzkości pustą zabawką, lirycznym uniesieniem, a nie przestroga? Jak myślisz, mój kochany, Patroklosie? - Grek westchnął i podparł głowę rękami.

- Nie wiem, mój Mistrzu. Słucham ciebie. Sam nie próbuję myśleć jeszcze - odparł uczeń.

- Dymy spowiły miasto. Lecą z nieba ogniste komety. Może być, że to dzień jest ostatni ruskiej Troi. I nasz także. Jeśli się tu Tatarzy wedrą, nic nas nie obroni. Łaska Boga naszego, ani ludzkie siły. Czas nadszedł byśmy w skupieniu się szykowali na przejście do innego świata. Troja upadła ukarana za pychę swoich władców, a także z woli bogów. Czemuż padnie Kijów? Czyj grzech tu jest za przyczynę? Albo jaki Bóg miesza w tej sprawie? Jaki zły duch prowadzi tu swoją wojnę?

Stary, siwy Grek, siedział na ławce u wejścia do monastynu Ławry Peczerskiej i podpierając się na lasce patrzył w stronę ognia, dymów i wrzasków, jakie dochodziły od strony grodu. Wyszedł ze swojej celi, odrywając się od zapisków, podtrzymywany pod rękę przez swojego ucznia, który za nim z Carogrodu przyjechał, by służyć bożej sprawie i wpływem greki na cerkiew prawiewierną, która na bułgarskim języku budowała liturgiczny obyczaj. Młodzieniec nie śmiał przerywać milczenia swojego Mistrza. Staruszek oddychał zimowym powietrzem i uśmiechał się radując, że ciągle może to jeszcze robić.

- Mnie już nie żal właściwie. Tobie powinno być, wiele jeszcze mogło być przed tobą, Patroklosie.

- Nie zostawię cię, Mistrzu.
- To wspaniale.

Staruszek wyciągnął przed siebie laskę i w śniegu naryso- I wał linię, biegnącą równo między nimi.

- Wiesz cóż to?
- Linia?
- Nie. Zwierciadło.
- Zwierciadło, mój Mistrzu?
- Tak. Chrystus jest zwierciadłem.

Uczeń zamilkł, nie ośmielając się pytać. Stary Grek uśmiechnął się i przyglądał brodę. Na jego piersi błyszczał prosty, srebrzysty krzyż o równych ramionach. Patroklos często wchodził do celi, kiedy Mistrz spał. Twarz starca zdawała się być wtedy zastygła w przedśmiertnym skurczu, usta otwarte, sine, lico białe, policzki zapadnięte, całkiem jakby j umarł. Uczeń zbliżał się wtedy po cichu i patrzył na niego.

Czy krzyż się unosi, czy nie? Jeśli drgnął, znaczy że staruszek żył jeszcze i oddychał. Jak jednak bliski się zdawał sen starca od śmierci. Raz go nawet Mistrz przyłapał na tym przyglądaniu się i nagle, nie unosząc powiek zapytał, czy jeszcze żyje, czy też jest we śnie. Potem zaś wyjaśnił, że po to właśnie mnisi noszą krzyże na piersiach, by było widać, że żyją. Jeśli niesiesz krzyż, czujesz, że go niesiesz, jeśli widać, że krzyż się porusza wprawiony w ruch twoim oddechem, to znaczy, że ciągle żyjesz jeszcze, tłumaczył młodemu człowiekowi. Noś krzyż, poruszaj go sobą, będziesz żył.

Teraz więc Patroklos też się na niego patrzył, jakby chciał sprawdzić, czy obaj nadal żyją, czy też widok z monastynu na płonące miasto jest jakimś snem.

Stary Grek spojrzał z ukosa i prawił dalej:

- Chrystus jest zwierciadłem, bo w nim się odbija cała ludzka dusza w taki sposób, że obraz wysłany napotyka na boską powłokę, a wraca do nas z obrazem, jaki sami możemy tylko zrozumieć. Jest o nas. Taki jak my. A z Boga. Jest zwierciadłem.

Młodzieniec schylił głowę, nie mając śmiałości nawet słowem przerywać wywodu.

- Jest też Chrystus zwierciadłem Historii. Wszedł w nią tak, że przeciął Czas na dwie połowy.

To mówiąc staruszek położył koniec laski na prawą stronę narysowanej linii.

- Odciął jedną i zostawił za naszymi plecami, a drugą nam zostawił do życia według nowego Ładu. Wiesz, jaki mamy rok od urodzenia Chrystusa?

- Liczą, że będzie to 1240 lat, odkąd się narodził Zbawiciel.

- Dobrze liczą - odrzekł mu Mistrz - a gdyby tak spojrzeć na drugą stronę zwierciadła, jakim jest Chrystus, to co byśmy zobaczyli w miejscu, w którym teraz jesteśmy?

Koniec laski przeleciał na lewo od widniejącej w śniegu kreski.

- Nie rozumiem, Mistrzu - zakłopotał się Patroklos ^ może zobaczylibyśmy także rok 1240, lecz przed narodze. niem Chrystusa?

Stary Grek uśmiechnął się szerzej, zaczął gładzić swą siwą brodę, rozdzielać ją na wiele małych kosmyków i zwlekał z odpowiedzią. Patroklos wiedział, że jego Mistrz lubuje się w słownych żartach, kalamburach i zagadkach matematycznych. Wiele razy już zwodził go przypowieściami, wymusza! jakieś odpowiedzi, żeby potem je postawić w takim świetle, iż młody człowiek musiał płonąć ze wstydu, że w ogóle ośmieli! się tak pomyśleć. Dlatego wolał nie rwać się do odpowiedzi. Mistrz zaś miał denerwującą manierę popadania w milczenie przed podaniem rozwiązania zagadki, zerkał tylko łypiąc na bok okiem i sprawdzając, czy u słuchacza narosło odpowiednie napięcie. Gdy stwierdzał, że grunt jest przygotowany, wtedy dopiero, z radością ujawniał sens zagadki, albo słownej gry. Tak i teraz czekał na zniecierpliwienie młokosa. I dopiero gdy ten westchnął, wtedy ze spokojem obwieścił:

- Wtedy, mój Patroklosie, po drugiej stronie zwierciadła Chrystusowego, w roku 1240 przed Jego przyjściem na świat, Helena chodziła nocą pod brzuchem wielkiego konia za murami Troi i wołała po imieniu spartańskich wojowników, jakich pamiętała z rodzinnego miasta. Za deskami siedział jej mąż, Menelaos. Jego też drażniła swoim słodkim głosem, jakby przeczuwała, że koń ma wnętrzności, które tchną jadem. Gdy się w nocy zaczęła rzeź, spłynęły krwią ulice Ilionu, a wszyscy jego mieszkańcy przypłacili życiem pychę swoich władców. Król Priam zginął na stopniach ołtarza zeusowego, mszczony przez achillesowe szczytę. Runęły mury Troi i na wieki zginęły przysypane pyłem czasu.

Patroklos wstał zaniepokojony. Spojrzał w stronę miasta, nad którym wiły się kłęby czarnego dymu. Stąd, z ławy, z wykutych w skale cel mnisich, dobrze widać było całą panoramę. Gdyby gród padł, to i sam monastyr musiałby się dostać w ręce barbarzyńców.

\_ Więc i Kijów zginie? - spytał młody człowiek, nie kryjąc przerażenia.

Stary Grek znajdował wiele radości w opowiadaniu historii, jak które wytrącały z równowagi Patroklosa. Można rzec, że bawił się jego naiwnością. Teraz też uśmiechał się, radując z kalamburu i ze stanu wzburzenia, w jakim był jego uczeń.

\_ To wie tylko dobry Bóg. Pocieszyć się możemy, że król Priam, w osobie miłośnicze tu panującego kniazia dawno zbiegł, wykazując się osobliwym rodzajem odwagi. W Kijowie nie ma raczej Hektorów, są jeno bojarzy, których brody tak są gęste, iż włócznia Achilla, nawet przy pomocnej dłoni Ateny, i tak by uwięzła w ich kudłach. I Heleny też nie ma żadnej. Bo się nikt białołowy nie będzie domagał w zamian za pokój. Tam też nie stoją namioty Agamemnona, lecz tatarskich wodzów. Koni zaś wiele, ale żaden z drewna. Nie lękaj się więc. Ufaj Bogu i poświęć się modlitwie. Wszystko, co się na tym świecie dzieje, można z największego zła obrócić na dobre. I to jest najważniejsze.

Potem stary Grek wstał i stawiając z trudem kolejne kroki, bardzo powoli dał się zaprowadzić do celi. Obok niego siedł Patroklos, trzymając starca pod rękę i co chwila zerkając za siebie w stronę dymów nad miastem. Linia zrobiona laską widoczna była jeszcze przez kilka dni, a w końcu znikła zasypana śniegiem.

\*\*\*

Kijów bronił się dni dziesięć. Potem padł ze zdziwieniem i westchnieniem giganta, który sądził, iż jest nieśmiertelny. Mongołowie wdarli się do grodu Jarosława przez Lacką Bramę, rozbijając ją pociskami z katapult i tłukąc taranami. Na nic się zdała heroiczna obrona. Dymitr stawał wśród obrońców, jak szalenciec z brodą całą we krwi i długimi włosami łopoczącymi wokół szyszaka, niczym czerwona chorągiew. Krzyczał dodając ducha swoim wojom. Jednak kolejne ich szeregi padały ścięte celnymi salwami z łuków. W miejscu, gdzie tarany wyważyły wrota próbowali Kijowianie postawić zaporę z usypanej ziemi i koszy wypełnionych głazami. Na niej martwe ciała padały jedno na drugie, tworząc koszmarny stos ze sterczącymi tu i ówdzie rękami, z potrzaskanymi włóczniami, tarczami, oczami patrzącymi szklście w niebo. I na tej górze trupów stawał Dymitr, po czym utrzymując z trudem równowagę, ślizgając się na krwią spłyniętych kolczugach, unosił miecz i krzyczał w stronę najeźdźców:

- Chodźcie, biesy! Nu, chodźcie ku mnie! Ja zdu was! Diabły chodźcie do nas! Na wieczerzę prosim! Na wieczerzę! Czekamy! Ja car, biesy! Ku caru chodźcie!

Potem śmiał się, gdy go ściągano w dół, żeby uchronić przed ostrzałem.

- Opętany nasz wojewoda - ludzie gadali między sobą, i widząc jak Dymitr to śmieje się, to krzyczy.

Potem poszło główne, miażdżące uderzenie doborowych jednostek mongolskich. Mangkutai i 16 zsiadli z koni i ruszyli i biegiem w stronę bramy. Uderzyli, jak opancerzony huragan, i rozbijając w pył kryjących się za tarczami wojów. Tatarzy i najpierw rzucili dwukrotnie włóczniami, potem wyjęli ostre i szable chińskie i zaczęli nimi rznąć na prawo i lewo, lejąc i rzeki krwi. Po chwili stanęli na szczycie wału utworzonego i z trupów i wdarli

się do środka. Inni już biegli po galeriach ] strzelczych, zdobywając stanowiska na murach. Za nimi cią- ] gnęli następni.

Wieczorem 4 grudnia, licząc wedle kalendarza gregoriań- j skiego, padł gród Jarosława, wybuchając tysiącem pożarów.

Tatarzy wycofali się na swoje pozycje, zostawiając płonące miasto na zgorzeniu. Cały kijowski lud uciekł w tym czasie do dwóch ostatnich, najwyżej położonych grodów - Włodzimierza i Izasława ze Świętopełkiem, gromadząc się tysiącami na tak niewielkiej powierzchni, że ciężko było przejść nie potykając się o innego człowieka. Gęsto się zrobiło na wałach obu grodów. Zapadała ostatnia noc w historii Kijo- wa Noc tajemna, noc przedziwna, oszalała z rozpacz i lęku, ogarnięta chichotem diabelskich sił.

\*\*\*

Jarosław zwany Mądrym spał już wiele lat snem wiecznym w grobowcu ukrytym we wnętrzu Sofijskiego Soboru o trzynastu kopułach. Wokół szalało morze płomieni, pochłaniając na swojej drodze wszystko - piętrowe domostwa, pałace, dwory bojarskie, cerkwie, składy pięknych tkanin, jatki, złotnicze warsztaty, szaty skrojone ze złotogłowa, futrzane czapy, setki manuskryptów, ślady latopisów, żywopisy świętych osób, bibliotekę kijowską, przyprawy i kosztowności. Waliły się z hukiem ściany zasypując sławę stolicy słowiańskiego świata. Cerkiew Świętego Spasa upadała przechylając się powoli na bok. Jej złote kopuły runęły do środka prosto w ogień. Cerkiew św. Jerzego i cerkiew św. Zofii zostały zawalone pociskami z poroków. Żydowska dzielnica paliła się, skwiercząc tłącymi się tałesami, języki ognia pochłaniały równie żarłocznie rulony Tory, co kawałek dalej, w dzielnicy polskiej, zwanej lacką, Nowy Testament trzymany w specjalnej skrzyni. Dym wpadał do środka soboru sofijskiego wypełniając wnętrze gryzącymi kłębami, jakby chciał okadzić na ostatnią drogę obrazy ukazujące rodzinę wielkiego Jarosława - samego kniazia, żonę Irenę, synów Izasława i Świętosława, Wsiewołoda, Włodzimierza i córki Annę, Elżbietę i Anastazję, w jednym miejscu zebrane królowe Francji, Norwegii i Węgier.

Większa część miasta leżała teraz pusta między obu walczącymi stronami. Z jednej strony na płonące ulice grodu Jarosława patrzyli mieszkańcy ściśnięci w wyżej położonych, starych grodach, z drugiej mongolska armia, która wróciła na swoje miejsca dając nocy i płomieniom robić swoje. Patrząc na to wszystko Dymitr szepnął do drżącej żony, która wtulała się w jego ramię:

~ To już piekło prawdziwe przychodzi.

\*\*\*

Dragiełło podniósł się jęcząc i zaczął się uwalniać ze szmat, w jakie był owinięty. Pasy darte z prześcieradeł ktoś nasączył wodą zmieszaną z zimnym, skwaszonym serem, po czym ponakładał na oparzone ciało rycerza. Teraz się biedak nie mógł wyplątać, cały bowiem był tym pookręca- ny, łącznie z głową. - Karlito! - wrzasnął i padł z powrotem na łoże.

Wbiegli do izby bracia Hiob, po czym kiwając się i kłaniając zbliżyli do swego pana.

- Co pan, co dać?

- Coś brać?

Spytali prawie jednocześnie. Dragiełło nie mógł na nich spojrzeć, bo się uwikłał w bandażę, a każdy ruch mu taki ból sprawiał, że aż głos mu więził w gardle. Wygulgotał spod zwojów opatrunków:

- Wołajcie mi Karlita. I te szmaty ściągnijcie.

Hiob grubymi paluchami złapał za kawał materiału, ale tak potomek świętego Jerzego wrzasnął, jakby go kto ze skóry odzierał, a nie z pasów leczniczych. Biedny Job wystraszył się, skrawek bandaża ze swojej, chromej łapy wypuścił, a za tym z izby zbiegł. Po chwili do środka wpadł Karlito, odrzucając w tył ciemny kaptur, który się składał z tyłu łat kolejno naszywanych, że już by najsprawniejsze oko nie odgadło, jakie to było sukno na początek

użyte. Na garbie karlim się to wszystko tak zawsze układało, że miał za sobą giermek rycerski coś na kształt wielkiego pieroga.

- Nie rusz, panie, nie rusz tego! - od progu krzyczał, a kolebiąc się z nogi na nogę do łożnicy dopadł i brudnymi paluchami począł na powrót układać pasy z prześcieradła udarte, jedno koło drugiego.

- Czemuś to, panie skubał? - utyskiwał przy tym, gderając jak stara ciotka nad nieposłusznym dzieciakiem - toć się tyle baby nad tobą panie narobiły, a szarpi nadarły, a jaskółczym gównem nasmarowały...

- Co gadasz, psie? - zerwał się nagle Dragiełło, siadając tak nagle, jakby mu kto sprężył w wic w gardziel nasadził - jaskółczym gównem żeście ciało rycerskiego rodu nacierali?

- Cichaj to, panie, cichaj - Karlito delikatnie go pchnął znów na łożę - trochę sobie karlim obyczajem dworuję, żeby sprawdzić, czy duch jeszcze w tobie drzemie. Ale widzę, że ci, mój kochany panie, poziom jadu we krwi tak skoczył, jakbyś nalewkę na szaleju popijał. Znaczy to, żeś w kondycji wewnętrznej dobrej. Bardzo udatnej.

Rycerz się nieco uspokoił, więc i karzeł objaśniał z większą swobodą:

- Gdzież by cielesne powłoki potomka świętego Jerzego jaskółczym gównem nacierać. Toć obraza by była boska i jeszcze jakieś z tego nieszczyście. Każdy to wie, najgłupszy parobek, co przy dworze jakim, albo w kościelnym obejściu robił, że się jaskółczym gównem nie smaruje oparzelin, a opuchliny idące od zbytniego dźwigania ciężarów. Bab nie trzeba uczyć, co na oparzenia najlepsze, od dawna one to wiedzą. Więc i ciebie, mój panie, nie jaskółczym, lubo kurzym gównem natarły. Żebyś ty wiedział, ile twój sługa jedyny za tym się medykamentem nabiegał. Kur niby wiele, ale znajdź teraz w czasie wojennym odpowiednią ilość kurzej, jak by tu rzec, maści? To żem łąził a łąził, a błagałem różnych ludzi, że się mój pan, rycerz Dragiełło uprasza niezwykle, iżby co jakiej kwoce spod ogona kapnie, żeby mu ofiarować, na zdrowie. Ej, panie, puszczaj, przecie nie mogę dychać, gdy się... ręka... twoja na gardzieli... mojej... litości! Wszystko brednie gadam! Panie mój!

Potomek świętego Jerzego znów siedział i swego sługę dusił pewnym chwytem. Dopiero, gdy garbus począł charczeć i oczy mu prawie z orbit wypadły, wtedy poluzował ucisku.

- Gdzie jesteśmy, Karlito? - spytał.

- We dworze kniazia - szybko zaczął odpowiadać giermek - na grodzie włodziemierskim.

Prędko też karzeł wyjaśnił, że po tym, jak z dominikaninem się z kościoła wyrwali i na śnieg padli, zaraz też braciszczowie ich na wóz zabrali, a następnie wwieźli na górę, do grodu. Tu dostali wszyscy dwie izby we dworze kniaziewym, bardziej z racji szacunku, jakim wojewoda Dymitr dzielnego Lacha obdarzył, niżli z sympatii ku członkom Kaznodziejskiego Zakonu, tych w Kijowie nie kochano. Wezwano baby, żeby co na oparzenia zaradziły, kręcąc jakie maści na sadle albo robiąc okłady. Mniej od ognia ucierpiał Jacek z rodu Odrowążów, jego chronił gruby płaszcz dominikański, choć i on niegorsze miał na ciele rany. Gorzej było z rycerzem, bo gdy w kościele płonącym był, to się jego kolczuga i hełm tak rozgrzały od szalejących płomieni, że parzyły ciało okrutnie i głęboko, a on się od metalu nijak uwolnić nie mógł. Stąd też to potomek świętego Jerzego silnie ucierpiał i musiano całego w biały całun i pasy materiału poobwijać.

Gdy już wszystko mu giermek wyjaśnił, Dragiełło zażądał jakiegoś zwierciadła, żeby na oko własne obaczyć, co się z nim działo. Karlito jedyne, co znalazł, żeby jakieś odbicie dawało, to cynowa misa. Tak ją przy ogniu ustawił, że się można było przejrzeć. Usiadł rycerz na zydlu i zaczął raz jednym, raz drugim okiem na siebie łypać, ale niewiele było widać w denku naczynia. Kazał więc podać swój miecz. Przejechał szmatką po kłindze i począł się wpatrywać w błyszczącą głownię. W gładkim metalu odbijały się płomienie z kominka, a między nimi oczy rycerza, pozbawione rzęs i brwi.

- Panie, nie ruszaj tych bandaży, proszę - zaczął garbus z tyłu gadać, lecz jeno cichutko, lękliwie, bo wiedział, iż mu obowiązek służki każe czasem coś rzec dla dobra swego

właściciela, a z drugiej strony też mu nie było obce, że rycerz zawsze to robił, co mu szeptała jego wola żelazna. Dragiełło chwycił delikatnie za koniec jednego ze skrawków materiału i bardzo powoli zaczął ciągnąć. Syczał co chwila z bólu, bo się bandaż sklejał z oparzeliną. W końcu odsłonił całą twarz.

- Maryjo Bogarodzico! Kyriesz! - wrzasnął przerażony karzeł i uciekł z izby, a za nim się jeno drzwi na zawiasach kolebały, skrzypiąc jakby bies chichotał.

Rycerz patrzył na swój obraz odbity w mieczu, stawał kling? t0 pionowo, to poziomo, przekrzywiał ją pod kątem, im więcej widział, tym mocniej mu grdyka chodziła, tym szybciej lękał ślinę.

- Święty mój patronie, bądź ze mną, dodaj mi odwagi - wyszeptał. Dragiełło w odbiciu na mieczu nie mógł poznać siebie samego. Był tam człowiek pozbawiony włosów na całej czaszce, bez brody i wąsów, które taką jego były chlubą przez całe życie, że je nosił przed sobą, jak herbowy znak. Skóra na czaszce była dokoła równo wypalona, z idącym wzdłuż głowy czerwonym kręgiem. Jak tonsura u mnichów miała być znakiem korony cierniowej z włosów, tak się u rycerza ułożyło coś na kształt korony królewskiej, ino całej z blizny oparzelinowej wykwitłej, odcisniętej równo od szyszaka. Twarz była pełna czerwonych pęcherzy. Smutne, szare oczy, bez rzęs, bez brwi, otoczone bólem i spękana skórą. Nad uszami, z tyłu czaszki, wszędzie wisiały skrawki cienkich bandaży, zlepki skwaśniałego sera, wody, pajęczyny i żółtawych płatów ropiejącej skóry.

Trząść się zaczęła szczeka rycerza, z bólu, z łez, z czarnej studni w jaką wpadł jego umysł i nie mogąc się pozbyć widoku własnej twarzy, resztek tego, co z niej zostało, wpadał w tę studnię rozpaczy coraz głębiej i głębiej, kręcąc się wokół siebie, objając czołem o jej boki, i w końcu uderzając

o błyszczące na dnie lustro szaleństwa.

Odsunął Dragiełło drżącymi rękami miecz, spojrzął na bok, a ruch ten tyle go siły kosztował, jakby dźwigał jakiś ciężar niemożliwy. Zaczął płakać, a słone łzy, płynąc po spalonej twarzy dodawały bólu. Teraz każdy bandaż, spadając na bok, ocierając choćby rąbkami materiału oparzone miejsca, wywoływał ból, jakiego człowiek bez krzyku znieść nie może.

1 upadł rycerz na ziemię. Leżał płacząc, obok kominka.

Takim go zastali dominikanie, gdy wpadli do środka, prowadzeni przez Karlita. Zaraz baby ściągnięto i na nowo,

2 wielką delikatnością, ułożono rycerza na łożu. Później mu podano wywar z ziół, który miał załagodzić boleści, a jego samego wyprawić w świat głębokiego snu. Kolejne bandaże ułożyły staruchy na jego ciele, owijając twarz tak, że został otwór na oczy i nos. Gdy wyszły, wierny jego sługa, Karlito, stał przy łożu i patrzył. Powoli unosiła się i opadał pierś jego pana. Garbus uklęknął. Złożył swoje czarne, brudne dłonie i wznosił oczy ku niebu.

- Cóż ja pocznę bez tego pana? Jaki ja będę? Czy będę w ogóle? Może i w garb mi on czasem przyłoży, lecz i ja nie muszę o swój żywot dbać, ani myśleć o niczym. Za nim jadę, jak pies wierny. Panie Chryste, daj mu zdrowie, memu panu.

Potem się pograżył karzeł cichej modlitwie i w końcu zasnął, wspierając głowę na boku łoża.

Obudził go skrzyp drzwi. Musiał być już środek nocy, j ale ciągle gwar dochodził z dala, ze strony Babiego Targu i dziedzińca przed Cerkwią Dziesięciną. Garbus uniósł głowę. Nad sobą zobaczył braci Job, Hannę i Floriana od dominikanów.

- Cóż wam? - szepnął przerażony karzeł.

- Wstawaj, Karlito, musim szykować twego pana do dro- | gi... - rzekła Hanna. Zaraz też Florian dorzucił za nią:

- Ojcowie się zmówili, znaczy przeor nasz Marcin z bratem Hiacyntem, że nie można ranka czekać. Świt jak przyj- ] dzie, Tatarzy uderzą.

- Ruszymy zaraz, wozem jednym, ci co mogą to na no- j gach, a potem się obaczy - dodała Hanna i wskazała głową braciom Job, żeby na blat stołu ciało rycerza przełożyć. Po- I deszli, żeby go chwycić delikatnie pod plecy. Jęknął, ale sen miał tak silny, że nie odzyskiwał przytomności.

Karlito w wielkim pędzie zaczął szykować rzeczy, a to miecz niosąc, a to koczugę, a to wreszcie wielką kuszę. Florian stał w drzwiach i tłumaczył dalej:

- Miasto w dole płonie, ale ponoć Tatarów w nim nie ma. Stoją dalej poza wałami. Brat Jacek zna wyjście tajemne, co jest w jednym kątku w polskiej kolonii. Jak tam dotrzem...

— Ty znowu pleciesz? - za plecami dominikanina, jak widmo pojawił się brat Godyn - musi każdy sługa wiedzieć, •akie są zamiary szlachetnych osób?

Bracia Job, bardzo ostrożnie wynieśli na zewnątrz śpiącego rycerza, a Hanna okryła go kożuchami. Potem nieprzytomnego ułożono w wozie, na snopku siana, tak że głowa jego oparła się na tarczy z herbem Kraplan, a ręka na bok odrzucona opadła na podstawę figury Matki Przenajświętszej. Zapach słomy tak rycerzowi w głowie zakręcił, iż mu się śnić poczęło, że jedzie na żrebaku pośród pól i gołymi piętami kłuje go w boki. I krzyczy sobie głośno i radośnie.

Stary mężczyzna o siwych włosach opadających na ramiona wychylał się przez wąskie okienko cerkwi na szczycie Złotej Bramy i pokazywał palcem drogę, która wiodła prosto przez główną część miasta, aż do starszych grodów. Obok niego stało dwóch mongolskich dowódców, a tabliczki z ich rangami świeciły w ogniach pożarów złotym odbłaskiem. Tatarzy pochylili się nad mapą, na której zaczęli nanosić uwagi białego przewodnika. Dołem, przez wybite wrota wjeżdżał patrol, by jeszcze przed świtem, spenetrować pustą część Kijowa, szukając możliwej zasadzki, gdyż tej można było się spodziewać w labiryncie pogorzeliisk, dymów, trzaskających ogni i walących się ścian. Subedej rozkazał wycofać się ze zdobytego już grodu Jarosława i obsadzić jeno wały zewnętrzne wraz z bramami. Ogień był tak wielki, że by się wojsko tatarskie w ulicach nie pomieściło, trzeba było poczekać, aż się co można przez noc wypali. Huczał Padół i Obłoń, gdzie chatek biedoty, było mrowie, kleconych byle jak, gliną okładanych, one się zajmowały jedna od drugiej szybko i mocno. Od południa zaś, gdzie zabudowa bogatsza i gdzie poszedł silniejszy ostrzał mongolski, to w niebo strzelały katedry ogniste, w które się zamieniał każdy dom bojara, kupca majątnego, czy rzemieślnika. Setka jeźdźców, których Ordu na czujkę wysyłał, wsuwała się teraz przez zdobytą bramę, jak wąż wślizgujący do mysiego królestwa. Na niskich, silnych koniach, czaiły się postaci w czapkach o futrzanym obszyciu, z dwoma łukami przy każdym siodle i z czujnym spojrzeniem rzucanym na boki z gadzich oczu. Ich dowódca zatrzymał się na dole, zaraz za bramą i palcami zaczął wskazywać, który harban ma się udać w jaką ulicę, a kolejne dziesiątki znikwały wśród dymu i ognia, jakby się rozplływały we mgle. Trzymał konia pewnie, samymi kolanami, ręce mając wolne. Nad nim, w oknie cerkwi nad bramą, stary człowiek o białych włosach, służący mongolskim dowódcom za dostarczyciela wieści o tajemnicach kijowskich ulic, wychylił się z okna, wskazując, w którym miejscu obwałowań wysokiego grodu znajduje się Brama Sofijska. W tej to chwili spotkały się ich oczy Nojan siedzący w siodle na samym dole, rzucający rozkazy zwiadowcom, uniósł głowę, starzec zaś mimochodem skierował wzrok w dół. Przez chwilę zawisła w powietrzu linia ich zadziwionych spojrzeń. Stary człowiek zdenerwowany cofnął się aż o dwa kroki.

- Kto zacz, tam na dole? - szarpnął kaptur swej szaty. Ordu i Bajdar popatrzyli na niego zdziwieni. Ruski tłumacz szybko przełożył im pytanie starca.

Brat głównego wodza mongolskiej armii, Batu-chana, Ordu spojrział w dół przez okienko, po czym obrócił się ze śmiechem.

- On z twojego rodu. Jeden musi być ród na świecie takich, co mogą pleść podwójny żywot, albo i potrójny, jak tam chcecie. Zwykły wojownik nie ma serca takiego, żeby jedną twarz pokazywać w swojej jurcie, a inną, gdy siedzisz w jurcie u sąsiada.

Przerwał Ordu, żeby tłumacz zdążył przełożyć jego słowa i podszedł do niewielkiej ławy postawionej obok ikonostasu. Patrząc na twarze świętych wypisane na drewnie podniósł do ust złoty kielich, który prawosławnym jerejom służył do sprawowania ich obrzędów i wychylił z niego spory haust wina. Posmakował, pod językiem poruszał płynem, łyknął, po czym obrócił się i rzekł do białowłosego:

- Ale bez was wojnę trudno prowadzić. Jesteście potrzebni, jak żuk, co objada mięso padłego jelenia. I on czemuś służy. Pytasz, kto on, tam w dole? Taki żuk, jak i ty. Jak już tu sprawę załatwimy, tak nas on poprowadzi przez ziemie lackie. Teraz nojanem on w siodle mojego zwiadu, wcześniej bywał u Lachów i na chwałę stepu był okiem i uchem potomków Temudżyna. Poprowadzi nas przez ich szlaki, aż do Wielkiego Morza, gdzie zachodzi Słońce.

Stary przewodnik dopadł z powrotem do okna, patrząc na kijowską ulicę.

- On musi... Jeruzalem! - sam do siebie wykrzyknął, nie mogąc pohamować emocji. Dopiero po chwili wrócił mu wężowy spokój: stary wilk zdał sobie sprawę, iż spadła jego maska, odsłaniając coś, czego nie chciał by widziano. Skamieniał, jakby kto urok na niego rzucił, wyprostował się i spojrział w stronę mongolskiego wodza. Ordu przyglądał mu się badawczo.

- Skąd znasz jego imię? - spytał zimno, znów unosząc kielich do ust, a gdy pił nie spuszczał wzroku ze szpiega. Z drugiej strony, równie badawczo przyglądał się Bajdar.

- Na drodze swojej już go kiedyś spotkałem - odpowiedział Wulfstan, starannie dobierając słowa i już znać było, że wróciło mu panowanie żelazną wolą nad sytuacją - I nie jest dla mnie dobrze, by mnie widział.

Starzec stał w cieniu świątyni i patrzył na zalaną światłem płomieni ulicę. Tam, powoli, uważnie, noga za nogą, jechał nojan tatarskiej czujki, mając po obu stronach dwóch swoich najbardziej zaufanych ludzi, a za plecami trzech gońców. Puste miasto płonęło wyrzucając w powietrze kłęby dymu. Jeźdźcy posuwali się środkiem, ostrożnie, trzymając krótko wodze. Niektórzy mieli wyjęte łuki, ze strzałami nałożonymi na cięciwę, dłonie pozostałych leżały na rękojeściach szabel, jeszcze inni na łęku położyli krótkie włócznie. Wulfstan patrzył na plecy wojownika, aż ten zniknął całkiem w ognistej kurzawie. Może nawet w ostatniej chwili dowódca zwiadu

obejrzał się, ale już tego nie można było dokładnie ocenić. I

\*\*\*

- Zginiecie wszystkie. Jak pchły was zgniota między pa- znokty, jak wszy was w zębach zgryzą. Na śmierć tam idziecie. Wyłapią was, oczy wam wydłubią, dadzą psom zjeść. Inni chcieli, każdy jeden, co uciekał, żyw nie wyszedł. I wy umrzecie. Już bies na was czeka, paszczę swoją szykuje. Tak, już jego ogień tam się w dole dla was pali. Co myślicie, że oni bram nie pilnują, że nie patrzą, czy im kto ze saka nie ucieka? O wy głupcy! Martwi głupcy! - kulawy mężczyzna szedł kuśtykając obok wozu i wymachiwał rękoma. Karlito go w końcu zbluzgał tak potwornie, że się kuternoga zakrztusił aż, a potem stał i spluwał za nimi, mieląc w ustach słowa przekleństw, zmieszane ze złą wróżbą.

- Idźcie. Idźcie, nie słuchajcie mnie. Inni też nie słuchali. Tam ich macie, tam na wałach, daleko, oni są - zrzedził i łapę wysunął w stronę głów nabitych na zastrzone pale, ustawionych rzędami na najwyższych fragmentach zewnętrznego wału, ku przestrodze tym, którzy by się ośmielili myśleć o ucieczce.

Wóz się toczył powoli, skrzypiąc osiami i tonąc w śnieżnej breji. Dwa woły do niego zaprzęgnięte były własnością dominikanów. Braciszkwowie szli przodem, trzymając w górze krzyż i cicho śpiewając, a ludzie, nienawykli do rzymskiego obrządku i łacińskiej mowy, się im dziwowali. Łacina połączona z greką zdawała się ludowi jakim tajemnym językiem, który



musiał w sobie kiść boskiej mocy mieć. Czarne płaszcze zasłaniały całe postacie, a kaptury skrywały twarze, tak że się zakonnicy mogli wydawać duchami, a nie żywymi ludźmi. Na wozie znać było trochę dobytku zakonnego, jakieś zawiniątka, skrzynie, a spomiędzy siana sterczała w górę figura Matki Bożej, Bogurodzicy. Na jej widok jerej z cerkwi Spasa uniósł się od jednego z ognisk i wyciągnawszy rękę kłać oczał na alabastrowe przedstawienie Matki Chrystusowej. ^ \_ Dobrze, że stąd idą, nieprawiewierni, Bóg tak chce! - zaczął krzyczyć rozsierdzony pop - oto i przyczyna naszych nieszczęść. Żeśmy do naszego miasta wpuścili onych, którzy prawdę wiary zakłamują. Którzy są sługami Szatana. Figurę Bogurodzicy w kamieniu wyrzeźbioną trzymają w Domu Bożym, gdy jest wszystkim wiadomo, iż największe to bluź- nierstwo. Niepokalana, krzyczą, odurzeni nieprawdą, odmawiając człowieczeństwa Chrystusowi. Oni to Boga obrazili i na miasto nasze nieszczęście ściągnęli. Ich to wina, że z piekła nadeszła kara za grzechy. Oczyszcmy się, bracia moi! Chcą iść, nie wzbraniajmy. Bramy im otwórzcie! Niech zgorzeją i odkupią swoje grzechy!

Plac przed cerkwią Bogurodzicy był zapchany ludem, który się tu schronił uciekając z innych części miasta. Do reszty wypełniła się cerkiew Świętej Ireny, całą część Janczy- ny, a w niej i klasztor i cerkiew Świętego Andrzeja, potem kniaziowe tereny, dwór, pałac i wszystko, co ogrodzone było murem od Babiego Targu.

Niewielka procesja dominikańskich uciekinierów musiała się więc pierwiej przebić od dworu, aż po bramę na gród Izasława, co było przedsięwzięciem zaiste trudnym niemo- żebnie, bo to każde posunięcie do przodu musiało być okupione wstawaniem ludzi zalegających wszelką wolną przestrzeń. Przodem torowali drogę zakonnicy, niosąc krzyż, zapalone świece i ciągle modły wznosząc, intonując „Kyrie Eleison” albo hymny ku czci Maryi. Za nimi posuwał się wóz powożony przez Karlita, który siedząc na koźle kłać silnie, jak się ktokolwiek sprzeciwiał usuwaniu z drogi. Na tyle zaś szła Hanna, opatulona kozuchem, z głową owiniętą chustami» ojciec Jacek wspierający się dłonią o tylnią część wozu i na końcu dwaj bracia Job, łypiący w ciemnościach, jak dwa stwory morskie wyciągnięte gdzieś na brzeg, a ukazujące kły każdemu, kto by się odważył ich tknąć.

Ludzie wokół szumieli z niechęci, bo się musieli podrywać z leża, dzieci unosić, czasem coś odsunąć. Wrzaski szły i pohukiwania w stronę idących. Jak ich jeszcze jerej prawosławny podburzył, tak coraz mocniej zaczęli swoje lęki i złość na Lachach wyładowywać. Po chwili już i jakieś grudy na nich leciały, śnieżne kule, kawały zmarzniętego błota. Żaden z dominikanów nie reagował, ciągle śpiewając, jeno karzeł prowadzący wóz darł się coraz głośniej. Coraz więcej ludzi, zaczynało coś krzyczyć, gwizdać i kłać, aż się rwetes z tego zrobił na cały plac. Jereje wskazywali sprawców zła - katolickich zakonników. Trzeba było ich wcześniej wygnąć, krzyczeli, a tak teraz przez nich wszyscy zginiemy. Na to ludzie zawarli drogę tak, że już dalej wóz nie miał jak jechać. Musiał się Florian, idący na przedzie z krucyfiksem zatrzymać. Jacek Odrowąż, ruszył do przodu, by z tłumem rozmawiać, ale głowę miał w bandażach i jedną rękę podwiązaną, po oparzeniach w płonącym kościele doznanych, więc zanim doszedł na czoło wozu, tak już jego bracia się cofnęli pod naporem złorzeczających Rusinów.

Nagle coś odwróciło uwagę tłumu. Pod cerkwią, w wielkim sobolowym płaszczu, w kniaziowskiej czapce szytej ze złotogłowia, stanął namiestnik kniazia Michaiła Wsiewoło- dowicza i kniazia Daniela Rurykowicza, wojewoda Dymitr, z Bożej Łaski, obrońca Kijowa i jego ludu. Kijowscy mieszcianie zaczęli przed nim kłękać, jak przed carem. Po chwili zrobiło się cicho, a wszędzie widać było jeno morze głów pochylonych, jakby się miało zacząć nabożeństwo. W rzeczy samej, zaraz za Dymitrem stanęli bojarzy, kładąc ręce na rękojeściach mieczy, a obok nich się pojawili hierarchowie cerkiewni - metropolita kijowski Iłarion, a za nim ihumen monastynu Ławry Peczerskiej i kilku diaków, a każdy z nich trzymał świętą Ikonę. Dymitra podsadzono i wspiał się on na podest wielkiego rydwanu, przy olbrzymiej

kwadrydze, z brązu odlanej, a stojącej przed cerkwią. Gdy już tam stanął widzieli go wszyscy z oddali, a taki się wydawał, jak bohater dawnych legend i zapisów latopisowych Nestora albo Mono- macha. Ludzie się przeżegnali, patrząc na niego. Gdy mu się płaszcz odchylił, wtedy znać było, że ma rękę ranioną i tak owiniętą, by blisko przy ciele wisiała. Druga jednak dalej była wolna i do bicia się sposobna. Albo do wzniesienia wysoko, tak by ludzie ciągle mieli nadzieję, iż obrona jest w mieście jeszcze. Chwycił wojewoda tą ręką krawędź rydwanu i można by rzec, że się tak stopił z łupem chersoneskim, iż od stu lat tak stał, powożąc kwadrygą z achillesowym kunsztem. Potem krzyknął do ludu, żeby dominikanów puścili i dali im drogę aż do bram.

- Jest tam mąż jeden, któremu świętości nie zbywa, a gdy komu pamięci zbrakuje, to przypomnę, że jemu to wdzięczność winniśmy, bo on to córkę kniazia Włodzimierza z choroby wywiódł. Kijów pamięta zawsze co dobre i co złe! Złe pomści, za dobre dziękuje. Otwórzcie im wrota!

Usunął się lud i przez środek Babiego Targu powstała aleja wśród ciżby. Zaraz też dominikanie dalej ruszyli, niosąc krzyż przodem.

Wojewoda zaś stał przed cerkwią Bogurodzicy i z kwadry- gi brązowej przemawiał do ludzi. Jakież to kniaź z niego, szeptali do siebie klęczący. Mówił unosząc wysoko rękę, a za nim, jak symbol potęgi kijowskiej wznosiła się w niebo gigantyczna cerkiew, wsparta na kolumnach z różnokolorowych marmurów, z szybami kolorowymi w oknach, z mozaikami, jakie jeno znał Konstantynopol w bizantyńskim świecie. Na wszystkich wieżach, schodach i ścianach siedzieli gęsto upchani ludzie. Dymitr zaś krzyczał słowa pełne gniewu i żelaznej woli. Jeśli wał padnie, postawimy drugi, tu pod cerkwią, a gdy tego zbraknie, ułożymy jeszcze jeden, z własnych ciał - słowa wojewody ginęły w mroku nocy i tylko najbliżej siedzący słyszeli je dobrze. Ale ci przekazywali wszystko dalej i wieść o mowie wojewody obiegła cały gród na górze Kija.

Tymczasem wóz z nieprzytomnym rycerzem, figu- r? Matki Bożej, zapiskami dominikanów, niewielką ilością klasztornych naczyń i jednym śmierdzącym karłem przejechał przez otwarte wrota Sofijskie. Przed idącymi na czele zakonnikami otworzyła się czeluść ognia i dymu. Hanna zacisnęła dłoń na rękojeści noża schowanego w zakamarkach sukni, a Jacek Odrowąż wzmógł modlitwę. Karlito cmokał na zaprzężone woły, ale te bały się ognia nie słuchały woźnicy. Jeden z braci Job zaczął ciągnąć za uprząż swoją zdrową ręką. Także i Jacek przeszedł na samo czoło pochodu. Zarzucił kaptur na plecy. Wsparł się na kiju i począł iść, jak przewodnik prowadzący karawanę przez zamglony las. Reszta zgodnie i cicho kroczyła za nim. Przedziwny ten kondukt zagłębił się w płonący gród Jarosława, niknąc w zadymionej ulicy, jakby zanurzał się w parującym o świcie jeziorze.

\*\*\*

Dragiełło ocknął się i otworzył oczy. Nad sobą zobaczył alabastrową rzeźbę w koronie. Maryja trzymała na ręku małego Jezuska i uśmiechała się do rannego rycerza. Patrzył przez chwilę na jej łagodne oblicze, a potem na nocne niebo zasnuwane dymami, których barwy przechodziły od siności do szkarłatu rozlewających się niżej płomieni. Przejechał dłońmi po całym ciele, sprawdzając, czy jeszcze żyje i czy nie stracił jakich to ważnych ukończeń cielesnych. Na warstwie opatrunków miał też swoją opończę założoną wedle honoru i rycerskiego obyczaju. Odetchnął z ulgą. Dostanie giermek swoją nagrodę, obiecał sobie w duchu. Powoli uniósł jedną, potem drugą nogę, sprawdzając, czy może się poruszać tak, by sobie bólu za wielkiego nie sprawić. - Święty się Jerzy nade mną ulitował, bo jeszcze kończyła pracuje - pomyślał. Najwięcej mu bólu przysparzał brzuch, plecy i barki, czyli tam gdzie najmocniej rozgrzana kolczuga naciskała. I twarz cała piekła bardzo silnie, więc się starał nie naruszyć tego, co mu baby naokoło czerepu zawiązały. Już miał usiąść, kiedy dosłownie obok, zaraz za ścianką wozu usłyszał zdławiony krzyk. Potem nad sobą, na tle

gorejącego nieba ujrzał twarz • dneo z dominikanów. Był to brat Florian. Zawsze gadatliwy i teraz, w chwili śmierci coś chciał wykrzyknąć, ale tylko wzrok utopił w figurze Bogurodzicy, a przez gardło mu przeszło ostrze szabli. Zniknął tak szybko, jak się nad krawędzią wozu pojawił, padając w śnieg i kopiąc nogami w przedśmiertnych drgawkach. Mongoł, który go zabił, nie wycierał głowni zbrukanej czerwienią, tylko ją wrzucił z powrotem do pochwy. Kopnął umierającego, sztywniejącego kapłana, po czym wspiął się na koło, żeby zajrzeć, jakie dobra leżą w środku. To co zobaczył, to była pięść owinięta bandażem i trzymająca między palcami gwóźdź. Bretnal wbił mu się głęboko w sam środek oka. Tatar upadł bez żadnego jęku, pulsując krwią, jak przebity bukłak z winem.

Dragiełło szybko wychylił się, żeby ocenić sytuację. Wóz stał pod ścianą jakiejś cerkwi, słupy dymu unosiły się w niebo ponad budynkami, a dookoła, w blaskach idących od ognia i w połaciach cienia toczyła się zażarta walka o życie. Kilku Tatarów dobijało właśnie próbujących uciekać dominikanów. Dwóch zakonników już leżało na ziemi, jeden biegł pod górę, tam skąd przyjechali, a jeszcze inny po prostu klęczał i modlił się ze wzniesioną głową, czekając na swój los. Ponieważ Mongołowie stwierdzili, iż ten jeden szaleniec im nie ucieknie, pograżony w swoich modłach, więc jego na razie zostawili w spokoju, żeby nie tracić czasu. Rzucili się natomiast za uciekającym, a kilku innych musiało zmierzyć się z dwoma roslymi jak dęby chłopami, którzy ustawili się bokiem do siebie i chwyciwszy w wielkie łapy długie kije, machali nimi tak zażarcie, że się dwóch azjatów od tego młynka odbiło i poleciało na plecy. Pozostali zaraz pobiegli po łuki wiszące przy siodłach koni, żeby z daleka załatwić kłopot i w ogóle nie trudzić się walką z jednorękkimi monstrami. Bracia Job zaczęli Pokrzykiwać głośno, ich kudłate łby pochyliły się wprzód i tak stali, sklejeni barkami, jak dwugłowy potwór. Jeszcze inny Tatar gonił za karłem, który turlał się, skakał, robił uniki i zmykał z takim kunsztem, jak to potrafi tylko zając, który się przed psem ratuje. W końcu przetoczył się pod wozem wyskoczył z drugiej strony i bardzo szybko nawinął kamień na procę, a potem tak nim sieknął, że stepowego gada ura. czył w sam środek czoła i na ziemię powalił. W tej się chwili przeraził jeszcze mocniej, bo nad sobą, nad krawędzią wozu ducha zobaczył jak nic. Dłuższą chwilę musiał się przypatrywać, żeby dojść do tego, iż jest to jego własny pan, tylko cały owinięty wąskimi, białymi pasami.

- Karlito, gdzież mój Zedrzykaptur, szukaj naprędce - usłyszał garbus głos mu dobrze znajomy i już całkiem wróci) do przytomności umysłu, więc zaraz odkrzyknął:

- Panie, za figurą Bogurodzicy!

Dragiełło, sycząc co chwila z bólu, dźwignął się na kolana, potem wstał i chwiejąc się na środku wozu, jakby cały był opity miodu i piwa, sięgnął za rzeźbę alabastrową i zza niej wyciągnął swój miecz.

- Tarczę mi podaj i szyszak nasadz na głowę! - komenderował rycerz. Karzeł w te pędy, po dyszlu wskoczył na kozioł i zaraz zaczął grzebać w stosie rzeczy leżących na wozie. Dragiełło zaś obrzucił wzrokiem niewielki plac, na jakim stali i na końcu ulicy zobaczył trzech wojowników tatarskich ciągnących szamoczącą się Hannę. Karlito podał mu szyszak i tarczę. W tej chwili za plecami rycerza pojawili się ci zwiadowcy, którzy za uciekającym zakonikiem pobiegli. Teraz wracali łupem się zająć. Stanęli zadziwieni, przypatrując się przedziwnej postaci. Na środku wozu, na tle płonącej cerkwi, stał trup owinięty w sukna, lubo w rynsztunku do walki- Trup ten odwrócił się w ich stronę i wyciągnął miecz, tak że ostrze klingi prosto nakierował na ich piersi. Nie miał twarzy własnej, a tylko szereg pasów sukna naciągniętych na rozkładające się ciało. Oczy jeno zimne, stalowe zdawały się żywe między tymi całunami.

Tatarzy wyciągnęli szable i z krzykiem rzucili się na ducha. W powietrzu błysnęły klingi, a wszystkie zostały odbite jednym, szerokim uderzeniem trupiego Rycerza. Zawył, jak zwierz ów rycerz, kierując twarz w stronę nieba. Ból potworny zeszył jego oparzone ciało, lecz gdy spojrzał znowu, z góry

^ Tatarów zobaczył ich przerażone oczy. Z każdym mogli wal- . . . . . , cZyć dzielni stepowi wojownicy, ale nie z istotami, które przychodzą nie z tego świata. Ich nogi zrobiły się miękkie i cofnęli się wszyscy, zasłaniając głowniami szabel i łykając nerwowo ślinę- Wiatr zawiął od dołu ulicy, przynosząc ze sobą chmurę dymu. Rycerz postawił stopę na krawędzi wozu i zeskoczył na ziemię- Siła skoku zmusiła go do przyklęknienia. Z głębi jego trzewi dał się słyszeć głuchy jęk. Zaczął iść krok za krokiem w stronę Tatarów. Miecz wyleciał nagle w powietrze, śmignął jak błyskawica i jedno ciało mongolskie upadło w śnieg, wijąc się i próbując uchwycić ostatni w życiu oddech.

\*\*\*

Trzech Tatarów ciągnęło Hannę po śniegu na pohańbienie. Patrzała w górę, gwiazd szukając, lecz na niebie były tylko łuny i dymów wulkany. Dwie widziała nad sobą gęby, nieludzkie, ciemne, zabryzgane jakąś krwią zaschlą, skośno- okie, okrutne i wykrzywione w złym grymasie - ci ją za nogi wlekli. Trzeci szedł tak, że się nad nią tuż pochylał i coś gadał do niej. Nie wiedziała co, bo słów tych nie знаła, ale się one układały w taką melodię trajkotliwą, jakby jakiś kołowrotek pędził, albo bezzębna jędza snuła kłatwę. Potem zamilkł i zaczął się uśmiechać do niej. Tego właśnie zabiła. Nóż miała w rękawie, wyjęła go tak, że się nie spostrzegł, a potem wbiła mu go prosto w brzuch. Przestał się uśmiechać i upadł na plecy. Wtedy dwóch pozostałych zaczęło ją kopać. Starła się me krzyczeć, jeno głowę w rękach schowała i podkurczyła nogi- Jednak jej ręce rozprostowali. Przybiegł jeszcze jeden i jeszcze, aż było ich czterech. Bili prosto w twarz i głowę. Czują krew w ustach i w nosie, potem ucho rozcięte od kop- niaka. Rozwarli jej nogi. Nie miała już siły bronić się. Zno- Wuz w niebo starała się popatrzeć, przez puchnące powieki, tam nic, tylko dym. A na dymie światła od pożarów. Może to się popiół wznosił w górę jakimś wielkim tumanem, a nie dym? Kładły się kolory złociste, czerwone, żółte na tych gó\_ rach spopielonego miasta, od ogni, od palących się kawałów martwego grodu. Tam w górę strzelały snopy iskier z walących się belek, z zapadających się dachów, ze strzech słomianych, które w jednej chwili zniknęły zmieniając się w płatki spopielonego muślinu. Płatki te, popieliste naskórki ścian i drzwi, unosiły się wszędzie w powietrzu, tańczyły razem ze śniegiem, grając w białą-szarą zabawną grę - te białe leciały w dół, a te szare w górę i gdy mijały się wzajemnie, to tak lekko wirowały, jakby upał tańczył z mrozem w zupełnie szalonym tańcu.

Hanna patrzyła w stronę niewidocznych gwiazd i zdawało jej się, że płatki zamieniają kolejność, że teraz śnieg zaczyna padać od spodu w górę, odrywa się od ziemi, na której leżał zbyt długo i wraca do nieba, a te jedwabne, popieliste, spadają z chmur, kładąc się wszędzie szarym dywanem. Cóż za szaleństwo.

Wysoko wśród czarno-siwych chmur zobaczyła sokoła. Zatokował kilka kręgów, a potem krzyknął ostro i piskliwie. Chciała rękę do niego wyciągnąć, lecz jakaś siła przygniotła jej nadgarstki do śniegu. Próbowwała zawołać do niego, lecz język jej napuchł w ustach tak, że nie mogła ułożyć żadnego słowa. Czują kolejne, piekące wstrząsy wbijającej się w nią diablej siły.

Tatar pochylił się nad nią i wpił ustami w szyję. Zasłoni! sokoła, wypełnił niebo olbrzymią gębą. Nagle znieruchomiał Oczy mu stygły, gdy czyjaś ręka podciągnęła go w górę, a druga podrzynała gardło szybkim ruchem. Odpadł gdzieś, zniknął, przestał istnieć. Hanna leżała dalej nieruchomo, choć już nic nie kładło jej się ciężarem na rękach, nic nie roztrącało nóg. Od pleców i ud czują przejmujące zimno śniegu.

Usłyszała szelest skrzydeł.

- To ty, sokole? - wyszeptwała, z trudem układając wargi-

Ktoś ją okrył, opatulił, dźwignął i uniół na ręce.

To ty, sokole? - wyszeptwała, ale mówiła tak cicho, że ktoś by ją słyszał.

Co mówisz, kochana? - zapytał sokół, przychylając ucho do jej skrwawionych warg.

- To ty, sokole - próbowała się uśmiechnąć, ale tylko drgnęły jej kąciki ust - wiedziałam, że w końcu przylecisz.

Nióśł ją, potykając się i łykając własne łzy. Nióśł między płomieniami, wśród walącego się, pustego miasta. Leżały trupy tatarskich zwiadowców. Roztrącił je nogą. Zabił ich po kolei, ale to było za mało. Za późno. Patrzył na niego zakonnik, który zostanie świętym. Patrzył na niego rycerz ukryty pod zwojami bandaży. On też myślał o tym, że wszystko stało się za późno. Karzeł siedział na ziemi i zrobiwszy sobie kulkę ze śniegu przykładał ją do obolałego policzka. A sokół szedł, krzycząc każdym krokiem i niośł ją w ramionach, tulił do siebie i płakał. Potem ułożył ją, jak dziecko na wozie, pod głowę podkładając kawałek sukna. Poglądził po włosach. Nagle zatoczył się, łapiąc za głowę. Dopadł do rycerza w białych zawojach, od niego pobiegł do karła, poczym osunął się na ziemię, prosto pod nogi braci Job. Złapał się za ich łydki, wstał trzęsąc się i tocząc szalonym spojrzeniem upadł tuż przed Jackiem z rodu Odrowążów. Dominikanin patrzył na niego z góry i milczał.

Tej nocy przez Bramę Lwowską wyjechał nojan oddziału zwiadowczego z tumenu Ordu. Wiózł w czambuł swoją zdobycz. Na arkanie uwiązany do siodła prowadził w jasyr kilku mężczyzn, w tym zakonnika w czarnym płaszczu, uciesznego karła i dwóch jednonożnych wyrwidębów. Za nimi jechał wóz wypełniony łupem. Strażnicy tatarscy cmokali z zazdrością. Jeden krzyknął do jeźdźcy:

- Gdzie takich znalazłeś? Powiedz, to i my poszukamy. Popatrzył na nich jakimś takim wzrokiem, że aż się zmieszali. A potem odkrzyknął:

~ Lepiej nie szukajcie tego, co znalazłem.

I splunął na ziemię. To musiał być Kereita, stwierdzili strażnicy z plemienia Najmanów, tylko Kereici są tacy wredni. I oni też splunęli za nim.

\*\*\*

Gdyby choć jeden kronikarz życie uchował w czasie kijowskiego upadku, to by dzięki łasce na pióro spływającej opisał śmierć ruskiej prastolicy. A tak, musiał gród przesławny umierać do cna, nie zostawiając miejsca na żale potomnych, ani ślad zostawiony na papierze. Rankiem dnia szóstego grudnia poczęły bić poroki w Bramę Sofijską. Padła szybko i wtedy Dymitr ustanowił następną linię obrony pod cerkwią Dziesięcin- ną. Sam dzielny wojewoda stawał w walce do końca, brocząc krwią i jedną władną ręką odpierając ciosy kolejnych hord wdzierających się do serca grodu. Z nieba począł lecieć deszcz kamieni. Machiny wojenne wyrzucały w górę setki, tysiące takiej drobnicy, która nie uszkodzi murów, ale ludzi zgromadzonych na niewielkim obszarze wytłucze, jak grad walący w proso. Padali jeden za drugim, krzycząc i nie mogąc nigdzie znaleźć osłony. W końcu, uderzona pociskami, obciążona tłumem siedzącym na dachach, zachwiała się, pękła i runęła w dół cerkiew Bogurodzicy, zwana Dziesięciną. Zaraz też Tatarzy zdobyli ostatnie wały obronne, uczynione za targiem.

Przez wiele to lat chylił się ku upadkowi Kijów, ustępując powoli miejsca innym księstwom ruskim: Halicko-wołyń- skiemu, Czarnemu, Nowogrodzkiemu, czy Włodzimierzow- skiemu. Ciągłe jednak miał on w sobie wielkość prześwieanego starca, Nestora, ciągle wzbudzał zachwyty, gdy się stało nad Dnieprem i patrzyło na złote kopuły kilkudziesięciu cerkwi. Ale i on umarł, jak najstarsze z leśnych drzew, na które prędzej czy później nadchodzi ten dzień, gdy silny wichur powali je wśród rosnącego młodnika. Taka jest kolej życia- taka jest natura rzeczy - zapisałby kronikarz w latopisie» gdyby przeżył. Zginęli jednak wszyscy, co do jednego, a rzeź trwała kilka dni. Po ulicach płynęły rzeki krwi, w których brodzili Tatarzy po kostki. Mordowali powoli, tak żeby zrobić to dokładnie. Gromadzili ludzi na placach do zarznięcia w budynkach do spalenia. Kobiety hańbili, mężczyznom Y^ypruwali wnętrzości, matkom kazali patrzeć na śmierć zabijanych dzieci. Dwie małe dziewczynki weszły w komorę pieca chlebowego i tam się zamknęły. Gdy runął nad nimi płonący budynek zostały tak, płacząc, w uścisku na wieki pogrzebane.

Kiedy już się skończyło mordowanie, na szczycie góry szczekowickiej stanął sztab mongolski. Batu uniósł żelazną, zdobioną maskę na czoło. Śnieg powoli pokrywał wyszywany złotem sajdak leżący na udzie i świetlistą zbroję. Obok niego stał Subedej przyglądając się ciemnej chmurze unoszącej znad pogorzelska w stronę nieba. Płatki śniegu padały mu na brwi i topniały na wargach. Oblizwał je, a potem rzekł:

- Nic nie zostało. Popiół i krew. Popiół nasiąka krwią, a potem rodzą się demony. Słyszysz, jak wyją, prześwietny kaganie?

Batu-chan stuknął piętą w bok swojego konia i podjechał tak blisko, że stykali się strzemionami.

- Możesz się poczuć ojcem owych demonów, stary Lisie. Zostawmy tego trupa i ruszajmy ku zachodowi.

Wielki wąż mongolskiej armii zaczął wpełzać dalej, w głąb Europy.

południowej części wrocławskiego civitas, przy 'skrzyżowaniu dwóch głównych traktów biegnących przez miasto, na niewielkim wózku wspartym dyszlem o pień, stał mężczyzna pokracznego wyglądu i wznosząc w górę ręce krzyczał do mijających go podróżnych.

Chociaż drogi były zasypane śniegiem, to śląska stolica ściągała tłumy przyjezdnych, szczególnie w dzień targowy ~ ciągnęli tu ludzie ze wszystkich okolicznych wsi, wygnani z domu bądź nudą, bądź potrzebą pilnego zakupu, a z miast w'ększych jechali na saniach kupcy, mistrzowie rzemiosł i rękodziela, by się na placu handlowym rozłożyć z towaram 'icyć na zarobek. Zima nie zima, mróz czy ślota, człowiek 'Us' c'ós sprzedać, żeby do wiosny dobrze żyć, a żonie i dzieciom zapewnić co trzeba. W stronę przeprawy na Piasek, m'ostu-jatek i targowiska ciągnął więc owego dnia wielobarw- ny ^Urn> za nic mając proszący śnieg, przemakające czasem

buty, albo zimno szczypiące w gęby. Do tej rzeki gwarnej krzyczał ów człowiek stojący na marnym wózku, a gdy brodę podniósł, to widać było z daleka, chyba na stajanie, że jest ślepy, bo mu w oczodołach jaśniały białe kule, jak świeże jaja kurze wepchnięte pod powieki.

Nie mógł być to jeden z tych oszustów, skomorochów, szalbierzy i linoskoków, którzy po grodach wszelakich łązą, a ludowi ciemnemu wcisną co tylko chcą, od uciesz- nych igrców po fałszywe drzazgi z Krzyża Pańskiego (tych blagierów pełno i kto przy rozumie, ten ich kręctwo prędko odkryje) - gdyż kalectwo tego mąciwody było aż nazbyt widoczne. Bielmo miał na oczach całkowite, a nikomu się jeszcze nie zdarzyło, by coś takiego udać - czy by ktoś bowiem tak oczy wywrócił, żeby źrenice skierować na tył czaszki i je w tym położeniu utrzymać przez trzy, no, niech będzie dwa, pacierze? Nikomu.

Tak więc ślepiec budził zaufanie swoją chromotą, a w dużej mierze też i ciekawość ludzką, tak przynależną naturze homines peccantes<sup>17</sup>. Tę to cechę człowieczą z wysokości ambony katedry Jana Chrzciciela piętnował biskup Tomasz, a wiernych przestrzegał, iżby się wobec katowskich czynności gromadzili nie kierując czczym zainteresowaniem, ale ku nauce i przestrodze, a taką stąd wynosili nabożną lekcję, iż się wszelka nieprawość i łotrystwo zawsze zemszczą na tym świecie. Kara Boska grzeszników nie omija, przychodzi z chorobą, morem w powietrzu, bydła padaniem, trądem, zatruciem studni, suszą i najazdem nieprzyjacielskiego wojska. Stąd potrzeba pokuty.

Wokół wózka owego ślepego łajzy, niepomny nauk metropolity, gromadził się tłum ciekawskich - kto się nie śpieszy! zbytnio, ten przystawał posłuchać, a po prawdzie przyjrzyć się kalectwu, pokrzywić się i poutyskiwać na to, że się chce komu własne ohydztwo na świat Boży wystawiać. A że ślepiec wykrzykiwał wiele słów, pomieszanych niby, trudnych do wyrozumienia, to się zrobiło jeszcze większe zbiegowisko- atrakcyj w mieście nigdy nie za

wiele, warto coś przeżyć, usłyszeć, by wieczorami móc opowieści snuć po karczmach i przy piecach. Po jakimu on gadał, co chciał w zapalcząwości ludziom przekazać, ciężko by tu rzec - mowa jego był niespokojna, żarliwa jak u mnichów, ręce co i rusz wlatywały w niebo jak szpony wielkiego ptaka, a słowa się plotły z różnych języków: lechickiego, czeskiego, niemieckiego, greki i łaciny.

- Oto jak Bóg grzeszników karze - szepnął ktoś w tłumie - temu nie dość, że wzrok zasłonił bielmem, to mu jeszcze rozum odebrał.

- Patrzcie w niebo, grzeszni! - podniósł się głos ślepeca, a ręka jego wskazała sklepienie siwych chmur - Tam już wisi flagellum Dei\*, a gdy spadnie na plecy wasze, będzie się krew lała, krzyki się podniosą u ciżby, płacz będzie i ucieczka! Padnijcie na kolana i módlcie się przebłagania za grzechy wasze, gdyż godzina Sądu bliska, a Smok się już czai u wrót waszych! Widziałem bramę otwartą w Niebie. Na tronie siedzi mąż dostojny, z brodą, na której pływają łodzie aniołów, a na kolanach trzyma wielką księgę. Siedem jest na niej pieczęci. Pierwsza, Druga i Trzecia już są otwarte! Płyną ku nam armie Goga i Magoga! Padnijcie na kolana ludzie i nawracajcie się! Bijcie się w plecy różgą, głowę posypcie popiołem, płaczcie i noście Włosienicę zamiast waszych sukien, jeśli w ogniu piekielnym zgorzeć nie chcecie! O bracia moi, siostry moje! Posłuchajcie! Lwa widziałem z pokolenia Judy, potomka Dawida. On otworzy księgę i siódmą pieczęć przełamie. Oto czworo zwierząt widzę i dwudziestu czterech starców, a przed nimi Baranka. Baranek stoi lecz jakby zabity. Czemuż wy stoicie, ludzie? Głupcy! Czemuż stoicie?!

Ślepiec nagle zachrypnął. Musiał przerwać, a jego przestrogl uwięzły mu w gardle cichnąc powoli i gulgocząc, jak woda wpływająca w jakąś rozpadlinę.

flagellum... (łac.) - Bicz Boży.

Kilku słuchaczy odeszło machnąwszy ręką, ktoś zaciął konie batem, jego sanie ruszyły dalej i mijając klasztor domi nikański pojechały w kierunku targu, kto inny śmiał się głośno i wraz z druhem zaczął wykrzykiwać w stronę wieszczej zaczepne wyrazy, a że z kompanem obaj byli podchmielę, ni po wizycie w karczmie na Bytyniu, to jęli bluzgać głośno i rzucać kawałkami lodu i zmierzniętym błotem.

Mąciwoda nie zwracał uwagi na zaczepki. Zatarł zgrabiałe od zimna dłonie, chuchnął w nie, potem zebrał gdzieś z boku garść śniegu i wsadził do ust, żeby ugasić pragnienie. Wymacał postronek zawiązany na paliku wstrzymującym boczne deski wózka i biegnąc po nim dłonią odnalazł uwiązane na końcu psa. Zanurzył palce w gęstej sierści, coś mruknął do niego, poklepał, a potem wstał i poprawiwszy na sobie wielki, gruby płaszcz, stanął na powrót przed zgromadzonymi, by wypuszczać następne proroctwa w mroźne powietrze.

- Niech was zabolą kolana, ludu grzeszny! Popatrzcie tam, na wieżycę kościoła Jawnogrzesznicy, z niej bierzecie exemplum, jak i ona bijcie się w pierś. Stukrotnie! Tysiąckrotnie! Idźcie palić u jej ołtarzy kadzidła wonne, padnijcie na twarz i czołem bijcie, a proście wstawiennictwa Świętej Maryi Egypcjanki. Insza może być, jeno zważcie, co by w kotłach nie zgorzeć. To pierwe ważcie, sumienia się pytajcie. Albo i nadejdzie Czas odkupienia winy. A dzień tego bliski! - odetchnął, ocierając krajem rękawa spierzchnięte od zimna usta i krzyczał dalej, ludzi zebranych nie widząc, ale czując i słysząc ich obecność:

- Ciągną tu jeźdźcy Szatana! Armia Złego wyszła z podziemi i krótki nam żywot pozostał. Już oni pożrą dzieci nasze, żony pohańbią, a wam każą na postronkach tańczyć, u stóp warować, kręcić żarnem diabelskim przez lat tysiąc i jeden! Taka kara za grzechy wasze nadejdzie! Baranek zabity! A pośrodku głowy ma Siedem Rogów i Siedmioro Ocząt błyszczą i w jego czasce, jak Siedem Zórz. To jest Siedem Duchów Boga, zesłanych przez Najwyższego ku naszej obronie. Tak czytajcie,

bracia moi, co zapisał Jan Apostoł o bliskim nadejściu dni nadejścia - h Słuchajcie jego mowy. Ratujcie się. Szykujcie domy ku obronie! Miasto sprawcie, zapas ziarna i piwa na kłód setki uczynicie, ostrzcie miecze, kopcie fosy głębokie, wzmocniajcie węze, na murach kosze plećcie

do utrzymania ognisk, a na wieżach i bramach stawcie po stokroć strażę i każcie im wypatrywać dzień i noc. Bo Bicz nadciągnie i na nasze karki spadnie. Nadejście jego bliskie, a pewne jako to, że po zmroku zjawia się poranek, po lecie zima, a po żywocie człowieczym nadpływa kres dni. Tam jest jeno wieczność. Inne rzeczy się kończą. Bracia! Czas grzechu się kończy, nadciąga czas pokuty!

Tak krzyczał ów ślepiec, a ludzie słuchali go przez chwilę, a potem jechali dalej, w głąb miasta.

Tam już ich czekał dalszy ciąg komedij i ciekawych wydarzeń - kurwy stały przy karczmach, sprzedawcy darli łby

O miejsce na wystawę towaru przy jatkach, dzieci biegały z krzykiem za psem „łapiąc biesa”, na komorach celnych kupcy piekło robili o wysokość opłat książęcych, złoczyńcy zamknięci w drewnianych kłodach błagali przechodniów zlitowania i podrapania po plecach, trędowaci szli przez tłum klekocząc kołatkami, żebracy kładli owrzodzone nogi na progach kościołów, złodzieje robili co swoje przepatrując sakiewki przyjezdnym, grajkowie śpiewali pieśni koło rusztów z pieczonym mięsem, wszędy słyhać było pomieszanie języków takie, jakby urbs\* się zwał nie Wrocławiem, ale Babilonem.

Białooki wieszczek, stojący na skrzyżowaniu dwóch głównych traktów i krzyżący ze swego wozu przestrogi o czekającej wszystkich zgubie, stawał się tylko pierwszym z brzegu dziwowiskiem, nie mniej i nie bardziej ciekawym, niżli nierządnicą o podwiniętej kiecce, człowiek cyklop łamiący podkowy, minstrel z Lyonu uderzający w lutnię, czy ciełę o dwóch głowach, które się zrodziło we wsi Sokolniki, a jego właściciel brał denara za możliwość obejrzenia zwierzęcia pod płachtą.

I nie ulega wątpieniu, że mógł ten niewidomy zawdzięczać swoje powodzenie i ciągle nierzednący tłum przed wózkier^ jeno własnej ślepcie; więcej się ludzie dziwowali białkom jego oczu, bliżnom które szły w poprzek twarzy, znacząc skórę od jednej skroni do drugiej, niż szaleńczym słowom jakie wykrzykiwał. Małoż to mąciwodów klekocze o końcu świata? Małoż to szaleńców wrzeszczy o pokucie i namawia do sypania łbów popiołem? Małoż to jarmarcznych proroków, co wzorem mnicha Joachima z Fiore, nauczają tłumy, iż nadchodzi era Ducha, która naturalnym jest następstwem Czasu Ojca, a potem, od narodzenia Chrystusa Czasu Syna? Ot, wielu jest takich, co wieszczą bliski koniec Czasu, nadejście Dnia Sądu. W setki ich zliczysz. Może w tysiące. Ten był tylko jeden z nich. A jego słowa nie znalazłyby posłuchu

takiego, gdyby nie stygmat bielmowego spojrzenia.

\*\*\*

Traktem idącym od Krakowa i Opola jechało w stronę miasta dwóch zubożałych rycerzy.

O ich rycerskim stanie świadczyć mogły jeno kolczugi, miecze wiszące u pasa i dumne spojrzenia rzucane spod szyszaków. O zubożeniu, niestety mówiła cała reszta: nędzne szkapiny o wystających żebrach, poszarzałe opończe bez znaków herbowych, hełmy z rdzawym nalotem na obrzeżach, buty o przetartych czubach i podeszwach, a wreszcie płaszcz, którymi się jeźdźcy okrywali od chłodu - te już dawno utraciły swoją barwę, łąta gonila w nich łątę, a ściegi nieudolnego cerowania świadczyły o tym, że robotę krawiecką wykonywał sam właściciel.

- Wiesz, Bocianku, mam myśl sposobną - rzekł nagle woj jadący przodem, właściciel potężnego brzucha i sumiastych wąsów.

- Jaką to, Michałko? - spytał drugi z rycerzy, tak chu- dzieńki, że szyszak na jego głowie wyglądał niczym gliniany dzban od ogórków praśnięty przez gospodynię na koniec ogrodowej tyki.

Widzisz, mój zacny druhu, od pierwszego wejżenia po

znać, żeśmy co prawda szlachetnego urodzenia, ale kiesy mniej zasobnej - grubas mówił z fałszywą swobodą, zerkając



z ukosa na przyjaciela.

\_ Otóż znać, nie dziwota - odrzekł jeździec cieńszy w sobie, a spod hełmu wysunął się jego długi, haczykowany nos, wietrzący podstęp.

\_ Myślisz, Bocianek, że nas strażę przed oblicze księcia dopuszczają, gdy my, o takie, chudopacholki, tu wiatr wleci, tam wyleci, aż smutno? - Michałko popędził piętą swojego konia, bo ten już całkiem przysnął i łeb zwiesił nad drogą, jakby tam jakie kwiecie rosło pośród śniegu.

- A czegoż mają nie dopuścić?

Brwi podjechały kościstemu pod samo obrzeże szyszaka, więc zezem na nie spojrzął, myśląc, czy się one tam całe skryją pod żelastwem, czy ino mała część. Tak się w owe brwi swoje zapatrzył, jakby na tym się tylko mogły skupić jego rozbiegane myśli, a nie na dziwnych pytaniach, jakie stawiał przyjaciel.

Ów nie ustawał w powolnym, acz skutecznym niby kropla padająca na skałę, drażnieniu tematu:

- No popatrz, Bocianek, tak na nas. Cóż widzisz?

Grubas rozłożył szeroko ręce, by lepiej jeszcze zaprezentować nędzę swojego ochędóstwa.

- Jak cóż? Jedziemy.

- Jedziemy - Michałko powtórzył naśladując złośliwie nosowy głos swojego kompana, a potem rzucił znad zaciśniętych warg - prawda to taka, jak to że zimą jest zimno. Dyć ważnym jest, jak jedziemy!

-Ot, wymyślił. Jedziem stępa. Znaczy się powoluśku... - odpowiedział Bocianek gapiąc się przed siebie znudzonym wzrokiem - ...koni żałując. Nie śpieszym się.

Grubas szarpnął za wodze, tak że jego wałach, aż w miejscu stanął, a gały wywalił w przód, jakby kto w ogiera go Przemienił magicznym zaklęciem.

Tak i chudzieńki wojak się zatrzymał, jeno spokojnie, nerwów bez potrzeby nie budząc ni w swoim ni w końskim ciele. Ono też szacunku wymaga, bo od Boga pochodzi, stworzone nawet wcześniej, niżli człowiek. A że Bóg dał człowiekowi władzę nad wszelką zwierzyną, tak się trzeba nią zająć zawsze z gospodarskim zamiłowaniem. Tak to twierdził Bocianek i często przyjaciela strofował, gdy ten za mocno ostrogę wbił w bok wierzchowca.

- Co ja mam za skaranie boskie z takim niemotą - westchnął głośno Michałko, podparł się pod opasy bok i począł klarować:

- W tym jest rzecz, że nikt przy rozumie nas za wojów książęcych nie uzna. Spójrz, Bocianek, na siebie, ot łachman na łachmanie, rdza łazikuje gdzie bądź, kości sterczą spod dziurawej kolczugi, a żeby to kolczugi, toć ta siatka ruda od nalotu wygląda, jak wiersza\* na kielbie i raki, a nie rycerski przyodziewek bojowy.

- Kielbie to ty masz sam, w swoim głupim, tłustym łbie, a raki ci tyłem wylażą, toś spąsowiały na gębie. Wieprz i stare, grube babsko z wąsami! Twoja kolczuga musi lepsza, bo mocno natłuszczona. O widzę, że tłuszcz przez dziurki aż wylata! - to wykrzyczał chudzielec, a krom tego co w złości głośno wyrzekł, to jeszcze po cichości parę takich słów dodał, że aż jego koń uszy podkulił.

Po wymianie owych zawołań rycerskich jechali dalej milcząc zawzięcie i skubiąc jeno krańce wąsideł. W końcu Michałko zachrząkał trzy razy, potem zapluł przez lewe ramię dla odczynienia uroków, które z przyjaciół robią psy rzucające się do gardeł i rzekł:

- Bocianek! Ja cię proszę, ty popuść sobie tego jadu, gdzie z krwi, na giezło, dwa razy dechu weź dla uspokojenia i wysłuchaj, co ci chcę przedłożyć.

Dwa pacierze szybko przemówił chudzina w myślach, żeby nie było, iż od razu się daje w pole wywieść zgrabną namową, a później westchnął i skinął głową nadwornie, tym wskazując, że gotów jest do nachylenia ucha.

- Jako ci rzekłem, tak podziwej - Michałko mówił z silnym przekonaniem w głosie, że o słusznej rzeczy gada - wygląd nasz jest nieprzystojny, suknia plugawa, oręż nieoliwiony, rdza wszędy bierze, złamanego brakteata\* w kiesce nie ma, a co już najgorsze, weź to mocno na rozwagę, żaden za nami pacholek nie jedzie. Żaden chłopina, choćby i najlichszy, choćby taki, że z głodu ledwie lizie, za nami nie postępuje, co zaś wyświadcza i każdemu przed oczy przedkłada, że myśmy są chudogęby bez własnej ziemskiej przynależności, chamy nieszlachetne i niegodne szacunku. Widziałeś ty gdzie rycerza, co bez pocztu jedzie, giermka nie ma i żadnej służby? Pal to sześć gdy o pielęgnację zbroi, czy ubioru idzie, tę jak widać, sami możemy sprawić. Ale co zrobić, gdy na nas złość nachodzi i by się chciało w łeb komu przywalić? Cóż to wtedy? Rozglądasz się i chłopskiej gęby nie ma naokoło. Jedna tylko jest - własnego druha. A w tę nie przywalisz...

- O, a pamiętam, jak żeś pod Raciborzem... - próbował mu przerwać Bocianek, ale tak na niego Michałko spojrzął, że chudzina zamilkł.

Jechali teraz nic nie gadając. Grubas widząc, że zanętę na podatną wodę rzucił, milczał i cmokał jeno na kobyłkę, a wąsami strzygł to na lewo, to na prawo.

Wjechali na trakt moszczony drewnem i wraz przed oczami mieli pierwsze dachy osady walońskiej, a za nimi wieżyczkę kościoła Świętego Maurycego. W zimnym powietrzu roznosił się zapach dymu z kominów i palenisk.

Kopyta inaczej teraz tętniły, uderzając w belki, którymi wyłożono drogę od sioła osadników z Flandrii aż do samego skrzyżowania dróg na południowym krańcu Wrocławia.

Brakteat - najdrobniejsza moneta w wiekach średnich, bita jednostronnie, z cienkiej blaszki. Przejechali pół stajania i na wysokości pierwszych chałup przystanęli. Od lewej, zza cmentarza żydowskiego, szło kilka postaci, okrytych ciemnymi sukniemi, w wielkich kapturach narzuconych na głowy, sterczących w górę ostrymi zwieńczeniami i narzuconych tak głęboko na oczy, żeby twarzy nie można było rozeznąć. Z daleka, że na jasnym śniegu się odbijali burymi sylwetkami, to się mogło zdawać, że jacyś zakonnicy, ale nie byli to słudzy Boży. Unosili wysoko nogi, brnąc w śniegu, a prowadzący uderzał w trzymaną przed sobą kołatkę. Niewielki młoteczek przelatywał to na jedną, to na drugą stronę deseczki, podając drażniący ucho rytm. Putuk. Putuk. Putuk. Tuputuk. Niósł się ten dźwięk daleko, odbijając od ściany drzew, a gdyby to lato było, to by się można omylić, iż dzieciół larwy wystukuje po lipach. Ale gdy śnieg leżał po drogach, to wszelkie stworzenie wiedziało, że podobny stukot nie przez ptaki jest czyniony, ale przez ludzi skaranych przez Boga ciężką chorobą. A kara to była okrutna - mięso ich stawało się ścierwem, gnęło i w kawałkach odpadało od kości, czyniąc z owych nieszczęśników żywą padlinę, dogorywającą w bólu przez długie lata.

- Trąd! - krzyknął ostrzegawczo człowiek z klekotką.

- Trąd! - odpowiedziało mu echo, odbijając dźwięki od ścian walońskich domów i pni drzew z pobliskiego lasu.

Koń, na którym jechał Bocianek, zarżał i wzburzony dreszczem niepokoju, jaki w powietrzu zawisł od złowieszczonego wyrazu, zaczął drobić tylnymi kopytami, bębniąc po drewnianych belach drogi i wzbijając tumany śniegu. Michałko wychylił się i złapał go krótko za uździenicę, przy wędzidle i przyciągnął ku sobie, żeby uspokoić go i w miejscu osadzić.

Za rycerzami zabrzmiały dzwonki u sań.

- Hola! - wrzasnął woźnica jadący z towarem od Opoli i unosząc się na koźle, wstrzymał konie.

- Czemu stoita? Nie idzie ominąć ta bokiem?

Zaraz jednak usłyszał kołatkę i zobaczywszy pochód za- kapturzonych ludzi, zrozumiał w czym rzecz i usiadł, klnąc i spluwając.

Chorzy szli ścieżką od strony leprozorium Świętego Łazarza, w stronę Domu Jedenastu Tysięcy Dziewic, gdzie w żeńskim szpitalu dla trędowatych niewiast dawano ciepłą strawę, po południowym Aniele Pańskim.

- Trąd! - zawołał prowadzący, a Michałko poczuł, aż mu dreszcz od tego słowa po plecach przebiegł, całkiem, jakby od usłyszenia samego wyrazu można było zapaść na śmiertelną influencę gnilną. A nic na nią nie pomagało, ni jedzenie papki z żabiego mięsa, ni okadzanie dymem z jagody, ni puszczanie krwi. Kto raz dojrzał, że mu gdzie kawał ciała poczyna sinieć, ropieć i w końcu odpadać, ten już nie miał szansy najmniejszej na dokończenie żywota bez bólu i cierpienia. Odtąd już był skazany na chodzenie z kołatką, dla przestrogi i na kolejne chwile przerażenia, gdy nie mógł poznać swej twarzy patrząc w odbicie w tafli wody - już mu brakowało części nosa, policzka, wargi, nie było zębów, ani ucha, a w piersiach się robiły dziury, przez które w końcu powietrze wydostawało się wprost z płuc, i gdy ono gniło, razem z sercem i mózgiem, to śmiertelnik taki, odpokutowawszy na tej ziemi swoje straszne grzechy zasypiał czekając na trąbę dnia Sądu z nadzieją, iż będzie mu darowane.

Patrzył więc Michałko skamieniały na zbliżających się trędowatych, których ścieżka podprowadziła prosto przed ich szkapiny.

Koń Bocianka, gdy zobaczył spiczaste kaptury, gdy usłyszał kołatanie i krzyk, oczy ze strachu rozszerzył, zarżał głośno, uszy położył i przysiadając na zadzie począł miotać się ' burzyć, a biedaczyna na nim siedzący, choć go uspokajał, klepał po szyi, a potem ciągnął za wodze, to nie mógł nad nim zapanować. Szkapia chuda, ledwo żywa by się zdawało, teraz °stała wigoru i tak się wprzód rzuciła, że uderzyła piersią w jednego z chorych zwalając go z nóg. Biedak upadł na drogę, krzycząc ze strachu i zasłaniając się rękawem. Kaptur opadł mu na plecy, odsłaniając głowę, z której skóra płatami odłaziła. Trędowaty skulił się, odskoczył i znowu schował pod kapuzą.

Prowadzący grupę, podniósł kołatkę i uderzył nią głośno, kilka razy, a zwróciwszy się w stronę konnych wykrzyczał spomiędzy gnijących dziąseł:

- Trąd, pacholki! Po naszymu nie gadacie? Trąd!

- Pacholki? Jak śmiesz, ty gadzie podły takim słowem... - Michałko podniósł się w strzemionach, a wąsy mu się nastroszyły od złości.

Trędowaty zaczął się śmiać, głośno niczym szalenciec, potem zakrztusił się śliną, odcharknął i na koniec splunął w stronę rycerzy. I zawinawszy się poszedł dalej, uderzając raz za razem młoteczką w niewielką deskę. Putuk, putuk, putuk. Tuputuk.

Za nim poszli pozostali i wkrótce zniknęli gdzieś za domami, a głos ostrzegawczy o trądzie i pukanie kołatki stało się ledwo słyszalne, przenosząc za wzgórek na oławskim brzegu.

Bocianek patrzył za trędowatymi, a w jego oczach malowała się groza i przerażenie. Zzuł rękawice i zaczął trzeć policzki, jakby co na nich osiadło obrzydliwego.

- Chyba żeś się, Bocianku, nie zbiesił, jak twój koń? - zapytał go nagle gruby przyjaciel znajdując uciechę w widoku złężnionego towarzysza.

- Wolę potrzebę, bo jak się paskudztwo jakie z powietrzem przeniesie...

- Już się przeniosło. Znać, że ci nos czerwienieje z każdą chwilą. Ino patrzeć, jak odleci. Oj, łapaj, już spada.

Nagle się z tyłu podniósł głos rozeźlonego woźnicy:

- Mom was łajdaki z tyłu batem pomacać? Czy same ru- szyta, nieroby?

Michałko obrócił się w siodle, jak giez, który nagle czując bliskość bydłęcia, pragnie natychmiast je ukąsić.

\_ Powtórz wyraz, jakim mnie ochrzciłeś, chamie, a poznasz smak żelaza, które dynda u mego boku! Widzę, żeś w świecie nieobyty, więc cię oświecę, żeś jest Michałko z Ciepłowody, rycerz księcia Henryka Starego!

Wrzasnął głośno rycerskie zawołanie, i spróbował pierś podać dzielnie ku przodowi, lubo trudne to było bardzo, bo brzuch jego tej był wielkości, iż wypięcie jakiejś części ciała ponad nim wymagało kunsztu, wielu ćwiczeń, a może nawet bez czarnej magii by się nie obeszło. Chudziutki jego towarzysz, widząc, co się święci, także się w stronę woźnicy zwrócił i głosem piskliwym, ale dumnym, swoje rycerskie zawołanie wykrzyczał:

- Jam jest Bogusław zwany Bociankiem z Bocianowic, także z nadania księcia Henryka z Brodą! A żelazo mam równie ostre przy boku, co mój druh, chociaż posturę ździebko mniej ciężkiej obudowy. Waż więc słowa, wyskrobku świniopasa!

Kupiec na takowe dictum zubożałych wojów księcia Henryka początkowo zgłupiał, otwierając gębę, ale że zimno było, więc ją przymknął prędko i gwizdnął głośno, a na tyle jego sań pojawiły się cztery łby chłopskie o włosach kopia- stych jak strzechy przez wichurę naruszone.

- A ja jestem Głęb! Wiozę baranie mięso na jatki. A to som moje parobki. Majom kije i tasaki. Z drogi bo was po- szatkujom, jak baranów!

Michałko w złości wyszarpnął miecz z pochwy, lecz zanim cokolwiek zdołał uczynić, to się rzeźnik w saniach podniósł i tak zaciął batem, że uderzył nim w zad bociankowego konia, który teraz wpadł w prawdziwe szaleństwo. Zwierzę wyskoczyło w górę, zarżało jakby kto go zarzywał i puściło się takim pędem, że tylko siwy tuman śniegu się uniósł, jak za trąbą powietrzną. A Bocianek na grzbiecie darł się w nie- bogłosey i z całej siły trzymał lęku, żeby nie zlecieć.

Jego gruby przyjaciel, porzucił sprawę z woźnicą, wsunął miecz do pochwy i pognął wstrzymać oszalałego wierzchowca- by Bocianka od śmierci niechybnej uchronić. I nie od trądy przychodzącego z powietrza, ale od zwykłej gałęzi, co go mogła palnąć w łeb i na miejscu przenieść na łąki elizejskie.

\*\*\*

Michałko pędził traktem idącym w stronę Legnicy, omijając wozy, sanie duże i małe, ciągnięte przez konie i woły, pje. szych co nieśli coś w koszach zawieszonych na plecach i jedynie hamując na chwilę w stadzie owiec, które ktoś gnał na stronę żydowskiego siola. Daleko przed sobą widział sylwetkę cwałującego Bocianka, który wczepił się w siodło i w grzywę, jak kleszcz w psi kark. Potem mu zniknął z oczu, między chatami nowo stawianego osiedla. I tam skręcił z traktu rycerz z Ciepłowody. Minał ze dwie, trzy chałupy, potracił jakiegoś dziadunia, który za nim laską zaczął wymachiwać i złorzeczyć i w końcu, obok wielkiej kadzi, w której skóry moczono dla wygarbowania w odpowiednich wywarach, zobaczył konia bociankowego stojącego w poprzek drogi. Sam zaś Bogusław z Bocianowic leżał obok, bezwładnie jak szmaciana lalka. Nie ruszał się. Rycerski rumak cały był mokry od potu, robił bokami, a piana mu kapiała z pyska na śnieg. Michałko zeskoczył z konia, co zważywszy na jego tuszę było wyczynem nie lada i znaczyło, że się mocno zaniepokoił widokiem przyjaciela leżącego bez ruchu na drodze. Dopadł do niego, odpiął mu pasek szyszaka spod brody, odrzucił hełm na bok i delikatnie ułożył głowę na skórzanym kapturze.

- Bocianek! Dychasz?

Jeno szkliste oczy patrzące ku niebu były za odpowiedź. Powieki ani drgnęły, a z ust nie unosił się nawet maleńki obłoczek pary. Michałko zaczął więc, sapiąc i prychając, rozsupływać rzemień koszuli na piersiach, a następnie śniegu nabrał w ręce i natarł nimi chudą, nieruchomą gębę.

- Bocianek, ty mnie tego nie rób, ja cię proszę! - rzekł grubas rwanym głosem.

- Nie trzyj mi gęby. Śnieg mi za koszulę leci - z zimnych ust Bocianka wydostało się nagle tchnienie żywych słów- Rzucił się na niego tłusciuch i zaczął ścisnąć.

\_ ?ywiesz! Chwata niech będzie Bogu! Jużem myślał...

\_ Żywię- Pewnie, że żywię. Cały czas żywię. Ino się nie ruszałem, jakeś nadjechał.

\_jsjie ruszałeś się? - na twarzy Michałka pojawił się grymas taki, jakby czegoś się rycerz z Ciepłowody domyślał, lecz nazbyt wcześnie nie chciał wybuchnąć gniewem, przed zbadaniem sprawy. Udając więc naiwnego mówił:

\_ Myślałem, żeś już całkiem wyzionął ducha.

- Gdzieżby - Bocianek ziewnął, jak po miłym śnie - jak z konia zleciałem, to wpadłem do śniegu. A że byłem już zmęczony długą jazdą, to myślę, że miło tak poleżeć i odpocząć, na chmury się podziwować, podumać sobie.

- Podumać? A ja żem włosy z głowy darł, ja żem tutaj już łyżki łykał... - Michałko czerwieniał na gębę i zaciskał pięści.

- Toż właśnie dlatego, żem ślepią w górę wlepił i trzymał w bezruchu i dlatego nic nie dychałem. Żeby się gapić i sprawę wybadać, jakby to było, gdybym tak po prawdzie kark skręcił. Płakałbyś po mnie, czy nic byś nie rzekł, trupa ograbił i polazł pasować się w karczmie z ladaczną.

- I co ci wyszło? - powoli zaciskała się pięść rycerza z Ciepłowody, ale Bogusław z Bocianowic tego nie widział.

- Po prawdzie, to ani jedno, ani drugie - westchnął niezadowolony Bocianek - sakiewkę ostawiłeś co prawda w spokoju, aleś za to począł pastwić się nad moim ciałem. Tarłeś je śniegiem i...

Nie skończył biedaczyna, bo się nad nim pojawił kułak wielkości bochna. Szczęściem tylko zdołał się Bogusław uchronić przed spadającym z nieba ciosem.

- Co ci to? Michałko! — zaczął wrzeszczeć i uciekać na czworakach.

~ Teraz to ja się będę pastwił nad twoim ciałem. Teraz, o zobaczysz! Popamiętasz! Na tamtym świecie będziesz to wspominał! Jak to leżał niby bez ducha. Jak to ślepią nieru- ome w niebo wbijał! O łotrze przekłety!

Tłuścioch darł się i próbował kopniakiem dosięgnąć kościstego niegodziwca, ale ten był zwinny jak kot i skakał z jednego miejsca w drugie.

- Ze ślepiami i gapieniem to nie oszustwo! To żem się zamyślił mocno i dlatego takie gały mi się wywaliły! - darł się Bocianek próbując uspokoić rozsierdzoną bryłę mięsa i tłuszczu, która mogła lada moment pozbawić go życia. W końcu Michałko dopadł chudzinę, podciął, wyrócił w śnieg i siadając na brzuchu zaczął dusić.

- Tak żeś się zamyślił? Nad czym to, gadzino przekłeta? Nad końcem swoich dni? To i dobrze, bo właśnie nadchodzi, z mojej ręki!

- O tym, żeś miał rację. Tyś miał rację, Michałko! - krztusząc się i łapiąc rozpaczliwie powietrze wykrzyczał woj z Bocianowic - Z giernkami! Z orszakiem!

Grubas poluzował uścisk.

- O tym, żeśmy są jak chudopachołki, a nie rycerze po wyglądzie? - spytał sapiąc.

- Właśnie. O tym. Puszczaj mnie, bo zadusisz! - wyjęczał Bocianek usiłując odgiąć grube paluchy ze ściśniętej grdyki.

- Puszczę, jak zaprzysięgniesz.

- A że co?

- Najpierw zaprzysięgnij, że się zgodzisz.

Chudy nieborak podjął ostatnią próbę wydostania się z uścisku, zaczął więc się i szarpać, jak szalony, lecz zbyt był lekki, żeby pokonać siedzącą na brzuchu masę. W końcu zrezygnowany wyjęczał:

- Zaprzysięgnę się. Jenó puszczaj.

I Michałko puścił. A Bocianek się zaprzysięgnął.

I na czas pobytu w perle śląskich miast został giernkiem rycerza Michałka z Ciepłowody, samemu zapominając, iż posiada wieś własną Bocianowice, z niewielką ochodzą<sup>19</sup> i kawał lasu. Dzielny był to rycerz, a giernkowanie u druha stało • dla niego drogą pełną wyrzeczeń,

która w wypadku osoby duchownej mogłaby go wynieść na ołtarze. Może i dobrze, że tak się jednak nie stało, któż by bowiem zachował należną owagę klęcząc przed obrazem, z którego sterczałby długi nochal i straszły bocianie, głupekowate oczy. Nikt nie kanonizowałby Bocianka, bo to proces kosztowny i czasochłonny, lubo trzeba gdzie wypisać w księgach, ku wspomnieniu potomności, że Bogusław z Bocianowic, pełniąc służbę u Michałka z Ciepłowody, wykazał się wielką pokorą, spokojem, cierpliwością i innymi cnotami, które niechybnie kogo innego doprowadziłyby do świętości. Całe szczęście Bocianek pozostał Bociankiem i obecnie dzięki temu siedzi na stopniach tronu Pana Boga i cieszy się rajskim spokojem. A niektórzy święci... Nie wypada wątpić. Ale można rzec, że trudno ich tam na tych rajskich polach odnaleźć.

Niedaleko Świętego Wojciecha, kole dworów Ottona i księdza Piotra, kędy się spotykały trakty biegnące z trzech stron świata ku miastu, trwało zgromadzenie ciekawskiej ciżby wokół gardłującego ślepca. Podróżny chcąc nie chcąc musiał tu zwolnić, żeby się przez stojących precisnąć.

Od Legnicy właśnie nadjeżdżał jeden zubożały rycerz, który musi całą majątność przepuścić na rozkosze podniebienia, jakoż to jedynie co miał zadbane, to był jego spasiony brzuch. Biedny koń ugiął się pod ciężarem, aż się niektórzy za głowy łapali, myśląc, czy nie nastąpi jakie złamanie końskiego grzbietu. Za rycerzem, na postronku, uwiązana była szkapina o równie podłym wyglądzie. A przodem szedł giermek o twarzy tak lichej i kościstej, że s'ę zdawał mocniej przez pana głodzony, niżli zwierzęta kopytne.

~ Droga dla rycerza księcia Henricusa! - pokrzykiwał sługa, a kwaśna mina na jego gębie świadczyła o jakimś pomieszaniu i wewnętrznej złości.

- Na bok, chamy! Michałko z Ciepłowody jedzie i jeg0 orszak! - głos owego nędznego sługi taką miał właściwość, że się zdawało, iż z jednej strony chciał on krzyżeć, a z drugiej jak najszybciej samego siebie uciszyć. Jakby to kto wołu w zadek witką klepał, a postronek od roga idący ciągnął ku wyhamowaniu.

Gdy się zbliżył poczet sławnego Michała z Ciepłowody do zgromadzenia wokół gadającego ślepca, wtedy się postawny ów rycerz w siodle obruszył, targnął węża i wstrzymał dalsze posuwanie w stronę Odry. Zaciekawiony bajdurzeniem mąciwody ze swojej chudej szkapiny zszedł, a kto gada, że koń wtedy westchnął z ulgą ten bajki plecie, bo konie nie wzdychają, ino rżą albo parszczą. Obaj się z giermkim przesunęli bliżej wózka, na którym stał krzykacz o białych oczach i poczęli słuchać z dużym ukontentowaniem i uwagą.

- Słuchajcie, bracia! Przystańcie w biegu, bo czasu zostało niewiele! Otóż, co napisał Joannes Apostoł w swojej Księdze Objawienia. Otwórzcie uszu bracia! Zostali uwolnieni czterej aniołowie! I gotowi są już na godzinę, dzień, miesiąc i rok, by zgładzić trzecią część ludzi. Usłyszałem także liczbę wojowników konnych: było ich dwie miriady miriad. Zobaczyłem też w kolejnym widzeniu konie i jeźdźców, którzy na nich siedzieli: mieli na sobie zbroje koloru ognia, hiacyntu i siarki. Głowy końskie zaś przypominały wyglądem głowy lwów. Z pysków ich buchał ogień, dym i siarka. W skutek tych trzech plag od ognia, dymu i siarki wychodzących z ich pysków padła trzecia część ludzi!20

Mężczyzna przerwał, jakby mu zbrakło oddechu. Sięgnął do bukłaczka zawieszzonego u boku, żeby zwilżyć piwem gardło. Zgromadzeni ludzie poczęli komentować zasłyszane prorocтва, wzajem się przekrzykując, pytając jeden przez drugiego co znaczą owe słowa wypowiedziane przed chwilą, a każdy miał inne ich wyrozumienie. Dość rzec, że jedni dali o potrzebie pokuty i nawrócenia wobec nadchodzącego sądneho dnia, a inni śmiali się z tego i pewni byli, iż to wszystko jest blaga zmyślona dla nabijania zebraczej kiesy.

- Michałko, mi się zdaje, że on gada o tej armii z piekła, co ze wschodu idzie - rozgorączkowany Bocianek chwycił przyjaciela za rękaw - o tej właśnie, przed którą księcia Henryka młodego mamy napominać i dawać przestrogi...

\_ A jak myślisz, czemu konia wstrzymałem? - rycerz z Ciepłowody nachylił się tak, żeby nikt poza chudziną go nie słyszał - toć właśnie z tego względu. Ty myślisz wolniej i otóż masz dowody, że z nas dwóch jeno ja mogę uchodzić za pana, ty zaś za sługę. Dlatego ty moim giermkim, a nie ja twoim. Teraz cichaj, bo zaraz co znowu będzie gadał.

Zgromadzeni ludzie zaczęli się przepychać, nowi jacyś, znać że prosto z drogi, zaciekawieni zgromadzeniem takiej cizby, w środek weszli rozpytując co się dzieje.

- Wróż gada, a mądre rzeczy prawi - wyjaśnił im jeden młody człowiek o wygolonej czaszce - Jak w kościele Evangelium słuchacie, de Sancti Joannem, to się znaczy, że Słowo Pańskie jest zapisane i historia Dobrej Nowiny przez apostoła najmłodszego, Jana. Tego wam nikt z lingua latina nie tłumaczy i po temu stoicie na Mszy, jak barany, słuchając anielskiego śpiewu i języka z Niebios. A ten tu, też musi być jakiegoś duchownego usposobienia i po takich naukach, bo całe wersety z pamięci wygaduje, a wszystko jest z księgi pisanej przez onego apostoła Jana dla zobrazowania wizji końca naszego świata. Musi być co na rzeczy, bo jest tam wiele o jakim najeździe armii obcej, całej na koniach. Dlatego ludzie słuchają, a może 1 z tej racji, że ma on takie bielmo na oczach, że aż dreszcz idzie od patrzenia na takie kalectwo. Albo szalenciec jest on, albo diabelskie nasienie, albo też jakim duchem wieszczym ogarnięty i prorocstwa wygaduje.

Młody człowiek przerwał tłumaczenia, palec na usta położył, bo się ślepiec znowu szykował do gadania, unosząc rękę nad tłum. Nim jednak słowo pierwsze wyrzekł, jakiś pokurczony biedak, ze szramą idącą w poprzek twarzy wrzasnął:

- Ludziska! Czyście ogłupieli? Jak on może o przyszłości prawić, wždy jest ślepy, jak szczenię! Cóż on widzi przez bielmo?

Za tym się zaczął śmiać głośno ów nędzarz, rozpychać, łokciami walić na prawo i lewo, żeby wyjść z tłumu. Na środku gościńca jeszcze stanął, obejrzał się za zgromadzeniem i zaśmiał głośno i zjadliwie. Potem narzuciwszy jakiś łach na głowę, pod opłotkiem pokuśtykał w stronę dworu cysterek. Tam się ponoć księżna Anna miała pojawić na modlitwie i chciał jej suknię pooglądać.

- To co chcecie zobaczyć, nie jest dla oczu ludzkich, bo nie jest z tego świata! - krzyknął niewidomy profeta, a głowy słuchaczy na powrót ku niemu się obróciły.

- Oto co zapisano w Księdze Objawienia! - zaczął unosząc twarz ku górze. Następnie rozejrzał się ponad tłumem i się ludziom się zdawało, iż jego białe oczy wcale nie są ślepe, że jednak widzą dobrze przez bielmo i każdemu z osobna się przypatrują, prześwietlając go jakimś takim promieniem niewidzialnym, który nie tylko gębę, ale i sumienie pozwala obejrzeć. Mówił dalej, a jego donośny głos rozchodził się szeroko na całą ulicę:

- Kiedy zatrąbił piąty anioł, ujrzałem gwiazdę, która spadła z nieba na ziemię i której dano klucz do zejścia prowadzącego ku przepaści, z wewnątrz, jakby z wielkiego pieca, wydobył się dym, od którego zaćmiło się Słońce i powietrze. A z dymu wyszła na ziemię szarańcza, której dano moc szkodenia, jaką mają skorpiony!

W tej chwili, na trakcie, rozległ się dźwięk rogu. Potem nadjechało pędem dwóch giermków, na koniach pokrytych czarnymi kropierzami, a nad ich głowami powiewały chorągwie ze znakiem białego, wieloramiennego krzyża. Po raz wtóry zadęli w rogi, a później natarli końmi na tłum, spychając cizbę na boki i torując drogę środkiem. Od południa zbliżał się spory zastęp jeźdźców.

Michałko i Bocianek pociągnęli za postronki obie swoje wychudłe szkapiny i przesunęli się stając obok niewielkiej 'szopy, skąd mieli dobry widok na jadących, a sami nie byli narażeni na potrącenie.

jak wielka smolista pięść wjechał w zaśnieżoną, tłumną ulicę odział rycerzy ubranych w kruczoczarne zbroje, szyszaki i płaszcze. Każdy z nich miał na głowie hełm, z doczepioną z przodu maską odlaną w metalu, tak kunsztownie wykonaną, że się wydawała ludzką twarzą.

Wszystkie maski były jednakie, jakby to jeden mąż żelazny wjeżdżał, a nie kilkudziesięciu osobnych.

- Kanonicy Regularni od Świętego Ducha! - ktoś krzyknął i zaraz się rozeszło po tłumie jedno słowo - Duchacy, duchacy, duchacy...

Czarni rycerze jechali klusem, w parach, utrzymując porządek w szyku, jak dobrze zdyscyplinowane wojsko. Na plecach mieli kusze przewieszane na skórzanych pasach, a u łęków siodeł kołczany pełne krótkich bełtów. Każdy z zakonów krucjatowych wyróżniał się jednością ubioru, ścisłą barwą, oraz herbem: i strażnicy Świątyni Pańskiej zwani templariuszami i szpitalnicy od Św. Jana i teutońscy rycerze ze zgromadzenia Domu Niemieckiego Najświętszej Maryi Panny zwani krzyżakami - ale żaden z nich nie mógł się równać do Duchów. Ci się zdawali nie jak ludzie, lecz maszyny sporządzone Przez inżynierów w dalekich uniwersytetach. Nikt nigdy żywego człowieka nie widział pod ich czarnymi zbrojami, jeno czy ludzkie świeciły przez otwory w maskach. Niejedna Plotka chodziła po karczmach, że ów zakon nie z Bożych powstał planów, a diabelskich. Ktoś ponoć widział duchaka bez zbroi i ten był cały okryty grubym włosiem, uszy miał długie jak u wilka, pazury twarde i ostre, a w zębach kły drapieżne, sam raz gotowe do rozszarpywania ludzkiego mięsa. Tak gadali niektórzy, a nawet mówili, że kto duchaka zobaczy, ten C13gu roku umrze w strasznych boleściach. Inni zaś klęli Sługę na Boga, że owe Duchy de Saxia są rodzajem papieskich tajnych oddziałów, które jeszcze Innocenty III do życia powołał, a obecny Grzegorz dał szerokie uprawnienia, a celem jest utrzymać jedność w kościele, tropiąc knowania biskupów w różnych odległych diecezjach oraz prowadzone przez nich interesy i układy z miejscowymi książętami. Nawet klątwa rzucona przez metropolitę wrocławskiego Tomasza na zmarłego Henryka Brodatego została ponoć zdjęta poprzez wstawiennictwo jego żony Jadwigi i śledztwo wszczęte na miejscu przez dygnitarzy z Czarnego Zakonu. Czy to prawda, nikt nie wiedział, ale coś było na rzeczy, bo Czarni Rycerze, jak ich zwano, mogli się zatrzymać w każdej włości przynależnej do państwa kościelnego, a także mieli prawo natychmiastowego wglądu do wszystkich dokumentów trzymanyh w skryptoriach. Plotkom sprzyjał nie tylko ów wygląd porażający, owa czerń absolutna, jak otchłań śmierci, nie tylko owe maski przywdziane wzorem bizantyńskich rycerzy, czy te numery kute na czołach i używane w zakonie, miast imion, ale także - przede wszystkim - sposób bycia wynikły z surowej reguły, świętego wyszkolenia bojowego, dyscypliny i niebywałej jedności, jaką zakon potrafił wydobyć z tyłu odmiennych charakterów. Duchacy jeździli nocą, pojawiali się nagle, jakby wyrosli z cienia, ich głosy brzmiały przerażająco, gdy mówili zza metalowej maski, a taktykę walki mieli na tak wysokim poziomie, iż podobno, gdyby stu takich rycerzy wysłać do Ziemi Świętej, to by odbili Jerozolimę na przeciągu miesiąca.

\*\*\*

Gdy chorągiew kilkudziesięciu duchaków wjeżdżała w głąb miasta szmer wśród ludzi począł narastać. Jeszcze nigdy tak wielka liczba kanoników od Ducha nie pokazała się w biały dzień. Każdy z nich wyglądał, jak zrodzony przez ciemność ideał czerni - mogło się zdawać, iż każdego rycerza, razem z koniem wsadzano do kadzi z roztworem sadzy i smoły zanim mógł zacząć swoją postugę.

Drugą rzeczą, która ludziom stojącym szpalerami po bolcach się zdawała niezwykłą, był hałas, jaki kanonicy wydawali jadąc: uderzenia setek kopyt, chrzęst uprzęży, obijanie czek i elementów uzbrojenia, stukanie kolczych spodni o puśliska, wdechy i wydechy pracujących głośno płuc końskich, jęki skóry bujającej się na ćwiekach i guzach i wreszcie szmer tysięcy drobnych kółeczek stalowych kolczug, który się stapał w jedno, jakby kto grał diabelską muzykę przy użyciu niezliczonej ilości grzechotek wypełnionych żwirkiem. Huk szedł taki, że aż go na Ostrowie słyszeli.



Ślepiec przerwał swoje złowróżbne okrzyki, opuścił ręce wzdłuż ciała i zmieniając się cały w słuch, stał na wózkach ściskając mocno idącą bokiem żerdkę. Jego kudłaty pies- przewodnik wyskoczył zaniepokojony spomiędzy kół i zaczął szczeleć na przejeżdżających rycerzy.

Bocianek wychylał się zza jednego z gapiów, który tak był wysoki jak tyka do chmielu, aż w końcu zrezygnował i pchnął w bok Michałko, żeby zrobić mu miejsce, a potem stając na palcach zawołał:

- Patrzaj, druhu, jadą czarne upiory!

- Nie „druhu”, ale „mości rycerzu”! Albo „mój panie”. Na- ucze się wreszcie, jakimi wyrazy gada się do suwerena - syknął grubas.

- Ech, co tam, myślisz, że kto nas słucha.

Rację miał Bogusław z Bocianowic, wszystkie oczy były zwrócone w jedną stronę, na przejeżdżających z hukiem i chrzęstem zakonników.

W ogonie duchackiego oddziału, ale jeszcze przed grupą Posługaczy, parobków i służebnej hołoty, jechały dwie postaci, które nijak do reszty pasować nie mogły. W jednym siodle Sledział chłopiec o szarej smutnej twarzy i jasnych włosach wystających spod kaptura, ubrany jak książętko, w czarną oponkę, skórzane buty i płaszcz o kruczej barwie kładący się na koński zad; a w drugim starał się utrzymać, postępując przy każdym uniesieniu i opadnięciu tłustego ciała na grzbiet rumaka, wielkiej postury mnich, okryty burym, pustelnicznym habitem. Chłopiec trzymał wodze pewnie, a już z dali widać było, że jego rękawiczki z ciemnej, dobrze wygarbowanej cielęcej skórki, mogły być warte tyle, co dziesięcina wzięta z całej wsi. Młodzieniec spojrział w tył na owego pustelnika. Duchowny jedną ręką złapał się końskiego łęku, by nie spaść, drugą począł wykonywać w powietrzu dziwne znaki, całkiem jak to robią niemowy, by się jakoś między sobą porozumieć. Nalana i okrągła twarz trzęsła się w rytm jazdy i nie schodził z niej grymas męczennika cierpiącego za wiarę. Chłopiec kiwnął głową, dając do zrozumienia, że pojął owe znaki czynione dłonią w powietrzu, po czym sam wyciągnął rękę ku tyłowi i trzy razy złączył palec wskazujący z kciukiem.

- Matko Bogurodzico Maryjo! - zakrzyknął rycerz z Ciepłowody i łapiąc Bocianka za kołnierz przyciągnął go ku sobie - widziałeś to?

- A cóż? - głupie pytania, jakie Bogusław z Bocianowic zwykł stawiać, mogły świadczyć, że tak jak ma niewiele ciała wokół kości, tak i mózgu mu pewnikiem natura poskąpiła.

- Toć jest chłopak niemota! I mnich za nim!

- Maryjo Bogiem sławiena! Oni! - szybko dorzucił Bocianek.

- Jak żywi - gorączkował się Michałko.

- Jak nam w Tyńcu gadał...

- Ten biały ksiądz. O Wikingu zabójcy, jak gadał!

- Toć właśnie.

- Wiking pytał o...

- Chłopaka niemotę! I rycerza jakiegoś! I łazękę, szalbierza! I właśnie...

- Mnicha grubego.

- Mnich jest.

- No jest. Gruby bardzo, więcej ode mnie - aż się spocił Michałko od tego, co zobaczył.

\_ Gdzież więcej. Jako i ty - Bocianek był bezlitosny dla przyjaciela.

\_ jako ja? E, gdzież tam. Musi, że grubszy.

\_ Nie, taki jaki ty.

\_ Bocianek! Zmiarkuj! - teraz się rycerz z Ciepłowody zaczął w nerwach gotować - a w ogóle, gdzież sługo masz czelność pana swojego za rękaw tarmosić! Na, już mi do koni. Odprowadzić! Stajnie gdzie znaleźć miejskie, przy wjeździe i tam pod opieką zostawić.

Po czym zdzielił krnąbrnego giermka piąchą prosto w czubek głowy, nasadzając mu szyszak na łeb, jakby nabił skorupkę od jajka na polną mysz.

Tymczasem oddział kruczych wojów bożych minął Świętego Wojciecha po jednej, a Świętą Marię Magdalenę po drugiej i na wysokości dworu cysterek trzebnickich zaczął się wbijać w gęstniejący tłum, a na placu targowym przy moście zwolnił i wręcz musiał stanąć pośród falującej wielobarwnej ciżby. Wysłane przodem dla przetarcia szlaku parobki poczęły dać w rogi, przekrzykiwać gwar, rozpychać ludzi i nad głowami machać czarnymi chorągwiemi zakonnymi. Zaraz się zrobiło przejście i stalowe, czarne cielsko rycerskiej kawalkady drgnęło i jak wąż posuwający się przez mrowisko zaczęło pełznąć, skręcając ku wschodowi. Rycerze od Świętego Ducha przejechali między jatkami a karczma, i sprawnie, jak gad chowający się do jamy, zniknęli w bramie szpitala i gdy wierzeje się za nimi zamknęły wszystko wróciło do zwykłego ciągu wydarzeń, a ich przejazd mógł się wydawać jakimś zbiorowym snem i zimową zwiadą.

Targowisko wybuchło gwarem, dziesiątkami okrzyków, dźwiękami instrumentów i śmiechami podchmielonych chłopów wypadających z karczmy sikać prosto do Odrzycy.

- Widzieliście te biesy na koniach? Nie może to być res divinus\* - chełpił się własnym rozeznanem sprawy ducha- ków pewien człeczyna o wyglądzie szczura skrzyżowanego Res .. (łac.) - rzecz boska.

ze świnią. Przy czym łeb miał szczurzy i mały, latające ślepka gryzonia i nawet wąsiki po obu stronach twarzy, a poniżej otyłe cielsko knura, co jedno z drugim tworzyło całość wielce zabawną. Zajmował się ów dziwak laniem świec z pszczelego wosku i zaopatrywał w nie kościoły, w tym i te na Ostrowie, u Marcina, Idziego i w samej katedrze, a co za tym idzie na kościelnej rzeczy się znał, a i łacińskich słówek się uczył, by potem mamieć gawieź na jarmarku, niby jaki duchowny albo i uczony.

Stał on właśnie przy kramie z suszoną i wędzoną rybą i gadał błyskając szczurzymi oczkami:

- Znajcie tę rzecz, że jest papieskie rozporządzenie, zwane babullą, że się żaden sługa Boży nie może wysługiwać maską. Maską jest źródłem zła, szatańskim wymysłem, który jeno skomorochy po jarmarkach mogą użyć w podłej sprawie. A taka maska, co ją te kanoniki na gębach mają, co jest skóra zdarta z czyjogoś łba, to nie jest przez rycerstwo w całym christianitasie używane, ani u Iberów, Iroszkotów, albo we Francji, albo w Cesarstwie Świętym Rzymsko-Niemieckim, a tylko u schizmatyków bizantyjskich i niektórych panów połowskich, ruskich albo i kipczackich. Jak widzę, żeście o tych ludach nie słyszeli, nie dziwota, boście są głupi lud, a ja po kościołach leję na świece, to wiem co gadam. Te kanoniki niby są pod kuratelą regularnych od Augustyna na Piasku. Niby mają szpital swój dla biednego ludu. Ale ja wam gadam, nie jest to in nomine Domini, sed in nomine diaboli<sup>21</sup> urządzone. Już ja czuję zapach siarki spod tych czarnych habitów, ten smród zawsze rozpoznam, a widziałem jak szatana z ciała czarownicy wypędzał ogniem i przypalaniem kat Tyle, na zlecenie biskupa samego.

Miał ów człowiek ze szczurzim pyskiem posłuch u ludzi, bo otrzymał za te opowieści o duchakach dzban dobrego smalcu borsuczego ze skwarkami, kunia skórę i szydło z rogu jelenia. A tylec to on dostawał od słuchającej gawieździ wtedy, gdy opowiadał sekrety kanoników od Augustyna. Tych ponoć przy kąpieli podglądał. I własnym życiem, głową, także cnotą swej żony, mógł zaświadczyć, że każdy zakonnik ma na piersiach ukrytą drugą twarz (krom tej zwykłej, w głowie). Wynika to z tego, że się tak sumienie u kanoników rozwinęło, że w końcu z serca przez skórę na wierzch wypełzło, znajdując ujście między żebrami, potem śwędziało bardzo i po drapaniu zamieniało się w strupa, a na koniec bliźniło i wreszcie zaczynało gadać, mając formę ust i nosa.

A potem przy ablucji, pokornym zakonnikom omywającym ciało z doczesnego brudu, owo sumienie cały czas przypominało o słabościach ludzkich, grzechach głównych, wadach, ułomności oraz o tym, że zakonnik z prochu powstał i choćby nie wiem, jak się wodą zraszał,

tak się też na koniec w proch obróci. Jak każdy - książę, rybak, krzyżowiec z Ziemi Świętej i zwykły chłop, myślący iż mundus ma granice tam, gdzie opłotek jego gumna.

Po przejeździe rycerstwa od Ducha, słuchacze na powrót zgromadzili się wokół ślepcy. Białe gałki jego oczu skierowane były w tę stronę, kędy zniknęli jadący rycerze, a potem przenieśli niewidzący wzrok ponad zgromadzony tłum. Pies-przewodnik przestał szczeekać, na powrót wgramolił się pod wózek i zwinął w kłębek przy kole, wsadzając nos pod ogon i wzdychając ciężko. Żywot proroków nie jest łatwy. Jeszcze trudniejszy żywot ich psych towarzyszy.

Białooki zaczął krzyczeć, zmagając się z coraz mocniejszą chrypką atakującą głosowe struny:

- Słuchajcie ludzie, co Joannes apostoł spisał z proroczej wizji! Otwórzcie uszy, bo Dzień Zagłady jest bliski! Wpuście te słowa do waszych dusz. Owóż i co Jan przepowiada: ^ z dymu wyszła na ziemię szarańcza, której dano moc szkodzenia, jaką mają skorpiony. Szarańcza owa otrzymała nakaz niewyrządzania żadnej szkody trawie rosnącej na ziemi lub jakiegokolwiek zieleni albo drzewu. Miała tylko atakować ludzi nie posiadających pieczęci Boga na czołach. Zakażała no jej zabijać tych ludzi, lecz mieli oni przez pięć miesięcy cierpieć udrczenie. Ból zaś, który zadawała, przypominał cierpienie, jakie znosi człowiek ukąszony przez skorpiona. Ludzie sami poczną wtedy szukać śmierci, lecz nigdzie jej nie znajdą; będą chcieli umrzeć, lecz śmierć będzie od nich stronić. Tak oto minęło pierwsze Biada!

Zawiesił głos. Opuścił ręce. Z nieba zaczął padać mokry, gruby śnieg. Powoli obsypywał włosy ślepcy. Mężczyzna zszedł z wozu, odwiązał psa i jak po skończonej pracy, zmęczony, zgarbiony zaczął iść drogą, rozsuwając ludzi. Pies zadowolony z powrotu biegł przed nim napinając i ciągnąc sznurek. Młody chłopak, który od dłuższego czasu stał w tłumie, teraz zerwał się i poleciał w stronę przepraw i wysp młynarskich.

- Biada nam! Ludzie! Nadchodzi Dzień Sądu! Nawet Śmierć się od nas odwróci! Biada! - krzyczał wymachując rękami, ale nikt go nie słuchał.

rew spływała po przedramieniu i kapiała do miedniczki stojące] obok łóżka. Medyk docisnął mocniej sznurek okręcony wokół ręki dla przyciśnięcia żył. Następnie położył dłoń na czole chorego, żeby sprawdzić temperaturę.

- Ciągłe gorące - stwierdził kiwając głową i marszcząc krzaczaste brwi - ale przejdzie. Jak wywar będziecie pić i na woreczki popatrywać długo i uważnie, to wam przejdzie. Gardłem rękę.

Nad książęcym łóżem wisiały, przyszyte dratwą do baldachimu, niewielkie sakiewki, w których balwierz umocował amulety, mające odczynić zło i chorobę wypędzić. Co było wewnątrz tych trzosików tego nie chciał powiedzieć, twierdząc, Ze sekrety medyczne są gwarantowane w cesarstwie rzymsko- memieckim, a więc na terenie polskim, chrześcijańskim winny m'eć tę samą ochronę. Skrzypnęły drzwi i do komnaty wsunęli się służka, niosąc przed sobą garnek z wrzącym napojem. nią widać było zaciekawione gęby pomocników kucharza,

Za

ale ich medyk od razu przegonił. Dziewce zaś kazał postawić naczynie na zydlu i także uciekać do izb czeladnych.

- Cóż to za smród potworny? - mężczyzna leżący do tej pory bez ruchu w pościeli otworzył szeroko oczy i uniósł się na łokciu, zalewając prześcieradło krwią z naciętej ręki.

\_ Wywar, który was książę całkiem na nogi postawi. Widać, zresztą, że same jego opary już działają ożywczo. Jeszcze chwilę temu mieliście cerę ziemistą, a teraz proszę; barwa do twarzy wróciła - powiedział zadowolony balwierz i przyłożył księciu kawał plastra do miejsca puszczenia posoki, by zatamować jej upływ.

\_ Bracie Mikołaju. Toć miast leczyć, wy mnie otrujecie. Już tu oddychać się nie da od fetoru. Może by tak okienko uchylić, co powietrza wpuścić?

- Gdzieżby! Uchowaj Bóg! - zatrząsł się uczony cyrulik - od zimna tylko by się zamknęły w ciebie otwory, przez które jad chorobowy ma z was ulecieć.

- Z czegoż ten medykament żeście uczynili? - zapytał śląski władca, po czym nakrył twarz poduszką. A jako, że ucho mu spod niej sterczało, to się ku niemu medyk podsunął i zaczął klarować:

\_ To wam rzeknę, byście nabrali przekonania i zgodnie z moim recipium po każdym posiłku twarz trzymali nad wrzątkiem tego naparu, dając mu wnikać przez skórę. Potem zaś, gdy ostygnie tak, żeby warg nie sparzyć, trzeba wypić go duszkiem, do samego dna.

- Do dna? - spod poduszki dotarł przerażony głos księcia.

- Inaczej nie zadziała. Driakiew22 ma ingrediencje takowe: skórę węża, ropusze mózgi, ziemię z Lemnos, podeszwy starte na proch, pomiot wilczycy co na krzaku zawisł, bez- oar23 z sarniego żołądka oraz sproszkowany róg jelenia.

Ciągle gadając brat Mikołaj wyciągnął z niewielkiej skrzyneczki wagę szalkową i zaczął za jej pomocą odmierzać brunatny proszek, który na koniec przesypał do szkarłatnej flaszki i zamknął brzoźowym koreczkiem.

\_ Wymieniam wsze ingrediencje, drogi książę, byście wiedzieli, jaki to musiałem trud włożyć w zebranie każdego elementum, wykonanie mikstury leczniczej i prażenie jej w tyglu Hipokratesa. I by jasno pokazać, że koszt dwóch grzywien, jakiego za nią żądam, pokrywa jeno moje własne nakłady poniesione celem przygotowania medykamentu.

- Dam ci dwie grzywny, jak ode mnie ten proszek zabierzesz! - na chwilę spod poduszki wychynęła udręczona twarz, ale się zaraz tam na powrót skryła, bo smród ciągle nie pozwalał oddychać.

- Jeszcze mi trutkę wlejesz w gardło - dalszą część książę dogadywał spod puchowego jaśka, więc słowa choć wyraźne, były mocno przytłumione - tyś z Santoka\* przybył, jeszcze ci kto może zapłacił, żeby mnie na tamten świat wyprawić.

Medyk wstał urażony i wycedził:

- Jak książę sobie życzy mogę zaraz stąd wyjechać.

Chory odrzucił poduszkę, popatrzył na cyrulika zimnym, twardym wzrokiem i rzekł:

- Życzę sobie pierwe, byś mówił do mnie z pokorą. Jam tu włodarz. A tyś ciągle jeno medyk.

- Książę - odpowiedział zimnym tonem balwierz - medyków jest wielu. Takoz bab odczyniających. Jeśli ich chcesz słuchać, wolna wola, przywołaj je. Może jakaś starucha-znachorka lepiej twoją przypadłość, niżli ja, który lat dwadzieścia poświęciłem na studium generalae\*\* w Montpellier, kędy nauczają medycy francuscy sławni na całą Europę. Do usług waszej książęcej mości, zabieram medykamenty i znikam. A gdyby któraś z owych jędz tu przybyła, by was leczyć, tedy skierujcie ją do mnie, dam jej do poczytania odpis Canon medicinae albo Colli- gef, może im to pomoże, żeby księciu driakiew przysposobić.

Na takie dictum wzrok chorego zaświecił oburzeniem. Książę, choć osłabiony gorączką, wstał i chwiejąc się na nogach chwycił za jeden z czterech słupków podtrzymujących baldachim.

- Precz mi z oczu! - syknął przez zęby, a mięśnie mu zagrały na krańcach szczęki.

Medyk uśmiechnął się z widoczną pogardą, nic nie rzekł, tylko zaczął powoli, z namaszczeniem, pakować swoje proszki. Strzepnął resztki specyfiku z szalki do dużego słoja, potem tam przesypał zawartość szkarłatnej buteleczki, którą przyszykował wcześniej dla księcia.

- Jak się krwi spuści z tej żyły, co do mózgu dochodzi, to i rozum z juchą do miednicy wypływa - szepnął po cichu do siebie samego.

- Co żeś rzekł? - książę płonął ze złości. Dopadł do skrzyni stojącej pod ścianą, gdzie leżał jego miecz, wyszarpnął go z pochwy i stanął zasłaniając ciałem drzwi. Odziany był jeno w suknię płócienną, bieloną, sięgającą pół łydki, a siwiejące już włosy, nastroszone od długiego leżenia nadały mu wygląd obłąkańca, jednego z tych, co ich trzymają za kratami w szpitalach.

- Nie wyjdiesz stąd, póki wywaru nie wypijesz! - warknął książę i wbił w brata Mikołaja wilczy wzrok.

Cyruлик obserwował go kątem oka, ale zupełnie nie tracił zimnej krwi. Gdy wszystko włożył do sakwy, zasznurował ją i zarzucił na plecy. Z zydła wziął płaszcz zakonny i założył na ramiona, zapinając pętelkę na dużym srebrnym guzie. Potem zrobił dwa kroki w stronę wyjścia, lecz zatrzymał się. W jego stronę pobiegły słowa, które skwierczały w powietrzu żarem, jak żelazo moczone przez kowala w wodzie dla ostygnięcia:

\_ pij, co żeś nawarzył!

\_ Waszego ojca już biskup tej metropolii klątwą obłożył \_ rzekł na to zakonnik i bez mrugnienia powieką odsunął ostrze miecza, które zawisło przed jego twarzą. Podszedł blisko księcia zjrzał mu w oczy, jak treser dzikich bestii, który wie, że może im głowę wsunąć w rozwartą szczękę - najwyżej będą warczeć, ale przez respekt nie ugryzą. Mówił dalej, nie gubiąc tonu wyniosłości w głosie i medycznej, chłodnej precyzji w dobieraniu słów:

- Wy chyba nie chcecie, jak on skończyć? In excomunica, jako wróg Świętego Kościoła? A staniecie się nim, jeśli mi choć włos z głowy spadnie na terenie waszego zamku. I całe te marzenia o polskiej koronie ulecą, jak dym. Więc mi nie groźcie, nie straszcie żelazem, nie krzyczcie, bo ino pokazujecie, że wam chłodnej krwi w żyłach brakuje i trzeźwego oglądu, a to jak nic przysłemu królowi jest potrzebne.

Przerwał i położył dłoń na spoconym czole książęcym. Później mu, jak krnąbrnemu dziecku, wyjął z ręki miecz i chwytając za nadgarstek puls odmierzył licząc w myślach, a oręż odstawił pod ścianę.

- Ja wam to przypomnę, że zjechałem tu z Brandenburgii na specjalne zlecenie szacownej matki waszej, księżnej wdowy, Jadwigi. Rzeknijcie mi więc, czy sam mam jej oznajmić, że mnie chcecie wygnać, czy wy to zrobicie?

Cyruлик mierzył wzrokiem Henryka Śląskiego i zdawał się bawić jego wściekłością. Tę zaś ciągle widział w oczach Piasta.

- Mawiają o was różnie. Jedni, dla odróżnienia od ojca, Henryka Starego, gadają o waszej osobie Henryk Młody. A że już wam młodość dawno uciekła i znać nawet siwe włosy gdzieś, to znowuż na was mówią Henryk Pobożny. Jenó, widzicie, z tą waszą pobożnością coś nie jest do rzeczy, jeśli duchownego chcieliście mieczem zarąbać. Ja bym was ochrzcił, in nomine Domini, Szalony, co? Jakby to było: Henryk Wtóry Szalony! Albo i może, sięgając waszego przodka: Henryk Wtóry Śmiały!

Książę znowu chwycił za miecz i koniec główni skierował w stronę piersi zakonnika.

- Wyjdź stąd, zmij o w hacie, albo cię utłukę! - wyrzucił z siebie, po czym tracąc równowagę oparł się plecami o ścianę. Brat Mikołaj westchnął, podszedł do drzwi i zanim je otworzył jeszcze rzekł okręcając się na progu:

- Widać rodzinne, żeby tracić głowę!

A potem wyszedł.

Gorączka robiła swoje i Henryk poczuł się tak słaby, że zataczając się dopadł do łóżnicy i zwałił na nią ciężko. Położył rozpalone czoło na chłodniejszych rękach.

- Weźcie mi to ścierwo śmierdzące! - wrzasnął na cały głos. I gdy posługacze wpadli do komnaty, a potem zatykając nosy wynosili cuchnący wywar, książę wstał i zaczął zrywać z baldachimu małe woreczki z amuletami. Podbiegł do wąskiego okienka, otworzył je i jedna po drugiej ciskał sakiewki na dziedziniec. Spadały pękając, jak purchawki ciskane przez dzieci na ścianę. Przy każdym rzucie książę krzyczał ze złości. Jego palatyn, doradcy i najbardziej zaufani woje z drużyny stali tłumnie pode drzwiami i słuchali owych wrzasków.

Na dziedzińcu zaś młody stajenny podnosił każdy woreczek, otrzepywał ze śniegu i gdy zebrał wszystkie, zaczął biec, w stronę bramy. Tam wpadł na mężczyznę okrytego dużym, czarnym płaszczem.

- Co tam masz?

- Z okna spadło - odpowiedział chłopak.

- Daj, to moje - człowiek o chmurnym spojrzeniu wyrwał stajennemu sakiewki z amuletami i szybkim krokiem zaczął iść w stronę kościoła Świętego Piotra, kędy wychodziło się na most wiodący z Ostrowa na Piasek.

Z popękanych woreczków wysypywała się magiczna zawartość - fragmenty sowych kości, sierść młodych myszy i skamieniałe odchody niedźwiedzia. Medyk nie zwracał na to uwagi, ale przed wejściem do kościoła obejrzał się i nienawistnym spojrzeniem zmierzył książęce okna.

\*\*\*

W niewielkiej izdebce w karczmie na Bytyniu do późna aliło się światło. Niemłody już mężczyzna siedział za stołem zbitym z kilku prostych desek i wsadzając kolejne smolne łuczywa w szparę między nimi, pracował pochylony i skupiony, nie zważając na późną porę i zmęczenie wkradające się do zgarbionych pleców. Wyposażenie izdebki było skromne - jak to dla przyjezdnych - prycza, stół, zydel, cebrzyk na odchody i kosz z drzazgami do świecenia. Ten człowiek nie chciał jednak niczego - dominikański habit i płaszcz rzucił na łóżko, mając zamiar się nim przykryć do snu, a na stole porozkładał wszystko, czego potrzebował do pracy: kilka zrolowanych dokumentów, czysty papier, buteleczki z jakimiś proszkami, mikstury zapakowane w dzbanuszki, miedziane naczynia, malutki palnik, w którym substancję podgrzewa się poprzez włożenie świecy pod metalową podstawkę, retortę z zielonego szkła, grudki siarki i rudy żelaza oraz klika zasuszonych fragmentów zwierząt, takich jak łapka zajęcza, skrzydła nietoperza nanizane na szpagat, komplet żabich oczek wypełniających szklane naczynko i patrzących wokół z zaschniętym przerażeniem, żmijowy jad w hermetycznym tubusie z wygrawerowanym napisem *vaxinum antimelancolicum*, małą wagę szalkową do zawieszania na palcu, wraz z kompletem mikroskopijnych odważników rzeźbionych z wilczych zębów i wreszcie gruby rękopis dzieła *Antipocras\**. W izdebce było duszno i gęsto od dymu. Mężczyzna miał przed sobą miskę pełną gliny i lepił z niej figurkę człowieka. Gdy laleczka miała już pełne kształty, odłożył ją na bok, po czym chwycił nóż i przekroił sporą cebulę. Wycisnął z niej sok i natarł nimi powieki oraz miejsca tuż pod oczami. Natychmiast począł ronić łzy, które strumieniami popłynęły po policzkach. Zbierał je na skrawek płótna, a gdy materiał był już cały nasączony słoną wydzieliną

*Antipocras* - tytuł traktatu napisanego przez słynnego szarlatana medycznego z XIII wieku, brata Mikołaja z Polski. Dzieło stanowiło krytykę myśli Hipokratesa. pociął go na mniejsze kawałki i obłożył nimi glinianą figurkę. Mokre sukno szybko i łatwo przylegało do rączek, nóżek i tułowia laleczki. Gdy już całą odział w ten sposób, wtedy dopiero odchylił się dla odpoczynku. Wstał, otworzył okno i przez dłuższą chwilę oddychał głęboko, po czym zamknął okiennicę i zapalił nowe łuczywo. Drżące światło padło na twarz, wydobywając ją z mroku - był to ów medyk, który leczył księcia śląskiego swoją driakwią. Cyrulik miał na sobie spodnie z bielonego płótna, które pod spód sukni wdziewał, a ciało jego od pasa w górę było nagie. Gdyby kto stał za drzwiami i podglądał dziwaka, kierowany ciekawością, to mógłby dostrzec sinoniebieski tatuaż na środku klatki piersiowej. Rzymska cyfra VII stanowiła jego centrum, a wokół wiły się elementy roślinne, pokryte łuską, a kończące się łbami ni to smoków, ni to jakich ryb drapieźnych.

Cyrulik Mikołaj podszedł do leżącej na ziemi sakwy i wyjął z niej zawinięte w szmatkę pudełko. I znowuż, gdyby jakiś wścibski parobek przykładał oko do szpary między deskami, to by zobaczył jeszcze inne znaki klute farbą w skórze. Jeden na łopatce, przedstawiający łeb kozła, co między rogami ma zawieszony cyrkiel. I drugi, niżej na plecach, w okolicach

łędźwi, a mający jako główną część rysunek klucza z sięgającymi po niego z dwóch stron dłońmi - symbol szarlatanów i oszustów, tatuowany na zlecenie sądów paryskich, dla oznaczenia sprawców szalbierstw medycznych.

Mężczyzna postawił pudzderka na stole. Z pierwszego wyjął kosmyk włosów. Zapalił świecę w palniku i na metalowej podkładce rozpuścił trochę laku. Umoczył w nim koniec włosów, po czym dolepił do małej główki glinianej lalki. Wymawiał przy tym wiele słów z języków, jakimi nikt w świecie chrześcijańskim nie władał. Gdy lak już zastygł, medyk otworzył drugie pudzderko. W nim zaś była niewielka rurka miedziana, o końcach zamkniętych przez małe zatyczki z kory dębowej. Otworzył z jednej strony i ciągle trzymając ostrożnie, tak by nie wylać zawartości, wstawił do środka metalową igłę. Potem jeszcze dosypał proszek zatrzymujący krzepnięcie i zaczął pisać na ciele lalki. Pokrywał ją dziwnymi napisami, mamrocząc coś pod nosem, bełkocząc jak wariat, mrużąc i charcząc. Nabierał krwi z rureczki, tak jak się to robi z inkaustem końcem pióra, a potem kaligrafował na czerwono glinianego ludzika. Stawiał litery na całej kukielce, pisząc raz na suknie mokrym od łez, raz na nieosłoniętej glinie. Rozsunął warstwy płócenka, odsłaniając tors człowieczej figurki.

Igła zaczęła żłobić litery: HAEC FIGURA VALET\*... Skończyła się krew na końcu ostrza, sięgnął do buteleczki i znów pisał. Kolejne łacińskie słowa opasywały laleczkę, na plecach, brzuchu, nogach i rękach. Na koniec wyrył litery słów hebrajskich: CON CITOMON EEVE SEDALAI EBREHEL<sup>24</sup>. Po jego czole zaczęły płynąć strugi potu. Łuczywo skwiercząc wyrzuciło strzelające smugi czarnego dymu. Człowiek z rzymską siódmką tatuowaną na piersi, ujął w jedną rękę szydło, w drugą lalkę, po czym zamachnął się i z całej siły wbił metalową igłę w serce figurki. Oczy medyka zaszły mgłą.

I w tej samej chwili Karlito obudził się i krzyknął głośno, ciągnąc za lejce sań. Złapał się za brzuch.

I w tej samej chwili Hiob upadł na kolana, a wrzask, który wyszedł mu z ust nie był cichszy, niżli ryk jego bliźniaczego brata. Obaj klęczeli w śniegu, płacząc w ciemną noc i rozrywając koszule na piersiach.

I w tej samej chwili Szalbierz poleciał na plecy jakby drzewce potężnej strzały przebiło mu serce i wlokło w powietrzu, żeby na koniec gruchnąć nim o ziemię.

I w tej samej chwili Dobrosław zaczął wyć z bólu, a choć otworzył oczy, widział tylko potworną ciemność w celi hospicjum nad Oławą.

I w tej samej chwili Ignas otworzył szeroko usta, w których brakło języka i wydał z siebie coś na kształt kociego jęku.

I w tej samej chwili Dragiełło poczuł, że spalone ciało płonie po raz kolejny. Uniósł się, by krzyczeć w podstawę chmur.

\*\*\*

Człowiek z siódmką na piersi ocknął się na podłodze izdebki, tocząc pianę z ust. Za drzwiami, na korytarzu, stał karczmarz i dwóch parobków. Posługacze w rękach mieli kije, a właściciel zajazdu spory tasak, który mu służył do dzielenia mięsa i uspokajania zbyt krewkich gości.

- Co się tam dzieje? - krzyczał waląc pięścią w drzwi pokoiku. Od środka było zaryglowane. Zaczął szarpać, lecz nie chciał od razu wyważać, żeby potem nie naprawiać bez potrzeby. Za nowe zawiasy liczą sobie ślusarze tyle, co miał utargu z całego dnia. Postukał znowu i przyłożył ucho do drzwi.

- Cisza teraz... - rzucił do parobków - Choć nie, czekajcie, sapanie słyhać. Aleć jak zwierzęce, a nie ludzkie.

Znów szarpnął za uchwyt od zamka, skobel z drugiej strony nie puszczał.

- Hej, człowieku! Co tam wyczyniacie? - krzyknął zwijając dłonie w trąbkę - tak wyjecie, że się wszyscy w karczmie pobudzili! Co za łomoty! Jak mi żeście co połamali we środku, to

wiedziecie, że nie odpuszczę, wszystko z własnej kiesy pokryjecie. Więc i tak mnie wpuściecie, bo ino czas marnotra- wim! Jak drzwi wyważymy, to za zawiasy mi zwróćcie!

- Otwórzcie po dobroci! - dorzucił jeden z parobków i ciszej rzekł do reszty - musi być pijany. Sapie, jakby się tam z kurwą obmacywał.

\_ Dziewki nie brał. Ni piwa, ni miodu nie kupił. Jenó szedł zawinięty w czarny płaszcz, że gęby znać nie było. Pieniądz rzucił i na górze zniknął taszcząc jakieś tobołki - głowił się gospodarz - ki diabeł?

W izdebce dopalało się łuczywo. Medyk charkocząc i plując powstał z ziemi. Oparł się o róg stołu, aż wszystko poleciało na bok, a szklana butelka z driakwią rozbiła się na tysiąc szkarłatnych drobinek. Traktat Antipocras rozsypał się na osobne kartki, zaścielając pomieszczenie deszczem zapisanego papieru. Cyrulik złapał za glinianą laleczkę i położył na ziemi, przyciskając dłonią. Uniósł szydło i uderzając bokiem, jakby ciął szablą, oderznął figurkę główkę. Smolna szczapka skwierczała w przewróconym na bok stole, wypluła dwie iskry i zgasła, zatapiając pomieszczenie w mroku.

\*\*\*

Na zamku piastowskim rozległ się krzyk księcia. Henryk zerwał się ze snu i złapał za gardło, jakby chciał zatamować sikającą krew. Upadł na podłogę, i przetoczył tam i z powrotem po skórze jelenia, leżącej u stóp łóżnicy. Zaczął płakać. Do izby wpadł z pochodnią służebny. Zaświecił i zobaczył w świetle płomieni klęczącego monarchę, który chyba dusił się od bólu gardła, bo ręce miał zaciśnięte wokół szyi.

- Co wam to, panie? Cóż to? - przerażony sługa zrobił dwa kroki do przodu, ale zatrzymał się, gdy spostrzegł oszalałą twarz Henryka i gdy usłyszał jego słowa:

- Nieprawda! Odejdź ode mnie! Nie gadaj do mnie! Nie śmieję się!

- Nie śmieję się. Nie gadam - zaczął tłumaczyć przerażony chłopak, trzymając pochodnię w drżącej dłoni. Po chwili zorientował się, że księżę mówi nie do niego, ale że widzi coś przed sobą w ciemnościach, dosłownie o parę kroków i że wyciąga w tę stronę rękę.

- Maryjo Święta, dopomóż! Cóż wam, panie? Do kogo wy gadacie?

- Do niej, tam!

- Tam? Panie, Dyć tam nie ma nikogo! - sługa już takiego miał stracha, że kolana mu zaczęły dygotać.

- Ona tam! Moja głowa! Oberżnięta! Gada do mnie, turla się i śmieje. Krwią broczy. Usta wygina! Nie śmieję się! Chodź do mnie, wracaj!

Chłopak służebny już dłużej nie czekał. Widząc, że księżę Henryk popadł w silną malignę od gorączki, pobięgił obudzić majordomusa.

A syn Henryka z Brodą upadł bez przytomności. Słudzy go znaleźli leżącego na ziemi. Położony do pościeli zapadł w ciężki sen, przerywany krzykami, silnym jękiem i takim drzeniem,

że mu stopy biły o krańcową, rzeźbioną deskę łóżka.

\*\*\*

Karczma na Bytyniu była oddalona od miasta, stała przy zachodnim szlaku, zaraz za wsią Sokolniki, na zupełnym odludziu. W nocy było tu cicho i ciemno. Jenó pies czasem szczekał, albo od światła księżyca, albo gdy ktoś spóźniony dojeżdżał po zamknięciu bram miejskich i tutaj najmował izdebkę do przespania się. Tej zaś nocy było szczególnie tłoczno w zajeździe, bo się we Wrocławiu targ odbywał. Wszyscy się zaczęli pieklić na hałasy dochodzące z góry. Karczmarz z parobkami walili do drzwi, napominali, a gdy to nie przyniosło skutku spodziewanego i nikt skobla nie wyjmował, to się napanarli i wyważyli drzwi. W środku było ciemno i tak nadymione, że aż w gardle i w nosie swędziało. Karczmarz złapał za pochodnię i wszedł, przyświecając sobie wysoko. W blasku płomienia zobaczył porozbijane sprzęty, wywrócony stół, walające się wszędzie papiery i całą masę dziwnych przedmiotów, które mogły jenó służyć jakimś praktykom alchemicznym, albo innym nieczystym sprawom.



Pośrodku leżał nieruchomo mężczyzna, boso i bez koszuli. Był nieprzytomny. Zniesiono go na dół i położono na stole w głównej sali. Nie odzyskiwał przytomności, jeno majaczył i rzucał się, jakby go jakaś ciężka choroba i utrata zmysłów

etała. Następnego dnia straż miejska odwiozła go do szpitala św Ducha, gdzie zajmowano się nieszczęśnikami, którym Bóg odebrał rozum. Wszystkie jego przedmioty karczmarz wrzucił ? k leci do dużej sakwy i sprzedał na targu za sumę dziesięciu skojców. To pokryło poniesione straty i to nawet z nawiązką.

\*\*\*

Walenie w drzwi wszystkich pobudziło, od babki aż po niemowlę. Dziecko zaczęło płakać, starucha zaniósła się kaszlem, a reszta na równe nogi się zerwała. W palenisku tliło się jeszcze i spod popiołu widać było czerwone oczka żaru, więc gdy Radko dmuchnął w perzynę\*, to zaraz się pokazał płomyk na węglach. Gospodarz, przecierając oczy, przytknął smolną szczapkę do owego ogienka, po czym oświetlił całą izbę. Od sieni, gdzie wejście ode dworu, dał się znowuż słyszeć hałas - ktoś dobijał się po nocy nie żałując pięści.

- Kie lichu niesie, po ciemnicy - rzuciła babina, plując ku odczynieniu złego.

Matka chyżo na ręce dziecisko pochwyciła i cycek mu zatknąwszy w rozdziawioną gębę płacz utuliła. Małe jeno za- mlaskało, zakwiliło i już po chwili drzeć się przestało.

- Ino nie rozwiraj! Rozpytaj pierwe! - rzuciła do męża niewiasta, gładząc niemowlę po pierzastej główce.

To już on sam wiedział, nie był przecie tak głupi, by obcemu rozewrzeć po nocy, nie pytając kto zacz. Dyć czas to był wielce niespokojny, ludziska po siołach, po karczmach, gdzie bądź to, gadali, że nadchodzi na świat Boży dzień Bestii, że już ona, zapowiadana od Jana w piśmie, teraz w ich stronę ciągnie. A gdzieś z dali jadą wojska straszniejsze od moru z powietrza, bo śmierć niosącą niechybną i w męczarniach. Tu, na szlaku idącym od Kijowa ku zachodowi, co raz ktoś przejeżdżał, a gdy się zatrzymał żeby strawę spożyć, albo i spać z jedną nockę, to takie potworności rozpowiadał, Ze się włos jeżył na głowie. Aż ciężko było zawierzyć, lubo

Perzyna - popiół żarzący, zarzewie, zgliszcze.

wyglądało to na prawdę - tylec już miast do gruntu spaliły owe biesy tajemnicze, tylec luda natłuki. A plotka, a gadanie a wieść, szła przed nimi i tak się rozlewała, jak trucizna z by. dła padłego w nurcie rzeki, która z wodą płynie przez kraj i każdego, kto się zechce napić, zabije, śmierć przynosząc bolesną i cierpienie w trzewiach. I tak właśnie, jak ów trupi jad w rzece, tak się niosło owe gadanie o nadchodzącym nieszczęściu. W lecie susza zbiory osłabiła, gwiazdy spadały na jesieni, ponoć kometę widziano nad Haliczem, a na kury przyszedł jakiś pomór diabelski, bo wszystkie, jedna za drugą zdychały i trzeba je było palić na wielkich stosach i wreszcie z początkiem zimy zaczęto gadać o armii jeźdźców z piekła.

Ci, co przeżyli z ruskich grodów palonych do szczętu, to przysięgali się na wszystko, iż krwawe najazdy nie miały przyczyn ludzkich, lecz szatańskie. Słudzy jego, diabły w jaszczurzych pancerzach, żądni juchy niczym wilcy wygłodzone pędzili bez zatrzymania i nie mieli baczenia na chrześcijańskie miłosierdzie. Mieli też lubowanie w torturach i mordowaniu uczniów chrystusowej wiary - wbijali na pale, odzierali ze skóry, palili, matkom rozpruwali brzuchy i wyrwali płody, a gdy byli głodni, to się żywili ludzkim albo szczurzym mięsem pieczonym na ogniu.

Radko więc, pomny ostrzeżeń, podparł drzwi jeszcze jednym drągiem, a potem przeszedł do izby kuchennej. Stamtąd wychodziło malutkie okienko na stronę wejścia do chałupy. Odsunął ciężki wojłok, rozwarł okiennice i wyrzwał na zewnątrz. Noc była ciemna, że choć oko wykol, wiatr hulał w każdej szparze a zamieć szalała oblepiając wszystko grubym, białym płaszczem. Radko zobaczył tylko, na drodze za opłotkiem, wielką ciemną bryłę - sanie z podpiętym koniem. Obok kręcili się jacyś ludzie.

- Czego tam? - krzyknął. Spod daszku nad wejściem oderwała się skulona postać i brnąc w zaspie dotarła pod okienko.

Radko usłyszał pociągnięcie nosem, znak długiego jechania na śnieżycy, a potem takie słowa:

\_ Otwórzcie, dobry człowieku. Szukamy schronienia!

Nie pierwszy to raz ktoś szukał schronienia i ciepłej stawy - Radko miał z tego zawsze dobry pieniądz, a co zarobił, to wkładał do garnka zakopanego w rogu stodoły. Ale nie tracił ostrożności, więc spokojniejszym już trochę głosem rozkazał:

\_ Podejdź no bliżej, to ci w gębę zaświecę. Jeszcze ty zbój, albo kto?

- A zbója po oczach poznajecie? - z uśmiechem odrzekł przybysz, po czym tak się podsunął, by mógł go łatwo gospodarz obejrzeć.

Wiatr akurat mocniej dmuchnął i szczapa smolna lekko przygasła, Radko potrzymał ją chwilę szczytem do dołu, a gdy na powrót zajęła się większym ogniem, podniósł ją w górę i wysunął w przód, by oświetlić twarz nieznanego.

Zerknął i w tej samej chwili wrzasnął zdjęty przerażeniem. W blasku idącym od łuczywka zobaczył twarz o szerokich kościach policzkowych, okoloną warkoczykami splecionymi z kruczoczarnych włosów. Śnieg oblepił całą resztę, ale widać pod nim było kształty czapki-szyszaka obramowanej futrem i zbroję złożoną z dziesiątków zachodzących na siebie blaszek i skórzanych pasków tworzących skorupę białych od śniegu, równomiernych pól o ciemnych krawędziach. Chwilę łapał Radko powietrze do płuc, jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Tatory! Dlaboga, Tatory! - wrzasnął.

Złapał chłopina za kraj okiennicy, żeby ją zawrzeć. Lecz przybysz był szybszy. Chwycił za rękę gospodarza i rzucił zimnym głosem:

- Ja nie Tatar! Ino tak wyglądam. Swój jestem.

- Odejdź, puść! Maryjo Święta! - Radko wyszarpnął się, gdy wtem za plecami mongolskiego wojownika pojawiła się Postać w czarnym płaszczu. Kaptur poleciał w tył i w migotliwym świetle łuczywka zamajaczyła chuda twarz zakonnika, zaś tonsura na jego głowie, niczym bulla papieska, świadczyła o przynależności do stanu duchownego.

- In nomine domini! Laudetur Iesus Christus! Nie lękaj, cie się! Dobry człowieku, myśmy są ludzie Boży! - rzekł ów mężczyzna, po czym położył dłoń na ramieniu Tatara i łagodnie odsunął go na bok. Mówił dalej, spokojnie, tak by lęft gospodarza uspokoić:

- Wybaczcie. Nie powinien iść kołatać, bo to każdy by się strachu dobrze najadł, widząc takiego diabła przed sobą, w węzowej skórce. Nie dziwota.

Radkowi serce biło tak mocno, że mogło by z piersi wyskoczyć. Lecz się nieco uspokoił słowami dominikanina i widokiem, co by nie było, przedstawiciela Kościoła. Łyknął ślinę i zapytał drżącym głosem:

- Ja w piśmie, ni w kościołkowych sprawach nie uczony, ale wiem, że się po nocy ludzi nie nachodzi.

- I my to wiemy. Jednakowoż insze by to było dla nas jeno takie, żeby gdzie w zaspie czekać poranka. A na saniach wieziemy rannego i białogłową słabującą. Trzeba ich gdzie w cieple ułożyć, dać co do zjedzenia. Mamy czym płacić, a nas samych się nie lękaj. My nie zbójcy!

- Dyc tamten jest diabeł jaki, czy co! Albo i ten Tartaru jeździec, co tak ludzie o nich gadają! - jękliwie tłumaczył gospodarz.

- Niby jest i Tatar, prawda - tłumaczył cierpliwie zakonnik, wiedząc że jedynie tą drogą można skruszyć obawy właściciela domu - ale jakby nie on, to my byśmy żywi z Kijowa nie uszli. Wyprowadził nas z miasta. Gdyby nie to, już by nasze trupy gdzie dziobały wrony, a dusze nasze przed tronem Najwyższego by się stawiły.

- Co gadacie? - oczy Radka rozszerzyły się ze zdumienia - Kijów dobyty?

- Dobyty! - potwierdził brat kaznodzieja.

Gospodarz jeszcze przez chwilę poświecił luczywem, powygłądał przez okno, powzdychał, w głowę trzy razy się drapał, a na koniec rzekł:

\_ Konia dajcie do obory, do bydła, a sami zachodźcie od kleci\*, tam z tyłu. Odewrę wam do kuchennej izby.

Z trzaskiem zamknął okiennice.

Dominikanin stał z łysej głowy krople wody od topniejącego śniegu i spojrzął na Tatara.

- Nie pokazujcie się w tej zbroi ludziom, bo diabła w was widzą, Jeruzalemie - powiedział.

Szalbierz jeno splunął w śnieg i potarł nos rękawicą. Poszli w stronę sań. Karlito uniósł głowę i łypiąc ślepiami spod kaptura spytał:

- Pietra mieli, jak zobaczyli naszego biesa tatarskiego, ojciec przewielebny?

- Prawda - odpowiedział mu brat Jacek - trzeba, by na drugi raz kto inny chodził po nocy i kołatał.

- To może ja bym się nadał? - wymamrotał garbus i chwycił grubymi, czarnymi od brudu paluchami za krańce kapuzy. Potem rozsunął ją na boki, wykrzywił dolną wargę, aż wyglądać zaczęła jak ślimak łamany kołem; wtedy się odsłoniło jego uzębienie, sterczące ku górze, jak pnie wyciętego, zbutwiałego lasu; wybałuszył oczy, jakby mu kto zasadził dwa kurze jaja nad pokrytym purchlami nosem i na koniec, gdy już przybrał minę maskarona, wtedy zaczął gadać schrypniętym głosem:

- Miłościwy gospodarzu, miejcie zlitowanie nad grupą pielgrzymów peregrynujących ku Ziemi Świętej. Jest nas jeno kilku karłów, a każdy posiada po ćwierć żołądka, co jest wynikiem wewnętrznego trądu. Nie zezremy wam dużo. Ży- wim się jaskółczymi gniazdami, pierzem i paznokciami, które obgryzamy ludziom we śnie, a potem łykamy z lubością.

Przyjmijcie nas na jedną nockę, dyć...

- Nie gadaj tyle, ino prowadź sanie. Tam na tyły - przerwał mu zniecierpliwiony Szalbierz. Garbus urwał i cmoknął na konia. Sanie zaczęły skręcać, żłobiąc w śniegu, pokrywającym drogę, głębokie ślady.

Kleć (starop.) - nietrwała przybudówka stawiana przy ścianach średniowiecznych chałup.

Brat Jacek, jakąś mocą nadprzyrodzoną uniesiony, złapał figurę alabastrową i siedł trzymając ją na rękach, jak matka dziecko.

Karlito łypał na niego i w końcu, gdy już sanie wjechały na podwórzec rzekł, wzdychając mocno a nabożnie:

- Wiecie, ojciec, wy to macie w twarzy waszej taką świętość wypisaną, że ani chybi za lat sto albo dwieście będą się modlić u waszego grobu. I wtedy, bardzo was proszę, pamiętajcie o drobnym słudze z tynieckiego klasztoru, żebraku małego ciała a wielkiego ducha, imieniem Karlito, co nie od tego pochodzi, że skarłały, ale od imienia jednego wielkiego francuskiego króla. I szepnijcie tam wtedy w niebie za mną, co by w Dzień Sądu mieć jaką lepszą kondycję u Pierwszego Sędziego. I sami miejcie na względzie maluczkiego braciszka, co ani krzyż na grzbiecie dźwiga, a Pannę Maryję nosi, jeno co dzień na pokutę targa na plecach okrutny garb. Stój, siwek, hoooo!

Zatrzymał konia i przelazł na tył sań, co by zająć się leżącym tam Dragiełłą. Hanna, siedząca obok, na skrzyni z manuskryptami, spojrziała na niego szklistym, nieobecny wzrokiem. Płatki śniegu zatrzymały się na jej rzęsach.

\*\*\*

Dobrosław nie mógł usnąć. Przekręcał się na pryczy z boku na bok, lecz go ciągle coś gniotło albo swędziało. Tu było sztywno, tam za miękko, a jeszcze każdy ruch takie skrzypienie wyzwał z łóżka, jakby się dwa okręty wzajem tarły burtami.

- Panie Boże, uspokój ten wicher, ego te proszę, uspokój - wysapał mnich, nasłuchując ze złością gwizdania wiatru w szparze okiennej. Mocniej owinał się derką, lecz i ta była za

krótka - albo mu nogi sterczały na zimnie albo góra była odsłonięta. Mógł jeno na boku leżeć, żeby się w całości okryć, a tu zaś był problem w twardym podścieleniu na deskach. Jeszcze i wielki brzuch, świadek i dowód grzechu bżarstwa, wadził we śnie - trzymany w górze dusił, a trzymany na boku spychał resztę ciała poza pryczę. - I tak źle, ? tak niedobrze - myślał pustelnik, a potem zaczął zmawiać zdrowaśki, żeby zasnąć. Do tego, jak zmora nocna, pojawił się głód. Zaburczało w brzuszysku, głośno a podle.

\_ O, słyhać, że już kiszki grają - westchnął Dobrosław i dodał - one, złośliwe, to już całkiem zasnąć nie dadzą.

Coś się rzeczywiście w środku przekrecało, gulgotało i terkotało, jakby to w trzewiach duchownego cielska bąki kwiatowe szukały nektaru.

- Panie Boże, racz zmorzyć snem moje kiszki, a potem zaraz mnie samego, zmorzyć mnie samego - wyszeptał udręczony biedaczyna.

I chwilę nawet było cicho, jakby dobry Bóg zesłał ulgę na swego sługę. Lecz już po chwili taki bulgot dał się słyszeć w pustelnicznym bebecchu, jakby kto rurką dmuchał powietrze do beczki z kiszoną kapustą.

- O zesz ty, diabli pomioście - syknął mnich i spróbował na bok się przekrećić. Skrzypnęły dechy. Sapnął grubas niemiłosiernie. Nic z tego. Wrócił do pozycji na plecach i wbiwszy oczy w ciemność nad sobą zaczął przemyślać...

Gdyby tak człowiek grzeszył chciwością, proszę, miałby chociaż pożytek z pełnej kiesy. Albo i pycha, z tej może by doszedł i do urzędów, kanonikiem gdzie zasiadł w moźnej kapitule jakiejś kolegiaty. Nawet i lubieżnik ma co do poużywania, bo w większości sprawy swoje załatwia w jakim kącie z ladacznicą, lub sam ze sobą, a jak go lues\* gdzie dopadnie, to i jeszcze parę lat pożyje. Aleć ten, co żre nad miarę i niezgodnie z Bożym prawem, karę od razu otrzymuje w postaci wielkiego brzucha - i to stawia nieumiarkowanie w jedzeniu całkiem w niesprawiedliwości wobec innych grzechów głównych...

Tok teologicznego wywodu myślowego przerwał pustelnikowi dźwięk, który najwyraźniej nie był tworem jego własnych jelit. W izbie rozległo się skrobanie.

Lues - kiła, syfilis.

- Myszy? - pomyślał pierwe duchowny, a potem dodał do siebie - Toć myszy niejadalne, nie będę marnotrawił cza su na rozumowanie o nich.

Przewrócił się na lewy bok i zaczął głęboko oddychać. Znowuż się dało słyszeć skrobnięcie. Coś od strony koryta, rza. Dobrosław uniósł głowę i w tej chwili usłyszał skrzyp otwieranych drzwi.

- Kogo tu niesie? - spytał wystraszony, próbując coś wypatrzeć w ciemności.

Na deskach podłogi załomotały dziecięce pięty. Do łóżka dopadł chłopiec. Dobrosław chwycił go za ramię, a potem wymacał twarz kryjącą się w mroku. Była mokra od łez.

- Co ci to, Ignasiu? - zapytał stroskany.

Niemowa tylko westchnął głęboko.

- Boisz się?

Chłopak skinął głową. Mnich odjął palce od jego policzków i pogładził go po włosach. Potem przesunął się w łóżku na bok, do samej ściany.

- Właż tu do mnie - powiedział.

Dzieciak wskoczył i położył się obok. Pustelnik okrył go derką. Leżeli przez chwilę z otwartymi oczami, wpatrując się w mrok i wsłuchując w swoje oddechy.

- Miałeś złe sny? - Dobrosław przerwał to nasłuchiwanie nagłym pytaniem.

Dzieciak potwierdził mruknięciem.

- I ja miałem, ja także - mówił grubas - coś mnie tak w piersi ścisnęło, iż myślałem, że to będzie moja ostatnia noc. Że zostaniesz bez opieki. A potem się skończyło.

Znów od chłopca doleciało jakieś chrząknięcie.

- Ale widzisz, mnie się zdaje, że musimy czekać na rozwój wypadków i jeno gdy zdarzy się okazja uciec, jeno gdy okazja ku temu - mnich gadał dalej wkładając rękę pod głowę - a na razie bać się nie ma co. Gdyby nam co złego chcieli uczynić, już by to się dawno stało. Wieźli nas tyle mil do tego miasta, więc i jaki cel w tym być musi. A ciebie, patrz Ignasiu, jako księcia, jako księcia prawdziwego, ubierają, myślę sobie, dobrze znaczy, świetnie znaczy, znaczy że się mają rzeczy ku naszemu. Co wyniknie, to obaczym, to już niewiadoma, to trzeba ufać Opatrzności Pana Boga, jej trzeba Ignasiu ufać...

Kolejne westchnienie chłopca stało za odpowiedź.

\_ Chcesz, może ci klechdę rzeknę? - spytał nagle Dobrosław.

Chłopiec żywo potwierdził, że tego pragnie przez ruch głowy znak dając. Pustelnik uśmiechnął się, objął go ramieniem i zaczął prawić:

- Dawno, dawno temu, w dalekiej krainie, żył sobie książę. Było mu na imię Jan, a gdy szedł pośród ludu, to każdy klękał, każdy spośród ludu. Nie ze strachu, lecz z wielkiej miłości i szacunku. Książę ów kochał swój kraj, a że szczególnie miłował kwiaty, rozkazał by całe złoto jakie miał w posiadaniu, całe złoto, wydać na nasiona i sadzonki zamorskich roślin, a także na najwspanialszych ogrodników. Przyplłynęły statki z nasionami, wysiedli ogrodnicy, na brzeg wysiedli i zaczęli siać, zraszać wodą, osłaniać od zbytniego słońca i nad każdą wznosić czarodziejskie modły znane tylko członkom ogrodniczych gildii. Lecz żadna z roślin nie wschodziła. Żadna. A nawet, gdy któreś puściły pierwsze pędy, to marniały po kilku dniach... Tak się działo, gdyż były sadzone w innej ziemi, niż ta, w której się urodziły. Nie starczała im woda, cień i troska ogrodników. Zaczął płakać książę, zawołał do siebie... zawołał... głównego...

Na słowie „głównego” urwała się bajka. Zamiast tego izbę wypełniło głośnie chrapanie. Potężne brzuszysko unosiło się w górę i w dół. Ignas po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się? - Już nigdy nie miał się dowiedzieć kogo „głównego” wezwał książę w sprawie nasion i kwiatów. Lecz nie dbał o to. Tak się skończyło najlepiej, jak mogło. Chłopiec zamknął oczy i myśląc o dalekich królestwach zasnął. Matka Boża okryła ich obu kołderką i długo w nocy stała koło łóżka, gładząc po głowach.

bak daleko stąd do Krzemieńca? - spytał dominikanin grzejąc dłonie przy piecu. Obok suszyły się jego buty, parując tak samo, jak wielkie ciżmy braci Job. Karlito swoich butów nie zdjął, gdyż jak stwierdził, stanowią one naturalną narośl na stopach każdego karła, a nie są dziełem człowieka.

- Będzie ze dwie mile - odparł Radko, przyglądając się spod oka nocnym gościom, którzy porozkładali się we wszystkich kątach izby kuchennej.

- Dwie? Ale jakie? Włoskie, polskie, czy ruskie? - brat Jacek odwrócił się tyłem do ognia, żeby wygonić wilgoć i ziać 2 pleców.

- Ja wam to, ojczy, wyjaśnię, bom kiedyś słuchał brata ekonomy w tynieckim klasztorze - zerwał się z posłania Karlito i usiadł koło Odrowąża, wyciągając przed siebie nogi, aż w powietrzu rozszedł się smród przegniłego obuwia.

- Miara jest taka... Cztery palce dają dłoń, z tyłuż dłoni mamy stopę. Stóp pięć da nam jeden krok, albo inaczej pa I trząc możemy krok uzyskać z dwudziestu dłoni, lubo i takj jest wyliczenie, gdy na krok złożymy dwie stopy, trzydzieści dwa palce i cztery dłonie, albo i tak, że wymierzmy je(jn. stopę, palców szesnaście i dłoni trzy, co wyjdzie nam na jed no, bo uzyskamy tenże sam krok. Ale dość z krokiem. Dalej mamy łokcie krakowskie. Dwa łokcie

wystarczą trzem stopom, co inaczej mierząc da nam czterdzieści ósm palców Sam pomnę, jak u nas wisiała miara łokciowa, krakowska i kiedyś mi na łeb zleciała, jakem żebrał zawzięcie. Myślałem wtedy, że to jakiś miecz jest źle wykuty, chciałem go zabrać cichaczem ze ściany i sprzedać potem z dobrym zyskiem. Cóż patrzycie? Dyć zakonnikom miecze do niczego, a póki mi na garb nie spadł, hałasu nie narobił i furtiana nie przygonił, to żem nic o miarach jeszcze nie wiedział. Potem jeno mnie wzywał opat i zachowaniu miary we wszystkim prawil, zaś brat Adalbert mi wyjaśnił te pojęcia, co je obecnie klaruję. Widzę, że już zerknięcia są zniecierpliwione, więc powracam do wykładu. Miła, proszę wielebnego ojca, juści... Owóz i krok nam się zda do jej wymierzenia. Gdy ich zmierzyć sto dwadzieścia pięć, to nam wychodzi jedno staje. Ósm wymierzonych stajań czyni jedną milę włoską, a zaś Polak poprzestaje na półpięci mil włoskich. A to będzie wszystko w palcach liczone...

Karzeł zamilkł zafrasowany, próbując przeliczyć milę na łokcie, kroki, stopy, dłonie i palce.

- Dwie mile polskie stąd do Krzemieńca - dopiero teraz dał radę odpowiedzieć gospodarz na pytanie dominikanina.

- Polskie? A z polskich to jakie mile liczycie, małe, średnie, czy wielkie? - znów wyrwał się Karlito, ale umilkł szybko widząc skierowane w swoją stronę spojrzenia.

i Śnieg jest duży na drodze. Dzień musicie liczyć - rzekł

„?P moaac ukryć rozbawienia dziwacznym karłem, gadko, me 5\* /

Weszła jego zona, która dziecko uspiwszy, teraz przyosła gościom garnek kaszy z sosem i kawałkami mięsa, po czym wstawiła to do ognia.

Potem się przeżegnała i uklękła. Pod ścianą, na ławie obciętej w pół kłody, stał alabastrowy posąg Matki Boskiej. Na jej głowie błyszcząca odbłaskami od płomieni korona, 3 takąż sama, ino mniejsza, widniała na główce Chrystusika. Białogłowa modlić się zaczęła:

- Otcze nasz, jenżeś na niebiesiech, oswancze się tve ji- mię, przydzi tve krolestwo, bądź twa wola jako na niebie tako na ziemi, daj nam dzisia chleb nasz wszedni, otpuszczni nam nasze wini, iako mi otpuszczami naszym winowatcem, a ne wodi nas na pokussenie, ale nas zbaw ote wszego złego. Amen\*.

Gospodarz półszepem rzekł do dominikanina:

- Nie chcecie się obrazić, ale gdyby nie habit i wygolona głowa, można by was wziąć za rabusiów. Taką figurę nosić na barkach? Po nocy? We śniegu? Toć, jakby kto ukradł...

- Wyście człek uczciwy, pojmiecie co wam rzeknę. Ta właśnie Bogurodzica mnie sama prosiła o ratunek - także półgłosem odparł zakonnik z rodu Odrowążów - nie mogłem jej ostawić na pohańbienie Tatarom. Widzicie, z nią jest jak z każdą matką: ona tobą się opiekuje, lecz i taki czas przychodzi, gdy ty nad nią musisz kuratelę roztoczyć.

Płomienie z otwartego paleniska rzucały migoczący blask na całe pomieszczenie kuchenne, otulając ciepłym światłem śpiące postaci - braci Job skulonych na dwóch kopkach siana, Hanę przytuloną do Jeruzalema oraz rycerza owiniętego w bandażę i ułożonego na dużej skrzyni.

Zona Radka skończyła się modlić i poszła w końcu położyć się spać, a na progu jeszcze uklękła przed ojcem z zakonu kaznodziejskiego. Wyciągnął nad nią dłoń, błogosławiąc.

Średniowieczny tekst modlitwy Pańskiej „Średniowieczna proza

z

Polska" wyd. Ossolineum 2005.

Gospodarz zapytał dominikanina:

- Księżę wielebny, a tego Tataru to tak po prawdzie się nif boicie? Nic a nic?

Obaj spojrzeli na śpiącego Jeruzalema.

- Nic - odpowiedział brat Jacek - Gdyby nie on, to byśmy żywi z Kijowa nie uszli. Miasto płonęło, zaczynała się rzeź. Wszystko w gruzach i dymach. Jakby się piekło prawdziwe rozpełtało. Wszędzie hordy tatarskie. Krew popłynęła tak po ulicach, jako rzeki. Wywlekać ludzi zaczęli, ubijając szablami, albo ładować do cerkwi i tam palić razem. Śwąd szedł taki, jakby całe tysiące trupów naraz palono. Dym czarny w niebo. Rzekłbyś, jakby trupami w piecach grzali. I krzyk, i błagania. A on nas wyciągnął, na arkanie wiodąc, niby swoje niewolniki. Do obozu tatarskiego żeśmy pier- we trafili, tam już insze były ludzie też w jasyr uwiezione, wszystko rzemieślnicze majstry. I białogłowy na pohańbienie. Te po splugawieniu do szczętu topili w przereblach, jak szczenięta. On zaś, Jeruzalem, tam stał za woja, który dowodził hufcem jezdnych czujek. Na początek nas powiązał i kazał przy ogniu trzymać strażnikom. Niby to w takiej okoliczności, żeśmy są jego łupy. W nocy też załatwił sanie z końmi, podmieniając się na wóz i woły. I o świtanu nas pobudził, a dalej poprowadził ku ucieczce... Widzicie, tak dumam, że gdyby go teraz te diabelskie swojaki dopadły, marny będzie jego los... Jako i nasz. Trwajmy w modlitwie, by zastępy Aniołów czuwały nad nami. Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...

Zakonnik zatopił się nagle w modlitwie różańcowej, bo widać i dla niego te wspomnienia były ciężkie i on musiał swoje wycierpieć. Na twarzy jego i rękach znać było bąble i czerwone pręgi od poparzeń. A nic się nie skarżył, jakby to nie jego ciało poddane było piekącym batom.

Gospodarz patrzył na Szalbierza i kręcił głową, pod nosem coś mruzczał. Nie mógł się doczekać końca modlitwy

ata Jacka, więc i tak go spytał, między jedną zdrowaśką,

2 ^Ale jak ci to jest możebne, że on Tatar, a gada po nasze-

? U Rusów to insze, nasza kolonia duża w mieście była, tu na szlaku, co raz Lacha najdziesz. Aleć, żeby gdzie daleko, u tych bestii stepowych taki się wychował? Co po naszymu jęzorem miele? Dziwota...

Dominikanin nie odpowiadał, uznając rozmowę z Go- spodinem niebieskim za ważniejszą od tej z gospodinem ziemskim.

Za to Karlito, który do tej pory w ciszy przysłuchiwał się rozmowie, nagle postanowił wtrącić się i co trzeba wyjaśnić:

- Chował się on kilka lat w naszym klasztorze, w Tyńcu pod Krakowem. Ojcowie go przygarnęli, boć go matka u nas zostawiła. Jeździła z wozem, kuglowała. Mąż Tatar gdzieś w stepach zniknął. Szalbierza więc benedyktyni wychowali.

- To go znasz dobrze, karle? - spytał Radko poprawiając się na zydlu, bo już go senność brała.

- Ach takie gadanie. Patrzałem na niego. Z daleka. Potem my trochę razem przez kraj jechali. Skomoroch z niego...

- Oszust? - dopytywał się gospodarz, a teraz i brat Jacek zamilkł w modlitwie i twarz opuścił na złożone dłonie - Od razu zem czułem, że coś na rzeczy być musi...

Garbus ziewnął i usiłując opanować opadanie powiek gadał:

- Szalbierz, kuglarz i mistrz rwania łańcuchów. A Tatar w drugiej części sumienia. A w trzeciej kto inny, kto go tam w'e- Ja już do snu...

Karlito nie skończył zdania i wywalił się na plecy, a potem na bok przekręcił, gdyż z racji garba tylko w tej pozycji mógł zasypiać.

Radko odszedł do siebie. Jenó Jacek, pokorny zakon- z rodu Iwona Odrowąza, pierwszy uczeń Dominika 1 założyciel polskiej prowincji Ordo Praedicatorum\* długo

OP - Zakon Kaznodziejski.

w noc klęczał skupiony na modlitwie. Tylko ona mog}a • dać siłę na pokonanie trudności i wyjście cało z tej p^J gody.

Nad chatą przy trakcie wołyńsko-halickim wiał śnieżny wichur. Huczał w kominie. Ogień w końcu też przygasł, roz siewając zapach tłętego się popiołu. Gdy zapadł zmrok brat kaznodzieja także usnął zmęczony, uważając by nie dotykać oparzeniami szorstkiego płaszcza. Tylko dłoń miał wyciągniętą przed siebie i opartą o ciepły, alabastrowy postument. W końcu i ona opadła na glinianą polepę.

i

W samym środku garrulatorium\* przed ławą karczemi pełną błyskotek i zachwycającego drobiazgu, stał sługa szlchetnego Michałka z Ciepłowody i brał w garść wszystko po kolei, nie mogąc opanować wytrzeszczu ocznego zrodzonego z silnej afektacji, ni ruchu grdyki skaczącej w górę i w dół wraz z łykaną śliną.

- A to dziwactwo do czego? - zapytał wyciągając z niewielkiej skrzyneczki figurki wyrzeźbione w rogu jelenia.

- Spiel takie, gra. Figury jest taki Ritter\*\* i one biją się jedne z drugimi - wyjaśnił kupiec nie spuszczać z oka nadru- chliwego klienta. Gdyby nie wieść, iż jest on giermkim jakiegoś rycerza, to dawno by go już odegnał, a tak chęć zysku przeważała nad złością i handlarz wzdychał, kierował oczy do góry, nawet kłął pod nosem, lecz znosił nadal zachowanie chudego pacholka.

Nawet gdy ten brał po kolei w brudne łapy, a to zwiercia- dełko srebrne, a to kości do gry, a to spinki zrobione z koralu morskich, a to wreszcie grzebień kościany i chustę jedwabną- Kiedy jednak złapał za pojemnik z szachami, to cierpliwość kupca zawisała na cienkim włosku i bujała się nad Bocian- kiem, niczym gład nad Tantalem.

Garrulatorium (tac.) - średniowieczny targ różnorodny. Der Ritter (niem.) - rycerz.

giermek rycerski od niedawna, a wcześniej rycerz z Bo- nowic, podniósł do oka małe ludziki, w kości rogowej ukształtowane, a tak misternie wyrzeźbane, że musiał to jakiś mistrz prawdziwy wykonać.

- A skąd to takie macie?

\_ fjur beschädige nich? Du ne bray do renki! - wyjąkał zasapany właściciel kramu.

- Nie turbujcie się, nie popsowam - uspokoił go Bocianie i ze skrzyneczki wyciągnął białego jeźdźca na niewielkim, stepowym koniku.

\_ Woher hasst du? Skąd to kupiłeś, hę? Rzeknij bom ciekaw, a pan mój słynny wielce i bogaty rycerz Michałko z Ciepłowody może podejdzie i kupi.

- Ty mi nie dawaj takie pytacz, ich ne müsse odpowia- tacz tobie. Aber moga twoja persone trochę pogadanie, klar, ja? Było u mnie, w moj Haus w Magdeburg taki Ritter. On był w Jerusalem, rosumiesz ty? Swienta Landia. Ritter moja gekauft to za bardzo duzo denary. Chcesz kupofanie, albo twoja suweren, to muss grosse kosty, grossy. Drei kszifny moja cene.

- Trzy grzywny? - dopytał Bocianek - drogo. To byś rumaka dobrego nabył...

W tej chwili ich rozmowa urwała się, bo kawałek dalej rozległ się wrzask. Przez tłum, rozbijając ludzi na prawo i lewo, biegł skurczony nędznik trzymając coś za pazuchą.

- Łapać go! Obrzynacz trzosów! - niósł się krzyk za umykającym złodziejem.

Obrzynaczy trzosów było we Wrocławiu tyle, co much nad mięsem, aliści muchy uprzykrzają się w czasie lata, a rzezimieszki parające się kradzieżą przez okrągły rok.

Miasto było taką ozdobą chrześcijańskiego universum, iż ciągnęło tu wielu ludzi i to ze stron dalekich, zaś języki mieszały się, jak w babilońskim tyglu. Targów samych było kilka, a to dorocznych jarmarków, a to znowuż zwykłych, codziennych, a to tygodniowych solnych, rybnych, czy sukiennych - nie spatrzysz ile, jakich i gdzie, a ruch z tego szedł taki, że jakby się kto ptakiem uniósł do góry, to by widział nie ulice, a rzeki pełne kolorowych, mieszających się ludzi.

Dla wszelkiej maści bandziorów, łotrów spod ciemnej gwiazdy, wyzutych z sumienia rzezimieszków, plugawców bez czci i wiary był więc Wrocław miejscem wymarzoną do uprawiania złodziejskiego procederu.



Ten obrzynacz trzosów jakoś chyba był ciężkiego rozumu i mało sprawnej korpulencji, bo tak się zabrał do rzeczy, że gdy sakiewkę odciął od pasa ofiary, to mu ostrze kozika zahaczyło o pośladek okradanego nieszczęśnika. A ten, gdyż nie był w ciemni bity a jeno w rzyć cięty, taki podniósł wrzask, że by pobudził nawet siedmiu efezyjskich braci śpiących.

Kramarz widząc, że idzie zawierucha szybko figurkę szachową z ręki Bocianka wyrwał. A tłum targowy zamarł, odwracając głowy i podziwiając się na to, co się wydarzało i to w biały dzień, ku obrazie boskiej.

Złodziej biegał korzystając z chwilowego osłupienia wszystkich dokoła, które jednak wieczne nie było i się zaraz kilku co żywszych pacholków zerwało do pościgu. Rabuś pod kapturem twarz chował. Jakby go rozpoznano i chwycono, to by oznaczało niechybne tortury i śmierć poprzez włóczenie, ćwiartowanie i przybicie wszystkich ćwierci oderżniętych ponad bramą wjazdową ku przestrodze. Łotrzyk trzymał więc głowę bardzo nisko, a że jednocześnie pędził co tchu, to wpadał na ludzi albo na handlowe stoiska.

Przeleciał obok kramu z garnkami i żelazem, uderzył w brzuch mężczyznę przy straganie białoskórników, minął grzebieniarza i pończosznika, śmignął obok niewiast stojących koło przypraw i korzeni, wyrzucił ławę z butami, roztrącił grupkę Żydów i ścigany strasznym wrzaskiem tłumu skręcił między jatki institores magni\*.

' Institores magni (łac.) - kupcy należący do elity, najbogatsi.

Bocianek patrzył na to wszystko z uśmiechem człeka, który właśnie ma wielkie szczęście brać udział w doskona- widowisku. Magdeburski handlarz błyskotek przeszedł t niczasem do działania i czerwony na gębę z przejęcia rzucił się zakrywać towar wielką płachtą. Słusznie był to wykoncypował. Niedaleko od niego, w tej samej kolejce stali kupcy z Orientu. Ci nie zdążyli zabezpieczyć swych kramów i bryzgi błota poleciały na dalekowschodnie cuda - jedwab w kilku gatunkach, imbir, cukier, gałkę muszkatolową, liście bobkowe, pieprz, rodzyunki, złotogłów, cytryny i perły - pokrywając wszystko siatką ohydnych plam z błot- no- śniegowej brei.

Zaraz więc do pościgu dołączyli słudzy owych mercato- res\* i za złodziejaszkiem zaczęła biec spora grupa. A zamieszanie zrobiło się jeszcze większe.

Obrzynacz trzosów leciał, jak szalony, nie bacząc na nic, bo wiedział, że gra o swoje życie, a widmo jego utraty daje dziesiątne siły w mięśniach. Na krańcu targowicy stały kramy pełne poukładanych jedna na drugiej beli sukna. Rabuś chciał ominąć jedną z owych sukiennic, lecz mu drogę zagroził chudy chłop z kijem w ręku. Łotrzyk skoczył więc w bok i tracąc zupełnie poczucie kierunku poleciał prosto między bele materiału, zrzucając wielki blat straganiarki w taki sposób, że wszystko co na nim było wyleciało w powietrze. Kilkuosobowy pościg zdyszanych parobków wpadł prosto w wielką bagnistą kałużę topniejącego śniegu zmieszanego z brudnym piachem zalegającym brukowane podłoże tak, że się zrobiło ślisko piekielnie, gorzej niżli na żywym lodzie. Jak jeden mąż zaczęli wszyscy machać rękami i straciwszy przyczepność, ślizgając się potwornie, wpadli w kram sukienniczy z energią tarana pędzącego po stromym zboczu.

W górze zawisła wielobarwna chmura sukna sprowadzanego z najodleglejszych okcydentalnych zakątków:

Mercatores (tac.) - kupców.

z Magdeburga, Zerbst, Brügges, Grimmy, Brukseli, Cout 1 Gandawy, Grislich, Li?ge, Malimmes, Popperingen, To^ nai, Werben oraz Ypres; pod nią zaś kłębiła się szaro-bnj kupa śląskich parobków z Sokolnik, Głębowic, NikłoWjc Muszkowic, Byczenia i Lubnowa.

Przez chwilę tęczy obłok unosił się nad kłębowiskiem chudopachołczym, a potem spadł im na łby, oślepiając oraz wzbudzając ryki przekleństw i szamotaninę.

A jakby mało było, to właściciel sukiennic, krzycząc w niebogłosey, zaczął okładać łagą leżących, co jeszcze wzmogło hałas.

Wtem nadszedł z drugiej strony woj o posturze spasionego tura, bełkocząc coś pod nosem i rozsiewając wokół aromat piwa. Rycerz wypiął brzuch, jakby to miało służyć za jego zawołanie, oparł rękę na mieczu, zarzucił do przodu szeroki płaszcz, czknał i unosząc brwi ze zdziwienia rzekł:

- Cóż to? Ta żeście się chłopcy bez materiał, hep, na sukienkę za łby wzięli? Czyście się rozumem z baranami pomienili?

Między kawałami sukna zaczęły się pojawiać głowy wystraszonych parobków. Złodzieja już nie było, musiał gdzieś ku rzece ujść, ale sukiennik zaczął ich na powrót okładać kijem i wzywać „Gott! Mein lieber Gott!”, a co imię Boga wymówił, tym mocniej walił. Taka to natura przy Niemcach - niewinnego po plecach biją, a w ten sam czas krzyczą, że to oni sami ucierpieli od tego bicia.

Roześmiany Bocianek wskazał palcem handlarzowi magdeburskiemu stojącego w dali Michałka.

- To jest mój pan. Ów mąż szlachetnej postury. Michałko z Ciepłowody, po waszemu będzie Ritter Michael von Cie-, płowoda, znaczy się Wärmewasser. A po minie jego poznaję, że już najlepszy medykament na mrozy, czym jest miód dobrej mocy, użył, więc i może coś tu u was kupi, przy dobrej cenie i jego własnej chęci. Zawszeć to mój pan po zażyciu owego miodu od boleści, robi się dużo łżejszy do płacenia i kieskę nie raz przy jednym straganie opróżni.

Kupiec szybko odsłonił towar, łypiąc okiem w stronę stojący sukiennicach męża. A z wyglądu od razu znać było

nim co znaczniejszego feudała - mina trunkiem podkre-

liro czerwone, was najeżony, szyszak starożytny, opoń- cona>1 , . . i-ii < wielkich rozmiarów, owinięta wokół ciała, a samo zas to ciało było już koronnym dowodem bogactwa i pozycji, tak było urośnięte na boki, iż tylko ciężka krwawica poddanego chłopstwa mogła służyć powstaniu takiej budowli.

Bocianek wyjął ze skrzynki kolejną szachową figurkę. Ta była w czerni i przedstawiała rycerza w płaszczu, w hełmie i z twarzą wyglądającą, jak żelazna maska.

Oczy giermka z Bocianowic zabłyśły żywym ogniem.

- A to co za woje? Całe czarne?

Kupiec zabrał mu delikatnie z ręki rycerzyka, najwyraźniej lękając się o tak cenny przedmiot, lecz i zaraz grzecznie zaczął tłumaczyć, by ewentualnego kupca na towar nie stracić:

- Gra jest sfany Schachspiel, das heisst gra w Szachy. Słuchaj, to co ci rzekę o jej Regel - kupiec rozwarł na dwie strony skrzynkę na które widniał wzór wielu kwadratów ułożonych jeden koło drugiego. Bocianek ślinę przelknał z ciekawości, a zaraz koło niego się zaczął ustawiać tłumek gapiów, którzy po placu chodzili, bez żadnej chęci kupna, a jeno z czystego pragnienia oglądania cudactwa i gdy tylko obaczyli, że się szykuje jakie dziwowisko, to zaraz zaczęli przystawać, coś szeptać do siebie, objaśniać jeden drugiemu, wspinać na palce, szturchać łokciem w bok, syczeć z nieukontentowania i cmokać z zachwyty, jakby majster cechowy oceniał biegłość czeladnika w wykonaniu majstersztyku. Bocianek ze złością odepchnął w tył, tych co niezbyt grzecznie mu na plecy natarli, po czym dał znać handlarzowi, by ten rozpoczął swój popis i opowiadanie o szachach.

Marszand powoli i z namaszczaniem wyjmował kolejne figury, a zerkał ciągle w stronę grubego rycerza, który jedyny mógł dysponować kwotą niezbędną na zakup zamorskiego cuda.

Michałko tymczasem stał w miejscu, kiwając się z lekka jakby ilość wchłoniętego piwa zmieszanego z miodem była tak duża, iż musiał ją siłą woli przymuszać do równomiernego rozlania się po wszystkich, odległych zakamarkach jego szlachetnego ciała. Tuż przed nim, na ziemi kotłowało się kilku pacholków, których wyplątywali z kolorowych materiałów

pomocnicy sukiennika. Wrzaski i połajania mieszały się ze śmiechem przechodzących ludzi oraz jękami potłuczonych parobczaków.

Rycerz z Ciepłowody stał nad nimi, owinięty szczelnie płaszczem, jak wielki posąg i jeno czkawka dawała znać, że jeszcze żyje. Grubas chrząknął, zachichotał, po czym odchyliwszy połą opończy zerknął w dół i wymamrotał coś niezrozumiale, a z dala to wyglądało jakby przemawiała do własnego brzucha. Może być, iż nasączony trunkami bebecch tak mu ciążył, że nie zezwalał iść dalej i domagał się natychmiastowego ułożenia do snu.

Nikt jednak nie słyszał, że Michałko rzekł po cichu:

- Zmykaj teraz, póki w drugą stronę się ślepią. No, raz!

Pod przepastną szatą błysnęły cwaniackie oczy. Mały człowieczek, uchodząc pogoni znalazł ratunek na nodze grubego rycerza, do której przyłgnął niczym huba do pnia wielkiego drzewa. Teraz lotrzyk oderwał się od uda, skulił najmocniej jak potrafił i uniósł tylnią część płaszcza, a potem czmychnął niczym szczur w stronę rzeki i rosnących na brzegu krzaczków.

Teraz rycerz z Ciepłowody, cny Michael von Wärmewasser, podał swój korpus cielesny ku przodowi, napierając na tłum i przebijając się przez gapiów w stronę Bocianka. Gdy na miejsce dotarł, to się giermek jego tak mu w pas pokłonili jakby go jakie łamanie w krzyżach dopadło od zimna, a potem zaczął rozpychać na bok ciżbę, by zrobiła miejsce należne dla lepszych rodem.

Kramarz zasię tylko na to czekał i niby klarując zasady gry, prezentował towar, mając nadzieję, że się pan możny na zabawkę skusi.

Wollen wir mal schauen! Oto jest figura König, znaczy kroi. Ta jest erste i on tu alles milites rozkazy wydaje. A obok niego królowa, chyża i najmocniejsza ze wszystkich. Dalej jest pop. Dwa są popy i pilnują króla krolowej, bardzo blisko. U was gadają na nich biegacze - gonia szybko po skosach. Ach, a ten jest figurka bardzo schönowa, Pferd, czyli Springer. U was na niego gadają skakun, konny, a u nas Ritter - to mówiąc Niemiec uniósł przed sobą w obu rękach cztery konie - dwa czarne, w kolczugach europejskich i z tarczami u boku oraz dwa białe, które to przedstawiały jakisik wojowników nieznanego pochodzenia - ni to Saracenów, ni to Etyopczyków, może gdzie z jakiego luda w dalekiej Azyjej - miały one łuki w rękach i szable z pasa wiszące. Te pokazawszy zachwyconej publice sięgnął po kolejne, dwie rzeźby masywniejsze, a przedstawiały wieże łucznicze wsparte o cielska słońiowe.

- Oto rochy. - wyjaśnił kupiec pāsowiejąc z dumy - A każdy roch stoi na kraniec pole do gra. Jak zaś König jest w niedobry Situation, to może do kuchnia uciec i za rocha się schować. Rochada wtedy rzeknie ten, który temi figurami kieruje. A sama gra, szachy, wielce umysł ćwiczy w bitewnym myśleniu, Spiel bardzo zajmujące. Takie to musi iść jeno do króla, albo diuka, albo Rittera przedniego. Jeszczem ją u biskupa widział, w kapituła, jak stała na stołku niedużym. Jeno przednie ludzie mogą takową posiąść i tajnika dobsze zgłębicz.

To mówiąc zerkał znacząco na Michałka, który zaiste zdawał się być zainteresowany, kiwał się w przód i w tył i wybałusza ł zamglone oczy. Bocianek, by druha trochę z émy na umyśle spojonym wybudzić, stuknął go mocno w bok.

Rycerz wyciągnął łapy w przód i mlaskając, jakby to ser wyciągał a nie kościane ludziki, chwycił figurki z rogu jele- niego i przed sam nos sobie przystawił.

- Co zaś za jeden z drugim? - spytał i czknął.

- To pieszki - skwapliwie odrzekł usługny handlarz - tych jest osiem na każde wojsko.

- Ja się pytam, co za Maur w białym rogu rzezany? - ^J kot Michałka przybierał na sile, a w oczach pojawiły się nje bezpieczne błyski.

- Panie mój? Nie gotujcie w sobie krwi - szybko rzucjf Bocianek.

- To Saracen - uśmiechając się dał należne objaśnienie sprzedawca.

-A to?

- Też Saracen, drugi.

- A to? - grubas brał jedną figurkę za drugą, a przez jego gębę przechodziły coraz to nowe mgnienia złości.

- Zaś Saracen, na koniu.

- A ten? Też Saracen?

- Recht. Ino ten atakuje z rocha.

Michałko musiał wypić wiele. Bocianek znalazł możliwości swego druha, który w opilstwie nie miał miary i szybko złapał go pod rękę, mając nadzieję, że go gdzieś na bok odciągnie. Awantura wisiała na włosku.

- Po to żeś mnie na targ wysłał? - chudzinka ze złością wyszeptał do ucha tłusciochowi - By samemu mordę za- chlać w gospodzie?

- Cichaj, sługo - odepchnął Michałko biedaczynę i ci- snawszy garść białych figur luzem do skrzynki złapał za kilka czarnych. Te uniósł, tak że między palcami grubej łapy sterczały, jak raki umykające szparami z kosza.

- A to, hep, co za hultaje czarne? - wybelkotał, dalej kryjąc rodzącą się we wnętrzu wściekłość. Kramarz na swoje nieszczęście jej nie dostrzegł i biorąc gadanie grubasa za dociekliwość nabywcy, tłumaczył tym żarliwiej:

- Owe są milites christianes. Rittery od znaku Krzyża.

- A może takie bestie, co tu onegdaj jechały środkiem ulicy i tam w klasztorze Duchaków się skryły, he?

- In nomine domini, nie nerwy pan dobry! - nagle kupiec zrozumiał, iż sprawa zrobiła się, nie wiedzieć czemu, niebez-

na i szybko cofnął się o krok - to nie one! To figury taki joSchaspel- A nie kanoniken od Ducha.

\_ A jak się kończy grę?

- Met.

- Co?

\_ Met kończy gra. Z saraceńskiego języka, met znaczy zabity. Król musi met być. I wtedy... koniec...

To rzekłszy, jakby ku rozbawieniu i rozluźnieniu napięcia kupiec złapał za czarną figurę królewską i przejechał jej po gardle palcem.

Tłuscioch rzucił trzymane bierki w prosto w breję błot- no-śniegową pod nogami, porwał w garście białe ludziki przedstawiające Maurów, po czym rzucił się do przodu, nacierając brzuchem na stragan i zrzucając drobiazgi wyłożone do sprzedaży.

- Zdrajco rodu ludzkiego, sługo Szatana! - wrzasnął i zaczął ciskać figurkami saraceńskimi prosto w kupca. Niemiec uchylał się przed pociskami, a w końcu padł na kolana i wpełził pod stojący z tyłu wóz. Michałko i tam go wypatrzył, a białe, rzezane wirtuozersko kawałki jeleniego rogu leciały furkocząc w powietrzu i biły w ciało jęczącego kramarza z bezlitosną siłą karzącego knuta.

- Masz tu swoje pogany! Niech na ciebie już najadą i twą rzyć dzidą przekłują! Masz rocha! Naści skakuny! Masz wschodniego szacha! - grubas szalał tak, jakby go nieczyste siły wzięły we władanie.

Bocianek rzucił się na niego, próbując odciągnąć na bok, jednak nie szło zmóc takiej masy, w dodatku do cna opitej i rozwścieczonej.

Od strony kościoła Marii Magdaleny tymczasem lecieli woje książęcy uspokoić tumulty. Chudopacholek z Bocia- nowic, w rozpachy będąc, a widząc owe straże miejskie, zaczął energicznie szarpać przyjaciela, by mu wzrok na odpowiednią stronę nawrócić. Trzy razy musiał tak go ciągać, aż się w końcu udało i Michałko nad tłumem dostrzegł migające szyszaki. Teraz dopiero porzucił miotanie obel i jak wraz, z Bociankiem, czmychnęli próbując zniknąć jakim budynkiem. Uciekali metodą pijanego tura z turzą. kiem - znaczy Michałko

robił za byka i napierał prychając na tłum, a Bocianek za nim leciał, postępując i pobekując niczym ciele.

W sukienicach właśnie ułożono na powrót barwne materiały ku oglądowi motłochu i już właściciel dochodził do siebie po wypadkach z umykającym złodziejaszkiem i pogonią, gdy to nagle, właśnie w chwili odzyskiwania spokoju, gruchnęła w sam środek kupieckiego kramu, wielka pijana kulą. Kulą zaś był nie kto inny, jak Michałko, beka piwno- miodowa w trakcie umykania przed strażą miejską wrocławską. Sukno, jak i wcześniej, wyleciało w górę, a potem rozścieliło się na błocie. Całkiem ku wygodzie handlarza, który drugiego wypadku już nie zdzierzył i okręcając się na pięcie łupnął bez przytomności prosto na podścielone w brei kolorowe płachty.

Dwaj rycerze mknęli między domami, wpadając na ludzi i próbując znaleźć drogę w zatłoczonych uliczkach. A łatwe to nie było, jako że takie błoto się utworzyło, iż się chwilami nogi zapadały po kostki, albo i po łydki nawet w brudnym, cuchnącym bagnie. Drewniane rynny sterczały z dachów, jak gałęzie starych drzew, aż do samego środka ulicy i woda z topniejącego śniegu spadała ciurkiem do idącego dołem rynsztoka. Tu też lądowały zlewki i pomyje domowe, tworząc podłużne bajoro nieczystości. Dlatego też ruch miejski się odbywał pod ścianami budynków i okapami dachów, czyli tam gdzie bardziej sucho i grunt choć trochę twardszy pod stopą. Nie był więc do pozazdroszczenia los uciekinierów na wrocławskiej ulicy - musieli umykać jak najszybciej, a to było możliwe tylko wtedy, gdy biegli wprost po rynsztoku. Co było pocieszające dla obu rycerzy, to jeno fakt, iż goniący ich strażnicy musieli tak samo nogami młócić cuchnące uliczne bagnisko.

Uichałko słabnął. Tusza, wiek i wypite trunki robiły swo- • Zaczął dyszeć ciężko, pot tryskał z jego twarz, jak z gąbki, nogi z trudem wyciągane z blocka, z coraz większym wysiłkiem i z coraz głośniejszym chlupotem stawiały kolejne kroki.

- Biegaj, biegaj! - ponaglał go piskliwie Bocianek, oglądając się za siebie. Tamci nie ustawali w gonitwie, więc chudzina walił w plecy swego przyjaciela, by dodać mu wigoru.

Co i raz musieli przeskakiwać przez zwierzęta - tych było masę, środkiem laziły świnię szukając co lepszych odpadków w obierzynach, kury uciekały prosto pod nogi gdcząc niemiłosiernie i trzepocząc rozpaczliwie skrzydłami, psy ujadły z otwartych drzwi - i w końcu Bocianek źle wymierzwszy skok wpadł na utaplanego w cuchnącej mazi knura. Poleciał gębą prosto w rynsztok, wzbijając fontannę odrażającej mazi, a świniak ze strasznym kwikiem uciekł w drugą stronę. Michałko zatrzymał się, dysząc ciężko i zawrócił po przyjaciela. Stał przy nim, wyciągnął łapę, by pomóc mu wstać. Nad głowami przechodniów widział już zbliżających się strażników.

- Koniec, nie uciekniemy - wysapał i chwycił za rękojeść miecza - Ale drogo skórę sprzedamy!

W tej chwili z bocznych drzwi się wynurzyły jakieś postaci, i chwyciwszy mocno za kark Bocianka, a jego grubego druha pod ręce, wciągnęły obu w głąb budynku. Skrzyknęły zawiasy. Coś trzasnęło. Huk. Ciemność. „Dawaj, gdzie psubraty?“, dogonił ich krzyk strażników. Cisza! Szepty, cisza! Ręka czyjaś na ustach. Sza! Zapach rękawicy skórzanej. W mroku szelest. W dół. Po schodach. W górę. Znowu drzwi. Puknięcie skobla. Szamotanie. Cichaj! I bicie serca. Pot jeno na czole. I trudność łapania oddechu, gdy ktoś zatyka usta, dociska i dusi. Matko Święta! W mroku kilka postaci. Z ulicy wrzaski. Przebiegli, chrzęst zbroi ucichł.

jeszcze było ciemno, ale gdzieś daleko, na wschodzie, niebo zaczęło szarzeć, jasnym odcieniem pokazując światu kres nocy. Wszystko się zdało ściśnięte mrozem i tak

nieruchome, że by można rzec, iż powietrze, jak woda w jeziorze zimową porą, zamieniło się w lodową tafłę. Śnieg nie padał, a po zachodniej stronie ciągle gwiazdy gorzały, jak oczy tysięcznych stworów odległych o miriady mil i patrzących z zaciekawieniem w stronę Ziemi.

Pies jakiś, od tej wsi pod Krzemieńcem, za Czarnym Borem i Zgniłymi Dołami, zaszczekał, zaskowyczał i zamilkł. Cisza rozłożyła się na wielkich, śnieżnych połaciach, skrzyła małą błyskami światła na zaspach i soplach wiszących z okapów, unosiła mroźną otuliną wokół chałupy, stodoły, obory i opłotków i była tak zachwycająca, że gdyby ktoś teraz wyszedł na chwilę w taką noc i tak stanął sobie, mając nogi po kolana w białym puchu, chłonałby to wszystko pełną piersią, czując, że trzeba zapamiętać królestwo zimowej nocy, ułożyć

je w pamięci pośród najpiękniejszych widoków. Ale mało kto tak wyjdzie po zmroku. Bo ludzie gadają, że nocą budzą się ?}e Duchy. Dzieci Mroku. Zawrzeć trzeba przed nimi drzwi, skuć się przy ogniu, nie słuchać wycia zimnego wiatru w szparach okiennic. Bo nocnym czasem wychodzą z lasów owe złe duchojady: grobożercy, diabły, upiory, południce, zmyry, boginki, wiły, mamuny, topielce, latawce, wilkołaki, inkluzy i wredne, małe, domowe chowańce. Jak się przed nimi bronić? Czosnek wieszać u powały? Wbijać kołki osikowe w truchła na cmentarzach, by się upiory z grobowców nie unosiły? Stawiać na progach sidła na zmyry? A gdzie od zmyry się uchronić, gdy nie wiesz o niej nawet, którędy wnidzie. Jedną to Cyganka Jarzębinowa się włóczyła po gościńcach, a nikt nie wiedział, że po zmroku zamienia się w zmorę, pod różną postacią - a to łasicy, a to kota, a to myszy małej, polnej. I po wsiach jeno znajdowano martwych ludzi nad ranem, z gardłem przegryzionym, w kałuży krwi zaschniętej, z oczami, w których zastygło przerażenie. Ślad był jeden - korale jarzębiny na ziemi leżące. Cygankę pochwycono i zawiedziono katu w krzemienieckim lochu. Na torturach jej palono boki za pomocą szmat nasączonych samogonem i siarką, przypalano żelazem w pięty, wyłamano stawy i odkrywszy znamię ciemne w miejscu intymnym, nad wszelką wątpliwość oceniono, że jest ona zmorą i przez diabła istotą opętaną. Wyrokiem sądu miejskiego została skazana na poćwiartowanie, a potem jej ciało spalono, by już nikomu krzywdy nie mogła uczynić po śmierci.

A śmierć? Też sobie chadzała po nocy, niewidzialna, wesoła, że ich do lepszego świata unosi. Gdy więc powietrze zastygało nocą, coś musiało się dziać, ów mróz nie był taki sobie, od niczego, coś oznaczał, z czegoś się brał. Z lęku jakiegoś, albo z kontemplacji dziejących się zjawisk, z zachwyty, lub przerażenia związanego z tym, co miało nadejść. Podobnie rzecz się ma na jeziorach: gdy łódką wypłynie człowiek na połów i sieć zarzuci, potem spogląda wokół, ciągle wypatrując pogody i zmieniających się zjawisk. Oto hmury pędzą, jak fata nieuchronne, oto słońce za mgłą się awnia mówiąc o nadejściu wichrów, oto mgły zbyt długo arują, jaskółki szczebioczą tuż nad głowami, na znak, że lunie rześciście i mocno. Oto wreszcie, właśnie jak nocy owej, wszystko zastyga w bezruchu i ciszy. Siedzisz więc człowiecze na swej łupince, do brzegu daleko, czarne, obwisłe jak potwory chmurzyska nad linią horyzontalną, myślisz, żeby już żagiel postawić, do brzegu płynąć. I cisza spływa, wygładzając tafłę do najmniejszej gładkości, takiej lustrzanej, takiej pięknej, że byś się wtedy wychylił tylko i patrzył na swe odbicie w wodzie. Nie patrz, bo zginiesz. Cisza znaczy - umykaj póki możesz. Ona krzyczy - ratuj się. Ludzka istota na wielkiej połaci, wobec nadchodzącej nawałnicy, musi chwytać za wiosło i nie licząc na wiatr mogący wydać żagle, pracować usilnie, by do brzegu dotrzeć zanim uderzą fale, zanim runie huragan i zmiecie wszystko.

Więc, kiedy wiesz, co znaczy owa cisza na zmartwiałym jeziorze, to możesz także wyobrazić sobie tę noc przy gościńcu kijowsko-sandomierskim. Śnieg błyszczący w mroźnym powietrzu milczał całkiem jak tafla wody w chwili, która poprzedza wściekłość natury.

Bies dosiadał wierzchowca. Spod futrzanego otoku idącego naokoło skórzanego szyszaka, błyskały w ciemności jego ślepią. Pancierz z dziesiątków łusek, kubrak jak wężowa skóra, wąskie usta, blizny na szczęce, jedna koło drugiej, dziesiątki ich, narodziła złe, chorobliwe, tatuaż na skroni, warkoczyki wiszące tu i tam, na czole, na karku, skóra stwardniała, zeschnięta spękana. Boże ratuj od takiego! Skąd przybył? Na ustach jego i policzkach krew zaschnięta, brudno-czerwona, końska - pił z wierzchowców ciągniętych luzem, nacinał ich żyły, a potem chleptał. Nigdy nie zmywał krwi. Nie wolno zanieczyszczać wody. Tak mówi Jasa\*.

Jasa - kodeks prawny obowiązujący w imperium mongolskim.

Węszył. W nozdrza rozdęte, jak u psa, wciągał ze świi stem mroźne powietrze. Dalej, za kępą obsypanych śniegiertl drzew, majaczyły w mroku regularne kształty. Pewnikiem dachy. W nie patrzył, mrużąc powieki. Jeno wachał, próbując wyssać z mroźnej przestrzeni zapisaną w księdze woni opowieść o tym, co było przed nim. Reszta dymu, lecz wygasłego, tłącego się i słodkiego. Smolny, silny odór drewna belek użytych do konstrukcji. Mocz i odchody zwierzęce unoszące się znad budynków gospodarczych, z podściółki bydłowej. I zapach, który znał najlepiej, a był tak mocny, że czuł go zawsze z daleka - końskiej sierści, słomy, włosia z ogonów, skóry z rzędów i siodeł. Mruknął gardłowo, mlaskając - drapieżnik czający się u wodopoju.

Zza jego pleców, z głębi mroku, wypływały kolejne postaci, a wszystkie jemu podobne, wszystkie w stepowym piekle rodzone, wszystkie zajadłe i dzikie. A każdy z dwoma łukami w sajdakach, każdy z trzema kołczanami u pasów, w futrzanych sukniach od mrozu, w zbrojach o dziesiątkach lamelko- wych blaszek szeleszczących przy każdym gwałtownym ruchu, jak trzcina rozgarniana przez kogoś, kto idzie zarośniętą rzeką. Jeden za drugim, dziesięciu, wszyscy jak bracia, z potwornej odlani formy. Na koniach jednako silnych, krępych i małych. Tatarzy.

Do stojącego na przedzie jeźdźca podjechał ów, w którym na pierwszy rzut oka można było dowódcę rozpoznać - miał na zbroję narzucony płaszcz z wysokim kołnierzem futrzanym i tylko jeden łuk w sajdaku. Jeden, lecz mistrzowskiej roboty, wykonany z kilkunastu materiałów, drewna moczonego długo w roztworach, rogu zwierzęcego, ścięgien i jelit - a całość była pracowicie sklejana z kolejnych pasków prasowanych ze sobą i tworzących potworną, silną maszynę do zabijania. Pokryty rzeźbami i napisami, w sajdaku inkrustowanym kolorowymi kamieniami i wyszywanym barwionymi niemi już z daleka pokazywał rangę właściciela. Lepiej nawet, niżli pajdze zawieszona na szyi. Pajdze jest przecie niewielka.

?Misternie zrobiony łuk wskazywał, że ów harban stojący n drodze nie jest zwykłym zwiadem wysyłanym dla torowania drogi i wypatrywania niebezpieczeństwa. Po ubiorze, hardym spojrzeniu i jakości zdrowego, białego konia, znać też było, że dowódca pochodzi ze znacznego rodu. Taki człowiek, być może nawet syn wodza plemiennego, nie miałby pod sobą jedynie dziesiątki, ale co najmniej dżaun, jeśli nie mingan.

Teraz podjechał do wężącego Mongoła i rzekł:

- Kelder

- Niken morin, dolo'an haran\*\* - odparł zwiadowca i ześlizgnął się z siodła na ziemię. Podbiegł dwa, trzy kroki, przyklęknął, badał ślady zostawione w śniegu. Można z nich było czytać, jak z otwartej księgi. Nic nie brakowało - płozy, kopyta końskie, ślady stóp. Wszystko, jak wcześniej.

- Unu!\*\*\* - warknął do niego dowódca, odchylając połę płaszczu, tak by móc jak najszybciej wyciągnąć miecz. Potem uniósł rękę i skinął na resztę oddziału:

- Jorci-ja!\*\*\*\*

Zawrócili. Konie mogły ich zdradzić z tak bliskiej odległości. Jedno parsknięcie wystarczyłoby, żeby obudzić psy w gospodarstwie i w niwecz poszłoby całe podchodzenie i

atak z zaskoczenia. A godzina przedświt była najlepszą porą do rzucania się do gardeł przeciwnikom - to wtedy właśnie śpi się najlepiej i najmocniej. Wierzchowce zostawili więc w bezpiecznej odległości od chałup, związane arkanem, a jego koniec opletli wokół pnia drzewa. Jeden tylko wartownik wystarczał, pociągnęli więc losy z patyczków i ten, który wyjął najkrótszy został siadając pod wielkim dębem. Ruszyli na

Kelde (średn.-mong.) - Mów! (Dialogi Tatarów są zapisywane w języku używanym przez Mongołów w XIII w. Wszystkie używane w powieści transkrypcje fonetyczne, oddające brzmienie języka mongolskiego, zostały utworzone na podstawie prac rekonstrukcyjno-filologicznych przeprowadzonych przez profesora Stanisława Godzińskiego).

Niken... (średn.-mong.) - Jeden koń, siedmiu ludzi! \*\*\* Unu! (średn.-mong.) - Na koń! \*\*\*\* Jorci-ja! (średn.-mong.) - Jedźmy!

powoli, jak duchy, rozpełzając się po lesie, a potem delikatny wślizgując się między gałęzie niewielkiej brzeziny. Niebo ja.

śniało coraz szybciej, więc musieli się śpieszyć.

\*\*\*

Dragiełło otworzył oczy. Syknął. Coś go piekło na twarzy, jakby tysiąc os mu wbiło swoje żądła. Dotknął ręką nosa i policzków. Pod koniuszkami palców wyczuł pasy materiału, którymi obłożyły go kijowskie baby dla ulżenia cierpieniom po oparzeniu. Tego jednak nie pamiętał. Starał się więc zebrać myśli, przypomnieć sobie, cóż się działo, kędy go tak srodze ogień potraktował i gdzie właściwie obecnie jest. Uniósł się lekko na łokciu i poczuł że go boli wszędzie, i na plecach, i na brzuchu. Taki to los biednych rycerzy, a szczególnie owych, których powinność wynika z przekazanych od pradziadów nakazów moralnych - tych nijak nie idzie lekceważyć, bo one rodzą się mocniej w sercu, niżli w głowie. Może więc być, zaczął myśleć potomek świętego Jerzego w linii najprostszej z możliwych, po mieczu, iż walka w płonącym kościele dominikańskim była częścią pisanego mu losu i owej misji zwalczania żmijów, smoków i wszelkich gadzin, jakie się lęgną z tego co najczarniejsze i z tego, co najbardziej złe na świecie. A że smok ogniem pluje to już jest jasne dla większej części cywilizowanego świata, a na pewno dla szlachetnie urodzonych in toto mundo ecclesiae apostolicae, catholicae<sup>26</sup>. Gdy zaś waliły się na głowy belki stropowe, gdy wszystko wokół zamieniało się w jedną gorzącą czeluść, on słyszał wyraźnie ryk Złego, a nawet poczuł jego obecność. Jeśli więc obecnie cierpiał, to być może dokonywało się to, czemu był przeznaczony, a Pan szykował mu drogę do osiągnięcia świętości.

Leżał stary krzyżowiec w izbie kuchennej radkowej chałupy, patrząc w ciemność i dotykiem rozpoznawał, iż całe jego wychudłe ciało zostało owinięte szczelnie bandażem. Smród od maści jakie ktoś położył pod spodem był aż nadto wyczuwalny, więc rycerz westchnął, a potem mając nadzieję, że jakaś litościwa dusza usłyszy, wyszeptał:

-Pić.

Że sam nie był w izbie to się zdało jasne - zbyt dobrze słyhać było chrapania: basowe do rytmu obu braci Job i zrzedliwe jego własnego giermka. Spróbował powolutku odkleić jeden z bandaży, lecz na nic się to zdało - tak materiał przylgnął do twarzy i skleił się jakimś mazidłem, że teraz jedno by było wyjście - odlepić na mokro. To zaś by zbyt wielki ból mu sprawiło.

- Pić - wyszeptał po raz drugi, wtedy dopiero ktoś się poruszył i dało się słyszeć dmuchanie. Najpierw niewielki czerwony ognik się rozjarzył na palenisku, a w końcu buchnął płomyk na rzuconych źdźbłach siana. Otóż brat z zakonu żebraczego, który Dominik Guzman\* powołał do życia zaraz po soborze laterańskim, podszedł cichutko do łoża boleści, na którym leżał rycerz. Przeżegnał się, wznosił dłoń nad nim i począł wypowiadać słowa modlitwy.

- Pić dajcie - poprosił rycerz.



Piwo już dawno było zwietrzałe i gorzkie, lecz zdrowsze na pewno od wody. Potomek świętego Jerzego pił je łapczywie z dzbana przystawionego do ust, a lało mu się bokami, jak małowemu dziecku. Zakonnik przyświecał, trzymając wysoko szczapę.

Dragiełło w końcu skończył i oddał pusty dzban. Zamrugał, oczy zwężył, przyglądając się dłuższą chwilę postaci stojącej nad nim.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

Chciał mu Jacek Odrowąż powiedzieć, gdy nagle z cienia ktoś wyszedł i syknął kładąc palec na wargach. Koło słupa wspierającego powałę stanął Jeruzalem. Wskazał okno zasłonięte derką, a potem wyjął szczapkę z rąk zdumionego zakonnika, rzucił ją na ziemię i zdeptał. Na powrót ciemność rozlała się po izbie. Nikt już słowa nie rzekł. Jeno Dra giełło szukał gdzieś wokół rękojeści miecza. A Zedrzykap. tur miał mieć zawsze przy sobie, co surowo nakazał niegdyś giermkowi, jako część niezbędnej posługi. Dominikanin zaś wysunawszy rękę w tył cofał się, macając na ślepo, w stronę pieca i swojego posłania.

Szalbierz zdjął ciężką zasłonę wiszącą w otworze okiennym, a mającą chronić od wnikającego mrozu. Potem przyłożył ucho do jelita rozciągniętego we framudze, by lepiej słyszeć, co się działo na zewnątrz.

Z tyłu, na palenisku, jakaś gałąź nie do końca zwęglona, nagle odnalazła w sobie chęć buchnięcia płomieniem. Ognik wyskoczył wśród popiołu, jak żak robiący psikusy. Słabe światło zamigotało we wnętrzu. Jeruzalem stał z szablą w dłoni, pod samym oknem i nasłuchiwał. Dragiełło w tej chwili zobaczył miecz leżący na ziemi koło skrzyni, więc podniósł się z wysiłkiem, zaciskając szczęki z bólu. Powolutku wyciągnął żelazo z pochwy. Brat Jacek rzucił się co naprędce ku palenisku i tupiąc nogą w popiele zagasił błyskające płomyki. Zastygli wszyscy trzej, łowiąc uchem najdrobniejsze odgłosy, jakie mogły wnikać do wnętrza przez szpary w okiennicy. Nagle coś stuknęło na dworze. Tak to było cichutkie, że nigdy by się nie rzekło, że coś złego nadchodzi - ot może jakaś gałązka się o ścianę ociera, puka delikatnie, może gdzieś się osunęło drewno na opał ze sterty pod okapem, a może krowa w oborze stuknęła rogiem o żłób. Potem coś zachrobotało leciuchno, jakby mysz polna gdzieś za okuchami chleba węszyła. Jedno w tym było jednakowoż nie takie, gdyby gryzonია wziąć pod rozwagę - a to mianowicie, że myszy nie latają w powietrzu, zimą tym bardziej, i nie gryzą okiennic od zewnątrz ani nie stukają pazurem w haczyk. I to jakoś tak przedziwnie - raz i uważnie, a potem cisza, dla sprawdzenia czy nikt w środku się nie przebudził. Nagle w szparze środkowej, między skrzydłami okiennicy, pojawił się nóż. Czubek jego

cichusku powędrował ku górze i podważył haczyk. Kawaleczek metalu nie opierał się długo i wraz wyskoczył z żelaznego kółeczka. Znowuż chwilka ciszy, a potem dwie ręce uchwyciły okiennicę i bardzo ostrożnie, bacząc na skrzyknięcia zawiasów, rozchyliły je. Zajaśniało okno szarością świtania. Potem się za rozciągniętym jelitem ukazał czarny cień, leb zjawy lub człowieka, w hełmie spiczastym, z krzaczastym futrem naokoło. Cień wysunął rękę i nożem, powolutku, zaczął rozcinać błonę okienną. Przez szparę zaczął do środka wlatywać zimny wiatr. Potem w rozcięciu pojawiła się gęba, węsząca jak niedźwiedź wdzierający się do dziupli pszczelej. Nie widać było szczegółów żadnych, szponów, pazurów diablích, czy oczu bestii, lecz z powietrzem wpadł do izby jej zapach - zaschłej krwi, tłustego, spoconego brudu, kudłów zjełczałych, wydzielin z dawna nie zmywanych i końskiego moczu. Feter ten świadczył aż nadto, że musi to być istota piekielna - tylko bowiem w królestwie Podziemi są wojownicy, którzy samym wonieniem mogą wzbudzić taką odrazę, że człowieka zdrowego zaraz paraliżują wlewając w jego serce lęk. I tak teraz przez maleńką szparę w błonie okiennej razem z przeciągiem mroźnym wpadł do środka odór, który najmężniejszą istotę chrześcijańskiego universum musiałby przyprawić o drżenie łydek. Potwór wciągnął w nozdrza powietrze, potem przystawił oko do dziury i usiłował dojrzeć, co w izbie.

- Z piórek twoich, sokoliku, z twoich piórek! - zawołała nagle Hanna przez sen. Szalbierz zerknął na nią. I w tej jednej chwilce, zniknął także stwór zagląający do środka - kiedy

Jeruzalem na powrót skierował oczy w stronę okna, to zobaczył jeno wiszące skrawki błony i bladą poświatę rodzącego się poranka.

Dowódca spojrział w niebo. Przez chwilę modlił się, prosząc Tengri o odwagę, szybkość i brak litości. Z podziemi

wyflnęły czarne duchy i stanęły mu za plecami. Dopiero gdy poczuł ich obecność, gdy serce zalała potrzebna faja zimnego okrucieństwa, uniósł rękę i błysnąwszy na prawo i lewo ślepiami, dał znak. i^H

- Doto.ąci!\* - warknął.

W jednej chwili ostrza rozdarły wysuszone jelita w oknach. Ręce, głowy, ohydne pyski, pazury, szable, wy- szczerzone zęby zaczęły wdzierać się do środka z siłą wody zatapiającej dom, gdy nadchodzi powódź. Okna, drzwi, otwory dymne, małe wejścia na stryszki do trzymiania siana - wszędy mogła się dostać diabelska tłuszczka i wszędy zaczęła się wbijać. Szerszenie lecące do światła nocną porą, tak właśnie mogą otumanić mieszkańców chaty ludzkiej,

pogryźć śpiących i zostawić w bólu, udręce i nierzadko śmierci od ukąszeń.

Pierwszy bies, dyszący żądzą mordy, zaczął wlaźć przez naddarte już okno w izbie kuchennej. Ledwo wcisnął się na framugę i łeb do środka nasadził, a już ujrzał widok, jakiego się nie spodziewał. W mroku, stał rycerz w szyszaku na głowie, z mieczem w ręku, a całe jego ciało było pokryte całunami dartymi na pasy. Tak że twarzy jego nie było znać, jeno oczyska błyskały spod bandaży. Duch raczej, niżli człowiek z krwi i kości. Wojownik z krainy, w której Czas przestał mieć znaczenie.

I serce mongolskiego wojownika na widok tej zjawy zamarło. Tak i jego ciało - ono też zastygło, na swoją zgubę, w pół przewieszzone przez okno. Rycerz wyszeptał: - Accipe hoc\\*\*

Wziął szeroki zamach i kiedy ciął mieczem, w powietrzu frunęły wstęgi bandaży, jakby to jakiś szaman w pustkowiach Wielkiego Stepu odprawiał nabożeństwo żałobne. Taniec był to niezwykle, owej postaci w bieli, do ptaszyska podobnej Doto... (średn.-mong.) - Do środka! Accipe hoc (łac.) - Przyjmij to! 0 dziesiątkach długich, białych piór. Miecz zataczał błyszczące koło, tworząc w powietrzu świszczącą, żelazną płasz- cZyZnę. Płaszczyna ta sięgnęła szyi diabelskiej przecinając ją z chrzęstem, a w powietrze wyrzucając strumienie juchy cuchnącej.

Głowa tatarska wpadła do środka izby, a reszta ciała, w drgawkach, dogorywała wisząc w oknie. Z jednej strony krew bluzgała, z drugiej waliły w śnieg konwulsyjnym rytmem stopy zabitego, jak łapy kurczaka, któremu kto właśnie łeb urznął.

Bies drugi, z oczami wytrzeszczonymi, z nosem rozdętym i z długimi śladami paznokci niewieścich na policzkach, rozciął błony w oknach do drugiej izby i próbował tam wleźć, sądząc, że sen okrywa umysły leżących. Tu stały jakieś dwa potwory jednorekie, a każdy stwór w garści trzymał sporą pałkę nabitą kamieniami. Maczugi ich roztrzaskały kość Tatara, wbijając kawałki czaszki, razem z włosami do mózgu.

Trzeci, czwarty i piąty stali pod drzwiami od podwórka. Próbowali podbić skobel końcem szabli, lecz nie udało się. Wtedy jeden z nich wziął kilka kroków rozbiegu, a potem skoczył uderzając stopą w miejsce, w którym znajdowało się zamknięcie. Pękła deseczka i wyskoczyły gwoździe.

Wpadli do środka, napięci, zdyszani, czekający mordy.

I zginęli nagle, zdziwieni, wszyscy w tym samym mgnieniu upływającej błyskawicznie chwili. W ciemnościach niewielkiej sieni stał wojownik. Pochylony, skupiony, z opuszczonymi rękami. Najpierw rzucił dwa noże trzymane w rękawach. Oba natychmiast sięgnęły celu, wbijając się w szyję tuż nad kołnierzem zbroi. Dwa biesy tatarskie charkocząc osunęły się na ziemię. Trzeci, choć nie nóż był przyczynkiem zakończenia jego wstrętnego żywota, lecz szable, nie spędził na tym świecie więcej czasu, niżli jego towarzysze. Ostrze

błyskawicznie rozpruło mu wnętrzności i patrzył na to zdziwiony, sam puszczać broń z ręki. Potem zaś jęknął i wykonał taki ruch, jakby flaki chciał podtrzymać dłońmi, żeby nie wypadły. Na to już nie znalazł siły i umarł padając w poprzek dwóch pozostałych ciał.

Jeruzalem splunął na trupa i kopnął go, by nie tarasowa! przejścia. Potem zamknął drzwi, odsuwając na bok nogi zmarłych. Zastawił wejście tyką i zaczął się cofać w głąb budynku

W izbach zaczęły płakać dzieci. Wpadł do sieni przerażony Radko. Dzierżył w dłoniach sporą siekierę. Szalbierz skierował go do tylnego wejścia, a sam wrócił do izby kuchennej.

^^H

Zastał Dragiełłę stojącego w płataninie długich pasów płóciennych, wiszących z rąk i nóg. W oknie tkwił stygnący kadłub tatarskiego wojownika.

- Ilu tam? - spytał potomek świętego Jerzego.

- Trzech było! Już pasą bydło w Wielkim Stepie.

W drzwiach się pojawił Karlito i rzuciwszy okiem na zalane krwią ciało mongolskie przewieszane przez framugę, rzekł:

- W tamtej izbie jednego gada utłukły Joby.

- Razem pięciu - syknął rycerz i mimo wielkiego wysiłku, jaki wkładał w to, by ból ukryć, to znać było jednak, że go dużo kosztuje poruszanie się i prowadzenie walki w takim stanie ciała.

- Więc jeszcze pięciu - stwierdził Jeruzalem - a właściwie czterech, bo jednego musieli przy koniach zostawić.

- Skąd pewność taka? - Dragiełło usiadł, a jego głos daleki był od tonu zaufania i przyjacielskiej wiary w słowa i uczynki byłego druha.

- To jest zwiad. Musi być harban. Jeno dziesiątki jeżdżą na czujkę.

- Który z nich dowodzi? Idzie rozpoznać?

- Ma tabliczkę na szyi, pajdze po tatarsku.

- Jego zabijemy najpierw - stwierdził rycerz i odrzucił miecz na bok. Spojrzał na swego giermka i szybko, twardo rozkazał:

- Karlito! Dawaj Kunegundę i bełty. Biegiem!

Garbus pokuśtykał zwawo do rzeczy swego pana, ułożonych na wielką stertę. Spod różnych kawałków metalu, których przeznaczenia nigdy już nie dojdiesz, karzeł na usługach rycerza herbu Kraplan wyciągnął wielkich rozmiarów kuszę. Zaraz też potężne narzędzie, uświęcone celem walki przeciwko żmijom\*, w których wszelkie zło świata się mieści, zostało postawione w stan gotowości. Karlito z zapalem kręcił korbką, naciągając cięciwę.

W tym czasie dominikanin, jakby go cała zawierucha nie dotyczyła, zmawiał modlitwy na prymę. W końcu była hora canonica\*\* na przepisane modlitwy, których żadną miarą człowiek bogobojny, związany ślubem zakonnym odpuścić nie mógł. A bo też większy mógł być pożytek z polecenia się Bogu w pokornym odmawianiu części officii divini, niżli próba jakiej obrony fizycznej.

Szalbierz kopnął leżącą na ziemi głowę tatarską. Łeb truposza potoczył się na bok, tworząc krągły zlepek włosów, krwi i skrzepniętego brudu.

Hanna siedziała obejmując rękami nogi i twarz opierając na kolanach, a duch jej gdzieś w innych przestrzeniach się unosił, niżli obecna rzeczywistość.

Jacek z rodu Odrowążów trwał w swej modlitwie, jakby tym pokazać chciał najeźdźcom, barbarzyńcom i nocnym łupieżcom, że w pogardzie ma wszelkie rzeczy z tego świata pochodzące. Marność nad marnościami. Wszystko pył, uluda, mgnienie oka. Jedno tylko jest prawdziwe. Co trwa wiecznie. Co widzi wszystko. Ku Temu więc zwrócił oczy i nie dbając na rozgardiasz, tryskającą krew i przerażające wydarzenia, trwał w rozmodleniu. Rzec by można, że nie Przebywa on w jakiejś chałupie, na szlaku idącym z Kijowa na Krzemieniec, Przemyśl i Sandomierz, lecz że właśnie korzysta z dobroczynnej ciszy otulającej braci zakonu Żmij (staropol.) - smok.

Horae canonicae (łac.) - godziny kanoniczne, brewiarz, zbiór modlitw obowiązujących zakonników o określonych porach dnia i nocy.

Inaczej - officium divinum. Pryma - godzina liturgiczna poranna. żebraczego w jego claustrum\* przy kościele Świętej Tró w Krakowie. Jakby go tu nie było. Choć był.

Tak więc dalsze wypadki owego świtu się toczyły w ny sposób, bo jedno z drugim wszystko nie pasowało do sie bie zupełnie - dominikanin wznoszący nabożne pienia i tru powojenna rzeczywistość wokół. Zakonnik rozpoczął śpiew uderzając w pierwsze tony głośno i pewnie:

- lube Domine benedicere...27

- Amen. - zaśpiewali chórem Jeruzalem, Karlito i Dragiet- ło, spychając jednocześnie truchło tatarskiego woja z framugi. Szare światło wpadło przez rozbite okno a razem z nim ziąb.

- Fratres! Sobrii estate et vigilate. ..28- ciągnął śpiewy zakonnik, a jego słodki, melodyjny, delikatny głos rozchodził się w pomieszczeniu z anielską lekkością. Wszyscy się w tej chwili zgodnie przeżegnali, aż to ich po kolei zdziwiło, że każdy zna dobrze przepisane czynności: Karlito i Jeruzalem po długiej bytności przy tyńieckich braciach od Benedykta, a Dragiełło z wypraw krzyżowych nad Nilem. Popatrzyli po sobie i pewnie w zwykłych okolicznościach byłby to przyczynek do pogawędek ale teraz, cóż, trzeba było szykować śmiercionośne pociski.

Dragiełło chwycił mocno kuszę, lecz że była ona nadnaturalnych rozmiarów, a on osłabiony cieleśnie, więc mu Jeruzalem pomógł ją ułożyć na oknie i szykować do strzału.

Jacek wyśpiewywał dalej łacińskie wersety breviarium:

- ...Quia adversarius vester diabolus tamquam leo rugiens, circuit, quaerensquem devoret: cui resistite fortes in fide. Tu autem, Domine, Miserere nobis.

- Deo gratias - odpowiedzieli chóralnym śpiewem rycerz, wędrowny oszust o ciele tatarskim i duszy polskiej.

zeł o brzydkim ciele, jeszcze brzydszym umyśle, lecz cał- kaf znośnym sercu. I wypuścili strzałę z potężnej kuszy. Strzała ta, kierowana dłonią Wszechmocnego doleciała do bestii z tabliczką dziesiętnika na szyi i przebiła mu pierś rozrywając płuca. Chluba Kereitów, wychowanek łowców górskich, nigdy już miał nie wrócić do przestronnej jurty, w której ciągle wisiał wielki bukłak z kumysem, gotów na świętowanie powrotu syna z wojennej zawieruchy. Padł w śnieg, a jego wspaniały łuk na powrót stał się kupą ścięgien, drewna i rogowych listew - jak każdy przedmiot, który w wypadku śmierci człowieka nabiera na powrót swej zwykłej, pozbawionej sensu, bezistotności.

Pozostałych Tatarów zabito tak: jeden zmarł od uderzenia maczugą Nioba, drugi od pałki Hioba, trzeci od strzały wystrzelonej przez Jeruzalema, zdybany na próbie splądrowania wozu, a czwarty... Czwarty był to ten zostawiony przy koniach. I jego śmierć była najgłupsza. Bo, zmęczony długą jazdą, zasnął w końcu, oparty plecami o pień drzewa. Tak go znalazł Jeruzalem i przeciął mu gardło nożem. Wojownik mongolski obudził się ze snu już na tamtym świecie.

W owym czasie, gdy krew ich nasączała śnieg wokół chaty, brat z zakonu kaznodziejów zakończył obowiązkowe modlitwy i podniósł się z kolan, zaś jego twarz jaśniała pewnością siebie i spokojem. Dziecko kwiliło w izbie. Hanna wstała i podeszła do okna. Dragiełło opadł z jękiem na swoje łoże.

A Karlito dreptał przy Jeruzalemie, który obchodził kolejne zimne ciała i każdemu odczepiał kołczan ze strzałami. Łuki zostawiał, poza jednym, misternie wykonanym, który wziął razem z sajdakiem wyszywanym kolorowymi nićmi.

Garbus pomagał mu kopiąc każdego Tatarą, by go obrócić na brzuch.

~ Takich to macie braci, Jeruzalemie? - zaczął gadać - Piękni to oni nie są i to mi wyjaśnia waszą osobistą brzydotę.

Szalbierz zebrał wszystkie kołczany i udał się w stodoły, by wrzucić zapas strzał do sań. Karlito laź; a gęba mu się nie zamykała:

- Dość one Tatary są jadowite. Jak na czujce będąc jen tak nas chciały podejść i wymordować.

- To nie zwykła czujka była — odrzekł Tatar i splunął w śnieg.

- Nie? Więc jakaż?

- Czujka pościgu.

- Pościgu? Za nami? - zdumiał się karzeł i gdyby nie gruba warstwa brudu na gębie, to by można rzec, że zbladł.

- Nie. Nie za nami.

- To za kim?

- Za mną.

- Ino za wami?

- Juści - potwierdził Jeruzalem i przerzucił kołczany przez ściankę sań. Potem spojrzął na karła i z kamienną gębą wyjaśnił:

- Ja zdrajca. Najgorszy z możliwych. Już raz mnie mieli na oku, ogniem palili, żebym wyznał, czy jestem Polak, czy Tatar.

Odchylił zbroję, uniósł tunikę jedwabną i pokazał ślady po torturach.

- Daj to Boże! Szczęściem, że mnie karły nie przypalają pytając czego we mnie więcej - rycerskiego giermka, czy garbusa nędzarza.

W tej chwili obaj się zorientowali, że w stodole jest ktoś trzeci. I chyba im się przysłuchuje. Był to zakonnik w dużym, czarnym płaszczu.

- Nic tu po nas, fratres<sup>29</sup>. Musim dalej iść. A rodzinę tego zacnego czelka, co dał nam gościnę, chronić i do Krzemieńca zaprowadzić - rzekł do nich. Szalbierz bez słowa złapał za dyszel i kiedy Karlito rozwarł wierzeje, wyciągnął sanie na środek podwórka. Zaczęli szykować się do dalszej drogi.

\*\*\*

parę godzin później ruszyli. Na początek sanie, powożone jeruzalema, a za nimi wóz chłopski owego biedaczyny, który dał im gościnę, nie wiadomo, czy na nieszczęście swo- ? czy też na ratunek przed zagładą. Wszyscy jakoś w milcze- % siedzieli, mając plecy pochylone i napięte od wydarzeń tego poranka. Zostawiali za sobą pustą chatę, zimną i cichą. I trupy mongolskie, ułożone na stertę pośrodku obejścia.

Śnieg jeno skrzypiał pod nogami, hurgotał pod płozami i kołami, tętnił głucho od uderzeń kopyt. Sunęli powoli, bo choć trakt idący z Kijowa do ziemi przemyskiej był ubity i szeroki, to jednak zimą, rzadko używany i zasypany śniegiem, trudny był do pokonania.

Brat Jacek szedł obok sań, skupiony, zamyślony, trochę nie w tym świecie duchem będący.

- Może byście siedli jednak do nas? - spytał go Szalbierz, patrząc jak się zakonnik męczy w czasie marszu, raz po raz wyciągając z białego puchu nogi tak oblepione, jakby kto dziegiem buty i owijacze nasmarował, a potem do pierza wsadził.

- Bóg wam zapłać, będę szedł - odrzekł mu Odrowąż.

Reguła zakonu żebraczego od Dominika przewidywała ubóstwo i podróże na własnych nogach odbywane. I nic nie mówiła o tym, że zimową porą braciszkwowie mają mieć lżejsze życie. Dalej musieli żebrać u ludzi o wsparcie, kwestować\*, a gdzie się da głosić Słowo Boże, zgodnie ze swym posłannictwem kaznodziejskim i nadal - choć się to zdawać mogło okrutne - nie używali wierzchowców do odbycia drogi, inoperpedes\*\* pokonywać kolejne mile, odmrażając stopy, czy to nabawiając się odcisków. Wola Boża.

Jadwiga, księżna śląska dobry to dawała w owych czasach przykład pobożności, chadzając boso po śniegu. A gdy ją spowiednik upomniał, że zbyt swoje ciało umartwia i nakazał jej nosić buty zimową porą, tak ona je wzięła i, wiążąc

Dominikanie nie posiadali własnego majątku, musieli utrzymywać

się z darowizn.  
Perpedes (łac.) - pieszo.  
sznurowadłem, założyła sobie na szyję, . Tak i uległa zom spowiednika i z drugiej strony postąpiła wedle

w jej mniemaniu miłe Bogu.

Owóż tak, jak Jadwiga w księstwie śląskim, tak inny p<sup>^</sup>kład świętego życia dawał ów Jacek z rodu Odrowążów, blisk0 spokrewniony z biskupem Iwonem<sup>30</sup> i Czesławem<sup>31</sup> wrocławskim, głosząc Ewangelię po wszystkich ziemiach rozbitego Królestwa Polskiego, zapuszczając się z misją aż do Prusów i Jadźwingów, i klasztory dominikańskie współ z innymi braćmi stawiając w samym środku miast, by się znaleźć bliżej ludzi i łatwiej im głosić ową Dobrą Nowinę. I nie chciał spocząć w owym zbożnym dziele. A gdy szedł obok sań, to przez chwilę nawet nie uskarżył się na ból, zmęczenie, czy brak wody do picia. Szalbierz go już więcej nie pytał, gdy pojął, że ów zawzięty braciszek i tak będzie brnął w śniegu, choćby i po pas było dla niego. Bo ma ogień w duszy.

W tylnej części sań leżał, a właściwie półleżał, bo plecy miał wsparte o tylną ściankę, rycerz herbu Kraplan, o duszy czystej, i dłoń okrytą miękką rękawicą trzymał na ramieniu swej ukochanej kuszy, Kunegundy. Tak to bywa, że rycerzom oręż zastępuje żonę u boku. Zaraz przy nim siedział jego wierny karzeł o garbatych plecach, kaprawych oczach i nosie pełnym nieprzystojnych purchli. A że potomek świętego Jerzego wiele gadać nie mógł, bo na gębie miał przyklejone pasy białego płótna, to się giermek za to jego własny wziął za rozpuszczenie jęzora, co też czynił zawsze z mistrzostwem godnym najwyszukańszych majstrów cechowych.

- Panie mój najśłodszy, wiedzieć musisz... - prawil zatem, z lubością wsłuchując się we własne słowa, jakby był minstre-lem, a nie skarłałym brudosiewcą - ...że nasz Jeruzalem wiele

jerpiał, odkąd go żeśmy w Sudovii po raz ostatni widzieli. ^ em go tatarskie psy paliły, żeby wyśpiewał, kto on, za- ? polak, czy Mongoł. W stodole mi pokazał te ślady i zem dział pięć03 na skórze. Ech, braciszku moi, nie jest to jatwa rzecz ciało mieć z jednego ulepione, a duszę z drugiego. \Viem cosik na ów temat, bo sam posiadam powłokę cielesną inszej miary, niżli mój duch. A toć, że nas z tej kijowskiej rzeźni wywiódł, to cud prawdziwy. Tego, mój panie kochany, nie pomnicie boście wtedy całkiem rozum postradali, znaczy żeście bez ducha i rozumu leżeli, ażem zaczął rozmyślać, iż szkoda by was było. Gdy tak noc na tatarskie obozowisko naszła i jeno się ognie paliły, jeno strażę chadzały, wtedy nas on te sanie zasadził i wywiózł. I właśnie owej nocy...

Tu garbus urwał i przyjrzał się, czy przypadkiem Jeruzalem nie podsłuchuje. Siedział bowiem niedaleko, na koźle, z kożuszką na ramionach i czapką baranią na głowie, czasem jeno cmoknął na konia, batem świsnął i zezem spoglądał na Hanne. Białogłowa była tuż obok niego i wsparła się głową o jego ramię, to drzemiac, to patrząc na drogę. Dominikanin szedł bliżej dyszła.

Karlito ocenił, że odległość jest bezpieczna i schyliwszy się do ucha rycerza zaczął szeptać:  
- Ten zakonnik, panie mój, to będzie jakim świętym naszego kościoła katolickiego, już ja to czuję. Garb mi podpowiada śwędzeniem, zem dobrze odczytał. Jużem jeden cud widział, jaki on zrobił.

Dragiełło nic na to nie rzekł, ale oczy mu zabłyśły żywiej, spojrział na Karlita domagając się wyjaśnień.

- Nocy tej, gdyśmy z obozowiska tatarskiego uchodzili, grając te role, żeśmy są jeńcy naszego Szalbierza, po północnej stronie stanęliśmy nad Dnieprem, by się przeprawić na drugą stronę. Lód był kruchy, spękany, znać że po nim dziesiątki koni przeszły wcześniej i

naruszyły skutą mrozem całość. Mógł się pod saniami w każdej chwili załamać. Staliśmy tak, panie mój, jak głupie kozy przed tarniną i ruszyć się nie mogliśmy. Hiob wleciał parę kroków na rzekę, ale co-ś sik zaskrzypiało, stuknęło i przerażony wrócił. Wtedy to ów Jacek wyciągnął z tobołków monstrancję z Sakramentem Wziął ją do jednej ręki, a drugą chwycił tę figurę Maryi Bogurodzicy. Pomodlił się i odważnie poszedł naprzód. A nam kazał iść za sobą. Balim się, ale Jeruzalem też znak krzyża uczynił i wjechał saniami na ową taflę. Wszystko pod nami trzeszczało, pękało i jużem myślał nad tym, czy garb nie jest czasem lżejszy od wody, jak kora drzew, aleć na szczęście, krok za krokiem, podążając w ślad za Odrowążem cały Dniepr przebyliśmy. Ino żeśmy patrzyli za jego postacią. A on, jakby natchniony, mój panie, jakby to nie lód łamiący się, nie woda zimna, nie krucha tafla, jeno droga twarda, jak skała nas miała wieść dalej. I tak żem czuł, patrząc z tyłu na ten czarny płaszcz rozwiany wichrem, żem chyba takie szczęście w życiu odnalazł, iż na kolejne święte osoby natrafiam. Dlatego żem zawsze czuł, iż los żebraczy jest jeno początkiem drogi, która zawiedzie mnie do zaszczytów. Nawet i biskupich honorów nie odmówię, chyba żeby nie było włości żadnych przydanych, jak u onych psów pańskich, dominikańskich.

Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto, sicut erat in principio et nunc et semper et in saecula saeculorum, amen. 32

\*\*\*

Gwar krzemienieckich ulic nie dochodził do wnętrza chaty. Tu, na uboczu, było spokojnie. Jeno ci zajeżdżali, co wiedzieli, iż baba odczynia. Na stole, rozebrany, leżał Dra- giełło i gdyby nie ogień huczący w kominku, to by pewnie trząśł się z zimna. Starucha skończyła zdejmować bandaże, odrywając je od ciała szczypcami, jakby to była katem i darła pasy z delikwenta<sup>33</sup>.

- Puszczaj, Tatarze! - zachnęła się i wyrwała rękę z jego uścisku. Nic nie mówiąc obeszła stół, wachając, przyglądając się bliznom i sińcom. Na koniec przyjrzała się twarzy rycerza. Wyprostowała się, a potem zaczęła coś pod nosem mamrotać.

- Co z nim? - wycedził Szalbierz, nadając słowom barwę zimnej groźby.

Zaśmiała się.

- Umrze - powiedziała.

Powązka (staropol.) - chusta do cedzenia świeżo udojonego mleka,.

- Też nowina. A ty nie? - warknął Jeruzalem.
- Umrze niedługo. Nie zobaczy już kwitnienia lip ^H
- Oszalałaś, starucho? Nikt cię o wróżby nie prosił ij

0 opatrzenie ran.

Baba zdawała się nie widzieć jego złości. Znowu na druj stronę ławy przelazła i zaczęła węszyć. Tak to głośno robib jak pies czujący zwierzynę.

- Ja go na te oparzenie odczynię, opatrę, maścią wysjA ruję. Aleć coś w nim insze siedzi. Siedzi coś. Złego coś. Nie wiem co. A zabije go.

Jeruzalem nie wytrzymał i chwycił ją za kark. Pchnął ją tak mocno, że aż uderzyła głową o słup.

- Nie bij - rzekła, patrząc mu hardo w oczy - prawdę ci gadam. Za to dziękuj, a nie bij.
- On ma żyć - wysyczał, gotując się w środku - ty gadaniem nie ściągaj złego.
- Nie muszę, Tatarze. Ono już jest. Czuję go.
- Rzekłem, nie gadaj. Smaruj go maścią, jak obiecałaś.

1 kładź nowe bandaże.

Wzięła się za robotę. Kot szedł po belce nad ich głowami, usiadł i skulił się, a jego ogon szalał wokół, jak cielsko tańczącego węża. Kępy zasuszonych ziół wisały u tej belki. I zasuszone skrzydła ptaków. Ale kot ich nie tknął. Były zaklęte.

M

IX

a Trzech Króli roku Pańskiego 1241 spadł we Wrocławiu lekki, puszysty śnieg. Wielka to była radość dla dziatwy, bo się mogła rzucać pigułami, za kołnierz jeden drugiemu zimne kule wpychać, ku zgorszeniu starszych osób. Cóż, gdy się pierwe skarży do Rzymu na nieprzystojne zachowanie niedorostków w czasie Dnia Młodzieniaszków\*, to trzeba im dać się wyszaleć choć na Szczodry Dzień\*\*. A święto to było najradośniejsze tej zimy i lubo pogłoski chodziły o jadących od Orientu wojskach tatarskich, to ciągle nikt tego na poważnie nie brał. Co dalekie od koszuli człeka, to trudniejsze do wyrozumienia. Nikt więc zapasów nie sposobił, ani się nie rozglądał kędy trzeba będzie uciekać, dokąd Dzień Młodzieniaszków - 28 grudnia. Już od wczesnego średniowiecza utarło się, iż w to święto młodzież czyni psikusy, nawet po kościołach.

Szczodry Dzień - inna nazwa święta Trzech Króli, związana ze średniowiecznym zwyczajem obdarowywania się w ten dzień upominkami.

iść. Może i lepiej tak jest dla zdrowego ducha, niżli naon biadolić i miast się radować, to płakać z lęku przed zapo^ danym nadejściem flagelli Dei.

I łacniej było o strachach zapomnieć, gdy się człowi^ skupił na tym, co było do przeżycia tego dnia. Dyć cały t0 chrześcijański świat radował się niepomiernie, ku upamięt nieniu przybycia Trzech Magów do niewielkiej betlejemskiej stajenki. Wszyscy, zapominając dawne złości, się wzajem obdarowywali upominkami, co miało być znakiem międzyludzkiej miłości wspartej na nauce Boga i wielkiego szczęścia, jakie na ludzkość przyszło od poznania Dobrej Nowiny. Dawano dzieciom łakocie, sobie zaś wzajem niewielkie, a miłe sercu drobiazgi, czy to chustkę zdobną, czy nożyk ładnie osadzony w rogu, czy jakąś broszkę i spinkę, czy po prostu owoce, a mówiono przy tym „na gwiazdkę”. Gwiazda Betlejemska bowiem wskazywała drogę, którą do zbawienia należy dojść.

Gwiazdory-chwisty chodziły od domu do domu, a wszystka dzieciarnia przebrana była za różnorakie bydłeta: tury, jelenie, konie, woły i kozy. I biegała tak po obejściach, życząc pomyślności i strasząc wysmarowanymi gębami, kozuchami o wywróconym na wierzch włosiem, rogami wiązanyymi na głowach, przyprawionymi brodami, słomą owiniętą wokół rąk i nóg i wreszcie potwornym wilkiem niesionym na wysokim kiju. Wszędy brzmiała kolęda, przytupy i śpiewy, bo wierzone w czarowną moc słowa- pieśni w chwili osobliwszej.

Kolędnicy mogli biegać gdzie bądź, wpuszczanych, na dziedzińce dworów, do wnętrza klasztorów, do domowych ogródków, do młynów i na książęce podworce. Nawet mostu idącego na Arenę\* książę Henryk kazał tego dnia nie podnosić ni razu, a myta nie pobierać, by ludowi umożliwić swobodne dotarcie na wyspy. Stąd i większy się ruch zrobił.

Arena (tac.) - inaczej „Piasek”, nazwa największej wrocławskiej wyspy na Odrze.

przechodził na Piasek i dale] na Ostrów i Ołbin, by się I a .wować pięknym kościołom i popatrywać na przystrojenia ^teczne.

' przed wejściem do Kościoła Najświętszej Marii Panny, na samym środku piaskowej wyspy usadowionym, stała właśnie rupka hałaśliwych, barwnych kolędników i się wzajem popchała, klóćąc o otrzymane ciastka. Rzecz w tym, iż chłopców kolędowało sześciu, a ciasteczek im furtianin klasztoru kanoników regularnych reguły augustiańskiej wydał jeno pięć. Jakby to nie wiedział, że nierówność w liczbie może spowodować nieszczęście. A może się nie doliczył dziatwy, kto wie. Dość rzec, że się tuż przed wejściem do świątyni zrobił harmider nieprzystojny. A jako, że nikt ich nie gonił różgą, to i trwało bezceństwo. „Dawaj, moje, tyś



głupi, bo cię zarżnę jak prosiaka, niech cię diabeł porwie" - te i inne słówka biegały między żakami.

Na ulicy, w części idącej od Ołbina, dał się słyszeć w tym samym czasie stukot kopyt końskich. Ludzie rozstąpili się na boki, stając pod ścianami. Środkiem jechało kilku rycerzy w długich, białych płaszczach, kładących się na końskie zady. Na lewej pole każdej zaś opończy widniał krzyż czarny.

Dzieci się zdawały tego nie widzieć, ani nie słyszeć, jeno dalej wały się po łbach i klęły tak siarczyście, że uszy by zwiędły niejednemu dorosłemu, gdyby to usłyszał. Dopiero gdy już prawie na nich najechały konie rycerskie, wtedy chłopak robiący za diabła w kolędniczym fachu, zatrzymał się, Przestał dusić swego druha, zmartwiał i krzyknął:

- Dlaboga! Co za Rittery!

Kolędnicy wszyscy, jak jeden, zapomnieli o waśniach i spojrzeli w górę rozdziawiając buzie. Przed sobą mieli potężne wierzchowce, o rzędach nabijanych metalowymi guzami. A w siodłach, jeszcze wyżej, dwóch rycerzy, w takich strojach, jakich żaden z chłopców jeszcze nigdy w życiu nie widział, w misternych kolczugach o delikatnym przepłotę bielusieńkich tunikach i płaszczach - braci zakonnych

z Orden der Ritter des Hospitals Sankt Marien des Deutsche Hauses<sup>34</sup>. Jeden z nich, z gęstą brodą i błękitnymi chłodny<sup>^</sup> oczami, był to Landmeister pruski, Poppon von Osternah" a drugi, o smutnym, nieobecny spojrzeniu i metalowej pro<sup>^</sup> tezie przyczepionej do przedramienia w miejscu utraconej ręki, zwał się Kuno von Kierchenstein, pochodził z Lubeki i nie znosił małych dzieci.

- Och, Maryjo! Albo to archanioły od Świętego Michała albo diabły wcielone! Ratuj się, kto może! - rozdarł się najwyższy kolędnik, chudy jak szczapa, z koroną słomianą na głowie i uszami odstającymi jak łopianowe liście od łodygi.

Gdy to usłyszał stojący obok grubasek o piegopatym nosku, rozbeczał się głośno i z całej siły cisnął ciasteczkiem makowym w stronę rycerzy zakonu Maryjnego. Po czym zaczął uciekać, wrzeszcząc w niebogłosy i roztrącając ludzi. A za nim popędziła reszta chłopców, gubiąc po drodze wilka i jelenie rogi.

Brat Kuno, zwany „Żelazorękim" starł rękawicą okruszki maku i ciasta. Przeżegnał się lewą dłonią i zsiadł z konia.

Spojrzał na tympanon nad wejściem do kościoła Marii Panny i przyglądał przez chwilę wyrzeźbionym postaciom. Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku nie trudno było rozpoznać. Gorzej było rozeznaczyć kogo przedstawiają dwie inne figury, przedstawione w pozach pokornych i odbierające z rąk Bogurodzicy miniaturę świątyni. Pewnikiem byli to fundatorzy, ale Kuno, choć bywały w świecie i znający upał Akki, pałace słońce Jerozolimy i nieznośną duchotę pruskiej puszczy oraz jej krwio pijne stwory, to nie mógł tego wiedzieć, iż wyrzeźbiona niewiasta to Maria Włostowicowa<sup>35</sup>, księżniczka ruska a widoczny obok młodzieniec to jej syn Świętosław.

Znów na obcej ziemi, pomyślał, kędy człowiek bogobojny • rozumie historii wpisanych w ściany katedr. n'6przeszedł do bocznej furty i zakolatał do drzwi swoją metalową ręką. W korytarzu, daleko, poniosło się złowrózobne echo.

\*\*\*

Michałko zaklął głośno, szarpnął się, by wyrwać rękę z uścisku, lecz na darmo. Ktoś go pchał ciemnym tunelem, a że strop był nisko zawieszony, więc grubas już dwukrotnie uderzył łbem w belkę idącą pod sufitem. Skrzypnęły drzwi, jakiś człek pokornie pochylony, dawał im drogę, usłużnym gestem zapraszając dalej.

Rycerz z Ciepłowody parsknął głośno, na znak dezaprobaty. Dawno wszystkie te wypadki przekroczyły granicę, poza którą zaczyna już śmierdzieć ujma na honorze.

Bocianek prowadzony z tyłu, przez innych zbirów, też coś ciągle jęczał, stękał i dawał aż nadto do zrozumienia, że sposób owej ceremonii niezbyt mu się podoba. Tak ich obu ciągnięto i szarpano, że już lepsze się zdawało schwytywanie przez pacholków miejskich. Z drugiej strony wtedy by obu przyjaciół czekało niechybne więzienie, albo co także wielce prawdopodobne - tortury. Nie było zmiłuj - samo podejrzenie o możliwy udział w przestępstwie oznaczało ciupę i zdecydowane indagacje mające na celu dojście prawdy.

Dziękować więc Bogu, że ich nie złapano - lochy wrocławskie były ciemne, zimne i pełne szcurów. Przestępcy o nich wtrąceni, gdy mieli więcej szczęścia, to okienko dostawali wychodzące na poziomie bruku na ulicę. Mocno się wspiąwszy na pryczy, mogli wystawiać ręce między kratami i błagać przechodniów o kawałek chleba, dyc się musieli sami, choć w zamknięciu, utrzymać. Stąd to często, Przy długim procesie, człek umierał z wycieńczenia, głodu i choroby, zanim mógł doświadczyć chłodnego dotyku sprawiedliwości.

Tego więc nietrzeźwy tłuscioch, wraz ze swym chudopa chołkiem z Bocianowic, gratia Sanctae Mariae semper Virgi ne et tuti Sancti<sup>36</sup>, na całe swoje szczęście nie doświadczyli

Teraz jednak obaj zaczęli myśleć, że to co się zdawało ich wybawieniem jeszcze przed paroma chwilami, obecnie może być przyczynkiem do zguby.

Zajaśniało mocniej światło dzienne i obaj druhowie, pchnięci silnymi rękami, znaleźli się nagle na schodkach prowadzących na duży dziedziniec. Michałko chciał coś krzyknąć o skaraniu boskim na ich oswobodzicieli, a zarazem nowych oprawców, lecz zamilkł widząc przed sobą widok tak niecodzienny, że aż mu słowa uwięzły w pół na języku.

Oto znaleźli się na skraju zapomnianego przez Boga, ludzi i miejskie władze zaułka, tworzącego przestronny podwórzec, który rozmiarem pasowałby do książecego zamku, a nie dzielnicy zamieszkaanej przez nędzarzy i najgorsze ludzkie ścierwo.

Z jednej strony teren ograniczała wysoka ściana kościoła Świętej Elżbiety, z drugiej pozostałość dawnego wału obronnego, a z pozostałych kierunków mury dwupiętrowych kamienic o zaniedbanych poddaszach, dziurawych dachach, oknach bez żadnej przesłony i drzwiach ledwo wiszących na pordezewiałych zawiasach. Nad głowami latały ptaki, wietrząc zdobycz i siadały wysoko na kościelnych wieżach, stamtąd wygodnie obserwując, co się w dole dzieje.

Cały ów plac miał powierzchnię sporego targu i jeden wiek temu, za Krzywoustego i Wygnańca, tętniło tu życie miejskie. Niektóre budy, spróchniałe i wałące się od starości wyglądały nawet na dawne jatki. Pewnikiem postawienie kamienicy od wschodniej strony nagle zamknęło zwykły dostęp i dziedziniec umarł naturalnym rytmem. Jeszcze za Bolesława Wysokiego, ludność korzystała z niego, lecz przejście było za wąskie, takie że można było rękami jednej i drugiej ściany dotknąć. Potem ktoś je zastawił kramem

butami i wtedy już całkiem zarosło pokrzywami, a gdy jeszcze zaczęto tam zwałać śmieci, to zamknęło całą przestrzeń dla świata.

Tu więc się zaczęły gromadzić wszelkie szumowiny, łotry, miejskie bandziory i banici, tworząc własne miasto w mieście, zamieszkując w starych kramach, stawiając szałasy i obejmując we władanie niektóre z kamienic i lochów. Prowadziło tu jeno kilka tajnych przejść. Teraz zaś było tak pełno owych złoczyńców, że się mogło zdawać, jakby to szczury zaczęły uciekać na powierzchnię od morowego powietrza. Falowała wielka ciżba brudnych, kosmatych łbów, migały czapki i kaptury wielokrotnie cerowane, co i raz się widziało twarz bez oka, czy bez nosa, a zliczyć tych, co byli bez ręki, czy bez stopy nie szło, każdy zresztą z owych ludzi jakoś był chromy, cierpiąc od kolejnych wyroków za grabieże, gwałty, mordy i włóczęgostwo. Gwar nad tym morzem pokurczonych postaci był równie silny, co niemiły odór brudnych ciał, ropiejących ran i nigdy nie zmienianych szat. Daleko, pod samą ścianą kościoła, na podwyższeniu stał tron obłożony kobiercem, a nad nim wielki baldachim, widać

ukradziony z jakiegoś możnego domu. Siedział na owym tronie gruby mężczyzna o kosmatej, czarnej, tłustej brodzie, w barwnej tunice wyszywanej w złote lilije, w ciżmach z cieplecej skóry i w wielkiej tiarze biskupiej, błyskającej z dala drogocennymi kamykami naszywanymi w równych szeregach. Machał on do tłumu i coś krzyczał, a dziesiątki zgromadzonych popaprząńców odpowiadało mu chóralnymi, radosnymi rykami. Na scenę obok wypadły trzy ladacznice, odsłaniając brzuchy i zaczęły tańczyć, śmiejąc się i pokazując dżiąsła pozbawione zębów. Zgoniono je rzucając zgniętymi jabłkami. Część tłumu śpiewała jakąś sprośną pieśń, a wszędzie raczono się piwem i miodem toczonym z wielkich beczek ustawionych na kozłach pod ścianą jednej z kamienic.

- Matko Święta! To żeśmy Michałko do piekła trafili, za nasze grzechy - wyjąkał przerażony Bocianek.

Niski człowieczek, o twarzy pełnej dziur po jakiejś okrutnej chorobie, złapał ich za rękawy i sprowadził ze schodków na bok.

- Tu nie stójta, bo przejście grodzie - syknął do nich a potem dodał uśmiechając się szeroko - Dziękujcie, że was pacholkiwie nie zdybali, a tu nie piekło jest, jeno Podwórzec Cudów.

- Toć podwórce nie istnieją! - wysapał Michałko, ocierając pot z czoła i następnie zwrócił się do Bocianka - Słyszałem o tych Podwórcach Cudów od różnych gagatków, którzy w karczmach ze mną pili. Alem sądził, że to jeno zwykłe, pijackie bajdurzenie.

- Bajdurzenie? A to, co widzicie, to cóż? Może klechda? Czy najprawdziwsza z prawd? - człowieczek o dziobatej gębie miał chyba coraz większy ubaw z rozmowy, ale naraz spowaźniał i obu rycerzy do siebie przyciągnął, a dalej wskazał palcem ponad tłumem.

- Gdy się wszystko skończy, macie się udać do Zarastra. Tego, co go na tronie widzicie. Mnie znajdziecie w każdy piątek wieczorem w karczmie Pod Polskim Łbem, na Nowym Targu. Jak mnie odszukacie, to was do niego zaprowadzę.

- Aleć... cóż to... czego to? - zaczął jąkać się Bocianek, a Michałko szarpał wąsa nic nie rozumiejąc z tego co się dzieje.

- Nie wiecie? - dziobaty ledwo utrzymywał powagę widząc ich gapiostwo i nie rozumienie prostych spraw.

- Nic a nic - stwierdził rycerz z Ciepłowody i czknał.

- Ni w zań - potwierdził jego giermek, nie czkając.

- Nikogo żeście dzisiaj nie ratowali na targu od pościgu?

- A prawda, był jeden łotrzyk, co go schowałem pod suknią, gdy go gonili - twarz Michałka nagle rozjaśnił uśmiech-

- Wielce to po chrześcijańsku, złodziei ratować - wetknął mu szpilę jego wierny druh.

- Więc się tak rzeczy mają - wyjaśniał dalej człek z dziurawą gębą - że od tego wam będzie lżej w wielu sprawkach, aleć to już nie ja wam rzeknę... Bywajcie, na mnie czas, bo to ? z się zafaz wszystko zacznie.

\_Zacznie? Ale cóż się zacznie? - Bocianek z ciekawości tfybałuszyloczy.

W tej chwili właśnie, ów Zarastro w wielkiej barwnej sukni przypominającej biskupi płaszcz, wstał z tronu i uciszył wszystkich ręką. Podano mu róg. Przytknął go do ust. Zanim zatrał, dziobaty człowieczek rzucił szeptem:

- Święto Błaznów. Jak tego nie wiecie, znaczy żeście z daleka. Sza, na mnie czas. Umykam. Trzymajcie się tłumu. I pamiętajcie, piątek, karczma pod Polskim Łbem.

Zaczął iść w stronę sceny, rozpychając się łokciami i klnąc głośno. Zbiry właśnie wstawały z ziemi, szykując się do marszu.

- Jak cię zwa, człowieku? - krzyknął za nim Michałko.

- Papageno! Papageno, ptaszniak króla nędzarzy! - wrzasnął im ten dziwak i w tej chwili dopiero zobaczyli, że pod płaszczem ma ubranie zrobione z kolorowych piór.

- Święto Błaznów... - powtórzył machinalnie Michałko. Bocianek spojrzął na przyjaciela drapiąc się w czoło.

Ciżba ruszyła w stronę jednego z tajnych wyjść. Rycerz z giermkim poszli więc za nimi.

\*\*\*

Ignasz siedział sztywno i patrzył w jeden punkt na ścianie. Całkiem, jakby lazył tam jakiś robaczek, którego w istocie nie było. Kamerariusz\* delikatnymi ruchami strzygł chłopcu głowę, tak by w czasie ceremonii włosy były już krótsze i łatwe do wygolenia.

- Tonsura jest takowe signum divinum\*\* dla reszty świata ~ tłumaczył ciepłym głosem - bezpośrednia pamiątka koro- ny Cierniowej.

Kamerariusz - funkcja w średniowiecznych zakonach, skarbnik, „, intendent, kwatermistrz. Signum...(łac.) - znak boży.

- Kupić ją można niedrogo, całkiem niedrogo, u każde 0 biskupa - dorzucił kąśliwie gruby mnich w pustelniczej su tannie, stojący koło okna i patrzący w stronę oławskiej uijc biegnącej za murem klasztornym.

- Nie głoście herezji, bracie Dobrosławie, szczególnie że już bliski dzień ważny i słodki dla naszego młodzieńca - odrzekł mu duchak.

Zakonnik przejechał dłonią po głowie chłopca, jakby chciał sprawdzić, czy krótkie włosy dobrze się najeżą, ułatwiając późniejsze obcinanie przed ołtarzem.

Do celi wszedł ubrany w ciężki, skórzany fartuch, kowal klasztorny. Trzymał w rękach trzy metalowe, czarne przedmioty. Dobrosław spojrzął na nie z zaciekawioną, ale kamera- riusz uprzedził go wzrokiem, by nie dotykał niczego, więc cofnął wyciągniętą rękę. Duchak razem z Mistrzem Metalurgii założył chłopcu na głowę pierwszą część. Był to krągły, piękny szyszak, kruczej barwy, tak dopasowany dobrze, iż skórzana obejmka zacisnęła się na wysokości czoła, utrzymując ciężar.

- Dobrze wzięta miara - ucieszył się kowal.

- Musim teraz poprobować wszystko, jak się na nim trzyma, by w czasie nabożeństwa nie było niespodzianki jakiejś - rzekł skarbnik zakonny, ni to gadając do siebie, ni to do kowala, ni do pustelnika.

Zapięli Ignasiowi skórzany pasek pod brodą.

- Wygodnie? - spytał kamerariusz chłopca, a ten jeno mruknął na potwierdzenie.

- Jaki jesteście numer? - spytał Dobrosław, gładząc się po brzuchu i myśląc o ewentualnym większym posiłku po całej uroczystości, którą planowano na niedzielę.

- Czterdziesty Drugi - odparł zakonnik i na chwilę poluzował gieżło na piersiach, ukazując ukryty pod koszulą ciąg cyfr, kluty sinym atramentem: XLII.

- Wysoko - sapnął pustelnik od niechcienia, sprawiając wrażenie znudzenia rozmową, a właściwie nawet gadania co bądź, dla zabicia ciszy. Ujął leżące na skrzyni zwierciadło tanałz nim Prze^ chłopakiem, tak by ten mógł się przeglądać W ten sposób był bardzo blisko i miał szansę dać niepo- trzezenie jakie znaki dla otuchy i wezbrania serca odwagą. S \_ Wysoko, czy nisko, rzecz względna. Każdy numer kiedyś odejdzie na ucztę u Pana - Czterdziesty Drugi mówił ze spokojem, a miał w sobie dużo szczerzej prostoty i pokory. Aż pobrosław poczuł w stosunku do niego jakiś rodzaj niewielkiej sympatii.

Zakonnik od Świętego Ducha nie miał na sobie helmu, maski ani zbroi - należał bowiem do grupy sergentes\*, która zajmowała się szpitalnictwem, dobroczynnością, prowadzeniem hospicjów i przytułków dla sierot oraz tym wszystkim, co się ze światem świeckim wiąże.

We wrocławskim szpitalu Świętego Ducha pełnił funkcję kamerariusza, dbał więc o pościel, wino, zbieranie datków, prace kowalskie i ciesielskie, nowe odzienie, bieliznę, niezbędne naprawy uzbrojenia, brzytwy, podkowy, a w wigilię Wszystkich Świętych zmieniał każdemu bratu siennik i posłanie na pryczy.

- Choć nasz postulant\*\* milczy, to mu rzeknę, iż wstępując do rodziny naszego zakonu, uzyska to, iż wada jego płynąca z kalectwa i braku języka, stanie się wielką zaletą - prawil Czterdziesty Drugi, po czym z rąk kowala wyjął drugą stalową część i dopiął z tyłu, na karku, gdzie zwykle kolczy czepiec wisi. Następnie ujął trzecią i uniół przed sobą nabożnie, oglądając ze wszystkich stron. Trzymał w dłoniach maskę, skrzącą się w płomieniach świecy odbitymi ognikami. Przejechał palcem po zagłębieniach, oczodołach, a potem prześlizgnął się po górcie nosa i wjechał na czoło.

- Numer Jeden - wyszeptał ze czcią i z dziwnym napięciem w głosie. Następnie kciukiem przeszedł całą, idealną linię, która tworzyła najprostszą z możliwych cyfr, rzymską jedynekę. Sergentes (łac.) - serwienci, grupa zakonna nie mająca święceń kapłańskich, ani nie będąca rycerzami, lecz pełniąca służbę pomocniczą związaną z funkcjonowaniem dóbr klasztornych. Postulant - kandydat do zakonu.

- Mistrzowska robota - rzucił z podziwem w stronę k0 wała. Metalurg schylił się pokornie, lecz tego ukryć nie zd0 łał, iż pokraśniał z dumy.

Dobrosław uśmiechnął się do chłopaka, widząc że Igna^ tak jest skamieniały, jakby mu kto serce odlał z tego czarnego metalu.

Kamerariusz, z nabożnym skupieniem, powoli przyłożył maskę do twarzy młodzieńca.

W dużych otworach zabłysnęły oczy chłopca. Pustelnik cofnął się i schował zwierciadło, bo nie chciał, by dzieciak widział drżenie jego rąk.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć - kolejno strzelały zapinane zatrzaski.

- Jak się czujesz? Nie uciska gdzie? - spytał Czterdziesty Drugi.

Chłopiec spojrział na prawo i lewo, zmarszczył nos i w końcu oblizal wargi. Pokręcił przecząco głową.

- Wspaniale! Teraz już ino czekać na dopełnienie wszystkiego - kamerariusz odpiął maskę.

- Więc jak już ci zacząłem mówić, twój brak języka w gębie, tylko jest zaletą, a nie wadą. Inni chłopcy, brani z sierocińca, lub jak ty przysyłani z Italii, sami muszą ćwiczyć się w nabożnym milczeniu, nie wydając z siebie nawet małego słowa. I tak, jak ty, muszą opanować mowę gestów, by zmierzać ku doskonałości duchowej, jaką jest milczenie i tak samemu ćwiczyć ku wyciszeniu i porzuceniu tego, co ziemskie.

Urwał i sięgnął po duży, czarny kaptur.

- Nałóż go na głowę, pochyl się, módl i ze światem nie łał zrozumienia, aż do świtu. Trwaj tak na rozmowie z Panem Bogiem, zmawiaj Psalterz Maryjny i bądź samotny. Zbliża się dla ciebie dzień próby.

Ignaś założył sobie na głowę spiczasty, duży kaptur o szerokich ramionach opadających na barki. I ukłęknał.

Pozostali trzej wyszli z celi, a Dobrosław wraz z nimi i Ignaś został sam, zamknięty w czarnym materiale, jak

namiocie pokutnym. A choć cela się znajdowała w kwartale dla braci świeckich oraz samego hospicjum, to hałasy do- biegające od okna i ze strony korytarza nie mogły go wytrącić ze stanu nabożnego skupienia, w jaki zapadł. Po wszystkim, c0 ten dzieciak przeszedł, to należałoby mu dać ze dwa razy więcej lat, niż miał w istocie i tę powagę widać było wtedy, gdy spojrzalo mu się prosto w oczy.

Dobrosław, zszedł w ślad za Czterdziestym Drugim na parter i udał się w stronę infirmerii\*, w której przy ciele zmarłego odmawiano nieustanną modlitwę, z kolejnych Pater noster\*\* złożoną, przerzucając w dłoniach koraliki różańca. Miał stamtąd wywołać Numer Trzydziesty Trzeci i zacząć rozmowę na temat własnego przystąpienia do zgromadzenia, co wobec rysującej się przyszłości podopiecznego chłopca wydawało się ze wszech miar słuszne i rozsądne.

Cyganka uderzała dłońmi w tamburyn. Zagrały trąbki. Karzeł w czerwonych gaciach założonych na głowę biegł przodem, machając wielką, złocistą kulą na długim powrozie.

- Święto Błaznów! Święto Błaznów! Święto Błaznów! - krzyczeli ludzie wypełniający tłumnie Nowy Targ i w podnieceniu czekający na procesję, która zaraz miała się przetoczyć głównymi ulicami. Podniósł się jeszcze większy gwar. Już widziano pierwsze, maszerujące grupy.

Najpierw ruszyli fałszywi pątnicy, oklaskiwani gorąco, jako początkowa atrakcja. Nieśli ze sobą podróżne kamienie, jerozolimskie palmy, paciorki, krzyżyki, pierścienie ocierane o cudowne obrazy, ziemię z góry Kalwaryi, piasek z domu Panny Maryi z Loreta i dzwonki loretańskie do dzwonienia w czasie burzy i odpędzania piorunu.

Infirmeria - pomieszczenie w średniowiecznym klasztorze, izba chorych, kaplica do odprawiania żałobnych modłów.

Pater noster (łac.) - Ojcze nasz.

Wielu z nich zawodziło pieśni, stukało muszlami o W \ peregrynacyjne i waliło kołatkami i owymi dzwoneczka^ które ponoć z samego Santa Casa<sup>37</sup> pod Ankoną pochodziły. Tłum zaczął wyć, klaskać i bić brawo. Nikomu nie wad<sup>l</sup> ło, że oto idą oszuści i naciągacze, a wręcz jakoś to ludzi

strajało żartobliwie, lekko i wesoło. Niektórzy aż się rzucali; kupować fałszywe przedmioty, choć i tak wiedzieli, że dajmy na to, dzwoneczek loretański w istocie i po prawdzie wykuty był przez kowala pod Środą. Cóż z tego, gdy i tak sprawi radość żonie i dzieciom, kiedy się wróci do domu. Z Loreto, czy spod Śląskiej Środy, to już naprawdę wszystko jedno. Ważne by po prostu był.

Dalej się przelewała traktem miejskim przestępcza rzeka, mając swe źródło gdzieś koło dworu Ottona, a potem płynąc przy Domu Sióstr Trzebnickich na Nowy Targ i na Arenę, gdzie się wszystko kończyło wśród lepianek biedoty w okolicach młyna „Maria”.

Szły więc kolejne fale bandziorów, ułożone w grupy, wedle swych zbójceckich profesji: kulawcy i jednoręcy, naciągacze, kuternodzy, połamańce, fałszywi pogorzelnicy i niby-sieroty, koniokrady, potoczniczy, kociumiarze, szulerzy, bucharze, łaziki wieczne, symulujący epilepsję przez trzymanie kawałka mydła w gębie, wydrwigrosze, proszalnicy, pokąsani przez wściekłego psa i uleczeni przez świętego Huberta, gwałciciele kobiet, najemne zbiry o ponurym spojrzeniu gadające z flamandzkim akcentem, fałszerze pieniądza, rzezimieszki, włamywacze, nieprawdziwi księża, złodzieje i złodziejki, truciciele studni i zwykli, prości mordercy.

Dalej zaś szły ladacznice, podwijając kiecki, mrugając długimi, czarnymi rzęsami i śmiejąc się chrapliwie a w pożądlivy sposób.

Michałko i Bocianek, wmieszani w ów przedziwny pochód, między fałszywymi pogorzelnicy a pokąsańcami,

owali razem z niby-sierotami. Co zresztą Michałko acielowi wytknął, mówiąc złośliwie, że gdy patrzy się na ? o gębę, to ma silne wrażenie, że chudzina nie jest tylko ni- h^'sierotą, lecz jest sierotą w pełnym tego słowa znaczeniu.

I wreszcie na końcu się ukazał wóz wiozący króla nędzarzy papieża błaznów, księcia podziemnego świata. Stał z niezmaconym spokojem przyjmując wiwaty i oklaski. Tiara opadała mu na zmarszczone, spocone czoło. W ręku trzymał psa i gładził go za uchem. Cyganie zaczęli grać i śpiewać. Karczmarze wystawili beki z trunkami przed oberżami. Wszystko się weseliło. Jenó ksiązę Henryk Wtóry, pan ziemi śląskiej, suweren Małej Polski, władca księstwa Wielkiej Polski stał w oknie piastowskiego zamku i wydawał się zasmucony. Na parapecie usiadł kruk i przekrzywił głowę. W jego małym, czarnym oku odbiła się sylwetka księcia. Zły znak.

Wysłannik Arpadów\* miał na sobie tunikę w czerwono-srebrne pasy i narzucony na ramiona płaszcz zimowy, podbity sobolowym futrem, a spięty na ramionach dwiema

kunsztownymi broszami i idącym pod szyją łańcuchem. Pierścienie na rękach, trefione, opadające w tył przyprószone siwizną włosy i ostrogi błyskające u stóp świadczyły o tym, iż król Bela<sup>38</sup> powierzył misję jednemu z najznacześniejszych rycerzy węgierskiego dworu.

Książę Henryk, wsparłszy czoło ręką, czytał list władcy Madziarów. Rycerze, służba, damy dworu i tłumacz ze strony polskiej, a także orszak poselstwa węgierskiego, trwali w ciszy, czekając aż princeps dokończy lekturę. Żona monarchy, księżna Anna, miała na twarzy nieustający uśmiech, jakby to chciała wynagrodzić wszystkim gościom ów frasunek marszczący czoło jej męża. Nie dało się jednak ukryć, że była to maska pokrywająca troskę i smutne dni żałoby, w jakiej chodziła od grudniowej śmierci matki Konstancji.

Posel węgierski nie odwzajemniał tego dworskiego uśmiechu, uznając go za jedną z obowiązujących norm grzeczności w stosunkach dyplomatycznych. Z kamienną twarzą nieprzeniknionym wzrokiem i zaciśniętymi w wąską szparkę ustami, patrzył przed siebie, trzymając na kolanach równo ułożone dłonie. Jakby się modlił.

Piast skończył czytanie i oddał pisarzowi pergaminową płachtę listu, a wiszące na sznurach pieczęcie zakotły się, jak wielkie, burgundowe ciężarki, dające odpowiednią wagę pismom królewskim.

Ojciec Herbord<sup>39</sup>, osobisty spowiednik, zausznic, sekretarz i cichy, pokorny towarzysz życia dworu śląskich władców, ujął pismo w obie ręce, wykazując należyty szacunek wobec naniesionych liter i zaniósł je do stojącego z boku pulpitu.

- Czy rzecz jest pewna? - spytał Henryk, splatając na brzuchu palce rąk. Na prawej dłoni błysnął pierścień przekazany mu przez ojca, ze znakiem herbowym, w którym krzyż wsparty jest na maryjnym półksiężycu, jak na łodzi.

- Jako mnie tu widzicie - odparł Węgier, co skwapliwie tłumacz przełożył - w ręce nasze wpadło kilku szpiegów tatarskich, którzy na torturach wyznali niecne zamiary swoich panów. Najazd na ziemie nasze i wasze jest tak już pewny, jak to, że po zimie nadejdzie wiosna. Jenó Bóg może to jeszcze odmienić.

- Kiedy się spodziewacie? - pytał dalej polski książę.

- W każdej to może być chwili. Brat naszego, miłościwie nam panującego pana, króla tronu węgierskiego, Ko-loman<sup>40</sup>, władca księstwa halickiego także gońców słał do nas, alarmując, że już na granicach chodzą pierwsze zagonny tatarskie i że jenó dnia czekać, gdy pod sam Halicz podejda-

e i tam już są. Słała też Salomea\* do brata, do Bolesła-

w Krakowie i do Grzymisławy, lubo was, władcę całych .ejn polskich, upatrujem jako obrońcę i wspomóżyciela naszych starań, by kraje chrześcijańskie przed najazdem niewiernych bronić. Czego i wam będzie blisko i nijak odmówić, bo w tem wątpić nie można, że i tu przyjdą by wsie pustoszyć, palić, zamki dobywać, a krew mężów polskich przelewać. Sancte Michael Archangele defende nos in pro- lio, contra nequitiam et insidias diaboli esto praesidium\*\*. W onym czasie, coby snadniej o fata nadchodzące zadbać, Illustrissimus Dominus Rex Hungarie, najlaskawiej nam panujący król Bela IV słał już pisma do Ojca Świętego na tronie piotrowym, Grzegorza IX i cesarza Wielkiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, Fryderyka Wtórego Hohenstauf, upraszając o pomoc i posiłki.

- Jeśli Pan twój pisania słał i do Papieża i do jego wroga zajadłego, Fryderyka, to jakby prosił anioła i diabła o złączenie sił - rzucił z delikatnie złośliwym uśmiechem śląski władarz.

- Nie mnie oceniać, miłościwy panie.

- Słusznie. Jakież król twój dostał odpowiedzi?

Posel węgierski milczał. Nie drgnęła dłoń leżąca na kolanie, nie mrugnęła powieka. Jenó kącik ust się nieco unioś, jakby to wszystko co się działo właśnie, było krotochwilą, błazenadą, kuglarstwem, w którym wszyscy uczestniczą, lecz nieliczni tylko znają prawdziwy sens gry.

Patrzył prosto w twarz polskiego księcia, jakby wiedział, że wyraz zimnych oczu więcej mu powie, niżli słowa, których musiał używać dyplomatycznie i z rozwagą.

W końcu odpowiedział, ze spokojem dobierając wyrazy:

- Listy z pisaniem w odpowiedzi nadeszły chyba, aż komę gońców padały spienione.

Błogosławiona Salomea (1211-1268) - córka Leszka Białego i Grzymisławy, siostra Bolesława Wstydliwego, żona Kolamana. Sancte Michael... (łac.) - Święty Michale Archaniele, broń nas w walce, a przeciw złości i zasadzkom czarta bądź nam ochroną.

- Cóż w listach?

- Życzenia odwagi i Bożej Opatrzności w ciężkich termj nach, a także obietnica wsparcia modlitwą in perpetuum<sup>41</sup>

- A wsparcie ziemskie, bojowe? Obietnice hufów pancernych? Najemników? Krzyżowców? Zakonów? Książąt? Ry. cerstwa chrześcijańskiego? Wezwanie krucjatowe, wzorem Urbana? - książę Henryk mówiąc zaciskał dłoń na poręczy tronu, usiłując okiełznać emocje, jakie poczęły nim miotać.

Węgierski wysłannik pozwolił sobie na uśmiech.

- Semmi - powiedział cicho.

Wszyscy spojrzeli na tłumacza, który w tej chwili zapomniał, by przekładać natychmiast, tylko stał zdziwiony usłyszaną treścią. W końcu wyjąkał:

-Nic.

Daleko zza okien dochodził gwar i wesołe okrzyki. Procesja Święta Błaznów dotarła właśnie na Ostrów Tumski i dźwięcząc trąbkami, bębnami, cytrami i fletami, ciągnęła do katedry Świętego Jana Chrzciciela, obłożonej drewnianymi rusztowaniami, niczym klatka, którą ktoś postawił by złapała do wnętrza różnokolorowy tłum ludzki, jak piskłeta cudnych ptaków wpadające bez namysłu w sieć ptasznika. Słysząc było śpiewy, muzykę, nawoływania, wybuchy śmiechu - całość się zdawała jakimś beztroskim hymnem, śpiewanym przez tych, którzy jeszcze nie wiedzą o nadchodzącej zagładzie. Być może każdy z obecnych na książęcej sali tronowej w zamku Marcina na wyspie tumskiej we Wrocławiu, onego dnia, onej godziny, onej chwili, słysząc te radosne hałasy za oknem, rozumiał ich prawdziwe znaczenie, gdyż chwilę przedtem padło z ust Madziara słowo klucz, otwierające szybkie kalkulowanie przyszłości, owo wiejące mrozem węgierskie semmi. Kolejne oczy zerkały w stronę okien zamkowych, a milczenie przedłużało się. Ktoś chrząknął. Inny kaszlnął. I w końcu ciszę ową przerwał książę Henryk. Wstał nagle wiedziony impulsem krwi, a dwa potężne sztandary z czarnymi orłami, znakiem piastów, zachwiały się, jakby to nie człowiek je poruszył, ale Jicher nagły uderzył od spodu\*.

- Bić się będziemy sami, jak taka potrzeba! - rzekł zapalczywie i usiadł na powrót, szarpiąc niewielką brodę. Zbladł silnie. Podbiegł do niego wierny jego rycerz przyboczny, Rościsław i kasztelan Wrocławia, Raclaw ze Strzelina. Obaj chcieli pomóc monarsze, bojąc się, że niewyleczona choroba da znowu znać o sobie. Odpędził ich ruchem ręki i utkwil wzrok w węgierskim pośle. Zagrały mięśnie w ściskanej szczęce, lecz opanował się i powiedział ze spokojem, który aż się zdał zadziwiający zważywszy płomienie migoczące w oczach:

- Jakaż pewność, że na ziemie polskie uderzą?

- Wątpić nie należy, że ci do was przyjdą - odrzekł wysłannik - w tem wiedza nasza dobra, iż nie tylko szpiegi ich pochwycone mamy, ale i armie połowskie u swego boku, wraz z ich chanem Kocjanem\*\*. Ci zaś dobrze znają potęgę Tartaru, a od psów Dżyngis-chana musieli do nas umykać ze stepów astrachańskich wiele to już lat temu. Z wieści od nich usłyszanych jest nam znajome, że Tatarów potęga wielka, organizacja hufców ponad naszą, odwaga ifuror\*\*\* bojowe znamienite, szybkość wiatru, a liczba ogromna, obecnie ta ciągnąca ad minimum może być liczona na osiem dziesiątek tysięcy wyborowej jazdy, z których część ma być skierowana do nas, a druga, mniejsza liczebnie, na wasze władztwo. Do tego liczyć trzeba tabory, konie na wymianę i wielką mnogość wojska jenieckiego, w tym ruskiego. Daj Bóg, by



się od nas ta szarańcza oddaliła, lubo muszę rzec wam, miłościwy panie, że możecie się ich spodziewać w każdej chwili. Może już nawet na Sandomierz ciągną.

- Środkiem zimy? W śniegach? I mrozie? - dopyty<sup>^^</sup> Henryk.

Herbord pisał szybko każde słowo mówione przez WęgrJj by je móc później władcy przedstawić i Henryk spojrział na niego, jakby szukał oparcia. Minorityta uśmiechnął się łagodnie Księżna Anna złapała męża za rękę i szepnęła mu na ucho:

- Będę zaraz ślać gońca do Wacława\*, dyć siostry samej na cel pohańcom nie zostawi i wojsko ci wyśle.

Książę odsunął jej rękę i syknął by teraz nic nie gadała. Mierzył posła Arpadów orlim spojrzeniem, unosząc dumnie brodę i wyginając kąciki ust ku dołowi. Jeny stopy jego, odziane w zbrojne, kolcze obuwie, stukwały nerwowo jedna o drugą, wystając spod luźnej, złoto-żółtej sukni, jak dwa pyski żelaznych jaszczurów szukających ofiary. Skinął głową na znak, że jest gotów słuchać dalej i przyjął ostatnie słowa posła z Peszteńskiej stolicy.

Tak i Węgier, nie rezygnując z postawy dumnego chłodu, przemówił:

- Jako to Ojciec Święty w listach do nas nazywa ciebie, panie „Henricus, christianissimus princeps Poloniae”<sup>42</sup>, tak

I my w tobie pokładamy nadzieję i o to prosimy, byście przystali na umowę, w której ta z naszych stron, która prędzej się z tatarskim najeźdźcą upora, pośpieszy drugiej z niezbędną pomocą. Hanc igitur quaesumus<sup>43</sup>, z powagą majestatu naszej korony i będąc wspólnie dziećmi jednego Boga, a sługami Stolicy Apostolskiej także, byś w tej mierze działania nasze wspomógł, a na znak naszej wierności i przyjaźni ten oto pierścień ci przekazujemy, by na wieki świadczył o upodobaniu naszemu ku dobremu władztwu Twemu, które godne jest nagrody w Królestwie Niebieskim, co wedle naszej nadziei tanie się waszym, panie udziałem, czego wam życzymy i za Lm modlić się będziemy.

To rzekłszy zdjął z palca pierścień z wygrawerowanym herbem, ozdobiony kolorową emalią, a cały wykonany ze szczerzego złota i wręczył przez sługę niosącego precjozum na czerwonej poduszce.

Henryk Pobożny na to wstał i także wygłosił słowa mówiące o przyjaźni, a także prosił, by króla węgierskiego zapewnić o wsparciu Polaków. A jako, że na honorze Lachom nie zbywa, więc i mężnej obrony się będzie można spodziewać, już od rubieży. Dalej posła zaprosił na ucztę, kazał grajkom zacząć popisy i całując żonę swą w czoło, co uczynił wobec całego dworu, uśmiechnął się i rozluźniony, jakby to nie o wojnach właśnie rozprawiali, lecz o jakichs zbytkach i swawolach, udał się do stołu. Dowcipkował na prawo i lewo, śmiał się i jeno chwilami, gdyby ktoś uważnie mu się przyjrzał, to by zobaczył, że w oczach księcia palą się błyski. Jakby teraz dopiero zaczynał żyć, czując spełnianie się jakichś Bożych zamiarów, sobie samemu przypisanej drogi - gdy pies rusza na łowy, zaraz w nim krew zaczyna inaczej krążyć, mięśnie pracować, uszy słuchać i nos węszyć. Tak było właśnie z Henrykiem Wtórym, władcą Polski.

Niewidomy starzec znów krzyczał stojąc na swoim wózku. Nikt tego dnia nie chciał jednak go słuchać. Lud wrocławski bawił się na Trzech Króli, szalał, zapominał o tym, co złe, o chorobach, śmierci i wojnie. I tańczył, za ręce się chwycił, całował, obdarowywał ciastkami i owocami, słuchał życzeń kolędników a potem pędził oglądać Święto Błaznow.

Człowiek o białych oczach nie czekał jednak publiczności. Wykrzykiwał przed siebie, w przestrzeń, słowa, które musiał z siebie wyrzucać, nie dbając o słuchaczy:

- Wojna idzie na was i zniszczenie. Śmierć idzie i czar- na noc nadciąga. Jeśliście głusi i wołania nie słyszycie, tedy błagajcie Pana, by włożył wam palec do ucha i swoją moc uleczył głuchotę waszych serc. Błagajcie na kolanach, ?eby Bóg wybaczył wam wasze grzechy, gdyż kara jego jest blisko Podziemia zostały otwarte!

Umilkł. Ściągnął przez głowę płaszcz i koszulę, aż został do pasa obnażony. Sięgnął po leżący obok pejcz, zakończony kulkami. Wziął zamach i uderzył się z rozmachem w plecy. Pojawiło się na nich kilka czerwonych pręg. Ślepiec wymierzył sobie jeszcze kilka ciosów. Świszczał batog, z głuchym przeraźliwym klaśnięciem waliły rzemienie w wychudłe ciało.

W końcu przerwał biczowanie. Dyszał mocno. Skóra była zsiniała od mrozu, a krew sączyła się z zadanych sobie ran. Otarł kącik ust drżącą ręką. Krzyknął:

- Póki czas, oddajcie się pokucie! Ujmijcie w wasze dłonie bicz i uderzajcie nim do krwi! Tak zmycie swoje grzechy! Potworne grzechy! Bijcie sami, bo inny bicz już nadciąga, już wisi nad waszymi plecami, jeno go jeszcze nie widzicie, jeszcze nie słyszycie jego świstu. Otwórzcie oczy, zobaczcie, że cień jego już wisi nad wami! Flagellum Dei pędzi tu od wschodu! Nie mitręćcie czasu. Nie marnujcie dni na zbytki! Zatrzymajcie się!

Pies przywiązany do wózka zaczął szczekać, więc i ślepiec zakończył publiczne prorokowanie. Zaczął na powrót się ubierać. Nikt go nie słuchał. Nikt nie przystanął. Któż by słuchał głupca.

iwóch jeźdźców na spienionych koniach pędzi- | ło w stronę bram Raciborza. Jeden od Wrocławia, a drugi od północnego wschodu, od Krakowa i Sandomierza. Oba wierzchowce robiły ciężko bokami, wyrzucały z nozdrzy kłęby pary i toczyły perlistą, zamarzającą na Pyskach pianę.

Pierwszy do miasta dojechał wysłannik księcia Henryka, ze śląskiej stolicy i zeskoczywszy z siodła zaczął iść po skutej lodem Odrze, dokładnie w tym miejscu gdzie i latem jest przeprawa. Teraz jeno dziesiątki łodzi przy jednym i przy drugim brzegu przypominały cieplejsze dni.

Nie musiał walić w dzwon przy bramie, straż stojąca na wieżycy z daleka rozpoznała proporzec i barwy na kropierzu. Zgrzytnęły wielkie zasuwki, uniosła się brona i koń łomocząc kopytami na bruku, którym wyłożono wjazd został wprowadzony do środka. Goniec rzucił lejce stajennemu i popędził w stronę zamku.

Collin z Flandrii, wójt miasta już zbierał się we włą snym domu, by biec na spotkanie z wysłannikiem, kiedy d0 drugiej bramy rozległo się łomotanie innego jeźdźca. Ten został wysłany przez Bolesława Lestkowego i jego matkę Grzymisławę, a na proporcu miał białego orla na czerwonym tle.

- Książę Mieszko44 na zamku? - spytał szybko dowódcę straży.

Chłopina będący w służbie nie wiedział co rzec, czy potwierdzać, czy też nie, więc się pod łebką45 swoją zaczął drapać i coś mrużyć niezrozumiale.

- Gadajże, człeku, czasu mało! Mam pisanie od księcia Bolesława! - zeźlił się goniec.

- Nie ma księcia w Raciborzu. Trza wam do Opoła gnać - wyjąkał w końcu dziesiątnik.

- Dajcie konia nowego z podwody.

Szybko złapano zgonionego rumaka i poczęto w stajni miejskiej siodłać nowego.

- Kasztelan chce was widzieć - usłyszał nagle człowiek w krakowskich barwach. W ukłonie stał zgięty sługa Bartłomieja Lasoty, który z rozkazu księcia trzymał pieczę nad obroną miasta. Kurier skinął głową i chcąc nie chcąc udał się za dworakiem. Wnet się znalazł w dużej izbie piastowskiego zamku na Raciborzu, gdzie płonął ogień na kominku, a na dużym stole stygło mięsiwo podane na talerzach cynowych.

Lasota stał patrząc w ogień i dopiero gdy usłyszał kroki na schodach i skrzypnięcie drzwi, odwrócił się.

Posłaniec skłonił się i zdyszany głosem zaczął relacjonować:

- Panie, wieść niosę od księcia Bolesława, z Sandomierza. Tatarzy pod Zawichost podeszli. Lublin płonie, a ludzie

czas mrozu, nie mając jak do lasu uchodzić, w dużej liczbie zgubieni, wybici i w jasyr wzięci. Może być, że ich wojska na dniach i tu podejda!

Imć pan Lasota służbie dał znak, by gońca nakarmiono i dano pić, a gdy tylko wysłannik wyszedł, rozłożył szeroko ręce-

- To być nie może - powiedział ni to do siebie, ni do siedzącego przy stole mężczyzny - toć mamy połowę stycznia. Któż o takiej porze wojuje? I gdzieżby w kilka dni podjechał aż tutaj? Książę Henryk w tym pisaniu, co przed chwilą otrzymałem, nawołuje, by ściągać rycerzy z pieleszy, sposobić hufce i zbierać się ku obronie? Jak to czynić na takim mrozie, gdy drogi zasypane i świata zza śniegu nie widać? A może być, że wieści jakieś przesadzone. Coś chyba nasz Bolko serce ma młodzieńcze, niemeżne. Do samowładztwa mu jeszcze daleko. Co myślicie o tem, drogi Wulfstanie?

- Może i młodość nim rządzi - odparł starzec o siwych włosach i szlachetnych rysach twarzy - aleć czy z drugiej to strony nie nadużywa Henryk ze Śląska swoich prerogatyw? Bolko już to młodzian w wiek męski wstępujący. Czemuż by o swoim miał nie decydować? A że rody Lisów, Gryfitów i Łabędziów bardziej na swój patrzą interes, niżli na prawowitego księcia, to i dalej na stolcu krakowskim mamy Piasta wrocławskiego.

Wulfstan przerwał i wrócił do spożywania mięsiwa, bo gdyby jeszcze dłużej postalo, to całkiem by wystygło. Młaskał głośno, wcale się nie trapiąc, że tłuszcz mu plami tunikę.

Kasztelan Bartłomiej czekał spokojnie, aż gość przelknie. Siwy mąż otarł usta rękawem. I dokończył myśl:

- Więcej się bać trzeba knozań tego szaleńca z czarnym orłem na tarczy, niżli jakiej dziczy z łukami. A te znowuż, cóż one mogą, ludy barbarzyńskie, wobec potęgi chrześcijańskiego rycerstwa? To ważcie. Wasz pan, książę Mieszko Kazimierzowie, także się winien wyrwać spod owej opieki narzuconej siłą, nie będącej w zgodzie z Bożym prawem. Azaliż nie doszedł już do wieku męskiego i pism własny<sup>^</sup> nie pieczętuje?

W owej chwili do sali wpadł człowiek, prosto z jazdy zdejmując szyszak i ocierając czoło z potu. Rzucił na ziemię włócznię i krzyknął:

- Panie kasztelanie! Zagon pogańskich wojów o cztery stajania od miasta widziano. Kilkuset ich było, lecz nam zliczyć nie było Iza, bośmy zaraz tyły podali do zamku. Nas tam niewielka była liczba, musieliśmy dać pokój. Już we wsiach dymy puścili ze strzech. Nijak się nie boją, jadą butnie, jakby chcieli, byśmy ich zoczyli.

Potem się człowiek książęcy zebrał i po onym meldunku z sali ubiegł. Zaś Bartłomiej Lasota czoło nachmurzył, postawił kołnierz płaszczu i wziął głęboko powietrza w płuca.

- Coś te dzikie woje już tu nas podchodzą - rzekł chmurnie, patrząc na gościa i czekając jego słów.

Ów stary Wulfstan, człowiek północy i wysłannik księcia mazowieckiego, jadł dalej spokojnie, jakby się nic nie działo. Spojrzał zdziwiony na kasztelana i powiedział, nie kryjąc szyderstwa w głosie:

- Czyliż was jaki strach obleciał, panie kasztelanie? Toć się nie godzi. Ludzie patrzą, służba i wasi woje. A zagonu nie trza się obawiać, gdy się siedzi za wałami i nosa bez potrzeby nie wsadza w nie swoją kaszę.

To rzekłszy oblizał paluchy.

Tego dnia imć Lasota wydał rozkazy, by Racibórz lepiej obwarować. I posła wysłał, w imieniu własnego pana, Mieszka, do Bolesława, że nijak mu pomóc hufcami nie może, bo sam się musi bronić przed najazdem. Wulfstan zaś, starzec o gębie mędrca i sercu szczura,

wyszedł wieczorową porą na wały i przechadzał się wśród nich. Gdy zaś dotarł do jednego z posterunków, wziął pochodnię do ręki i zaczął nią machać.

- Co czynicie, panie? - spytał przerażony woj trzymający straż.

\_\_\_ odczyniam, bo złe duchy krążą.

\_\_\_ Od tego uleczą?

\_\_\_ przyjdą, czy uleczą, co za rzecz. Ważne, że odczynione.

Potem oddał pochodnię i ziewnął. Spokojnym krokiem udał się do swojej komnaty, żeby położyć się spać. Człowiek

winien mieć zawsze odpoczynek po wypełnionej robocie.

\*\*\*

- Dobrą drogę wybraliśmy - powiedział Szalbierz i splunął w śnieg. Plwocina wpadła w głęboki puch, zamarzając w locie i zamieniając się w lodową kulkę.

- Skąd... to... wiecie? - dopytywał się Karlito, skacząc koło niego dla rozgrzania się.

- Nie idą za nami żadne duże siły. Pewnikiem niewielkie czujki jeno.

- A... to... skąd... wiecie? - karzeł podrygiwał ciągle i gadanie sprawiało mu niejaki kłopot.

- Bo na niebie nic nie widać - odparł Jeruzalem - gdyby za nami choćby mingan szedł, to byś zoczył karle dwie rzeczy na nieboskłonie.

- Księ... życ... i... Słoń... ce? - spytał garbus nadal odbijając się jak szalony od podłoża.

- Nie, czarne dymy od spalonych siół oraz stada ptaków krążące wysoko i czekające trupów.

Karlito przestał skakać i usiadł na pniaku pod ścianą, oddychając mocno i chowając całą prawie głowę w zawoje wielkiego kaptura.

- Gdyby Krzemieniec zdobyli, to i tutaj, o dwa dni drogi, byśmy widzieli żałobne kłęby idące wysoko do Tengri, do Świętego Nieba - Szalbierz usiadł koło żebraka i schował r?ce pod płaszcz. Mróz był silny, więc Jeruzalem postawił kołnier. Siedzieli tak obaj chwilę w milczeniu. W środku chaty nie było dla nich miejsca, bo jedna jej izba była mała, a gdy tam się brat Jacek modlił nad chorą dziewczynką, to oni musieli czekać na zewnątrz. I tak dobrze, że miejsce się w środku znalazło dla Dragiełły i Hanny. Bracia Job stali na warcie, przy zakręcie drogi, popatrując uważnie na wschód. Garbus podrapał się w sam koniec wielkiego nochala i począł prawić nadając głosowi jakiś wielce fil0. zoficzny ton:

- Szalbierzu, wiecie, że choć Bóg mi urody poskąpił i wzrostu, to braki wynagrodził darami, a z tych najpiękniejszy rozum, bo mam go w dwójnasób: jeden we łbie, drugi w garbie. Oba razem działają, ku wspomoczeniu mądrości, a gdy jeden śpi, to drugi onego zastępuje. Tak więc myślę nieprzerwanie, dniem i nocą, co daje taką ilość wielkich odkryć natury umysłowej, iżby mię mogli wysłać gdzie na uniwersytet, bym w studium mógł nauczać głupiutkich.

- Do nauki głupiutkich to się w istocie nadajecie - stwierdził Jeruzalem, unosząc kącik ust w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

- Daruję wam owe uszczypliwości, bo znam was nie od dzisiaj i wiem, że jeno szalbierstwo w was siedzi, oszukiwanie ludzi i kuglarskie metody życia. - z przekąsem odpowiedział karzeł

- Bliżsi to byliście siebie prawdziwie na owym wozie kupieckim, gdyście rwali łańcuchy i tańczyli przed gawiedzią wodząc małpkę na łańcuchu, niżli jak teraz udajecie rycerza i szlachetnego woja. Widzicie, ja jestem błazen, garbus, nędzarz i plugawiec. I marny sługa mego pana, Dragiełły. Aleć takim jestem, jak mnie Pan Bóg stworzył, z garbem ohydny, nosem bulwiastym i łapkami krótkimi, o popatrzcie...

Tu wyciągnął przed siebie ręce i przez chwilę ogląda! krótkie, brudne knykie. A potem rzekł:

- Takie są, jak kurze łapki, cóż pocznę? Lepsze takie, by co białogłowie z koszyka wyciągnąć na targu, albo by sprytnie oberznąć trzosa u wiernych chadzających do kościoła. Tak to mnie Najwyższy Pan w niebiesiech stworzył do złodziejskiego fachu. I gdym w swoim życiu kradł, to jeno z tego względu, że z refleksji głębokiej taki mnie koncept naszedł,

iż e<ty obdaruje talentem małych złodziejskich rą  
 czek, ten winien być specjalnym boskim indultem\* z przykazania siódmego całkiem  
 zwolniony.

Jeruzalem oparł się plecami o grube bierwiona chaty. Ro- ześmiał się nagle, serdecznie, a  
 dawno to już nie miał uśmiechu na ponurej gębie.

Może to właśnie w tej chwili, siedząc tak na belce przy małej chatce tkwiącej wśród  
 śniegów, jak łódź zamarnięta w wielkim oceanie śniegu, pomyślał że tak naprawdę, to już  
 wszystko jedno, co będzie? Że coś nim miota w strony różne? Że ciężko wyrozumieć jaki los  
 ich spotka za dzień, za dwa? Co się wydarzy jutro? Ech, cóż jutro - co za chwilę będzie?  
 Pogoń za nimi pędzi, czy nie? Uciekać, czy stać? Modlić się, czy za miecz chwycić? Jakież to  
 znaczenie, czy szlak wybrali dobry, czy zły? Dragiełło rzekł, że dobry - idący wyżynami,  
 gdzie trudniejsza droga. Może być tak i to właśnie Szalbierz wymyślił. Konne wojsko  
 tatarskie Batu-chan i Subedej puścili nizina, szlakiem idącym od Kijowa na Włodzimierz  
 Wołyński, a potem dalej przez polskie ziemie aż do Magdeburga, kędy większość kupieckich  
 karawan w okresie letnim podążała ze wschodu na zachód. Rzec można, plan dobry, by  
 uciekać południowym, trudniejszym traktem. Lecz cóż z tego? Otóż ich mogli w każdej  
 chwili zbójcy najść, wilcy watahą otoczyć i rozszarpać, a wreszcie jakieś patrole tatarskie i  
 tędy iść musiały. Armia mongolska, gdy płynie przez kraj, to się układa w wielką formację  
 karagany - co w języku Tatarów znaczy „krzew stepowy”: od głównego pnia - największej  
 masy wojska - rozchodzą się coraz dalej idące, gałęzie-macki, które wlewają się w  
 przemierzaną krainę, jak coraz mniejsze gałązki krzaka. Na końcach są już czujki złożone z  
 kilku ludzi jeno. W ten sposób jeźdźcy Tartaru opa- Sują całą przestrzeń, wszystko wiedzą,  
 wszystko widzą, a gdy trzeba, nagle koncentrują się w jednym punkcie, by uderzyć.

Indult - (tac. - indulgere - wybaczać) - zezwolenie papieża lub  
 biskupa na odstąpienie od obowiązujących w prawie kanonicznym  
 przepisów.

Uciec przed nimi ciężko - trza się lepiej na Boga zdać i u niego prosić ratunku. O tym  
 wszystkim, o sile i przenika wości tatarskiego pochodzenia Jeruzalem wiedział, sam będąc  
 częścią organizmu, przed którym teraz chciał ująć i uchronić tych, których... Nie chciał  
 kończyć takich myśli. Bo to nie było jego, nie z jego świata, było miękkie i tkliwe. A w życiu  
 liczy się twarda bezwzględność. Jeno ten wygrywa, który nie czuje litości, który siebie na  
 pierwszym miejscu stawia. Jeśli więc on to zapomniał, jeśli jego szalbierski duch gdzieś  
 niknął w wyniku działania jakiegoś Bożego zamysłu, pewnie musiało to oznaczać, że przegra.  
 Tacy przegrywają na tym świecie, o tym Szalbierz wiedział. I wiele razy tego doświadczył  
 jeżdżąc wozem po wsiach i sprzedając fałszywe relikwie, lalki z pszczelego wosku i zioła,  
 które nigdy nikomu pomóc nie mogły, były bowiem zwykłym sproszkowanym zielskiem,  
 które sam preparował. Widział wtedy ludzi, dobrych z serca, ginących w pyle i zapomnieniu.  
 Cóż się ze mną dzieje - myślał gorączkowo, dotykając tatarskiej zbroi - przeca jam Tatar, a  
 nie Lach. Co mnie ciągnie, by zdradzać stepowych braci, a iść za głosem czegoś, co... Cóż to  
 był za głos? Gdzie? Może we wspomnieniu tego chłopca, Ignasia, który to kiedyś przypałał  
 się po drodze, wskoczył do niego na wóz i zaczął wlec się za nim, jak psi ogon? Może w  
 oczach tej kobiety? W jej głosie? Gdy ją znalazł na kijowskiej ulicy, wszystko w nim pękło,  
 rozbiło w proch mongolską dumę. Coś porwało go znów za sobą. Nie mógł tego wyrozumieć.  
 Musiał to być świat jakichś duchów, które z innego świata przyszły i zabrały go za sobą w  
 podróż, jakiej nie rozumiał.

Popatrzył na siebie, na karła siedzącego obok, na czubki butów obsypane śniegiem i skrzące  
 się w promieniach zimowego słońca, wziął w płuca głęboki haust ożywczego, mroźnego

powietrza i zacisnął powieki, żeby oprzytomnieć. Przypomnieć sobie kim jest, gdzie i co czyni.

Otworzył oczy. Obok niego siedział karzeł i gapił się zdziwiony, dalej las ośnieżony jak stał tak stał, a za plecami owa

ka przy które) się zatrzymali. Mieszkała w niej samotna c. • ' ta i dwiema córkami. Mąż i tatko ich obumarł trzy 11 temu będzie, na boleść brzucha. Trudził się on chwyta- iem po lesie ^ierzą na futerka i całe obejście pełne było ??e\ wnyków, lin i pułapek, a także wiszących na hakach -prawionych skórek. Wszystko to po nim zostało, jeno sa- mego człowieka już nie było. Lecz jego żona nie mogła jakoś nic z tego ruszyć i tak kolejne wiosny mijały, a obejście wyglądało tak, że ów mąż gdzieś tu pewnie jest, że żyje i poszedł na łowy, a rodzina czeka, kiedy wróci.

Tak też bywa, że gdy jedno nieszczęście na człowieka najdzie, zaraz nadpływa kolejne i kolejne, jakby jakieś fatum ciążyło i nie dawało spokoju. I nie dość na jednej boleści, na jednym trudzie - coraz to więcej Bóg ciężarów na barki kładzie. Księża mówią, że to jest droga do zbawienia, trwać w cierpieniu i modlić się, lecz czasem tak ciężko jest, że już można wiarę tracić, a zacząć się oddawać pogańskiemu smutkowi a złości.

Niewiasta owa, w chatce utopionej w morzu śniegowym, gdzieś pośrodku lasów, tak też była doświadczana - jeszcze to czwarta zima nie minęła od śmierci męża, gdy nowa żalność na dom przysła. A ta za sprawą córki starszej, zdjętej boleściami, potami i gorączką, które nijak nie chciały ustąpić. Matka godziny długie przepędzała przy jej łożu, modląc się i trapiąc, miód jej grzejąc, wywary z ziół gotując i okrywając dziecko od zimna, aleć nie przynosiło to żadnej poprawy.

Przysła i zaklinaczka z niedalekiej wsi, lecz starucha wzięła tylko opłatę z kilkunastu skórek wiewiórczych, okadziła dymem, natarła żabim skrzekiem, odczyniła złe, mór odegnała końskim włosiem owiniętym na brzożowym krzyżyku i poszła sobie.

Co miała odegnać, nie odegnała. Co miała skórek wziąć, wzięła. A dziewczynce dalej było złe.

Tak się dalej stało, iż grupa uciekinierów z Kijowa, dojechała do owej chatki i stanęła na krótki popas, wyprosić co siana dla konia, chwilę ogrzać się przy ogniu, ciepłej strji wy zjeść. I tu, gdy brat Jacek zobaczył, co z dzieckiem • dzieje, tak zarządził, by wszyscy jechali dalej bez niego, gd^ on ważną ma rzecz do zrobienia, co się tyczy modlitwy k0}0 dziecka i pociechy duchowej dla matki. Jak to usłyszał rycer Dragiełło, tak i on wszem objaśnił, iż czasu ma wiele i z chęcią zostanie razem z dominikaninem, a reszcie polecił jechać a swemu giermkowi wręcz nakazał. Lecz wtedy to i Karlito i bracia Job stwierdzili, że nigdzie nie pojedą a swego pana nie opuszczą ni w dobrym, ni w złym. Na takowe terminy już i Szalbierz westchnął, i takóŜ się ostał, a wraz z nim Hanna. Dlatego właśnie teraz Jeruzalem siedział na grubej belce i śmiał się na całego, niczym jaki szaleniec.

Karlito zaczął się przyglądać chichoczącemu Tatarowi okiem medyka, który wielce jest zaciekawiony nowym, niezwykłym wypadkiem choroby ducha i umysłu.

- Cóż to wam? Gorzej jakoś od mrozu? - spytał zatroskany.

- Nie, garbusie, ino tak mnie jakoś bawi ta historia, w której my jesteśmy - tłumiąc śmiech odparł kuglarz - całkiem jakby Pan Bóg w niebie opił się miodu i piwa, a potem ku własnej uciechu zaczął nami miotać - to tu, to tam.

- Ech widzicie, Bóg to może się miodu napić, albo piwa. Rzeknijcie mi czemu to więc karłu jest zakazane? Czemu jeden z drugim mi gada, bym gardziołka trunkami nie zwilżał? I pan mój? I jeszcze anioł jeden, który mię w tyńeckim klasztorze nachodził? Dyć dla karła nie pić, to jak dla wiatru nie wiać, dla konia na łące nie fikać a dla niewiasty nie plotkować - bez tego żyć nie Iza.

Jeruzalem wstał, i popatrzył daleko przed siebie, ponad szczyty ośnieżonych drzew.

- Dla wiatru nie wiać, dla konia po stepie nie gnać - rzekł cicho, nagle poważniejąc - dobrze gadasz, Karlito. I mnie to nie jest zwyczajne, iść tam, kędy bym nigdy z własnej woli nie szedł, nie wiać na stepie, nie galopować. I jakże to, pytam?

A już ci. Właśnie o to żem chciał was zagadnąć, gdyście waszym niebie prawili, Tengri, czy nie pomnę, jak le- °alo Rzeknijcie mi, które wam bliższe: tatarskie, czy nasze, Cad krainą Lachów wiszące? Bo choć te dwa rozумы mam, "eden we łbie, drugi w garbie, to żadnym z nich nie mogę ?ego dobrze ogarnąć.

Jeruzalem nic nie odpowiedział. Nie popatrzał nawet na karła. Zapiął lepiej płaszcz, pociągnął nosem i poszedł konia oporzędzić. Jakby nagle ogłuchł.

\*\*\*

Piąty pies kagana, imieniem Ordu, drugi syn Dżodziego, brat wielkiego Batu, był tak odporny na zimno, iż zdawać by się mogło, że zrodziła go lodowa przestrzeń ścinająca rzeki, a ojcem jego był mroźny wicher. Pan ułusu południowej Syberii siedział więc w siodle rozluźniony, pewny siebie i uśmiechnięty. Patrzył na leżące przed nim w dolinie Ługu miasto Włodzimierz i oglądał biegające po wałach obronnych drobniuteńkie postaci ludzkie. Setki tam osób było skulonych, przerażonych, drżących z zimna i lęku. Ordu nie trząsał się nigdy - ani z tej pierwszej przyczyny, ani z drugiej. Nie znał takich uczuć, jak strach. Wiedział jak smakuje krew. I lubił patrzeć, kiedy bali się inni. Potrafił czekać. Godzinami. Jak wilk u wodopoju. Wtedy cała drapieżność, zimna kalkulacja, żelazna cierpliwość - wszystko skupia się w żrenicach. Ciało zastyga gotowe do skoku.

Bajdar, podległy mu dowódca drugiego tumenu, kopnął konia piętami i podjechał bliżej.

- Kiedy zaczniemy? - spytał okręcając się w siodle.

- Wtedy, gdy zmęczy ich lęk - odparł spokojnie syn Dżodziego. Miał zbroję rozpiętą na piersiach i gołą szyję. Zupełnie jakby opowieści krążące wśród jego żołnierzy, o tym że nie jest on zwykłym człowiekiem, lecz stworem zrodzonym przez kobietę obcującą ze śnieżnym duchem,

były

prawdziwe.

Gród Włodzimierz był już ostatnim ruskim kąskiem do pożarcia. Pozostawało spalić miasto, wyrznąć mieszkańcó odesłać jasyr na tyły i ruszyć za Bug. Tam, już bardzo blisko czekały ziemie podległe rzymskiemu chanowi, zwanemu pa pieżem. Lacka kraina. Polska.

- Jabu-tqun!46 - rzucił Ordu do Bajdara.

Zafalowały tatarskie wojska. Niebo zakryła chmura strzał  
Rozpoczął się atak.

\*\*\*

- Quia cum Unigenitus tuus in substantia nostrae mortali- litatis apparuit nova nos immortalitatis suae luce reperavit. Et ideo cum...47 - tu Dobrosław przerwał łacińską modlitwę przeznaczoną na oktawę epifanii48, złożył ręce równo, tuż przed twarzą i zaczął modlić się żarliwie, własnymi słowami:

- Ojczy mój, Ojczy Ignasia, Wielki Boże w Niebie. Ty wiesz najlepiej, kędy mi podążać za twoimi wskazaniami. Trzeba by mi ciągle powtarzać, bądź woła twoja a nie moja, Panie. Twoją ścieżką pragnę podążać. Proszę jeno o poznanie Twojej woli wobec mnie, oraz o siłę do jej spełnienia. A tak by było najlepiej, najlepiej Panie Boże, uważasz, cobym do chatki swej pustelniczej wrócił i wiódł dalej żywot spokojny, a poświęcony modłom i skromnej kontemplacji. Czyż ty wielki Boże nie masz takiego żywota, za piękny, mój Boże, za piękny? Pomyśl, Panie mój, Domine, żeby coś ten los poobracac i wszystko tu więcej uspokoić, uspokoić. Pod habitem zimno, strawy tu dają tak, w onym piekielnym klasztorze, że gorzej niżli to, jak żyłem na pustelniczym wikcie. Zechciej tak ułożyć wolę swoją, by była zgodna z moją, a ja wtedy zgodzę się z Twoją i obaj będziemy zadowoleni. Cóż ty na to, Panie?

To rzekłszy dłonie złożył jeszcze mocniej, a nawet zgiął w pół i czołem dotknął ziemi. S1? - Panie Boże, słyszysz mnie?

Wbił utopione w tłuszczu oczęta w sufit celi, lecz tam żadnej odpowiedzi z nieba płynącej nie było.

I dalej nic już nie gadał, nawet szeptem, chociaż całkiem sam był w swojej celi i nikt by go nie usłyszał. Serce jego, targane dziesiątkami wątpliwości, mówiło mu, iżby z klasztoru tego umykał i to czym prędzej. Co już w opactwie La Verna widział, co już tam w bibliotece wyszperał, a od braci tamtejszych się wywiedziało, teraz także się zdawało potwierdzać, a jeszcze więcej biedne pustelnicze ciało przerażać. - Szatanem to pachnie, nic jeno diabelską sztuczką - myślał Dobrosław i zastanawiał się, jakby uciec z chłopcem ze szpitala wrocławskiego. A zaś druga myśl go nawiedzała, całkiem od tamtej inna: a jeśli cała rzecz jest Boża? Jeśli Ignasiowi los jakiś ważny pisany? Ma coś do zrobienia na chwałę Pana? Cóż wtedy? Jakby to wyglądało owo Dobrosławowe tchórzostwo w czasie Sądu Ostatecznego? Ta myśl druga, powodowała, iż się jednak pustelnik wahał i bliski był tego, żeby zgodzić się na złożenie ślubów i dalsze trwanie przy chłopcu. Jakżesz opuścić Ignasia, gdy on jest jak synek przybrany?

Dobrosław pogrążony był w myślach, a jedna z nich goniła drugą i powodowała, że biedaczyna czuł się, jakby mu czoło gorączka paliła.

W tej chwili ktoś zastukał do celi. Nim zakonnik zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem, a w środku dwóch weszło rycerzy reguły augustiańskiej od Św. Ducha, a każdy w czarnej kolczudze i z maską na twarzy. Pustelnik przeżegnał się i wstał z klęczek. Przed sobą widział dwa identyczne oblicza, kute ze stali, puste, jednakie, zimne, o rysach gładkich jak u dziecka, a złowrogich jak u trupa. Jeden z duchaków trzymał w ręku świecę. Drugi ostrożnie umknął drzwi. Nie mówiąc ni słowa, jakby byli oczekiwani, Usiedli obaj na ławie pod ścianą. W blasku ognia łatwo się dało odczytać ich numery: XII i XLI. Dobrosław popatrzył wyczekująco, a że milczeli, więc w końcu chrząknął i rzekł

- Jeśli przybyliście po odpowiedź, to jej dzisiaj jeszcze nie udzielę. Trwam w modlitwie, by u Pana się wywiedzieć, jaka Jego wola i jaka droga mi pisana. Nie na darmo szedłem szlakiem Bertolda z Kalabrii<sup>49</sup>. Swoją górę Karmel znalazłem w niewielkim siole, nad piękną rzeką, nad rzeką piękną. Ot, żyłem ja sobie, brat maluczki, pośród lasów i pszczoł, czasem jeno dając posługę kapłańską mieszkającym obok rybakom. A tym się żywiłem, że jeno modlitwa i głębokie szukanie Boga mnie wiodło każdego dzionka, każdego dzionka, bracia szlachetni. Tak i was upraszam, by mnie z Ignasiem puścić, a innego sobie znaleźć Mistrza. Gdzież to dziecko, bracia, to dziecko na Mistrza Zakonnego? Toć młody chłopak jeszcze - ani nie gada, ani nawet zbroi nie udźwignie. Może to tak być, że odejdzem wolno?

I zawiesił głos.

Obaj zakonnicy zdawali się być wielce zaskoczeni takim rodzajem nieskładnej przemowy, więc się na siebie spojrzeli dwukrotnie. I chociaż min ich nie widać było za maskami, to jasne było, iż stropił ich wywód Dobrosława. Ten nagle dodał jeszcze:

- A kuchnia u was niezdrowa i dla dziecka nie starcząca. Ot co. Bóg nie po to posty każe czynić, żeby potem nie jeść także. Na tym rzecz się zasadza, iż post prawdziwy może być jeno po okresie grzesznego używania pokarmów. To właśnie widzicie w mojej postaci i wiedzcie, że ma tusza oznaką jest pobożności, pobożności oznaką. Po to jem dużo, by bardziej się umartwiać w porze pokutnej. Prochem jesteście, prochem jeno, wy także. Więc go trza natłuszczać, żeby się za wcześniej nie rozsypał.

Znów się po sobie popatrzyli zakonnicy w maskach. Jeden z nich, po długim i kłopotliwym milczeniu w końcu odezwał się w takie słowa:

- Czyście zdrowego rozumu?

\_ A cóż, wyglądam, na chorego? - spytał pustelnik, trochę obruszony.



Duchak z numerem XII wstał. XLI również podniósł się . stawiając świecę na stół, pomógł odpiąć drugiemu zatrzaski z tyłu głowy. Z metalicznym hukiem otwierały się rzadko ruszane zapiecia. Dobrosław cofnął się pod samą ścianę. Patrzył, łykając nerwowo ślinę i w myślach zmawiał "Pod twoją obronę". W końcu wszystkie zapinki puściły. XII powoli zdjął maskę.

Pod spodem ukazała się twarz. Pustelnik, patrząc na nią, powoli osunął się na zydelek.

- Nie widziałeś jeszcze Ducha... - powiedział czarny zakonnik.

Dobrosław nic nie mówił.

- Mało kto widział i żyje. Umarliśmy dla świata. Bez imion, bez twarzy, żyjemy dla Jednego Pana.

Gruby mnich, w karmelickim habicie, siedział oniemiały i modlił się o odwagę. Patrzył na to białe lico, pozbawione barw, prawie przezroczyście, z widoczną siatką żyłek oplatających nos i policzki.

Gdy kiedyś odsunął wielki głąz zasłaniający wejście do jaskini, wybiegły z niej szczury. Nie miały sierści. Żyjąc w zupełnych ciemnościach utraciły pigmenty i owłosienie. Były sine i ślepe. Niektóre zdychały po wybiegnięciu na światło. Promienie słońca zabijały je. Tak wyglądała twarz, którą teraz widział przed sobą Dobrosław. Pozbawiona koloru. Jeno wokół błękitnych, wyblakłych oczu oraz dookoła ust, czyli tu gdzie w metalu wykute były otwory, widniały plamy normalnej skóry zawierającej pigment.

- Boże, ratuj mnie od ognia piekielnego - szeptał strwożony pustelnik nie mogąc oderwać wzroku od potwornego oblicza, a jednocześnie czując lęk, który ciskał nim w otchłań rozpaczy bez dna.

- Przybyłem do ciebie, bracie, byś poznał prawdę. Czy jesteś na to gotów?

XLI wziął ze stołu świecę i przeszedł za plecy zakonnika

0 mniejszym numerze. Cień okrył na powrót twarz XII-ego Ale siwe oczy dobrze widać było dalej.

- Nie wiem - odpowiedział Dobrosław.

- Czasem człowiek musi pokonać strach - mówił do niego duchak, a jego głos był spokojny i leniwie płynący, jakby toczyli gdzieś pogawędkę w trakcie wspólnej przechadzki - ty właśnie musisz. Bóg stawia przed tobą, pobożny pustelniku, trudne zadanie. Ale On nigdy nie daje nam takiego cierpienia, jakiego nie moglibyśmy udźwignąć. Ufaj więc w jego miłosierdzie.

- Ufam. Cóż dalej?

XLI zdjął ze ściany krucyfik. Zbliżył się do Dobrosława

1 wyciągnął krzyż przed niego, przed samą twarz.

- Pierwej musisz zaprzysiąc się, na rany Chrystusa, że krom tych ścian, nikt więcej nie usłyszy już, z ust twoich tego, co za chwilę rzekniemy ci - mówił rycerz bez twarzy, 0 numerze XII.

Pustelnik drżąc na całym ciele wyciągnął przed siebie rękę.

- Przysięgam - powiedział bardzo cicho.

Człowiek o numerze XII wytatuowanym na piersi i wykutym na swojej masce, zaczął powoli mówić. Pustelnik zamknął oczy i oparł czoło na splecionych, jak do modlitwy dłoniach. Dwie cele dalej, chłopiec o włosach jasnych, jak len, leżał na swojej pryczy i patrzył w sufit, nie mogąc zasnąć

1 myśląc o nadchodzącym dniu.

Na zamku Marcina we Wrocławiu, w niewielkiej, ciemnej izbie, stał mężczyzna rozebrany do pasa. Rękami opierał się o mur. Dwóch minorytów uderzało go w plecy różgami moczonymi w wodzie. Franciszkanie bili i śpiewali psalm. Ciosy padały na obnażone plecy w rytmie oddechów, które zakonnicy brali między jedną frazą a drugą.

Nadchodził nieśpiesznie poranek i choć było ciemno jeszcze, to mieszczanie już wstawali w swoich domostwach, zapalając łuczywa, świece i dmuchając w żar na paleniskach.

Silne ręce dzwonników zaczęły ciągnąć za grube sznury i wnet rozkołysały dzwony we wszystkich kościołach. Zwielokrotniona echem melodia wydobyła się z dziesiątek kolosów wiszących wysoko na wieżach i niosła się nad dachami wyprzedzając promienie słoneczne.

Anioł Pański spływał z tym dźwiękiem na całe urbs budząc je do życia i przypominając o modlitwie\*.

Minorycy zaprzestali chłosty. Książę Henryk odwrócił się i naciągnął na siebie koszulę. Nawykł do bólu i codziennych umartwień. Matka i żona wiodły życie świątobliwe, obie wdziewały pod suknie włosienne pasy pokutne, a on, idąc ich śladem, znosił ciągle poranne bicie różgami, co prowadziło duszę jego do Królestwa Niebieskiego oraz przypominało, że powłoka cielesna jest jeno marnością nad marnościami. Hartował się w ogniu cierpienia, by być gotowym na godzinę próby. Kował także miecz rozżarza wiele razy i bije w niego młotem, by uzyskać najlepszą, najwytrzymalszą, najsilniejszą strukturę metalu. Jak z mieczem, tak jest i z człowiekiem.

Kiedy odezwały się dzwony kościołów na Piasku i Ostrowie - Świętego Idziego, katedry Świętego Jana Chrzciciela, Świętego Piotra, Najświętszej Marii Panny i ten bliski, w kaplicy pod wezwaniem Świętego Marcina - princeps uklęknął, a za jego przykładem poszli zakonnicy.

- Angelus Domini nuntiavit Mariae... - zaintonował starszy minoryta. Rozciągnął odpowiednio ostatnią sylabę, a książę wraz z drugim braciszkiem dokończyli drugą frazę:

- ...et concepit de Spiritu Sancto\*\*.

Zwyczaj dzwonienia na Anioł Pański został wprowadzony przez Henryka Pobożnego i najpierw był praktykowany tylko na Śląsku, a potem rozprzestrzenił się w całej Polsce.

Angelus... (łac.) - Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi. 1 poczęła z Ducha Świętego.

Dalej już wszyscy trzej razem zmagali kolejne zdr0 waśki. W tym czasie zaś dwóch paziów stało cichutko p,^ drzwiami i trzymało na rękach książęce szaty, by zaraz p0 modlitwie wejść do środka i pomóc mu się ubrać.

Należało zacząć pracowity dzień po dzwonach na An- gelus.

Już niedługo miało się zrobić gwarno i tłoczno na całym Ostrowie. Książę śląski nakazał bowiem szykowanie grodu do obrony. Wozy pełne kamieni, ziemi i bali drewnianych czekały przed kościołem Świętego Jakuba i zaraz po porannym otwarciu bram, miały ruszyć dowożąc materiały na Arenę i wyspę zamkową. Tymczasem woźnice stali wszyscy w krąg i grzali dłonie przy małym ognisku. Ziąb był morderczy tej zimy.

\*\*\*

Kolejka nędzarzy ustawiła się zaraz przy furcie szpitala Świętego Ducha, wedle mostu idącego na Piasek. Wielu z nich kulawych, bez stóp, albo z nogami uciętymi koło kolana, bez rąk, o zdeformowanych chorobami twarzach, pokurczonych, słabych, zgarbionych i kaszlących. Pośród chmur nieznośnego smrodu mamrotali modlitwy na przemian z bluźnierstwami, klęli, płakali, szemrali, wznosili oczy ku niebu, pluli i drapali się, a wszyscy kierowali swoje gęby w stronę furty. Zaraz po dzwonach na Angelus otwierało się tam boczne okienko i rozpoczynał się ceremoniał nalewania chochlą ciepłej, darmowej strawy. Choć strawa może się zdawać słowem niedobrym na określenie owego pokarmu, bo podpowiada, iż całość winna być strawna. To, co dawano biedakom było breją o tak specyficznym wyglądzie i smaku, że nikomu by się nie udało jej nazwać. Ani też rzec, czy była to zupa, czy jakaś kasza wymieszana z błotem, robactwem i wszelkim paskudztwem, które przez nieuwagę wpadło do kotła.

Widząc te ohydztwa, żebracy poczynali wrzeszczeć, walie kosturami w drzwi i okiennice, a nawet złorzeczyć kanonikom

ć jętego Ducha. Ci zaś, których głód już doprowadził do tateczności, jedli pokornie i cicho, ale tych była mniejszość. ° \Wśród nędzarzy stało też dwóch osobników o wyglądzie osobliwym i wyraźnie różnym od plugawej reszty - obaj mieli narzucone na siebie płaszcze i kaptury naciągnięte na oczy, a pod nimi można się było dopatrzeć rycerskich tunik, znoszonych wprawdzie i starych, lecz ciągle kłujących oko jaskrawą barwą i rysunkami herbowymi. Uważny obserwator dostrzegłby u obu jegomościów wyraźne zarysy mieczy przypiętych do pasów, a nawet błyskające pod szyją fragmenty kolczug. Nijak to nie wyglądało na nędzę, chyba że chwilową, wynikłą z ciężkich tarapatów, w jakich i rycerz potrafi się znaleźć. Mężczyźni jednakowoż, czując iż w brudnym tłumie mogą się wyróżniać strojem, starali się zakryć własne postaci płaszczami. Na szczęście ziąb był okrutny i nikogo nie dziwiło, że się człek tak mocno opatula, iż jeno czubek nosa widać spod opończy.

Tych dwóch mężczyzn bardziej może niż przez ubiór rzucało się w oczy odmiennym wyglądem i dziwacznym zachowaniem. Jeden z nich był gruby, jak beka, a drugi chudzieńki, jak wygłodniały ptak. Żaden z nich nie złorzeczył, nie kłął, nie wyglądał w przód, w stronę furty, a miast tego, skuleni jak spiskowcy gorączkowo do siebie szeptali.

- Ja, Michałko, już tego smrodu nie strzymam - jęknął ten drobniutki.

- Strzymasz, Bocianku. Strzymasz, jeno się módl - od- Parł grubas.

- Dyc śmierdzi, jak z kloaki.

- A tyś myślał, że pachnidła tu będą woniały?

- Michałko, jak mnie fetor zadusi, zmwiaj za mnie jedną zdrowaśkę co rano, ku pokojowi duszy.

Bocianek ścisnął nozdrza paluchami. Toż samo zrobił Michałko, tak jeno czyniąc, iżby wyglądało, że dłonie złożył do modlitwy i wielce jest skupiony na rozważaniu jakichś tajemnic wiary.

W tej chwili się rozwarło okienko na bocznej ścianie fUr ty. Tłum nędzarzy zaczął się cisnąć, kłać, okładać laskami i pięściami. Za kratami ukazała się nalana gęba jałmużnika« Zakonnik wrzasnął groźnie, uprzedzając, że jak porządk pod murem nie zapanuje, to w ogóle nikt jadła nie dostanie Wraz to podziałało i znów się biedota ustawiła jeden za drugim. I jeno lekko się pchali na siebie, tak by dokuczyć, a oku furtianina nie podpaść.

- Michałko, dyc nas tam nie wpuszczą - zaczął szeptać Bocianek - od razu po tobie rzecz rozeznają, żeś nie jest nędznik. Tłuszczu tyle, co z dziesięciu borsuków, a na tym strojna tunika.

- Za to tyś, druho, jak wszystkie nieszczęścia naraz w jednym ciebie zgromadzone. I chudyś, jakby to jaki mór cię dręczył od dawna, a matka od urodzenia karmiła końskim łajnem, zamiast kaszą - odpyskował mu gruby rycerz - ja ci gadam, że jak ciebie tylko pokażę, to się tak twoją dolą przejmą, iż od razu ciebie, na leczenie przyjmą. A mnie z tobą.

Jeden z żebraków przed nimi odwrócił się i zaśmiał.

- Cichaj, Michałko, słuchają nas - Bocianek skrył się mocniej pod kapturem.

- A niech słuchają - nabierał impetu tłusty pan na Cie- płowodzie - może i co się z chamskiego obyczaju oduczą. A ty wiedz, że dobrze koncept wysmażył, mój druho. Pochyl się mocniej, to ci rzeknę.

Chudzinka tak się przybliżył, że aż oparł o wielkie brzuszysko.

- No cóż? - wyszeptał.

- Wszystko mnie wyjaśnił ten rzezimieszek, na procesji Błaznów. A zna się na sprawie, bo sam wiele razy korzystał ze sposobu i za mury wnikał. Ale o tym zaraz, a najpierw co ważniejsze. Rzekł mi bowiem, uważasz, iż prawdziwy nasz domysł, jako dzieciak jest niemową. Ponoć gadał mu

( rn50 zakonny, który na targ poszedł za victus, iż się zje- ja jyza drużyna rycerstwa czarnego, a ci ze sobą, z sa- h Włoch przywiedli chłopca, który gadać nie może, 0 tak traktują, jak opata co najmniej. Pomnisz to, Bocia- nek? Dyc się o takiego rozpytywał ów wiking

morderca? \_ och, pomnę to, mój Michałku, pomnę. Znów się przed nimi nędzarz obejrzał. A że już zaczął jał- mużnik nakładać breję na naczynia, miski, a nawet i gołe ręce podstawiane, więc się krok za krokiem tłumek zaczął przesuwac, a wraz z nim rycerze. Michałko jeszcze zniżył głos:

- Więc to wielce może być, że ów chłopak jest tuż za murem. A gdy do niego dojdziem, to już się księciu Henrykowi pokłonimy nie tylko z pustym słowem, ale i z pewnością wynikającą z osoby i naniesionych znaków.

- Prawda, prawda - gorączkowo szeptał Bocianek - aleś mi nie wyjaśnił, jak zamierzasz do claustrum się wdrzeć.

- Bo już kiedy nie było. A ty mi ufaj.

- Ufać to już ufałem. I żem raz stał po pas w wodzie przez noc całą, jakeś obiecywał z tym zwodzonym mostem...

- Stare dzieje, nie czas o tym. Słuchaj, bracie. Wszystek rzecz mi objaśnił ów obwieś od Zarastra i Papagena. Rzecz jest w tym, iż mnisi w obowiązku mają rozdawać jałmużnę i strawę, dbać o chorych i odwiedzać ich, a także u siebie w hospicjum trzymać beneficjentów, w liczbie osiemnastu ubogich. Co tydzień się odbywa wymiana części pensjonariuszy. I na to czekamy...

- Jużem pojął, nie po zupeł... - brwi Bocianka podjechały w górę ze zdziwienia.

- Juści, że nie po nią. Jeno na to co potem, czyli na wymianę czekamy. I wtedy musimy się do środka dostać. Tu zaś winienes, drogi Bocianku, wykazać się nie lada sztuką i na oczach hospitalariusza umrzeć całkiem z boleści i głodu, a ja ei? będę cuciał i ratował.

- Pojmuję - rzekł Bogusław z Bocianowic - i wraz mi • słabo robi na piersiach. Gorączkę czuję w sobie. W krzw' swędzi.

Z okienka na furcie dochodziło pokrzykiwanie jałmużnj ka, stukanie chochli o kratę i ciągle utyskiwania ludzi, którzy nie mogli dać wiary, iż to co im nałożono, jest w istocie mo żebne do zjedzenia.

- Humiliate capita vestra Deo!\* - wrzeszczał kanonik przy każdym następnym biedaku podchodzącym do niego z miską w dłoniach.

Wszyscy stojący się wtedy kornie pochylali, czynili znak krzyża i odpowiadali:

- Amen.

I znów następny krok do przodu. Szurnięcie nóg, szmer żebraczych śmieci ciągniętych w workach, stukot kijów, warknięcia psów trzymany na sznurkach.

- Nie ma czasu, za późno. Umykajmy. To jedno tylko zostaje. Oni jadą, powiada święty Jan. Słuchajcie objawienia - szeptał ślepiec stojący trochę dalej od Michałka i Bocianka.

Do furty już niewiele zostało, gdy nagle Bocianek osłabi i zachwiał, jak podcięte drzewo. Padając mrugnął do przyjaciela.

- O Materdei! - wrzasnął grubas, lamentując płaczącym tonem - mój druh umiera!

Dlaboga, zróbcie coś! Już to zimna zaznał a niedoli, z głodu ledwie zipie. Jak go teraz duchaki nie wezmą, to już po nim, jak amen w pacierzu. Cóż za straszliwy los, na ciebie druha naszedł. O ludziska dobre! Puśćcie to nas do przoda. Do hospicjum go! Umiera człowiek! Do ciepła nam Iza!

Bocianek wpadł w drżączkę, a nawet spieniona ślina pojawiła mu się w kącikach warg. Michałko podtrzymał go sapiąc i uniósł boleściwe oczy. To co zobaczył, nie wprawiło go jednak w dobry stan umysłu. Nędzarze stojący w kolejce odwrócili się, owszem, lecz nijak się wrzaskami nie przejęli- zei wielu z nich zaczęło się szyderczo śmiać. „Piany w gę- • za mało!” „noga bodnij, ładniej będzie!”, „umrzyj chłopie, ^na cmentarz wezmą bez czekania!” - rozległy się złośliwe krzyki- Kogo, jak kogo, ale wrocławskich żebraków na symulowaną chorobę nie szło nabrać, sami byli w tym mistrzami.

\_ Weźcie truchło na bok, niech nie tarasuje dojścia! - krzyknął stojący za nimi człek bez jednej nogi, wsparty na kosturze z poprzeczką wsadzoną pod pachę.

Michałko na to poczerwieniał ze złości, wypuścił z objąć umierającego druha i odwrócił się ciskając oczami błyskawice.

- Co żeś rzekł, parszywy wyskrobku podłej suki, zawsze- wiony Saracenie, oby cię matka nigdy nie rodziła?

- To, co żeś słyszał góro łaju! - odkrzyknął plugawiec - Jak się za umieranie kto bierze, niech na sam przód umiejętnością się okaże! Dyc te drgawki ino do śmiechu są, a nie ku przerażeniu! Precz z kolejki, psi synu!

Na to się Bocianek przestał rzucać, toczyć pianę i kopać w przedśmiertnych konwulsjach, po czym wstał w te pędy, przytomniejąc z szybkością Łazarza, nad którym stanął sam Zbawiciel.

- A to bydlę niechrześcijańskie! - wrzasnął chudzina i doskoczył do kaleki. Złapał go za gardło i zaczął dusić - O ty kulawcze diabelski, znać żeś pomiot Lucyfera! Tak to gadasz o innych, że umierać nie potrafią? Ja nie umiem? Może i nie zdycham łącnie, ale ty zdechniesz ładniej. Patrzaj, no!

I ścisnął za gardło nędzarza. Ten gały wybałuszył, nawet krzyknąć o pomoc nie mógł, tak mu bociankowe łapy zacisnęły się na grdyce.

Ruch się zrobił wokół, zamieszanie i krzyki. Część biedaków odskoczyła na bok, wiedząc, że bójki pod klasztorem mogą się skończyć miejskim więzieniem, inni zaś rozochoceni awanturą pchali się w stronę zajścia, szykując do bitki: zawsze to jaka rozrywka, rozgrzanie krwi na mroźnym powietrzu, a i okazja do zdobycia niespodziewanych łupów. Ci ~ którzy jęli się przepychać napotkali na swej drodze na górę mięsa i tłuszczu - rycerz Michałko, pan na Ciepłowodach chwilowo w terminach gorszych i bez kiesy pełnej, wyrzucił jednemu ze starsuszków długi kostur i zaczął tym kijem wy machiwać i ryczeć, jak tur wściekły. Nawet się trochę tłum cofnął pod naporem tej potęgi, ale zaraz począł nacierać da lej zacieśniając koło. Na tłustego woja poleciały grudy śnieżne, kamienie, jakieś drobne przedmioty.

Bocianek zaś dusił dalej i byłby całkiem na inny świat wyprawił owego kalekę, gdyby kuternoga jednym zwinnym ruchem nie odwiązał sobie nogi podczepionej rzemieniem do tyłka i stając nagle na obu nie zaczął dźgać Bogusława z Bocianowic w sam brzuch końcem swojej laski.

- A! To taki z ciebie jednonożec! Udawany! - wrzasnął chudzina i puściwszy gardło złapał za kostur fałszywego kaleki i zaczął tamtym kręcić w kółko, wałąc we wszystkich, wywracając co bliżej stojących i wzbudzając tym jeszcze większą złość wśród czekających pod klasztorem nędzarzy.

To już był ostateczny przyczynek do powstania chaosu. Tłum zawirował, zatrzęsł się i zaczął okładać nawzajem, jeden drugiego. Nikt już nie pamiętał skąd się wzięła pierwsza zaczepka, ważne było, że się poczęli bić, walić po nogach kijami, okładać kulakami po łbach, plwać na siebie, wrzeszczeć i ciągać za szaty, włosy i torby z dobytkiem. I nie było ważne, kto strawę na furcie dostał, a kto nie - nędznicy taką w sobie wojowniczość poczuli, iż gdyby ich tak na niewiernych w Ziemi Świętej wypuścić, wraz by Jerozolima była odzyskana na całe wieki. Leciały w ruch ręce, łokcie, kolana, kostury żebracze, a nawet koziki, szukające bebeczów i mogące zamienić chwilową bitkę w wieczne odpoczywanie.

Tylko się było tu spodziewać pacholków miejskich. W pewnej chwili, jakby kto jaki czar rzucił, całe towarzystwo się uspokoiło - rzekłbyś, iż ktoś proszkiem tajemnym ich posypał i się w jednym momencie na powrót ustawili w karną kolejkę do furty hospicjum. Jedynie najbliższy stojący

• hałka i Bocianka jeszcze się z nimi szarpali, ale gdy od- ócili głowy i oni spokornieli. Ot dziwo. ^Od strony Domu Sióstr Trzebnickich zbliżała się kobieta owinięta szczelnie szarym płaszczem. Tuż za nią szło dwóch służebnych niosących wielki kosz. Z tyłu zaś, próbując zachować dyskretny dystans, podążała czwórka wojów, w barwach śląskiej drużyny książęcej. Byli to ludzie Henryka, którym sam princeps rozkazał nie odstępować swojej żony

na krok, co ją samą wprawiało w złość, a jemu dawało jakie takie poczucie zapewnienia bezpieczeństwa księżnej. Anna bowiem, wzorem matki księżnej Jadwigi, już za życia dotykała Królestwa Niebieskiego, przez obyczaje pokutne i czyny święte, co w pierwszej mierze przez dbałość o maluczki, najbardziej przez los dotkniętych osiągała. Szukała po mieście nędzarzy, karmiła ich, chodziła z pociechą do chorych, dawała wsparcie jałmużną, modlitwą i dobrym słowem. I choć cokolwiek dobrego czyni Domino inspirante, za przyczyną Pana, to może być i przeciwnościom losu poddana, czartowskim sztuczkom wymierzonym w dzieło Boże, które diablo instigante\* doprowadziłoby ją samą do zguby, pohańbienia albo i śmierci w jakieś ciemnej uliczce. Mało to łotrów się czai na życie i dobra doczesne religijnej pani? Mało to takich, co na żadną świętość nie mają baczenia, do kościoła się włamią, albo i osobę duchowną zabiją, kierowani chęcią zysku, ponad pragnieniem zbawienia i życia wiecznego?

Tako to i onego dnia, pod murami szpitala kanoników regularnych Zakonu Świętego Ducha, nad ujściem Oławy do Odry położonym, wedle mostu piaskowego, za księżną Anną i jej posługaczami, stanęło czterech rosłych wojów, a na ich złoto-żółtych tunikach pyszniły się piastowskie orły z półksiężycem i krzyżem na piersiach. Drużynnicy księżcy stanęli o kilka kroków dalej, by się swoją obecnością nie naprzykrzać, a na wszystko mieć oko uważne.

diablo instigante (łac.) - za dopuszczeniem szatana.

A księżna Anna odważnie wkroczyła w tłum biedaka ' falujący jak rzeka brudu, łachmanów, plugawych pysków" parujący obłokami nieźnośnego fetoru i sama in odore sane titatis<sup>51</sup> poczęła rozdawać chleb wszystkim kłębiącym się wokół niej ubogim. Przepchnęło się w jej stronę dwóch męż. czyzn, którzy się wzajem szturchali i do siebie szeptali. Jeden był gruby, a drugi tak chudy, jak ćwierć ćwierci tamtego. Kie chcieli chleba.

- Czegóż wam trzeba? - spytała księżna, trzymając w ręku bochenek.

- Widzieć się z księciem Henrykiem, miłościwa pani! - odparł Michałko odważnie.

Dopiero teraz uniosła twarz i przyjrzała mu się bacznie.

- Nawet i moja misericordia<sup>52</sup> ma granice, dobry człowieku - rzekła chłodno.

Chudszy wpełchnął się bliżej, odsuwając na bok jakiegoś paralytyka, który raz za razem powtarzał jedno słowo: lebioda.

- Myśmy tak po prawdzie nie są nędzarze - powiedział cicho, tak by niepowołane uszy tego nie słuchały - jeno rycerze z pasowania księżcego i na włościach z nadań prawowitych.

- Cieszyli się miłością i zaufaniem Henryka starego, świeć Panie nad jego duszą - chybko się do wyjaśnień dołączył tłusty woj - tak to w Gąsawie<sup>53</sup>, gdy go podstępem chciał ukatrupić Świętopełk i potem, gdy z Konradem były właśnie na ziemi krakowskiej. Dzielnim stawali i pod Skałą,

j Worcieryżem, i pod Międzyborzem, kędy święcilim triumfy\*-

Michałko gadał, ale nie czuł, że się wokół znowu robi ja- kieś zamieszanie. Nędzarze poczęli się pchać, coś pokrzykiwać o jakowyś „oszustach", grozić i wymachiwać pięściami.

— Wielu to rozpowiada o swych wielkich czynach... - rzekła księżna i zaczęła wycofywać się z gęstniejącego tłumu.

Woje księżcy, do tej pory stojący w oddaleniu, wraz ruszyli w stronę tumultu, sięgając do mieczy.

Michałko pchany w plecy przez jakiegoś łotra, odcięty już od księżnej przez trzech innych biedaków wyciągających ręce po chleb, wpadł na wielki kosz wypełniony pieczywem. Kosz się zachwiał i wywrócił, a chleb wypadł w błoto zmieszane ze śniegiem. Na to cały tłum nędzarzy drgnął i rzucił się zbierać, co leżało. Jeden ze sług księżnej upadł pod nogi i począł wrzeszczeć tratowany przez biegnących. Straż zabrała się do płazowania biedaków i pokrzykiwania dla utrzymania porządku. Od furty klasztornej także się wrzaski podniosły i wraz zamknięto okno.

Michałko skoczył wprzód i roztrącając kilku żebraków na boki swoim wielkim cielskiem znów się znalazł przed samą księżną. Ta wystraszona, cofała się szybko, zasłaniając płaszczem. Obok niej pojawiła się jakaś jeszcze siostra cysterska, która znak krzyża czyniła przed rycerzem z Ciepłowody, jakby to Szatan w niego wstąpił.

- Odstąp! - krzyknęła do niego Anna, błyskając zatrwożonymi oczami.

- Pani, spójrz na ten znak! - krzyknął grubas i wyciągnął w jej stronę rękę. Na tłustym paluchu miał pierścień ze znakiem herbowym Henryka Brodatego - półksiężycem maryjnym zwróconym rogami w górę i krzyżem stojącym nad nim, jak maszt nad łodzią.

Księżna patrzyła na ów pierścień, jakby we śnie działa.

Woje zaś książęcy rzucili się na rycerza i powalili ziemię. Runął pan z Ciepłowody w zimny śnieg, próbuj<sup>^</sup> się czego chwycić łapskami i tylko pociągnął za sobą dwóch z książęcych drużynników.

- Bocianek! Idź do błaznów! Szukaj błaznów! - zdążył jeszcze wykrzyczeć tłścioch, nim został skrępowany. Słudzy chwycili oszołomioną księżną Annę i szybko wyprowadzili ją z tłumu. Bocianek zniknął za plecami żebraków. Michałko całym wysiłkiem woli wykręcił się i patrząc za nikonącą p0. stacją kobiecą krzyknął ile sił w płucach:

- Kwiatka spytajcie! On mnie pamięta! Jam Michałko z Ciepłowody! Kwiatka pytajcie!

Dobra pani zatrzymała się i obejrzała w stronę leżącego na ziemi grubasa.

go \vi.

na

- Kwiatek będzie wiedział! - wrzasnął tłścioch po raz ostatni i zamilkł, bo wsadzono mu w gębę wielki kawał szmaty.

XI

J

eruzalem to piękne imię - rzekł cicho Jacek Odrowąż patrząc na pochylonego Szalbierza - kto ci je nadał, dyć ciało masz tatarskie?

- Moja matka - odpowiedział kuglarz i uniósł głowę. Dominikanin spoglądał bez słowa, nie naciskając na wyjaśnienia, ale dając do zrozumienia, że chętnie by ich wysłuchał.

- Jest lud wierzący w Chrystusa, daleko w krainie wschodu, gdzie moja ojczyzna - wyjaśniał Tatar - a Wielki Chan zezwala im żyć koło siebie i stawiać świątynie\*...

- Takoz to prawda, co gadali...

- Cóż, ojcz?

- O królestwie księdza Jana\*\*. Z niego przybyłeś?

Mowa jest tu o nestorianach, sekcie chrześcijańskiej żyjącej w Azji, na terenach imperium mongolskiego.

Królestwo Księdza Jana - mityczne średniowieczne królestwo założone przez księdza o imieniu Jan, o którym krążyły legendy. Preparowano nawet fałszywe listy wysyłane przez niego do papieży. Nigdy nie udowodniono istnienia owego królestwa...

Szalbierz wyprostował się i popatrzył w oczy zakonny

- Nie wiem o czym gadacie - rzekł - Alem i ja s}ys opowieści o owym królestwie. Ino nigdy się nie spotkaj z nikim, kto by tam był i co widział.

- Widziałem listy słane przez owego księdza...

- Ja się na tym nie wyznaję. Co jedno wiem, to że matka moja w Kara-korum żywie i tam byłem chrzczony. A potem z karawaną kupiecką... Cóż ja zresztą wiem, mały byłem ojcz. Ot, taki, do kolan berbec... A imię czemu takie... Nie wiem...

Jeruzalem spotkał się ze wzrokiem brata z zakonu kaznodziejów i coś mu wpłynęło do serca, a potem sprawiło, iż zmiękł jakoś i utracił ową hardość, którą nosił na swej gębie jak sztandar.

Wędrowny oszust, sprzedawca relikwii mających tyle z prawdą wspólnego, co belzebub ze święconą wodą, błazen, linoskoczek, atleta rwący po wsiach łańcuchy ku uciechu gawiedzi, bezwzględny łotrzyk, tatarski szpieg, człowiek o dwóch licach, czterech sercach i siedemdziesięciu siedmiu językach, teraz stał się wobec dominikanina, jak mały chłopiec. Pokorny i prawdziwy.

Rozmawiali z tyłu owej chatki, w której leżała umierająca dziewczynka i gdzie jej matka żłobiła sobie łzami policzki.

- Nie wiesz skąd imię... - powiedział Jacek - Pismo Święte obiecuje nadejście Nowego Jeruzalem. Kto wie, może to ciebie wybrał Pan do robienia rzeczy wielkich?

- Mnie? Jam zdrajca i szpieg. Człek małej czci. Zwą mnie Szalbierzem, toć samo to znaczy coś, ojcz...

- Świętego Piotra zwali tchórzem. A Chrystus go wybrał na swego następcę...

Jeruzalem splunął na ziemię, krzywiąc się, jakby na wargach poczuł smak piołunu.

- Czegóż ode mnie żądacie? - powiedział twardo i chrapliwie - Po coście mnie tu na tył chaty wzięli?

- By prosić cię o pomoc.

Tę macie od początku - Tatar błysnął zębami,

oczach zaświeciły mu dzikie błyski - I jak trzeba, jeszcze jStaniecie. Jak kto podjedzie, temu łeb utnę, jak psu, za- się spostrzeże. Chcecie? Nożami rzucę, czterech naraz "ołożę- Chcecie? Łuk wyciągnę i dziesięciu zabiję, jeden po drugim, zanim któryś sięgnie po żelazo wiszące u boku, tego chcecie? A jak broni nie stanie, o te ręce macie moje i te zęby. )ak pies jestem, rzucę się, zagryzę.

Dominikanin wyciągnął rękę i uczynił krzyżyk na czole tatarskim, a rzekł łagodnie:

- Schowaj synku miecz. Łuk do sajdaka. Zęby też niepotrzebne.

- Cóż zatem, ojcz?

- Tam jest dziewczynka w chacie. Umiera.

- Wiem. i

- I w tej sprawie chcę prosić o twą pomoc... kuglarzu...

Potem brat Jacek ujął Szalbierza pod ramię i podprowadził w stronę drzwi. A Jeruzalem poszedł za nim, potulnie jak dziecko.

Obok katafalku w infirmerii płonęły słabym ogniem cztery świece. W kaplicy panowała duchota. Na masce zmarłego nie było widać cyfry, lubo każdy to wiedział, iż leży Numer Drugi, do niedawna Wielki Mistrz Zakonu Świętego Ducha. Po obu stronach stali zakonnicy, odmawiając kolejne dziesiątki Pater Noster i Credo, jako to jest w regule opisane i w zwyczaju przyjęte, a co się należy każdemu bratu, kto- ry z rodziny odszedł do Pana. W ławkach widać było także, nieosłoniętych maskami, duchownych zakonu i sługi klasztorne. I ci też szeptali swe psalterze. Wśród nich klęczał także i Dobrosław, w nabożnym skupieniu trwając, a wznosząc ku Bogu myśli swoje i polecając opiece Jego chłopca i swoją osobę. Nigdy by to bowiem wcześniej nie rzekł, że go Pan Wybierze do zadań tak trudnych. - Czybym jednak nie mógł do życia dobrego, pustelniczego, powrócić? - pytał i kr I szmeru modlitw zakonników stojących wokół zwłok nic ni słyszał, żadnego Bożego głosu, nawet drobnej wskazówk^ Dyć ja słaby, gruby, pić lubię, obżarstwem się hańbię, panie - błagał w myślach grubas - mnie nie do takich dróg, takich ścieżek twoich. Kiedy możesz, oddal ode mnie ten kielich

Tu zaraz przypomniał sobie, iż Chrystus także prosił o oddalenie kielicha, a i tak musiał na krzyż pójść. Więc się pustelnik jeszcze sromotniej w duszy rozplakał, skamłając odmiany pisanego losu. Nagle z oddali, gdzieś od krużganków,



dobiegł krzyk potworny. Kilku się zakonników zerwało i wybiegło, aby sprawdzić, co zaczęło wydarzyć się w czeluściach klasztornych. Reszta wróciła do zmagania Credo.

Dobrosław także pospieszył w stronę wrzasku. Krzyk dochodził gdzieś z oddali, a wielokrotnie echo korytarzy nadało mu tak złowieszczy wymiar, aż ciarki szły po plecach. Głos dochodził od strony wirydarza głównego. Grupa zakonników biegła łomocąc podszwami o kamienne podłogi. Wypadli na krużganek, prosto na mróz i świeże powietrze. I tu wszyscy przystanęli, a widok, jaki zobaczyli ścisnął wszystkim gardła. Cały wirydarz był zasypany śniegiem, a zimową porą nikt środkiem nie chodził, jeśli zaś kto chciał, ten szedł krużgankiem. Teraz, na wysokości studni, po drugiej stronie, klęczał w śniegu młody chłopak i krzyczał rozpaczliwie. Był to jeden ze stajennych, który tędy chciał dojść do kaplicy. Nad nim, na grubym sznurze przytwierdzonym do balustrady, wisiał zakonnik w czarnej zbroi, z maską na twarzy. Obciągnięte w dół końce butów zbrojnych wyglądały, jak dwa ogony martwych ryb. Wiatr czasem poruszał delikatnie płaszczem i wtedy trup także się chwiało.

- Matko moja, ratuj mnie! - krzyczał klęczący pod spodem chłopak. Jeden kucharczyk złapał go za ramiona i odprowadził gdzie na bok, żeby się uspokoił. Hospitalariusz wyciągnął nóż i pobiegł na piętro odciąć sznur. Po chwili ciało

rtwego rycerza runęło z chrzęstem na ziemię. Gruchnęło, •"k truchło niedźwiedzi zrzucane z sań po łożach pod stopy

liwych- Obrócono go na plecy. Ktoś oczyścił ze śniegu askę- Ukazał się numer. XLI.

\_ Czterdzieści jeden - rzekł duchak, a jego słowa wydawały się nie mieć żadnych emocji, jakby to nie człowiek je ^powiadał, jeno istota z kamienia wykuta. Potem hospita- lariusz wsadził dwa palce pod zbroję, by dotknąć szyi. Przez chwilę trzymał, a potem spojrzał na resztę i pokiwał głową na znak, że już szans żadnych nie ma.

Dobrosław odepchnął jednego ze sług klasztornych i wcisnął się między rycerzy.

- Matko Boża... Dyc on... Ten właśnie...

Poczuł jakąś rękę silną na ramieniu. Ktoś go wraz chwycił pod łokieć i pomógł mu się podnieść. Potem zaś go poprowadził w stronę wyjścia z wirydarza.

- Wy, bracie Dobrosławie, idźcie powiadomcie na infir- merii, że nam tu pomoc się zda! - krzyknął głośno ów zakonnik. Potem zaś, już na krużganku, przyciągnął do siebie pustelnika i szybko wyszeptał:

- Jeśli ci życie miłe, nie zdradzaj się, że go znasz. Mnie także. Pamiętaj wszystko, co ci rzekłem, a przeżyjesz. Trwaj przy chłopcu, do uroczystości także i nie lękaj się. Czekaj na nasz znak. Nie szukaj. My przyjdziemy do ciebie. Jest nas tylko kilku. A od dzisiaj o jednego mniej. Teraz biegnij do infirmerii, jak ci kazałem. I udawaj przerażonego. A ty chyba nie musisz udawać. Biegnij więc.

To rzekłszy czarny rycerz z numerem XII na masce pchnął Dobrosława i otrzepując rękawice wrócił do wirydarza. Tego wieczora miało się zacząć śledztwo w sprawie śmierci jednego z braci. Kat zszedł do podziemi i zaczął torturować młodego stajennego. Szczypcami zdierał mu paznokcie po Paznokciu. Ale krzyków chłopaka nie było słychać. Sklepienia były bardzo grube w hospicjum braci kanoników regular- nych od Ducha. Wystarczająco grube.

\*\*\*

Kobiecina usiadła na zydelku i spłótła dłonie, jak do m0 dlitwy. Ciężko by było rzec, ile mogła mieć lat. Wieloletnie trudy i cierpienia zostawiły na jej twarzy wyraźne ślady. pa trzyła kamiennym wzrokiem, w którym już nawet nie by)0 smutku, jeno proste przypatrywanie się kolejom rzeczy, które przynoszą człowiekowi żal i utrapienie.

Córka jej, będąca w latach dwunastu, leżała na łożu, przykryta derkami i wielką baranicą, pozszywaną z kilku skór Błada twarzyczka zdawała się być tak sina, jakby to był głaz rzeczny, a nie buzia dziewczynki. Długie włosy, skołtunione i tłuste, musiały być po prawdzie jasne jak zboże, ino się od choroby ściemniały, jak len umaczany w oliwie.

Cisza trwała w izbie. Dragiełło siedział na skrzyni pod oknem, odwrócony do dziecka plecami, by nie przerażać twarzą w bandażach całą. Brat Jacek zaś modlił się, wewnętrznie skupiony, z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi pod nosem.

Z głośnym skrzypnięciem zawiasów otworzyły się drzwi. Dziwadło, jakie się w nich pokazało, wprawiło gospodynię w takie zdziwienie, że zerwała się na równe nogi, czyniąc znak krzyża i trzęsąc się ze strachu. Dopiero uśmiech na twarzy dominikanina i położony na ustach palec pokazały kobiecie, że nie tylko jest o sprawie poinformowany, lecz wręcz dobrze w nią wtajemniczony. Do środka wtoczył się wielki kocur, wysokości człowieka, łażący na dwóch łapach. Było to kocisko mocno spasjonę, a brzuch jaki miało przed sobą było wielkości Księżycy w pełni. Co prawda gdzieś pod koszuli wypadały wiechcie słomy, lecz któż tam by się przyglądał szczegółom. Kot miał wąsy wyrysowane węglem na gębie, a nochal i policzki całe czerwone od nacierania burakiem. Dziwnym się jeno mogło zdawać, że to zwierzę niebywałe, miało po obu stronach łba wiszące warkoczyki, lecz te mu pewnie uplotły złośliwe gnomy szwenda-jące się po obejściu, jak to czynią z grzywami końskimi.

Azaliż tutaj, w tym małym domku, mieszka sobie Isia, udne dziewczę? - miauknął wielki postrach myszy po-  
Inych.

Matka podbiegła do dziecka, żeby je przebudzić z gorączkowego snu, ale chora już sama otworzyła oczy i patrzyła mrugając silnie, jakby to jakieś zwidy ją znów naszły.

- Jest-li tu Isia, piękna dziewczynka? - powtórzył zwierzak i zmarszczył śmiesznie nos, jakby coś wahał. Minę miał teraz taką, jak królik wcinający marchew.

Dziecko uśmiechnęło się i spróbowało unieść główkę, lecz ta opadła bez sił.

- A, tu się ukryła przed ciekawskich wzrokiem - przedziwna postać gadała przemienionym głosem, który raz zdawał się piskliwy jak miauknięcie, a zaraz stawał gruby, jak u groźnego zwierza.

Kocur podpełzł jeszcze bliżej i skłonił się nisko.

- Witaj, najjaśniejsza pani - rzekł, a potem przyklęknął - Przybywam z księstwa kotków i poszukuję zaginionej królowy. Imię jej zaczyna się na „I”...

Gdy to powiedział, to jakby coś wstąpiło w rycerza siedzącego pod oknem: wyprostował się, zadrżał i wbił w wielkiego kota ostre spojrzenie.

Szalbierz także się zatrzymał w pół słowa, jakby to co rzekł wyszło samo przez się i obudziło wspomnienia dawnych dni. Przełknął ślinę i, przybierając na powrót minę zdziwionego światem królika, zaczął gadać dalej:

- ...Imię jej zaczyna się na „I” a dalej ma „si”. Więc takż sobie dumam, w mej kotkowej łepetynie, że owa królowa na »I” co dalej ma „si”, to może być... Isia! Czyż to prawda?! Dziewczynka wyraźnie się uśmiechnęła i pokiwała główką.

- Och, cóż za wspaniała nowina. Lepiej być nie może dla królestwa kotków i dzisiaj z królewskich kadzi popłynie darmowe mleczko dla wszystkich. Królowa Isia odnaleziona! Radujmy się! Lecz... Cóż to?

Oczy kota zwężyły się i spoważniały, zaczął węszyć i njj I stawiać uszu, szukając niebezpieczeństwa. Przycupnął na lewą nogę, na prawą, podskoczył, aż zatrzęsł mu się jego brzuch

- Sza, sza, nic nie gadaj królowo, ktoś nadchodzi.

Isia patrzyła z przejęciem, czekając cóż teraz nastąpi w owej krotchwili. Matula podbiegła, poprawiła jej nasypkę pod gł0. wą, żeby dziecko mogło lepiej widzieć. Z głębi, z sieni, dobiegi groźny warkot. Chyba zbliżało się jakieś potworne psisko.

Kot, choć był wielki ciałem, to chyba mały duchem, bo całkiem stracił rezon. Oczka zaczęły mu biegać tam i z powrotem. Miauknął boleściwie i zaczął miotać się po izbie, szukając ratunku. Dopadł do rycerza pod oknem i wykrzywiając się, jak błazen na jarmarku, wrzasnął:

- Ratuj o panie moją kocią skórę, tam pies leci!

Dragiełło spojrział na niego, a gdy się gęba pełna skrawków materiału przyklejonego do skóry ukazała, to kot jeszcze głośniejsze pisnął:

- Dłaboga, upiór!

I poleciał w drugą stronę, rzucił na słup podtrzymujący strop, po czym zawisł na nim obejmując rękami i nogami. Nie utrzymał się jednak i zjechał na sam dół, waląc się tyłkiem o klepisko.

Dziewczynka roześmiała się głośno. Wyglądała jakoś żywiej, oczka zaczęły świecić radosnymi błyskami.

- Ej, ej, już to jakaś magia! - wrzasnął kocur rozeźlony, wstając i macając się po tylnej części grubej ciała - dyc koty tak gibają po drzewach, jak wiewiory. A ja spadłem! No nie! Jeszczem zły, oj zły!

Wziął rozpęd i ponownie wskoczył na słup, obejmując go ściśle czterema łapami. Wybałuszył ślepią w stronę dziecka, wzdął policzki, a potem miaucząc przeraźliwie zsunął się powoli aż do ziemi. Udał, że go to strasznie zabolalo. Ale to był jeno początek jarmarcznej błazenady. Teraz się dopiero miało zacząć na dobre. Z ciemnej sieni, warcząc wściekle, tawiając Jap? za \*aPą wsze(U garbaty piesek o długim pokręconym pysku i uszach wiszących z dwóch stron, a zrobionych ze starego worka. Chyba był bardzo zły, bo warczał, bulgotał i poszczekiwał.

\_ Gdzież ten kot? Gdzież ów kot? Dajcież kota!

Kocur przerażony poleciał i szybko wsadził łeb pod baranią skórę, którą przykryte było dziecko. Reszta wielkiego ciała zajmowała wprawdzie ćwierć izby, lecz kocisko gdy zakryło oczy, to miało wrażenie że nikt go nie widzi.

- Ty, dziewczynko, widziałaś gdzieś kota? - spytał, rozwścieczony kundel.

Isia szybko i energicznie zaprzeczyła, kręcąc główką.

- Gdzieś się tu ukrył, diabelskie nasienie, już ja go czuję mym psim nochalem, braciszku moi!

Piesek był mały i tak brzydki, jak tylko mogą być owe szarobure stróże domowe - ucho krzywe, łapki krótkie, garb na plecach, a sierść jak zmechacone kudły czarta. Warknął sobie i skłonił się przed dziewczynką.

- Witaj, o pani! Zwał mnie Karluś - tu niezdarnie dygnał, tracąc równowagę - przybywam z królestwa piasków, szukając naszej władczyni, której imię zaczyna się na „I”.

Chciał wyjaśniać dalej, gdy w drzwiach stanął jeden z braci Job, który na drodze miał dawać baczenie, czy się coś nie dzieje.

- Dwóch jeźdźców, panie! - wysapał.

Dragiełło zerwał się szybko, narzucił na siebie płaszcz i wyjął miecz z pochwy. Kocur wystawił łeb spod pościeli, lecz mu rycerz nakazał gestem powrócić do swych czynności.

- Samotrzcę z Jobami to sprawię - rzekł spokojnie i wyszedł.

Kot był już jednak zdradzony. Zaczęła się gonitwa. Piesek warcząc rzucił się na o wiele większego od siebie spasionego pogromcę myszy, zupełnie nic sobie nie robiąc z różnic w cielesności. Kocur skakał, wyginał się, miauczał, fikał kozły, odbijał się od ściany, klepiska, słupów, pieca i czynił w powietrzu jakieś przedziwne obroty. A za nim kundel| szczekając i próbując ugryźć.

Psiak łapał do za nogawicę, to za rękę, to za koci brzuch wysypując z niego słomę. W końcu wgrzyzł się w tyłek.

Kot ryknął i zaczął wirować wokół własnej osi.

Dziecko uniosło się na łokciu i zaśmiewało na całego, waląc ręką w pościel. I matusia też się śmiała. I brat Jacek pod piecem. I Hanna w kąci.

Po pewnym czasie wrócił Dragiełło, zmęczony, zziębnięty, z mieczem zbrukanym krwią pohańską. Stanął w progu i wszyscy wtedy, jak raz zaczęli odpoczywać po walce, dysząc ciężko. I rycerz i kot i piesek.

Dziewczynka śmiała się jeszcze przez długi czas. I tej nocy odeszła.

Gdy ją znaleźli o świcie następnego dnia, zimną i sztywną, miała na ustach zastygnięty uśmiech.

Brat Jacek uklęknął i zaczął się modlić dziękczynnie. Za dokonany cud.

- Jaki cud, ojczy? - spytał karzeł.

- Ten na jej buzi - dominikanin pokazał sine wargi ułożone w beztroskim, szczęśliwym uśmiechu.

Królowa Isia rozpoczęła swoje panowanie w cudownym, pełnym ukwieconych łąk i szumiących traw, królestwie kotków. W którym nigdy nie brak mleczka.

A może to było królestwo piesków? Kto wie?

\*\*\*

Sześciu jeźdźców stanęło na szczycie niewielkiego wzgórka, na drodze prowadzącej z Foggii do Lucery. Dwóch z nich było odzianych od stóp do głów w czarne zbroje, a czterech w wielobarwne, bogate tuniki. Rycerze nosili na głowach hełmy z maskami wyobrażającymi ludzką twarz, a każdy z pozostałej czwórki miał przerzuconą przez ramię kolorową kapę z herbami genueskich rodów szlacheckich: Doriów, Spinolich, Grillich i de Marich. Słońce stało w zenicie, a krystaliczne powietrze kładło się

kitem na apulijskich wzgórzach, rozmywając dal w jednobarwną układankę odległych kształtów.

przewodzący grupie wysłanników z Genui, Augusto de Mari, bratanek słynnego admirała floty, o dolnej wardze wysuniętej w przód, jak u dumnej ryby, szarpnął za zdobną w kokardy uzdę, obleczoną falbaniastym materiałem i przykuwającą oko kunsztownym wzorem, a następnie rzekł

krótko:

- Zabawne.

Patrzył przed siebie, a na jego rybiej gębie, pojawił się ni to rodzaj zachwyty, ni jakiego rozbawienia.

Przed nimi, w dolinie, rozciągało się saraceńskie miasto, o potężnym obwodzie murów, wielkich bryłach budowli, orientalnych łukach biegnących wzdłuż krużganków i strzelających w niebo minaretach meczetów. Muzułmańskie państwo pośrodku chrześcijańskiego, rzymskiego cesarstwa - Lucera.\*

- Rzekłbyś, Mekka! - zaśmiał się Spinoli, także ciągnąc za uździenicę, bo koń rwał się do przodu.

- Tylu Maurów co tutaj, to Iberowie nawet na co dzień nie widzą! - dorzucił Grilli.

- Podobno dziewczęta z haremu zwa Fryderyka sułtanem, prawdali to, czy okrutna blaga? - na koniec prychnął Dorio.

Ponad dachami domów, wierzchołkami palm i kopyłami minaretów zwieńczonymi półksiężycem unosił się dźwięczny, melodyjny głos muezzinów:

- Ashadu ana le ile he illa la la mohamedu rasululah! \*\*

Lucera - miasto leżące na południowy zachód od Foggi. Fryderyk II Hohenstauf po zdobyciu twierdzy Saracenów Jato i pokonaniu ich na Sycylii, zamiast wtrącić jeńców do niewoli, wywiózł ich statkami na kontynent i osiedlił wszystkich w Lucerze, zamieniając miasto na całkowicie muzułmańskie. Dzięki temu uzyskał ich wdzięczność i oddanie. Z Saracenów utworzył swoją gwardię. Pod koniec życia dysponował wierną, ponad trzydziestotysięczną armią saraceńską. Ashadu... (arab.) - Nie ma Boga prócz Allaha, a Muhamed jest jego prorokiem.

Kolejne samogłoski rozciągnięte w nieskończoną śpiewną długość zdawały się zapraszać, magnetyzować, przyciągać zniewalać swoim pięknem. Posłańcy z portowego miasta tyle bywali w tawernach, obeznani z ludem wszelakim i opowieściami z odległych stron teraz

jednak stali obezwładnieni owym śpiewem unoszącym się ponad czasem i przestrzenią wpływającym daleko poza miejskie mury i lecącym bardzo daleko, aż na zielone wzgórza.

Rycerze w czarnych płaszczach, byli już zniecierpliwieni przeciągającym się postojem i jeden z nich ponaglił ostrym słowem do dalszej jazdy.

Ruszyli, wjeżdżając powoli w niebywałą mnogość nieznanymi im kształtów, zapachów i barw. Miasto wsysało ich całym cesarskim, saraceńskim przepychem, tumaniąc dźwiękiem, cytrą i lutnią, śpiewem dochodzącym z fontann stojących pośrodku dziedzińców, śmiechami dzieci biegających tu i ówdzie, grą cieni i ostrych płam słońca, wonią chłodnych murów i rozgrzanych tynków, spojrzzeniami kobiet ukrytych pod dżilbabami<sup>55</sup>. Minęli dziesiątki straganów z wonnościami, korzeniami i przyprawami, ściągając na siebie wzrok zaciekawionych mężczyzn siedzących na progach i stojących w zacienionych wnętrzach. Gdy mijali meczety, cienie gigantycznych iglic minaretów kładły się w poprzek ulic, jakby cięży je na pół, niczym nóż wbijający się w ciasto. Zaraz zaś natrafiali na uliczki chrześcijan, ciemne i wilgotne. To znów minęli kilkunastu Żydów w burych płaszczach, a każdy ze starowierców miał na pole opończy dużą, żółtą łatę, znak przynależności do narodu wybranego. Kto by takiej łaty z Żydów nie nosił, ten był - edyktem cesarskim - skazywany na pozbawienie majątku, a gdy takiego nie posiadał, tedy wypalano mu piętno na czole.

Powoli zbliżyli się do dworu cesarskiego. Po obu stronach ulicy stały wielkie kolumny rzymskie, a na nich wykute z kamienia orły - widomy znak, że Fryderyk naprawdę czuje się rzymskim. Nad bramą wjazdową do pałacu widniał łaciński napis: SANCTUM IMPERIUM ROMANUM\*.

Minęli bramę patrząc na saraceńskich strażników stojących na wieżach i wyglądających spomiędzy blanków murów dworskich. Genuńczycy patrzyli po sobie, nie kryjąc zaskoczenia, ale obaj czarni rycerze prowadzili ich, jadąc pewnie przodem, aż do głównego dziedzińca, gdzie już podbiegli do nich stajenni, złapali za uzdy i pomogli zsiąść z koni.

Ze zdziwieniem i zakłopotaniem dowiedzieliśmy się, że ci synowie piekieł, a imiennie Saraceni, których osiedliłeś w Apulli, zapewnieni o Twojej łasce, w co trudno wprost uwierzyć, zamienili kościół Świętego Piotra w Bagno Fojetana i siedlisko diabła. Ponadto może zechciałaby Twoja wysokość -jako że bezmiar wolności, które Ty, jak powiadają, przyznałeś Saracenom, znajduje się w niebezpiecznym dla chrześcijan sąsiedztwie, wywołując przerażenie u wielu, którzy o tym słyszeli - na tyle stłumić ich zarozumiałość, by w najbliższym czasie nie ośmielili się macić serc Twoich poddanych, tym bardziej, że Zbawicielowi naszemu musi wydać się niesprawiedliwym, iż synowie Beliala, którzy winni być skuci łańcuchami niewoli, przyprowadzają o strapienie synów Jasności na Naszych ziemiach bądź grzeszą, poczytując siebie za równych im w posiadanych wolnościach!"\*\* - na tym zakończył czytanie Papieskiego listu Fryderyk. Zmiał go i cisnął na ziemię.

- Spalcie to! Niech płonie! Już! - krzyknął. Mały chłopiec Podbiegł, chwycił kartę i wrzucił ją do gorejącego na kominku ognia.

Sanctum Imperium... (łac.) - Święte Cesarstwo Rzymskie, nazwa odwołuje się do idei chrześcijańskiego Cesarstwa Rzymskiego z czasów antycznych, a potem do godności cesarskiej Karolingów ' przejmujących te tradycje królów niemieckich. \*Ze zdziwieniem.."  
- fragment listu Grzegorza IX do Fryderyka II. Bruno Gebhardardt, Handbuch der deutschen Geschichte, München 1973, tekst polski za pracą Ernsta W. Wiesa Cesarz Fryderyk II, PIW 2002, tłum. Jacek Antkowiak.

Fryderyk leżał na brzuchu, rozebrany do pasa. Półna kobieta smarowała mu plecy olejkami i delikatnie masowała starając się utrafić palcami w te miejsca, w których cesarskie mięśnie najbardziej potrzebowały leczniczego ucisku.

- Przybyli posłowie z Genui, najjaśniejszy panie - rzekł pokojowiec ubrany w wielkie luźne spodnie i buty o zawiniętych do góry dziobach. Sługa ten zgiął się w ukłonie i trwał tak, jak skamieniały.

- Niech czekają - rzucił imperator, krzywiąc się nagle, uciśnięty przez Saracenkę w jakimś bolącym miejscu - ulokujcie ich w najlepszych komnatach. Z widokiem na obozowiska gwardii. Na razie chcę zobaczyć moje dzieci.

Cesarz odpędził ruchem ręki służkę. Ta skłoniła się, zabrała naczynie z olejkami i cicho, jak cień, zniknęła w drzwiach.

Po obu stronach wejścia stali czarnoskórzy, potężnie umięśnieni strażnicy, w złotych tunikach, z diademami cesarskimi mocowanymi w nałożonych na głowy obejmach i z machairami<sup>56</sup> wiszącymi u pasów. Pokojowiec podbiegł i założył na swego pana wielką, luźną szatę, wyszywaną złotą nicią w cesarskie orły.

Fryderyk wstał i roztrącając wiszące w drzwiach przezroczyste koraliki, poszedł żywym krokiem do sali tronowej. Za nim pędzili pokojowcy, sługi, szambelan dworski, czterech członków osobistej gwardii, ochmistrz, dwóch małych Murzynków odpowiedzialnych za podkładanie butów, medyk, pisarz, doradca polityczny i dwóch zakonników ubranych w czarne habity. A także ukochany pies, który liczył na jakiś nowy, smakowity kąsek.

W wielkiej sali, zwanej tronową, cesarz od razu wskoczył na podniesienie, pod baldachimem z purpurowego atlasu i zawijając się nim, jak płaszczem od zimna, zawołał:

- Czekam na chłopców! Na moich kochanych, małych synków!

Ktoś pobiegł, kto inny klasnął. Dwie służące w szatach ledwo skrywających ciemne ciała przyniosły misy pełne Owoców i karafkę z wodą. Pies widząc winogrona patrzył się na swojego pana wymownie. Fryderyk zaczął go karmić.

Chwilę trwało i rozwarły się drzwi. Dwójkami, równo, ramię przy ramieniu, do pomieszczenia weszli chłopcy. Byli w różnym wieku. Niektórzy dopiero co wychodzili z okresu wczesnego dzieciństwa, mogli mieć po sześć, siedem lat. Inni byli starsi, a najdojrzałsi sięgali nawet szesnastego roku życia. Ustawiali się karnie, grupami, tak że utworzyli w końcu dwa długie szeregi. Towarzyszyły im siostry zakonne, ich przełożone w codziennej nauce i przygotowaniu do życia zakonnego. Każdy z chłopców miał na sobie kruczo czarną koszulę, także spodnie i buty, a także rękawice sięgające za łokcie. Wydawali się podobni, jeden do drugiego - każdy miał jasne włosy, pociągłą twarzyczkę, smutny, zamyślony wyraz twarzy i nieobecne spojrzenie. Gdy stanęli równo i umilkł wszelki hałas, w sali dało się słyszeć jeno mlaskanie psa myśliwskiego.

Fryderyk puścił zasłonę baldachimu tronowego i powoli, stopień po stopniu zszedł z podestu, aż stanął na posadzce.

- Pięknie. To naprawdę pięknie, jak oni wyglądają, siostrzo Gertrudo! - krzyknął uniesiony i klasnął w dłonie.

Stara zakonnica schyliła głowę i rzekła mocnym, lecz cichym głosem:

- Twarde wychowanie czyni pięknym, najjaśniejszy panie.

- Prawda! Szczera prawda! Toć nie ukrywamy, że i nasza cesarska osoba doświadczyła niegdyś surowego losu sieroty. Ciągłe to mamy w naszej pamięci i wszelką jałmużną wspieramy przytułki, a także szpitale przyjmujące osieroconych. Zaliż się, myślę, panie sekretarzu?

Człowiek o sterczących na boki pierzastych siwych włoskach, cichutki sekretarz imperatora zrobił to co zwykle, to znaczy z rozbrajającym uśmiechem pokiwał głową.

- Czy są gotowi, siostrzo? - spytał cesarz i zaczął się prze chadzać wzdłuż szeregu, patrząc chłopcom w oczy, gładząc po policzkach, czasem szarpiąc delikatnie za brodę.

- Wedle naszego rozeznania, najlaskawszy nasz panie tak. To jednak jeno nasz Pan w niebiesiech wie, kto i kiedy ku czemu jest gotów.

- Piękne słowa - mówił Fryderyk i ścisnął sobie głowę w skroniach, jakby go nagle chwycił jakiś ból.

- Otwórzcie usta! - wydał komendę.

Wszyscy chłopcy, jak jeden, rozdziawili buzie. Imperator zaczął iść wzdłuż szeregów, przyglądając się podniebieniom i dziąsłom. W żadnej buzi nie było języka.

Fryderyk pozwolił zamknąć usta i wrócił w stronę tronu. Usiadł na stopniach, zawijając się suknią w złote orły, jakby dygotał z zimna. Przywołał do siebie ochmistrza, sekretarza, pisarza i siostrę Gertrudę. Pochylili się nad nim. Po spoconym czole cesarza płynęły strużki potu.

- Niech ich rozwiozą po klasztorach. Nowych sierot nie szukać<sup>57</sup>. Zwolnić medyków i wszystkie sługi. Nie tę myśl będziemy kontynuować. Dzisiaj obdarzymy was łaską. Napisaliśmy wiersz na chwałę młodych chłopców. I będziecie mogli tego wysłuchać.

- Jakże się cieszę, miłościwy panie - aż podskoczył z radości osobisty sekretarz. Imperator odsunął go, wstał i podszedł do okna.

- Ubiorę się, a potem przyjmę Genuńczyków - rzekł - zaś dzisiaj wieczorem ruszymy do Castel del Monte.<sup>58</sup>

\*«\*

gocianek pchnął drzwi gospody i zaraz za wejściem zatrzymał się, bo taki gwar i duchota w niego uderzyły, że gdyby nie stanął, to pewnie by legł jak długi w samym progu.

- Może w kości, może w kości, szacowny pan wyrazi życzenie? - mężczyzna ze sztucznym okiem zrobionym z zielonego kamienia uśmiechał się potrząsając sakiewką pełną monet. Potem wyciągnął przed siebie duży kubek z kośćmi do gry i wypaplał tak szybko, jak tylko mógł:

- Nie fałszywe, całkiem dobre, mogę dać na próbo- wanie, to jak gramy?

Rycerz z Bocianowic odsunął go delikatnie ręką i zaczął wchodzić głębiej, starając się jakoś rozeznac w rzeczy, bo owego wieczora karczma „Pod polskim łbem” przypominała czeluści piekielne, pełne dusznych oparów, ledwo tłącego się światła, dymu, zapachu tłuszczu, potu, piwa i brudnych łachów.

Karnawał wrocławski Anno Domini MCCLXI tym był gorętszy, iż jako żywo miasto oczekiwało nadejścia hord tatarskich. Łacniej rzucano się ku zabawie, by precz od siebie smutki, lęki i proroctwa czarne odłożyć.

- Post nadejdzie, grzech odpokutujesz - usłyszał Bocianek gorący szept przy samym uchu. Spojrzał ze zgrozą na damę, która wpiła się w jego bok. Lafirynda miała wymalowane na czerwono usta, głęboki dekolt z którego pełne piersi prawie wypływały na zewnątrz, suknię dopasowaną do ciała, wciętą w tali, opływającą ściśle biodra, co właśnie było z ambon przez księży napominane, jako znak rozpusty i poszukiwania grzechu rozwiązłości oraz rzęsy tak długie, iż można by na nich wieszać flagi w czasie turnieju rycerskiego.

- Żebyś mógł zaś pokutować - jęczała mu na ramieniu, jakby właśnie przeżywała jakąś wybitną rozkosz - musisz, bratku, pierwej zgrzeszyć. Nie zgrzeszysz, nie odpokutujesz. Nie odpokutujesz, do nieba nie pójdziesz i Święty Piter na samej bramie w niebie cię wstrzyma i do piekiel rzuci. To jak, zabawimy się, piękny rycerzu?

Zanim Bocianek zdążył coś odpowiedzieć, czy z uściskiem się wydobyć, już poczuł, jak jej zwinna ręka obmacała mu sakiewkę. Trzosik był sflaczały, nie ma co. Rzeknijmy prawdę - właściwie prawie pusty. Taki żywot, ech.

Tak więc i ladaczniczka westchnęła ciężko „ech” i kręcąc głową, jakby biadała nad upadkiem świata, odeszła do swojej wesołej kompanii pijącej gdzieś w głębi, tracąc całkowicie zainteresowanie rycerzem z Bocianowic. - Od wielkości do nicości jeden krok - szepnął sam do siebie chudzina i postąpił dalej. Ledwie nogę postawił głębiej, zaraz mu zaproponowano kupno odpustu zupełnego u biskupa wrocławskiego Tomasza, bardzo pewnego od wszystkich grzechów, nawet tych najpodlejszych. Grzecznie odmówił i zaczął przeciskać się przez tłumek oklaskujący muzykantów i pląsający w rytm uderzeń bębenków.

Od kuchni i palenisk chodzili spoceni posługacze, nosząc na dużych drewnianych tacach mięsivo, drób, kaszę, gotowane warzywa, a na deser migdały, owoce i rodzynki. Między nimi

uwijały się kuchciki noszące piwo i miód. Niejednemu gościowi już ze łba nieźle parowało, więc harmider był nieznośny i ludzie musieli do siebie krzyczeć, by się jakoś dogadać.

Bocianek wypatrzył miejsce przy jednym ze stołów, gdzie mu się zdawało, że będzie jakoś spokojniej, a skąd mógłby - co ważne - na wewnątrz spoglądać i mieć baczenie, kto gdzie chodzi, siedzi, czy wstaje. Usiadł sobie na krańcu ławy. Potężny brodacz po prawej jego stronie, zerknął tak na chudzielca, jakby robactwo jakieś zobaczył, a potem pogrążył się w czynności, która zajmowała całkiem jego umysł - żłapaniu piwa, czkaniu w przerwach i ocieraniu gęby rękawem. Naprzeciwko rycerza siedzieli dwaj klerycy w brunatnych habitach, przepasani sznurami. Obaj mieli na łbach kaptury.

Łypali spod tych kapuz ostrożnie i gapili się raz w jedną, raz w drugą stronę, jak zrośnięci bracia.

Rycerz z Bocianowic starał się nie przyglądać im zbyt natarczywi' żeby jakiej awantury nie wywołać, lecz jak tu było nie patrzeć, gdy siedzieli przed nim, prawie gęba w gębę.

poszemrali zakapturzeni między sobą i raptem jeden z nich wyciągnął rękę, podstawiając pod sam bociankowy nos szmatkę. Pośrodku niej leżała ludzka kość.

\_ Wiecie co to? - spytał.

- Juści. Kawał człowieczego gnata - odparł Bogusław z Bocianowic, usiłując dostrzec twarz mężczyzny ukrytą pod kapturem.

- Gnat gnatowi nierówny. Ta kość jest święta.

- Relikwia? - Bocianek ziewnął ostentacyjnie - Dzięki wam, szlachetny panie, lecz mam zbyt wiele kłopotu z własnymi kośćmi, które obtłukują mi się na gościńcach, bym jeszcze woził cudze.

- Nie wierzysz, bratku? - syknął człowiek w kapturze, nie cofając ręki - Ten tu obok też nie wierzył. Jak Tomasz niewierny. O tak. Aż mu kość wróciła stopę, której nie miał utraciwszy ją od mrozu.

Potem zwrócił się do kompana:

- Fulko, pokaż no tę stopę cudownie odzyskaną.

Przebudzony przez kamrata Fulko otrząsnął się z piwnego zamroczenia i bełkocząc coś wyciągnął nogę spod stołu, wywalił ją na ławę, zezuł ciżmę i pomachał palcami u stopy.

- Widzicie? Całkiem zdrowa - kleryk prawil nie tracąc pewności siebie - Wcześniej w ogóle jej nie miał, a w wyniku działania owego miraculum\* kościanego znów mu giczoł odrósł na chwałę Bożą.

- Ja mam nogi obie - spokojnie oświadczył Bocianek i omijając wzrokiem natręta rozglądał się po karczmie.

- Nie znacie dnia, ani godziny, kiedy choroba na was Przyjdzie, mór z powietrza albo trąd od ludzi. Lepsze teraz relikwię kupić, niżli potem płakać i znikąd nie mieć ratunku.

Miraculum (łac.) - cud.

Zakapturzony dziwak przechylił się mocno przez stój i rzekł nadając głosowi ton szczególnie uroczysty:

- A wiecie w ogóle, cóż to za kość? Bo tak się wzbrania cie, a żeście nawet słowem nie spytali, kto był właścicielem szkieletu świętego.

Rycerz z Bocianowic na te słowa westchnął jeno i machając na idącego w oddali posługacza mruknął do siedzącego naprzeciwko natręta:

- No któż? Może sam Święty Piter?

- Ech, lepiej no nie dworujcie sobie z powołanych przez Pana do świętości, to się zda niedaleko od bluźnierstwa. A z bluźnierstwa jeden krok do herezji. Zamiast tego lepiej posłuchajcie, co wam o tej kości rzeknę...

- Nie chcę!

- Nie chcecie możecie, a ja wam rzecz przedłożę, tak mi głos sumienia chrześcijańskiego nakazuje. To co na dłoni mojej widzicie jest to kawałek czaszki jednej z jedenastu tysięcy



dziewic, które ze świętą Urszulą zostały przez Hunów zbrukane i czci pozbawione, a także i życia.

- Toć ich nie było jednaście tysięcy - zachnął się na to chudzina - była tylko jedna, a zwała się Undecemila\* i stąd się wzięła historia. Wiem, bo mi jeden kupiec o tym opowiedział.

- Czyście się z diabłem w jednej balii kąpali? - kleryk przeżegnał się, a jego plecy aż zatrzęsły się ze zgrozy - Własnoręcznie żem odłupywał na cmentarzu pod Kolonią. A za możliwość odłupania musiałem słono grabarzom zapłacić. To jak, chcecie ode mnie odkupić?

- Mi nie trzeba, mam relikwię silniejszą.

- Jaką to?

- A ten oto materiał - Bocianek wyciągnął z rękawa kawałek szmatki, wytarł sobie czoło i rzekł jakby od niechcenia - rąbek z chusty świętej Weroniki.

Undecemila - „jedenastotysięczna” druga wersja historii o świętych jedenastu tysiącach dziewic.

Miserere nobis\* - obaj mężczyźni naprzeciwko przeżegnali się z szacunkiem.

poczęli coś szeptać między sobą, pochyliwszy głowy, a rycerz Bogusław odetchnął z ulgą i zamówiwszy piwo czujnym okiem wodził po izbie.

Niedługo jednak cieszył się spokojem. Zaraz to Fulko się ku niemu pochylił.

\_ Myśmy z bratem Leonem tak się razem dopatrzyli, że wy musi na kogo tu czekacie, he?

- Tak ino popatruję - odparł Bocianek coraz bardziej podenerwowany ciągłymi zaczepkami nieznajomych.

Nawet brodacz siedzący obok w milczeniu łpał na nich i widać było po jego błyskających ślepiach, że się rozeźlił tym gadulstwem.

- My już wiemy, kto tak ino popatruje, a kto za kimś oczy wytrzeszcza - rzekł ów mieniący się Leonem - Chcecie, rzeknijcie, może da się co pomóc.

- Nic płacić nie będziecie, jeśli my nie wiemy - wtrącił szybko jego towarzysz z odzyskaną cudownie nogą - a jak coś wiemy, to rzekniemy i dopiero sakiewką potrząśniecie.

Bocianek już chciał ich odegnąć, gdy mu jakaś myśl przyszła, aż zmarszczył czoło, a potem machnąwszy ręką, rzekł prędko:

- A juści, jakbyście zgadli, kapucyny. Szukam tu jednego.

- Wiecie jak go wołają?

- Wiem. Papageno.

Na te słowa jakby co trzasło w łeb obu szemranych mniszków. Odchylili się i zamilkli z dziwnymi minami na gębach.

- Znacie go? - tym razem Bocianek się zaciekawił. Zanim jednak tamci zdążyli mu co odrzec, to się włączył

siedzący obok brodacz. Położył na stole ciężką łapę i dudniąc basowo powiedział:

- A ty kto, że Papagena szukasz?

Miserere nobis (łac.) - zmiłuj się nad nami.

- Jam rycerz Bogusław. Z Bocianowic. A zwą mnie Bo. cianek.

- Wiesz ty choć, kto Papageno jest?

- Dyć wiem. Ptasznik królewski. Ponoć w każdy pią^ można go tu znaleźć.

Wszyscy trzej teraz po sobie spojrzeli: i brodacz i obaj za. kapturzeni. Potem się Fulko uniósł, przecisnął między siedzą, cymi dalej ludźmi i zniknął w drzwiach wiodących do kuchni Kilka chwil potem przy stole pojawił się mężczyzna w szarej opończy. Usiadł przy ławie, rozchylił poły płaszcza i Bocianek zobaczył pod nim wielobarwny strój zrobiony z ptasich piór.

- Gdzie twój kompan? - spytał Papageno.

- Schwytali go pachołki pod Świętym Duchem. Wtrącili do lochu.

Ptasznik bacznie przyjrzał się twarzy chudego rycerza, a potem rzekł cicho:

- Chodź za mną.

I wyprowadził go przez tylne wyjście.

Poszli nabrzeżem w stronę dzielnicy żydowskiej. Na bramach i mostach zaczęto dzwonić na noc. Opadły wielkie brony, zamknęły się wrota. Miasto szło spać. I jeno złoczyńcy mogli się taką porą wałęsać po ciemnych kątach.

Tutaj uważajcie na sklepienie, idzie nisko - rzeki człowiek w skórzanej kurcie i kapturze ciasno opasującym głowę oraz twarz. Z owalnego otworu kapuzy sterczała czerwona gęba, tak jakby ją ktoś chciał ze łba wycisnąć na zewnątrz. Podniósł pochodnię, by poświecić, a gdy kobieta przeszła stąpając ostrożnie, zamknął kratę i przez chwilę spoglądał w głąb korytarza, nasłuchując, czy kto nie idzie. Dopiero potem ruszył w dalszą drogę, brzęcząc zawieszonym u pasa pękiem kluczy.

Otworzył kolejne drzwi. Przeszli do długiego lochu, o tak niskim stropie, że musieli zginać się wpool, jak przy modlitwie. Gdy panujące tu ciemności rozbiło światło pochodni, to wokół, w głębi cel, ożyły jakieś istoty, nie wiadomo, czy ludzkie, czy diabelskie. Kobieta szła, starając się nie patrzeć na boki. Między kratami pojawiały się wychudłe żylaste ręce o długich paznokciach, majaczyły wyblakłe twarze, a nie szczęśnicy czekający procesów, jęczeli, jak dusze strąconej piekiel na wieczne zatracenie.

Strażnik szedł przodem i co bardziej natarczywie łap^ przeganiał machając pochodnią, sposobem, w jaki się szczy ry płoszy.

W końcu oboje zatrzymali się przy wejściu do jednej z klatek. Zgrzytnął klucz w zamku, skrzypnęły porzewiałe zawiasy i ciężka żelazna krata ustąpiła.

- Zostaw nas samych - poprosiła niewiasta. Mężczyzna osadził pochodnię w uchwycie na ścianie i odszedł. Białogłowa zdjęła kaptur. Migotliwy płomień oświetlił jej twarz.

- Macie może, miłościwa pani, coś do jedzenia? - rzekł grubas siedzący pod murem.

Księżna wyjęła chustę, w której miała zawinięty chleb i kawałek sera. Podawała je więźniowi.

- Wybaczcie, bardzo głodny - zaczął się tłumaczyć biedaczyna - gdy brzuch jest pełen pustki to i myśli się zdają pozbawione treści. A mój bęben już od kilku godzin wyje magna voce per umbras<sup>59</sup>, iż całkiem został opuszczony.

To rzekłszy, Michałko zaczął jeść. Tymczasem Anna poprawiła czepek na włosach i stojąc pośrodku celi rzekła:

- Rozpytałam u Kwiatka, pamiętał was.

- Pocziwy histrion<sup>60</sup> - rzekł rycerz z Ciepłowody, mlasz- cząc i żując tak spokojnie, jakby to od dawna był pewien, że się rzeczy potoczą we właściwym kierunku.

- Po cóż chcecie dostać się do księcia?

Tłuścioch skończył przetykać, potem wstał, otarł okruszki z gęby i przybierając poważny ton, wyjaśnił:

- Myśmy obaj z Bociankiem są starzy woje księcia Henryka z Brodą. Jegośmy zawsze miłowali, za nim w polu stawali. A któregoś dnia, w Tyńcu pod Krakowem, natknęliśmy się na człowieka... Co gadam, na diabła wcielonego! Wyglądał on całkiem jak czort i gadał nie do wyrozumienia, po biesowsku.

ferowa natura długo się nie kryła. W kościele tyniec- we klasztorze, się ów Belial wcielony rzucił na braciszka . gniem Albert, chciał od niego różne wieści wyciągnąć, a na koniec porąbał Chrystusa...

\_ Cóż zrobił?

\_ Chrystusa porąbał toporem bojowym. Figurę świętą na krzyżu wiszącą. Krucyfiks, najjaśniejsza pani.

Księżna zbliżyła się do Michałka, a ten gadał dalej:

- Złego żeśmy razem z Bociankiem przepłoszyli. Ale brat Albert płakał jeszcze długo, bo co przeżył, to on jeden wie. Potem zasię wziął nas do siebie, do kapitulacza i tam nam wiele rzeczy dziwnych opowiedział. O tym, że już wcześniej jakieś morderstwo było na rzeczy, a rok przed śmiercią księcia Henryka jeden człowiek, imieniem Jeruzalem, przed stajniami klasztornymi zabił mnicha w czarnej masce.

- Duchaka - dodała szybko Anna i zakaszła. Dym unoszący się z pochodni drażnił gardło.

- Juści, ducha. Człowiek co go zabił, dobrze był w zakonie znany, a rodzony był wcześniej z matki tatarskiej i z ojca nieznanego. Zwali go Jeruzalem, a kto go tak nazwał, nikt nie wie. Zostawiła go przy klasztorze w Tyńcu matka, która tam zjechała z karawaną kupiecką. Potem zaś bękart ten ruszył w świat, po gościńcach jeżdżąc i trudniąc się błażnictwem, rwaniem łańcuchów, lykaniem ognia, odczynianiem uroków i sprzedażą relikwii.

- Oszust, rzeknij - dodała księżna.

- Szalbierz, mówią na niego.

- Człowiek niebezpieczny.

- Jeszcze to gorsze, iż może być, że z racji tatarskiego pochodzenia trudnił się szpiegostwem na rzecz chana mongolskiego. A ich wojska, wiesz pani, u granic naszych stoją.

- Rozumiem - Anna schowała dłonie w rękawy płaszcza, w lochach było zimno - chcecie przed nim księcia ostrzec. Lecz cóż teraz z tego, że szpieg był? Może on zagrozić memu mężowi? Nam tu wszystkim, we Wrocławiu?

Michałko wstał i podrapał się po głowie, jakby szukał ta kich słów, które najłatwiej mogą zawiązać rzecz objaśnić.

- Widzicie, najlaskawsza pani, rzecz nam na to wychodzi, po zgłębieniu sprawy na przestrzeni paru lat, że może być całkiem odwrotnie...

- Odwrotnie?

- Właśnie. Ten to Szalbierz i jego kompania, mogą sprawić, że cały kraj od niebezpieczeństwa będzie uwolniony. Ale to już trzeba księciu przedstawić...

- Księciu... - powtórzyła za nim księżna i po chwili dodała - dobrze. Co gadacie, to brzmi jak opowieść szaleńca. Ale w oczach waszych widzę jakieś dobro. Ono mnie więcej przekonuje, niżli pomieszane słowa. Może się uda co sprawić. Muszę Kwiatka do Henryka sprowadzić, żeby i jemu

o was poświadczył. A na razie tu czekajcie lepszego dnia...

W oddali rozległ się krzyk jakiegoś skazańca. Księżna wyszła z celi. Michałko postanowił modlić się gorliwie.

Szalbierz jechał na koniu, zaraz obok sań. Karlito powoził. Dragiełło spoglądał w błękitne niebo spod półprzymkniętych powiek. Hanna patrzyła na Jeruzalema i uśmiechała się do niego. Kuglarz trzymał luźno wodze na kłębie wierzchowca

I czasem tylko delikatnie kłuł piętą jego boki, by dotrzymać kroku saniom. Futro okalające mongolską czapkę burzyło się pod wpływem wiatru. Zbroi tatarskiej, choć miał ją na sobie, nie było widać, zakrywał ją płaszcz. Szabla i zdobyczny łuk w przepięknym kołczanie, kołysały się w rytm końskich ruchów.

- Chciałabym z tobą jechać. Na koniu - powiedziała nagle wieszczka.

Spojrzał na nią i zaśmiał się dziko.

- Naprawdę - rzekła i uniosła się, żeby go pocałować. Złapał ją w pól, przez kibić i wziął do siebie z przodu, na siodło.

„Jestem twoja branka - szepnęła gorącymi ustami i po- ałowała go. Potem oderwała wargi i zaczęła patrzeć mu

w oczy-

\_ Widzę siebie - uśmiechnęła się - w twoich źrenicach

widzę siebie.

\_ Jesteś moją żrenicą.

Teraz on wpił się w jej usta. Po chwili przerwał i krzyknął na konia:

- A hoooo!

Tatarskiemu rumakowi nie podobała się wędrówka tak blisko sań.

- Więc tam, w tym odbiciu, widzę siebie. W tej samej sobie winnam widzieć własne oczy. A w nich znowuż ciebie. I w tamtych twoich oczach jeszcze raz siebie.

- I tak bez liku. Bez końca - szepnął patrząc przed siebie, daleko, na drogę.

- A wywieszczyłam ci, żeś ty mój, a ja twoja? Że będę ci żoną?

- Nie. Tego nie wieszczyłaś.

- A trzeba mi było to uczynić. Pogładziła go z czułością po policzku.

- Szybko możecie rzecz przeprowadzić! - usłyszeli koło siebie rozradowany głos karła - kapłan idzie za wozem! Jeno go zdybać.

Wszyscy się obejrzeli, szukając wzrokiem dominikanina. Ciemna postać sunęła na tyle sań, z pochyloną głową. Brat Jacek, zamyślony, szedł noga za nogą i myślał, że żywot psów pańskich nie jest łatwy na tej ziemi, lecz słodki się stanie w innym świecie. Amen.

\*\*\*

Kiedy Halicz spłonął i dogorywał, dwa z psów mongolskiego chana raczyły się kumysem w wielkiej podróźnej jurcie, ciągniętej przez dwadzieścia jeden białych wołów.

Batu-chan uniósł do ust złoty kielich zdobyty w je(j z katolickich świątyń i powoli ciągnął łyk za łykiem, smaku jąc sfermentowane kobyle mleko.

- Gujuk będzie posłuszny - powiedział oblizując wargi jego śmieszne uczynki godne są młodzieńca, a nie kaganów

- Jego jurta jest wielkości twojej. I ambicje także - odpo- wiedział Subedej, pozwalając jednej ze swoich żon masować zmęczony kark - ale brak mu wielkości. Nigdy nie będzie chanem na miarę Temudżyna. Ty mógłbyś.

- Wielkość jest potrzebna, by siadać na tronie w Karakorum?

- Nie - kontynuował stary mongolski wódz - bezwzględność i żądza władzy. Pycha i okrucieństwo. To jest potrzebne.

- Mam w sobie wystarczająco pychy? - spytał Batu-chan, odkładając kielich.

Subedej rozejrzał się po jurcie, obwieszanej złotymi naczyniami i zrabowaną w ruskich miastach biżuterią. Pokiwał głową, niczym znawca przedmiotu.

- Wystarczająco - rzucił od niechcienia i pogładził siwą brodę.

Niewiele dalej od namiotu głównych wodzów wyprawy stała druga, równie imponująca jurta, także wiedziona przez dwadzieścia jeden białych wołów i także wykonana z najlepszych materiałów. W niej zaś ciągnął kumys, z drogocennej czarki, Gujuk, najstarszy syn chana Ugedeja. Po zdobyciu Kijowa znów się poczuł urażony arogancją Batu, po raz kolejny zawrzała w nim krew, burząc chłodne myślenie - odsunięto go od zdobyczy i triumfów. A to siebie widział przecież w przyszłości spacerującego po ogrodach tatarskiej stolicy i siadającego w skwarny dzień na brzegu fontanny tryskającej oślim mlekiem.

Teraz zaciskał pięści, żując gniew, plując skwaśniałym mlekiem i bijąc niewolników za łada przewinienie.

Rozwahał właśnie porzucenie kampanii i powrót do stolicy by wyzalić się ojcu, a na Batu i Subedeja ściągnąć gniew chana. ....

W sforze psow tak często bywa, iż zamiast rzucac się na wspólnego przeciwnika zaczynają się kąsać nawzajem.

Gujuk wstał, podszedł do wejścia i odrzucił na obie strony zasłonę. Cisnął kielich w śnieg. Był już pijany i żeby nie upaść chwycił się grubej, wygiętej tyki okalającej otwór wejściowy.

Patrzył przed siebie, w stronę jurty Batu-chana. Warczał w duchu. Lecz tu, w czasie wyprawy, bał się rzucić mu do gardła. Zbyt wiele innych psów otaczało wiernie przewodnika stada.

Dlatego następnego ranka miał zamiar z podkulonym ogonem i obnażonymi kłami, gnać przez step do rodzinnego gniazda. Przyszłość pokaże, kto będzie górą.

Tymczasem Batu-chan kazał podać sobie i Staremu Lisowi Dżyngis-chana najlepsze wino znalezione podczas plądrowania halickich domów. Wzniósł w górę puchar, wsadził palec do środka i spryskał ziemię kilkoma kroplami zaczerpniętego napoju.

- Niech Tengri nam sprzyja, stary drapieźniku.

Podniósł kielich do ust. Subedej uśmiechnął się i ktoś, kto mu źle życzy mógłby rzec, że to uśmiech drwiący.

Na zamku Świętego Anioła w Rzymie, w niewielkiej komnacie, na małym krześle obłożonym kapą wyszywaną złotem siedział drobny mężczyzna z resztkami siwych włosów na skroniach. Ruchem ręki przywołał stojącego w cieniu człowieka we franciszkańskim habicie.

- Giovanni, podejdź bliżej - rzekł, a w jego głosie pobrzmiwał charakterystyczny starczy gulgot, niezbędny tym, którzy muszą błogosławić urbi et orbi z odpowiednim namaszczeniem.

- Ojciec Święty... - wyszeptał da Pian del Carpine<sup>61</sup>, prz2y były z Lyonu papieski legat i zaufany, po czym uklęknął calu- jąc złoty pierścień.

Papież wyglądał na bardzo zmęczonego i zniszczonego chorobą. Mówił powoli, z widoczną sympatią dla minoryty

- Wstań, Giovanni. I posłuchaj.

Zakonnik podniósł się z klęczek i schował dłonie w rękawy habitu.

- Tutaj masz nasze pismo skierowane do polskiego księcia, owego christianissimus princeps Poloniae<sup>62</sup>.

Da Pian del Carpine skłonił się i przyjął rulon pergaminu watykańskiego, opatrzonego wielkimi, wiszącymi na sznurach pieczęciami.

- Przekaż mu, że jest naszą wielką troską zbliżający się najazd hord tatarskich, o którym słyszymy i który nas nakłania ku modlitwie za tyle żywotów cierpiących w onej godzinie.

- Tu dicis Papa, ego in memoriam omnia verba tua scri- bo, tamquam in charta scribam\*\*\* - odparł pokornie franciszkanin.

Kilka świec stojących na wielkim świeczniku jarzyło się niewielkimi płomykami. Na dworze było szaro, ponuro i zimno. Przez okna padały smugi mglistego światła. Papież zakaszlał mocno, a jego plecy skurczyły się od związanego z tym wysiłku.

Uchyliły się drzwi i ukazała się w nich stroskana twarz pokojowca.

- Wezwać medyków, Wasza Świątobliwość? - spytał słu- a aie Grzegorz odesłał go zniecierpliwionym ruchem ręki. Wargi starca zdawały się w ogóle nie ruszać, gdy zaczął mówić dalej:

- Giovanni, daj wyraz naszej sympatii temu księciu, mało mamy u naszego boku ludzi oddanych i bogobojnych. Przez wzgląd na uczynki jego matki, Hedvigi i zgromadzenia sióstr cystersek w Trzebnicy, bierzemy go w opiekę ojcowską i w tem umacniamy, by nadal kroczył drogą pobożności i szacunku dla Kościoła.

Przerwał i przypatrywał się przez chwilę twarzy swojego legata. Gdy znów zaczął mówić w jego głosie więcej już było człowieczej zgryzoty i prawdziwości, niżli owego oficjalnego tonu, jaki Ojciec Święty musiał przyjmować, gdy rozmawiał z ludźmi, nawet z najbliższego otoczenia.

- Widzisz, Giovanni, ja już jestem zmęczony. Pewnie mój kres bliski. Sił mam coraz mniej. Cesarz zdaje się za to je zyskiwać... Za nic ma ekskomuniki. Śmieje się z nich. A w tym

śmiechu usłyszałbyś vox diaboli, Szatan to bowiem jest księciem duszy Fryderyka. Szatan, a nie Pan nasz jedyny i najwyższy, Jezus Chrystus.

Znów kaszel dopadł jego płuca. Kolejne spazmy szarpały plecami papieża. Da Pian del Carpine chciał pomóc, podszedł i dotknął końcami palców ramienia namiestnika chrystusowego.

Papież nakazał mu jednak ruchem dłoni, by nic nie czynił, bo atak zaraz powinien minąć.

Ostatni ostry wstrząs targnął wątłym ciałem dostojnika i dopiero gdy kaszel ustał następca piotrowy zaczerpnął głęboko powietrza, jakby wynurzył się spod wody.

Ugolino di Conti di Segni nie na darmo przyjął imię wielkiego poprzednika, Grzegorza - mimo słabego zdrowia był twardy, jak skała, co potwierdzał kolejnymi latami żelaznego Pontyfikatu.

Także i teraz jedynie wygiął usta, niezadowolony z cłJI lowej słabości. Wyciągnął wielką, koronkową chustkę z nogramami watykańskimi i otarł usta, ukrywając przed ciszkaninem krwawy ślad.

- Proszę cię, mój drogi synu, żebyś polskiemu księciu prze kazał, co następuje, a czego żadną miarą w oficjalnym pisaniu zawrzeć nie mogę. Biskupów Tomasza i Pełki niech się nie oba wia, a ciała jego ojca z ziemi poświęconej usunąć nie będę kazał. Tak, jak cesarz z książętami niemieckimi układać się musi tak i ja z książętami Kościoła i także będzie w archidiecezji polskiej. Starania Henryka o uzyskanie korony nadal bierzemy pod rozwagę i wszelkie zapewnienia z wcześniejszej bulli protekcyjnej potwierdzamy. Widzimy, że wiedzie życie pobożne, a ze wszech miar chwalebne. Z tą koroną spieszyć się jednak nie będziemy, wzięwszy pod uwagę jakie to krzyki podniosły się w krajach cesarskich, po tym jak książę Henryk książęta niemieckie pobił i z Santoka Brandenburczyków wyrzucił. Miejmy miarę w zamysłach. Rzeknij mu jednak wyraźnie, że berło polskie mamy dla niego w uwadze i w chwili sposobnej namaścimy go powagą Kościoła katolickiego na króla Polski. Trzeba nam chrześcijańskich królów, bo już to cesarz Fryderyk na trwałe wyrzekł się synostwa wobec papieży. I mnie to pokazał i Honoriuszowi\*. I dalej będzie trwał w grzechu. A ja wyrzekłem się już nadziei na jego nawrócenie.

Tu papież urwał, zmęczony, oddychał chwilę, łapiąc z trudem powietrze.

- Może wody podać, Ojcie Świąty? - spytał stroskany legat.

- Nie, zaraz dojdę do siebie - odparł starzec i znów zebrawszy siły mówił dalej.

- Nic mu nie rzeknij wprost, lecz naokoło. Tak by zrozumiał, ale by potem nie mógł słów się czepić, gdyby to w związku z rozwojem wypadków nasza miłość się od niego odwróciła. Ja nie wiem, co los przyniesie mi i mojemu następcy. A jeszcze...

Honoriusz III - papież od 1216 do 1227, poprzednik Grzegorza IX.

tjfwal znowu i przywołał franciszkanina bliżej, tak by , nl(jlWić mu do ucha. Da Pian del Carpine przyklęknął

i nachylił głowę.

a jeszcze - szeptał papież - przekażesz mu ostrze- 'enie Wiem, że w szeregi wiernych sług naszego Kościoła kradł się wróg. Szatan wiele zna sztuczek i to nawet potrafi by Si? świętym osobom ukazać pod postacią Matki Bożej i wodzić ich na zgubę, dając wrażenie pobożności. Tym jest jeszcze bardziej przerażająca nowa próba piekielnych mocy. Tym razem bowiem diabeł użył do swych celów samego imienia... Ducha Świętego.

- Świętego Ducha? - franciszkanin nie wytrzymał i przerwał mowę papieża, lecz zaraz się skłonił na znak skruchy.

- Spiritus Sanctus in facie, diabolus in anima\* - szepnął Grzegorz i przeżegnał się. Jedna ze świec zaskwierczała i zgasła.

W kaplicy szpitala Świętego Ducha we Wrocławiu było jasno, jak w dzień, choć dawno słońce skryło się za horyzontem. Płonęły setki świec osadzone w lichtarzach stojących pod

ścianami w nawie głównej; inne przy ołtarzu; jeszcze inne wysoko, nad głowami, osadzone na wielkich obręczach, które podwieszono łańcuchami do belek stropowych.

Wnętrze było po brzegi wypełnione zakonnikami w czarnych zbrojach, takich płaszczach i hełmach z doczepionymi maskami wyobrażającymi ludzką twarz.

Wielu zbrojnych takich masek używało, czy w Bizancjum, czy w księstwach Połowców, lubo żadne z nich nie osiągały takiej gładkości w rysach, takiego kunsztu w wykonaniu.

Maski na twarzach rycerzy ruskich i kipczackich wyobrażały nos, usta i wąsy nad nimi, a chroniąc wojów od uderzeń dodawały lęku przeciwnikowi, który nie człowieka przed sobą widział, ale jakiegoś wojownika z żelaza. Jednakowoż

Spiritus...(lac.) - Duch Święty na twarzy, diabeł w duszy.  
owe osłony bojowe, używane na wschodzie, nie miały ta^ go charakteru, jak te noszone przez zakonników od Święty Ducha, które zadziwiały delikatnością, precyzją modelowania i prostotą starych greckich rzeźb.

Teraz, gdyby ktoś wszedł, niegotowy na widok czarnych rycerzy do owego kościółka - kaplicy przy hospicjum - mógłby rozum postradać ze strachu. Zobaczyłby bowiem jednakie, smoliste, zmartwiałe posągi, w których jeno oczy swoim błyskiem świadczyły o drzemającym w środku życiu. Jedna maska koło drugiej, w równych rzędach i szeregach, a różniły ich tylko numery wykute na czołach.

Na katafalku przed ołtarzem stała otwarta trumna, a w niej ciało zmarłego. Na ostatnią podróż zakonnik wybierał się tak, jak żył - w kolczudze i z licem zakrytym stalową maską. I do końca miało pozostać nieznanym jego niegdysiejsze imię, to ziemskie. Był jeno numerem Drugim. W oczach współbraci i pewnikiem w oczach Najwyższego.

- Et introibo ad altare Dei63... - zaintonował kapłan.

Wyszywany złotą nicią ornat mienił się tysiącami drobnych błysków pojawiających się przy każdym drgnieniu tkaniny.

Rozpoczęła się ceremonia. Bramy Czyścica w niebie czekały na zmarłego Mistrza, a bramy Czyścica ziemskiego także oczekiwały - na jego następcę. A następcę nie osiągnął jeszcze wieku, w którym mógłby przewodzić oficjalnie zakonowi. Chłopiec stał o parę kroków przed trumną. Patrzył spokojnie, twardo, po męsku, bez żadnej niepotrzebnie okazywanej, sztucznej pokory. Jakby nie robiły na nim wrażenia zwłoki schowane pod ciemną zbroją.

\*\*\*

- Oczy ci wylupię, jędzo przekłeta, jak ci oszukaństwo jakie do łba przyjdzie - warczał Karlito idąc krok w krok za wiedźmą.

\_ Kie chcesz, nie prowadź. Już wracać mogę, mnie wcale ?e spieszno - syknęła babina i zatrzymała się.

\_ Ho, idź, idź, dobrze ci zapłacim - karzeł stuknął ją w plecy końcem kijka, jakby to pastuch bydło krnąbrne do obory pędził.

\_ Zapłacim, zapłacim - powtórzyła za nim czarownica, imitując ton głosu garbusa - wieluc tak gada, a potem w dyr- dy po robocie i tyle go widzieli. I zapłatę.

Karlito wyszarpnął wiszący na szyi woreczek z monetami i błysnął jej srebrem przed oczami.

- Myśmy są uczciwe - rzekł z dumą, po czym dodał rwącym głosem - jeno cię proszę, babo, nad wszystko, spraw się dobrze i pana mego wyratuj.

Dotarli, brnąc w śniegu, do wsi. Domy stały wymarłe, ciche, zimne - dyc wszystko się z ludzi wyrwało do ucieczki i poszło schronić do miasta.

Za niewielkim wałem gródka obronnego paliły się ogniska, ogrzewając wojów drużyny zostawionej na stróży. Ci mieli wroga czekać, a gdy tylko się pojawi, po krótkim oporze wieś podpalić i podać tyły.

Karlito dyszał idąc w kopnym śniegu, bo dobry Stwórca dając mu króciutkie nóżki nie przewidział, iż się będzie musiał karzeł przedzierać przez zasy. Wiedźma radziła sobie lepiej, podpierając długim kosturem. Gdy szła, jej grube, skołtunione włosy bujały się na chłodnym wietrze, jak grzywa dwunożnego konia. Parskała czasem i rzucała na boki spojrzeniem zielonych oczu, pokrytych siwą taflą, jakby je mróz chwycił, niczym wodną powierzchnię dwóch bajerek.

Doszli do bramy grodziska.

- Kto zacz? - krzyknął z górnego pomostu strażnik.

- A co to, baby od Tatara nie odróżniacie?! - wrzasnął karzeł.

A gdy woj pilnujący wejścia klnąc i sapiąc zląził po drabinie, by wrota rozewrzeć, to się garbus na powrót przyjrzał wiedźmie i dorzucił, błyskając ślepiami ze złośliwej radości:

- Choć się jednak nie dziwuję strażom. Można was, babę z Tataram omylić.

- Tyś przeto nadobny, jak książęce dziecię! - zarechotał jędza.

Brama się rozwarła i weszli do środka.

Przy ogniskach na dziedzińcu stali zbrojni, grzejąc dłonie i gadając do siebie półszepsem. Nijak tu nie było atmosfery, jaka zwykle łowom towarzyszyła albo innym wyprawom wojennym. Żadna się śpiewka z ust nie unosiła, żadna po- gwarka nie snuła, nikt się nie śmiał, o dziewczkach nie krotó- chwilił, nie bajdurzył, nie pysznił opowieścią o zwycięstwach w boju albo nad zwierzem, ani nie złopał trunków grzejących umysł i serce. Konie wszystkie pod derkami, sianem były obłożone, ale gotowe do szybkiego osiodłania i jazdy. Na każdej z wież w obwałowaniu po dwóch stało ze straży i się cztery ślepia wypatrywały w dal, usiłując przebić wzrokiem zaćmę idącą od padającego śniegu. Pośrodku, pod dachem, siedział dowódca drużyny, Spytko z Dobrego i raz za razem zakręcał długiego węża, smarując go tłuszczem, który nabierał paluchem z pękatego dzbana. Odprowadził wzrokiem karła, wiedźmę, a potem przywołał do siebie przybocznego i coś mu na ucho szeptać zaczął.

Karlito z babą zaś, nic nie robiąc sobie z krzywych spojrzeń, stanął przed drzwiami do niewielkiej izby.

- Nie wejde! - rzuciła nagle jędza i odwróciwszy się na pięcie chciała ruszyć z powrotem.

- Czy ci rozum odebrało? - wściekł się garbus - Mnie, babo, nie zwodz. Jam u wiedźmy na bagnach chowany, wasze sztuczki znam. Mnie Skumna do snu układała, u niej ssałem łapę zajęczą maczaną w mleku, miasto cycka zwykłego.

- Nie wejde! - powtórzyła baba, a w jej oczach zaświecił prawdziwy strach.

- Co ci to?

- Znak.

- Jaki znak? Czy cię gorączka mokradłana wzięła?

Iu on, na drzwiach.

Karlito zmrużył oczy. W jednej z desek tkwił jakiś dziwny przedmiot.

- Cóż to?

^ Dziób wróbla. Śmierć wróży temu, kto do środka wejdzie-

Karzeł wyszarpnął nóż i przyłożył kobiecie do boku. Jego wielki, kulfoniasty nos rozdał się na dwie strony, jak nozdrza u oszalałego konia. Rzekł dysząc i cisnąc babę ostrzem:

- A ten znak co do ciebie gada, piekielny wymiocie?

- Grozisz mi, karle? - w oczach jędzy błysnęła wściekłość.

- Mój nóż szybciej ci bebech rozpruje, niż wróbli dziób we drzwiach. Dalej do środka!

Syknęła do niego, jak żmija, ale w końcu odwróciła się i weszła do izby.

\*\*\*

Któż by się spodziewał po karle, plugawym i śmierdzącym, takiej energii, która czyniła z niego psa gończego, zajadłego i nie znającego lęku? Nikt. Bo i po prawdzie był on jeno



nędnym łotrzykiem, z urodzenia, serca i natury. Aleć teraz coś mu kazało działać szybko, nie zwracając uwagi na kąśliwe uwagi i obraźliwe warknięcia.

Stał, przestępując z nogi na nogę i przyglądał się, jak starucha odwija kolejne bandaże z ciała Dragiełły. Czasem jeno rycerz syknął, gdy ból był za silny, żeby dało się to ukryć. Hanna, zakonnik oraz bracia Job patrzali na to w milczeniu, kryjąc się w mroku. Jedyne Szalbierz był blisko, przyświecając trzymaną wysoko pochodnią. Odpadały kolejne pasy szarego, brudnego materiału, odsłaniając poparzone, źle gojące się ciało pogromcy smoków. Karlito zaciskał mocniej zęby, a jego perkaty nochal zdawał się drgać w migoczącym płomieniu pochodni.

Wiedźma odwijała opatrunki, łądujące na ziemi a rzeł zaraz wrzucał je w palenisko, gdzie znikały kurcząc • i skwiercząc w ogniu. Z ciemności wyszedł ojciec Jacek • skamieniałą twarzą przykleknał, zatapiając się w modlitw<sup>^\*</sup>

- Toć wnoszę po minach waszych nietęgich - odezwę się nagle Dragiełło - zem wypiękniał mocno.

Zaśmiał się chrapliwie, dławiąc własnym żartem i śliną

Im więcej bandaży na ziemi łądowało, tym się bardziej p0 tworny obraz pojawiał. Brakło na twarzy rycerza bródkki, co zawsze wprzód sterczała, jak chorągiew herbowa, brak też było brwi wiszących nad przenikliwymi oczami. Zamiast tego świeciła jeno łysa głowa pełna blizn, źle gojących się ran, strupów i zasinień. Źle też wyglądały ręce, na które tu i ówdzie wykwitły ropiejące wrzody. Do tego unosił się od ciała pogromcy smoków smród tak ogromny, że w końcu Szalbierz musiał zakryć nos i usta krańcem opończy. Karlito zaś tak był przyzwyczajony do własnych swoich fetorów, że dobrze znosił trujący wyziew od swego pana. Starucha zdawała się tego w ogóle nie czuć. Jakby ją widok gnijącego, poparzonego ciała miast o dreszcze przerażenia, przyprawiał o ekstazę bliską rozkoszy. Coś śpiewała, męła w wargach różne zaklęcia. Zdejmowała kolejne warstwy bandaży i wyciągnawszy sakwę z jakimś proszkiem, nabierała z niej medykamentu na złożone dłonie, po czym dmuchała spowijając Dragiełłę szarą chmurą. Wkrótce rycerz był prawie nagi, a całe jego ciało oblepił ów proszek, wyglądający jak matowy całun. Karlito kichnął głośno.

Wiedźma wyjęła zza pazuchy kijek z wydrążonym środkiem. Wsadziła go do ognia. Jakaś maź tłusta i gęsta zaczęła skwierczeć i strzelać iskrami, a z kijka buchały gejzery dymu. Po chwili w izbie nie dało się już normalnie oddychać. Smród idący od chorego mieszał się z odorem podpalonej mazi. Wszyscy poczęli kasłać. Baba klasnęła mocno w dłonie. Dym opadł w mgnieniu oka. Starucha uniosła kijek. Zamarła. Iść zaczęła. Krok za krokiem. W stronę drzwi.

- Cóż? - krzyknął Karlito - Co się dzieje? Gadaj!

jjie odpowiedziała. Szła dalej w tył, aż dotknęła plecami i Ręką poczęła macać za skoblem.

Podskoczył do niej

Szalbierz

, co widzisz, babo?

- Pożoga! Śmierć! - wymamlała, trzęsąc brodą.

\_ Nie czas na wieszczby!

\_ pożoga i śmierć! Na was i na niego!

Dalej patrzyła przed siebie, jakby odczytywała gdzieś w przestrzeni zawieszony tajemny obraz, niewidoczny dla innych i jeno jej wieszczym okiem uchwytny.

- Ratuj pana mego! - wyjęczał Karlito i zaczął szarpać ją za rękaw.

- Słyszysz, jędo? - Jeruzalem chwycił ją za kark - Czyń za co ci płacimy! Opatrz go dobrze, a potem iść możesz kędy chcesz! Wielki to pan, rycerz i potomek świętego Jerzego. Człowiek duszy czystej...

- ...lecz ciała brudnego - przerwała mu, zwracając na niego szalony wzrok.

- Od tego jesteś, by sztuką swoją go uleczyć - Szalbierz splunął, a potem błysnął zębami, jak wilk, który nie musi grozić warcząc i jeżąc sierść na karku. Wystarczy, że jeden kiel odsłoni.

- Nie straszcie mnie. Cóż po tym? - rzekła wiedźma. Odgięła palce kuglarza, zrobiła dwa kroki w stronę Dragiełły.

Wyciągnęła dłoń naprzód i zaczęła mruczeć jakieś wyrazy bez ładu i składu. Sypnęła listkami drobnymi spomiędzy rozłożonych palców.

- Co mu? Gadaj, jędzo, co mu jest? - dopadł do niej Karlito.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Trać, karle - powiedziała.

- Trać - powtórzyła, jakby słów poprzednich garbus nie Pojął.

Stali wszyscy nieruchomo, jakby ich mróz mocny zamienił w figury lodowe. Szalbierzowi jeno muskuł drgnął na Policzku.

- Miserere nobis, Domine<sup>64</sup> - rzekł głośno domini<sup>^</sup> czyniąc znak krzyża.

- Traćdem ciało gnije. Ciało pustka, nie traćdu się lę<sup>^-</sup>. - gadała starucha, szybując myślami kędyś w niewiadomy<sup>^</sup> przestrzeniach - Gorsze co z krainy cieni nadciąga. Co 04 Złego Ducha idzie. Tego się bójcie. Przed tym drzyjcie o<j tego umykajcie.

- Co gadasz, babo?! Dyć pan mój ogniem był spalony' „ wrzasnął Karlito - od tego są ślady!

- Płomień ciało skruszył i chorobę, z dawna się lęgnącą uwolnił - odrzekła mu wieszczka.

Przed wyjściem z izby dała im flakonik z maścią. Zabroniła dotykać Dragiełły, ni z jego kubka i misy pożywać. Poradziła, żeby znów nadrzeć płótna w pasy i poowijać go dobrze, uprzednio nałożywszy maść na chore miejsca.

- Kołatkę mu zróbcie - dodała jeszcze przed wyjściem - Niech ludzi ostrzega.

Nie wzięła obiecaną zapłatę. Poszła sobie po prostu, skulona, szepcząca, w sobie zamknięta. Jakby to ciągle jakaś wizja przeraźliwa gorączką jej w głowie czyniła zamęt.

A w izbie milczeli wszyscy. Długo. Wiatr jeno hulał w szparach między belkami, gwizdał, jak czort jakiś, który tylko czekał tej chwili, by się smutkiem ludzkim radować. Modlitwę szeptał Jacek z Odrowążów, a Karlito, wierny sługa pogromcy smoków, osunął się na kolana. I płakał, jak dziecko. Albo jak kociak wyrzucony z miotu.

Dragiełło zaś uśmiechał się do wszystkich i takim wiódł wzrokiem, jakby to spletał przyjaciółom niezłego figla.

W izdebce ptasznika było tak, jakby ktoś pstryknął palcami i zatrzymał czas. A przynajmniej takie wrażenie odniósł Bocianek siedząc na ławeczce i rozglądając się dookoła. Ze wszystkich ścian i ze wszystkich półek patrzyły na niego

które właściwie wyglądały jak żywe, miały rozpostarte - Pta<sup>^</sup>zydła, rozwarte dzioby i zdawały się dosłownie gdzieś 18 <sup>^</sup> jedyne, co im przeszkadzało w normalnym locie, to fakt, iż zostały wypchane.

Powietrze pachniało piórami i kurzem, a przez okienko wpadało tak mało światła, że w półmroku ginęły wspaniałe barwy upierzenia okazów.

Na sznurkach okręconych przez belkę u sklepienia wisia- jy także różnego rodzaju klatki wykonane z giętych kijków i sprawiające wrażenie szkieletów nieznanymi stworów, dziwacznych gadów, drapieźników i diablích pomiotów.

- Zabawne - rozległ się głos ptasznika - taka mnogość tych piękności. I wilga i bargiel, drozd i mysikrólik, a Bocia- nek dopiero teraz się pojawił.

Wzdrygnął się rycerz Bogusław z Bocianowic słysząc swój przydomek. Tak się bowiem zapatrzył na wypchaną, skrzydlatą menażerię, że o bożym świecie zapomniał i nawet nie spostrzegł, gdy Papageno wrócił.

Ptasznik roześmiał się ubawiony własnym konceptem, lecz śmiech mu zgasł na wargach równie szybko, jak się pojawił. Wskazał ręką swoje zdobycze wiszące na ścianach i rzekł:

- Jeśli wam się zdaje, rycerzu, że one nie żyją, to jesteście w błędzie. Każdy z nich lata teraz gdzieś wysoko. Ja ino ich ziemskie płaszcze zbieram. Dla mojego pana. A jeśli o niego

chodzi, to nie Iza nam dalej czasu mitrężyć. Zarastro czeka na was.

Dziwak złapał za wiszącą na szyi fletnię i zadał po kolei we wszystkie rurki.

- Jestem Papageno, ptasznik królewski! - krzyknął śpiewnie i skłonił się machając na bok dłońmi. Jako że cały był pokryty różnokolorowymi piórami, więc wyglądał jak wielkie, pstrokate ptaszysko. Ponownie zagrał na flecie i wtedy na Bocianka naszedł jakiś zawrót głowy. Rycerz zachwiał się i przestał już sam wiedzieć, czy to jawa jest, czy sen<sup>J</sup> wszystko co się dzieje.

- Chodź za mną, Zarastro czeka - ponaglił chuH-,- « Papageno i pchnął drzwi. Zaraz za progiem, na początkuj długiego i ciemnego korytarza, stali trzech chłopcy z pochodJ niami w rękach. Jak na komendę obrócili się i zaczęli prowa- 1 dzić. Korytarz opadał łagodnie i wkrótce zamienił się w ciąg 1 kręconych schodów, które strzelały w górę i w dół kaskadami stopni. Papageno co i rusz klepał Bocianka w plecy, jakby chciał mu dodać odwagi.

Chłopcy odwracali się uśmiechając, a rycerz Bogusław z przerażeniem odkrył, że każdy malec jest w jakiś sposób okaleczony. Jeden nie miał lewego oka, drugi prawego, a trzeci uszu. Wszyscy mieli też pokaleczone ręce, bez kilku palców.

- Nie bój się - szepnął Papageno - to dzieci-łotrzyki. Po raz wtóry dali się schwytać, po raz wtóry ich ukarano. Za trzecim zawisną.

- Zawisną! - wybuchli śmiechem chłopcy.

- Albo was kat żywcem zakopie.

- Za trzecie łtrostwo, zakopują! Żywcem, cha, cha!

- Albo poćwiartują was!

- Poćwiartują!

Nagle ptasznik się zatrzymał i popatrzał w górę. Na niewielką drabinkę tkwiącą w kominie tuż nad ich głowami.

- Czuć już cmentarny powiew - zakomunikował.

- Czuć - odpowiedzieli chłopcy - wychodzimy.

I z piskiem i radością zaczęli pięć się do góry.

początkach lutego A.D. 1241 Sandomierz miał wygląd wielce osobliwy. Zima była sroga, Wisła skuta lodem, sople zwieszały się ze strzech, a z drugiej strony taki ruch panował w mieście, jakby to środek lata był. Gdy się stanęło na jednym ze wzgórz, to widać było ciągnące daleko, od wschodu, tłumy ludzi, którzy ściągali do miasta na wozach, saniach, albo i na piechotę, ufając, 'ż za murami miasta znajdą ochronę przed tatarskim najazdem. Oberże pękały w szwach. Kościoły pełne były uciekinierów, którzy leżeli pokotem, tak że ciężko szło jakie nabożeństwo odprawić. Dudnił jeno wielki hałas - mieszały się Pokasływania, rozmowy, szmery, płacze dziecięce. Pośród ludzkiego nieszczęścia wielu tu szukało łatwego zarobku, jak to zwykle w czas wojenny: ofiarowywano szkaplerze mające chronić od strzał cudowną siłą, korzenie mandragory jako niezawodny lek na trucizny i wreszcie serca nietoperza, jako Srodek na niewidzialność (noszone pod pachą i opatrzone

uprzednio zaklęciem dawały pewność zniknięcia sprze(j powołanych oczu).

- Nie kupujcie serc nietoperzy - rzekł z powagą pewj karzeł odwracając się do swoich kompanów - nic a nic • warte. Kupicie, pod pachę wsadzicie, a nie znikniecie. JUŻ ? to dobrze wiem, braciszku moi. Zniknie jedynie kupiec który wam to sprzedał. O, taki to od razu się stanie niewi działny. Ale wy nie.

Garbus siedział na koźle wozu, cmokał co i rusz, popę. dzał batem chudą szkapinę i na zmianę to gadał dyrdymały to wrzeszczał na innych ludzi jadących i idących pod górę, w stronę Bramy Opackiej.

Nagle urwał, gdyż dostrzegł jakiś ruch na boku drogi, przy jednej z chat. Zjechał wozem na bok. Sięgnął za siebie i spomiędzy gałganów wyciągnął pusty worek. Wręczył go dwóm, potężnie zbudowanym chłopom.

- No, Joby, do roboty! - zakomenderował. Był to tyniecki żebrak, którego zwano Karlito, co jak wiadomo, nie od tego, iż skarłały, lecz od jednego francuskiego króla, Karola, pochodzi.

- Łapać mi bestyjkę, ale żywo - wydawał rozkazy podskakując z podniecenia.

- Cóż to za dziwactwo? - spytał Szalbierz, podjeżdżając bliżej i uspokajając konia klepieniem w szyję.

- Ciszej, Jeruzalemie, bo go spłoszycie - garbus wskazał braciom Job cel i gestem wyjaśnił, jak narzucić worek na ofiarę. Potem oblizał rozłożyste wargi i tryskając ognistymi błyskami z wybałuszonych oczu, zacierał ręce i pomrukiwał.

Do wozu podjechał jeszcze jeden jeździec, ukryty pod wielkim płaszczem, z kapturem narzuconym głęboko na twarz. Był to Dragiełło. Rycerz zawiesił na łuku drewnianą kołatkę, odrzucił kaptur i spytał:

- Karlito, sługo mój! Czyliż cię znowu jakowaś odma na umyśle omamiła? Dyc dwa kroki stąd brama miejska! Czemu stanąłeś?

panie mój, tym razem musisz mi zawierzyć - odparł

~eł gorączkowo - Ileś razy cię zwodziłem głupotą, praw- , aliści w onej godzinie złej, śmiałości bym nie miał, by ^ turbovnać durnotą albo i pusto myśleniem. Popatrzaj no Cjęboko i szczerze na mój garb. Jakbyś na dziewicę szczerą spoglądał-

Porównać swój garb z dziewicą! Tyś oszalał, wiedźmi- synu! Może nos twój jak anioł?

- Też prawda. I nos mój mnie śwędzi, razem z garbem, a to dwa stróże są nieodmienne mej duszyczki. Błogosławieni garbaci, rzekł pan, bo prostymi wejda do królestwa niebieskiego.

- Tego nie rzekł Pan.

- Ale by rzekł, jakby mnie poznał.

- Do rzeczy, Karlito! Zaraz będzie wokół zbiegowisko! - Jeruzalem plunął w śnieg ze złością. Nawet i dominikanin, który ciągle, wytrwale szedł obok wozu na własnych nogach, wykazując się cierpliwością i pokorą, tym razem także zdawał się tracić zimną krew wobec pustego gadulstwa sługi rycerskiego.

Karlito zamachał rozpaczliwie rękami, widząc gromadzące się nad nim ciemne chmury.

Wyjąkał śpiesznie:

- Nie sądźcie zbyt prędko karła, byście się nie omylili. Oto tam ujrzycie wybawienie na wszystkie wasze utrapienia. Bracia Job, do boju! Hiob z lewa, a Niob z prawa!

Garbus wstał i chybocząc się na koźle wozu dyrygował krótkimi łapkami, trzęsąc się z emocji. Oba rosłe chłopcy zaczęły zachodzić z dwóch stron obiekt pożądania karła - czyli miejskiego kocura o szaro-burym umaszczeniu. Kot leniwie stawiał łapy, idąc koło płotu, zupełnie nieświadom niebezpieczeństwa.

- A po cóż ci to zwierzę, chamie jeden?

- Ciszej, mój panie, bo go spłoszysz. Ku niewidzialności.

- Ku niewidzialności? - potomek świętego Jerzego aż zabalgotał, a jego oczy zaczęły ciskać gromy spoza bandaży powijających twarz.

- A jakżeby nie! Ku niewidzialności - zaczął tłum karzeł uśmiechając się tak szeroko, iż jego mięsiste w zdawały się zawijać aż za końce uszu - do tego właśnie fc potrzebny.

- Kot potrzebny! Ach, mój giermku, wielką widzę u Cje bie przezorność i mądrość. Znać, że dbasz o pana swego łapiąc kota. Cóż z nim zrobisz po złapaniu?

- Idzie to tak, mój panie. Gdy się chce uzyskać niewi- dzialność, w pierwszym rzędzie należy ukraść kota, co właśnie za chwilkę uczynim...

- Pięknie - Dragiełło zaczął także uśmiechać się. Choć w czasie śmiechu dość dziwnie zęby mu zgrzytały. A jego sługa dalej prawił:

- Potem trzeba kupić garnek, krzesiwo, zwierciadło, agat, węgiel i hubkę. Z nadejściem północy należy udać się do źródła po wodę, następnie rozpaść ogień, włożyć kota do garnka i trzymać go tam przykrytego jedną ręką. Nie wolno się poruszyć, ani oglądać za siebie, nie bacząc na żadne hałasy. Dalej gotować przez dwadzieścia cztery godziny, ciągle nie ruszając się, nie patrząc za plecy i powstrzymując od jadła i napitku. Następnie, braciszku moi wyłożyć kota na nowy półmisek, oddzielić mięso i rzucić je za siebie przez lewe ramię mówiąc:

- Accipe quod tibi do et nihil amplius<sup>65</sup>.

W tej chwili bracia Job skoczyli na biednego, nic nie spodziewającego się kota. Zwierzak zamiauczał i zwał przez dziurę w płocie, za nic sobie mając dwóch osiłków, którzy już po chwili leżeli w zaspie z pustym workiem w rękach. Karlito jęknął z żalu i dokończył wyjaśnień związanych z przepisem:

- Kości zaś kota trzeba wkładać, uważacie braciszku moi, pod zęby, z lewej strony ust, ciągle zerkając w zwierciadło. Jeśli kość niedobra jest, odrzucić ją trzeba za siebie, plotąc po łacinie owo Accipe aż do czasu, gdy kość właściwy traficie. Wtedy to staniecie się niewidzialnym.

I ^ tej chwili na łeb i garb karła spadło silne uderzenie.

Dragiełło wyciągnął z wozu kija i dzielił nim porządnie weg0 służę-

\_\_ Tom właśnie na tę dobrą kość natrafił, Karlito, co?

\_\_ Doskonała! - wykrzyknął płaczliwie nieborak - Wła- sniem chyba stał się niewidzialny.

Takim nie był jednak kot. Bracia Job puścili się za nim w pogoń, lecz zwierzak czmychnął w tłum uciekinierów. Toż się zamęt podniósł dopiero. Ktoś bowiem dwa psy wiódł ze sobą, a te, gdy kocur im przed nosem przebiegł, to się rzuciły za nim, ujadając jak diabły wcielone. Zaraz się koń jakiś wystraszył i stanął dęba, przez co dwa woły idące za nim zjechały z drogi, a wóz przez nie ciągniony zatarasował przejście stając w poprzek.

Od bramy miejskiej ruszyli pacholki, robiąc porządek w tłumie. Z drugiej strony, na drodze, pojawili się zbrojni. Ci jechali od Zawichostu i poczęli lud roztrącać machaniem włóczni, a krzykiem i pohukiwaniami. Tak parli, jak łódź przez wzburzoną rzekę, lecz gdy dotarli do zawalidrogi, to się musieli, chcąc nie chcąc, zatrzymać. Z dala już znać po nich było, że to orszak jakisik musiał być znaczniejszy, drużyna możnowładcy, albo też jakiego feudała, czy rycerza. Kolczugi mieli pełne, do kolan, rozcięte na bokach, by lepiej się układały, kolcze nogawice, ostrogi i szyszaki ozdobnie wykończone. W środku onego pocztu się pojawił pan nielichy, ubrany w kozuch, z łańcuchem złotym na szyi i w czapce okolonej srebrzystym futrem. Spod czapki i kołnierza wystawała długa, siwa broda i także, bieluśkie włosy. Obok mężczyzny, na koniu ubranym w kwiecisty, barwny kropierz, siedziała kobieta. I ona była okryta kozuszką, a głowę chowała pod futrzanym czepcem. Patrzyła wysoko ponad tłumem, jakby 'udzie wokół nie istnieli, bądź stanowili jeno przeszkodę do Pokonania, taką samą, jaką fale są dla płynącego czółna. Kruczoczarne włosy wysuwały się niesfornymi kosmykami spod czapki i unosiły na wietrze z wdziękiem, jaki babie lato ma snując się w powietrzu. Za niewiastą na dwóch siwkach chaty służki, a w tyle jeszcze był wóz pełen dobytku skr<sup>TM</sup> dużych i mniejszych, tobołków, zawiniątek i szparga}^ Na samym szczycie tej góry stała klatka, okryta częściom szmatą. W środku leżała zwinięta w kłębek niewielka bru natna małpka.

Szalbierz patrzył na nią jak oniemiały, nie mogąc z niej sca się ruszyć. Coś zaczął szeptać, popękane od mrozu wargi drżały powtarzając tę samą sylabę. Jeruzalem przeniósł wzrok na kobietę i w te pędy zarzucił kaptur na głowę. Hanna zobaczyła, że coś z nim się dzieje, więc podbiegła, chwytając za ramię.

- Co ci? - szepnęła.

- Krutynią... - syknął nie podnosząc oczu. Karlito także spostrzegł co się święci. Zeskoczył z kozła, poślizgnął na śniegu, po czym machając rękami dopadł do ojca Jacka i schronił za

jego dominikańskim habitem. Odrowąż nie wiedział co taki zamęt u przyjaciół powodowało, więc patrzył wokół zaniepokojony, szukając przyczyn. Dragiełło siedział w siodle nieporuszony. Jeno siwe oczy patrzące ponad zasłoną z bandaży zdradzały jego żywe myśli. I on dostrzegł Gigi wiezioną na wozie, pośród tłumów.

Rozgardiasz na drodze zapanował nie do opisania. Bracia Job w końcu chwycili kota w worek i rozpychając się łokciami wracali w stronę wozu. Pacholkiwie miejscy pomagali właścicielowi wołów wyprowadzić wóz ze śniegu, za nimi gęstniała ciżba, klnąc i pokrzykując, a tymczasem kawalkada zbrojnych poczęła objeżdżać całe zamieszanie bokiem. Krutynią patrzyła w górę, na szczyt wieży bramnej. Jadący obok niej siwowłosego mężczyzna wydawał jakieś komendy przybocznym. Nagle wzrok jego padł na idących w poprzek dwóch olbrzymów - wielkoludów o prostej twarzy, szczerych oczach i jednej ręce silnej, a drugiej cienkiej, wiotkiej i malutkiej, jak łapka niemowlęcia. Ściągnął w tym momencie wodze i uniósł się w strzemionach.

Bracia Job - wyszeptali do siebie i rozejrzeli się bystro, szukać nie musieli: z boku, przy jednej z chat podgro- stała grupka ludzi, których znał aż nadto dobrze. Po- natta>y ich w środku najczarniejszej nocy - są bowiem osoby, które człowiek z największej nawet odległości rozezna, tak

nim mocno siedzą albo miłość do nich, albo lęk.

I oni w nim zobaczyli tego, przez którego nie raz zasypiali z przekleństwem na ustach.

- Wulfstan - niemal jednocześnie rzekli do siebie Karlito, Szalbierz i Dragiełło.

Jaćwięg splunął z pogardą.

Dragiełło zmrużył oczy. Rycerz, który w żyłach miał krew podgrzaną setkami godzin w palącym słońcu Egiptu, który twarz wystawiał na wicher idący od Orientu, który z krzyżowcami pospołu płynął w stronę Ziemi Świętej, który sara- ceńską juchę nieraz oblizywał z klingi miecza, nie namyślał się, co teraz należy uczynić, lecz dał porwać afektowi.

Nie rozmyślił bowiem, nie chłodna kalkulacja i obmierzenie sił, wyników i możliwych rozwiązań były na pierwszym miejscu. Odruch serca stał się ważniejszy niżli baczenie na skutki działania. Jeśli więc w owej chwili sięgnął po miecz, jeśli z pochwy go wyciągnął, to nie w tym była przyczyna iż był pozbawiony rozumu. A i owszem, rozum miał niegorszy, a nawet przewyższający niejednego. Ino w tym rzecz była, że ów rycerz, z rodu Jerzego świętego, z kraplanem w herbie i w zawołaniu, nie z szaleństwa lecz z głębokiej duchowej potrzeby, z tego co zmierza ku boskim wyżynom, kędy nasz umysł nie sięga, i których prawideł nasze głowy nie rozbiorą, takie uczynki przedsiębrał, iż nie jeden by rzekł „cóż on czyni" albo i nawet „głupiec". A on czynił.

Miecz wzniósł i łopocząc bandażami jak setką proporców bojowych natarł w pojedynkę na kilkudziesięciu zbrojnych. Z tej prostej przyczyny, iż ujrzał za ich plecami człowieka - zdrajcę, którego widok tak był dla niego nieznośny, iż bez chwili czekania chwycił Zedrzykaptura.

Dragiełło konia uderzył piętami i dał mu taką ostrą, że rumak aż przysiadł na zadzie i wystrzelił, niczym D z katapulty. Rycerz lewą ręką wodze ściągnął, prawą (jw- mocno, biorąc szeroki zamach mieczem i nim się wojowie' ćwiescy zorientowali, już dwóch było roztraconych na boi!

Dragiełło mógł budzić grozę samym swym widokiem Wyglądał jak rycerz umarły, który zakłębieniem został do ży cia przywrócony, a którego ciało zgniłe, ledwo trzymające się kości jeno przerdzewiała kolczuga trzyma w całości, by się nie rozpadło.

- Grobożerca! - krzyknął ktoś w tłumie. I krzyk ten, po- wtarzany przez ludzi, poniósł się dalej i dalej.

Jaćwięgowie, najbliżej Wulfstana stojący, nawet ruchu nie byli w stanie wykonać, krom tego by zezwolić koniom na trwożne cofanie się. Dragiełło nabrał pędu. Spod kopyt jego

wierzchowca śnieg zmieszany z błotem wyleciał w górę, a miecz z hukiem żelaza ciął powietrze.

Wulfstan, zdrajca stary, siwizną otulony niczym kłamliwym kołnierzem, stał skamieniały nie mogąc ruchu uczynić. Patrzył, jak zbliża się jeździec z piekieł, w koszarach wyśniony, z dawna oczekiwany, co prawem kostuchy zawsze człowieka odnajdzie, choćby ten na krańcu świata chciał się schować. Już się miecz uniósł i miał spaść na jego głowę, gdy inne żelazo stanęło na drodze lecącej ze świstem klingi. Mężczyzna w błękitnym kubraku, z orłem małopolskich Piastów na piersi wjechał między starca i szarżującego Dragiełłę. W ostatniej chwili wstrzymał mordercze ostrze. Dużą musiał mieć siłę, bo sparował cios istic tytanowy. Ze zgrzytem metalu trącego o metal zepchnął miecz Dragiełły.

- Stój, diable! - krzyknął - W imię księcia rozkazuję ci, odstęp!

Pogromca smoków ściągnął konia.

- Z drogi, psie! - krzyknął Dragiełło - Nie broń ubic gada!

Alboś szalony, człeku, albo przez wroga nasłany!

"\* To zdrażliwy łotr! Mam z nim porachunek rycerski.

, tap po dobroci!

Porachunek rycerski nie w bóje na drodze rzecz roz- trzygać! - mężczyzna z godłem książęcym konia obrócił, całkiem odgradzając przejście - Jeny w honorowej walce!

Wulfstan w tej chwili oprzytomniał i odzyskując zimną j.rew wrzasnął:

- Bandyta to! Rzucił się, by mnie zabić i okraść! Pojmać zaraz rabusia!

\_ Ty śmiesz jeszcze, łotrze przeklęty! - Dragiełło znowuż chciał ruszyć, lecz go jeździec w błękit strojny powstrzymał. Uniósł dłoń i zakrzyknął:

- Po raz ostatni wam nakazuję. Odstąpcie! Posel to księcia Jacwiegów, Bliznobrodego, do pana naszego, miłościwie nam panującego Bolesława Lestkowica. Włos mu z głowy na tej ziemi spaść nie może. Za co ja rękę honorem i swym życiem! Jeśliś więc, szalony przybłędo, gotów ze mną pierwej się mierzyć, stawaj! Jestem na twe usługi. Gdyś i ty krwi szlachetnej, w co wątpić mogę, wnosząc z bandyckiego zachowania, to daję ci placu! Jam jest Janusz z Główna, herbu Łodzią!

Na takowe dictum\* rycerz trędowaty miecz do pochwy schował i rzekł:

- Jam jest Dragiełło, herbu Kraplan, potomek świętego Jerzego, rycerz obu książąt Henryków, starego i młodego, a także i Bolesława, i matki jego Grzymisławy!

- Tyś rycerz Bolesława? I Grzymisławy? - Janusz z Główna tym wyzwaniem rycerskim zdał się zbitym z tropu. Wulfstan zaś począł gromadzić koło siebie swoich zbrojnych.

- Jam księcia sandomierskiego rycerzem! Gdy ci wątpić o tym, sam go o Dragiełłę zapytaj i o noc jedną na zamku w Czersku. On będzie pamiętał!

- Skąd mi wiedzieć, że nie kłamiesz? Tyś jak trup! Jak diabeł. Jak duch!

Dictum (tac.) - słowa, powiedzenie.

- Bom jak duch. Ciało spalone, chore. Trąd!

- Trąd! - krzyknęło kilku ludzi i cofnęło się nare, ków.

- Trąd? - spytał rycerz w błękitnie, całkiem już nie wi dząc, co począć.

- On chory! Grozi nam wszystkim. To bestia z piekieł! Zabijcie go! Do leprozorium zamknijcie. Trędowatemu d0 miasta wzbrońcie wnijść! - zaczął z tyłu pokrzykiwać Wulfstan

- Jeszcze nas wszystkich chorobą zakazi! On śmierć na nas sprowadzi!

- Nie słuchajcie go, rycerzu. To on zdrajca! Przysięgam! - Dragiełło z taką mocą te słowa wyrzekł, jakby pod kolczugą i bandażami miał lawę gorącą, zamiast duszy ludzkiej.

- On poseł. Nie Iza go tknąć nawet! - Janusz z Główna trzymał się swego.

- To go ostawię - spasował w końcu rycerz z Kraplanem na tarczy - Honor u mnie na miejscu pierwszym. Lecz was ostrzegam, mości Januszu, węża do miasta Sandomierza wprowadzacie, szatańskiego sługę!

- Kłamie! - Wulfstan pokrzykiwał zza pleców swoich wojów.

- Jeszcze niedawno, w Kijowie żeśmy go widzieli, jak konszachty z Tatarami miał! - rzekł Drapieńko.

- Z Tatarami? - Janusz z Główna spojrział w kierunku Wulfstana i reszty jaćwieskiej drużyny. Patrzał aby co z wyglądu owego pocztu wysondować, lecz w żaden sposób uwierzyć nie mógł w opowieści rycerza. Toć widział przed sobą nobliwego starca, który nijak za tatarskiego ziomka uchodzić nie mógł. A obok niego, na koniu z siodłem wartym może i kilka wsi, siedziała białogłowa o urodzie niebywalej, która takie spojrzenie rzuciła spod futrzanego otoka czapki, iż Januszowi z Główna mrowienie poszło po plecach. Niewiasta popędziła konia by podjechać bliżej, po czym ruchem zgrabnej rączki odpięła kołnierz przysłaniający usta.

Wiecie kim jestem? - spytała robiąc tak słodką min- ( 7 Wszyscy mężczyźni dookoła na nic innego patrzeć nie

cli, tylko właśnie na nią.

Wiem, pani! - rycerz w błękitnym kubraku schylił głowę-

\_ Więc mówcie. Kim?

\_ Wyście są Krutynią, księżna Jaćwieży, pani puszczy dalekich, księcia Bliznobrodego żona, a w tym czasie jego do naszego księcia Bolesława posłanniczka. Za wasze bezpieczeństwo głową rękę. Nie lękajcie się, pani.

- Ja się nie lękam. Inszam, niż wasze białogłowy, choć w Lachów kraju byłam rodzona. Lęku niewieściego nie znam.

- Wybacz, pani.

- Gdyście już sobie na pamięć wrócili, kim jestem, baczcie by słów moich na wiatr nie brać. Są ważkie.

- Gdzież by to, pani!

- To uszu nastawcie. Ten człek w bandażach, co rycerzem się mieni, to szaleniec, a nasz w Sudowii książęcy niewolnik. W walkach odświętnych brał udział, a taki był z niego marny użytek, iż sam jeden, rozum straciwszy, rzucał się na dzikie bestie z Orientu przywiedzione. Potem zaś zbiegł i odtąd żeśmy go nie widzieli. Takież teraz go poznaję po wymowie i słowach, które przeczą rozsądkowi. Znać, że mu się w głowie pomieszało i wasz umysł, mości Januszu, próbuje zatruć swoimi bredniami. Proszę was, czasu już nie mitrężmy, jeno jedźmy dalej. Muszę wiele rzec księżnej Grzymisławie. Kiedy mężowie wojują zamęt tylko z tego idzie, tak więc czasem rozmowa jednej białogłowy z drugą więcej może dla świata pożytku przynieść. No, dalej!

Pchnęła konia kolanami, aż się suknia odchyliła ukazując długie nogawice, jakich niewiasty nie noszą, jeno zbrojni jeźdźcy. Taki był widać szyk u Jaćwiegów.

- Z Tatarami knują zdrajcy! Na honor rycerski klnę się! Widziałem tego łotra w Kijowie! - Drapieńko uniósł się ze złości w strzemionach.

W tej chwili Wulfstan, przyjmując postawę godną wi cy, w przód podjechał. Pierś wypiął w przód i dramatyc»n2 głosem wykrzyczał: f| l^H

- Z Tatarami? Z Tatarami gadasz, szaleńcze? Oto, wj^ pokażę, kto z Tatarami trzyma...

i^^^^H

Podjechał do wozu z dobytkiem i chwycił klatkę z małpią Uniósł ją w górę. Makak zaczął popiskiwać żałośnie. Starzec skupiwszy uwagę ludzi, nagłym gestem skierował rozczapie' rzoną dłoń w stronę grupki stojącej przy boku drogi. J

- Tam patrzajcie! Widzicie? Tam się łotr ukrywa. Diabelski pomiot w ludzkiej skórze! Pokaż się! Do ciebie mówię.. Szalbierzu!

Jeruzalem postąpił dwa kroki na przód i odrzucił na plecy wielki kaptur, pod którym skrywał twarz.

- Jam jest, zdrajco! - krzyknął.



- Ty śmiesz mnie oskarżać? Patrzajcie ludzie, toż jest Tatar prawdziwy. Po gębie widać. Ja w Kijowie byłem, prawda to! Lecz żem walczył po stronie wojewody Dymitra. A ten tu, wraz z mongolskim Chanem stał nad brzegiem rzeki i kierował ogniem katapult. Nie trza długo patrzeć, by zobaczyć, że gębę ma nie naszą. Szpieg tatarski u waszych bram!

Szmer poszedł wśród tłumu. „Tatar, tatar” zaczęto w ciżbie pokrzykiwać, a to jeszcze tylko wzmogło bałagan. Jedni zaczęli się pchać w stronę obcego, by najeźdźcę zobaczyć, inni przeciwnie, uciekali w przerażeniu. Rwetes powstał niebywały. Wulfstan dalej krzyczał unosząc ręce w dramatycznych gestach. Dragiełło wrzeszczał wymachując mieczem. Janusz z Główna próbował ich uspokoić. W końcu sam ojciec Jacek ruszył do przodu, by siłą swego autorytetu i powagą habitu zakonnego wybawić przyjaciół z opresji. Było już jednak za późno. W tłumie zaczęła się panika. Słowo „Tatar” urosło do „Tatarzy” i wiała się ludźmi zaczęło z krzykiem rzucać ku bramie miejskiej, tratując wszystko po drodze, wywracając i wrzeszcząc w niebogłose. Na rozkaz Janusza pacholkiwie miejscy pochwycili więc Jeruzalema i jego kompanię. Do lochu ich

ono, by czekali dnia następnego i widzenia z księciem, edno mogło całą sprawę zagmatwaną wyjaśnić. Gdy się 'wszyscy rozeszli, został tylko dominikanin z wozem pu- 'UZ i leżącą na nim figurą Matki Bożej. Popatrział na nią ze 5^utkiem w oczach, westchnął i rzekł po cichu:

\_ Mateńko najmilejsza. Kiej ty jesteś w niebie i czuwasz nad nami, miej ty w opiece tych druhów moich, bo się znaleźli na ciemnej ścieżce.

potem zaciął bacikiem i ruszył w stronę miasta, ku kościołowi Świętego Jakuba. Jedną ręką trzymał wodze, drugą przepuszczał paciorki różańca zawieszzonego u pasa.

Na lewym brzegu Odry, między osadą żydowską a Nowym Targiem, niedaleko piaskowego mostu, stał zamek książęcy. Po prawdzie z nazwy on był „książęcy”, bo każdy mieszkaniec urbis Vratislaviensis\*, czy to był z wysp, czy z brzegów, dobrze wiedział, iż zwać by go raczej należało „zamek księżnej”. Gdy bowiem para książęca była w mieście, to się Henryk Pobożny zamykał w starym grodzie, na Marcynie, i tam swoje sprawy załatwiał, a księżna Anna zajmowała na- onczas siedzibę nową, lewobrzeżną. Dobrze to było ustanowione, modo chństiano\*\*, że oboje małżonkowie wiedli życie osobne, co pewien czas jeno dzieląc łożę i tę samą komnatę. Nie szły w las nauki matki księżęcej, Jadwigi - ona sama na wiele lat opuściła łożnicę swego męża, Henryka Brodatego i zamknęła się w murach klasztoru trzebnickiego. Tak też w duchu modlitwy, postu, umartwiania się duchowego, cielesnego i ciągłej pokuty kształtowała swego syna i jego żonę, z obojga czyniąc prawdziwych chrześcijan.

Pokory uczyła i wnucząt, tak więc małego Bolka kazała kąpać w balii z brudną wodą, w której myły nogi mniszki z zakonu cysterek. Patrzała na to Anna, zakrywała oczy, płakała, aż Urbis Vratislaviensis (tac.) - miasta Wrocławia. Modo christiano (tac.) - na sposób chrześcijański.

w końcu sama owego ducha chrześcijańskiego przyjęć u. się przejawiał w prawdziwie pobożnym życiu. Nosiła więc włosieny na prawym udzie i z mężem mało co zlegiwała a spędzając czas na modlitwie i trosce o chorych i ubogich

Zamek zaś blisko był szpitali i przytułków, do których rano księżna pani udawała się, by rozdawać strawę. Teraz w jednej z jego komnat, blisko południa jednego z zimnych lutowych dni Roku Pańskiego 1241 siedziała na brzegu ławy i patrzała na człowieka, który swoim wyglądem i zachowaniem wcale nie pasował do książęcych izb. Więcej - szata jego była plu. gawa, wzrok mętny, łapy brudne, paznokcie czarne i długie, a włosy sklezione łojem i śmierdzące na odległość szczurzym łajnem. Człowiek ów jadł coś podanego w dużej, głębokiej misie i szczerze mówiąc zdawało się, że obecnie nic poza tą misą nie widzi.

- Wybaczcie, alem ledwo żywy z głodu - wymlaskał nagle ów biedaczyna między jednym kęsem a drugim - a w więzieniu waszym wikt taki, iż z mojego brzucha ostał się jeno ułomek.

Jeśli ułomkiem nazwać, to co się zwieszało między nogami owego człowieka, trudnoż dać miarę, jaki musiał być brzuch jego przed pobytem w lochu. Pewnikiem robił wrażenie.

- Wielcem wam wdzięczny za wyciągnięcie z kajdan, ale... musicie, moja pani miłościwa, słówko kiedy szepnąć łaskawemu księciu, iż jadło w lochach miejskich starcza jeno myszom na drobną przekąskę - gadał grubas nie przerywając jedzenia i ocierając rękawem tłuszcz z gęby - dyć za kraty trafić może każdy. I uczciwy człowiek, gdy sądu czeka. Jakoż go można z góry na cierpienie skazać i śmierć głodową zsyłać na biedaczyne? Oj, nie po chrześcijańsku to, moja pani łaskawa, nie po chrześcijańsku...

Księżna patrzyła na niego z uśmiechem, zbywając milczeniem to jego gadanie. Ktoś zastukał do komnaty i Anna wstała.

- Wejść - rzekła.

Skrzypł 11?^ drzwi. W progu pojawił się mężczyzna tak ilcczemnej postury i urody, że gdyby na gościńcu go spo-

^ można by niechybnie brać go za zbója. Twarz miał zrytą zmarszczkami, na nosie narodziła różową, brwi krzaczaste a brak ednej ręki mógł być jeno brany za oznakę złodziejskiego fachu, podać należało liche odzienie, kurtę poplamioną, pas splekany i buty o szmacianej cholewie ze sto razy cerowane i łatanie: wtedy się miało obraz całości. No, jeszcze by wspomnieć należało o kapelusiku - ten bowiem, stercząc na czubku głowy, opasując ją ciasno i zwieszając się po bokach długimi uszami, które można związać pod brodą, był tym czym jest kwiat dla rośliny: zwieńczeniem, ukoronowaniem i całą istotą sensu istnienia. Stąd może, od owego czepeca w kształcie przekwitłego kwiatostanu brał się przydomek mężczyzny.

Kwiatek.

Przez chwilę ów Kwiatek stał na progu i patrzył na plecy mężczyzny, który jadł przy stole. Od razu go rozpoznał i na twarzy Kwiatka pojawił się szeroki uśmiech. Rozłożył ręce i rzekł:

-Wszelki duch Pana Boga chwali! Jeno w Ciepłej Wodzie takich mężów niewiasty rodzą, którzy w czasie mrozów mają przed zinnem własną, tłustą osłonę!

Grubas zerwał się od stołu wywracając zydel.

- Kwiatek! - zawołał, a twarz jego zabłysła w świetle, czy to skutkiem radości ze spotkania, czy tłuszczu z potrawy.

- Kwiatek był dawnymi czasy - odparł gość i postąpił dwa kroki do izby - teraz mnie zwijcie Owoc. Owoc przekwitły. Ino patrzeć, jak on pacnie gdzie na ziemię.

To powiedziawszy zwrócił się do księżnej:

- Niech będzie pochwalony Zbawiciel, waszej miłości Niebieski Opiekun, że ją ciągle w tej kondycyi utrzymuje. Toż to nasza księżna pani, z biegiem czasu, coraz młodsza. Albo to cud, albo zagadka natury, albo też, co pewniejsze, kwestia urody, która tylko najpiękniejszym tworem Boskiej ręki nie ubywa, nawet gdy lata uciekają. Wasza miłość piękna, jak zawsze, Pozwólcie słudze swemu, choć rąbka tej krasnoty dotknąć.

Podbiegł wywijając nogami, jak w jakim dworskim sie, uklonił się i złożył pocałunek na nadobnej piastowski rączce.

- Poznajesz więc, Kwiatku, tego jegomości? - spytała nje wiasta płonąć rumieńcem.

Błazen Henryka Brodatego, ulubiony towarzysz starego księcia, krotochwilarz i filut, znowuż wykonał obrót na pię. cie i podskoczył w stronę grubego więźnia.

- Jakżeby nie poznał? Dwóch takich rycerzy po świecie nie chodzi, jak imć Michałko z Ciepłowody, stary woj księcia Henryka.

Dziwak rozwarł ramiona i ruszył by uściskać towarzysza byłych wypraw łowieckich i wojennych. W pół kroku go jednak zatrzymał koszmarny smród, jaki roztaczał się wokół wyciągniętego z kazamatów rycerza.

- Dwóch takich jak ja to nie ma, drogi Kwiatku - odparł stropiony Michałko - bo ja sam robię za dwóch. A ta woń, co mnie spowija, starczyłaby wagą na trzeciego. W książęcym lochu ją nabyłem.

- W lochu? Za cóż to?

- Bójka - odpowiedziała za Michałka księżna - pod Świętym Duchem.

- Cóż do Świętego Ducha cię przygnało? - zdumiał się Kwiatek.  
- Stałem w kolejce po jadło - wzdychając zaczął tłumaczyć Michałko.  
-Ty?  
- Ja. I Bocianek. Ale po jadło ino dla zmylenia, a chodziło o coś więcej...  
- Cóż za dziwy? Czyś ty nie zmęczony długim wojowaniem? Możesz zbyt długo trunki łykał?

- Siadaj, to opowiem...  
Usadził więc Kwiatka na ławie, a potem stając samemu w odpowiedniej odległości, by go smrodem nie zadusić, zaczął tłumaczyć, a z każdym słowem to co miało być jejsze, stawało się coraz bardziej zagmatwane, tak mu się S;ty fakty i czas wydarzeń. Uważasz, Kwiatek, z Bociankiem żeśmy natrafili na lad jednej ciemnej sprawy. W Tyńcu są benedyktyni, tam ??z w karczmie my byli, miód pili, aż tu, uważasz, wpada łotr rogami, istny diabeł. Kogoś szuka, rozpytuje. Tak my za ni,n idziem, ciekawi, co też on. A szelma do kościoła, uważasz. Tam na spytki wziął braciszka biednego i byłby go ubił, gdyby nie nasza dzielność. Aleć jeszcze Chrystus drewniany dychał, jak żyw, prawdę gadam. Diabeł szedł za ludźmi, którzy wedle jednej wieszczby mają nieść ocalenie od Tatarów, uważasz. Dziecko małe, bez języka, ale z numerem na piersi. Jeden. Do tego szalbierz wędrowny i kuglarz. Rycerz, co jest wujem Świętego Jerzego. I mnich. Jego z dzieckiem zabrali duchaki. Tu jest trop. Cóż zakon robi? Myśmy poszli za zabójcą w rogach, istny diabeł, uważasz. Ale i on był wysłany przez znowę. Konrad tu maczał palce z Mazowsza. Bratał się z kimś. Wyszło nam, od jednego człeka cośmy się zwiedzieli, że najdzie szarańcza i spełni się apokalipsa na naszej ziemi, co jak widzisz ma miejsce. Diabelskie zagony już tu ciągną. Człek ten nam wyjawiał, że jeden tylko ratunek dla księcia i Polski. Onych siedmiu ludzi znaleźć i doprowadzić do księcia Henryka. Tak już trzy lata my idziem za sprawą. Jedni ludzie krucjatę prowadzą życie kładąc dla Chrystusa w piaskach Ziemi Świętej inni, jak my z Bociankiem, tutaj mogą swój żywot uczynić pożytecznym. Tak więc szukamy owych Siedmiu, na gwałt ich do księcia musim dowieźć, a z drugiej to strony śledzim poczynania owego Zakonu Świętego Ducha, tych Czarnych Rycerzy, co się wszystkim zdają po jasnej, Bożej stronie, a mnie coraz więcej jawią... Aleć mniejsza o tym. Tu, we Wrocławiu i oni są i chyba ów chłopiec niemota a wraz z nim mnich. Dwóch z Siódemki. Do księcia chcemy iść, sprawę zdać...

- Książę was wyklnie i ze schodów zrzuci - wtrąciła się księżna.

Kwiatek i Michałko popatrzyli na nią zdumieni. - Miłościwa Pani. Wieszczba mówi, że mają ratun przynieść.

- Książę wieszczbom żadnym nie ufa. Krom jednej \a uki Chrystusa w Ewangelii. Reszta, jak mówi, to zabobi i wytwory czarta. Modlitwa jeno się liczy.

Michałko wytarł gębę serwetą i westchnął ciężko.

Chłopiec z rzymskim numerem „I” na piersi, owinięty w prześcieradło, siedział na dużym kamiennym stole. Wokół panował mrok nieprzenikniony, tak że już całkiem nie szło poznać gdzie się kończy rozległy loch - czy ściana jest 0 kilka kroków zaledwie, czy też może nie ma jej wcale. Bo właśnie można było sobie pomyśleć, że tu nie ma murów żadnych, ani sklepień, że łaźnia jest zawieszona w kosmosie, albo ukryta pośrodku wielkiej pieczary podziemnej, że wokół się ciągnie sfera wielkości firmamentu, tylko gwiazd pozbawiona.

Po czole chłopca spływały krople wody, a skóra pośrodku tonsury świeciła w blasku łuczyw, jakby dzieciak miał szklaną czaszkę.

Ktoś ciągle podsyczał żar i oblewał wodą gorące węgle, tak że w górę buchały kłęby pary.

ony

- Pierwszym demonem, o jakim wiedzieć musisz jest Behemot - powiedział zakonnik, który trzymał nogi w cebrzyku i odmaczał je, ruszając co i rusz palcami, a potem skrobiąc piętę gąbką na kiju. Stary, siwy mężczyzna o zapadniętej klatce i wyłupiastych oczach, oznaczony numerem XXVII pełnił rolę lektora<sup>66</sup>, który miał nie odstępować Ignasia na krok i włożyć mu do głowy to wszystko, co Wielki Mistrz wiedzieć powinien. A więc przedstawił naukę o świecie, jego początkach, o Psiogłowcach i dalekich krainach, wyuczył łaciny w piśmie do stopnia biegłości, czytać z uczniem dzieło Piotra

estora o historii Kościoła, a nade wszystko skupić się na tentorium libri quatuor\* i omówić exempla\*\* moralne. Behemot więc jest gruby, a siła jego drzemie w nerkach - prawil Mistrz Sentencjariusz, dbając o odpowiednie brzmienie każdego słowa, tak by miało należyty charakter i gładkość, całkiem jakby kaligrafiował to, co mówi - co zaś jego jest domeną to obżarstwo, pijaństwo i wszelkie uciechy żołądka. Jeśli zaś usłyszysz, że był on faraonem, co wygnał Hebrajczyków, wiary nie pokładaj w tych opowieściach. Jak zapisano w księdze Hioba, możesz go spotkać pod postacią bestii różnych - psa, lisa, czy wilka albo i gorszego monstrum, jakie sobie wyobrazisz.

- Nie straszcie dzieciaka! Na cóż mu to? - odezwał się głos z głębi lochu. W ciemnościach ukazało się cielsko zaiste monstrualne, choć nie diabelskiej natury, a ściśle Bożej. Po krętych schodach, sapiąc i dysząc, jak stary niedźwiedź zszedł do podziemnej łaźni pustelnik Dobrosław. Gdy był już na dole, stanął i jedną ręką oparł się na boku, a drugą unióś w górę, przyświecając pochodnią.

- Jeszcze się biedaczyna przezięb, ot, przezięb. Dyc jak to tak, w oparach trzymać i w lochu!

Sentencjariusz unióś się z zydła i stojąc ciągle w cebrzyku z wodą mocniej owinął ciało prześcieradłem.

- Jak śmiesz! Mają tu wstęp tylko rycerze Zakonu, z pełnym święceniem!

- Właśnie to widzę, chudy staruchu, żeście tu Ignasia zapędzili, by z dzieciaka zrobić stwora na wasz kształt. A na to mi moje pustelnicze serce nie pozwala!

- Precz stąd! - rzucił gniewnie staruszek.

Ignas widząc starego przyjaciela zerwał się radośnie i chciał podbiec do niego. Lecz go za ramię chwyciła żyłasta ręka duchaka. Dobrosław pchnął starca potężnym łapskiem. Zakonnik poleciał na kamienną posadzkę. Chłopiec dosłrj czył do pustelnika i chwycił go za rękę.

Numer XXVII leżał przez chwilę nieruchomo, a w oczach mu ogień zapłonął z wściekłości.

Dobrosław tymczasem chwycił mocno chłopaka, owinął prześcieradłem i ruszył w stronę schodów.

Z gardła numeru XXVII wydobył się wściekły bulgot.

- Brać psa! - wrzasnął, a echo tego krzyku szło daleko odbijając się nie wiadomo gdzie, jakby to rzeczywiście lochy pod szpitalem Świętego Ducha we Wrocławiu nie miały krańca.

Dobrosława schwymano na szczycie schodów, kędy było wyjście z podziemi. I zakuto go w kajdany. Ignas płakał głośno i nie chciał go puścić, do końca trzymając za rękę. Ale cóż ma siły taki chłopiec? Palce zaciśnięte na habcie Dobrosława mu odgięto i miotającego się dziko odprowadzono.

Pustelnik zaś trafił do klatki. Choć to nie było dobre słowo. Klatka ma dyc jakieś pręty. A grubego mnicha wciśnięto w skrzynię, w której mógł jeno leżeć z podkurczonymi nogami. Był w niej wyrźnięty otwór wielkości pięści. Gdy już zamki i skoble zawarto, ktoś się nad tą dziurą pochylil i do wnętrza kufra rzekł:

- Tutaj zgnijesz, psie. We własnym gównie. Zeżre cię robactwo, a oczy wypali własny odór.

- Bądź przeklęty! - odkrzyknął pustelnik.

A potem zamknął powieki i pogrążył się w żarliwej modlitwie. Bo w gorszych terminach nie był jeszcze nigdy.

Ignasiowi zaś, który szalał ze złości i żalu, wlano do gardła jakiś płyn, który całkiem go otepił. Chłopiec do późna w nocy siedział nieruchomo i patrzył w przestrzeń.

ilościwy panie! Kijów do ziemi spalony, ludzie 1 lif ul wymordowani! Pies bezbożny, Batu-chan po- szedł dalej na ziemię wołyńską i podolską. I tam krwi przelał mnogo, wsie, miasta spopielili i złupił. Ku grodowi Łodziażny podszedł i wokół wałów dwanaście poroków postawił. Murów rozbić nie mógł, to załogę złotem przekupił. Jak ci mu bramy otworzyli, tak on grodzian wszystkich wysiekł, a co domów stało wszystko strawił ogniem. Tak się nie strzymał na onym, a hordę psów swoich dalej puścił, na Kamieniec Podolski i Krzemieniec. Kamieńca nie mógł wziąć, także i Krzemieniec mu się oparł. To jeszcze w nim złość podburzyło. Poszedł dalej, pod Włodzimierz. Tu mu piekło było przychylnie, Włodzimierz Tatarzy wzięli i wielką liczbę ludzi wybili, inszych w niewolę uwlekli, miasto podpaliwszy. Zaś potem i Halicz był na ich drodze. Dzielnim im opór stawili, aleć żeśmy w końcu padli, krwią płynąc i krzycząc pomsty u nieba na Tatarów... Panie mój! Teraz ich na

polskiej ziemi czekać! Może, gdy tę sprawę zdaję, jak0 m- w loman nakazał wysławszy do was ku przestrodze, to już miasta lackie pogańskie ordy podchodzą. Gdzie, nie toczy w Sandomierz uderzą, czy w Lublin, czy szlakiem dniowym, halickim na Kraków pójda, ale to mi wierzcie ? już ich trzeba wyglądać! I ku obronie się sposobić! Bóg ni^k ma nas w opiece!

To powiedziawszy posłaniec Kolomana, oddech wziął głęboki i głowę schylił na piersi, czekając w pokłonie na słowa księcia Henryka.

- Powstańcie! - rzekł krótko śląski władca.

Twarz jego więcej jeszcze była blada, niżli zwykle, pod oczami koła sine się znaczyły, mówiąc wiele o nieprzespanych nocach.

- Co ze snu, to już na jawę przychodzi - powiedział cicho do siebie.

Potem wstał i spojrzał w okno. Siwa żółć lutowego słońca przebijała się przez mleczne szybki. Książę Henryk opatulił się płaszczem i trwał tak chwilę w zamyśleniu. Potem palec zbliżył do zaporowanej szyby i przetaił w niej dziurkę. Zerknął przez nią w stronę Odry, wież kościelnych na Piasku i niknącego we mgłach lewego brzegu.

Stał patrząc na migoczące poblaski światła na odległych dachach. Potem obejrzał się na milczących towarzyszy i powiódł po nich wzrokiem. Oto był Klemens Andrzejowicz z Pełcznicy, Konrad Konradowie i Jan Iwanowic, Przybysław, Gostach, Wojsław, Janusz z Wierzbnej, Boguchwał i Piotr Kusza. Wszyscy rycerze najbliżsi. Dalej zobaczył swą żonę, Annę, która uśmiechała się delikatnie, jakby tym uśmiechem chciała mu osłodzić chwilę gorzocy. Przelknął ślinę i przywołał do siebie Raclawa ze Strzelna, po czym tak rzekł do kasztelana:

- Długo trwać to nie będzie. Szykujcie miasto do obrony.

Zaczął wydawać dyspozycje Rościsławowi, bliskiemu dworzaninowi, by w te pędy gnał do Sandomierza i jeśli miasto się oprze wrogowi, próbował z Bolesławem się rozmówić,

tego nie było, to by gadał z wojewodą sandomier- ^ Pakosławem Wojciechowicem. Gdy szeptał coś na "Rościsławowi, wtedy ze stukiem ostróg weszli do kom- ucll0rycerze Zakonu Najświętszej Maryi Panny. 03 Książę wyprostował się i zmierzył zakonników jasnym pojrzeniem. Czarny krzyż na białych płaszczach był taki prosty i mocny.

Hanna wślizgnęła się pod wielki płaszcz Jeruzalema i przycupnęła przy jego boku, składając główkę na ramieniu.

- Mogę, mości Tatarze? Czy mnie wygonicie? - spytała cichutko. Tak cichutko, żeby nie słyszeli inni, cela była przestronna, ale każde słowo zaraz niesło się echem w pustej przestrzeni.

- Nie wygonię. Toć ja właśnie na ciebie te sidła nastawiam, żebyś ładnie wpadła.

Okrył ją połą płaszcza, jakby ptak jakiś pisklę chował pod wielkim skrzydłem.

- Myszy w łapkę chwytaacie - uśmiechnęła się - to niewielka zdobycz dla takiego łowcy.

- Wielka może nie, ale za to słodczy pełna - wyszeptał, podniósł jej brodę i pocałował.

W kącie zaszeleściła słoma. Wyrzebał się z niej Karlito. Przez chwilę patrzył w stronę okna. W mdłym świetle padającym z niewielkiego wykuszu błyszczał hełm rycerza. Dragiełło modlił się. Karzeł także wykonał znak krzyża, a potem padł jak kłoda na posłanie. I gadać nagle zaczął w ciemności:

- Gdybym to tak naonczas, w klasztorze tynieckim słów anioła posłuchał, żywot stateczny wiódł, trunku nie tykał, a w pokorze trwał w tym, do czego stworzony przez Boga Miłościwego, znaczy się karłem, żebrakiem i garbatym biedaczyną, to bym pewnie teraz gdzie leżał w cysterskiej stajni i nogi trzymał w ciepłej podściółce, albo i grzał się o śpiącego konia. Aleć nie! Taki żywot zem odrzucił i do łba karlego a durnego mi przyszło zostawać rycerskim giermkie mi teraz odpowiedzcie mądry ludzie, na co mi to k Żeby po świecie się tulać, zimno znosić, komary, Węże . sko wodne spadające na głębę, deszcz, Tatarów i na k'0 - ratuj mnie Matuleńko Boża - trąd, co pana mego d i w nim siedzi. Chociaż to jedno może byłoby i dobre jaj^ tak na mnie ów trąd przelazł i zaraził mego garba. Tym sp^ sobem bym się pozbył ciężaru, co od lat mnie dręczy.

Karzeł zerwał się z siana, podbiegł do swego pana i nad stawił mu wygięte obrzydliwie plecy.

- Podrapże mnie, panie, po garbie - rzucił jęcząc i tak wywracając ślepiami, że nawet w ciemnościach panujących w książęcym lochu na zamku sandomierskim błysnęły one, jak dwie białe lilie pływające po bagnie.

Dragiełło przerwał modlitwę i syknął:

- Czyż nie widzisz, chamie przekłety, że pan twój właśnie z Najwyższym toczy rozmowę?

- Garb mi jeno obmacajcie ręką, to trąd przelezie. A jak przelezie, to garb diabli wzięli. Odpadnie.

Już coś chciał pogromca smoków ostrego powiedzieć, lecz się w pół słowa zatrzymał, patrząc na garbusa schylonego pokornie.

- Karlito! - rzekł nagle głosem innym, cieplejszym - Uklęknij, no. O tam, przy ścianie.

- Oj, dobrze, mój panie. Garb mi odleci od trądu waszego-

Giermek rycerski posłusznie uklęknął zaraz pod oknem. Szelest usłyszał, podniósł oczy i ujrzał nad sobą wyciągniętą rękę. Schylił się i czekał aż go rycerz dotknie. Dłoń jednak nad nim wisiała w jakimś geście rozpaczliwym, ni to błogosławieństwa, ni to pożegnania.

- I cóż, panie? Kładziecie? Nic na garbie nie czuję.

Dragiełło znak krzyża drżącą ręką nad czołem karła wykonał. A potem rzekł tak jakoś, że się garbusowi ekliwie zrobiło i poczuł, jakby to tatko z nim gadał, a nie pan.

r m cię Bożym znakiem pożegnam, wierny Karlito. ' . cię na służbie trzymał nie będę, jako mi sumienie pra- ?plu2e) zezwaja złe We mnie weszło, ciało mi gnije, a jako to \*\* "tkie ludzie wiedzą i medyki o tym uczą - trąd się po do- t roznosi. Możem dotyku unikać, jeść z różnych mis, aleć mek zawsze blisko swego pana być musi. Koniec będzie taki że i ciebie trąd chwyci. Tako to, aby cię od tego uchronić z przysięgi giermkowej cię zwalnim i wypłacę ci pięć denarów, byś też miał co z owej u mnie służby. Niech Cię Bóg strzeże na dalszej drodze twego żywota. I Maryja Bogurodzica. I anieli. I święty Jerzy w pierwszym rzędzie. A gdy kiedyś ci się przydarzy znaleźć przy jakim to znaczniejszym panie, tedy bez ochyby rzeknij,

żeś był giermkim rycerza, co za honor sobie ustawił ścigać wszelkie smocze bestie, żmije, gadziny i biesy rogate, aż do końca swego żywota. Czego widzę będzie blisko.

Karlito tak był oniemiały tym, co usłyszał, że aż języka w gębie zapomniał. Klęczał bez słowa, ściskając w garści monety i zabulgotał jakoś dziwnie, jakby mu kto szmatę w gardziel wsadził. Łzy pociekły po grubych, pomarszczonych, pełnych purchli, brodawek i narośli, policzkach.

- Coś to, panie? - załkał - Zaliż wam źle służył? Zaliż was żem okradł? Obmówił? Złajdaczył? Komu sprzedał? A może to was tak zeźliło, co żem gadał tu przed chwilą? O tej tułacze za wami? Aleć to były jeno fraszki, krotochwile garbatego. Kto by o to dbał! Toć ja już sam nie słucham tego, co paplam. Głowa pusta, umysł w garbie, a gęba plecie co chce. Ot, pleciuga wredna. Nie bierzcie do siebie tego, com wyrzekł w chwili omamu, a gdy wam co złego uczyniłem, wybaczcie mi... I ze służby mnie nie wydalajcie... Proszę.

Rycerz stał przed wąskim okienkiem i patrzył gdzieś daleko, a twarzy jego nie widać było. Jeno plecy się unosiły pod wpływem ciężkiego oddechu. W końcu odwrócił się i rzekł:

- Nie w tern rzecz, Karlito. Ty spryt swój masz i mi Sn na opak nie wykręcaj, bo ją dobrze pojmujesz. Ja nie ze ^ ści, ale z tego, że mi los twój i innych jest drogi. Dlatego ° rzekł, co słyszałeś. I z tegoż względu dalej samotnie w dr ruszyć muszę. Kołatać będę i krzyzcęć ludziom: trąd, trąd trąd! Trzymać się możem ostrożnie wzajemnie, z oddali, lec2 na jak długo to starczy? Możem baczenie mieć, nie tykać się jeść gdzie indziej, lecz w końcu dzień nadejdzie, gdy się p0' mylim! Choroba przebiegła jest, już ona drogę znajdzie. Tak więc, sługo mój, znowuż w twych rękach twój los, rozporządzaj nim wedle własnej woli.

Potem dwa kroki wprzód zrobił, popatrzał na pozostałych i prawił dalej:

- Jutro ma się posłuchanie odbyć u księcia. Liczę, że Grzymisława będzie, a może i sam Bolko. Gdy tak się stanie, tedy wszystko po naszymu się potoczy...

- Skąd pewność? - z ciemności dobiegł głos Jeruzalema.

- Gdy ich Konrad uprowadził i trzymał na zamku w Czersku, tedy księżę Henryk Brodaty grupę najlepszych rycerzy zebrał i wyprawił ich w tajną misję. Celem było odbicie Grzymisławy i chłopca. Takoż i nam się udało. Sam po linie się wdrapywałem na zamkowe mury. Bolko dobrze mnie pamięta. I matka jego też. Jeśli jutro mnie zobaczą, pewnikiem memu słowu zawierzą. I Wulfstan tu się znajdzie, gdzie teraz jesteśmy, a my zaś na wolności. Więc się nie lękajcie. A gdy z lochów nas wypuszczą, wtedy przyjdzie nam się pożegnać i w różne strony jechać. Bracia Job, dobrzeście służyli. Bywajcie zdrowi! Hanno, żałuję, że dotąd waszego ojca żem nie odnalazł. Jeruzalemie... Przyjacielu, tak rzeknę... Najbardziej rycerski spośród oszustów i najbardziej szalbierski rycerzu, jakiego znam... Jedź dalej z nimi, prowadź ich i kieruj, a światło niebieskie zawsze pójdzie waszym śladem. Niech was Bóg błogosławi i Panna Przenajświętsza strzeże!

To rzekłszy westchnął głęboko, jakby ciężar olbrzymi z piersi spuścił. Głowę zwiesił. I zastygł.

wtenczas się poderwał Szalbierz z posłania, tuż za nim a opieraj?0 się na jego ramieniu, a bracia Job unieśli się rukując coś w kącie. Jeruzalem rzekł z uniesieniem: P0111 ^?ele to za nami, przyjacielu, mił przejechanych. Snadź

nich pomnisz, gdy ci głowę wyziew choroby gorącym oblewa?

postąpił dwa kroki i dotknął ramienia rycerza.

\_ Ileż to będzie razy, gdyście mi życie ratowali, za nic mając swoje? Więtsze pożytki mogąć mieć, wyście ku temu zawsze byli, aby wedle honoru postąpić. Tak i teraz chcecie uczynić. Ino na to zważcie, żem i ja w ogniu kuty! Płomieniem iść mi przez śmierć, chorobę, pogorzeliśko! Nie osta- wię was! Dyc... ważniejsza to rzecz być gdzie trzeba, robić co trzeba, niżli życie uchować... Żywoć ludzki... Ech... Wiatr... Ino wiatr... Mości Dragiełło! Druhu mój! Z wami zostanę... choćby i trąd mnie miał chwycić.

Karlito podbiegł bliżej. Złapał się nogawicy Jeruzalema.

- Ja też z wami, panie, ostanę. Jenó się będę trzymał na respekt.  
- I my z wómi, pon - odezwał się z ciemności tubalny głos.  
- Bracia Job - dopowiedział drugi - Hiob i Niob.  
- Ja chory! Przeklęty! - krzyknął Dragiełło - Precz idźcie, bo ja śmierć rzucam naokoło, jak siewca ziarno. Śmierć i cierpienie. Zaliż nie wiecie, głupcy, co to oznacza?  
Złapał za kołatkę wiszącą u pasa i potrząsnął nią kilka razy. Stukot zdał się piekielnym, tak wystrzelił w mroku. Milczeli patrząc na niego, nikt nawet pół kroku w tył nie postąpił. Gadał dalej głosem niższym, cichszym, lubo ciągle z poświstem jakimś. Pytałbyś - żyw, czy nie żyw? Trup, czy człowiek?  
On słowa z siebie wypychał, a te leciały w ciemność z furkotem, jak nietoperze umykające z wejścia do jaskini.

- Rozum miejcie... Póki my byli w drodze... W śniegach, z oddali, to jeszcze... Aleć my teraz w jednej klatce, jak szczury...

- Jutro, jeśli nie Grzymisławcy wola, to nas ojciec Jacęi namową do księcia skierowaną, uwolni - przerwał mu s<sup>^</sup> bierz - krzyczał za nami, gdy nas pacholki ciągnęły, byś\*, " ducha nie tracili, bo w naszej sprawie siłą dominikańskiego urzędu orędować będzie.

- Karlito, do mnie tu! - krzyknął nagle rycerz.

Karzeł rozejrział się niepewnie, ślinę przełknął ze strachu ale podszedł. Pan jego, uniesiony jakimś obłędem, jakimś duchem szalonym, który po przodku odziedziczyć musiał wyszarpnął zza pasa mieszek z hubką i krzesiwem.

- Siana wiecheć weź z posłania i podpał - rozkazał.

Garbus na kolana padł i zaczął krzesać. Zaraz iskra skoczyła, płomień rozpałił się prędko na suchej wiązce i rozświetlił loch, rzucając na ścianach wykrzywione cienie. Nad ogniem, jak trup z grobu podniesiony, stał Dragiełło z ręką wyciągniętą do przodu. Wąskie paski bandaża wisiały koło łokcia, ukrywając przedramię. Tuż za dłonią zaczęły się zmiany gnilne. To właśnie im rycerz pod oczy podsunął.

- Widzicie to? Otóż jest miejsce, gdzie mnie ugryzł złodziej. Albo to raczej diabeł w skórze rabusia. W Kijowie. W klasztorze dominikańskim. Umykał z kielichami, chciałem go ucapić i wtedy wpił mi zęby w rękę. Tak mi trąd zaszczepił. Jeśli i wy gnić nie chcecie, to mnie ostawcie.

Hanna na widok trupiej kończyny zachwiała się i osunęła na kamienie. Drżała mocno, dzwoniła zębami, a po chwili oczy jej bielmem zaszyły i ślina puściła się z ust. Szalbierz uklęknął przy niej. Zaczęła krzyczeć.

- Piasek leci! Z góry na dół leci! Ziarna jego, jak mrówki. Coraz mniej. Pusto. On skończył się! Płyną czarne stada, łomocą, walą mi w głowę kopyta, dziesiątki, tysiące! Które? Patrz, nie darmo stój. Giń, jak stoisz! Jedź! Pierwszy, Drugi, Trzeci - gdzie oni? Czwarty, Piąty - gdzie oni? Szósty, Siódmy - czemu to was nie ma? Zginiemy, wszystkie pogi- niemy! Ręce mi się palą, dół ziemi ciągnie, nogi - ryby potworne jedzą, a tam zimno w dole! Kochany, pędź! Mnie

w a konia chwyć! Wprzódy, póki czas! Rycerzu, tysiąc ostaw-  
twoich za jedną moją. Ty bieżaj tam, gdzie nie ma drogi  
ran

„tej, a w dół biegnie. Wywróć Słońce. W drzewach szukaj o co jest tam' gdzie myślisz, że tego nie ma. SEDELAI EBREHEL. Nadchodzi! Szatan powstał, jego armia płynie, dusi, wali, a wy śpicie! Gdzież teraz? Śmierć, czy hańba? Nie lękajcie się! On was ochroni! Miecza trzeba! Piasek się skończy}. Nadeszła godzina!

W tej właśnie chwili nocne niebo nad Sandomierzem przecięła kometa. Wlokąc za sobą ognisty ogon, płonący pocisk, wystrzelony z tatarskiego poroka, przeleciał nad dachami miasta i uderzył w grupę drzew stojących na jednym ze wzgórz. Zapłonęły jak pochodnie.



Czas się skończył w Sandomierzu, 13 lutego, w sam Popielec. Zaczęła się pokuta. Popiół miał posypać się na wszystkie głowy.

W kościele Świętego Jakuba skończyła się kompleta. Zakonnicy odeszli szurając podszewkami o kamienną posadzkę. W prezbiterium pozostał jeden z nich. Nie wstawał z kolan i nie opuszczał wzroku, patrzył na jaśniejącą różowym blaskiem alabastrową figurę Matki Bożej. Płomienie świec, drżąc delikatnie, nadawały jej twarzy taki wyraz, jakby się do niego uśmiechała.

Braciszek w dominikańskim płaszczu bezwiednie, raz za razem, wymawiał słowa psalterza maryjnego, lecz się po prawdzie na nich nie mógł skupić. To żarliwie prosił Bogurodnicę o łaskę głębszej wiary, to znowuż rozmyślał o tem, w jaki sposób pomoc nieść przyjacielom, którzy gdzieś w zaniknięciu czekali na widzenie z księciem sandomierskim. Tego zaś już w mieście nie było, także i matki jego, Grzy- mnisławy. Bolesław zwiedziawszy się o nadchodzącej potędze tatarskiej z grodu wyjechał, w kierunku Krakowa, by ratunku szukać u moźnych rodów, a gdyby tam go nie znalazł, wtedy na Węgry uciekać.

Zakonnik gdy się o tym dowiedział, tedy próbował wojewodę Pakosława, na to mu jednak odpowiedziano, it ciechowic wyruszył na objazd strażnic i nie wiadomo k<sup>^</sup> wróci. Mógł się więc tylko Jacek z Odrowążów zwrócić do fe? nej instancji o pomoc. I to właśnie czynił przed kijowską Matk Boską, zmawiając kolejne zdrowaśki. Modlił się żarliwie, ale co i raz się musiał do porządku przywoływać, tyle mu myśli do głowy przychodziło, psując rytm kolejnych Ave Maria.

Splótł Jacek mocno palce, zacisnął silnie, aż mu się biel pokazała na kostkach. I prosił o wsparcie tę Siłę, która większa jest od niego samego.

- Jakaż Twoja wola, Panie? - pytał i dodawał - Daj mi jeno siłę do jej spełniania.

Gdy tak mówił drzwi się rozwarły i stanął w nich braciszek Hieronim. Wiatr mu rozwiewał habit na wszystkie strony, jak to zwykle wichher czyni posłańcom złych nowin.

- Tatarzy podchodzą!

Tyle zdołał krzyknąć i pobiegł dalej, klekocząc podszewkami. Jacek przyjrzał się twarzy alabastrowej panienci i rzekł:

- Gdy czuwasz nad nami, wszystko musi się na dobre obrócić.

znał<sup>^</sup>

Potem oparł czoło na dłoniach i trwał chwilę w milczeniu, z zamkniętymi oczami. Nagle zerwał się na równe nogi. Potem wybiegł w noc i śnieg. Wydostał się z kościoła północna furta i skręcił za absydę. Stąd się roztaczał dobry widok na miasto ulokowane na innych wzgórzach. Obok niego już stawali inni dominikanie. Wszyscy z przerażeniem wpatrywali się w dal. Część widoku zasłaniała wieża kościoła Świętego Jana. Leżące dalej kościoły Świętego Mikołaja, Piotra i kolegiata Najświętszej Maryi Panny tworzyły ciemne bryły na tle jasnego nieba. Po lewej, w oddali, był płaskowyż drugiego grodu, z wielką masą dachów, ostrych szczytów i wież kościołów, Świętego Pawła, Magdaleny i wreszcie Świętego Ducha. Wszystkie dzwony Sandomierza biły na trwogę, w jednym wielkim, opętańczym tańcu rozhuśtanych płaszczy

Głęboki ton dziesiątków uderzeń mieszał się w jedną ' - panicznego strachu, jaki ogarnął miasto, jakby to

meloaię i-i

ł serce przerażonego człowieka.

Od strony traktu na Zawichost wyfruwały w niebo ogni- wstęgi- zakreślały na niebie szeroki łuk i lądowały w najmniej oczekiwanych miejscach, a każdy ich upadek nowy ożar powodował i nowe zamieszanie.

Zakonnicy stali milcząc, smagani zimnym wiatrem, a różańce przepływały im między palcami, jak niewielkie strumyki paciorków.

W Sandomierzu zaczynał się Dzień Sądu.

Żółta poświata oblewała ośnieżone dachy, które zaczęły błyszczeć i odbijać światło płomieni, jak olbrzymie zwierciadła.

Stąd, ze wzgórza klasztornego, nie można było dostrzec ani krzyczących ludzi, ani ojców próbujących w rozpaczynie ratować dzieci, ani matek o zwęglonym ciele, jeno rozbłyskujące kwiaty gorejących pocisków, wystrzeliwane z mongolskich katapult i znaczące firmament pomarańczowymi smugami. Coś huczało w powietrzu, grzmiało, jakby to nie ludzka była przyczyna nieszczęścia, lecz z nieba przychodząca, burzą, piorunami i błyskawicami.

Jeden z ojców dominikanów zaintonował Kyrie Eleyson, inni podchwycili. Odrowąż patrzył na wszystko jak skamieniały, lecz naraz otrząsnął się i krzyknął:

- Dalej, bracia! Tam miejsce nasze, gdzie ludzie wzywają pomocy!

I zabrawszy paru ze sobą popędził drogą w dół, ku miastu. Ci co zostali zaczęli furty klasztorne zawierać, a wołać ludzi do obsadzenia umocnień.

Dziewięć białych ogonów jaka w buńczuku Ordu kiwało się na wietrze, jak dziewięć siwych skalpów zdartych z lackich głów. Wódz tatarski, w otoczeniu sztabu, stał na szczycie wzniesienia w milczeniu i słuchał, jak kolejne czwórki jew ców wyłaniają się z mroku, dudniąc kopytami po zaśnieży' drodze z Zawichostu.

Patrzył w stronę miasta wydanego na pastwę płomieni Syn stepów podniósł rękę i dał sygnał do zatrzymania ostrza łu, którego celem było sprowokowanie paniki w grodzie. Ta koż widać było wzmożony ruch, daleko na murach - między bramami Opatowską i Zawichojską kręciło się mnóstwo fo. dzi, którzy, z tej perspektywy, wyglądali jak małe robaczki.

Bajdar złowił spojrzenie Ordu, spojrzenie drapieznika, który choć syty niedawnej ofiary, rzuca się na następną, bo tak mu każe jego natura. Uśmiechnął się do swego wodza i rzekł

- Morinu zunda u metii ąormajlażu a ćirat że bida te- de'erir

Mongolskie słowa łapał wicher i unosił w stronę Sandomierza, dźwięcząc obcobrzmiącymi głoskami, jak diabelskim językiem wymówionymi.

Głównodowodzący sił przeznaczonych do starcia z powierzchnią ziemi polskich księstw, brat Batu-chana, drugi syn Dżodziego, odpiął kołnierz i mrużąc oczy wydał kolejne rozkazy. Ostrzał był już niepotrzebny, wystarczyło zbliżyć się do miasta, opleść je długimi mackami konnych kolumn i po otwarciu bram przez umieszczonych wewnątrz, dobrze opłaconych ludzi, po prostu wpłynąć do środka, jak wielka rzeka. Jeźdźcy ruszyli w dół, by zająć upatrzone pozycje.

Ordu czekał na sygnał z wieży kościoła.

\*\*\*

Bracia Job napaarli na drzwi barkami i pchali tak mocno, że zdawało się, iż im zaraz żyły na grubych, mazurskich czołach pękną. Drzwi były grube, mocne i okute, a w dodatku ktoś najwyraźniej zamknął je z drugiej strony skoblem, czy też żelazną sztabą. Jobowie zaczęli atakować z rozbiegu, żeby kopnięciami

E M i zamek. I to jednak nic nie dało. Z drugiej strony celi

? ł f Karlito. Karzeł wdrapał się na barki Jeruzalema i pró- 1 naruszyć pręt tkwiący w małym okienku. Na darmo. ^^Hanna siedziała w kącie, chowając stopy pod kupkę zate- kłego siana i okrywając się płaszczem Jeruzalema. Dragiełło tał pośrodku pomieszczenia i milczał. Naraz gdzieś daleko, za drzwiami, rozległy się kroki. Ktoś schodził po schodach, brzęcząc kluczami i zatrzymując się przy kolejnych drzwiach i kratkach. W końcu stanął przy ich celi. Mechanizm zgrzytnął raz i drugi, strzelił z metalicznym hukiem i drzwi skrzypiąc niemilosiernie na zardzewiałych zawiasach otworzyły się. W progu stała kobieta. Czarne włosy opadały jej kaskadami na ramiona, a oczy świeciły szalonym blaskiem w świetle pochodni trzymanej nad głową.

- Krutynią - wyszeptał Jeruzalem.

Księżna weszła do środka i rzuciła na ziemię zawiniątek z szablą Jeruzalema i mieczem rycerza.

- Na cóż czekacie? Bieżajcie! - rzekła - u góry, w izbie pachółków reszta waszych rzeczy.

Nikt się jednak nie ruszył. Stali wszyscy w celi, patrząc na nią, jak na zjawę. Krutynią prychnęła ze złością, jak rozdrażniona kotka. Uniosła pochodnię, świecąc po wszystkich.

- Wielu czasu nie macie! - rzekła - Wulfstan tu zaraz będzie ze zbrojnymi. Tam zamieszanie, aleć on chce sprawę z wami załatwić.

Zbliżyła się do Szalbierza i dotknęła go końcami palców.

- Idź! Uciekaj! Wy wszystkie, z życiem uchodźcie!

- Wy idźcie! Ja zostanę i na niego poczekam - rzekł tubalnym głosem Dragiełło i schylił się po swój miecz - mnie już żyć więcej nie trzeba. Jeruzalemie, przed wami życie, mnie już kostucha ramieniem ogarnia. Jam potomek świętego Jerzego i od kołyski ślub uniosłem, by wszelkiego smoka, gadzinę, żmija utłuc, jak tylko zobaczę. Większego gada, niżli owego Wulfstana, żem nie widział. Idźcie wy, mnie ostawcie. Pozwólcie staremu dopełnić z honorem swego losu. Ja tu

zaczekam i naszego starego przyjaciela przywitam. U^H nawet. Żelazem.

Roześmiał się i dotknął ustami głowni Zedrzykaptuf

Jeruzalem stał nieruchomo pośrodku celi i jeno 'nął swym zwyczajem, jakby coś mu gorzkim posmaki w ustach poszło.

Krutynią pochyliła się nad siedzącą pod murem Hanną

- Ładna jest! - rzekła z dziwnym uśmiechem.

Potem chwyciła za jej włosy i poruszała nimi w palcach jak handlarz, co testuje płótno przed zakupem. ?T

- Włosy piękne, chociaż słabe. J^H

Wieszczka patrzyła na księżną jaćwieską pogrążona w swoim świecie, jakby jakieś obrazy nierzeczywiste w duszy widziała poprzez postać niewiasty stojącej nad nią. A Krutynią z błyskiem nagłego ubawu w oczach rzekła:

- Dobrze się palą te włosy. Toć pamiętam, jakoś je Jeruzalemie do ognia cisnął na moim kominku, w Sudovii.

Wyprostowała się i podeszła do kuglarza. Chwyciła go za nadgarstek i ścisnęła mocno. Wyszeptła do ucha:

- Jaksie głupi, to stój i zgrywaj przed panną komedyje. Tyś komediant. Jeno taki, co łańcuchy na targu rozerwać potrafi, ale gdy spętany naprawdę, wtedy na nic sztuczki. A jak jeszcze ci rozum gdzie we łbie się uchował, to na później afekta pozostaw i uciekaj! Czasu mało!

Na koniec ugryzła go w koniuszek ucha. Zaśmiała się, jak szalona i wybiegła z celi. Na odchodne rzuciła znad ramienia, przystając na jednym ze stopni:

- A jak za małąką zatęsknisz, przyjdź do mnie, odszukaj! Drogę do Jaćwieży znasz! Gigi czeka na ciebie... Mój sokole!

Pobiegła na górę.

Jeruzalem spojrział na Dragiełłę i rzekł:

- Rycerzu, nie czas patrzeć na okoliczności. Idźmy, póki czas. Lepiej wroga szukać, niż tu go czekać.

Złapał Hannę za rękę i pomógł wstać. Pociągnął ją za sobą.

Biegnijmy! Reszta potem! \*\* giełło nabrał powietrza w płuca i krzyknął spomiędzy bJnd jeśli Bóg tak chce, naprzód! Wszyscy ruszyli schodami na górę, na powierzchnię.

?vja wieży kościoła Świętego Ducha stanął siwowłosy mężczyzna i chwytając się belki poprzecznej uniósł pochodnię. Na ten znak kilkunastu wojów o twarzach wymalowanych na niebiesko, rzuciło się na obsadę bramy Opatowskiej. Martwe ciała spadały z góry,

rozbrzyzując błoto śniegowe na brukowanym podjeździe, a huk koczujących łomoczących o kamienie był tak głośny, że ludzie na wałach stojący zaczęli się oglądać i jeden drugiemu wskazywać, co się dzieje. Nie masz nic gorszego, jak głos ciała ludzkiego uderzającego z wysoka o ziemię. Wulfstan się na to nie patrzył. Przeszedł wymachiwać pochodnią, gdy mu tym samym znakiem odpowiedziano z oddali, od strony drogi Zawichojskiej. Zbiegł po drewnianych schodkach, wypadł z kościoła i kazał się na konia podsadzić. Zebrawszy z sobą pięciu ludzi ruszył galopem, między domami, w stronę wzgórza kolegiackiego i zamku. Czas to był ostatni na jazdę w tym kierunku, bo na ulicach kłębił się spanikowany tłum. Koń jego wpadł na kobietę w sukni długiej i czepcu eleganckim na głowie. Upadła wypuszczając z rąk dziesiątki ozdobnych szpilek do włosów. Każda wbiła się w błoto, jak niewielka strzała o kolorowej główce. Wulfstan zaklął i konia w bok skierował. Obejrzał się za siebie, w stronę bramy. Tam już jego ludzie, jaćwiescy woje, kończyli robotę. Wyciągnęli wielkie sztaby drewniane idące w poprzek wrót i mające chronić przed taranami. Część z nich Walczyła z napierającymi górą obrońcami. Za późno było jednak dla załogi grodu, by bramę Opatowską uratować. Z przeraźliwym skrzypem zawiasów otwierała się na oścież i chwilę potem już Sandomierz stanął otworem na jeźdźcą. 'Przedna.

Z ciemności runęła w stronę baszty i murów m' • . B chmura strzał. Z dzikim wrzaskiem puścił się drogą pierwszy mingan jazdy tatarskiej. Osiągnął dno parowej czał pędzić w górę, zbliżając się do otwartych wrót.

- Zdrada! Hańba! Zdrada! - krzyczano na murach Kol ? ni Jaćwiegowie ginęli z rąk obrońców. Kilku ludzi dopadło d' bramy i zaczęło ją zamykać, podpierając się barkami.

- Hejda! Hejda! Hejda! - słychać było przeraźliwe wrzaski Tatarów popędzających konie. Tuż przed murami droga była stroma i jeźdźcy musieli unieść się na krótkich strzemionach i w przód ciała wychylić, na głowy końskie. Mongolskie wierzchowce nie były duże, ale bardzo wytrzymałe, teraz robiły mocno bokami, na mrozie dyszały rytmicznym oddechem, ale gnały wciąż przed siebie. Na kilkanaście metrów przed bramą pierwsze harbany napięły łuki, dalej pędząc galopem. Wrota powoli się zamykały. Poszła pierwsza salwa, mierzona w otwór wejściowy, jak rój os wyspanych z gniazda, by oczyścić przedpole ze wszystkiego, co może stanąć na przeszkodzie. Strzały ze świstem przecięły powietrze, nikogo prawie nie raniąc, wbiły się jeno w drewniane części umocnień. Obrońcy przykucnęli za blankami. Ale już po chwili oddział tatarski, pokonawszy najtrudniejszy odcinek traktu, wpadł w bramę. Nieszczęśni sandomierzanie nie zdążyli wrót zawrzeć. Padli rozplątani szablami. Mingan wdarł się do miasta, wlewając nieprzerwanym strumieniem. Pierwsze dziesiątki, po wjechaniu do środka odwróciły się w siodłach i strzeliły w tył, mierząc w piechotę stojącą na wałach.

Zewsząd zaczęły napływać hordy tatarskie i wnet rozpętała się śmiertelna bitwa. Civitas Sandomierensis padało, jak wielkie zwierzę ugodzone w samą gardziel i zalewające się juchą. Tur tak pada, gdy go w zimie wilki najdą - krążą wokół watahą, rozjątrzają, napawają lękiem, a potem nagle jeden z nich skacze, wbija zęby w szyję i zawisa na niej zaciskając

p°1 został zaatakowany w najwrażliwszym punkcie i krtań mu

^HPt - -i'

ale bez nadziei na uratowanie skory.

ca,

'psy Tartaru zamieniły się w bestie rozpalone do białości. Nric nie mogło ich powstrzymać.

Wulfstan pędził ulicą roztrącając ludzi. Tuż za nim gnało jego pięciu wojów. Wrzeszczeli, płazowali naokoło wyciągniętą bronią, lecz na wiele się to nie zdawało. Ogarnięty paniką tłum stał się żywiołem nie do opanowania, niczym pożar, albo powódź. Kto żyw tylko, ten zostawiwszy dobytek w domu, biegł przed siebie, próbując nie utracić rodziny z oczu. Dzieci małe niesiono na rękach, większe umykały na własnych nogach, trzymając się za rąbek sukni matki, za poję ojcowego płaszcza. Co rusz ktoś na ziemię padał, popchnięty i tak zostawał tratowany nogami, kopytami, kołami niewielkich wózków. Jeden wrzask panował, bo się

wszystkie nawoływania, jęki i krzyki zlewały w potworne unisono ludzkiego, przerażonego wycia.

? Krew oblewa mu pysk, lecz on nie puszcza. Trzyma reSZta hordy dokonała rzezi. Tak i tu było - Sando-

Iki zdradzieckie podgryzły, otwierając bramę. Teraz

^ WII\* , : : J\_

,gł tylko bronić się, rżąc i trwając w oporze do koń

Wulfstan przebijał się w stronę góry zamkowej. Spieszno mu było, bo nim się miała krew Lachów po ulicach sandomierskich rozlać, on musiał jedną sprawę załatwić i łbów kilka ściąć. Żywe, znając jego tajemnicę, mogły wiele zaszkodzić dalszym planom.

W każdym razie Jeruzalem i Dragiełło zamknięci w niewoli, pozbawieni oręża, mieli raz na zawsze zniknąć i więcej mu kłopotów nie sprawiać.

Dominikanie stanęli na boku drogi. Jacek patrzył na uciekający bezładnie tłum i co rusz podbiegał, żeby komuś pomóc się podnieść spod nóg pędzących. Tak to kobiecinę jakąś wytargał z cizby, przy wydatnej pomocy brata Egona. Babinka

przysiadła w zaspie, ciężko oddech łapiąc ze zmęczenia i prawiając siwe włosy wypadające spod chusty, rzekła-

- Tatarzy! Diabły! Wdarły się bestie!

- Są już w mieście? - spytał Jacek.

- Nie widzicie, ojcze, co się dzieje? - spytała trzęsąc bro dą - już tam palą i mordują, a ludzi wszytek na postronek biorą!

W teże chwili ponad falującymi głowami uciekinierów Odrowąż dostrzegł rosłą postać w łuskowatej zbroi kładzionej na skórzanym kubraku. Sumiaste wąsiska chwiały się p0 obu stronach pękatej gęby rycerza, jak proporce bojowe na wicherze.

- Pakosław tam jest, na koniu! - krzyknął do braciszków Jacek, a potem zaczął przedzierać się w stronę jeźdźca.

- Wojewodo! - krzyknął, lecz głos jego utonął w zgiełku. Odpychał ludzi, którzy parli z wrzaskiem w stronę parowu i dalej w kierunku bramy Krakowskiej.

Pakosław Wojciechowicz pokrzykiwał na wojów ze swej drużyny. Niektórzy próbowali zapanować nad biegnącym tłumem, inni przedzierali się pod górę, jeden za drugim.

Wojewoda umyślił zatrzymać najeźdźcę ile się da na płaskowyżu miejskim i dlatego słał zbrojnych w okolice kościoła Świętej Magdaleny. Dalej chciał ludzi wyprowadzić i bronić się na zamku, a ostatnie miejsce oporu uczynić na wzgórzu starego grodu, koło Świętego Jakuba i Jana, ciągnąc linię obronną aż do Świętego Pawła.

Plan był dobry, ale tylko w wypadku, gdyby przejścia, uliczki, ścieżki i drogi były łatwe do przebycia. A było na odwrót, wszędzie panował chaos, bieganina i krzyki. Pakosław dwoił się i troił, miotał na wszystkie strony, za dziesięciu jakby był, wydawał rozkazy, wskazywał coś ręką, wysyłał gońców. Dominikanin był coraz bliżej wojewody, lecz w pewnej chwili zobaczył, jak koło rycerza pojawia się kilku ludzi na koniach, wszyscy z włóczniami w rękach i mieczami przy pasach. Jednemu spod szyszaka wystawały długie, siwe włosy.

chu i zsunął się z Konia, niKnąc aominiKaninowi z oczu. r Odrowąż krzyknął, zachłystując się śliną, chciał biec dalej rzez tłum, lecz w tej chwili jakiś gruby mężczyzna z całym impetem wleciał w Bożego sługę.

- Chryste Panie Najmilejszy - zdążył jęknąć dominikanin i tracąc siłę w nogach upadł na ziemię. Grubas pobiegł dalej wrzeszcząc jak zarzynane prosię. Czarny dominikański płaszcz opadł Jackowi na oczy, zasłaniając widok, w głowie powstał mętlik i szum potworny. Czuł tylko uderzenia nóg, kolan i stóp uciekających ludzi. Czyjś but nadepnął mu na palec dłoni. Krzyknął. Zasłonił głowę rękami i wznosił serdeczną, szybką modlitwę o pomoc Anioła

Stróża. Takież i nagle poczuł na ramionach silny uchwyt. Ktoś go ciągnął po ziemi, odpychając biegnących. Po chwili już na boku drogi byli. Płaszcz mu z głowy odsłonięto i Odrowąż zobaczył tuż nad sobą twarz Jeruzalema, a za nią, z tyłu, dwie stroskane gęby braci Job.

- Wy tu? - wyszeptał i dodał przymykając oczy z uśmiechem - Niech Bogu będą dzięki i Najświętszej Paniencie.

Szalbierz spojrział w stronę wzgórza miejskiego. Szalały tam płomienie ponad dachami, a wzdłuż muru, daleko, jechało wielu jeźdźców na małych, krępych konikach.

- Mało czasu! Dajemy tyły! - krzyknął Jeruzalem.

coś krzyżeć ów mąż do Pakosława, a potem tak jakoś

Zaczł g0zab

- Do klasztoru! - wychrypiał do niego dominikanin - Do klasztoru... Domine, procul recedant somnia et nocturnum phantasmata\*. Na górę, do Świętego Jakuba, tam się obro- nim!

- Bracia Job! - krzyknął kuglarz - bierzcie ojca na plecy!

Domine... (łac.) - Panie, niech odstąpią precz od proga, sny i nocnych mar widziadła.

. gospodzie „Pod polskim łbem" było gorąco, dusz- ' no i pusto. Prawie pusto, wszak jeden osobnik leżał twarzą na stole i spał, choć po prawdzie trudno było zaliczyć go za osobę gatunku ludzkiego. Bardziej by można rzec o wieprzu w skórze czleka, z którego ciągiem wietrzał trunek parując równomiernie i powoli ze wszystkich porów w spoconym ciecie. Człowiek ten, niczym baryła bez dna, wsączał w siebie przez cały uprzedni wieczór, a potem i noc całą, kolejne dzbany piwa i miodu, a w końcu padł, mordę ułożywszy na blacie i jeno kałdun przepastny, jaki z przodu nosił, uchro- nł go przed spadnięciem w dół, bo się zaklinował o kant ławy. W takiż sposób przespał pozostałą część nocki i choć wszyscy goście wyszli on dalej chrapał zawzięcie i żadna siła nie mogła go Przebudzić. Nadmienić wypada, iż człeczyna ów żaloszny byłby Pewnikiem z karczmy wydalony tym sposobem, w jaki zawsze oberżyci usuwają natrętów i pijaków - poprzez rozhuśtanie i puszczenie tuż za progiem, aby delikwent wylądował gębą

prosto w rynsztoku. Jednakże, pomimo najszczerzych eh\*\* posługacze nie mieli na tyle siły, żeby unieść kolosa i donieś^ do drzwi. O huśtaniu w ogóle można było zapomnieć

W końcu o świcie, kuchcik jeden stanął koło grilba sa, a potem uniósł do ust duży, myśliwski róg. Zadał, ile ^ w płucach. Dźwięk tego rogu i zmarłego by postawił na nogi Ale nie tego pijaka. Tłuscioch jeno mlasnął. Kuchcik jeszcze mocniej zadał. Wtedy grubas otworzył oko.

- Czego? - sapnął.

- Wstańcie! Idźcie sobie! - wrzasnął mu posługacz nad samym uchem - tak gospodarz kazali!

- Kazali... nie kazali... ja się stąd nie ruszę.

- Po dobroci idźcie, albo was przymuszę.

- Przymus... się nie godzi. Jam rycerskiego stanu.

- Dobrze sobie.

- Będzie dobre, jak ci to obuchem do łba wbiję, chamie.

- Nie gadajcie, ino wstańcie i idźcie już sobie.

Kuchcik po raz kolejny podjął heroiczną próbę. Zarzucił

sobie rękę gościa na kark i próbował wstać, by go unieść. I to był przyczynek do zguby kuchcika - wielka, tłusta łapa takim ciężarem go nagle przygniotła do stołu, że łupnął gębą o blat i nie mógł drgnąć nawet pod naciskiem.

- Janko! - zaczął się drzeć - bywajcie tam, z kuchni!

Wraz drugi posługacz, wysoki i długi, jak grochowa tyka, wybiegł i jął targać ramię, które przygniotło jego towarzysza.

- Puszczaj, bestio! Dyć udusi się chłopina! - krzyczał cienkim głosem, wpadającym w chrypkę, jak to często bywa u młokosów, co poczynają mieć pierwszy meszek pod nosem.

Grubas gapił się na niego spod półprzymkniętej powieki, niczym wielki gad, któremu nogi ofiary sterczą z pyska, a jemu nie chce się dalej przeżuwać, jeno czeka, aż posiłek sam zmięknie.

- Sprowadź mi tu Papagena, to go puszcze - wysapał.

- Jakiego Papagena? Nie znam jegomości!

- A ja swojej ręki nie poznam. Patrzaj, leży kieby kłoda, ani drgnie. Nie przemówisz takiej do rozumu... bo go nie ma.

Janko! - wydarł się znowu przygnieciony kuchcik.

Idźże po Papagena, albo i ciebie ułapię - wysyczało do zieleca monstrum, otwierając drugie ślupię. Że zaś było ekrwione, kaprawe i wybałuszone, a jeszcze i z pyska pokora zionął odór i jad trunkowy, to się chudzieńki Janko nieźle wystraszył. Potrząsnął łepetyną i rzekł:

\_ To biegnę poszukać!

- Bieźaj, ino rychło, coby twój druh przeżył.

\_ Puszczaj go, idę przecież.

Grubas zwolnił trochę nacisk potężnej łapy i zezwolił biedaczynie oderwać się od stołu. Dalej go jednak trzymał za kark, żeby nie umknął.

- Siedź tu przy mnie, kochaneczku i czekaj, milej nam będzie we dwóch - rzekł do kuchcika uśmiechając się szeroko.

- Puść go, łotrzel! - ozwał się nagle ktoś w głębi izby.

Obrócili się i ujrzeli, w wejściu idącym z piwnicy, człowieka, który pod szarą opończą miał wielobarwny strój, cały utkany z ptasich piór.

- A ty kto? - odkrzyknął podпиты grubas.

- Jam Papageno. Szukałeś mnie.

W tej chwili pijak poluzował uścisk i wypuścił z łapy kuchcika, który umknął z izby, rozcierając bolesiwy kark. Janko za nim poleciał, a został po nim jeno unoszący się w powietrzu zapach łożu. Papageno zbliżył się do stołu, wychodząc z półcienia. Położył dłoń na rękojeści zdobnego sztyletu, jaki nosił za paskiem.

- Czego chcesz? - spytał.

Gruby mąż, jak widać miał już doświadczenie w zwalczaniu dolegliwości, które na człowieka przychodzą po całej nocy zakrapianej trunkiem, bo nim z ławy powstał, to się dwa razy wyrznął otwartą dłonią prosto w gębę. A potem się podniósł.

- Jam Michałko z Ciepłowody, rycerz Henrykowy. Tu was miałem szukać i rozpytywać. W gospodzie „Pod polskim łbem”. To i zaszedłem.

Papageno zaśmiał się.

- Poznaję was. Trochę wam zeszło, by do gospod «]

- Miałem pewne sprawki do ułożenia. Przyszedł<sup>e</sup> szukam mego przyjaciela...

- Bocianka.

- Juści.

- Wiem. Chodźcie więc za mną, Michałko z Ciefwod

- Jestże on gdzie tu? Coś wiesz o nim? Żyw? Nie cho ? Gdzie się podział?

- Nie rozpytuj. Chodź.

- Gdzież to mamy iść?  
- Do twego druha. Obaczysz, wszystko obaczysz. Tu nie siedzmy, tylko ruszajmy. Jeśli chcesz Bocianka znaleźć, idź za mną w krok.

Papageno odwrócił się na pięcie i podszedł do drzwi. Otworzył je i rzekł:  
- Zasuń kaptur na głowę, by cię nie poznano. Podążaj za mną o dziesięć kroków. Nie rozglądaj się. Nie patrz za siebie. Nie doganiaj mnie, aż ci zezwolę.

Wyszli na ulicę i zmieszali się z tłumem.

Tyłu psów nikt chyba nie widział w jednym miejscu, nawet stada zdziczałe, które kręciły się w podwrocławskich lasach nie były choć w połowie tak liczne, jak to, które zamieszkiwało cmentarz. Ludzie bali się tu chodzić samemu, trzeba było brać ze sobą dobrego kija i towarzysza jakiegoś, dla otuchy. Czasem pachołkowie miejscy zapuszczali się z siatkami i pętlami na długich kijach, żeby co zwierząt odłowić, ale zdarzało się to rzadko i psy królowały na całej cmentarnej górze. Tutaj miały wiele miejsc, w których mogły się schronić: głazów, pomników i krypt. Za dnia na ogół trzymały się w oddaleniu - biegały gdzieś za nagrobkami - ale wrocławianie i tak woleli przychodzić w grupie, wtedy zwierzęta czuły respekt jako taki przed człowiekiem.

I «(f nocy zaś lepiej było w ogóle cmentarza nie odwiedzać, nim nie pozostać i to nie wiadomo, czy za przyczyną psów, czy też duchów nieczystych, które nocną porą "chodziły z tamtego świata na ten. Tak, czy siak, cmen- nie miejsce dla żywego człowieka.

Mimo tego, do furty miasta umarłych zbliżało się dwóch mężczyzn, w szerokich płaszczach i z kapturami zarzuconymi głęboko na oczy. Śnieg prószył delikatnie, obsypując okolicę białym puchem, a na głowach i plecach obu postaci kładąc osnowę tysięcy jasnych punkcików.

Ścieżka idąca do cmentarnej bramy była zasypana, więc musieli wysoko podnosić nogi. Doszli do furty.

Jeden z nich chwycił wiszącą na szyi fletnię i przejechał ustami po wszystkich rurkach, wydobywając dźwięk, który przetoczył się ponad murem i poszedł gdzieś między groby. Odpowiedziało mu z dala, jak echo, ujadanie psów.

Zagrał jeszcze raz. W idącej przez środek alejce, pojawiła się ciemna postać. Człowiek, który zdawał się być jednym wielkim łachmanem, tyle szmat miał pozakładanych na sobie, szedł zwolna, kuśtykając i podpierając się kosturem wsadzonym pod pachę. Odsapnął przez chwilę, zakaszał i brnął dalej, nieśpiesznie, a z kroku jego znać było, że czas ma dla niego inną wartość, niż dla tych co życie pędzą poza cmentarnym murem.

Hugo Dźgacz mówiono na niego, ale rzadko kto mógł go zobaczyć. Raczej legendy o nim krążyły po mieście. Dźgacz to, Dźgacz tamto, opowiadano sobie - a to kogoś porwał na cmentarzu, a to niemowlę pożarł, a to kota żywego, jako czapki używa. Ktoś widział, jak Hugo nagle z grobu powstał, odrzucając granitową płytę, kto inny, jak latał po niebie, mając na plecach setki skrzydeł nietoperzy. Nie wiadomo, gdzie spał, pewnikiem krył się po różnych grobach, co noc wybierając inny. I dlatego nie mogli go pachołkowie miejscy nigdy znaleźć. Wszystko to byłoby jeno bajaniem dla dzieci, gdyby nie fakt, iż czasem ktoś na cmentarz szedł i nie wracał do domu. Znajdywano go z gardłem poderżniętym, z bebechem rozprutym, a wszystko wyglądało na rob wykonaną narzędziem Dźgacza - kozikiem wykonanym^ stali, a osadzonym w rogu jednorożca.

Reszty zaś dopełniały watahy psów ogryzając ciała nie szczęśników do kości - choć to też ino może być baśń. Me ludzie tak gadają.

Teraz Hugo Dźgacz szedł aleją cmentarną, a na szmatę którą miał na głowie padał sobie, zupełnie się nie lękając śnieg. Śniegowi za jedno.

Za jedno nie było tylko mężczyźnie, który stał za furką i przestępował z nogi na nogę.

- Kto zacz? - spytał swego przewodnika.



- Hugo - odrzekł tamten, błyskając zębami w radosnym uśmiechu.
- Hugo Dźgacz?
- On sam.

Długo trwało, zanim kulas stanął przed nimi. Twarz chował w mroku, a może być, że w ogóle jej nie miał, a jeno czarny, gęsty dym wypełniał kłębowisko gałganów, dając wrażenie postaci ludzkiej. Tak się w każdym razie zdawało grubemu mężczyźnie, który stał przed wejściem cmentarnym, a pewność swą całkiem utracił i zerkał na prawo i lewo, jak spłoszona kura.

- Dokąd zmierzasz, zuchwały cudzoziemcze? - spytał Hugo.
- Jam Michałko z Ciepłowody...
- Nie ciebie pytam - zgasił go Dźgacz.
- Ów rycerz, wybawca złodziejski ze złego terminu na targu, naznaczony olejem - wyjaśnił ptasznik królewski - do Zarastra go wiodę.
- Zarastro dzisiaj nikogo nie przyjmie - odrzekł kuternoga, lecz jednocześnie za kratę chwycił i rozwarł furtę zgarniając nią śnieg do boku - ale wchodź, Papageno. Nie mnie o tym rozprawiać, kiedy będzie dopuszczony. No, nuże, wchodźcie.

Weszli na teren cmentarza, a Dźgacz zamknął za nimi ?cie Chuchnął w końcówki palców wystające ze szmat, k'mi mia' owini?te i zaczął iść, pokazując drogę.

Wokół, wśród nagrobków, zaczęły się pojawiać psy - ?pjerw pojedynczo, a potem w coraz większej gromadzie. Różnej były wielkości, maści i muskulatury, ale wszystkie nisko łby trzymały, kierując ślepia w stronę przybyszów. Słychać było gdzieniegdzie jazgoty i skomlenie, i wydawało się, że bestie muszą być bardzo wygłodniałe.

Michałko przyspieszył kroku. Szedł ostatni i nie mógł się oprzeć chęci niemożliwej, by co i rusz za siebie się nie oglądać. Papageno zaś stąpał rażno i wesoło, a wręcz - co by mogło niejednego zdziwić, zważywszy miejsce, w którym byli - podskakując i podśpiewując.

- Der Vogelfänger bin ich ja, stets lustig heissa, hopsasa!\* Psy zaczęły węszyć i powarkiwac, zacieśniały koło, aż

się rycerzowi z Ciepłej Wody zimny pot puścił po plecach. W pewnej chwili Dźgacz zatrzymał się i zaczął przyglądać grubemu przybyszowi. Obszedł go wokoło i rzekł w końcu, ze swego rodzaju niesmakiem:

- Na takiego to grobu gotowego nie znajdziesz. Trzeba by kopać nowy, albo poszerzać stary. A teraz, przy mrozach, robota niedobra, bo ziemia twardnieje.

Kaszlnął sobie, zatarł ręce i gdzieś z zanadru wyjął kawał śmierdzącego ścierwa, kość z podgniłym mięsem i kawałami wyleniałej sierści. Dał ją Michałkowi.

- Na, weź. Rzuć psom. Tam, dalej.

Rycerz oczy wybałuszzył i ślinę przełknął, starając się pozór śmiałości utrzymać, lecz nie mógł ukryć obrzydzenia.

- Weź, gadam - Hugon Dźgacz był nieustępliwy - rzuć daleko, psy odbiegna, a ty wejdiesz sobie.

- Posłuchajcie go, rycerzu. Do Zarastra droga kręta - dodał Papageno.

Der Vogelfänger.. (niem.) - Łowcą ptaków jestem ja, szczęśliwy jestem, hopsasa!

Grubas różne rzeczy w rękę trzymał, aleć takiego sna wiałego mięsa nigdy. Jednak zaciskając zęby chwycił padlin ' dwa palce i cisnął ją tak mocno, jak tylko mógł, w głąb cment/ rza. Psy poleciały za nią ujadając. Hugon zaśmiał się głośno

- Zreć nie będą. Jeno się tarzać - wyjaśnił.

W tejsze chwili ptasznik królewski zarzucił na głowę Mj chałka worek. I dalej go poprowadził, jak ślepca, między grobowcami. Kręcili się raz w jedną, raz w drugą stronę, aż przystanęli. Hugon uderzył trzykrotnie w nagrobną płytę. xa z łomotem odsunęła się na bok.

- Schodzimy - wyszeptał do ucha Michałka Papageno.

Dzień za dniem płynie, minuta łączy się z minutą, czas rozrywa się na cząstki, kurczy, a potem zlepia w nowe kształty, to szybsze, to wolniejsze, to płynące, jak rzeczka przez łąki, to galopujące jak stado oszalałych koni. Otwór wyrżnięty w deskach dostarcza powietrze. Można je łapać wolniej i szybciej. Można odmówić jedzenia i czekać, aż krew w żyłach zastygnie sama.

W głowie Dobrosława szalały myśli. Dawno stracił rachubę dni, wegetował nie przyjmując pokarmów wpychanych do dziury. Wolał śmierć głodową, niżli tę od przegnicia i robactwa. Zapadł się w siebie, pogrążył się w otchłani własnego umysłu i duszy, tam przeżywał chwile minione, widział we wspomnieniach chłodne, klasztorne mury, maszerował długo ścieżkami przez las, siadał nad strumieniem i moczył nogi, wdychał świeże powietrze przesycone zapachem lipowym, biegł wśród traw o poranku i padał w nie zmęczony, zdyszany, potem obracał się na plecy i patrzył w niebo, a habit nasiąkał mu rosą.

Co pewien czas widział nad sobą twarz chłopca. Wilczek wkładał rękę przez dziurę i wyciskał ze szmatki wodę, która kapiała na spierzchnięte wargi.

- Ignaś! Chłopcze, uciekaj! Mnie już zamordowali, z tobą zaraz też to uczynią! Uciekaj i szukaj Jeruzalema! I Dragiełły! - krzyczał, lecz sam nie wiedział, czy to chłopiec do niego chodzi, czy to kolejna, gorączkowa wizja głowy pogra- w malignie.

I potem mu się zdawało, że płynie w ładowni wielkiego statku razem z krzyżowcami Leopolda\*. Jest ciasno, tak że aż nogi trzeba podkurzyć, by móc spać. Słychać pokrzykiwania przez sen chrapania, jęki jakiegoś, a co rusz zbroja gdzieś zachrząści. I kaszel rwący, wszechobecny. Mrok panuje pod pokładem okrętu cesarskiego, oddychać nie ma czym, taka duchota idzie od spoconych, mokrych, brudnych i śmierdzących ciał.

Czarną wywiesili banderę na maszcie, na znak, że morowe powietrze na pokładzie panuje i płynęli ku Ziemi Świętej, nie bardzo wiedząc, czy kto jeszcze stoi za sterem. Może i stał, jeno z chorych nikt nie miał siły, żeby wyjść na górę, droga bowiem na pokład prowadziła po drabinie przez niewielki otwór. Wspięcie się po jej szczeblach kosztować musiało tyle sił, że nikt by się na to nie odważył. Gorączka i osłabienie organizmu tak były wielkie, że ledwo się mogli unieść, ledwo kubek z wodą do ust podsunąć. Okręt płynął jednak dalej - wręgi i deski w burtach skrzypiały od wysiłku, woda chlupała w zęzie, a czasem słychać było uderzenie dziobu w fale. W ładowni panował nieprzenikniony mrok i tylko pośrodku wpadał do wewnątrz słup światła, oświetlający szczeble drabiny. Ktoś tam stał i wołał. Dobrosław uniósł się na łokciu, by lepiej go zobaczyć. Chciał wstać, ale nie mógł, coś go gniotło na piersiach, jakby dziesięć kolczug na raz założył. Modlić się zaczął, obiecując, że jak chorobę przeżyje, to miecz porzuci i z rycerskiego stanu przejdzie do duchownego, na służbę Najwyższemu Panu. I w tej to modlitwie, odrętwieniu i półśnie trwał długo, aż go zbudził okrzyk:

- Akka! Akka!

Otworzył zapuchnięte oczy i zobaczył niewyraźną postać. Ktoś, w chuście zakrywającej nos i usta, ciągnął na bosaku ciało zmarłego, a potem je wyrzucił za burtę do wody. I po kolejnego trupa wrócił. W końcu i w swoją stronę Dobrosław Leopold VI Austriacki (1176-1230) - książę austriacki, uczestnik V krucjaty w latach 1217-1221.

zobaczył wyciągnięty hak bosaka. Całym wysiłkiem uniósł rękę, pomachał nią i krzyknął:

- Ja żyw! Ja żyw!

Usłyszał stłumione, podniecone głosy. Nic jednak • rozumiał, nie znał madziarskiej mowy, a na okręcie było sporo rycerzy węgierskiego króla, Andrzeja<sup>67</sup>. Ktoś złapał go za ramiona i pociągnął na górę. Po tylu dniach spędzonych w mroku ładowni, wyniesiony pod jasne słońce "Outremer" nie mógł otworzyć oczu, a gdyby się odważył, pewnie by oślepl. Założono mu opaskę na głowę i zdjęto ją dopiero nocą. Wtedy popatrzył na rozgwieżdżone niebo nad Ziemią Świętą, a potem w dal, w stronę niziny Ezdrelon. Następnego dnia, wraz z pozostałym rycerstwem chrześcijańskim miał ruszyć w stronę Basjanu, naprzeciw armii sułtana Al-

Adila68 i jego syna Muazzama. Upadł na kolana i czując pod sobą drobny żwir zalegający ulicę Akki splótł dłonie, wznosząc dziękczynne modły. Potem leżał w namiocie, na brzegu morskim i długo nie mógł zasnąć. Słuchał odległego szumu morza i myślał o tym, że był już po drugiej stronie. Co było jego przeznaczeniem, jeśli Dobry Bóg wyrwał go z objęć śmierci? Zasnął i śnił o gęstych, zielonych lasach. Zbudził go płomień gorejący tuż nad twarzą. W pierwszej chwili myślał, że to saraceni wdarli się do portu i zaatakowali zniemacki obóz krzyżowców. Jednak po chwili dostrzegł, że to nie płomień ogarniający płótno namiotu, lecz pochodnia trzymana nad jego głową. Światło zniknęło i wtedy Dobrosław sięgnął w bok, by za miecz chwycić. Zamiast jednak znaleźć broń leżącą w posłaniu, uderzył ręką o coś twardego. I wtedy z przerażeniem spostrzegł, iż znajduje się w środku dużej drewnianej skrzyni.

Wrócił do swej pustelniczej świadomości z dalekiej po- ., oC|bywanej w zakamarkach umysłu, po czym wes- S głęboko i żałośnie.

W otworze po raz kolejny zajaśniało światło. Pochodnia odskoczyła i nad skrzynią pojawiła się, oświetlona pomarańczowym płomieniem, twarz chłopca.

\_ Ignas! - krzyknął radośnie pustelnik, a po jego twarzy popłynęły?^ dwie, wielkie łzy.

Chłopak przyłożył palec do ust, a potem uśmiechnął się. Zniknął i za chwilę trzymał nad dziurą dzbanek z wodą. Przechylił go ostrożnie i zaczął lać do środka wąskim strumieniem. Dobrosław pił łapczywie dławiąc się. Potem Ignas zaczął pokazywać ich sekretne, umówione znaki. Układ palców i ruchy rąk znaczyły - „cicho bądź!” Pustelnik pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Za chwilę rozległ się zgrzyt pilnika przeżynającego kłódkę. Chłopiec postękiwał z wysiłku, a co pewien czas przerywał pracę i odpoczywał. Potem znów zabierał się za piłowanie.

Dobrosław nasłuchiwał gorączkowo. Splótł palce rąk i począł się żarliwie modlić. W końcu okowy zleciały na ziemię. Ignacy zaparł się mocno i unióś wieko skrzyni. Jakby trumnę otwierał. Pustelnik zmartwychwstał.

Hanna zachwiała się, oparła ręką o ścianę i osunęła, tuląc policzki do chłodnych kamieni. Dreszcz wstrząsnął ciałem kobiety. Jeruzalem przykleknął obok i złapał jej dłonie w mocny uścisk.

- Cóż ci to, miła? Czekaj, chwilę, płaszczka mało, by cię ogrzać, pójdę czego poszukać.

Szalbierz wstał, by za jakim okryciem się rozejrzeć. Opończę już własną jej dał, ale widać mało było, na ten chłód, jaki Przenikał do kości i białogłowę dręczył.

- Stój, ostań ze mną.

Złapała go za rękaw i ściągnęła ku sobie.

- To nie z zimna te ręce - wyszeptala mu do ucha bądź przy mnie. Przytul mnie.

Objął ją ramieniem, przycisnął, spróbował nakryć samym, schować przed światem.

- O tak, tu mi dobrze - powiedziała cichutko.

- Śpij maleńka.

- Spać?

- Śpij. Jak dziecko. Zapomnij o reszcie.

- Zapomnieć. Jak dziecko... - uniosła oczy, patrząc na niego takim spojrzeniem, w którym była aksamitna, gładka, bezgraniczna miłość. Zatracił się w tym wzroku, szaleństwo mu zaczęło kręcić wirem w głowie, serce bić, żyły ogniem palić od środka. Zaczął całować jej powieki.

- Miłuję Cię. Miłuję ponad wszystko. Odkąd żyłem, już cię miłowałem we snach moich - strzelał żarliwymi słowami między jednym pocałunkiem, a drugim - czekałem na ciebie. Czekałem, jeno nie wiedziałem gdzie ty, kiedy przyjdiesz. Tyś moja, na wieki moja. Nie dam cię nikomu wydrzeć. Zabiorę cię, hen, daleko, gdzie wiatr na stepach świszczy. Zabiorę, na koń wezmę i pojedę tam, gdzie łąki bezkresne. Moja ty, jedyna...

- Sokole mój. I jam twoja, na wieki... - rzekła i rozchyliła wargi do pocałunku.

Bóg w tej chwili przyszedł na ziemię i był w tych ust złączeniach, w tych oddechach gorących, a choć oni tego wiedzieć nie mogli, to gładził ich z ojcowską czułością po głowach.

Nie widzieli zresztą nic dookoła, tylko siebie. Zapomnieli całkiem, że gdzieś blisko siedzi Dragiełło i Karlito, i bracia Job, skuleni pod jedną derką, że płonie ognisko rozpalone na posadzce kościoła Świętego Jakuba w Sandomierzu. Zapomnieli, że wokół morze głów było, tych co w murach klasztornych szukali wybawienia od pogańskich ostrzy. O wszystkim zapomnieli i tylko wzajem swoje oczy widzieli płonące żarem.

A nad nimi wisiało czarne niebo, migoczące dziesiątkami gwiazd. Drewniany dach kościoła spłonął doszczętnie, ugodzony setkami ognistych, tatarskich strzał. W górę wznosiły Ł i kie, osmolone ceglane ściany, strasząc wystającymi tu f ^ dzie resztkami stropowych belek. Okno także nie zostało P', dne. Wszędy ludzie leżeli pokotem, siedzieli, grzali się ^wzajem, otulali czym się da i palili niewielkie ogniska. Tylu "peżyło mieszkańców Sandomierza, ilu teraz pomieścił ko- ?. [dominikański i zabudowania klasztorne. Resztę zabili Ta- ^y zaścielając trupami sandomierskie wzgórza, place targowe wąwozy, ścieżki i ulice. Nie wiadomo było, co gorsze: czy wcześniej owe krzyki mordowanych ludzi, płacz dzieci, wrzask gwałconych kobiet, czy teraz - owa cisza potworna, unosząca się nad miastem równie posepnie, jak czarne dymy z dopalających się pogorzeliisk. Jeden jeno dźwięk rozbrzmiewał wkoło - wron i kruków krakanie. Wronie obłoki powstawały nagle, po kilka i ze skrzekiem zataczały koła, daleko, wokół wzgórz, aż nad Wisłę i z powrotem nad Stary Gród i do Nowego Miasta. Tam znów zapadały w zgliszcza, nurkowały w trupań ciszę, by pośród popiołów żywić się ludzkim mięsem.

Miasto było martwe. Klasztor dominikański, jako jedyny ocalał, a wraz nim kilka setek chroniących się tu ludzi.

Tatarzy przez czas jakiś szturmowali klasztorne mury, lecz te były wysokie i dobrze obsadzone, a obrońcy dzielnie na nich stawali. Po kilku wściekłych atakach i podpaleniu dachów Mongołowie odstąpili, po czym zniknęli z miasta tak szybko, jak się pojawili. Kolejne oddziały tatarskich jeźdźców zaczęły spływać ulicami i wąwozami sandomierskimi, łącząc się w jedną wielką rzekę i formując duże rozlewisko nad brzegiem Wisły. Tam zgromadzili tabory, a także wielką masę jeńców. Każdy wojownik tatarski musiał wrócić z wyprawy mając ze sobą zdobycz w postaci choćby jednej niewolnicy. Mężczyzn zatem mordowano, a niewiasty brano gwałtem, często na oczach dzieci, ojców, czy mężów. Co się dało, białogłów i niedorostków, chwymano na arkan jak bydło, wiązano w grupy i pod strażą wysyłano na tyły.

Wielki był płacz i zawodzenie na murach klasztoru dominikańskiego, gdy patrzono w dół, ku Wiśle, na nieszczęsne

duże w powrozach - swoje matki, żony, córki, przezn ne na dalszy żywot w mongolskim jarzmie, a także ilość dzieci, młodzieńców. jj^^^H

Niektórzy krzyczeli strasznie, gdy to widzieli. Jeden nie strzymał, porwał za topór, zeskoczył z muru i p0k!!j w dół, na Tatarów. W połowie drogi został trafiony strzał i upadł martwy.

Jeńcy, powiązani sznurami, odeszli pod strażą brzegiem Wisły, w stronę Zawichostu. - jj^^^H

Wojsko tatarskie uformowało szyki, po czym zniknęło jak senna mara. I zdawać się mogło, że wszystko się tylko przyśniło, że to nieprawda, że diabły siedzą tylko w ludzkiej wyobraźni, a na świat nie przychodzą.

Jednak w niebo wznosiły się słupy czarnego dymu, tliło się dopalające miasto, a trupy leżały wszędzie, jak skoszone zboże.

Ludzie w klasztorze bali się wychodzić i postanowili czekać następnego dnia, by wysłać kilku na zwiady, żeby rozpatrzyli, czy można wracać do miasta. Do tego grobu wielkiego.

Wśród kaszlącego tłumu grupka Jeruzalema grzała się przy niewielkim ogniu. Dragiełło siedział z boku, oddzielony od reszty postawionym na sztorc stołem.

Karlito przyłożył oko do szpary między deskami w blacie, na pana swego spojrział i przyłożywszy dłonie do ust wyszeptał prosto w wąski otwór:

- Panie mój! Jakby tak krzyknąć, że wy trąd macie, to by się ludzie zwiedzieli, żeście są chorzy. A jakby się ludzie zwiedzieli, to by zaraz na stajanie od nas uciekli. Miejsca by my mieli dużo i spokoju. Może krzyknąć?

Nie czekał karzeł zezwolenia, lecz biorąc za dobrą monetę milczenie Dragiełły, obrócił się i oddech wziął, by na cały kościół krzyknąć „trąd!”.

Pe\vn

Nie wrzasnął jednak, bo w tej chwili przez szparę w blacie wyjechało ostrze miecza i ukłuło go w garb.

gębę zamknij, karle, albo się z garbem twym zapozna I Wrzykaptur.  
I ?(arlito gębę sobie łapą zakrył, wybałuszając oczy.

Pomiędzy ludźmi siedzącymi w kościele szło trzech ojców I Łjnikanów. Każdy niósł kielich i dawał hostyję, by ciałem ' 7bawicie'a serca p°krzepić- W końcu i do grupy Szalbierza podszedł jeden z nich. Jeruzalem i Hanna podnieśli na niego oczy.

Stał nad nimi Jacek Odrowąż, uśmiechając się dobrotliwie, jakby dwójkę dzieci nakrył na psotach.

\_ A to gołąbki dwa pod ścianą się tulą - powiedział, nie kryjąc uciechy.

Jeruzalem zerwał się z ziemi, złapał dominikanina za rękę, ścisnął i rzekł:

- Muszę z ojcem pogadać. Na osobności.

Popatrzał na niego Odrowąż i pokiwał głową, jakby tego się spodziewał.

- Dobrze. I ja mam z wami do pomówienia. Przyjdźcie do mnie, do celi. Przejdziecie tam, krużgankiem, do części klasztornych.

- Ale ja sam muszę. Ja... sam.

- Przyjdź. Skończę komunię wydawać i będę czekał. Bracia ci drogę wskażą.

Dalej nad nimi wszystkimi rękę uniośł i zaczął błogosławić:

- Benedicat vos omnipotens Deus et Maria semper virginal

Dalej dwa kroki postąpił i zajrzał za blat stołu, do Dragieł-  
ły. Rycerz uklęknął. Dominikanin sięgnął do kielicha i podał mu hostię.

Pogromca smoków przyjął ją, zamykając oczy. Brat Jacek Położył mu rękę na ramieniu.

- Nie czyńcie tego, trąd - szepnął do niego spomiędzy bandazy potomek świętego Jerzego.

- Dziękuję ci bracie - rzekł do niego Odrowąż - nie znajdziesz słów, by wyrazić, co czuję i myślę, gdy widzę cię

Benedicat vos (łac.) - Niech was błogosławi Bóg wszechmogący i Maryja zawsze dziewica. w chorobie i cierpieniu. Co dzień modłę się za was ws kich. I dziękuję tej Matce Bożej, którą żeście ze mną z pfo cego kościoła wynosili, że takich ludzi jak wy, dane było spotkać.

Świecicie wiarą. Jak pochodnia.

- Trędowata pochodnia. Jam przeklęty.

- Nie przeklęty. Bóg cierpienia nie zsyła. Jeno dobro. A ludzie dobrzy z największego zła potrafią dobro wydobyć. Jak wy.

Potem uściskał rycerza. Na odchodnym jeszcze położył rękę na głowie Karlita.

- Garb mi, ojcze, pobłogosławcie. By zniknął - wyszeptał!

karzeł. I to też, uśmiechając się, dominikanin uczynił.

\*\*\*

W celi paliła się świeca. Jedna prycza stała pod ścianą, zydeł, prosty stół. Krzyż wisiał na ścianie. Tyleż było trzeba dla Jacka Odrowąza. Siedzieli z Jeruzalemem na łóżku.

Dominikanin splótł ręce. Milczał. Szalbierz trzy razy przymierzał się, by mówić i ciągle mu jakoś sił zbywało. Wzdychał. W końcu jednak zaczął:

- Ojczy. Chcę zrzucić ciężar grzechu z siebie.

Jacek popatrzył na niego z ukosa. Uczynił w powietrzu znak krzyża.

- Mów.

- Jestem złym człowiekiem. Albo i tak jest, że jest dwóch we mnie - ten dobry, który kochać potrafi, czynić co piękne i ten zły, który na nic nie zważa i do wszelkiej podłości gotów jest. Jeden z drugim ciągle się we mnie mieszają, aż oszaleć można. Ja... Nawet nie wiem, jak tę spowiedź uczynić...

- To rzeknij, co ci serce dyktuje. Dziesięć przykazań znasz...

- Znam. Wszystkie złamałem. Po kolei. Zabijałem. Cudzołożyłem. Kradłem. Nie miałem żadnych Bogów przed sobą samym. Nie czcilem rodziców, jeno siebie. Pożądałem. Gadałem fałszywe świadectwa, sam byłem świadectwem fałszywym wszystkiego. Fałszywym świadectwem człowieka. A nade wszystko... Nie kochałem Boga. Ni bliźniego. Kochałem siebie.

pominikanin milczał. Szalbierz oddychał ciężko, zbiera-

myśli- Nagle znowu zaczął mówić: \$ \_ zdradzałem. Dla Tatarów za szpiega byłem. Oszuki-  
-ałem przyjaciół. Potem się do tego przyznałem, pokochali mnie, wybaczyli. Uratowałem ich od śmierci, ale mnie schwytano. Przed chana doprowadzono. Zaczęto drzeć pasy 2 pleców, palić ogniem. Kazali wszystko rzec. Rzekłem więc wszystko, byłem słaby. Zaparłem się. Znowu stałem się Tatarem. Przyszedłem mordować, palić, gwałcić - jako i oni. Aż was znowu spotkałem, na kijowskiej ulicy... Nie wiem, czy ja już w piekle, czy na jego progu. Odkąd chłopca spotkałem jednego, niemowę, który mi na wóz wskoczył, tak to całe moje życie zaczęło się odmieniać. Za nim tęsknię, jak za synem. A teraz, tutaj, w tym pogorzeliisku dookoła, tak na mnie przyszło, że...

Znowu umilkł, szukając słów odpowiednich. Jacek dalej ni słowem się nie odzywał, czekając w ciszy na dalszy ciąg wyznania.

- Ojczy, Hannę miłuję całym sercem. Chcę ją za żonę wziąć.

- To już nie jest grzech - w końcu coś rzekł Odrowąż.

- Nie jest. Ale ja niegodny za jej męża być, gdy tyle na sumieniu.

Znowu cisza między nimi zawiła przerywana chrząknięciami Szalbierza.

- To wszystko? - zapytał Jacek.

- Czy wszystko? Nie. Jakbym miał wam, ojczy, wszystko opowiedzieć, to i trzech nocy by nie starczyło. Jam na targach oszukiwał, sypałem truciznę, ludziom dawałem leki fałszywe, kradłem monety biedakom, dźgałem nożem w ciemności, trupów tyle za sobą zostawiłem, co i każdy inny Tatar. Każde z tego, to by starczyło za wszystko. By być potępionym. Na wieki.

Odrowąż pochylił głowę. Płomień świecy zaczął huśtać się na wietrze, migotać, szaleć, jakby go duch jakiś niespokojny oplątywał. Jeruzalem patrzył na niego i ślinę łykał. Zdawało mu się, że się świeca mnoży i jaśnieje kilkoma kami. Potem otarł mokre czoło.

- Ojczy... - zaczął i znów urwał, jakby jakaś potężna sz ta utkwiała mu w gardle - niech będzie, że... to wszystko

Ojciec Jacek uśmiechnął się i rzekł:

- Jeruzalemie. Synu. Grzechy, nawet najcięższe, odku pił za nas Pan Nasz, Jezus Chrystus, cierpiąc na krzyżu. Nie z grzechów więc będziemy rozliczeni, gdy Dzień Sądu nadejdzie. Nie z grzechów, lecz z wiary naszej. Gdy tę masz, gdy przyłgnąć chcesz do tego, co dobre, zostawić co złe za sobą to i drogę do zbawienia sobie otwierasz...

I mówił jeszcze długo. A Szalbierz słuchając jego dobrych słów osunął się na kolana. Gdy zaś Jacek kończył udzielać nauki, po łotrowskiej, tatarskiej gębie płynęły łzy.

- Ego te absolvo. In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, amen<sup>69</sup> - na koniec rzekł dominikanin, czyniąc znak krzyża nad głową Jeruzalema. Potem wstał i rzekł jeszcze:

- Każda spowiedź, by była miłą Panu, poza żalem serdecznym i obietnicą poprawy, zawierać musi jeszcze pokutę i zadośćuczynienie. Jest droga, byś za wszystko co złe, wielkim dobrem odplacił.

- Mówcie, co trzeba. Ja każdym dniem dobrego życia, tamto stare naprawię. Hannę kochał będę.

- Miłość wasza piękna, lecz ja o czym innym myślę. Mam tu dla was, Jeruzalemie, inny sposób odkupienia winy. I to jeszcze tej nocy wam wyłuszcę. Ale pierwszej do kościoła idźcie i mi tu sprowadźcie Dragiełłę. Wtedy wam rzeknę co dalej i jakież ma być twoje... zadośćuczynienie.

\*\*\*

Stali w krąganku klasztornym. Karlito schował się za kolumną i wystawiał łeb to z jednej, to z drugiej strony, podsłuchując o czym to rozprawiają ze sobą Jeruzalem, Dragiełło

• ec Jacek. Co i raz ktoś szedł korytarzem koło nich, lecz 'tak mogli rozmawiać spokojnie, nie martwiąc się o to, czy 'hkto podsłucha. Dominikanin wyciągnął spod habitu duże 'C mo zwinięte w rulon i opatrzone pieczęciami.

- Macie tu pisanie do Czesława. To mój brat, nie tylko rzez kolor habitu, ale i przez więzi rodzinne. Znajdziecie

go we Wrocławiu, w naszym klasztorze dominikańskim, zaraz za wjazdem do miasta. W liście opis tego co się zdarzyło i dla was poręczenie. Trzeba, byście się z bratem Czesławem i tym pismem ode mnie, udali do księcia Henryka Śląskiego. On teraz wszystkie siły polskie zbiera, by z Tatarami walczyć. Jemu wasza pomoc potrzebna.

- Nasza pomoc? Czy nas nie cenicie zbyt mocno? Ja ledwie sił mam, by na koniu jechać - odrzekł rycerz - aleć, gdy trzeba, to i mój miecz będzie na usługi księcia. Jeszcze Dragiełło niejedną godzinę wyśle tam, gdzie jej miejsce. Czyli do piekła.

- I taka postawa wielce chwalebna, lubo gdzie indziej myśli moje idą. Więcej ku temu, co Jeruzalem dla wszystkiego znaczy.

- Ja, ojczę? - zdumiał się Szalbierz - co ja jestem wiecie. Szalbierz i kuglarz jarmarczny.

- Drugi raz spowiadać się nie musicie. Wiem, kim jesteś. I dlatego właśnie myślę, że nie przypadkiem nas wszystkich Bóg postawił na jednej drodze.

- On jeden z Siedmiu! Hanna nam to wywieszczyła - za kolumny wyskoczył Karlito - wybaczcie, ja nie słucham o czym gadacie, tak tylko wiatr tu słowa zawiewa. Hanna nasza wszystko to w gorączce mówiła. Że Szalbierz jeden z Siedmiu. I my także, i pan mój, i ja, i bracia Job, i Dobro- sław, i Ignaś mały. Ich z nami nie ma, ale wieszczba mówi, że się wszyscy razem zbierzem i kraj przed napaścią uchro- nim. Miecz jakiś będzie, co nas ku zwycięstwu powiedzie. Nie przypadek, to braciszkwowie moi, nie przypadek, prawdę ojciec rzekł. Mam tu ze sobą mysz zdechłą, znalezioną w kościele. Możem ją gdzie spalić i z popiołu sypane\_Ł wodę odczytamy przyszłe znaki. Cóż ojciec na to? ^

- Zapał twój gorący cenię, Karlito - uśmiechnął się j minikanin - lecz nie w wieszczbach szukam wskaż'

a w modlitwie i kontemplacji. Wieszczba Hanny była dla ' znakiem. Ale, czy w niej leży siła, która was jednoczy? ę S w czym innym, a mocniejszym? Gdzie prawda jest, a gdZjg fałsz? Na to odpowiedzieć sobie trzeba. Może być, że to co nam się zdaje na pierwsze wejrzenie czymś dobrym, za czym podążać trzeba, dziełem jest szatańskim i wiedzie do zguby Chrystus nam światłem, a nie zabobony!

- Gdzież zabobony, prawda najczystsza! - zaperzył się Karlito - Toć Skumna swoje trzy główki na powale zawiesiła, okadzała dymem ze skrzydeł nietoperzy i już mnie gadała, że rycerski żywot mnie czeka, a nie podły, żebraczy. Takem jej uwierzył i widzicie, że jej wieszczba spełnia się, otom na rycerskiej ścieżce...

- Alej dalej, jako cham prosty. Jeno giermek i sługa - wtrącił Dragiełło.

- Ojcie, panie, czemu to musicie na garb mój więcej zawsze żalości dodawać, niż na nim jest i już go przygniata!

Odroważ uśmiechnął się i uniół rękę, uspokajając karła.

- Chrześcijanin w wieszczbie nie może upatrywać swego przeznaczenia. Co jest dla nas ważne, to słowa Chrystusa, który nam przykazał iść jego śladem ku zbawieniu. Co nam wypada czynić, to w modlitwie szukać wskazówek. Tam jest prawda. I jam się Boga pytał o jego wolę, by jej się podporządkować. A gdym myślał o wszystkim, tedy mi przed oczy przyszedł... Wyście mi stanęli przed oczami. Jeruzalemie.

- Ja, ojcie? - zdumiał się Szalbierz.

- Wy. Boście są prawdziwą odpowiedzią na pytanie, dlaczego to Siła jakaś Wyższa wam wszystkim kazała stanąć na jednej drodze i długim losów ciągiem, podążać ku jakiemuś

• w pierwszej chwili z wieszczbą związanym, w drugiej i<sup>n</sup> zamiarem.

I \* a co z wieszczbą? Dyć... - Karlito wykrzywił usta, jak ^ywdzone dziecko.

Ta jest tylko wieszczba, którą rozum i serce chrześci- • 'skie w zgodzie z chrystusowym zamysłem może odczytać Iteraz t0 Jeruza'em właśnie jest tym, który wszystko nam wyjaśnia.

\_ Czemuż, ojcie? Nie pojmuję - cofnął się kuglarz o krok.

- Nowe Jeruzalem ma przyjść, oto co czytamy w piśmie. Nowe wypełnienie przymierza. To jest przyczyna, droga i cel jednocześnie. Oto dziś, przyjaciele, czas się wypełnia. Oto jesteśmy wobec najazdu sił diabelskich na świat Chrystusowy. Jakby to się czytało Apokalipsę według Jana.

- Lecz cóż jest, ojcie, w Szalbierzu? Gdzie ta odpowiedź? - wtrącił Dragiełło, gasząc trochę świątobliwy zapał, w jaki zaczął wpadać zakonnik.

- On jest między obu światami. Staje na krawędzi. Pół serca ma w stepach mongolskich rodzone, a pół w benedyktyńskim klasztorze. Nowe Jeruzalem. Rzecz jest nie duchowa tylko, ale i w pełnej mierze świecka, a ważka, którą trzeba zoczyć. Ta zaś jest w tej mierze, iż Jeruzalem jest w dobie tej wojny skarbem bezcennym.

- O to już żeście, Ojcie wielbny, za daleko poszli - zbulgotał Karlito - toć to kuglarz, łgarz, komediant i łazęga.

- Święty Piotr trzy razy zaparł się Jezusa, ale Chrystus jego wybrał na następcę i głowę Kościoła. I ciebie, Karlito, ktoś na drodze szlachetnej postawił, mimo żeś nie rycerskiego stanu, a może i swoje sprawki masz na sumieniu. Jak to jest?

Garbus spuścił głowę pokornie.

- Szalbierz jeden ma to, czego nikt inny nie posiada... - rzekł spokojnie Odroważ. Dragiełło wraz z giernkiem przychylił ku niemu głowy. Jakaś matka z płaczącym dzieckiem przechodziła krążankiem. Odroważ poczekał, aż ich J1 i dokończył myśl: - Wiedzę.

Garbus beknął ze zdziwienia. Odroważ położy} r,  
na

ramieniu Jeruzalema.

- Wiedzę o Tatarach i ich sposobie prowadzenia w<y#

0 taktyce i rodzajach oddziałów. O sztuczkach. O luW

1 okrzykach bojowych. O tym, jak szybko jada, ile C2asj potrzebują na zbadanie terenu. O ich wodzach i obyczaj- O tym wszystkim, co do zwycięstwa nam potrzebne. Dr giego takiego męża nie znajdziesz! Szalbierzu, wy jesteście potrzebni u księcia Henryka! Na Śląsku. Tam się obrona przed najazdem tatarskim szykuje, tam ponoć całe rycerstwo ciągnie ze wszystkich księstw. Do mego brata Czesława więc z pismem pojedziecie, a od niego czym prędzej do samego księcia! Ruszycie rankiem. Sanie z końmi, jadło na drogę, kozuchy i broń dostaniecie w naszych stajniach klasztornych.



Dragiełło coś chciał rzec, lecz w tej chwili się kilku zakonników pojawiło, niosąc jakiegoś chorego do infirmerii. Biedak krzyczał i machał rękami, jakby to go jakiś duch niewidoczny atakował i siedział na piersi. Gdy przeszli Szalbierz uklęknął, a za nim i pogromca smoków, i jego giermek.

Ojciec Jacek Odrowąż im pobłogosławił. Noc się zapowiadała ciężka i bezsenna, pełna różnorodnych myśli i przypuszczeń. Gdy się ułożyli na posadzce kościoła, to żaden z nich nie mógł zasnąć.

Karlito najszybciej odplłynął w krainę snu i przyśnił mu się tyniecki Anioł, który nad nim stanął, garb mu odjął, a zamiast tego doczepił swoje skrzydła. Karzeł poczuł się bardzo lekki, wyleciał ponad dach świątyni i z góry sobie patrzył na wszystko. Na koniec kichnął i światła ognisk zgasły.

róz chwycił mocny o świcie. Ciemność powoli IW II ustępowała, a świat cały się zatrzymał, skostniał, zachłysnął zimnem i czekał na jakieś przełamanie, po którym nadejdzie dzień. Przez zlodowaciałe, nieruchome powietrze, przebijał się, jadąc stępą, rycerz na koniu. Zawinięty mocno w płaszcz, zziębnięty do szpiku, nie miał nawet siły zbytnio poganiać wierzchowca, który także, choć pod kropierzem i czaprakiem, skutki mrozu mocno czuł. Z pyska mu para szła, jakby kto w jego gardzieli węgle rozżarzone chował.

jeździec dotarł na dno parowu i musiał zwolnić - niełatwo było jechać pośród trupów. Ciała leżały przysypane lekką warstwą śniegu, sinobiałe, zastygłe w przedziwnych Pozach przedśmiertnych konwulsji.

Dragiełło począł koniem manewrować tak, by zabitych nie trącał kopytami.

Zwierzę czuło zresztą unoszące się wokół duchy zmarłych, poczęło więc rzeć niespokojnie i rzucać się. Rycerz poklepał je, dla uspokojenia, po szyi.

Wokół rosło pole zamarzniętych, trupich kształtów sterczały palce, patrzyły spod śniegu szkliste oczy, Usta; a warte zdawały się coś krzyczeć.

Stado wron uniosło się nagle ze strasznym skrzykiem i wrzeszcząc zaczęło zataczać koła nad rycerzem. Droga skręciła pod górę, rozwidlając się. Jedna odnoga prowadziła dalej w stronę miasta, a druga szła bliżej, acz bardziej stro mo, na wzgórze kolegiackie i zamkowe.

Dragiełło ruszył w stronę resztek kolegiaty. Naraz ruch jakiś dostrzegł, kątem oka, gdzieś za sobą. Odwrócił się W parowie, jak i na drodze idącej koło spalonego kościoła Świętej Magdaleny, leżały setki nieruchomych ciał. Rycerzowi się zdało, iż coś między nimi drgnęło. Wrona? Pies jakiś? Może lis?

Była taka godzina, w której szarość potrafi zmylić wzrok. Coś jednak się ruszało w oddali? Omam to? Czy też prawda?

Dragiełło przetarł powieki. Zmrużył oczy. Nic chyba. Nic nie było. Wiatr tylko pewnie poruszył fragmentem odzieży.

Cmoknął na konia i ruszył dalej, w stronę zamku, gdzie kuszę swoją, Adelajdę, chciał odszukać. Bez niej wszak nie mógł jechać w żadną długą drogę. Jeno kusza mogła pomóc zabić Bestię, gdy w końcu ją napotka.

Rzucił okiem w stronę parowu i znowuż pociągnął za cugle. Jednak coś tam było! Teraz nie mógł się mylić. Może ktoś żył jeszcze? Może ranny? Może jeszcze da się go do świata żywych odprowadzić?

Rycerz zawrócił i zaczął zjeżdżać ścieżką w dół, na dno wąwozu. Położył jedną dłoń na rękojeści miecza i dając baczenie na wsze strony, jechał pozwalając koniowi zsuwać się własnym tempem. Gdy już był blisko miejsca, w którym - jak mu się zdawało - coś się ruszyło, wstrzymał wierzchowca.

Nad ciałem jednego z trupów, odzianego w płytową zbroję i hełm zdobny w ornamenty widniał kształt jakiś, jak zwierzę skulony, acz całkiem nieruchomy. Dragiełło wyciągnął miecz z pochwy.

jsjagle to coś drgnęło, i spojrzęło na rycerza świecącymi jami- Teraz dopiero pogromca smoków dostrzegł, iż dzi- 0łag trzyma w ręku palec oberżnięty trupowi, by z niego ciągnąć pierścien.

Dragiełło nie czekał, lecz zamierzył się na ludzką hienę mieczem.

\_ Giń, trupojadzie! - krzyknął.

Człeczyna, cały poowijany szmatami, odskoczył kwicząc z przerażenia. Palec z pierścieniem wypadł mu z rąk. Zawodząc, jak ugodzone szczenię, nisko przy ziemi, kuląc się, biegł bardzo szybko i skakał między ciałami ze zrećnością zająca. Zniknął za jakimś krzewem, strącając trochę śniegu. Dragiełło rozejrzał się i koło w miejscu koniem zatoczył, wypatrując, czy gdzie jeszcze nie ma innej hieny pobitewnej. Zdawało się jednak, że wszystko wokół spało snem kamiennym. Rycerz powoli zsunął się z siodła i jedną ręką dzierżąc miecz, drugą prowadząc konia, zbliżył się do martwego człowieka. Stał nad nim i przez chwilę przyglądał się twarzy pucatej, od mrozu sinoniebieskiej, z której na dwie strony sterczały wielkie wąsiska. Podniósł palec z pierścieniem, a potem włożył zmarłemu za koszulę.

W tej chwili ciszę rozdarł krzyk dochodzący od wałów miejskich:

- Heeiiddooooo!!!

Za kolegiatą odezwało się drugie:

- Heiiiiiddooooo!!!

Rycerz wskoczył z powrotem na konia i ruszył w stronę zamkowego wzgórza. Nagle dostrzegł, jak zewsząd zaczynają wychodzić szare postaci, płosząc stada żerującego ptactwa. Tysiące wron wleciało w powietrze. Pojawiało się coraz więcej skurczonych i szmatami okrytych ludzi. Twarzy ich nie było widać, jedynie oczy błyszcząły ponad maskami z bandaży. Za uzbrojenie im służyły kije, laski, widły drewniane, czasem jakaś prymitywna siekiera.

- Grobożerzy! - rzekł ze złością Dragiełło i zawrócił konia, by wycofać się w stronę klasztoru dominikańskiego. Ruszył ostro, przeskakując nad zwałami trupów, lecz po chwili H strzegł, że znalazł się w pułapce. Wąwóz został z obu st zablokowany przez Grobożerców. Wzniósł miecz nad so^ i krzyknął:

- Jam jest Dragiełło, herbu Kraplan, rycerz duszy czyst potomek świętego Jerzego! Chodźcie do mnie, trupojady je śli macie odwagę!

Zatoczył koło i mieczem świsnął w powietrzu. Grobo- żerzy zbliżali się powoli, kuśtykając i podpierając się wzajem. Trędowate wyrzutki łączyły się w stada, polując jak padlinożerzy na trupy, krążąc po cmentarzach i pojawiając się zawsze tam, gdzie jakaś bitwa była toczona. Głodni lub rozwścieczeni, mogli się rzucić na żywego człowieka, acz to rzadkim bywało wypadkiem.

Dragiełło przeżegnał się i oczy wniósł ku niebu.

- Dzięki Ci, Boże, iż zginąć mi przyjdzie bijąc gadzinę. Jak mi to było pisane.

Wymierzył w ich stronę miecz i przenosił koniec ostrza to na jednego Grobożercę, to na drugiego, jakby cel sobie wybierał na przyszłe ciosy.

Byli coraz bliżej. Już dobrze widział wychudłe ciała, szmaty obwiązane wokół głów, nóg, przedramion i dłoni.

W pewnej chwili Grobożerzy zatrzymali się tworząc wokół niego szerokie koło.

Jednak nikt go nie atakował, trupojady zaczęły broń po kolei opuszczać. Poszły w dół kije, widły i siekiery.

Nagle jeden z nich osunął się na kolana. Potem następny. I jeszcze jeden. I kolejny. Po chwili wszyscy już klęczeli i wyciągali ręce w geście ni to przyjaźni, ni poddania się.

Rycerzowi gorąco się zrobiło, mimo silnego mrozu. Schował miecz do pochwy. Bardzo powoli uniósł rękę i dotknął pasków materiału, które sam miał na twarzy.

- Boże mój Święty... - wyszeptał do siebie - ... jam już też Grobożerca!

Wstrząsnął się cały od owej myśli. Teraz mu na pamięć

, ?j dzień, gdy Dobrosława odnaleźli w spalonej wiosce

d Wisłą- Tedy to Grobożercy wyszli z lasu i rzucili się na "ich On us'ekł te8° dnia kilku z nich, a krew... Krew trysnęła wtedy w twarz!

\_ jylatko Święta! - krzyknął gorączkowo - więc to wtedy-

Złapał się za brodę i mocno ścisnął bandażę, jakby chciał je zerwać z siebie. Zsunął się z siodła na ziemię i chwiejąc się na nogach potoczył w stronę klęczących stworów.

- Precz! Odejdźcie! Jam nie taki, jak wy! Precz!

Począł machać rękami i krzyczeć rozpaczliwie. Rzucił się na nich nagle, jak dzikie zwierzę, wyjąc przeraźliwie. Zaczęli uciekać, jeden za drugim. Coraz szybciej. Jak zające.

- Precz ode mnie! - krzyknął wysyłając do płuc całą siłę trzewi.

Świat zaczął wirować, jak szalony. Rycerz upadł w śnieg.

Otworzył oczy. Siedział w siodle. Koń stał na drodze wiodącej na zamkową górę. Szumiał wiatr. Spadały z nieba delikatne płatki śniegu. Zadzźwięczały kółka na wędzidle. Nikogo wokół nie było. Jeno w dal się ciągnęło martwe pole - teren usłany ciałami zmarłych.

Dragiełło wstrząsnął się cały, poklepał koni po szyi i rzekł mu do ucha:

- Nie gadaj nikomu o tym, że krzyczałem. A teraz dalej, na górę. Musimy znaleźć Adelajdę. Koń tylko czekał na zachętę. Jak był w ruchu, to nie było tak zimno.

Wpierw Michałko usłyszał gwar. Potem, gdy mu z głowy worek zdjęto, stał przez chwilę trzepocząc rzęsami, niczym dziewczę splonione na widok pierwszego w życiu mężczyzny. Przed nim zaś, daleko i szeroko, rozciągała się podziemna, ogromna katedra. Gdyby głowę zdrzeć, można by

podziwiać wysoko przeplecione gotyckie łuki o wyraz' żebrach, wsparte na potężnych filarach. A gdyby iść wT^ bocznymi nawami, człowiek by się czuł jak w kamień lesie, w którym rosna drzewa o grubych pniach - ko!um z równo ciosanych bloków granitu.

Wielkie prezbiterium było otoczone wysokimi stallami z ciemnego drewna, w którym rzeżane były biblijne sceny maszkarony, diabły wywałające ozór, ryby o węzowatych kształtach, dziwne ptaki o podwójnych dziobach, psiogłow- cy i stwory morskie, królowie babilońscy i rydwany zaprzężone w gryfy. W nawie głównej wisały, podczipione na łańcuchach wielometrowej długości, potężne kandelabry, w których kopciły się dziesiątki świec. Reszta budowli tonęła w mroku.

- Katedra Świętego Dyzmy, pierwszego kanonizowanego łotra - szepnął do Michałka Papageno, łapiąc go za łokieć i prowadząc w głąb - cała jest ukryta pod powierzchnią zie mi.

- Matko Boża - wyjąkał rycerz z Ciepłowody i przeżegnał się - jakże to możliwe? Pod ziemią... A drzwi? A okna?

Zatrzymał się i obejrzał za siebie, w stronę gdzie zwykle w kościołach są szerokie wejścia, obudowane przedsionkami i portalami. Tu jednak takiego nie było. W niewielkiej absydzie stał drugi ołtarz. Nie zobaczył nigdzie rozety, ani po tej stronie, ani nad chórem.

Michałko zadarł głowę i rozejrzał się. W wysokich, wielometrowych ścianach gotyckiego kolosa brakło jakichkolwiek witraży, czy otworów. Jedynie seria manswerków widniała w tych miejscach, gdzie by normalnie budowniczowie okna umieszczali.

- Jesteśmy... pod ziemią? - spytał, nie wierząc własnym oczom i kręcąc się w kółko, jak ogłupiały.

Papageno nie ponaglał go, stał z założonymi rękami na piersi i nawet zdawał się zadowolony, widząc wrażenie, jakie wywołała budowla na rycerzu.

juści, aż po dach - rzekł, nie kryjąc satysfakcji.

\_ Jakżeśmy tu weszli? Krypta grobowa na cmentarzu to szczyt jednej z wież, tamtą prowadzą schody. Liczyłeś stopnie?

-Nie.

\_ Szkoda. Liczba ich taka, jak ilość pokoleń od stworzenia świata-

Grubas zatoczył się w tył, a następnie dwa razy w gębę się pacnął.

- Obudź się, Michałko, obudź się czym prędzej.

- To nie sen - wybuchnął śmiechem królewski ptasznik, a zrzuciwszy szaroburą opończę ukazał się w pełnej kwieci- stości swego stroju z kolorowych piór.

- Chodź za mną - rzekł.

Grubas jednak stał dalej, z rozdziawioną szczęką.

- Święty Michale Archaniele bądź mi ku pomocy! - wyszeptał do siebie - ja trunku za dużo w siebie wlałem, stąd umysł mi się pomieszał.

Katedra cała, we wszystkich nawach, pełna była ludzkiej cizby, która swą kondycją niejednego mogła przyprawić o drżenie łydek, bo już na pierwszy rzut oka widziało się, że to najgorsza miejska szumowina. Ladacznice siedziały w niewielkich grupach, opowiadając sprośne żarciki i wybuchając śmiechem, złodzieje grali w kości, włamywacze uczyli swych pomagierów przeciskania ciała przez wąskie otwory w murze albo między kratami, ślusarze wyginali z drutu wytrychy, a wszędy panowało wielkie rozprężenie, gwar, okrzyki, picie miodu i piwa, tańce i rubaszne pogwar- ki. Szum panował taki, jakby katedra była ulem pełnym ło- trowskich pszczół.

Papageno prowadził Michałka środkiem głównej nawy, roztrącając pijanych zabijaków, odsuwając dziewczę rzucającą się grubasowi na szyję i w przelocie odpowiadającą komuś tak celnie i śmiesznie, że jedna kompania, zgromadzona Pod amboną wybuchła głośnym śmiechem. Rycerz szedł za

ptasznikiem, a na mijane towarzystwo patrzył, jak na z\ senne, nie do końca mogąc ciągle uwierzyć w to, co widzi

Doszli do transeptu i minęli wielką tablicę z kutymi z że laza wotami, przedstawiającymi cudownie wrócone części ciała, które wymiar sprawiedliwości zabierał za karę, a Bóg wysłuchawszy modlitwy oddawał - wisiały tu metalowe sto py, nogi, palce, dłonie, oczy i uszy.

Michałko miał wrażenie, że świat cały oszalał. Wreszcie znaleźli się przy wielkim ołtarzu, na którego stopniach półożeli dwaj strażnicy - opasłe karły w szkarłatnych płaszczykach. Objadali się oni małymi racuszkami, wyciąganymi z koszyka.

Jeden z nich wstał, poprawił czapkę z dzwoneczkami i kołyszac się śmiesznie na boki polecał zapytać, czy Zara- stro przyjmie gości. Wrócił zadowolony i głębokim gestem pokazał wejście.

- Zarastro oczekuje was - rzekł.

Drugi z karłów, korzystając z chwili samotności i pełnej kontroli nad racuszkami, wepchnął je wszystkie w gardziel. Policzki miał tak nadęte, iż zdawało się, że zaraz pękną. Nie mógł prawie oddechu złapać. Gdy zaś jego kamrat spostrzegł racuchową zdradę, wpadł we wściekłość i rzucił się na niego, trzęsac nim i próbując wysypać placki.

Papageno i Michałko minęli tłukące się karły i podeszli do ołtarza. Składał się on z sarkofagu i szeregu płyt kamiennych, układanych jedna na drugiej, a na samym szczycie tej konstrukcji stał marmurowy tron osłonięty od góry baldachimem zawieszonym na rzeźbionych kolumnkach. Na tronie siedział mężczyzna o długich włosach opadających na półnagi, gruby tors. W lewym oczodole miał osadzony zielony kamień, gładko wyszlifowany i doskonale imitujący gałkę oczną. Żywym okiem zerknął na Papagena i Michałka. Zerwał się, nie kryjąc radości, którą wzbudził w nim widok ptasznika.

- Masz coś dla mnie? - spytał.

, Jak zawsze.

Papageno sięgnął za pazuchę i wyciągnął worek wiszący na szyi. Odwiązał sznurek, zagłębił rękę i powoli wyjął ptaka o żółtym dziobie. Zarastro nie mógł ukryć drżenia rąk. Stał przy ptaszniku, jak dziecko czekające na upominek.

- Szpak?

Papageno potwierdził skinieniem głowy i rzekł:

- Już przylatują. Znak, że wiosna za progiem.

- Mogę? - książę podziemnego świata wyciągnął przed siebie obie dłonie. Ostrożnie, jak największy skarb, Papageno przekazał mu szpaka. Zarastro skrył go w dłoniach, nie pozwalając mu zatrzepotać skrzydłami, a potem wrócił na tron, gładząc pióra końcami palców. Dopiero gdy usiadł przypomniał sobie o gościu i nie odrywając oczu od swej nowej zabawki rzekł:

- Witaj, rycerzu, w świecie, który nie istnieje. Jeśli szukasz swego przyjaciela, znajdziesz go tutaj. Możesz z nim rozmawiać, ale on tu pozostanie... Wszystkie tu zostają. Fruwają pod sklepieniem, patrz o tam, w górę...

Roześmiał się i wskazał sklepienia katedry. Teraz dopiero Michałko dostrzegł stada ptaków latające wysoko, i ginące w mrokach spowijających szczyt świątyni.

Papageno pociągnął Michałka za rękaw.

- Tam chodź, tam - wyszeptał.

Przeszli dalej, na sam tył katedry, gdzie w niewielkich kaplicach, rozrzuconych wokół, jak cele mnichów wykute w skałach, paliły się światła. Mieszkali tam dostojnicy podziemnego świata, a do ich siedzib prowadziły drabiny, różnej wysokości - jedne niewielkie, kilkustopniowe, inne bardzo długie, wiązane z wielu pomniejszych. Michałko szedł zadzierając głowę. Gdzieś tam widać było wnętrza cel, pełne kosztowności, złotych przedmiotów, mahoniowych mebli, wschodnich kobierców, misternie kutych szabli i korali nanizanych na wiszące u wejść sznurki. Papageno prowadził grubasa pod rękę i w końcu przystanął, wskazując jedną z kaplic. Za muślinową zasłoną sietU^ tam postać, która się zdała Michałkowi dobrze znaną p tykowane kończyny, wychudzone ciało, koścista gęba ?^ haczykowany nos nie pozostawiały wątpliwości. Był t0 ^

cianek. Chudzielec miał na sobie wielkie, szerokie, związane w tydkach jedwabnymi onucami, buty muzU| mańską modą wywiedzione ostrym noskiem do góry, dług, lejący się, kremowy płaszcz obszywany złotogłównem i deli katną koszulę przepasaną szkarłatną wstęgą. Na głowie zaś wzorem Saracenów kołysał się wielki turban z diademem pośrodku. Leżał, niczym wezyr, na łożu, pełnym zdobnych poduszek i jadł jakiś owoc, starając się opanować sok ciekący po brodzie. Sokiem tym zachlapał sobie piękną koszulę, zaczął więc kłać i energicznie czyścić ją rękawem. ,9

Na ten widok Michałko wybuchnął śmiechem, a śmiał się tak głośno, że aż z sąsiednich kaplic wychynęły zaciekawione głowy sąsiadów. Brzuch grubasa trząsał się na wszystkie strony, telepał, jak góra rozbawionego sadła, a do oczu napłynęły mu łzy. Bocianek zmartwiał. Uniósł się z łoża, odłożył resztę owocu na srebrzystą tacę i podszedł do wejścia, odsłaniając półprzezroczystą zasłonę. Uniósł dumnie brodę i popatrzał z pogardą na rechoczącego tłuszczocha. Trwał tak w milczeniu, aż Michałko w końcu przestał się śmiać, rozłożył ręce i rzucił się na niego, gadając radośnie:

- A tom się ubawił, Bocianek, dyć wyglądasz, jak Maur prawdziwy! Ino cię dać gdzie na plac targowy i ludziom okazać, jako Saracena, co w niewolę wzięty przez krzyżowca! Niechże cię uściskam, gdym cię już odnalazł!

Chudzielec wstrzymał jednak jego rozłożone ręce, a do uścisków najwyraźniej się nie kwapił.

- Kim jesteś, człeku? - spytał.

Michałko zamrugał mocno, jakby nie dowierzał temu, co słyszy.  
Pantalo.

- Jakże to? Druha nie poznajesz?

Tyś obłąkany, biedaku. Ja cię nie znam. Czego chcesz nie mnie?

Co ty gadasz? „Obłąkany”? „Biedaku”? „Czego chcesz ode mnie”?

Rycerz z Ciepłowody szczerwieniał na twarzy i bez ostrzeżenia rzucił się na Bogusława z Bocianowic, wywracając go na ziemię- Turban chudzielcowi spadł z głowy. Bocianek oczy wybałuszył, bo ręce grubasa zacisnęły się na jego szyi.

\_ Znowu dusisz? Znowu? - wyjęczał ledwo oddech łapiąc.

- „Znowu”? - z tryumfem krzyknął Michałko i opuścił ręce, pozwalając się odciągnąć na bok zaniepokojonemu Pa- pagenowi - tu cię mam, łotrze spod ciemnej gwiazdy! Jeśli gadasz „znowu”, toś mnie poznał!

- Ojć już „znowu”, czy nie „znowu” Jakże mam cię poznać, jak ty zawsze nie w porę, albo i tak, żeby co naprzeciw mnie urządzić...

- Naprzeciw tobie? I kto tu obłąkany?

- A naprzeciw, naprzeciw, bo gdy ty jesteś, znaczy to, że chcesz, bym z tobą na powierzchnię wyszedł i katedrę zostawił. Po co insze byś tu nie przychodził. A ja... Zresztą, wejdz do środka, to ci wyłuszcę...

Bocianek zaprosił przyjaciela do swej celi. Papageno zaś, śmiejąc się pod nosem, odszedł i niknąc w przepastnych czeluściach świątyni.

Bocianek poczęstował przyjaciela owocem granatu i usiadł na krańcu łóżka. Michałko zaczął obierać skórkę i zerkać na chudzinę. W końcu rzekł:

- Cóż to za korowody? Co ty czynisz, bratku?

- Przyjąłem się na służbę - rzekł Bogusław.

- Co? - Michałko prawie się udławił owocem - co ty gadasz? Ty? Gdzie?

- A gdzież by? Jak myślisz?

- U tego tam? Dziwaka od ptaków?

- Nie dziwaka, jeno księcia podziemi. U Zarastra.

- Też mi księżę. Rozumu wyzbyty. A zresztą, BoC' dyc tu same łotry, kurwy i złodzieje.

Jakże tu pasujesz h ? rycerzem jesteś, na Boga!

Bocianek smutnie zwiesił głowę. Ale zaraz jakieś błę i mu w oku zajaśniały.

- A nie kurwy same. Bo i szlachetne osoby tu bywają

- Szlachetne?

- A jak. Kilkakroć już widziałem, jak schodami tu wpe|. zały rzędy czarnych zakonników.

- Co gadasz? Duchaki!

- Ano duchaki! Ze świecami byli. Mszę sprawowali A potem i naradę mieli z Zarastrem.

Więc i widzisz, że zbożne cele muszą tu przyświecać temu dziełu. Złodziejstwo jeno jest za powierzchnię rzeczy. Pod spodem zaś samo piękno i jasne cele.

- Bocianek. Czyś ty całkiem oślepl we łbie? Toż cała sprawa jeszcze bardziej się zdaje niepewna, podejrzana. I jedno co może z tego być, to kłopoty.

- Czemuż? - Bocianek uniósł w górę brwi kierując w stronę przyjaciela spojrzenie niewinnego dzieciaka.

- Za kogo się nająłeś u tego księcia ptaków?

- Za pisarza.

- Za pisarza? Toć ty pisać nie umiesz.

- Ale czytam trochę. Na ten przykład różne pisma ukradzione w mieście.

- Tyś oszalał! Rozum zgubiłeś do reszty! Teraz jestem pewien!

Michałko zerwał się i począł nerwowo krążyć po tej komnacie. Złapał Bocianka za zdobną szatę i potrząsnął nim.

- Jakżeś tu trafił?

- Tak jak i ty pewnie. Kiedy cię pacholki wzięli, tom polazł do oberży „Pod polskim łbem”. Tam żem znalazł owego cudaka w piórach. Chciałem cię ratować, pomyślałem, że oni wiedzą, co w mieście się dzieje...

Mnie ratować? Czemu żeś mnie więc przestał ratować? . j t0 przyczyny zamiast przyjaciela szukać tu żeś utknął ^ju Saracena?

Bo mi rzekli, żeś ty na wolność wyszedł, za sprawą księżnej Anny. To myślałem tak:

Michałko wolny jest, o mnie

wnikiem zapomniał, gdzieś sobie siedzi, trunek dobry po- t0 i po cóż mam go niepokoić, od dzbana odciągać?

Michałko wąsy szarpnął, żeby złość zdusić i druha nie poturbować ciężarem a siłą mięśni.

Otarł pot z czoła, rozkraczył się, pięści oparł na pasie i rzekł twardo:

- Bocianek, dość tego! Nie czas na zabawy! Wychodzimy!

- Dobrze - potulnie rzekł chudzina, odkładając turban z niejakim żalem na bok - ino jak?

- Tak, jakeśmy weszli.

- Nie puszczą nas. Jam przysięgę złożył, że...

- Przysięgę? - Michałkowi znowu oczy zaświeciły i już miał chwycić swego przyjaciela za gardło, ale w ostatniej chwili rękę wstrzymał. Strzelił kostkami w grubych paluchach i wysapał:

- Pierwsze są przysięgi ze świata ludzkiego, przed tymi składanymi wobec łotrów podziemnych. Zrzucaj z siebie ten saraceński przyodziewek i ubieraj swoją suknię i kolczugę.

- Nie mogę.

- Jakże to „nie mogę”?

- Tać nie. Sprzedałem.

- Co? Powtórz mi to, co żeś rzekł, bo mi się znowu zdaje, żeś się przesłyszał. Sprzedałeś rycerską zbroję? Komu? Za ile?

- O, za to. I za to... - Bocianek zaczął wskazywać muzułmańskie pantalone i buty z wygiętymi czubkami i koszulę zwiewną i turban - i to jeszcze, o tak.

- Swoją kolczugę żeś oddał za pogańskie szaty? A niech cię diabli! Trzymajcie mnie wszyscy święci patroni, oj trzymajcie, bo zaraz grzech ciężki popelnię, przez m0 H-J na przyjacielu.

- Ani mi się waż.

- Milcz waść! Dajże mi pomyśleć!

Michałko zaczął krążyć po niewielkiej kaplicy, jak wiju naburmuszony trzmiel. Czoło zmarszczyło mu się m Bocianek zaś wodził za nim oczami i jego główka zdawało się kręcić na chudej szyi, jak makówka wisząca na sznurku k ozdobie. W końcu rycerz przystanął, a twarz jego rozświetli) błysk oznajmiający nadejście genialnej idei.

- Gdzież ten ptasznik? Musimy go tu sprowadzić. Leć p0 niego i każ mu przyjść. Rzeknij, że zastałem, albo co innego...

- Po cóż go wołać?

- Zobaczysz! Coś mi się zdaje, że obaj jesteście podobnej cielesności... Zresztą, potem ci wyjaśnię. Teraz biegnij po niego.

I Bocianek pobiegł.

A pół godziny później rycerz Michałko z Ciepłowody był wyprowadzany z katedry przez królewskiego ptasznika imieniem Papageno.

Dwa karły spojrzały na niego z ukosa lecz tym razem ptasznik nie żartował i fraszkami nie sypał. Szedł z głową pochyloną, mocno wtuloną w swój pierzasty, kolorowy strój. Pewnie

dlatego był smutny, że szpak przyniesiony dla Zara- stra zmarł w dłoniach króla podziemi. A to był zły znak.

Drzewa o sinobiałych gałęziach tworzyły nad śnieżną połącią wzór tak niebywałych kształtów, iż całość się zdawała istic cudownym tworem jakiegoś czarodzieja. Ściany lasu tworzyły mozaikę barw, których by żaden malarz nie położył, żaden to pędzel bowiem nie mógłby uchwycić tylu odcieni jasności - od bieli zupełnej, oko bijącej jak promienie słońca, przez błękitną, aż do szarej i srebrnej.

F zaj, jak Piknie! - rzekła głośno Hanna, a z twa- W" ? i taka radość buchała, takie szczęście, iżby mogła Wr^Lt zaraz z futerka czapki, jaką miała na sobie.

. mknęły, ciągnione po lodzie rzeczonym, hurgocząc

V jakby to było w jakiejś radosnej zabawie, w kuligu hrttroskim-

Xyś jest piękna, to i wszystko dookoła! - krzyknął Jezalem i podniósł się szeroko stawiając nogi, by nie upaść. Trzasnął batem nad końskimi zadami, żeby jeszcze zaprzęg

dzie. Gnali prędko, pierwszymi saniami, drugie zostawili daleko w tyle, o stajanie może. Dostali je od ojca Jacka do tego jeszcze dwa siwki pod wierzch, razem z rzędami ?czaprakami.

Jakby mało tego było, to im jeszcze braciszkwowie nakładali zapas jadła i miodu w dzbanach, a środek sań wymościłi kozuchami.

Dragiełło z Szalbierzem i całą resztą wyruszyli z Sandomierza zaraz po mszy porannej. Teraz Jeruzalem stał, dzierżąc wodze, pozwalając by wiatr smagał go po twarzy i wykrzykiwał słowa, zatracając się w pędzie sań:

- Hanno! Miłuję cię nad wszystko! Żoną moją zostań!

- Nie słyszę! - odkrzyknęła. Lód na rzece nie był równy. Sanie skakały na wybojach, na nierównościach i zlodowaciałych górkach. Huczały płozy, waliły końskie kopyta, powietrze w uszach świszczało. Szalbierz puścił wodze, pozwalając by konie same jechały, upadł w kozuchy, tak by się głową położyć na ramieniu dziewczyny.

- Zechcesz za mnie pójść? - spytał, wbijając w nią wzrok i odgarniając jej włosy fruujące kosmykami po twarzy. Ona zaśmiała się ze szczęścia. Spojrzała wysoko w niebo, na chmury ulatujące gdzieś w tył.

- Zechcesz ty mnie? - pytał dalej przekrzykując hałas - Tataro takiego? Dzikusa?

- A na stepy mnie wywieziesz? Uprowadzisz?

- Pewnie, że uprowadzę! Na postronku.

W oczach jej świeciły gwiazdy. Milczała patrząc na w zachwycie.

- Jam twoja! - krzyknęła - na wieki! Uprowadź mnie!

- Żono moja! - z piersi jego uniósł się krzyk radosny ? czał ją całować jak szalony, wpijając się ustami w jej Wat' i zdejmując jej futrzany kaptur.

- Niech się świat cały wali, niech płoną miasta, ale tu wła śnie, na tych saniach, całe życia szczęście moje! - wyszeptaj a ona tego nie słyszała. Mroźne powietrze tańczyło nad nimi furkotały futra i paski skórzane, a oni zapadli się w siebie, zanurzyli szukając wzajem warg i oddechów.

Daleko z tyłu jechały drugie sanie, powożone ręką Kar- lita, który tak był owinięty gałganami od zimna, iż siedząc na koźle wyglądał, jak wielka kula szmaciana przywiązana powrozami do deski.

- Wolniej, Karlito, konie zagonisz! - krzyknął do niego Dragiełło, wychylając się z kozuchów.

- Jeruzalem tak gna! Ja tylko za nim! - odpowiedział wrzeszcząc.

- Nie dopędzisz! Zwolnij, a im daj jechać, jak chcą! Niech się radują, że choć chwilę są sami!



Garbus, jak niepyszny ściągnął wodze.

- A z czego się tu radować - gadał do siebie - toć gołym okiem widać, że Szalbierz usidlony. Jeszcze trochę brakuje, a go ta Hanna całkiem oswoi i będzie chodził na jej pasku, jak posłuszne bydło. Żal to patrzeć, jak ludzie naraz z rozumu schodzą...

I tak mamrotał do siebie, nie zważając czy kto go usłyszy- A na tyle sań, dyndając nogami, siedzieli bracia Job i gapiąc się na umykającą wstęgę zlodowaciałej Wisły śpiewali pieśń o skowronku, który gniazdka wije.

Jeruzalem tymczasem znowu za lejce chwycił, wstał na swoich saniach i z bata zaciął parę razy.

- Nie gnaj! Konie zapędzisz! Mróz jest! - krzyknęła Hanna.

„A miłujesz ty mnie?!”

\_ Odgadnij! - odpowiedziała.

Usiadł przy niej.

- Z czego mam odgadnąć? Z tych oczu?

Chwycił ja mocno w pól i do ust jeszcze mocniej przycisnął a potem zaś dłoń wsadził między sznureczki wiążące jej koszulę pod szyją.

- Czyś rozum stracił? - zaczęła pytać gorączkowo - Tu, w saniach? Na mrozie?

\_ Tu właśnie! Pod kozuchem!

Wystawił głowę ponad obramowanie sań i popatrzył do tyłu.

- Nie widać ich. Zostali w daleko.

Znowu się w nią zanurzył, rozsypując tasiemki, guzy odpinając i gryząc w szyję. Ona broniła się niby, lecz dziwnym trafem wiała siły w to nie wkładając. W końcu także zaczęła kubrak Szalbieza rozpinąć. Rozwiązała sznurki na jego gieź- le i zaczęła całować. Naraz zamarła wpatrując się w jedno miejsce na piersi Jeruzalema. Dotknęła palcem błękitnego znaku tatuowanego na skórze.

- Cóż to? - spytała łamiącym się głosem.

- Nic, zostaw - odrzekł nagle nerwowo, odsuwając się i zapinając kubrak.

Przez chwilę milczeli.

- Czemuś nigdy nie powiedział? - zadała w końcu pytanie, przekrzykując wiatr.

- Coś by to zmieniło?

Usiadł na kozle i ujął lejce, po czym zaciął nimi po końskich zadach. Ona podsunęła się bliżej i wsunęła dłoń w jego rękaw, zaczęła gładzić po przedramieniu.

- Wiele by mogło zmienić. Dla ciebie i dla nas wszystkich. Kto wie? - rzekła przytulając się do mężczyzny.

Jeruzalem naraz pociągnął za wodze, mocno wstrzymując zaprzęg. Konie zarżały dziko.

Sanie wyhamowały. Hanna

unosła się w saniach, podążając za wzrokiem Jeruzal i zaraz jeszcze mocniej do niego przylgnęła.

Oto przed nimi, środkiem zamrzniętej Wisły, szedł teraz szeroki ślad zostawiony przez setki koni. Pojawiał się z bok jak wydeptany trakt, między kępami drzew i wlewał szeroko kim pasmem na lód.

- Tatarzy - szepnął Jeruzalem.

Dziwnym się owe ślady zdały, bo przecież armia mongolska odeszła na Zawichost. Z tego względu Jacek Odrowąż, Drągiełło i Jeruzalem obmyślili plan, żeby na saniach jechać po lodzie, Wisłą, aż do Krakowa, a gdyby szło ciężko, to odbić na szlak idący z Sandomierza na Wiślicę i dalej do serca Małopolski. Po drodze nie spodziewali się na Tatarów natknąć, bo myśleli, że skierują się z Zawichostu na zachód, drogą na Chmielnik i potem dopiero skręcą na południe, ku Krakowowi.

Szalbierz podszedł do śladów tatarskich i przyglądał im się chwilę.

- Jedzie tam gdzie Dragiełło? - krzyknął do Hanny.

- Nie ma ich! - odpowiedziała, otulając się kożuchem.

Po obu stronach rzeki ciągnęły się białe połacie łąk i terenów rozlewiskowych.

Gdzieniedzie, nad zaspami, sterczały kępy starych, suchych traw, pojedyncze drzewa, rachityczne krzaki straszące białymi gałęziami, jak pazurami i jedynie w oddali widać było ciemniejszą linię lasu. Ni ruchu żadnego. I cisza.

Jeruzalem podszedł do sań, wyciągnął szablę i przypasał ją do boku, potem oba kołczany zawiesił sobie przez ramię i z sajdaka wyciągnął łuk.

Hanna patrzyła na niego niespokojnie, starając ukryć zdenerwowanie. Cisza śnieżna zdawała się mrużyć cichymi groźbami, a widoczne w oddali krzewy i cienie, przybierały kształty ludzkich postaci. W końcu i drugie sanie podjechały do nich. Dragiełło wstał, wypatrując co się dzieje, ale pierw-

swoje wypowiedzieć musiał karzeł. Uniósł się na koźle

Zaczął PaPlać:

I Ej tam, Szalbierzu, coście tak do jamorów pośpieszni? Tak żeście konia pognali, że moje aż pozdychały prawie od „ościgu- A wiecie, że kto w gorącej wodzie kąpany, ten pan-

nie obłaskawi. Braciszku moi, toć ja pomnę, jak pewnego razu zem robił za posługacza u jednego białoskórnik. A żona jego, o ta to miała w sobie ciała, i tu i tam. Tedy ja raz za nią do kuchni...

- Karlito, bójże się Boga! Dość gadulstwa i na bok zejdz- że! - odpędził go rycerz sprzed nosa, a potem zeskoczył na lód. Wzrok skierował na długi, wydeptany kopytami ślad i spytał:

- Ilu ich było?

- Tego nie zliczę. Wielu. Tatarzy do jazdy po lodzie kopyta końskie zawijają materiałem miękkim. Nawet śladów więc nie poznasz. Ale patrząc na ten trop, to rzeknę, że mingan ich był, nie więcej. Jechali w tamtą stronę, co i my.

- To ilu w końcu było?

- Tysiąc. Może kilka setek.

- Kie licho ich tu zaniósł?

- Pewnikiem ich puścili na rozpoznanie.

- Rozpoznanie? Znaczy czujka taka, a tysiącem jazdy robiona?

Dragiełło taki gest uczynił, jakby chciał starym zwyczajem swą siwą bródkę potargać.

Natrafił tylko na skrywające twarz bandaże.

- Minać ich musimy bokiem - rzucił Jeruzalem i splunął.

- Może skręcimy tu w ten las i dobijemy gdzie do szlaku na Wiślicę?

Szalbierz popatrzał w tamtą stronę, przelatując wzrokiem po chaszczach nadbrzeżnych, krzakach i głębokich zaspach.

- Źle to będzie z saniami przez te rozlewiska. Ale...

- Cóż „ale”?

- Możem tym ich śladem w przeciwną stronę się p i tak się dostaniem do lasu. A gdy znajdziem gościniec dy odbijemy.

- Dobrze - zgodził się rycerz i stuknął rękawicą w szak, jakby chciał z niego śnieg strząsnąć.  
- jedźmy! W s dłach!

Okulbaczyli dwa wierzchowce i dalej już inaczej pochód ustawili. W pierwszych saniach jechał Karlito z Hanną, Za nimi zaś, w drugich, bracia Job. Na czujce był Szalbierz, a kolumnę zamykał, pełniąc rolę tylnej straży, Dragiełło. Ruszyli w stronę lasu, środkiem wydeptanego śladu. Hanna opadła w miękkie kożuchy, a wzrok jej zaczął błądzić gdzieś w dali. Oddychała ciężko. I nie wiadomo, czy to z racji lęku wobec bliskości Tatarów, czy raczej dlatego, iż na piersi Jeruzalem zobaczyła znak tatuowany farbą i na widok jego całkiem

utraciła zwykły swój osąd rzeczy. Zdawała się znowuż zapadać w dawne stany odrętwienia. Szalbierz popatrzał na nią z niepokojem, a potem ponaglił konia.

\*\*\*

Hugo Dźgacz miał żywot parszywy i takąż parszywą znalazł śmierć. Kiedy pewnego lutowego dnia, roku pańskiego 1241 na wrocławskim cmentarzu, zobaczył wyłaniających się zza dużego nagrobka dwóch obwiesiów, nie mógł przypuścić, iż będzie to ostatni dzień, z wielu parszywych dni jego podłego życia. Gdyby o tym wiedział, pewnikiem by uciekł, nawet biorąc pod uwagę niedogodność w postaci drewnianego kostura, albo też by udał, że ich nie widzi i poszedł gdzieś dalej alejką pogwizdując swą ulubioną piosenkę o praczkach, które nad rzeką wypinały tyłki ku zgorszeniu duchowieństwa. Jednak ni uciekł, ni zaśpiewał, zamiast tego wyjął zza pasa swój kozik.

- A to kędy, panowie? Czy mamy drugiego Papagena? - spytał z diabolicznym uśmiechem na nieogolonej gębie.

Obaj panowie stanęli, jak wryte. Jednym z nich był rycerz Q epłowody, Michałko, a drugim Bocianek, przebrany za Polewskiego ptasznika.

Hugo- nie namyślając się wiele, ruszył na obcych ze swym ezaczem w rękę. Ci się rzucili do ucieczki, Dźgacz popędził nimi, a do pościgu dołączyła się zgraja psów cmentarnych, ujadających, jak wściekłe bestie.

Wtedy to właśnie Hugo popełnił błąd. Jeden, ale za to najważniejszy w jego całym parszywym życiu. Jakiś pies mu pod nogi się zaplątał, więc go zdzielił swoją laską. Pies zawarczał i capnął go za łydkę. Dźgacz z krzykiem poleciał na ziemię. Wyglodniała, cmentarna psia zgraja skoczyła na niego. Tak zginął Hugo Dźgacz. Na wrocławskim cmentarzu, zagryziony przez własną sforę.

«

|rzez południową, „czeską" bramę, wjechał do miasta mężczyzna w podeszłym wieku, o pociągłej twarzy i ciągle smutnych, błękitnych oczach. Ubrany w gruby płaszcz o sobolowym podbiciu, czapkę z barwnym otokiem przeszywanym nitką z nanizanymi paciorkami, buty z doskonale wyprawionej, cielejącej skóry i rękawice o wrzosowej barwie. Na piersiach połyskiwał mu łańcuch z krzyżem ze srebra, w którym osadzone były szlachetne kamienie. Jechał na siwku tak pięknych kształtów, iżby się cesarz nie powstydział takiego konia, a kropierz jego był strojny, szkarłatny i ozdobiony znakiem białego krzyża, zamiast herbu. Ostrogi, strzemiona, sprzączki i guzy lśniły z daleka, co świadczyło o tym, iż słudzy tego jegomości nie próżnują na postojach. Zresztą jechała za nim spora grupa - posługaczy, giermków, koniarzy i do tego kilku zbrojnych.

Pewne było, że postać nie jest to zwykłego autoram a raczej księżę jakiś, rycerz znamienity lubo feudal n ^ bogatej.

Tak i to przechodni wrocławscy przystawali zdun^ kłaniali się, a co poniektórzy to i czapkę zdjęli, ściskając" pokornie w garści.

Zaraz za ottonowym dworem, już za murami, w okol cach dominikańskiego klasztoru, orszak zwolnił. Pan jadą cy na przedzie ściągnął wodze, a swe chłodne, przenikliwe spojrzenie skierował w stronę wózka stojącego przy kościele Świętego Wojciecha. Stał na nim człowiek, o białych oczach pozbawionych źrenic i wyciągając do góry szponiaste ręce wykrzykiwał ostrzeżenia o końcu świata:

- A potem się ukazał na niebie znak wielki: Niewiasta obleczona w Słońce. Miała pod stopami Księżyc, a na głowie koronę z dwunastu gwiazd. Była brzemienna i jęczała w bólach rodzenia. Ukazał się również inny znak na niebie: Smok wielki barwy ognistej. Miał siedem głów i dziesięć rogów, a na głowach siedem diademów.

Ślepiec urwał, a jego oczy zdawały się przebijać przestrzeń wyszukując w niej byty za pomocą tajemnego, niezwykłego instynktu. Chwycił za swój kostur - rzeźbioną, długą laskę ślepca - i wyciągnął go w stronę przybysza. Wykrzyknął:

- Dzięki Bogu Wszechmocnemu, który znak daje, że jest i czuwa, gdy dzień zagłady nadchodzi! Czekałem na ciebie, dwa lata czekałem i utraciłem nadzieję!

Wokół zaczął gęstnieć tłumek gapiów, zaciekawionych nieoczekiwanym zajściem - rzadko to bywa, by pan strojny, z piórami na czapce i pierścieniami na palcach, zatrzymał się na pogwarki z jakim biedaczyną.

Wpatrywał się w niewidomego starca z wyraźnym napięciem, większym od zwykłej ciekawości, każącej ludziom albo to stawać na placu, gdy kat ćwiartuje, lub wiesza albo gdzie przyglądać się chorym i ułomnym, żeby ludzkie nieszczęście podziwiać.

Nagle spytał głośno:

fu me connais, pauvre vieillard?70 Ślepiec aż zachwiał się, na dźwięk tych obco brzmiących słów i odparł:

\_ Bien s?r, que je vous connais, je vous attends ici depuis des années!71

I dale) tak gadali mową francuską, a gapie zniechęceni zupełną niezrozumiałością zaczęli odchodzić.

Ślepiec zaś używał jej z wielką płynnością, jakby się nad Sekwaną rodził. Wsparł się na swej lasce i nie kryjąc wzruszenia, mówił dalej:

- Czekam, a już myślałem, że nigdy się nie pojawicie.

- Wiecie, kim jestem? - spytał jeździec.

- Jakżeby nie! Pamiętam wasz głos, który słyszałem, jak byłem dzieckiem. Wyście są Szymon z Montfort72.

Obcy aż się w strzemionach uniósł, konia pogłaskał po szyi, a potem rzekł:

- Blisko strzelasz, ślepcze, ale nie dokładnie. Nie jestem Szymon z Montfort.

- Jakżeby nie! Głos jednaki.

- Nie jednaki. Może podobny...

- Głowę bym dał.

- Nie dziwota. Jam jest Wilhelm z Montfort, brat Szymona.

- Wilhelm! Pamiętam was. Byliście dzieckiem jeszcze w czasie oblężenia Lavaur. Szymon podniósł was do góry i pokazywał tłumom. Mówił, że trzeba prawdziwym chrześcijanom dobrych dzieci.

- Prawda! I ja to pamiętam. Ale brat mój od wielu lat nie żyje.

- Nie muszę zgadywać, z czyjej ręki zginął.

- Poległ w czasie oblężenia Tuluzy. Kim jesteś, ślepcze>

- Sługą Bożym.

Starzec wyprostował się i znowu uniósł ręce w profety^ nym geście. Zaczął wykrzykiwać:

- Naprzód przeto, żołnierze Chrystusa! Śpieszcie, dzieln' rekruci do armii chrześcijańskiej!

Niechaj powszechny krzyk bóleści Świętego Kościoła zerwie was na nogi, niechaj prze pełni was zapał pobożny, byście pomścili potworną zbrodnię popełnioną przeciw waszemu Bogu!

Mężczyzna przypatrywał się niewidomemu, jakby z mroków pamięci chciał wydobyć wspomnienie tej twarzy. W końcu ściągnął cugle, okręcił konia i rzucił przez ramię twardym głosem, nie oczekując żadnej odpowiedzi, lecz tylko wykonania rozkazu:

- Pójdiesz za mną, starcze!

Skinał na swoich ludzi, by pomogli ślepcowi zejść z wózka, po czym ruszył dalej, kierując się wprost na bramę klasztoru ojców dominikanów.

Pod furta Świętego Ducha, jak co rano, ustawił się tłum biedaków, czekających na darmową strawę. Skurczeni w dziesiątki ciemnych, ludzkich figurek przytupywali nerwowo, łypiąc spod czepców i kapturów w stronę okienka, które zwykle pół godziny po jutrzni rozwierało się z głośnym jękiem. Tym razem jednak okiennica ani myślała drgnąć, choć wszystkie głodne żołądki stojącej w kolejce mierzwy nie mogły się mylić - czas wydawania posiłku minął. Już się jasno poczynało robić, a tu najwyraźniej braciszkwowie sprawę pokpili, bo się żaden z nich nie pokazał i znaku najmniejszego nie dał. Żebrak stojący najbliżej okienka nos przytknął do szpar między deskami i niuchać począł, jak pies szukający żarcia.

- Nicem nie wyczuł! - odwrócił się ze zgrozą malującą się w ślepiach - snadnie się pospali ojcowie, czy jak?

To obudź ich! - wydarł się z tyłu jakiś człeczyna, któ- uje więcej miał wzrostu, niż wyrosnięty cielak. Wyciągnął dług? i przepchawszy się przez innych, począł nią walić ^okno, aż się głośne dudnienie poniosło wszem i dookoła Kijak się żebracy jednak odpowiedzi nie mogli doczekać. Ktoś nad dachy klasztorne wskazał i zakrzyknął: \_ Dymu nie znać! Na kuchni nie napalili? - Co to, mór jakiś na braciszków opadł? - krzyknął jeszcze kto inny, z tyłu kolejki.

Wraz to zadziało, jak okrzyk bojowy: całe się towarzystwo rzuciło do furty i dalej walić w drzwi pięściami, a dobijać się, a kłać, plwać, hukać po próznicy, aż niejeden święty w grobie się przewrócił widząc tyle tałatajstwa używającego imienia Bożego nadaremnie. Ci zaś wzajem się podjudzali, wpadając we wściekłość, tak że można by ich za zgraję psów rozszczekanych wziąć - bo gdy jeden pies zacznie ujadać, to zaraz i reszta będzie za nim szczekać, nawet nie znając przyczyny.

Nagle furta rozwarła się na oścież, a jeden bardziej zapalczywy biedaczyna runął na ziemię, nie znajdując w drzwiach oparcia. Wszyscy żebracy umilkli, gęby rozdziawili, strasząc świat resztą użębienia i cofnęli się zdziwieni, że ktoś jednak w środku był i skoble roztworzył.

W progu stał zakonnik, postury znacznej, bez maski stalowej ale w czarnym płaszczu duchaka, kaptur mając zarzucony na twarz. Z gęby jego strzelała trupia bladeść policzków, broda była zmierzwiona, plugawa, brudna i zarośnięta, a wilcze, przekrwione oczy wyglądały, jakby człowiek ten właśnie z grobu się podniósł, a nie z łożnicy.

Obok niego zaś stał chłopiec kilkunastoletni, młodzieniec o twarzy smutnej i poważnej, z tonsurą na głowie, która znaczyła, iż był do stanu duchownego w nowicjacie szykowany.

Duchak popatrzył na żebraków i znak krzyża uczynił, a ci się rozsunęli nabożnie, dając miejsce do przejścia. Zakonnik ruszył, ciągnąc chłopca za rękę. Zaraz zniknęli za dużym wozem, który zakopał się w błotnej koleinie na środku uj- Drzwi furty zostały uchylone.

Pozbawiony prawej dłoni mamlas, o wyrazie twarzy ry powodował, iż zdawało się, że człowiek ten ciągle się c ° muś dziwi, wsadził łeb w szparę i zajrzał do wnętrza. Pot śmiało wszedł do środka. Za pierwszym śmiałkiem podąży) następni i już po chwili do klasztoru kanoników regular^ od Świętego Ducha we Wrocławiu zaczęła wlewać się miej ska hałastra, węsząc za jedzeniem. Jak stado zwierząt wdzierających się do opuszczonej ludzkiej siedziby, posuwali się ostrożnie, przyczajeni, robiąc po parę kroków, niepewnie i rzucając na boki trwożliwym okiem. Czarni Rycerze budzili powszechnie przerażenie, jednakowoż klasztor pełnił rolę szpitala i przytułku dla biedoty, toteż wielu z nędzarzy wchodzących w onej grupie znała dobrze rozkład pomieszczeń, a wizja bezkarnego obżarstwa w duchaczej kuchni była silniejsza od lęku.

Przykucnęli obok schroniska, stajni i kwartału dla braci świeckich, po czym ścieżką wydeptaną środkiem dziedzińca zaczęli posuwać się w stronę atrium przed kościołem i głównego wirydarza. Nadal żadnego życia nie było znać.

Nagle rozległ hałas od strony latryn. Biedacy zatrzymali się niepewnie, zbijając w grupkę, pchając i klnąc po cichu. Jęli palcami pokazywać drzwi od wychodka podparte żerdką od zewnątrz. Jedni twierdzili, że trzeba to sprawdzić, inni że jeno im to kłopotu przysporzy i trza czym prędzej lecieć do jedzenia, nażreć się i zmykać.

W końcu podeszli bliżej, i zajrzeli przez duży otwór wyrżnięty w drzwiach. W środku, na ziemi leżał brat jałmużnik, który to zwykle o poranku wydawał im darmowe posiłki. Nieszczęśnik związany był sznurem i zakneblowany. Gdy zobaczył kilka żebraczych gąb wciśniętych w okienko, zaryczał, jak zarzynane prosię i wybałuszył oczy.

- Trza by go rozwiązać - rzekł jeden z biedaków, ocierając rękawem smarki z nosa.

j coś wtedy? - spytał go posiadacz dwóch zębów, które I - Hyne musiały służyć do mielenia pokarmów - toć nas

\0 kuchni nie puszczą!

Albo i oskarżą! Że nasza to sprawka! - dorzucił trzeci.

\_ Zrckną.

\_ Zwiążą.

\_ prawdę całą wyduszą.

\_ Ogniem przypalą.

\_ Kołem złamią.

\_ Ze skóry obedną.

- Obwieszą.

- I tyleć będzie. Ot i macie.

Popatrzyli po sobie, zawinęli się i pognali przez dziedziniec, zostawiając jałmużnika w latrynie, tak jak był.

Pół godziny później jeden z duchaków zaczął ciągnąć za sznurek sygnaturki, bijąc na alarm. W klasztorze powstał zgiełk nie do opisania.

\*\*\*

Kuno von Kirchenstein odchylił głowę opierając ją o krawędź balii. Rozluźnił mięśnie, pozwalając opaść nogom na boki, zamknął oczy i zaczął delektować się przyjemnym ciepłem ogarniającym ciało. Pojawił się posługacz z kolejnym cebrzykiem gorącej wody, wlał ją delikatnie przekrzywiając naczynie i ulotnił się zaraz, jak duch, znikając w kłębach pary wodnej.

- Więcej nie trzeba! - krzyknął za nim zakonnik.

Uniósł przedramię pozbawione dłoni na wysokość nosa

i przyglądał się bliznom przez półprzymknięte powieki. Ciągle jeszcze miewał wrażenie, że ręka jest tu, gdzie być powinna i nawet zdawało mu się, że mógłby poruszać palcami, chwycić coś albo zacisnąć pięść - nagle przypominał sobie o swoim kalectwie i wtedy przyglądał się kikutowi, jakby widział go po raz pierwszy. Wiele razy wyobrażał sobie, co zrobi z szaleńcem, który napadł go w pruskiej wsi, gdy go złapie. W

głowie układał nawet drobiazgowy plan szczegó nych tortur. Na tych wyobrażeniach jednak się końc nic nie wiedział o tajemniczym, polskim rycerzu w i wiałej zbroi. Chociaż Kuno niejednego wypytywał. ] nie mógł w rzeczywistości doświadczyć rozkoszy ze po części sobie chociaż zwracał plwając na wszys jakie napotykał w polskich miastach i wsiach. PluJS gdy nikt nie widział, a jedno co go napawało entuz to fakt, iż opluta psina na polskiej się rodziła ziemi | to było i z tego, iż mu się w umyśle zapisało, że pot mu rękę mieczem odciął? Dyc tyle to razy powtarzał! „pies przeklęty na drodze mi stanął" Może od tego i już mu się cosik w krzyżackim łbie pokręciło i wszell przez Polaków chowane szczerze nienawidził? Nie wiad Dość rzec, iż w czasie uczyty na zamku wrocławskim ] pod stołem na myśliwską chlubę śląskiego księcia, ktd chluba nic sobie z jego śliny nie robiła, bo była zajęta sp waniem

wyżebranych resztek. Splunięcie zauważył siedzący obok Poppo von Ostem, pruski mistrz krajowy, który 1 nona zbesztiał mocno na tyle skutecznie, że się więcej' Kirchenstein nie ośmielił hańbić książęcych zwierząt.

Teraz jednak miał dobry humor. Dawno to nie zażył kąpieli, a zimową porą nie było o nią łatwo. Z lubością maczał stopy w gorącej wodzie, delektując się promieniu ciepła.

Nie było mu jednak dane długo cieszyć się przyjemnością. Skrzypnęły drzwi.

- Bracie Kuno? - dał się słyszeć zdławiony głos - Mistrz Poppo prosi byście zaraz przyszli do niego.

- Teraz? W nocy? - Kuno usiadł w balii, otwierając szeroko oczy.

- Sprawa ponoć nagląca.

- Cóż znowu?

- Tego nie wiem. Przyszedł goniec jakiś, z listem. Słyszą tam tylko, że wszyscy bracia mają się udać do naszych nadeń

na gwałt ściągać parobków i co jeno jest ludzi zdalnych „oszenia broni. \_ Dobrze, podaj mi dłoń.

posługacz wślizgnął się do środka i podał rycerzowi dużą, wykonaną ze stalowych blach rękę, zapinaną na przedramieniu za pomocą skórzanych pasków. Potem zaczął wycierać Oju plecy do sucha. Kuno milczał. Myślał o swoim pechu.

Michałko poczuł, jak coś go trąca w piętę. Zdawało mu się, że to jeleni skubiący trawę zbliżył się za blisko i jał go trykać końcem swego rogowego wieńca. Jakżesz to, przemknęło Michałkowi przez głowę, że jelenie już respektu żadnego nie czują przed rycerstwem i żywią się zieloną, tak blisko podchodzą. Świat cały się kończy, po jeleniach to widać. Bydło było uparte, bo trącało grubasa w stopę coraz silniej.

- Precz, jeleniu, albo cię w łeb strzelę! - wrzasnął Michałko.

- Prędzej ja cię, grubasie, strzelę! - usłyszał nad sobą słowa rycerza z Ciepłowodny i w tej chwili przebudził się. Miast jelenia stał nad nim posługacz kupiecki i stukał kijem po nogach.

- Wynocha mi ze straganu! - wrzeszczał, a twarz jego zdawała się pęcznieć ze złości - nie dość, że wśród ryby śpią, łotry jedne zatracone, to jeszcze wyzwą człowieka od jeleni!

- Hola, chamie! Wolnego! Masz czelność z człowiekiem rycerskiego stanu!

- Też mi rycerski stan! Łachudra jedna! Rycerz herbu Go- łodupiec!

Pomocnik kupca zamachnął się kijem.

- Miarkuj! Byś się nie przeliczył! - warknął Michałko i chwytając się, czego można, wstał, z trudem unosząc cielsko. Sięgnął do pasa, by za miecz chwycić, a za nim się ukazała wychudzona gęba Bocianka, który trzepotał rękami, także ze snu brutalnie wybudzony.

- Myśmy tu jeno spali! - wyjąkał.

- Jeno spali! A to mi rycerze! W śledziach sypiają mi z oczu, bo skóry wygarbują, jak nic! Wypchną ich na dwór, łajac na czym świat stoi.

Obaj się przyjaciele znaleźli w sam raz na wrocławski • ulicy. Obwąchali się wzajem, krzywiąc mocno.

- Śledź! - jęknął Michałko.

- Stary. I mocno solony - dodał smutnie Bocianek.

- Masz za swoje - warknął grubas i zawiąwszy się opończę zaczął iść w stronę wyspy Piaskowej - nic tu po nas.

- Jakby imć Bocianek swoich głupot nie wyczyniał w bandyckim światku, z łajdakami się nie bratał, tak i byśmy nie mieli kłopotów.

- Też mi coś. Jam nic złego nie uczynił. A kłopoty się zaczęły, odkąd wielki pan Michałko przyszedł i począł się rozporządzać moją osobą, jak własną, ot co!

- Jam się zaczął rozporządzać? Jam? A kto ci to kazał w saraceńskich szatach przesiadywać? No kto?

- Taka to moja wola! I cóż?

- I jeszcze gada, patrzaj go! A toż, drogi panku, żeśmy teraz zadarli z samym księciem bandyckiej krainy. Wiele więcej trzeba?

- Nie przeze mnie to, a przez ciebie!

Rycerz z Ciepłowody nie zdzierzył i sieknął przyjaciela w łeb, a że łapę miał ciężką, to i Bocianka zamroczyło na chwilę. Stanął bezradnie i gapił się, jak ogłupiały.

Minęli go drwale z koszami na plecach, grupka dzieci przebiegła, śmiejąc się i wskazując go palcami. Kilku się przechodniów zatrzymało dziwując niecodziennemu widokowi.

Bocianek bowiem odsłonił opończę i wtedy się oczom przechodniów ukazał wielobarwny strój uszyty z kolorowych piór.

- Patrzajcie! Komediant! - ktoś krzyknął.

- Ej, ty, kolędnik, zaśpiewaj co! - dorzucił inny.

Michałko zgarnął przyjaciela i próbując ocucić prowadził pod rękę, jak pijanego.

380

Ml

f chodź prędzej, bo zaraz nie jednego sprzedawcę śle- ~ będziemy mieli na karku, ale całą drużynę pacholców miejskich-

Uderzyłeś, zdrajco! - wybełkotał Bogusław ledwo trzy- mając się na nogach.

\_\_ Ciszej! Idziemy! Udawaj, żeś się trunku ochlał! - gadał Vlichalko, udając takiego, co to całonocnej libacji z kornym do domu wraca. Szepnął do ucha Bociankowi: \_\_ Teraz musim się na Ołbin dostać. Nic tu po nas. Potem się między sobą policzymy. Chowaj te pióra pod płaszczem. Cosik mi się zdaje, że ktoś idzie za nami.

I ktoś za nimi szedł, w baranicy mocno związanej w pasie, chowając twarz pod czapką z kozucha owczego. Aleć czy on szedł za Michałkiem i Bociankiem, to już ciężko było powiedzieć...

Kilku ludzi podążało po obwodzie murów miejskich, zatrzymując się przy posterunkach straży. Gdy żołnierze rozpoznawali wizytującego linie księcia, kłaniali się głęboko. Henryk zatrzymał się we wschodniej części obwałowań i skierował wzrok w siną przestrzeń wisząca nad miastem, nad rozlewiskami Odry.

- Ile mamy czasu? - spytał księżę stojącego obok smukłego mężczyznę w szyszaku i żółtej tunice zarzuconej na kolczugę.

- Tego nikt nie wie, panie - odparł Raclaw ze Strzelna - odkąd Sandomierz spalili i pod Turskiem od naszych po łbach wzięli, tak potem naraz się ulotnili i nikt nie wie, gdzie mogą być.

- Odeszli? Całkiem?

- Nie może być. Pewnikiem się ukryli, dla nabrania sił. Może i za Bug przeszli z powrotem, na Włodzimierz. Aleć to nie wypada wątpić, że wrócą, najjaśniejszy panie, wrócą.

Z tyłu pojawiło się kilku zbrojnych, prowadzonym księżęcego rycerza, Jana Iwanowica. Szli z chrzest ^ czug i zbrojnych nogawic, a ich płaszcze świadczyć • przedstawicielami zakonów bojowych. Dwóch miało ' \*\* ^ krzyże czerwone, dwóch czarne, a jeden cały był s niC' w czerń. Gdy przed oblicze władcy doszli, wtedy zdjęli z szyszaki paradne, zdobione piórami i klejnotami herbów po czym włożyli je pod rękę, do boku.

Henryk skinął głową na honor oddany przez zakonników i powiedział:

- Wielcem rad, wielebni ojcowie i bracia, że tu we Wroctawiu służbę pełnicie w winnicy Pana Naszego, Jezusa Chrystu. sa. Wspólna to nasza rzecz, by jej owoce pomnażać i wiernie strzec przez zakusami Szatana i sił ciemności. Nie jest wam obce, że od wielu już lat w



doczesnym świecie próbujemy wyrwać Złemu Duchowi, co zabiera z Królestwa Jasności. Nie na darmo pod znakiem krzyża kolejne wyprawy ciągną ku Ziemi Świętej, by z rąk saraceńskich uwolnić, co naszym dziedzictwem i kolebką naszej wiary. Tam i wasze zakony się rodziły, tam znalazły sens istnienia i stamtąd nieść zaczęły światło Chrystusowej wiary pogańskim ludom. Co i wy sami, wielelni bracia, wszem przypominacie i na sztandarach swoich wznosicie. Temuż wezwaniu, które papież Innocenty nam dał, a potem i Grzegorz obecnie na tronie piotrowym zasiadający, zarówno mój ojciec, jak i ja sam, przychyliłiśmy ucha i naszej życzliwej ręki, zapewniając wam opiekę i nadając wiele ziem w księstwach naszych. Teraz nadszedł dzień, gdy trzeba nam waszej pomocy. Nie my krucjaty szukać musimy, ona sama do nas przyszła. Wojsko pogańskie u bram naszego świata stoi. Jeśli razem mu nie damy oporu, wszystko, co wspólnie czyniliśmy na chwałę Bożą, runąć może pod ciosami mocy piekielnych. Bracia i ojcowie wielelni, szykuję armię chrześcijańską ku obronie i na wasze wspomnienie zbrojne liczę!

- Miecze nasze przyszliście ci obiecać, miłościwy panie - odparł z delikatnym, dumnym uchyleniem głowy, Poppo i skłonił się, a za nim uczynili to samo templariu- ^EAichak - nie ma glorii większej, niżli wspólnie stawać &1 m chrystusowym przeciw nawale pogańskiej. Już za- »ć swoich ludzi. Może się jednak Tatarzy cofną? - zapytał jeden z tem- „lariuszy-

Przyjd?- Wątpić nam nie trzeba. Włodzimierz z Łabę- , wojewoda krakowski, wici śle i wojsko zbiera, żeby ich rzed Krakowem wstrzymać. Wraz z nim rycerstwo sandomierskie.

\_ Cóż czyni Konrad na Mazowszu?

- Konrad? - prychnął pogardliwie Henryk - w zamku siedzi i nogi grzeje. I czeka, aż nas Tatarzy wyrzną. Łacniej mu będzie wtedy...

Jan Iwanowic chrząknął, więc książę urwał gadanie w pół słowa.

- Azaliż prawdy nie gadam? - zaperzył się - Czas mamy wojny, a nie dworskich obyczajów.

Przejechał dłonią po rzadkiej brodzie i mówił dalej do zakonników:

- Ja, póki czas, chcę siłę tak dużą zebrać, jak to będzie możliwe. Do Wacława Czeskiego pisałem, wieści mam, że przybędzie. Rycerstwo wielkopolskie także zaczyna się zbierać. Wici śle po Śląsku, ziemi opolskiej i raciborskiej. Każde ręce, co oręż chwycić mogą, są mi cenne. Tak więc i was zawezwałem, wielelni bracia, by spytać, czy i w jakiej sile mogą na was liczyć?

Stanął naprzeciw nich na szeroko rozstawionych nogach i patrzył z błyskiem w oku. Zakonnicy spojrzeli po sobie. Poppo von Ostern wyciągnął prawicę i uścisnął dłoń polskiego księcia.

- Cóż lepszego może chrześcijanina spotkać, niż śmierć za wiarę naszą, która prostą drogą ku zbawieniu prowadzi - rzekł - Zakon Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego stawi się pod wasze rozkazy. Kilku braci będzie, z ludźmi naszymi, giermkami i cizbą podległą, razem pewnie tek zbrojnych.

- Lepsze dla chrześcijanina nie z ręki pogan umrzeć ich zabić, mistrzu Poppo - rzekł Henryk, po czym^ skierował na templariuszy.

Ci także obiecali kilku rycerzy i pół hufca zbrojnej • choty.

Zakonnicy skłonili na koniec głowy i odeszli. Został tylko jeden, w czarnej zbroi i takim płaszczu.

- Duchak! - powiedział książę i podszedł bliżej, by usłyszeć deklarację zakonu Świętego Ducha - cóż to, nie w swojej zwykłej masce jesteście?

Kanonik miał twarz spokojną, nieruchomą, jakby ze wszystkich emocji wypraną.

- Należę do braci świeckich. Pełnię służbę przy Wielkim Mistrzu. Mam swój numer, aliści by ziemskimi sprawami się zająć, posługuję się imieniem świeckim. Wołają na mnie Kornet, najjaśniejszy panie.

- Dobrze więc. Cóż zatem, bracie Kornet? Czy na zbrojne ramię czarnych rycerzy mogę liczyć?

Duchak zawinał się płaszczem, jakby zimno mu się zrobiło. Popatrzał szklistymi oczami w stronę princepsa i rzekł, nie gubiąc z ust wystudiowanego uśmiechu:

- Panie! Zechciejcie dać mi przywilej rozmowy na osobności. Sprawa wymaga szerszego objaśnienia, odpowiedniej konfidencji...

- Tu możecie gadać, bracie Kornet! Sami moi zaufani - ksiązę wskazał ręką na stojących obok rycerzy i kasztelana wrocławskiego.

- Wybacz, panie! Taka jest prośba kapituły, byśmy rozmowę odbyli w cztery oczy...

Henrykowi wzrok stwardniał. Zajrzał w oczy duchaka i rzekł:

- Mogę przystać na to. Ale nie z tobą będę gadał. Przekaz Wielkiemu Mistrzowi...

Mistrz Zakonu nie żyje. Przynoszę prośbę kapituły. Henryk milczał przez chwilę. A potem mówić zaczął zaciśnięte zęby, z wilczym błyskiem w oku: P^Rzeknij kapitule, że jeśli chce, może mnie znaleźć na ku Marcina i prosić o widzenie. Nie muszą być wszyscy. Starczy kilku co ważniejszych.

-Ksiązę-

- Zamilcz i słuchaj! Długo to znosiłem waszą obecność na naszej ziemi, lecz teraz insza będzie sprawa. Wojska żadnego mi od was nie trzeba. Mam własne. A to mi jest ostatnio wiadome, że Zakon wasz nie wypełnia misji Bożej...

- Jaśnie panie! - zaczął burzyć się duchak.

- ...a bliżej mu ku misji innej, związanej z Cesarstwem! To też mi nie jest tajemne, że dom Hohenstaufów wielce znaczy w sprawach zakonu Ducha. Więcej nawet! Może to być, że i stolica piotrowa uzna go za heretycki! Tak, tak, nie zaprzeczaj, bracie Kornet! Więc może i nie dziwne, że sprawa wymaga konfidencji, bo każda rzecz, co niegodna jest i nieczysta, potrzebuje ukrycia. Nie lubi rynsztok światła dziennego.

- To obraza! Ksiązę!

Kornet zaczął szukać miecza u boku. Zaraz ku niemu postąpili strażnicy ksiązęcy. Jan Iwanowic stanął bardzo blisko księcia. Duchak ze złością prychnął i odszedł dumnie unosząc głowę.

- Psy zdradliwe... - szepnął do siebie Henryk. Teraz to z grupki stojącej niedaleko podszedł, stojący wcześniej na boku, mężczyzna we franciszkańskim habicie.

- Dobrze robicie, ksiązę - rzekł - nie można im ufać. Ojciec Święty wiadomości ma pewne. Może być, że konszachty mają z Wenecjanami. Ci zaś z Fryderykiem i z samym chanem tatarskim.

- Proszę was, bracie Giovanni, byście się zaraz ze mną udali do zamku Marcina. Pisać będę odpowiedź do papieża.

- Ojciec Święty wyczekuje jej z niecierpliwością - powiedział da Pian del Carpine i ruszył za Henrykiem.

Tego dnia jeszcze utwierdził władcę śląskiego, co d pieskich zamiarów i możliwej koronacji na króla Polsk' R\* jej blisko. Jedno, co należało zrobić, to obronić chrzęści' \* świat przed tatarską nawałnicą.

\*\*\*

- Boże miłosierny, jakże ci dziękować mamy za łask ocalenia, jaką to na nas spuściłeś, jakże ci dziękować' Nie wiem tego, co by to, po prawdzie, z nami było, gdyby nie Twa opieka wszechmocna i musi anieli jacyś nad nami czuwali w terminach onych ciężkich. Takoz i Ciebie błagam o Wszchemogący, byś w godzinie ciężkiej nas nie zostawiał, a Opatrznością swą obdarzył - wszystko to mówił Dobro- sław, leżąc pod wielką łodzią wywróconą do góry dnem i dygocząc z zimna.

Obok niego leżał Ignasz, zakopany w siano, które tu wepchnęli, i wsparłszy się na łokciach patrzył na świat przez szparę między krawędzią barki, a ziemią. Schronienie było doskonałe: z racji ostrej zimy i lodu, który skuł rzekę, przeprawy przez Odrę całkiem ustały.

Co więcej, księżę myta na mostach nie pobierał i cała ciżba się po nich przedostawała z jednego brzegu na drugi.

Tak więc płaskodenne łodzie, które w porze letniej były we Wrocławiu pierwszorzędnym środkiem transportu, teraz leżały dnem do góry, a przysypane śniegiem wyglądały, jak niewielkie chatki leśnych gnomów.

Dobrosław zaprzestał modlitwy, a z jego kiszek rozległ się bulgot oznaczający napaść głodu.

- Tak to mnie najpierw te diabły wcielone w skrzynię wsadziły, bym z głodu zmarł, a teraz gdym już wolny, t° schronienie mam niewiele lepsze, oj niewiele. Jeno powietrza więcej.

Przekreślił się na drugi bok.

- Tu mnie boli, tam strzyka, wszędy świerzbi, pali, łachocze, jak tu strzytać mój synku, no jak?

Chłopiec popatrzył na niego i przeżegnał się.

Modlić się modłę, nie słyszałeś? Ciągłe się modłę. I cóż? eCjimocny manny z nieba nam nie zsyła, oj, nie zsyła, f fagle się oczka grubasa zaświeciły. Znać, że myśl jakaś

witała mu do łba i źrenice rozświetliła radosnym błyskiem-

\_ chłopcze mój drogi, podsuńże się tu! Możem ja co zbiedniał na duchakowym wikcie, możem tuszy szlachetnej ździebko się wyzbył, może i woniałem źle, pókim się naprędcie w szafliku kuchennym nie obmył...

Przerwał i utkwiał oczy w młodzieńcu.

- Cóż? Dalej fetor idzie? Hm, nie moja to wina, nie moja. Jeszcze i potem kąpieli zażyję, to przejdzie. Ale co żem ja... Juści! Może i jam nieco na wadze stracił, lecz nie na rozumie. Masz ten swój nóż?

Ignacy wyjął z rękawa ostrze, które kiedyś dostał od Jeru- zalema i podał pustelnikowi.

- Ot, Szalbierz mi na pamięć wraca, gdy to widzę. Aż mnie za gardło coś chwyta.

W oczach Wilczka zaświeciły się łzy.

- Nie płacz, chłopcze, nie płacz, jeszcze go znajdziem pewnie. To wiedz, że gdy coś jest Bożym planem, zawsze się udaje. Jeśli więc Wszechmogący zamierzy, byście się na powrót obaczyli, to ufam, że tak się stanie.

Ignacy schylił głowę. Łza spłynęła mu po policzku.

- No, cóż ty to, he? Kieby maluch, albo niewiasta. Bądź mężny.

Przez chwilę mnich oglądał ostrze, ale chyba bardziej chciał odwrócić uwagę chłopca od czarnych myśli, niżli naprawdę coś w stali przyuważyć.

- A może ci smutno, żeś ty tamtych trzech... W klasztorze... - Dobrosław ręką uczynił znak podrywania gardła. Ignasiowi policzki zadrżały i tak jakoś powietrze wciągnął, że znać było ciężar wielki leżący na sercu chłopaka.

Mnich go stuknął w ramię. Zaczął gadać ciepłym ] nym, ojcowskim tonem:

- Toć to właśnie k temu szło, byś się tak sprawiał, chl cze. Tobie ni sznur mnisi pisany, nie tonsura i habit mnie, lecz miecz, ostroga i hełm na głowę. Tyś WilCzej. przeca. Ciebie to, Szalbierz i Dragiełło, na rycerza szyków li. A jeśliś się teraz dzielnością wykazał i trzech Czarnych Duchów nożem wysłał do piekielnych czeluści, to tobie jeno cześć i chwała, Ignasiu, ot co! Cześć i chwała. A nie smutki Tyś już całkiem zmężniał... A gdy ci co po głowie chodzi jakieś żale i sromoty, to się nie lękaj, ani o tym nie rozmyślaj. Zabijałeś z musu i w obronie. Dyć patrz na mnie. Czyli mnie, pustelnikowi, co życie swe Chrystusowi zawierzył i po wsze czasy pragnął w lesie się zamknąć, by żywot pędzić pokutny, przystoi teraz za miecz chwytać? Krew rozlewać? Bój się Boga! Bo to by było złamanie profesów i

hańba po wsze czasy, a gdyby kto się zwiedział, to bym musiał umykać przed gniewem biskupim. Jeno zakony rycerskie mają inne prawa.

A tyś chłopcze dzielny tak postąpił, jak by niejedyn mąż nie umiał. Takeś cisnął nożami, zem ja nawet nie wiedział, kędy leć. Pac - jeden czarny leży, pac - drugi, jak jabłko przejrzałe leci, pac w końcu - trzeci ani zipnął. Też masz oko, Ignasiu. Znać, że cię Jeruzalem w ciskaniu ostrzami wyćwiczył. No, nie płaczże... Będzie dobrze, byle nas teraz owe łotry nie dopadły. A póki co, patrzaj, jaki koncept ta łepetyna pustelnicza obmyśliła...

To rzekłszy złapał za pas, którym chłopiec był ściśnięty, odwinął sprzączkę i nożem ją oderznął od skórzanej części- Potem Wilczkowi pod nos podetknął.

- Widzisz to! Srebrem powlekane! Z tym pobiegniesz do złotnika. Znajdziesz go na dużym rynku, tam gdzie droższy towar, suknie materiały, futra i buty. Jak zoczysz gdzie guzy do płaszczy, pierścienie, zapinki, tam wchodź i na ławę kładź- Nie weź mniej, jak dziesięć denarów. Bierz jeno dwustronnie bite, nie nadłamane.

Chłopiec złapał klamrę od pasa i ścisnął w dłoni. Musisz sam, Ignasiu, dyrdać, oj sam. Kręca się pewni- wszędy owe czarne łotry i gdy mnie zobaczą, to zwaliwszy posturę, od razu poznają. A ty, jak pod kaptur się owasz, to nikt cię nie pozna. Mały jesteś, prześlizgniesz SIĘ A jak już klamrę sprzedasz, tedy kup chleba i mięsa za jednego denara i tu do mnie w te pędy wracaj. Leć, a uważaj na siebie! Jakbyś co widział groźnego, przede wszystkim jakiegoś duchaka, to czmychaj i chowaj się w tłumie. W razie czego bieżaj tu do mnie. A ja tu... będę modlił się za ciebie.

Chłopiec owinał głowę szczelniej szmatami, zakrywając uszy szalem zawiązanym pod brodą, jak to robią w zimie wszyscy chłopcy, przeturlał się pod krawędzią łodzi, otrzepał kolana i brzuch, po czym różnym krokiem ruszył w stronę targu. Dobrosław zaś złożył ręce i począł szeptać słowa modlitwy. Nie wiadomo, czy bardziej to przypominało zdro- waśki, czy mlaskanie głodnego mężczyzny. Ufać należy, że jednak była to modlitwa.

- Całkiem to wygląda, jakby kto kij wsadził w gniazdo os i nieźle nim zabeltał - rzekł krępy, łysawy mężczyzna, w czarnej kapie dominikańskiej zarzuconej na biały habit - jeżdżą tam i z powrotem, jakby się wściekli, po całym mieście.

- Czegoś, lub kogoś szukają, bracie Czesławie - odparł po francusku elegant o pociągłej twarzy i krzaczastych brwiach, a jego słowa zgrabnie i szybko począł tłumaczyć siwowłosy ślepiec.

- Aleć kogo? Tak nagle? Cóż się wydarzyło? - dominikanin stał przy samej szybie, nie spuszczając z oczu ulicy. Widać było, jak dwóch rycerzy w czarnych zbrojach, nic sobie nie robiąc z tumultu i paniki, jaką wzbudzają, przeszukują każdy możliwy zakątek, otwierają beczki, dźgają siano na wozach, odbijają wieka skrzyń, zagląдают do piwnic, wchodzą do oberż i wałą pięściami w drzwi prywatnych domów.

- Właśnie dlatego tu jestem, bracie Czesławie się tego dowiedzieć, a raczej rozwikłać pewne ni<sup>^</sup> ^B.

, . . ue)asnośri

przyjrzeć się podejrzeniom...

Inkwizytor zwinął na powrót list z dyndającymi n' ciami watykańskimi i schował go za połę kubraka. ^^

- Herezja? - Odroważ odwrócił się do gościa i utkw j w nim wzrok, a spojrzenie miał tak czyste i proste it 0(j razu znać było, że mówi dokładnie to, co myśli. Rzadka rzecz w onych czasach.

- Herezja, bracie! I to jedna z najbardziej perfidnych, a dla naszego mundi christiani73 szczególnie niebezpieczna.

- Katarzy? Albigensi? Tutaj? W Polsce?

- Gdybym znał odpowiedź dokładną, być może nie trzeba by się fatygować. A tak, nim zaangażujemy się mocniej, musimy zdobyć wiedzę. Na razie, bracie Czesławie, zbyt wiele nie

mówmy wokół. Muszę zobaczyć się z księciem Henrykiem, jemu sprawę przedłożyć. Zresztą, może już coś wie, widziałem na ulicy papieskiego legata. Potrzebuję kilku zaufanych ludzi do pomocy...

- Mój Boże, nie dość, że nawała pogańska od wschodu idzie, to się jeszcze musimy tu, w sercu naszych ziem, z heretykami udręczać! - Czesław westchnął ciężko i opadł na ławę. Potem zawołał dwóch braci i kazał zająć się gościem. Przekazać mu celę wygodną, a gdy o cokolwiek poprosi, to mu to ułatwić i wszelkiej pomocy udzielić. Na koniec wstał i złożył dłonie do modlitwy. Szepnął ponad opuszkami palców:

- Myśmy są fratrem z Ordo Praedicatorum i co nam jeno wypada, to kaznodziejską sztuką ludzi pouczać, by wierzyli w Ewangelię. A od tropienia... od tropienia są psy gończe...

- Tośmy są i psy, bracie - chłodno i głośno odpowiedział Wilhelm z Montfort - Domini Canes, psy pańskie. Pies dobrego pana swego grzeje w nogi, a na złodzieja rzuca się i gar" dzieli mu przegryza.

Mamy gardziel przegryzać?

f Sam Dominik misję taką przyjął, by zło płynące z he- Ł: 'wytępić- On to przecie nakazał spalenie świętych ksiąg skich- Nie byłeś, bracie, w Langwedocji, nie wiesz, co y zaraza herezji, która szybciej od czarnej śmierci się

en0Sif a dusze chrześcijańskie zżera, jak robak diabelski toczy trupa. Tego nie zaznałeś, co znaczy siła tych sług Szatana! Może gdybym cię pokazał, wtedy większy byś zapal uczuł do tego, co czynić nam wypada. Rozpusta, bluźnierstwo, stosunki nieczyste z siostrami i matkami, palenie kadzideł na ołtarzu Zła, oto czym się heretycy kierują, oto czemu wierzą. Mamyż karki przed nimi schylić?

- Ja wierzę w siłę modlitwy. Pozwól, że przy niej zostanę. A ty, czyni co trzeba, inkwizytorze. Bóg z Tobą!

To rzekłszy Czesław Odrowąż wyszedł z celi.

Wilhelm podszedł do okna i zaczął przyglądać się idącym ludziom.

Za jego plecami stanął ślepiec. Wyszeptał nagle:

- To nie sa perfecti\*. Nie udzielają sobie consolamentum\*\*. Wiem od żebraków.

- Kim więc są? - spytał Inkwizytor.

- Diabeł jeden wie.

Wilhelm roześmiał się.

- Dobrze powiedziane - rzekł.

- Czekaj, chłopcze, czekaj! - krzyknął sprzedawca, stając w progu. Młodzieniec zatrzymał się w pół kroku, nie mogąc ukryć uśmiechu tryumfu na twarzy.

- Niech ci będzie, ech, ja już stracę! - kupiec podrapał się w sterczącą na wszystkie strony, siwą czuprynę - co za

dzieciak, niechże go wszystkie diabły porwą! Gadać nie a targuje się, jak stary!

Ignacy obrócił się na pięcie i wszedł do warsztatu zło ka, zanurzając się na powrót w mrocznym wnętrzu npl dziwnych przyrządów, wag, ciężarków, retort i tajem proszków stojących w dzbankach. Na hakach wisiały ozdoh ne łańcuchy z krzyżami i ryngrafami, błyszcząc dziesiątkami srebrnych ogniw. A każdy łańcuch zapięty był niewielką kłódką, którą odpiąć mógł jedynie sam mistrz, za pomocą kluczy wiszących u pasa na wielkim kółku. I nie mógł żadnego dotknąć czeladnik, pod groźbą utraty pracy.

Mistrz złapał jeszcze raz klamrę i podniósł do oczu.

- To ile chciałeś denarów? - spytał.

Chłopiec pokazał palce u obu rąk.

- Dziesięć, mówisz. Na, niech i dziesięć będzie. Ale wiedz, że to jeno z racji twego uporu i młodego wieku.

Zawołał żonę. Kobięcina wyszła z zaplecza, wycierając ręce z tłuszczu w spódnicę. Potem, jak ze skarbcza tajemnego, wyciągnęła z niej dziesięć monet bitych przez księcia śląskiego. Odliczała je, kładąc je z namaszczeniem, jedna po drugiej, na ławie.

- Dziesięć. Masz - złotnik przesunął je wszystkie w stronę chłopca. Ignaś wsunął je w szmatkę, związał i wybiegł przed sklepik. I natychmiast schował twarz pod prowizorycznym kapturem. Tuż przed nim przejeżdżało na koniach dwóch rycerzy w czarnych zbrojach i żelaznych maskach na twarzach. Jeden z nich dostrzegł otwarte drzwi do zakładu złotniczego i duży, malowany na desce, napis wiszący nad wejściem.

Zsiadł z konia. Chłopiec natychmiast ruszył ulicą, tuląc się do ściany. Nie oglądał się i przyspieszył kroku. Nogi zapadały mu się w błotnistej breji śniegowej. Po chwili zaczął bieć. Wskoczył na niego niewielki, kudłaty pies i zaczął ujadać wściekle. Ignaś rzucił się w boczną uliczkę. Zobaczył dwóch innych duchaków na koniach, przed którymi przechodnie ali Z respektem. Chłopak biegł dalej. Nagle ktoś go mocno, przyciskając do muru. Naprzeciw Wilczka Prn jwóch opryszków o nieogolonych, kostropatych gę-  
ch Jeclen z nich ścisnął chłopa za gardło, drugi wykręcił  
rek?-

\_ No, gdzie masz te denary?

- Gadaj po dobroci, albo z życiem się pożegnasz!

\_ Dawaj, coś za klamrę wziął!

Szybko wymacali zawiniątko z pieniędzmi i wyrwali je chłopcu, śmiejąc się dziko.

\_ Co, mowę ci odjęło?

- Trzeba było od razu dawać po dobroci, to byśmy cię nie przymuszali.

- Naucz się, że gdy proszą, to się daje.

Zacząli wycofywać się na ulicę. Wilczek, czując że uścisk mu zelżał, począł wyplątywać nóż ukryty w rękawie. Nie zdążył jednak go użyć, bo z tyłu za łotrzykami pojawiła się jakaś wielka postać. Potężna łapa spadła na ryżawy łeb bandziora i zaczęła ciągnąć za włosy, aż złodziej oczy wybałuszył i zaczął jęczeć przeraźliwie. Drugi rabuś poczuł na plecach ucisk, a gdy obejrzał się, ujrzał cudaka w kolorowym stroju z ptasich piór, który napiera na niego czymś ostrym.

- Papageno! - wrzasnął przerażony.

Tymczasem Michałko potrząsnął rudym za czuprynę i warknął:

- Teraz oddaj, psie, dziecku, co żeś zrabował.

- Wyście od Zarastra? Dyc myśmy nie wiedzieli...

- Ładnie tak, w biały dzień, na dzieci napadać?

Rycerz z Ciepłowody, wyraźnie wściekły, wyklepał łotrzyka po policzkach otwartą dłonią.

- Precz mi z oczu!

- Precz! - dorzucił Bocianek.

Złodzieje uciekli trzęsąc portkami. Grubas pochylił się nad chłopcem.

- Na drugi raz uważaj, kędy chodzisz. Jak ci n • maty?

W tej chwili wzrok jego padł na coś, co ujrzał w rozr giezła.

- Bocianek, czy ty widzisz to, co ja?

-Cóż?

- Tam - Michałko wskazał tatuaż widoczny na piersiach chłopca i aż spaśował z emocji.

- Toć jest znak, o jakim ciągle oni gadali... Brat Albert w Tyńcu. Znaczy, że...

- To jest...

- Ów właśnie!

- Właśnie ów!

Obaj się przeżegnali naraz i oczy wznieśli ku niebu.

Ogień pożerał sosnowe gałęzie. Hiob rąbał kolejne i rzucał na stosik chrustu rosnący obok niewielkiego ogniska. W środku zaśnieżonego lasu, szamotał się w gąszczach Niob, szukając uschniętych drzewek.

- Ot i brak ostrożności idący z głupoty - dumnie wyginając wargi, jakby był znawcą wojskowości rzekł Karlito - jeszcze to nam na głowę ściągnie samego Batu-chana i jego diabły wcielone. Tego niedźwiedzia jednorękiego, co się w gałęziach tłucze, to słyhać pewnikiem w Sandomierzu, albo i Krakowie. Ej, Niob, ciszej no tam, łamago!

Na chwilę odgłosy w lesie ustały, lecz potem znów ruszyły i to ze zdwojoną siłą.

- I gadaj tu z takim. Dyć jemu nie tylko ręki brak ale i połowy mózgu.

W tej chwili spory patyk poleciał w jego stronę i pacnął w łeb.

- A ty co? W głowę? - garbus pogroził pięścią Hiob Ten uznał, że walnięcie gałęzią wystarczy dla ostudzeni datliwego giermka i wrócił do swojej roboty. Ognisko k<sup>^</sup> malutkie, takie by ledwo dać ciepła i pozwolić wodę za ' wać w kociołku.

Jerzuałem kazał im palić metodą stepowych wojowników tak by płonęły jeno końce gałęzi, które ciągle podsuwa się d0 środka ogniska. W ten sposób niewielka ilość dymu unoSl się w górę.

Dragiełło siedział oparty plecami o sanie i darł na paski płótno, jakie wziął ze sobą na zmianę opatrunków. Gdy zdjął stare bandaże, odklejając je od twarzy i sycząc z bólu, Karlito podbiegł do niego i powąchał.

- Panie mój! Idzie ku dobremu! Cuchniesz już mniej. Znaczy, że rozkład w ciele mniejszy. Może być, że i trąd ci się usunie, jak dalej tą maścią będziesz smarował.

Podał rycerzowi garnuszek z lekiem od wiedzmy. Z ukontentowaniem kiwał się nad nim i prawie nos wsadzał do środka, a potem wodził kaprawymi oczkami za palcem pogromcy smoków. Palec zanurzał się w naczyniu i następnie delikatnie rozprowadzał medykament na wszystkich gnijących miejscach.

- Pozór daj, Karlito, bo i przez maść trąd może przejść na innego człeka. Na nos ci wskoczy i zaraz do środka wnidzie. Toczyć cię będzie i tak umorduje, że się żywym z tego nie uniesiesz. Więc lepiej tego nosa nie pchaj tam, kędy nie ma potrzeby.

Garbus odskoczył od maści, jak rażony gromem i zaczął trzeć nochal łapami, jakby co go oblażło.

- Patrzaj, panie, czyli mam jakie ślady maści na nosie?

- Nie masz. Ale nos sam taki, jakby go już dawno trąd ruszył.

- O dlaboga. Święty Florianie, miej mnie w opiece.

Karlito usiadł parę kroków od rycerza i przyglądał się, jak Dragiełło owija ciało pasami materiału.

Ech to, panie, patrzam na was i mnie żałość bierze. Co i ~ arni się uczyniło. Chyba musi jakieś diabelskie uroczy- tym stoi. Gdzież wasza bródka, co jak chorągiew łopo- 5 o wietrze? Gdzież lico szlachetne i mądre? Cóż zostało? f no gęba wielce podobna do żebraczych.

Chociaż ja sobie „je żałuję- Dla mnie nawet rzeczy miłe od tego idą.

\_ Miłe? A jakież to?

- Ot, takie, zem jest taki giermek, co przy swym rycerzu nic nie musi robić. Czyż by się niejednen ze mną nie zamienił? He, he, braciszku moi, dyć to sprawka najmilejsza, sługą być, a leżeć brzuchem do góry i z pracą tyle mieć wspólnego, co koza z budową kościoła. Taka beczy jeno, ogryza krzaki i mleka da czasem, a ludzie głupi się trudzą przy cegle. I ja takoz mam, dzięki temu, że trąd od mego pana idzie! Z tej to strony widząc, wasza choroba, ma wielki i dobry skutek. Ulgę przynosi cierpiącym w ciężkiej pracy. Przyjdźcie do mnie utrudzeni, a ja was pocieszę, mówi Pan. Tak i mnie pocieszył waszą boleścią.

Szczęście miał garbus, że twarz rycerza była zakryta bandażem, bo gdyby mógł ujrzeć jej wyraz, to by wnet trupem padł z przerażenia. Dragiełło wstał, odchylił płachtę, co sanie jako dach okrywała i spod niej wyciągnął swoją wielką kuszę. Rzucił ją pod nogi karlu.

- Na, kiedy roboty nie masz, pan ci ją znajdzie. Adelajdę oczyść i spraw naciągi, by chodziła dobrze.

Potem przypasał miecz, szyszak zasadził na głowę i rzekł:

- Idę zluzować Szalbierza na czujce. Miej tu oko na wszystko.

Odszedł w stronę traktu, zrzucając śnieg z dużej, wiszącej ciężko gałęzi. Karlito wzniosł oczy do nieba, a potem ze złością wałnął pięścią w kuszę. Aż zawył z bólu. Hanna uniosła oczy, przebudzając się z półsnu, w jakim była.

- Jawa to, czy sen? - jęknęła zakrywając się mocniej derką.

- Jawa. Niestety, jawa - burknął Karlito.

Niob wrócił z lasu ciągnąc za sobą uschniętą So 1 Rzucił ją koło porąbanych drew i kucnął chuchając

I

\*\*\*

Dragiełło szedł gęstwina, schylając mocno głowę i ^ stawiając nogi, by jak najmniej śladu zostawić. Minał kilka dębów potężnych, stojących na niewielkim wzgórku i p, ^ orane buchtowisko dzików. Zsunął się, po grubym dywanie z suchych liści i śniegu, w dół, do leśnego strumienia, gdzie olchy i osiki tworzyły zwartą ścianę, przez którą ciężko było przedzierać się bez szelestu. Wyjął miecz i rozgarnął nim chaszczę. W oddali zobaczył olbrzymi, królujący nad lasem, dąb samotnik. Ruszył w jego stronę i po chwili dotarł do siedzącego na korzeniu Jeruzalema. Szalbierz spojrział na niego i szepnął:

- Ciszka, rycerzu. Jeno lis przebiegł drogę.

- Czasem lisa lepiej widzieć, niżli człeka.

- Macie tu gwizdawkę.

Kuglarz wręczył Dragiełło niewielki gwizdek wycięty z leszczynowego pręta. Pośrodku było nacięcie, które tak zostało przez niego wyrzeźbione, że instrument wydawał z siebie dźwięk małego, skamlącego zajęcia.

- Gdybyście kogo widzieli, dmijcie w to dwa razy i cofnijcie się w las. My szybko ogień zgasim i zalegniem do przeczekania.

Rycerz zawiesił sobie myśliwski wabik na szyi.

- Takie to robicie u siebie, w Tartarii?

- Właśnie takie. Przywabiają lisy.

Szalbierz chciał odejść, lecz go Dragiełło wstrzymał żywym gestem.

- Jeruzalemie, aleć jest kłopot!

- Cóż znowu?

- Dyć, kiedym go dotykał, tedy nikt go już bezpiecznie nie użyje.

nowy. Leszczyny wokół sporo. A jak gwizdnie-

~ tak już nowego nie trzeba będzie. Bo się wtedy okaże, rie,t01 . ,

Tatarski zwiad wraca.

ie A jak nie wróci? Jak inną drogą pojedą?

Nie ma innej. Wisła źle przejezdna. Na tym odcinku

• jedna droga, ten trakt z Wiślicy. Tak jak my musimy nim echać, tak i oni pewnikiem tedy wrócą. Wtedy tylko musimy przeczekać, by nas minęli i droga wolna.

\_ A jeśli to nie zwiad? Jak oni tu w ogóle się nie pojawiają?

\_ Pojawiają się. Są w sile minganu. Co i raz na boki ślą mniejsze grupy rozpoznawcze. Jak zbadają teren, będą wracać. Wierzcie mi.

- Lepszej wiedzy o Tatarach od was nie mam.

Jeruzalem uśmiechnął się, mrugnął do Dragiełły i ruszył



w stronę lasu, śladem rycerza. Jakaś myśl go jeszcze wstrzymała, więc przystanął, obrócił się i rzekł:

- Z Bogiem, rycerzu.

- Z Bogiem, Jeruzalemie.

Dragiełło przymknął oczy i wraz przypomniał sobie ten dzień, gdy we dwóch siedzieli razem nad rzeką, obserwując obozowisko Połowców. Gdy podniósł powieki, Szalbierza już nie było. Usiadł na korzeniu dębowym, chowając się za krzakiem, dokładnie w miejscu, w którym wcześniej trzymał wartę. Przed nim, w dole, ciągnęła się droga idąca przez las - trakt na Wiślicę i Kraków. Śnieg już przyprószył szeroki, ciemny ślad, pozostawiony przez tysiąc tatarskich koni. Znów się biało zrobiło na tym gościńcu, jakby o tej drodze świat Boży zapomniał i nikt nigdy nie miał tędy przejeżdżać.

Rycerz oparł się plecami o gruby pień i patrzył przed siebie, usiłując nie zasnąć. Poprawił bandaż, obsuwając się z policzków i chuchnął w palce. Stróżowanie takie, w głębi lasu, w samotności, trudnym było zadaniem. Trakt ciągnął się daleko i prosto, wzrok zaś ciągle utkwiony w dal błdził i płatał figle. To się zdawało, że zwierz jakiś przebiegł z lewej na prawą, to znowuż, że w oddali widać ciemną s' jeźdźca, która się później okazywała drzewem podob ^ ludzkiej postaci.

Cisza wisząca wśród setek, tysięcy pni puszczańsu zaczynała huczeć, świdrować we łbie i gdy naraz ją pta^ kiś rozdarł wrzaskiem i trzepotem skrzydeł, to się rado 'i dusza człowieka, bo znaczyło to właśnie, że czas nie zatr 3 mał się, nie zamarł między odmierzeniem kolejnych chwil wieczności.

Dragiełło wyjął miecz i ułożył koło siebie, wzdłuż uda, tak by w każdej chwili móc go unieść. Stopy przykrył kawałkiem mchu i garścią starych liści. Ciepłej mu się w nogi zrobiło. Patrzył przed siebie, na drogę i starał się nie pozwolić powiekom, by opadły. Z miejsca, w którym siedział, było widać dukt na bardzo długim odcinku: gdyby się na nim człowiek pokazał, wtedy można by bezpiecznie ostrzec wabikiem obozowisko, a następnie całkiem spokojnie wycofać się. Chwilowa drzemka mogła się skończyć zbyt późnym odkryciem nadjeżdżającego wroga. Dlatego rycerz zaczął naciskać bolesne miejsca na przedramieniu, żeby pewność mieć, iż sen go nie zmorzy. Coraz to trudniej jednak utrzymywał opadające powieki. Wstał więc i chwilę rozprostowywał kości, biorąc głębokie oddechy. Potem znowuż usiadł i wzrok utkwił w zwięzającym się trakcie. W pewnej chwili oczy rozwarły mu się szerzej, gdy jakieś stajanie przed nim, zaszeleściły rosnące z boku krzewy i majestatycznym krokiem, stawiając ciężko nogi, jakby to były kolumny kamienne, wyszedł na środek drogi potężny zwierz. Zmierzwione kudły sterczały mu w kłębie, na wielkim łbie zaś miał dwa rogi bawole, kręcone i wygięte w przód ostrymi szpicami, jakby to broń była gotowa do ataku. Parsknął z rozdętych nozdrzy, rozejrzał się, stojąc pośrodku duktu, po czym kopytem zaczął gmerać w niewielkich kępach trawy przysypanej śniegiem.

- Tur - wyszeptał Dragiełło i patrzył na byka, nie czyniąc najdrobniejszego ruchu, by go nie spłoszyć. Zwierz jednak

cf coś zwietrzył, beknął głośno i zniknął po drugiej

IO«5\*'

I llflle'^\*'

e drogi- Jeszcze zakotływały się po nim gałęzie, jeszcze

z nich obsypał, ale już po chwili tur był dla Dragiełły Wspomnieniem

Czas płynął przedziwnym rytmem, to zwalniając, to przy- ? ieszając, toczył się przez las, jak niewidoczna rzeka, pcha-

a dokądś wielkie masy wody: człek siedzący na brzegu

trzy na jej powierzchni i nie może zapamiętać fragmentu, gdyż jedna fala zastępuje drugą i tak w nieskończoność.

Godziny mijały, szaro zaczęło być w lesie, potomek świętego Jerzego oparł brodę na rękach i walcząc ze snem, zaczął wciągać mocno leśne powietrze. By się orzeźwić.

- Dasz mi gwizdek?

Pytanie było zadane tak nagle i z takiego bliska, iż rycerz wstrząsnął się cały i chwycił za rękojeść miecza.

- Stój, nie bój się! Dasz mi gwizdek?

Obok niego, koło niewielkiego krzaczka, kucał człowiek, cały owinięty szmatami, jak bandażem. Nie zakryte miał jeno oczy, usta i nos. Tak był blisko, że gdyby obaj wyciągnęli ręce, to by się dotknęli palcami.

- Ktoś ty? - Dragiełło patrzył na zjawę z przerażeniem.

- Taki, jakiś sam. Człek poćciwy. To dasz gwizdek, po dobroci? My żeśmy widzieli, że go masz.

- To was jest tu więcej?

- Ha, człowieku, nas gromada. Drużyna. Tu, tam, owędy.

- Ty Duch. Z mroków jesteś. Z mojej głowy?

- Ja z gorączki tu urosłem. Dalej rosnę.

- Głuchyś? Czy nie słyszysz moich słowy?

- Słyszę. Słyszę dobrze. Śpiewasz piosnkę.

- Nic nie śpiewam. Dyszę. Czekam. Oszaleję.

- Więc oszalej. Aleć gwizdek daj nam pierwe.

- Cóż ci z niego? Gwizdek przecie, jakich wiele.

- Daj. Z dobroci. Albo z szyi ci go zerwę.

- Najpierw ja ci zerwę głowę.

Dragiełło porwał za miecz i wymierzył go prosto zjawy. Długie ostrze zawisło w powietrzu, tak że jego c<sup>1</sup>\* kolebał się tuż przed oczami człowieka w bandażach ZU'ie't

- Gadaj, ktoś ty? Nuże, żywo! Czyś ty człowiek' W '

- Czy ja człowiek? - kucający stwór zaśmiał się ukaz szereg czarnych, zepsutych zębów - Czy ja duch? Dyć c<sup>1</sup> kłem, jestem, jako i ty.

- Jako i ja? Znaczy... kto?

- Nie wiesz?

- Nie. Gadaj szybko.

Ni to człek, ni to duch złapał za koniec miecza i na bok go odsunął.

- Jam Grobożerca.

- Ty. A ja?

- Przed oczami mi się jawi, że ty myślisz...

- O czym myślę? Gadaj, albo na pół cię rozplątam.

- Myślisz, żeś ty jeszcze żyw!

Dragiełło opuścił miecz. Łyknął ślinę. Mrugał silnie. Pot biegł mu gorącą strugą po plecach.

- Ja trup... - powiedział głucho.

- Ty trup. Dasz gwizdek, bracie?

- Ja Grobożerca.

- Gwizdek!

- Na cóż gwizdek, trupy, wam?

- Bo tam jeździec jakiś gna!

Zjawia uniosła rękę, wskazując w stronę drogi.

Rycerz spojrział w kierunku traktu. W oddali widać było człowieka jadącego na koniu.

Pogromca smoków chwycił gwizdawkę i uniosł do ust. Zerknął w bok, lecz po człowieku w bandażach nawet najmniejszego śladu nie było. Zadał w ustnik i po lesie rozszedł się głos małego, płaczącego zająca. Jeździec zbliżał się, popędzając konia i już wkrótce znać było, że

to jakiś polski rycerz. Fruwał kropierz barwny na koniu, tarcza jaśniała herbem, kolebiąc się przy boku, a szyszak i koleczuga błyskały szlachetną stalą. Ruchy miał ów jeździec zmierzone, opanowane i znać w nich było szlachet- P^wynikłą z długiego i dobrze szkolonego obcowania •erzchowcem. Koń pędził galopem, wyrzucając za sobą

- \* wietrze płaty śniegu. Rycerz w pewnej chwili ściągnął
- \* wodze, całe ciało w tył przechylił, a nogi wprzód podał, "Robrze wyhamować. Pośrodku gościńca, w samym sercu l^jej stał naprzeciw niego rycerz, wspierający się na doby- m mieczu, cały w pordezewiałej zbroi i poowijany w bandażę jakby to przed chwilą z grobu powstał.

jeździec krzyknął gromko:

- Kto jesteś i czemu drogę mi tamujesz?

Człowiek stojący na drodze równie głośno odpowiedział:

- Jam jest Dragiełło, herbu Kraplan, rycerz księcia Henryka i księcia Bolesława, a także matki jego, Grzymisławy! Potomek świętego Jerzego, człowiek duszy czystej, gnębiciel zła i wszelkiej gadziny! A ty kto?

- Łzesz, psie! - odparł konny. Rycerz ów miał twarz kościstą, pociągłą, a bruzdy i silne mięśnie szczęki dawały poznać, iż mimo wieku, jest to człowiek silnego charakteru. Patrzył hardo na Dragiełłę i zakrzyknął:

- Z drogi lepiej mi zejdz, jeśli życie chcesz uchować, kłamco!

- Któż mi kłam zarzuca? Zawołaj, kim jesteś! A jak po- twarz rzuciłeś, tak i ja cię wzywam do walki, by prawdy dowieść! - potomek świętego Jerzego dumnie podniósł głowę.

- Łzesz, łotrze! Tyś żaden rycerz Bolesława i matki jego Grzymisławy! Jam jest Krystyn Sulłowic z Niedźwiedzia, herbu Topór, rycerz księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy! A ciebie nie znam. Więc jedno, co może być, to żeś kłamca i rabuś, co na drodze ludzi nastaje! - jeździec bokiem konia postawił i patrzył z góry, ciskając gromy oczami.

- Ja ciebie także nie znam! - Dragiełło starał się powściągnąć targający nim gniew i gadać spokojnie - Gdym ja służył u Grzymisławy, wyście pewnikiem niewiele byli starsi od Bolka! Gdy słowom rycerza nie dajecie wiary, to niczemu jej

nie dacie! Więc was przekonywał nie będę do <sup>^^</sup> słów moich. Chcecie, stawajcie na bój ze mn gotów.

Krystyn był człek zapalczywy, ale i sprawiedliwy w "i i rozumie, tak więc go słowa proste i szczerze troszk K^

Miecz z pochwy wyciągnął, z konia się zsunął i na Ui kroków podszedł.

- Czemuż więc, jeśliście rycerskiego stanu, na drodze stoicie, jako zwykły łotrzyk i na ludzi dybiecie?

- Nie na ludzi dybię i nic od was nie chcę. Stoję by Was o co spytać.

- A to dobre sobie. Tak sobie w lesie stoicie, z gębą zakrytą, by was poznać się nie dało, a wszystko po to, by się kogo o co spytać!

- Gębę mam taką nie po chęci własnej, ale z musu. Od choroby to.

- Cóż wam?

- Trąd.

Zamilkł młody rycerz, od góry do dołu obejrzał dziwną postać, miecz lekko opuścił, ale go dalej trzymał mocno.

- Nie lepsza wam kołatka, niżli oręż?

- Może i lepsza, ale w innym czasie.

- Co więc chcecie wiedzieć? - rzekł w końcu.

- Na Tatarów czekam. Nie widzieliście ich?

Na to młody rycerz zaśmiał się i ręce rozłożył.

- Owóz i miejsce sobie znalazłeś na stawianie pytań.
  - Tatarów widziałeś, czy nie? >
- Młody rycerz spoważniał i schowawszy miecz do pochwy rzekł:
- Z bliska. Idą tam, za mną. Tu dojdą zanim się zaczną ściemniać.
  - Wiele ich?

- Teraz parę setek. Było więcej, ale w bitwie żeśmy ich głów sporo wzięli.

JaC, że już do bitki żadnej nie dojdzie Krystyn wrócił • i nogę w strzemieniu zasadził. H^njie spieszno. Do Pakosława mnie pchnęli, trzeba c wojewodę, mury sandomierskie sposobić...

Pakosław oddał duszę Bogu. A Sandomierz wzięty.

- Nie może być!
- To gadam, com sam widział.

\_Dyć Pakosław rycerstwo słał do Kaliny, pod komendę Włodzimierza. Jako też i stanęło wojsko sandomierskie w polu, Tatarów biło. Miasto ponoć dobrze było opatrzone ku obronie. Takie miałem wieści.

- Wszystko wzięte zdradą!
- Boże pomiluj!

Chwylił za lęk, podciągnął się w strzemieniu, nogę przerzucił i usiadł w siodle.

- Mnie czas w drogę! Ostańcie, rycerzu, z Bogiem. Kołatkę na szyi zawieście, a miecz do pochwy schowajcie.

- To uczynię. Jenó jeszcze kilka rzeczy sprawię. Bez tego źle odchodzić do tamtego świata.
- Krystyn pchnął konia ostrogami i ruszył stępa.

- Gdzieście bitwę toczyli? - krzyknął za nim Dragiełło. Rycerz herbu Topór wierzchowca wstrzymał, w siodle obrócił się i rzucił na odjezdnym:

- Pod Turskiem. Czujki nasze ich widziały pod Skalbmierzem i Połańcem, nad Czarną. A gdy się obozem rozłożyli wojewoda Włodzimierz spod Kaliny ruszył, kędy zjazd rycerstwa sprawiał i na pogan uderzył. Poszła jazda w kopnym śniegu na Tatarów i myśmy ich pierwe uderzyli...

W tej chwili Dragiełło dostrzegł daleko, na trakcie, kilku jeźdźców.

- Tatary! Jadą!

Krystyn takó wzrok obrócił na stronę, z której przybył.

- Już tu są, psy!

W oddali widać było kilka ciemnych sylwetek, migoczących między pniami drzew.

- Idzie zwiad! Reszta za nimi! Prowadzą jeńców kołu! wolniej się posuwa! Na mnie czas! - ruszył z koDvt\*

z Sułkowic. ' rycer\*

- Gdzie rycerstwo nasze? - krzyknął jeszcze za nim D giełło, znikając za pnem dębu.
- Nie ma rycerstwa! Wszyscy zginęli!

Odjechał galopem, dżgając końskie boki i pochylał się nad grzbietem wierzchowca, tak że grzywa mu smagała twarz od pędu powietrza.

Szalbierz, Dragiełło i Karlito leżeli pod nisko wiszącymi gałęziami obsypanej śniegiem jodły i patrzyli na drogę. Przetaczał się nią długi, niekończący się wąż tatarskiego wojska. Na początek sunęły dżauny lekkiej jazdy, szaro-brązowe, zakutane w kołnierze i futrzane czapki. Łuki i kołczany kołysały się przy siodłach, krótkie włócznie sterczały z zawiniątek przyczepionych na zadach. Znać było w ich sylwetkach zmęczenie - jeźdźcy, chociaż karnie posuwający się strzemieniem w strzemieniu, byli skuleni, na łękach wsparci mocno, niektórzy przysypiający, inni z opatrzonymi ranami.

Potem się pojawiła setka ciężkiej jazdy. Ci mieli zbroje pełne, złożone z wielu płytek metalowych naszytych na skórzane paski. Takó i konie ich były okryte pancerzami. Ci

wojownicy siedzieli w siodłach w inszy sposób, jakby to dopiero z odpoczynku wstali, wyprostowani i rześcy. Błyszczały ich stalowe szyszaki, łuki mieli schowane w bogato zdobionych sajdakach, a nad ich głowami kołysał się las długich kopii.

- Mangkutai - szepnął Jeruzalem - doborowi woje. Jeźdźcy śmierci. Nie masz lepszych, jak daleko się step ciągnie.

- Aleć i te oberwały - wymamlał Karlito, wskazując wóz, który pojawił się teraz na drodze. Siedziało na nim kilku rannych. Dalej się pojawiły następne wozy i na ich widok Dragiełło wydal z siebie głos, który bliższy był warkotu wilka, niżli ludzkiej mowy.

Diabły wcielone, niech was piekło pochłonie. A pierwe

' mój krew waszą przeleje. [ f trakcie, między wozami pełnymi łupów, pojawiły się | . ane postronkami grupy jeńców. To ich widok właśnie ak pogrońcę smoków wyprowadził z równowagi, że żyły

u zaczęły w skroniach pulsować, a szczęki zacisnęły się ze złości. Zaczął się rycerz podnosić, by ruszyć do ataku.

\_ Stójcie! Czyście oszaleli?! - syknął Szalbierz i złapał Dragiełłę za kraj płaszcza.

- Panie, zmiarkujcie! - błagalnym głosem wyszeptał Karlito.

- Patrzajcie na to! Na niewiasty! Na dzieci! - jęknął potomek świętego Jerzego. Łzy bezsilności zaszklily się w jego oczach, a dłoń tak silnie zaciskała rękojeść miecza, iżby mogła pęknąć sama od użytej siły.

- Gady przeklęte! Czemuż to Adelajdy nie mam pod blokiem! Karlito, pędź do obozu! - zerwał się na nogi, a tym razem go karzeł pociągnął za połę, ku ziemi.

- Panie!

- Dragiełło! Czy was krew szalona jakaś z nagła zalała? Dyć nic nie wskóramy. Choćbyśmy i trzy kusze takie mieli. Ich tu parę setek! - Jeruzalem gadał cicho, przez zęby.

Dragiełło umilkł w końcu i wściekłość żuł powoli pod swoją maską z bandaży.

Za tłumem luda schwyconego w niewolę jechały wozy z narzuconym dobytkiem, a potem się toczyły następne, na których leżały zebrane na polu bitwy: miecze, tarcze, chorągwie, szyszaki, hełmy garnckowe, topory, buzdygany, tuniki co barwniejsze, rękawice, czapki, buty i kaptury futrem obleczone. Na bokach tych wozów były zaś żerdzie pionowo zatknięte, a na nich zasadzone, niczym dzbany na płocie, głowy martwych polskich rycerzy. Na koniec jeszcze wieziono obszerny wór, dobrze zasznurowany, a oznaczony czarnym, na ukos malowanym, krzyżem.

- Wielu zginęło - szepnął Jeruzalem.

- Po czym to wiecie? - spytał go Karlito.

- Po tym worku. Wiesz, karle, co w nim?

- Skąd to miałbym wiedzieć? Złoto?

- Uszy.

Garbus aż się nastroszył od tego słowa. Zamrugał jakby

nie to usłyszał, co po prawdzie Szalbierz powiedział

- Jakże to? - wyszeptał.

- Gdy Niebo zezwoli, by się bitwa ukończyła, wtedy si oddział tatarski puszcza na pobojuwisko, żeby po jednym uchu odciąć od każdego zabitego. Potem się w obozie zlicza ilu wrogów synowie stepu pokonali.

- Pan mój prawdę rzekł. Diabły to są wcielone! - karzet przeżegnał się ze zgrozą w oczach.

Włodzimierz Świętosławie, herbu Łabędź, wojewoda krakowski, stał wedle kościoła Świętego Andrzeja i patrzył na kolejne ciała zabitych, wiezione w stertach, na dwukołowych wozach. Wielu się mieszkańców zgromadziło po bokach ulicy i spoglądało w smutku i żalobie na ten podjazd nieszczęsny, próbując gdzie rozpoznać zmarłych ze swych rodzin. Na

nic się to jednak nie zdawało. Trupy były poczerniałe, brudne, krwią zamarzną oblepione i zakrzepłym błotem, o twarzach niemożliwych do rozeznania.

Wojewoda milczał, myślami błędząc gdzieś daleko. Wzrok podniósł w niebo. Nad sobą, wysoko pod chmurami, zobaczył chmury krążących wron i kruków.

- Śmierć czują - rzekł cicho.

- Znak, że i do nas tu dojdą - dodał drugi mężczyzna, stojący obok.

- Niechybnie, Sulisławie. Jenośmy swej krwi wzajem popróbowali. Przyjdą i tu, rzucić się nam do gardeł.

- Może, bracie, respekt jednakowoż poczuli?

Wojewoda spojrział w oczy bratnie.

Tyś tam nie był, to nie wiesz. Jeśli oni co czują, to smak f' świeżej płynącej z poderżniętej gardzieli. Za nim tu P^dą- Nie o to nam pytać, czy przyjdą, ale kiedy... i tiparf plecami o mur kościelny, jakby mu się słabo ,r0biło. Oczy przymknął.

Zdało mu się, że znów na skraju lasu jest, pod Turskiem. Równe szeregi ciężkiego rycerstwa stoją, jak okiem sięgnąć, nie wychodząc poza pierwszy szereg drzew. Włodzimierz patrzy w stronę wsi. Między odległymi chatami Turska, a ich pozycją ukrytą w lesie, Tatarzy obóz stawiają. Krzyki słychać, nawoływania, ciągną wojownicy żerdzie z wozów, układają szkielety, namioty obciągają wojłokiem. Jeszcze inni ogniska palą. I w tej chwili jeden z koni w lesie, pod jakimś rycerzem sandomierskim, dęba staje, rzuca się do przodu i w pole śnieżne pędzi.

Zamierają Tatarzy, głowy unoszą. Klną rycerze krakowscy. Wojewoda ze złości węża gryzie. Jeszcze piechota, która las łukiem obchodziła, nie dała sygnału, że jest na pozycjach. Aleć czasu już nie ma więcej. Włodzimierz staje w strzemionach.

-- Bogurodzica! - krzyczy.

- Bogurodzica! - odpowiada mu krzyk potężny z czterystu gardeł dobyty. Rusza ciężka jazda. Konie łapią dech. Jęczą pułsiska siodła. Łomot idzie od kolczug, naramienników, szyszaków, sprzączek i kolczych czepców.

Wyskakują jeźdźcy z lasu i w dół zaczynają pędzić. Patrzy wojewoda w lewo i w prawo, widzi oczy rozszerzone napięciem, proporce tańczące w łopocie.

- Kopie w dół! - krzyczy i las drzewców jeży się żelazem w stronę wroga.

W obozie tatarskim zaś panika niewyobrażalna, konie kwiczą, mongolscy jeźdźcy skaczą na nie w biegu, prędko chwytają łuki i szable. Lecz w tak krótki czasie nie mogą szyku zaprowadzić.

I w tej chwili, impet szarzy słabnie, zanim jeszcze do \*• przyjaciela doszedł. Ciężka jazda wpada w pole, gdzie^n'e~ tak głęboki i puszysty, gdzie tak pełno dołów i zasp, 2e zaczynają grzęznąć po brzuchy. Dopieroż się zaczyna ganię rycerzy o utrzymanie w siodle. Coraz to który leci w śnieg, koń jego cały obielony nie może się podnieść nogami przednimi wierzga.

Wojewoda patrzy wokół i widzi, jakby czas zwolnił, jakby świat się zatrzymał i wydarzenia dziejące się zmęł w swoich żarnach, by się łatwiej móc zachwycić widokiem niebywałym

Konie oszalałe tak przez śnieg parły, jak przez rzekę magiczną pełną białych płatków miast wody. Chrapy rozdęte, oczy zamglone, sierść lśni od potu, a puch biały w tym wszystkim wznosi się, otacza wszystko chmurą, zakrywa i kotłuje się.

Już Włodzimierz nadzieję tracił, już sądził, że śnieg ów pułapką się okaże śmiertelną, gdy pierwsze konie nagle grunt twardszy pod kopytami dostały. Ruszyły z impetem. Znowu szarża nabrała prędkości.

- Bogurodzica! - po raz wtóry zakrzyknął. Pierwsza fala uderzyła w tatarski obóz. Kopia wojewody strzaskała się zabijając najbliższego Tatara. Drugi jeździec zginął od miecza. Krew trysnęła w górę z rozciętego ciała.

- Włodzimierzu! - krzyknął ktoś z tyłu.

Wojewoda otworzył oczy. Stał na krakowskiej ulicy. Obok niego był brat jego, Sulisław, który patrzył zaniepokojony i spytał:

- Cóż cię opadło? Słyszałeś, co gadam do ciebie?  
- Bitwę ciągle widzę. Jak zamknę oczy. Spać nie mogę. Powieki przymknę i wnet się tam myślami przenoszę.

- Rzeknij, co się stało, że... Ludzie gadają, iż bitwa już była wygrana.  
- Juści, że była. Jeno zamiast wroga pokonanego ścigać po pierwszym zwycięstwie, nasze rycerstwo się rzuciło ich obóz przeszukiwać. Na nic były moje krzyki i napomnienia.

\_ Tatarzy zaś... wrócili.

- jakbyś to widział. I się sprawa odwróciła... Wyście byli na ziemi, oni „siodłach.

^Oje Woda ze złością plunął na ziemię.

- Bracie, daruj, nie chce mi się dłużej o tym rozprawiać, . a? m? bielmo na oko zachodzi ze złości!

W tej chwili podbiegł giermek i mocno czapkując wskazał grupkę osób stojących przy wejściu do kościoła.

- Mości wojewodo! Mąż tamten prosi usilnie o rozmowę z tobą. Gada, iż ma coś na rzeczy, względem obrony Krakowa i wojska tatarskiego. Wielce nalega.

Włodzimierz spojrział w kierunku proszącego. W otoczeniu kilku wojów stał u kościelnej furty stary, nobliwy człowiek, o siwych włosach, szlachetnym wejrzeniu i fizjonomii mędrca. Strój zaś jego wskazywał, iż ktoś zrtaczny to być musi.

- Mówią na mnie Wulfstan - rzekł ów mężczyzna, gdy podprowadzono go do wojewody. Z jego ust nie schodził uśmiech, który można by wziąć za pogardliwy, gdyby nie przeczyła temu pokorna postawa.

Gadał głosem niskim, chrapliwym, ledwo z ust się unoszącym, tak że by dobrze słyszeć trzeba było bliżej stanąć i głowę pochylić.

- Kim jesteś, mości Wulfstanie? - spytał Włodzimierz.

- Książę Jaćwieży, Bliznobrody, zwie mnie wojewodą Su- dovii, a małżonka jego Krutynią zaufanym sługą. Wybierz sobie, panie, co ci lepszym się dla ucha zdaje, mnie za jedno.

- Mów krótko, śpieszno mi do spraw moich.

- To jedno wam rzeknę, iż w Sandomierzu byłem, kiedy Tatarzy szturm zaczęli...

Wulfstan głos zawiesił, jakby oczekiwał pytań jakiś, te jednak nie padały. Wojewoda milczał i patrzył na Jaćwiega wzrokiem nie zdradzającym żadnych uczuć. Tak więc starzec ciągnął dalej:

- To pewnikiem wiecie, że oblężenie krótko trwał gotowości miasta do obrony.

- Wiem - Włodzimierz strzelił jednym słowem i Zn pograżył się w kamiennym oczekiwaniu.

- Aleć, czy wiecie, jakim to sposobem się mong i l hordy do środka tak prędko wdarły?

- Nie. Lecz wy pewnikiem wiecie...

- Prawda. Tak się rzecz ma, iż w tym czasie wraz z księżną Krutynią byliśmy w grodzie, a szukaliśmy sposobności by z księciem Bolesławem pewne rzeczy omówić. Tedyśmy wi dzieli, co się stało, a czyny haniebne, których byliśmy świadkami, do tej pory w głowie mojej taki zamęt i żalność sieją, iż nie mogę dojść do spokoju ze swą duszą.

- Przejdziecie wreszcie... wojewodo... do rzeczy?

- Przejdę, acz mi te słowa smutne i ciężko przez gardło przechodzą. Sandomierz padł, bo zdradą został wzięty. Ktoś, przekupiony, wrota Tatarom otworzył.

- A więc... zdrada była? - Włodzimierz zgrzytnął zębami ze wzburzenia.

- Juści, zdrada! - Wulfstan brwi wygiął w żalnym grymasie - A gdy myślę o tym czynie podłym i o człeku, który się tego dopuścił, taki mi ból pierś rozdziera, taka złość nabrzmiewa,

że gdybym takowego gada w swe ręce dostał, wraz bym go łba pozbawił, kata wyręczając w ciężkiej robocie.

- Wiecie kto? Widzieliście go?

- Jakżeby nie! Widziałem go aż nadto dobrze. Gęby tej do końca życia nie zapomnę. Lico ma na połę tatarskie, na połę polskie. Jak i duszę pewnikiem. Stąd i do zdrady było blisko.

- Znacie go? Jak go zwa?

- Imię nosi przedziwne. Jak miasto święte. Jeruzalem. Zwa go takż Szalbierzem. Oszust ten już wiele lat po gościńcach jeździł, kradł co się da i dla chana szpiegował. Potem na dworze księcia mego, Bliznobrodego, był sługą. W końcu uciekł i widziano go, jak do Tatarów jechał.

Sandomierz otworzył, biorąc za to moc srebrni- 0, jwych. Obych był go kiedy spotkał i mógł pomstę I tyłu ludzi zabitych i w niewolę uprowadzonych...  
fteraz jeszcze i Kraków...

- Cóż, Kraków?

Toć pewnikiem i tu on zajędzie. Proszę was wojewodo byście wydali rozkaz ścigania tego łotra, a za głowę jego, ?ywą lub martwą, ja sam bogatą nagrodę wyznaczę.

Wojewoda patrzył na starca marszcząc czoło.

Potem rzecz rozpatrzę - mruknął - teraz nam się trzeba szykować do obrony. Wam dziękuję, dostojny panie. Szczęściem tu w Krakowie ufam mojej straży. Tatara zaś po gębie rozpoznanego, na pewno weźmiem na spytki, jeśli się zjawi.

Odszedł, wraz ze swoim orszakem. Wulfstan patrzył za nim i palcami przeczesywał swoją długą, siwą brodę.

###

Stado ptaków obsiadło trupa tak gęsto, że go nie było widać spod czarnych łbów i skrzydeł. Przepychały się kracząc próbując prędko tyle mięsa zdobyć, ile się da. Nagle zaczęły podrywać się nerwowo i skrzeczeć natarczywiej. Powód ich niepokoju zbliżał się od strony gęstwy leśnej. Między zaspami pojawiła się szara sylwetka, z grubymi kudłami w kłębie i siwo-błękitnym spojrzeniem drapieżnych oczu. Wilk strzą- szał śnieg z sierści i pochyliwszy łeb nisko nad ziemią, wlał między czarne szkielety spalonych chałup. Zbliżał się do padliny.

Wrony, kruki i kawki trzepotały skrzydłami nad truchłem, a echo odbijało upiorny głos od ściany lasu. Basior kroczył pewnie, a wzrok miał utkwiony w ludzkich szczątkach.

Ptactwo zaczęło się w końcu, niechętnie i ze złością, podrywać się w górę. Widać teraz było lepiej to, co zostało z człowieka - resztki koszuli, buty, włosy rozrzucone w śniegu, ciągle trzymające się czaszki na pozostałych skrawkach

skóry. Wilk był już blisko trupa, gdy powietrze przecięła strzała wypuszczona z łuku.

Basior skoczył w przód ze skowytom lecz zaraz iir»j» SI :...,u,, : i : „\_•„  
uPadłbr,,.

.ach

zatoczeniu koła rozsiadło się na czarnych, zwęglonych

kach sterczących z pogorzeliisk, jak żebra wyżartych prz ogień chałup. Dwóch konnych wjechało do środka spalon wsi. Jeden schował łuk do sajdaka i splunął. Drugi podjechał bliżej i popatrzał w dół, przechylając się w siodle.

- Kmieć - rzucił i poprawił sobie palcem bandaż, który zsunął mu się spod oka.

Ruszyli dalej, jadąc przez wieś powoli, by nie naruszyć tej dziwnej konstrukcji, jaką utworzyły resztki spalonych domów razem z ciszą, padającym śniegiem i milczącymi, zeszywniałymi pozostałościami ludzkich istnień. W powietrzu unosił się silny, drażniący zapach węgla i spalenizny.

Jeruzalem obrócił się w siodle, opierając dłonią na zadzie wierzchowca. Popatrzył w stronę traktu wychodzącego z kniei i dał znak stojącym tam saniom, że droga wolna.



Pot płynął po twarzy Hanny, jak łzy. Szalbierz otarł go szmatką i klęcząc przy niej zaczął gładzić po głowie, włosy jej delikatnie odgarniając na bok.

Wieszczka leżała przykryta po szyję kożuchem. Wzrok miała szklisty, utkwiony gdzieś daleko, przed sobą, w przestrzeni, jakby nie widziała tego świata, lecz inny jakiś, nierzeczywisty. Czy z wieszczby nadchodzącej na duszę, czy z gorączki? Tego Jeruzalem nie wiedział, ale czoło miała ona tak gorące, że ciągle je schładzał dłońmi i gałgankiem pełnym śniegu.

- Śpij, kochana - szepnął i siadł przy niej. Objął ją ramieniem i przytulił do siebie. W drzwiach obory stanął Karlito.

Ze świ

HdOi Ku

cząc juchą i wierzgając łapami, które po kilku szarpni zastygły. Stado ptaków wleciało z piekielnym jazgotaj

- Co z nią? - spytał cichutko.

albie1"2 nic nie odrzekł, jeno palec do ust przyłożył. Ka- L> stojąc w progu, na tle jasnego nieba wyglądał jak ciem-

Łpokurczony stwór leśny.

fl' fwywar gotowy - powiedział.

'przynies tu, a migiem.

jCarlito wybiegł na podwórzec, a kuglarz dłoń położył na aok białogłowy. Naraz spojrziała, jakoś żywo, przytomnie.

\_ Jesteś? - spytała.

\_ przy tobie. Śpij.

Złapała go za rękę.

- Idę tam - zaczęła mówić - ty zostań. Ja twoja na wieki. Żona twoja. Przykute serce moje do ciebie żelazną okową. Płonę, mój kochany. Co masz na piersi wykłute, niech do duszy wnिकnie. Za tym idź. To uratuje.

Kuglarz bezwiednie, sam trawiony myślami rozpaczliwymi, sięgnął do giezła i mocniej się zakrył. Jakby przed światem i przed samym sobą ukryć chciał, co ma na sercu farbą wieczną rysowane.

Hanna westchnęła i zapadła w sen. On czuwał przy niej całą noc.

## XIX

arzec roku pańskiego 1241 w pamięci ludzi się odcisnął, jako tak zmienny, iżby można rzec, że pogoda odbijała wszytek ludzki niepokój i wszelką ludzką nadzieję, ciągle się przemieniając. To się ciepło robiło, jakby już wiosna miała nadejść, przebiśniegi się tu i ówdzie pokazywały, ptaki radośnie szczebiały, to znów następowały szalone ataki przypominającej o sobie zimy: gwałtowne śnieżyce, mrozy nocne i wichry wiejące od południowego zachodu.

W duszach ludzkich gościł strach i niepewność, na przemian z wyczekiwaniem lepszych dni i zaufaniem wobec Boskiej Opatrzności, którą w dziesiątych modlitwach wypraszano, klęcząc w przepelnionych nad miarę kościołach.

Liczono już w księstwach polskich, że się może najeźdźca tatarski tam wrócił, skąd przyszedł, czyli do piekła.

Jako że Sandomierz był złupiony w Popielec, a później zaś już mongolskiej armii nie widziano, tak więc i poszedł głos między lud, że Bóg się przychylił prośbom swoich dzieci

i bacząc na post, jałmużnę i modlitwę periculum rum\* oddalił. W tym zresztą utwierdzały wszystkie^\*\*\*\*" przez księży głoszone po ambonach.

- Grzech wszelki, jako wąż przebiegły, serca wasze - krzyczeli kaznodzieje na wiernych - a bicz Boży opadł na plecy wasze, tak jeno odwrócić możecie 7C trzeba w pokorze wyznać złe uczynki, a postem i pokutą silną ubłagać miłosierdzia Pańskiego.

Książęta, możnowładztwo, rycerstwo, co znamienitsi pa nowie - ci wiedzieli, że nadziei mieć nie można i Tatarzy nie odstąpią, więc ku wojnie się zbierali, coraz to większe sposobiąc oddziały.

W połowie marca stało się wedle ich przypuszczeń - armia tatarska na powrót uderzyła w piastowskie księstwa. Wjechali z siłą gradu, który młóci wschodzące zboże, bez litości, a prędko tak, iż każdego dnia gdzie indziej ich widziano. To tu, to tam, ciągle gdzieś wici pędziły, ciągle krzyki wznoszono: Tatarzy! Tatarzy jadą! Iluż ich? Kroć nieprzebrana. Toć w piekle jeno mogą się rodzić okrutniki w tak wielkiej ilości. Można było mieć wrażenie, iż się po kraju rozpełzli, jak ro bactwo gryzące, które się w każdy zakamarek wciśnie, a gdy ofiarę wyczuje, w tej się chwili skupia, zbiega i wielką chmarą atakuje. Zebrał wojewoda krakowski Włodzimierz kwiat rycerstwa z Polonii Małej i z ziemi sandomierskiej, a najeźdźcy bitwę pragnął wytoczyć i w polu się z nim potykać. Jakże tego jednak dokonać, gdy nieprzyjaciół zda się być wszędzie i nigdzie zarazem? Ciągłe gońce wracali do wojewody mówiąc, iż Tatarów widziano, którzy wieś podpalili, ludzi zabili, a co było jeńca do wzięcia, to wzięli. Pozostawały po nich smutek, dym, zgliszcza i płacze nieme z ust trupich rwące się ku niebu.

Słał pisma do Włodzimierza Henryk Śląski, który władzę zwierzchnią nad Krakowem ciągle sprawował, prosił, by wojsko wycofać i jeszcze większe siły zebrać, jednak się temu Bolko Sandomierski, przy wsparciu rodu Lisów, sprzeciwił - chciał

Periculum... (łac.) - zagrożenie tatarskie.

ć że choć młody, to już do wieku męskiego się zbliża, ł^jrateli henrykowej się kończy. Nic by nie znaczyły owe Wieńczę pomysła, gdyby nie postawa samego wojewody M^imierza - który się także nakazom Henryka sprzeciwił, \* v w siłę oręża swojego, pancerzy mocnych i mieczy wie- JL pasach rycerskich. Pomny był tego, że pod Turskiem ! tarów gromił i jedynie przez brak dyscypliny poniósł na kolec klęskę- Mimo więc porażki, ciągle mu siła i wiary w chrześcijańskie rycerstwo nie brakło. W końcu stanął naprzeciw oddziałów mongolskich. Było to pod wsią Chmielnik.

Bładoźłte słońce weszło na niebo rankiem tego dnia, dając nadzieję blisko dwóm tysiącom klęczących w modlitwie rycerzy. Każdy myślał, że to dla nich się pojawia jutrzienka zwycięstwa, a 18 marca w wiecznej się zapisze pamięci wszystkich Lachów. Tegoż nie mogli przypuszczać, że nie sława ich czeka, ale krew przelana w wielkiej ilości i żal głęboki po tylu zabitych, dzielnych mężach. W pierwszych chwilach bitwa się chyliła na polską stronę, a jazda ciężka, krakowska i sandomierska pospołu, zderzyła się z chmarą lekkozbrojnych wojowników, jak pięść żelazna z puchem. Tatarzy rzucili się do ucieczki, a za nimi rycerstwo ruszyło w pogoń. Tego czekali mongolscy wodzowie. Doborowe oddziały, teraz dopiero rzucone do ataku, z siłą potworną runęły na zmęczonych Polaków. Dwa inne, na flankach ustawione, dokonały oskrzydlenia i zamknęły kocioł. Większość wojska naszego w polu zginęła, w tym wojewoda Włodzimierz, pozostali dowódcy i znamienicy rycerze: Krystyn Sułkowic, Wojciech Stępowic, Mikołaj Witowie i wielu jeszcze innych, a ciała ich, w śniegu i błocie leżały długo, niepogrzebione i wydane na pastwę dzikiego zwierza. Nie było teraz już nikogo, kto by mógł Kraków przed najeźdźcą obronić.

Drzwi gospody skrzypnęły i w jej progu stanęła przygarbiona postać.

- Kogo lichy niesie? - z głębi doleciał głos karczmi który łeb wychylił zza zasłony - Zamknięte!

Gość, nie zrażony krzykiem, do środka postąpił K ma była pusta. Nie paliły się luczywa i jeno blade światło^ okienek przesłoniętych rybim pęcherzem padało do środka kładąc się

długimi płatami na zatłuszczonych, brudnych ła wach. Piece i paleniska były wygaszone. Na wielkich półkach za kontuarem świeciły pustki. Żadnego garnca, ni dzbana I żadnego człeka. Jakby wymarło to miejsce.

- Nie słyszysz, człowieku, co gadam do ciebie? - rozsierdził się właściciel oberży.

- Słyszę!

- To czego włazisz? Wynocha!

- Włazę, bo mi wasze słowa jednym uchem wchodzą, a drugim wypadają, o czekajcie, zatkam ucho paluchem, może coś pomoże.

- Igrać chcesz? Czekaj, zawołam parobków!

Karczmarz złapał za widły i, trzymając je przed sobą, ruszył na intruza.

- Czekajcie! Teraz dopiero ucho zatkalem. No, teraz, prędko, gadajcie, to co wcześniej! Jeszcze raz. Pewnikiem teraz usłyszę, bo mi nic drugim uchem nie wypadnie.

- Na krotchwile ci się zabrało?

- Czy mi się na krotchwile zebrało? A gdzież by! Niech mnie święty Florian od błazeństwa strzeże! Jeśli tu zachodzę, to jeno w tym celu, w jakim się do oberży zachodzi. Co rozumieć można, jako brzucha napelnienie jadłem i napitkiem. Ot, co! A widzę, że miejsca ci tu dzisiaj dostatek...

- Gości nie przyjmuję! Gospody nie ma! Nie słyszałeś?

- Słyszeć słowa, to słyszę. Ale gdzie tu sens?

- O, tu! We widłach!

Karczmarz trzy kroki postąpił, celując narzędziem prosto w gębę nieproszonego gościa, który bezczelnością mógł każdego doprowadzić do wściekłości.

widłach? - zdumionym głosem spytał skarłowacia-

jeZ[1ajomek - ojć, nowina mi to. Bo mi się zdawało, że ^ widłach można znaleźć, to gnój. To jest może i odpo- ^edź na pytania mądrych głów, co dociekają, gdzie jest sens. viacie rację, karczmarzu. Sens wszystkiego to gnój. Gnój tu, enój tam, na dworze gnój, w chacie gnój, w gębie gnój, we

gnój. Wszędy gnój!

Oberżysta trochę widły opuścił, oczy zmrużył i rzekł:

- Skądś mi to znajome się zdają owe głupie gadki... I skądś mi t0 znajoma ta postura, kieby pies niewyrośnięty, z garbem na karku i trzema jęzorami w gębie. Toć może być jeno...

Karzeł w tej chwili kaptur odsłonił, uśmiechając się szeroko i przymilnie.

- Karlito! Do usług! - wyśpiewał dyszkantem i skłonił się, jak dworska służka.

- Żeby cię diabli porwali! A może to już porwali? Dyć to całe wieki przeszły, jakeś w świat wyruszył...

- Prawda! Ale się nie zmienił, co? Jenom wypiękniał i odmłodniał. Bo rozumu mam tyle, co zawsze. Najwięcej, ile można!

- No, z tą pięknnością...

- A tego poznajecie? - karzeł wskazał głową na mężczyznę, stojącego w mroku przy drzwiach. Ten w światło wszedł, by gębę pokazać.

- Szalbierz! - wrzasnął oberżysta - Kuglarz nasz tyniecki! Ojć, niedobra będzie sprawa...

Karczmarz nagle humor stracił, cofnął się ze dwa kroki.

- No, to jakim rzekł, karczma zawarta, więc i niczym nie ugoszczę... Sam już rodzinę zbieram na wóz i uchodzę...

- My nie po jadlo - powiedział Jeruzalem.

Grubas wyciągnął przed się rękę, jakby błagając, żeby się ?o niego nie zbliżać.

- Cóż wam? - spytał Karlito, zdziwiony.

- Idźcie, jedźcie sobie, proszę was!

Szalbierz skoczył za jego plecy i całkiem mUwvi.. tarasował.

- No, mówcie, co jest na rzeczy? - spytał twardo i na ziemię.

- A bo... ludzie gadają...  
- No co?  
- Ludzie tak gadają, a dyć to ludzkie gadki, ot plotki i nie ważne, puśćcie mnie do kuchni.  
- Co tak gadają? - Jeruzalem złapał go nagle za kawa! fartucha.  
- Puśćcie, proszę, krzywdy nie róbcie! Gadają, że ten kuglarz, co po wsiach jeździł, łańcuchy rwał, z małpką tańczył to po prawdzie był... tatarski człowiek! Im mapy nosił, im wszystko gadał, jak obrona u nas ustawiona!

Szalbierz zmartwiał i pchnął oberżystę, aż ten dwa kroki się zatoczył.

- I wierzycie ludziom? - spytał.  
- A gdzie by! Ja tam nie słucham gadek głupich. Pozwólcie, że już pójdę. Tam dzieci czekają. Wóz pełen. Uchodzimy. Kraków ponoć bez obrony na wroga czeka. I tylko patrzeć, jak tu będą... Tatarzy!

Zbliżył się tyłem do drzwi, cały czas gnąc się w ukłonach.

- Nie bójcie się nas! Jeruzalem nasz chłop! Sam księżę śląski go przyjmie! - zaczął nawoływać Karlito - A jeszcze nam tylko rzeknijcie, czy przez te lata ktoś tu pytał o nas? Mnie się chyba nie lekacie, co? No, gadajcie...

- Aleć kto miał pytać? - już z drzwi wyjąkał karczmarz.  
- Chłopiec taki, niemowa. I mnich grubszej postury, Do- broslaw!  
- Nie, takich nie było. Tylko jeden czarny. Z toporem.

I to były ostatnie słowa oberżysty, który zniknął w izbie kuchennej.

Szalbierz i Karlito popatrzyli po sobie.

- Więc ich tu nie było - szepnął Jeruzalem.

j^łóże zapomnieli? - spytał karzeł. " jsjie. Muszą pamiętać. Trzy razy im mówiłem przy po- ' ;,, Wieści mieliśmy zostawiać w karczmie w Tyńcu, h listy słać do klasztoru. Do ojca Alberta, garbus westchnął głęboko i wznosząc oczy ku niebu

^ęc nam przyjdzie pójść do klasztoru. I zaśmiał się głęboko.

Tuż za drzwiami gospody natknęli się na Dragiełłę. Rycerz rzekł łamiącym się głosem:

\_ Rychło do sań chodźcie! Z Hanną źle. Kuglarz pobiegł szybko i gdy zobaczył ją drżącą i nieprzytomną, to wargi przygryzł i zaklął pod nosem.

Wóz skrzypiał tak niemiłosiernie, że go z dala było słychać, jakby to jakiś potwór skrzekliwy się zbliżał. Na wozie zaś siedziało dziwaczne towarzystwo. Powoził chudzielec przebrany za kolorowego ptaka-dziwaka, obok niego, siedział chłopiec w czarnej pelerynie, a z tyłu, na kilku snopach słomy, kolebiąc się i podskakując, jak beki pełne tłuszczu, spoczywało dwóch grubasów. Obaj wyglądali radośnie, twarze mieli mocno rumiane, policzki błyszczące, oczy szkliste, a uśmiechy szerokie. Wrzeszczeli, śpiewali i gadali głośno, a coraz to któryś pociągał trunek z glinianego gąsiora.

- Żeby cię ojciec rodzony widział, jak miecz rycerski sprzedajesz za wieprza i dzban pełen miodu, to by cię chyba z domu Przegnał i sam padł krwią zalany ze złości - rzucił głośno woźnica, a potem otarł rękawem katar z haczykowatego nosa.

- Bocianek, a co z twoim mieczem? - jeden z grubasów machnął ręką, a potem, wijąc sobie wianek ze słomy dodał -bo mi się zdaje że zamieniłeś go u pewnego ptakoluda na turban i zwiewną suknię niewieścią.

- Alem za to spożytkował ostatni mój krzyż rodowy, co go żem od maleńkości na piersi nosił i na zbożny to cel.

- Ależ mi cel zbożny: wół zaprzężony do wozui

- Bez tego byś Michałko musiał na piechotę wł cielsko!

- Aleć ten wół, coś go kupił, to on ledwie dycha!

chałko zachichotał pod wąsem - jeszcze trochę i n .T , . ę paanie >, starosci.

- Lepsze od starości, niżli od pijaństwa! j^^^H

- Ot się znalazł święty jeden! — zarechotał rycerz z C' płowody i poklepał po ramieniu siedzącego obok Dob sława - a ja za to w towarzystwie osoby duchownej dbam o zbawienie duszy i umartwienie ciała.

- Umartwienie - warknął pod nosem chudzielec - ale chyba takie, że jak bela martwa od przepicia padniesz na ziemię! Nie gadam z tobą, boś pijany!

- To nie gadaj! Ja z ojcem Dobrosławem przepiję!

- Ku chwale niebios! - dodał pustelnik, wznosząc oczy ku niebu.

- Juści, wielebny nasz braciszku, więc jakże to było? Jeszcze raz mi rzeknij to samo, bo tak to było zabawne...

- Więc żem czekał na Ignasia pod łodzią, czekał... - zaczął snuć opowieść tłusty mnich.

- I głód was dopadł... - od razu dorzucił Michałko uruchamiając współczującą wyobraźnię.

- O to, to. Wielki głód! A krom piasku nic tam nie mogłem najść, czym by można pustelnicze ciało nakarmić. Ni małego korzonka nawet, całkiem pokutnego...

- I cóż dalej? Przejdźcie do tego, jak już ona na brzeg złązi. Słuchaj, Bocianek, słyszysz? Rycerz Bogusław z Bocianowic nie odpowiedział, tylko zaciął lejcami nad wolim zadem. Dobrosław, rozochocony, ciągnął dalej opowieść.

- Leżę tak pod łodzią, przez szparę na świat wyglądam i widzę, jak tu baba jakaś z targu schodzi na brzeg rzeki, tak na brzeg właśnie, powiadam. Idzie, a tak jakoś się rozgląda, tak jakoś, że już wiadomo, co ona ma na rzeczy. No wiecie,

,? I co? - zarykując się ze śmiechu pytał Michałko. I żem przeżegnał się, żeby szatańskie podszepty ode-nać, ale nic to nie dało, wiecie, no nic. Cóżem ja winien, ^mi diabeł na pokuszenie taką wielką, jasną życ babską rzed sam nos wystawił? A mnie nagle coś w nosie kręcić zaczęło, bo widzicie, pod łodzią wiało zimnem i nagle, jak z trąby jakiejś, kichnąłem mocno!

Michałko trząsał się ze śmiechu, aż łzy ocierał. Pustelnik zaś opowiadał dalej:

- Jakżem kichnął, to ona w krzyk i podskoczyła ze zgrozy. Zajrzała pod łódź i moje ślepie tam zoczyła. To we wrzask jeszcze większy uderzyła i zaczęła uciekać. Ale wtedy to właśnie wyście nad rzekę zesli, prowadzeni przez Ignasia, przez Ignasia, juści!

- I wtedy baba biedna ujrzała Bocianka...

- Całego w piórach!

- I w tej chwili...

- Padła zemdlona!

- Ha, ha, ha! Napijmy się za jej zdrowie, pustelniku!

Obaj potoczyli się na tył wozu, do gąsiora, chichocząc, jak żaki z udanego figla.

Bocianek nie uśmiechał się. Patrzył w przód drogi i mruczał pod nosem, sam do siebie:

- Ot, mądrość pijacka. Jechać tam, skąd wszyscy uciekają. Po cóż to? - rzeczywiście, wóz ich podążał w kierunku Krakowa, co i raz spotykając na trakcie ludzi jadących w stronę przeciwną. Ciągnęli górnicy zwoływani na bój przez księcia, poczty rycerskie z giermkami i czeladzią, korowody uciekinierów umykających przed nawałą mongolską do miast i grodów, gdzie liczyć można było na wysokie mury i obwałowania.

- Chyba po to, żeby śmierć znaleźć z ręki Tat ?JMB- u dzina zrzędził bez przerwy - aleć wielmożny pan^^- ko tak chce rozporządzać cudzymi żywotami, jak Choć jeszcze trochę, a o żywotach już gadać nie będ"^^ jeno o duszach naszych, męczeńską śmiercią od uwolnionych. Ja zaś mówiłem, ja ostrzegałem. Ale ktoU^ Bocianka słuchał. Lepsze własnego rozumu się pyta^^ przeca całkiem trunkiem zamroczony.

- Nie zważaj na te słowa, chłopcze - rzekł Michałko d Ignasia - chociaż piórka ma barwne, to ani klekocze jak b0° ciek, ani świergoli jak skowronek, jeno... kracze, jak wrona!

- Nie kraczę, jeno dumam po trzeźwości! Toć jedziemy prosto w paszczę Tatarów!  
'fg^^^H

- Nie w paszczę, nie w paszczę, jeno do Tyńca i Krakowa On się im długo ostoi.

- Dałby Bóg! A jak i Kraków wezmą?

- Gdzież by! Zamek duży, nie zdobędą!

- Dziwne, że wszyscy jakoś myślą inaczej i jadą na Wrocław i Legnicę!

- Bo im po co? A my przeca, razem z pustelnikiem i chłopcem...

- ...musimy do Tyńca, w imię Ojca i Syna, oby nam Bóg sprzyjał w tej podróży! - wtrącił Dobrosław - A jeśli nam szlachetni panowie w owej podróży towarzyszyć będą, wspierając ramieniem, to nam tylko z wdzięczności głowę chylic, głowę chylic. Jakeśmy z Dragiełłą i Jeruzalemem się żegnali, tak miejsce pozostawienia wieści jakichś ustaliliśmy na Tyniec. Albo to w karczmie, albo u braci w klasztorze benedyktyńskim. Jeśli więc...

- Nie tłumaczcie mu, bracie pustelniku, toć jest zakuta pała! - rzucił ze złością Michałko - Nic do niego nie dociera. Najpierw lata całe tłucze swoje chude kości po gościńcach, bo jak i ja, wierzy, że znaki z góry były dane i ludzie pewni kraj ten uchronią od zguby, a potem, kiedy do czego przychodzi i karku trzeba nadstawić, to się Bociankowi portki trząść. Bo Tatarzy blisko! Pierwsze to słyszę, żeby ffiwo było cnotą rycerza!

?fi1 ? q0 ?eś rzekł? - Bocianek puścił lejce i odwrócił się, ' °cały z wściekłości. coś słyszał. Tchorz, a nie rycerz! A tyśc0' Wielki obrońca ojczyzny? To może rzeknijcie elnikowi, jaka jest prawda! Że niby wami kieruje miłość tu i troska o odnowienie polskiej korony! Że niby przed Tatarami ratunek magiczny! A rzecz jest taka, iż własne to awki załatwiacie i mnie ciągniecie przy okazji! \_ Własne sprawki?! - Michałko spaşowiał cały - Powtórz to, łotrze!

\_ Powtarzam, mój wielki panie! Niech i wielebny pustelnik usłyszy! A prawda jest taka, że idzie pan z Ciepłowody za wieścią o chłopcu, bo ciągle się ludzi nadzieją, że odnajdzie swego syna! Oto, jaki z Michałka rycerz co interes królestwa nad swój przekłada!

- Podłość i zdrada! - wrzasnął Michałko - Jak śmiesz o tym prawić, gadzie?

Rzucił się nagle na Bocianka i zrzucił go z wozu. Upadli obaj na ziemię szamocząc się i okładając pięściami. Wół zatrzymał się i z filozoficznym spokojem czekał, aż ludzie skończą swoją dziwną rozmowę. Dobrosław i Wilczek patrzyli ze smutkiem na kotłujące się na ziemi ciała.

\*\*\*

- Błagam was, ojcze, zróbcie co w mocy waszej, albo i więcej, co w Bożej jest! Ratujcie ją! Szalbierz upadł na kolana i chwycił ojca Alberta za dłoń. Ścisnął ja mocno. Zakonnik milczał.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Tu przy was krzyżem padnę i za grzechy moje zmiłowania prosić będę, czołem o ziemię uderzę, plecy biczem poharatam, co chcecie zrobić, ale jej tę złą gorączkę odejmijcie!

- Żle z nią, synku - cicho rzekł brat Albert.

Z wysokiego okienka padała ku dołowi smuga - przebijając się przez mrok klasztornego kapitułarza jak^9, spojrzenie dobrego Ducha i oświeciła siwe włosy ben'^ tyna. Klęczący Jeruzalem patrzył w górę na ów nimb ' tlisty i takie miał uczucie, jakby z aniołem rozmawia} ^ z człowiekiem.

- Co się da zróbcie! - mówił, prędko, rwącym się g}0Se - Wywary z ziół wszelakich, proszki wschodnie, korzenie utarte, miody z pasiek tutejszych, maści kitajskie! Modlitwy za nią wznóście! Chrysta proście w mym imieniu, by się ulitował! Krwi trzeba, swojej utoczę! Duszę trzeba, moją ugotujcie! Ja...

Palcem położonym na ustach zatrzymał zakonnik ten potok wymowy.

- Wszystko to robimy, synku.

- Czemu tak do mnie mówicie, przecie nigdy tak... Synku...

- Boś ty teraz, jak synek. Żałki.

- Ona umrze? - chwycił Alberta za rękaw - Powiedzże mi, ojczy! Umrze?

Cisza była za odpowiedź. Szalbierz oddech wstrzymał Powietrze wirowało z milczącym loskotem fruujących drobinek kurzu.

Naraz zakonnik położył rękę na głowie Jeruzalema, takim gestem, jakby błogosławił. A może gładził, po ojcowsku, dla pociechy. I zaczął mówić:

- Pamiętam, jak cię matka tu maleńkiego przywiodła by we wsi zostawić. Siódmy, może ósmy rok ci szedł, aleś się zdawał mniejszy, niż na swój wiek, taki drobniutki. Patrzałeś hardo, dziko, a nikt cię nie chciał. Przybłęda, krzyczeli, bękart diabelski. Ludzie się bali. Dzieci się śmiały z ciebie. Tośmy cię wzięli. Konie klasztorne nad rzeką pasłeś. A gdyś któregoś dosiadł, byłeś jak wichur wpleciony w grzywę. Takeś pędził, iżbyś mógł na kraj świata. Chrzczony byłeś w Azyi dalekiej, kędy nawet myśl człowiecza nie dolata, żadna mapa jej nie

Tam pewnikiem, gdzie królestwo Księdza Jana. Matka j odjechała na wozie handlowym i nie oglądała się za j? Stałeś tam, w bramie, patrząc za nią, a ja wiedziałem, tego czekasz, by się obejrzała. Nic z tego. Zniknęła za- . njęta w swoich pochylonych, żałośliwych plecach. Tyś nje płakał. Patrzałem na ciebie. A możeś płakał? Tylko tak inaczej, do środka, do siebie? Są tacy, którzy i w ten sposób fzy ronią. Więcej one kosztują, bo się na wiek cały w duszę wlewają. Wytrząsnąć trudno. \_ Więc umrze ona, tak?

- Gdyś miał lat więcej, wtedy żeś uczył się sztuczek nad rzeką. Chowaleś kamień w jedną rękę, a pokazywałeś w drugiej, tamta była już pusta. Pieska miałeś, który tak skakał przez patyczek, jakieś mu nakazał. Gdzieś znalazłeś łańcuch i zrobiłeś w nim jedno ogniwo nieprawdziwe, z gliny lepienie, lecz emalią pokryte tak, że sprawiało wrażenie żelaza. To była popisowa sztuczka. Stawałeś na środku, przeżyłeś mięśnie i, pac, nagle łańcuch pękał. Ludzie się dziwowali i krzyczeli z zachwytu.

- Błagam was, ojczy, rzeknijcie mi! Umrze ona, czy żyć będzie?

- Któregoś dnia do Tyńca, do klasztoru, zjechała karawana kupców z dalekiego Wschodu. Dobra wszelkiego mieli oni pełne wozy, aż się sukna bokiem wysypywały, aż skrzynki ledwo stały na wielkich stertach. Kupiec miał brodę cieniutką i długą, także wasy, a co nam rzekł, to że przybywa z krainy rządzonej przez największego chana na świecie, chana nad chanami, zwanego Dżyngis-chanem. Okazało się, że nie po to przyjechał, by z nami handlować. Cnotą dyć jest benedyktyńską pracowitość, modlitwa i ubóstwo. On nam list wręczył, pisany na pergaminowej karcie. W liście tym, matka twoja nas prosiła, byśmy cię wydali handlarzowi, gdyż w ten to sposób wrócisz do kraju swego, do wielkich stepów. Siadłeś na tyle wozu, a ja wtedy stanąłem w otwartych wrotach i machałem na pożegnanie. Tyś nie machał. Nie płakałeś.

Zniknąłeś za zakrętem drogi. A ja sobie stałem jesz w tej otwartej bramie. Potem usiadłem na ziemi, OD -

plecami o deski i myślałem. Jedną chwilką tylko wszystu!\*\* nas spotyka. Ciągłe się rozstajemy.

- Umrze - Szalbierz zwiesił głowę i oparł czołem na k łanach zakonnika. Milczeli długą chwilę. Jeruzalem p0w° li uniośł twarz. Oczy zaszły mu wilgotną mgłą. Wylał ł grzbietem dłoni.

- Nie masz wiele czasu. Idź do niej - szeptem powiedział brat Albert i pomógł kuglarzowi wstać.

Kilka świec paliło się przy łóżku chorej. Hanna miała twarz białą, zroszoną potem, oczy półprzymknięte i wargi suche, spękane, pokrwawione. Oddychała ciężko, chrapliwie, nierównie.

- Co z nią? - spytał Jeruzalem starego benedyktyna, który stał obok z garnuszkiem w rękę. Ten westchnął na znak, że nie znajduje dobrej odpowiedzi. Wręczył Szalbierzowi naczynie.

- To jej dawajcie do picia. Pomału. Bóle zmniejszy.  
Wyszedł czyniąc znak krzyża. Zostali sami.  
Jeruzalem otarł jej czoło i policzki. Potem łyżką podał  
wywar z kubeczka.

- Łyknij, kochana, łyknij.  
Drgnęły usta i język. Więc żyje. Więc słyszy. Czy nie słyszy? Jak wiedzieć? Teraz jakby  
łyknęła.

Haneczko najmilejsza. Ja tu. Ja z tobą.  
Po głowie ją pogładził, włosy poprawił. Usiadł na łóżku.  
Twarde deski. Siennik na wierzchu. Jej oddech. I ręka sztywna. Chuda. Nagle coś, jak sen.  
Jęczy. Dycha. Oczy pod powiekami ruszają się szybko. Na chwilę ustały.

Co rzekłaś, Haneczko? Nie bój się, ja przy tobie.  
Powieki na wpol przymknięte, więc zdaje się, że ona patrzy. Coś widzi. Ale co? Pochylił  
się. Tak, by patrzeć wprost

r ślad życia? Cząstka myśli w nich ukryta? Czy zno- uluda własna?  
Widzisz mnie? Widzisz? Mrugnij, jeśli widzisz. Daj znać, eczko. Oddech chrapliwy,  
zmienny, to zrywa się, to usta- ^Chyba nie widzi jednak. A jeśli widzi, jeśli po prostu nie ^oże  
przebić się przez mur własnego ciała?

Uklękął u wezłowania i twarz przyłożył do poduszki, zaraz koło jej głowy, tak by czuła, że  
leży blisko. Jakby spali sobie spokojnie.

Rączkę jej swoją dłonią otulił.  
Jestem tu z tobą, Haneczko. Nie lękaj się. To dobrze się skończy. Musi się skończyć dobrze.  
Chcesz, piosnkę ci zaśpiewam. Śpij sobie, maleńka.

Nucić zaczął pieśń stepową, którą matki śpiewają dzieciom do snu. Melodia zdawała się  
płynąć nad łóżkiem, jakby to trawy szeleściły, w których można na plecach leżeć, spać słodko  
i tonąć w szczęśliwości zapachów.

Nagle kaszel zerwał się z jej piersi i dusić zaczął. Szalbierz podniósł ją opierając o siebie i  
klepiąc po plecach.

- Cóż ci to malutka? Słyszysz mnie?  
Jęknęła w ucho, niewyraźnie.

- Kocham cię! - wyszeptał - kocham nad wszystko!  
Ułożył ją z powrotem na poduszce. Teraz się zrobiła  
niespokojna. Poczęła rzucać rękami, machać nimi nieprzytomnie, jakby się czegoś bała, coś  
próbowała odepchnąć. Potem naraz twarz się wypogodziła. Ścisnęła go silnie za dłoń. Z  
dźwięków nieartykułowanych zaczęły się słowa dobywać, szczątki słów, sylaby bezwładne,  
spajając się w całość.

Ja... cie... bie... Je...emie... za męża... i miłować... do końca... tak mi dopomóż... święci.  
Kocham.

I on zaczął do niej mówić. I ja ciebie za żonę. I miłuję. Ślubuję, że cie nie opuszczę. Tak mi  
dopomóż Bóg!

I on ścisnął ją za rękę.

Po tym znowu osłabła. I zapadła w sen głębok' straszny, koszmarny. Coś ją może bolało, bo  
jęczała'^ w bólach napływających.

Znów ją poił Jeruzalem z garnuszka. Usta zraszał M się. Kłękał. Świece skwierczały. Długo  
nasłuchiwał jej odd' chów. Godziny całe. Pólsen. Koszmar. Pot.

Nagle Jeruzalem poderwał głowę. Zasnął? Jakże to! Ze świec zostały ogarki. Płomienie  
huśtały się nad rozlewiskami wosku. Hanna oddychała rzadko.

- Pomożesz mi? - w celi rozległo się niespodziewane pytanie, aż Szalbierz wstrząsnął się  
cały. Obejrzał się. W otwartych drzwiach, z kagankiem w ręku, stała siostra zakonna, w



białym habicie i czepku opinającym głowę. Piękna. Młodziutka. O ślicznych błękitnych oczach i pasmach włosów wydobywających się niesfornie spod nakrycia głowy.

- W czym wam pomóc, siostrze? - spytał.

- Musimy ją przewieźć - zakonnica mówiła z delikatnym uśmiechem, jakby to było oczywiste.

- Ją? Dokądże?

- Do medyka. Czeka w kapitularku.

Jeruzalem przez chwilę ruszał wargami, nie mogąc słów dobrać. W końcu, ledwo nad głosem panując, rzekł:

- Czemuż tu, do celi, medyk nie przyjdzie?

- Tam jest stół duży. Trzeba ją ułożyć.

Szalbierz powstał z ziemi na chwiejących nogach. Otarł twarz Hanny.

- Wieć ją... Ale na czym?

- O na tym właśnie - odrzekła, wskazując duży, płaski wózek roboczy, używany w klasztorze do przewozu warzyw albo chrustu z lasu. Składał się z platformy zbitej z desek, dwóch kół i długiego dyszla.

Przenieśli na niego Hannę. Siostra uniosła ogarek i oświetlając drogę zaczęła iść przodem.

Szalbierz pchał na dyszel i ciągle patrzył w zamglone oczy i e\ Teraz mu się zdawało, że ona chyba patrzy na niego

d półprzymkniętych powiek.

Haneczko, dobrze będzie. Do medyka cię wieziemy.

Korytarz był długi, a oni jechali nim wciąż, bez ustanku, konnica co pewien czas odwracała się i uśmiechała.

- Daleko jeszcze? - spytał w końcu Szalbierz.

Siostra pokręciła głową. Jeruzalem nagle zatrzymał wózek.

- Dokąd to nas wiedziecie? Toć kapitularka blisko, a my idziemy i idziemy, bez końca!

Zakonnica przystanąła. Kuglarz wychylił się za nią i zobaczył, że nie korytarz to jest klasztorny, ale kamienny tunel biegnący gdzieś w nieskończoność.

Twarcz wykrzywił mu grymas bólu. Osunął się na kolana.

- Proszę... - wyszeptał.

Naraz coś mu gardło ścisnęło obręczą. Jęknął. W głowie wszystko zawirowało. Oczy otworzył.

Znowu był w jej celi, przy łóżku. Cisza wisiała nad nimi, jak młot. Hanna już nie jęczała.

Twarcz miała spokojną. Zastygła. Nie oddychała.

Szalbierz powoli zgiął się w pół. Dotknął czołem podłogi.

Dragiełło, karzeł i bracia Job czekali na dziedzińcu. Szalbierz wyszedł do nich na chwiejnych nogach. Lico miał zastygłe, jakby odlane z granitu. W oddali, na niebie, jaśniała luna. Płonął Kraków zdobywany przez Tatarów. Jeruzalem przemknął wzrokiem po buchającym morzu płomieni. Czarny dym spowijał gród przerażającym, cichym całunem. Jednak kuglarz zdawał się niczego nie dostrzegać. Stał na stopniach, jak nieprzytomny. Dragiełło podszedł do niego na dwa kroki.

- Przyjacielu... - wyszeptał.

Wstał też Karlito. Zwieszając głowę przydreptał bliżej.

- Szalbierzu... - chrząknął i zawiesił głos.

I bracia Job wstali, jak kamienne, milczące posady • rzeź obrócił się w stronę nieba zaczerwienionego^^\*\*" pożarem.

- Kraków się pali - powiedział garbus.

- Niech się pali - odrzekł Jeruzalem - niech się cni i dna.

I poszedł gdzieś dalej, żeby zniknąć w mroku.

Opactwo „czarnych mnichów” jak zwano benedyktynów sposobilo się do obrony przeciw Tatarom. Na szerokim, kamiennym murze stawiano osłony łożinowe przed strzałami ostatnie wozy wpuszczano na dziedziniec, rozłokowywano gdzie bądź uciekinierów ze wsi tynieckiej, a i tych od Krakowa ciągnących wpuszczano, póki miejsce było w klasztorach budynkach. Ulokowane na wysokiej górze, między wykwitami skał wapiennych, gniazdo kontemplacyjno-obronne strzelało w niebo narożnymi basztami, tak że je z oddali snadniej można było za zamek wziąć, niżli za monastyr. Dziedzińce, wirydarze, krużganki, korytarze i sama świątynia w kamiennym zawsze pogrążona spokoju, teraz się zapełniały dziesiątkami ludzi, gwarem, ruchem, płaczem dzieci, hurkotem kroków na kamiennych posadzkach.

Zaś na niewielkim przyklasztornym cmentarzu było cicho. Tu tylko kilka grobów prostych stało, ludzi świeckich, którzy żyli przy zgromadzeniu. Mnichów bowiem chowano w kryptach. Na nagrobkach leżały czapy niestopionego śniegu, mech gdziegdzie wystawał i stare, zeszłoroczne chwasty.

Nad świeżo wykopanym grobem stało kilku ludzi. Trzech zakonników o twarzach skrytych pod kapturami, jeden rycerz okręcony bandażami, karzeł o diabolicznym uśmiechu, dwóch kalekich chłopów z pruskiego lasu i wreszcie człowiek o obliczu skamieniałym przez cierpienie. Z dala dochodziły głosy krzątający się w opactwie, a gdzieś na

Oncie uderzała w niebo milcząca chmura ognia i dymu Ecego miasta, dwóch grabarzy kończyło robotę. Ze zgrzytem wbijali łopaty w górną, gliniastą ziemię leżącą koło grobu i rzucali ją na rumieńce. Jeruzalem przed się, jak ślepiec. Dźwięk mu wchoł do ucha niby sztylet i wpuszczał jad głęboko do serca, grabarze w końcu uklepalili górkę ziemi i wbili w nią prosty krzyż. Odeszli.

- Requiescat in pace!\* - rzekł jeden z mnichów, przeżegnał się i schował dłonie w rękawy. Podszedł do Dragiełły.

- Musicie stąd jechać - rzekł cicho - roznosicie trąd. Jest tu wiele ludzi. Łatwo się może przenieść, bo miejsca mało i wody niewiele. Opat prosił, bym wam to przekazał. Nie miejcie żalu.

- Nie mam - odparł rycerz, cicho i z godnością - tego by brakło, żeby Dragiełło herbu Kraplan zaraz ściągał na lud niewinny. Ten już ma Tatarów na karku. Rzeknijcie opatowi, że bez ochyby ruszę w dalszą drogę.

- Deo gratias. Benedicat vos omnipotens Deus!\*\* - mnich nad głową pogromcy smoków uczynił znak krzyża. I odszedł.

Jeruzalem patrzył w dal, w stronę rozlewisk Wisły, wijącej się wśród wzgórz.

- Trzeba nam jechać, Szalbiarzu - wyjąkał Karlito, podchodząc do niego. Ten milczał, a w końcu rzekł tak cicho, że się trzeba było ku niemu pochylić, by co usłyszeć:

- Nie jadę. Tu zostanę. Czarny habit przywdzieję. Na służbę Bogu.

Karzeł obrócił się w stronę rycerza, ręce rozłożył bezradnie. Mina jego wskazywała, że sytuacja wydaje się beznadziejna.

Dragiełło podszedł bliżej, głowę opuścił pokornie i rzekł:

- Ból wasz, przyjacielu, szanuję i razem z wami dzielę... Odkąd Hannę żeśmy z rąk Połowców ratowali, tak i losy

Requiescat... (łac.) - Niech odpoczywa w pokoju!

Deo...(łac.) - Chwała Bogu! Niech was błogosławi Bóg wszechmogący! nasze wszystkie się przeplotły. Wiercie, że i serc krwawi mocno...

Głos zawiesił, jakby to odpowiedzi oczekując. W J wiatr świszczący mu odpowiadał. Więc ciągnął dalej-

- Razem my tyle doświadczyli, razem łzy i krwi i krew pogańską. Na wspólnej gałęzi przyjaźń nasza się częła. Ja wam, wyście mnie życie ratowali. Lecz w oboje \*\* dobie... I mnie samemu nie znać dnia ani godziny, w każdej chwili pani smutna może przyjść po rycerza herbu Kraplan i krzyknąć, że dość tej wędrówki.

Rozpadam się Gniję. Żywot mój, jak piasek w klepsydrze, kończy się. Ale to jedno wiem, że póki jeszcze w tych żyłach krew płynie póki jeszcze miecz uniosę, póty nie spocznę, by wszelką gadzinę bić, a ludzi dobrych od złej przygody ratować. Takem przysiągł. Bogu i sobie. I ślubów dochowam. Nie na darmo to Hanna wieszczyla, że trzeba nam o świat cały walczyć... Nam właśnie... Ja serce wasze pęknięte rozumiem, aleć proszę, byście pokutę i życie klasztorne na później zostawili. Trzeba działać!

- Hanna nie żyje! - obwieścił nagle Jeruzalem, jakby nikt o tym jeszcze nie wiedział.

- Ale jej wieszczba zostaje. I kilka jeszcze spraw i osób, którym waleczność nasza musi sprostać. Ignas, który was sobie, jako ojca drugiego upodobał!

- A gdzież Ignasia tu jeszcze! Chłopak całkiem już w innym świecie bywa...

- Może i nie całkiem... Patrzcie na to... Karlito, podaj mu...

Karzeł wyciągnął zza pazuchy kilka kart pergaminowych, zapisanych drobną, dobrze kształconą literą i podał Jeruzalemowi.

- Gdyście wczoraj przy Hannie siedzieli, ojciec Albert nam je przyniósł i prosił, by wam je dać, gdy głowa będzie spokojniejsza.

Szalbierz chwycił listy i zaczął czytać urywki.

pits2'

?oro-

wrócimy.

?robiłem w życiu wiele dobrego i pewnie wiele złego, ^pisywałem księgi, spowiadałem, niosłem słowo Chry

Lecz największa rzecz, jaką dane mi było wykonać, to

stusa

niewielka tama wzniesiona z kamyków na górskim strumie- niUi na zboczu góry La Verna.

Możecie ją też znaleźć w czasie swoich wędrówek. Jeśli nie znajdziecie, możecie zawsze

zbudować swoją. Kończy się papier. Szukam gorączkowo jednego słowa, którym zamknę ten list. Jednego. Które porusza gwiazdy i Słońce na niebie.

Miłość.

Kuglarz uniósł na nich oczy nieprzytomne, kilka kart przewrócił, znowu czytał i znowu przelatywał dalej.

Najdrożsi w Chrystusie Panu!

List ten piszę już z Wrocławia. Jestem pełen niepokoju. Zakon, czego już pewien jestem, nie pełni misji Bożej, lecz całkiem przeciwną. Wiele tu znaczy wojna, jaką toczą między sobą Papież nasz Grzegorz i cesarz Fryderyk. Ignasia szykują tu na następcę Wielkiego Mistrza.

Boję się o życie jego i własne. Jeszcze nie widzę okazji ku ucieczce, ale gdy ta się nadarzy, to wszystko uczynię, by się stąd wyrwać. Na razie nas trzymają pod strażą i zamknięciem w klasztorze Świętego Ducha. Modłę się za was wszystkich i pozostaję w nadziei, że Opatrzność wam sprzyja.

Piszę krótko, gdyż szybko kartkę tę muszę przekazać zaufanemu.

In Christo et Maria, Dobrosław.

Szalbierz rękę opuścił. Patrzył niemo na grób Hanny. Potem oddał im listy. Karzeł zwinął je w rulonik i schował za pazuchę. Dragielło westchnęła i dotknęła czoła końcami palców.

Odwrócił się. Nim odeszli, usłyszeli jeszcze słowa Jeruzalema:

?czaliśmy wspólnie łódkę, a na koniec pożegnaliśmy pomachał rączką, na znak że jeszcze tam wrócimy.

łóże

- Kiedy ona odeszła i ja umarłem dla świata. Wybaczenie.

\*\*\*

Ludzie rozstąpili się przed korowodem prowad przez trędowatego rycerza. Rytm kołatki stukającej drewnem o siebie, rozchodził się wokół, jak stukot idącego w letu.

- Trąd! Trąd! - krzyczał obandażowany rycerz i młotkami. Stuk, puk, stuk, puk. Trąd! Trąd! Gęby wie, wykrzywione obrzydzeniem, rozstępowały się przed nim, jak przed potworem wypełzającym z piekielnych szczelin. Uciekinierzy zajmowali gęsto cały podwórzec i stąd się robiło zamieszanie. Wielu ich wstawało i odskakiwało na boki, z przerażeniem, jakby choroba mogła się nagle na nich rzucić, niczym wściekły pies.

- Jam jest Dragiełło, herbu trąd! - krzyknął potomek świętego Jerzego i zaśmiał się.

Patrzono na trędowatego jak na dziwowisko. Tak to jest u ludzi, że gdy kat ćwiartuje i wszystkie cztery części skazańca na bramę miejską przybija, to się tłum gromadzi i patrzy. Także i na chromych się lubi pogapić, albo kulawych, czy też jakich innym nieszczęściem dotkniętych.

Szedł między tym szpalerem rycerz, łykając upokorzenie, jak piołunowy nektar męczeński. Za nim zaś, z nisko opuszczoną głową, dreptał karzeł. Wierny Karlito. Dzieci niektóre zaczęły rzucać w nich grudkami błota i zmarzniętego śniegu. Udawał Dragiełło, że nie czuje uderzeń. W końcu dotarli do stajni, konie oporzadzili i wyjechali, przez wrota, które bardzo szybko za nimi zamknięto.

Ciekawym było to, co nawet kazał brat Albert odnotować w zapiskach klasztornych, że jakąś godzinę później jeszcze raz bramę otwarto, żeby kogoś wypuścić. Tym razem wyjechał z klasztoru człowiek o tatarskiej gębie, z łukiem przytroczonym do siodła. Tegoż to się dopiero ludzie wystraszyli. Bo wyglądał on całkiem, jak ten w plotkach opisywany, mongolski szpieg i zdrajca. Ale gdy i on odjechał, to szybko o wszystkim zapomniano, bo pożoga się zdawała przybliżać.

\*\*\*

I Tego samego zaś dnia jeszcze, na trakcie idącym z Kra-

na Wrocław, Szalbierz dogonił Dragiełło, Karlita i braci (?ów»1 jakby nigdy nic zrównał konia z rycerzem i jadąc koło niego, strzemień w strzemień, patrzył w stronę, gdzie zachodzi Słońce- Stamtąd podobno duchy złe wychodzą.

- Zapomnieliście jednej ważnej rzeczy, rycerzu - powiedział nagle, acz po długiej chwili milczenia.

- Czegóż to, Tatarze? - spytał pogromca smoków, a w kącikach jego oczu błąkał się cień uśmiechu.

- Listu ojca Jacka do Czesława.

- A prawda! - Dragiełło zawołał zaskoczony - Toć by było bez niego! Dobrze, żeście sobie przypomnieli!

- Juści. To wam go zawiozę, aż do Wrocławia... A potem, jak Bóg da, wrócę do klasztoru...

Nie chciał dalej gadać. Odjechał wprzód, by o stajanie przed nimi drogę badać, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Karlito spojrział na swego pana, nie mogąc opanować chichotu.

- I cóż? Toć mój plan się powiódł całkowicie!

- A gdyby jednak nie przypomniał sobie o liście?

- Ech, mój panie, prędzej, czy później by sobie przypomniał. Musiał sobie przypomnieć. A myśmy przeca... zapomnieli poprosić. Ech...

- Ech... - powtórzył za swym sługą rycerz Dragiełło.

In die festo Paschae\* dopełniło się krwawe triduum krakowskie. Po trzech dniach od wkroczenia Tatarów, co się stało in die Cenaee Domini\*\*, Chrystus, jak co roku, zmartwychwstał, lecz miasto umarło. Krom wawelskiego zamku i dobrze fortyfikowanego kościoła Świętego Andrzeja, wszystko się obróciło w popiół i zgliszcza. - Jakie to grzechy musielim popełnić - pytali się wzajem ludzie, którzy przeżyli, że Pan Nasz w swoje święto najwyższe tak straszną karę nam na grzbiecie spuszcza?

Dukt idący od stolicy Małej Polski do Wrocławia naraz się zapełnił dziesiątkami uciekinierów. Ciągnęli, jak duchy jakie, obszarpane, brudne, poranione, z obłędem w oczach i nierzadko zawodzącym jękiem na ustach.

Jedna nadzieja została - w Henryku Śląskim - do niego więc wszyscy parli, którzy za miecz mogli chwycić. Reszta

\* In die...(łac.) - w niedzielę Wielkanocną. \*\* In die Cenaee... (łac.) - w Wielki Czwartek.

pierzchała tam, gdzie mogła znaleźć jakąś ochronę głębokie, albo za mury miejskie.

Na drodze był wielki ruch. Można było spotkać każd kmiociów, rzemieślników, osadników niemieckich, nai ~ rycerzy, mnichów, kobiety samotne z gromadkami dzieci boku, starców i młodych, chorych, kulawych i biedaków ^

\* ® Wra?

obok przedstawicieli możnych rodów: Gryfitów, Lisów czy Ł będziów. Trakt się zamienił w potworne grzęzawisko rozjeż dżone dziesiątkami kół, kopyt końskich, butów i brzoźowych łapci. Niektóre wozy zapadały się po osie, trza je było podpierać i z błota na siłę wyciągać. Przy gęstszym lesie, szczególnie p0 zmroku, było teraz wielce niebezpiecznie, bo nie dość, że wilki podchodziły, to jeszcze, skuszone chaosem wojennej ucieczki, czaiły się bandy rabusiów. Tatarzy zaś rozpełzli się po kraju jak szarańcza - palili każdą wieś, ludzi mordowali lub brali w niewolę. Jedno, co można było robić to umykać.

Zewsząd ciągnęły poczty rycerskie, od kilku do kilkudziesięciu osób liczące. Z ziem śląskich i krakowskich jechali woje, którzy pod piastowskim orłem henrykowym stanąć chcieli ku obronie ojczyzny.

Jeden taki poczet szczególnie się wyróżniał wyglądem. Bo składał się z rycerza Dragiełły, przed którym ludzie na boki zmykali, z Szalbierza, co przerażał tatarskim wyglądem, z Karlita, który cały się wydawał końskim garbem i w końcu z dwóch kalekich braci Job.

Jeruzalem, jedno zdanie wyrzekł po przywitaniu i już więcej się nie odezwał. Jechał ciągle przodem i milczał uparcie. Twarz miał zimną jak skutą lodem. I oczy szkliste.

Na dziedzińcu opolskiego zamku wiła się długa kolejka do studni. Mieszko kazał mury sposobić, a sam zebrawszy wojsko ruszył do Raciborza, by tam bronić ziemi opolskiej. W grodzie przygotowywano się na przyjście Tatarów, gromadzono zapasy żywności, dachy obkładano mokrą gliną, a ludziom

dującym dawano schronienie za wałami i dostęp do 0wej studni. Woda w rzekach i strumieniach była zatru- j górnym ich biegu leżały trupy ludzi i zwierząt. ', Mnie się to zdaje całkiem nie po chrześcijańsku, by ^ę pić - rzekł stojący w kolejce grubas w zniszczonej gończy-

\_ Słusznie prawicie, rycerzu Michałko - wtórował mu równie tęgiej postury, przez przyjaciół zwany Dobro- ?|awem - wino co innego, toć ono przystoi kapłańskiemu jtanowi. A nie woda. Tak ustanowił Zbawiciel nasz. Woda służyć może do Chrztu, albo i święcenia. Ale nie do picia, nie do picia całkiem.

- Widać, że z was mąż święty, na rzeczy się znający. Wino, miody dobrze nasycone, piwo, oto jest trunek godny człowieka!

- Amen.

- Dyć to sam cesarz Rudobrody swoim wojom rozkazał, by w czasie wyprawy wojennej nigdy wody nie pili, bo ta może być zatruta...

Mnich pokiwał głową na znak potwierdzenia i westchnął:

- I jam to, siedząc w mej pustelni, w środku puszczy ustanowionej, jeno w dobie postu ciężkiego wodę pijał. Ale i to do smaku zabarwiając winem, by, uważacie rycerzu, w grzech nadmiernej pobożności nie popaść.

- Ciekawym, co by było... - do rozmowy dwóch grubasów wtrącił się nagle stojący obok nich Bocianek - ... gdyby tak tu drugą studnię otworzyli, pełną miodu. Czyby ludziska też spokojnie na swą kolej czekali...

- Studnia z miodem! - wrzasnął Michałko - tu cię poznaję, przyjacielu! Znać, że stary, dobry duch wraca!

Dobrosław zaś przymknął oczy. W krótkiej modlitwie prosił Najwyższego o odjęcie pokusy ze studnią. Gdy tę bowiem raz ujrzał, mógł ją potem widywać przez całe życie. Posunęli się o kilka kroków i w końcu na tyle blisko byli, że mogli buklaki do napełnienia szykować.

Na dziedziniec wjechał orszak kilkunastu jeźdźców u rym przewodził nobliwy starzec o długich, siwych wł' Drogę przed nim torował chorąży z błękitnym proporce

- Można pan - szepnął Michałko do Bocianka.

W tej chwili za pocztem wtoczył się jeszcze wóz z tabo rem. Na dużej stercie skrzyń, kufrów i rozmaitych pakun ków stała klatka ze zwierzęciem, którego widok wprowadził w osłupienie ludzi stojących przy studni.

- Patrzajcie, diabeł - ktoś krzyknął. Zaraz gawiedź się rzuciła oglądać dziwo.

Dzieciaki zaczęły biec koło wozu przypatrując się dybukowi. Wyglądał jak człowieczek małuśki, o zwinnych rączkach i nóżkach, jeno z sierścią i ogonkiem. Tłum zatarasował przejście.

- Precz, ludzie, zejździe z drogi! - w końcu się rozsierzdził starzec w przepysznym płaszczu i uniósł rękę.

- To, co widzicie, nie diabelskim jest pomiotem, lecz zwierzęciem. Zwie się małpa! A darem jest mego pana, księcia Jaćwieży, dla księcia opolskiego Mieczysława! Z drogi odstąpcie!

I gawiedź rozsunała się na boki. Wóz zaczął toczyć się dalej i byłby już zniknął w bramie prowadzącej na wyższy zamek, gdyby na dziedzińcu nie rozległ się krzyk.

- Gigi! - ktoś wrzasnął w kolejce ludzi stojących po wodę.

Małpka, która do tej pory siedziała nieruchomo, nagle się ze swojego osowiałego stanu przebudziła i złapawszy za pręty, zaczęła miotać klatką na wszystkie strony i wydierać się przenikliwie. Potworny skrzek rozchodził się wokół, a zwierzę, w dzikim szale, szczyrzyło zęby. I ludziska pomyśleli, że wiedzieli lepiej i że to jednak piekielne jest monstrum.

Siwowłosa mężczyzna zatrzymał konia i obrócił go w miejscu.

- Kto to? - zawołał donośnym głosem - Kto krzyknął? Niech wyjdzie!

Tłum zaczął wietrzyć możliwą burdę. Ignas ścisnął rękę pobrosława. Ludzie patrzyli po sobie, szukając tego, który Łsnał-

„Niemądrze! - syknął Bocianek do mnicha - I po co żeście krzyczeli?

- Znacie się, ojczy, z tą bestią włochatą? - szeptem spytał Michałko.

Pustelnik zaś jakby ich nie słyszał. Patrzył na małpkę, patrzył i zdało mu się, że świat się kurczy i zakręca, i wypływa w przestrzeń, pomiędzy studnią na opolskim dziedzińcu, a prętami klatki stojącej na wozie.

- Czyliż ją znam?... - rzekł ledwie słyszalnie - A znam ją, znam.

- Kto krzyczał, niech wyjdzie! - powtórzył Wulfstan stojąc w strzemionach - Chcę wiedzieć, kto imię zna małpy, może coś o niej więcej wie, opowie nam!

Nikt się jednak nie zgłaszał. W końcu Jaćwież ze złością konia zawrócił. Na tę noc kazał małpkę przykuć łańcuchem do murowanej ściany i z ukrycia mieć na nią oko. Liczył, że ten

kto wołał Gigi, przyjdzie w ciemnościach po zwierzaka. Srodze się jednak zawiódł. Następnego dnia bowiem odnalazł tylko puste miejsce, łańcuch był przecięty, a strażnicy leżeli związani, jak barany. Po wyjęciu knebli zaczęli opowiadać niestworzone historie o tym, jak się nagle pojawiło dwóch diabłów, a tak wielkich, że same ich cienie mogły przyprawić o śmierć z przerażenia. Potem wyskoczył ptak ludzkich rozmiarów, rozpostarł skrzydła i zdzielił ich lagą po głowie. Małpka zniknęła.

Wulfstan nie mógł długo opanować wściekłości. Ale gdy dowiedział się, że księżę siedzi w Raciborzu, ruszył w stronę Brzegu i Wrocławia.

Wilhelm z Montfort pchnął grube, okute ćwiekami drzwi i wszedł do celi. Przeleciał wzrokiem po pustej pryczy, stoliku, przytknął palec do ogarka świecy.

- Całkiem zimny - rzekł do stojącego w drzwiach ks' cego woja. Potem roztarł knot w palcach i powąchał lone opuszki.

- Co najmniej dzień już nie palona - powiedział ni to do siebie, ni to do zbrojnego.

- Inne cele też puste - krzyknął pacholek, który przybiegł raportować, co znaleziono w pozostałych częściach klasztoru Świętego Ducha - nawet śladu po żadnym. Koni też nie ma. Ani sługi żadnego. Nic.

- Nie ma ich - mówił inkwizytor sam do siebie - czemu nagle zniknęli?

Podszedł do niewielkiego okienka. Popatrzał w dół, w stronę wirydarza. Zacisnął pięść.

Strugi wody płynęły ze strzechy i spadały prosto w długie kałuże ciągnące się pod ścianami. Śnieg topniał, wszędy słyhać było rytmiczne pacnięcia kropel. Poza tym głucho się zdawało i pusto. Chata była spora, kilkuizbowa, ale z tyłu jeno dwie szopy stały.

- Pewnie gospoda - rzekł Dragiełło, przyglądając się grubym pniom, z których ściany ułożono - jeno kto karczmy stawia tak daleko od traktu?

- I tędy szedł gościniec, mój panie - odezwał się nagle Karlito, wskazując palcem na przecinkę idącą w las, całą porośniętą niewielkimi drzewkami, krzakami i wysokimi, suchymi trawami - jeno ludziska przestali jeździć i wszystko zarosło.

- Jest tam kto? - zawołał Jeruzalem i trzy razy uderzył pięścią w drzwi. Cisza była za odpowiedź. Skrzywnęła gdzieś na wietrze okiennica. Szalbierz nacisnął na deski, lecz wejście nie puściło.

- Otwórzcie! - krzyknął rycerz - My ludzie dobrzy! Nie skrzywdzimy was!

- Ja wam gadam, braciszku moi, to miejsce przeklęte jest. Nikogo tu nie ma i dawno nie było — Karlito zaczął się nerwowo drapać w garb.

\_ Znać, karle, że ci męstwa Bóg tyle przysporzył, ile zrostu - rzucił Dragiełło, a potem dłonie do ust przychyliwszy krzyknął - Jeśli kto w środku jest, słowem rycerskim zaręczam! krzywda żadna od nas nie spotka!

\_ Poza trądem - dodał cicho jego wierny sługa i wnet oberwał ciężką rękawicą pogromcy smoków.

\_ Wchodzimy! - Jeruzalem splunął i natarł z całej siły barkiem na drzwi, które z jękiem wypadły z zawiasów.

Główna izba była sporych rozmiarów, mieściła kilka stołów z ławami dla gości, duże kamienne palenisko, a wysoko w dachu był otwór dymny. Nigdzie jednak śladów karczemnej działalności nie było. Żadnej misy, albo dzbana, albo choćby świeżej plamy od tłuszczu. Zamiast tego wszędy na belkach, na powalach i słupach wisiały pęczki różnego ziela, krócej i dłużej ciętego, z kwiatami albo i bez, łądygi i liście uschnięte, wiązanki na polach latem uwijane, korzenie po lasach spod darni wyrwane i troczone w wiechcie. Między nimi zaś, na sznureczkach uwiązane, dyndały worki i woreczki, pełne ziarna i proszków różnorodnych.

Jeruzalem i Dragiełło wyciągnęli miecze, bacznie rozglądając się na boki. Karlito podbiegł do paleniska i dotknął węgla.

- Jeszcze ciepłe - rzucił krótko, a potem otarł rękę z popiołu o własny kubrak.

Uklęknął i skrzesał ogień, podkładając chrustu z nagromadzonej kupki. Buchnęły płomyki, jaśniej w izbie się zrobiło. Jeruzalem chwycił za jedną z płonących gałęzi i zaczął nią przyświecać, wydobywając z mroku coraz to dziwniejsze przedmioty: nietoperza zastygłego w przedśmiertnym skurczu, ropuchy wyschłe zupełnie i płaskie, jak monety, zajęcze skoki i futra, kule lepione z włosów, rogi turów i jeleni, słoje Pełne oczu pływających w śmierzdzącym płynie oraz masę różnych kości i kosteczek.

- Panie mój! - podniosłym głosem zapiszczał Karlito - Garb do mnie przemówił! Teraz właśnie, wierzaj mi! Wyraźnie słyszałem, jak mi gada za uchem. A słowo takie: bieżaj! Bieżaj stąd, karle, pókiś żyw. Co i wam ze szczerego u serca doradzam! 1

- Zamilknij! - zganił go Dragiełło - Tobie, chamie czy kość nietoperza pokazać, a jęczysz jak baba!'

- Panie! Dyc to wiela razy garb nas ostrzegał, aście g chać nie chcieli i was sława rycerska ciągnęła ku przygód" Co ich skutkiem, to już nie jest trudne do zobaczenia Term was proszę, choć raz karła usłuchajcie. J^^H

- Cisz! - przerwał mu nagle Szalbierz i dwa kroki się cofnął, patrząc ze zdumieniem na coś widocznego u powały Dragiełło, bracia Job i trzęsący się karzeł podeszli bliżej. Jeruzalem uniósł pochodnię. Na belce, przytroczone sznurkiem wisiały trzy żelazne główki.

- Święty Florianie, Matko Boża Przenajświętsza, Jezusie Nazareński, miejcie nas w opiece - wyszeptał garbus i przeżegnał się - znowu przyszły.

Rycerz wyciągnął w przód miecz i dotknął nim jednej z główek. Zakołysała się i uderzyła w dwie pozostałe. Zadzwończyły wszystkie. Szalbierz zamachnął się, by je odciąć swoją szablą, aleć przed niego wyskoczył Karlito.

- Stójcie, Jeruzalemie, błagam was! Nic wam z tego, że je zetniecie! Jużście je raz w jeziorze topili, a wrócili. Tych trzech główek nie tknijcie. A my ruszmy się stąd i co się tylko da koni pędzić, jedźmy!

- Szukaliśmy na noc schronienia i żeśmy znaleźli - rzeki Dragiełło i usiadł na jednej z ław. Szalbierz jeno splunął pod wiszącymi maskami i odwróciwszy się podszedł do ognia. Karlito patrzył na główki szeroko otwartymi oczami.

Traktem czeskim od mostu na Piasku, przez Nowy Targ, koło jatek i Świętego Ducha z jednej, a karczmą i straganami z drugiej, jechało kilku konnych. Miasto było puste.

Czasem jeno kot jakiś przemknął, albo pies, ale człeka żywego zobaczyć nie było można. Jakby nagle każda dusza

« roWała zostawiając po sobie puste kąty. Tu, gdzie co , staj gwarny targ, teraz jeno się wałały strzępy warzyw Pteriałów, wiatr łopotał kawałkami naddartych zadaszeń.

Żal tego miasta - rzekł jeden z konnych zatrzymując konia-

- Spalą wszystko, zostanie jeno popiół... - dodał drugi.

- Lepsze to bronić się za murami zamków. Ci co do lasów uszli, może życie uchowają, a jak wrócą, wszystko odbudują \_ rzekł książę Henryk i ruszył dalej, za nim zaś przyboczni rycerze.

- Kiedy wyruszą, miłościwy panie, do Legnicy? - spytał kasztelan.

- Nie czekam już. Wam powierzam obronę grodu. Trwajcie tak długo, jak się da. Ja, gdy wojsko ciągnące do Legnicy zbiorę, tedy uderzę na oblegających od północnego zachodu. Z południa idzie Waclaw Czeski. Tedy diabłów wcielonych ujmiem jak w kleszcze. I pod Wrocławiem ich schwytały w sak. W tem jeno rzecz, byście w boju mężnie stawali i strzymali do naszego nadejścia.

- To już w rękach Boga.

- Jego opiekę macie zapewnioną. Oto już ojciec Czesław z Odrowążów zadba.

Henryk wskazał w stronę zamku, gdzie wysoko na murach nabożeństwo odprawiał dominikanin, błogosławiąc



obrońcom i wszelki oręż znakiem krzyża święcąc.

\*\*\*

- Gdzież ludzi widzicie, he? Wcześniej zem siedział cicho, jak mysz pod miotłą, chociaż wszyscy w tamtą jechali stronę, a my jedni w drugą. Znaczy się ku wschodowi, skąd Tatarzy diabelskie mają nadejść. Ale póki jeszcze kto poza nami w ogóle na gościńcu był, pótym znosił. Co teraz jednak? Droga pusta! Nic przed nami nie ma, jeno błoto, błoto i błoto aż po zakręt. Pozostaje już tylko na Tatarów czekać i ręce zło żywszy, o tak, jak do modlitwy, pozwolić by nas zamord albo w jasyr uprowadzili. - pieklił się Bocianek

Oba grubasy siedziały na wozie i wzdychały ciężko, pat w przód i słuchając gadania wściekłego Bocianka. W koń przyznali mu rację, że dalsza jazda zda się niebezpieczną z? pchnęli wóz na bok, tobołki co najpotrzebniejsze włożyli na wołu, na samym szczycie posadzili chłopca i małpkę. Zaczęli iść piechotą. Ignas całkiem był zadowolony patrząc z góry na świat i gładził Gigi za uchem. Makak zaś iskał go wykazując najwyższe małpie zainteresowanie i czułość.

Na przód się wysunął Michałko, pełniąc rolę czujki Dochodził do zakrętów drogi, tam się chował za drzewem i rozpatrywał, co przed nim. Gdy droga była wolna, machał na resztę. I tak posuwali się skokami, jak zające zapadające w bruzdy na polu.

- Jak już za drzewami się kryjesz, szukaj takich, byś zza pnia nie wystawał. Bo cóż, że się chowasz, gdy tu brzuch, a tam inne części ciała sterczą - wyśmiewał się z Michałka przyjaciel w ptasim stroju.

Śmiech zamarł mu na ustach, gdy tłusciuch nagle padł na ziemię, jakby go zdmuchnęło i zaczął machać rozpaczliwie rękami. Dobrosław pociągnął woła w stronę gęstszego lasu, za wysokie jodły. Bocianek zaległ między krzakami, w wysokich trawach.

Przez chwilę było cicho, lecz w końcu rozległ się tętent i na zakręcie pojawiło się kilku jeźdźców na małych, krępych konikach. Kłusowali układając ciała w rytm końskiego biegu, a oczu ich nie było widać pod szerokimi, futrzanymi otokami czapek.

iwali

Minęli przyczajonego w krzewach Michałka, dojechali do miejsca, w którym Dobrosław z Ignasem odjechali w bok i już się zdawało, że ich miną, gdy jeden z jeźdźców krzyknął:

- Ketii-gelże ho;, tur!74

patrol tatarski zatrzymał się. Mongołowie zsunęli się koni- Bocianek wstrzymał oddech i po dziesięćkroć przecinał chwilę, w której powstał pomysł jechania tam, skąd idzie zawierucha. Dobrosław w tym czasie kazał Ignacemu wczolgać się, razem z małpką, w gęstą brzezinę. Wół zaczął skubać młode liście z drzewa, szeleszcząc i mlaszcząc. Pustelnik przeżegnał się i zaczął przemawiać do ucha zwierzęcia, upraszając by natychmiast zaprzestało głośnego pożywiania się.

Tatarzy wyjęli łuki, nałożyli strzały na cięciwy i zaczęli, miękko jak koty, iść za wydeptanym śladem. Bocianek coraz wyraźniej słyszał szum suchych traw poruszanych krokami. Kropla potu zaczęła płynąć mu po czole.

Na palenisku ogień przygasał. Głowy zaczęły opadać czuwającym: najpierw Dragiełło zasnął z czołem na kolanie, potem Jeruzalem, na koniec i bracia Job, wspierając się o siebie plecami.

Jeno ICarlito nie spał, czegoś oczekując, coś czując w powietrzu i gapiąc się na coraz mniejsze płomyki liżące gałęzie. Drgnął, bo mu się zdało, że ktoś nadchodzi. Coś skrzyknęło ode drzwi. Uniósł się trochę i zoczywszy niewielką, zgarbioną postać wrzasnął nagle, szarpiąc swego pana za but. Dragiełło zerwał się w te pędy i miecz wyciągnął, kierując ostrze ku nieznanemu. Także i Jeruzalem stał już z szablą w ręku.

W otwartych drzwiach tkwił ktoś owinięty zawojem pozszywanych szmat i skór. Spod wielkiego, opadającego na plecy kaptura, sterczały wiechcie zmierzwionych i pokudlo-nych włosów. Gęba była czarna od brudu i pokryta siatką zmarszczek na stwardniałej od chłodu i wichrów skórze.

- Ktoś ty?! - krzyknął Dragiełło, a bracia Job rzucili na żarzące się węgle kilka gałęzi. Buchnął świeży ogień i oświetlił mocniej izbę. Teraz dopiero zobaczyli, że to stara baba, która w jednej ręce miała kostur drewniany, a w drugiej trzymała

jakiś wór przerzucony przez plecy. Zrzuciła go na i błyskając oczami powiodła po ludziach zgromadzonych w izbie. Zaśmiała się, a śmiech był jak kaszel chorego.

- Kto jesteś? Gadaj! - Jeruzalem przybliżył się, mierz ciągle w jej stronę ostrzem szabli.

- Żelazo mocne, serce w zamęcie, dziewczyna w g<sup>^</sup>- zimnym leży - bełkotliwym, charkoczącym głosem rzekła starucha. Szalbierz zadrżał i broń opuścił.

- Jechałeś, jechałeś, tyle lat ci zajęło. Tyle dróg. A słoneczko nad tobą świeciło. Czemuś tam nie patrzył, tylko w nogi?

Baba rozsypała worek i wyciągnęła z niego garść splątanych korzeni.

- Lukrecji podziemne rozłogi, dadzą błogość wam, synkowie moi, w głowie i w płucach.

Zaczęła je rwać brudnymi paluchami o wielkich, popękanych, czarnych paznokciach, a potem nic sobie nie robiąc z Dragiełły i Jeruzalema podeszła do paleniska i rzuciła korzenie w ogień.

Zaskwierczały, strzeliły, białym, soczystym, gotującym się mięszem, a w powietrze uniosły się kłęby białego, wielce słodkiego dymu.

- Dychajcie nimi.

Pogromca smoków schował miecz do pochwy, lecz spojrzenia baczego nie tracił. Karlito drzeć zaczął na całym ciele, jakby gorączka silna paliła go w żyłach. Ręce wprzód wyciągnął i oczy wybałuszył. Na kolanach podsunął się do starowinki.

- Ty... ty... żywiesz! - wyjęczał, wyszlochał prawie.

- Czekałam na ciebie - rzekła do niego i z nagłym porywem czułości pogładziła garbusa po włosach. Wpił się ustami w jej rękę.

- Skumna... - wyszeptał drżącymi wargami.

Uę 1 We

ąc

- Karlito... - rzekła starucha, tarmosząc go za ucho - gdzieś ty bywał?

F Jakże, gdzie? Tu, tam! Odkąd umarłaś, żyłem jak że-  
v a później... rycerskim giermkiem jestem teraz...

\_\_ ja nie umarłam. Ja odeszłam.

\_ Toć... toć ja sam widziałem, jak do jeziora wchodzisz, coraz głębiej i głębiej. Stałem na brzegu, krzychałem za Tobą, żebyś ostała, że co ja bez ciebie pocznę na tym świecie. A ty w topiel szłaś. I włosy. Jeny włosy twoje na wodzie pływały. Sam ostałem. Płakałem długo. W noc. Krzychałem. Skumna! Gdzieś ty?! Matulu! Tak krzychałem... Matulu!...

- Synku... Karlito... Ja tylko w jezioro weszłam. Strzygi mnie czekały, topielice majowe. Do nich szłam nocami pływać między nenufary i spod wody patrzeć w niebo, wysoko, na gwiazdy. A one na falach pluskały. I spałam długo. We trzcinach leżałam, w tataraku, rybią porosłam łuską, oddychałam skrzelem. Lata płynęły. A może jeno chwil parę? Wyszłam z wody i ciebie nie było.

Karlito pochylił się. Ukrył twarz po kapturze.

- Skumna... - rzekł do siebie Dragiełło, kiwając głową - wiedźma, której chata...

- ...nam za schronienie służyła - dokończył za rycerza Jeruzalem - stąd i główki tutaj. Za nią przyszły.

Baba znowuż we worku pogrzebała i zaczęła z niego wyciągać kolejne suche gałązki, które do ognia dorzuciła, a nad paleniskiem siwo się zrobiło od dymu.

- Dziewczę leży w cichym grobie, zimna ziemia parzy ją - zaczęła paplać wieszczka, a słowa mieszały się, płynąc nieuporządkowanymi strumieniami - siedmiu było, siedmiu nie ma, a za miedzą diabłów sto. Pleć się dymie, pal się wodo, śmierć pod kosę bierze młodość, a ty chłopcze, ty jedyny, tyś nie słuchał tej dziewczyny. Teraz nie płacz. Łzy zachowaj. Milcz, zatrzymaj puste słowa.

Zatoczyła się parę kroków i na ziemię osunęła. Czy to dym ją tak otumaniał? Czy osłabła ze starości i zmęczenia? Czy korzenie i rośliny wrzucone w ogień wypuściły z siebie jakieś jady do powietrza? Dragiełło także ręką się o parł. Jeruzalem przysiadł na ławie, oddychając ciężko

- To sen pewnie! Sen być musi! - zaśmiał się Karlito nie wierząc, co widzicie. Wszystko jeno w mojej głowie dzieje!

- Jeruzalem, mój kochany! - krzyknęła nagle wiedźma oparta plecami o ścianę - jestem tu, przy tobie. Siedzimy ra zem nad rzeką. Ważki wokoło latają, motyle. Słońce kłosa traw prześwieca. Patrzaj, jak Ignas w wodzie się pluska.

- Hanna! Tyś to? - Szalbierz osunął się na kolana, a wielka kropla potu spływała mu po czole.

- Kochany mój! Weź mnie za rękę, zimno mi.

- Stójcie, Jeruzalemie, to Skumna - powstrzymał kuglarza Karlito.

- In nomine Patri et Fili et Spiritus Sancti - pogromca smoków przeżegnał się.

Wieszczka miała oczy wywrócone, bielmem jaśniejące, wargi rozchylone, a z kolejnymi tchnieniami wyrzucała z siebie prorocтва:

- Sedelai! Ebrehel! Rycerze ze snu wstańcie! Co za duch was opętał, że śpicie! Skały kruszcie pięścią żelazną i do przodu gnajcie na skrzydłach wichru. Ze wschodu wataha ciągnie. Wataha psów dzikich. Złych. Ślepią ich krwawią jadem, do ust waszych bieją. Niedobre to psy! Ludzkim się żywią mięsem. Tartar ich norą, tam się urodziły, tam z matek swoich ssały nienawiść. Pana Podziemi sługi. Psy Tartaru. Przyszły do naszego domu. Do gardeł nam się rzuciły i chlepczą rozgryzione szczęście. Setki ich, tysiące biegną, ujadają, gryzą. W głowach się stadami snują, wycie ich rozsada czaszki. Psy Tartaru! Zabijaj psy, rycerze! Oreż chwytajcie, w żelazo się strójcie, konie siodłajcie i pędźcie! Pole widzę, a na nim trupów tysiące. Psy im uszy odgryzły i pasą się radosne ich mięsem. Dobrze to Pole, a śmierć nim włada i kośćbę przyjmuje. Pole widzę, a na nim wojów setki. Psów chmary zewsząd- Otaczają, gryzą, szarpia! Jeden stoi, na świetlistym koniu.

z wznosi, lecz oto pies mu się rzuca do boku... Ratujcie

rycerze! Do niego pędźcie! Tam go znajdziecie, gdzie ja- "noś i koń biały, bo to jest Książę Jasności. Obrońca Świata! po niego pędźcie! Siedmiu być musi. Siedmiu uratuje. Siedmiu psy odpędzi. Miecz po temu. Miecza szukajcie! Ostrze wykute na kowadle Bożym. Blisko! Tam znak, gdzie życie bi- j-ce! Jeden ma, czego wszyscy szukają! Miecz was wywiedzie z ciemności!

Wiedźma urwała oddychając ciężko.

- Skumna - wyszeptał Karlito.

Drżała na całym ciele, a tremor był tak silny, że uderzać poczęła głową w ścianę. Szalbierz zwinął jej kaptur i razem z opończą włożył pod skudłone włosy. Chwyciła go szponia- stą dłonią za rękę i ścisnęła. Wyprężyła się. Coś rzekła, ale nic słychać nie było. Tylko bełkot niewyraźny. Pieniła się ślina w kącikach ust. Jeruzalem ucho przychylił do jej warg, żeby złowić, co gadała w szaleństwie. Nagle podniósł się i mocno poruszony spojrzął na resztę.

- Chłopiec! - rzekł, nie mogąc ukryć wzburzenia.

- Jakież chłopiec? - spytał Dragiełło, a oczy jego nabrały blasku szaleńczego.

- Leży na drodze! Jeden z Siedmiu! Tak Skumna rzekła. I czeka naszej pomocy! Jeden z Siedmiu!

- Ignaś! - pogromca smoków zaczął nerwowo pas z mieczem dopinać, żeby ściślej przylegał

- Karlito! Wraz szykuj konie! Ruszamy!

- Nie, panie, szykował nie będę! - odparł otumaniony dymem i wydarzeniami garbus - To jest sen mój jeno. Starczy mi strachów i widoku Skumny. Robił nic nie będę, bo najgorsze są sny, w których robić co trzeba. Wolę te, w których latam, jak ptak. Albo jestem papieżem.

- Ja ci zaś nie tylko papieżem, ale i świętym zaraz pomogę zostać, jak się nie ruszysz! - wrzasnął Dragiełło i zdzielił sługę w łeb rękawicą.

- Ajć, boli! To nie sen! - stwierdził karzeł ze zdziwi, i popędził siodłać wierzchowce.

\*\*\*

Ignaś wstrzymywał oddech, co łatwe nie było, bo serce w piersi waliło jak oszalałe. Klęczał między krzakami ostrokrzewu, rozsuwał zeszłoroczne, suche trawy i kryjąc się za nimi spoglądał między źdźbłami na drogę.

Dobrosław, Bocianek i Michałko zostali powaleni na kolana i teraz ich wiązano sznurem. Wokół stało kilku Tatarów którzy oglądali zdobycz i naradzali się, co z nią zrobić.

- Bo'ol boltuqaj!75 - rzucił jeden wskazując jeńców. Inny pchnął Dobrosława, aż ten poleciał w błoto, uderzając w nie z chlupotem.

-Qangi? 'une zokiquj azi'aj że!76 - rzekł stawiając stopę na mnichu. Reszta wybuchła śmiechem i wszyscy zaczęli kopać zakonnika i plwać na niego.

Ignaś zakrył dłonią pyszczek małpki i bliżej przytulił do siebie, żeby nie pisnęła.

Wojownicy mongolscy rozdzielili się. Większość ruszyła w dalszą drogę, a jeden z nich pojechał z powrotem, w stronę głównych sił tatarskich, by tam jeńców odprowadzić, wlokąc ich na postronku, jak dzikie bydło. Chłopiec zaczął biec za nimi, obserwując z dala, co się dzieje i kryjąc w zaroślach.

\*\*\*

Arqaj z plemienia Urutów do straży przedniej był wybrany dzięki szczególnej zwinności, jaką wykazywał w czasie wojennych ćwiczeń w stepie. Jadąc w pełnym pędzie potrafił wyczyniać cuda: przekładać nogę nad łękiem, leżeć brzuchem na siodle, obracać się na plecy, zsuwać na dół i przeplatać między nogami galopującego wierzchowca- Pewnie dlatego miał przydomek Gere Mortaj, co znaczyło

I czaCy jeździec". Teraz Arqaj Gere Mortaj ciągnął za

w białych ludzi, a oczami wyobraźni wjeżdżał do rodzin-

. wj0Ski z łupem, by ofiarować staremu ojcu niewolników. " mu się prawie zdawało, że widzi łopoczące na wietrze wejście do swojej jurty. Jechał kolebiąc się w siodle, a las który widział po obu stronach zdał mu się lasem porastającym mongolskie góry. Co i raz oglądał się za siebie i z lubością patrzył na prowadzonych jeńców. Jeden żal, jaki odczuwał, to iż nie było wśród nich niewiasty, z której mógłby uczynić niewolnicę. Począł więc przemyśliwać, ile to jeszcze białogłów zdobędzie w czasie onej wojny. Bycie w straży przedniej wiązało się co prawda z niebezpieczeństwami, ale i - nie ma co kryć - z korzyściami, patrole bowiem wjeżdżały częstokroć do siół niczego się nie spodziewających, a tam dopiero można było poużywać. Po wyróżnieniu mężów wybierało się młódki między niewiastami. A gdy te swą rolę spełniły, można je było zabić przez podcięcie gardeł, albo rozplatanie brzuchów. Wszak były jeno darem Tengri zsyłanym jako nagroda dla każdego bogobojnego wojownika. Można je też było wziąć na arkan i uprowadzić w niewolę, ku pożytkowi wieloletniemu.

Gere Mortaj jechał oddając się marzeniom, a za nim szły jego zdobycze, powiązane za szyje, jak barany. Ciągłe coś gadali do siebie. Jeden paplał wznosząc oczy ku niebu. Chu- dzielec

wrzeszczał na tłuściocha. Arąaj nie mógł słów wyrozumieć, ale z gestów i tonu głosu, można się było domyślić, że człek w ptasich piórach ma jakiś silny żal do towarzysza niedoli.

Tatar nagle zatrzymał konia i aż się uniósł w strzemionach, żeby się lepiej przypatrzeć nieoczekiwanemu widokowi- Sięgnął za plecy, po łuk.

Przed nim, o kilkadziesiąt kroków, dokładnie na środku drogi, na wzniesieniu, stał konny rycerz. Nieruchomo, jak z kamienia wyciosany. Kolczuga, tunika, szyszak i wreszcie kropierz koński sprawiały wrażenie tak starych, jakby wieki liczyły, a sam ich właściciel przed chwilą wyjechał z ca. Twarz miał całą schowaną pod bandażami.

Wyciągnął miecz i wznosił go w górę, niby czekając zwarcie w pojedynku turniejowym.

Tatar nie miał jednak zamiaru z widmem się ściierać broń białą. Nałożył strzałę na cięciwę, koniec łuku wsadził w strzemię i już zaczął go naciągać, gdy od strony wzniesienia wyleciała, z krzaków przydrożnych, potężna strzała Przecięła ze świstem powietrze, wbiła się prosto w pierś Tatara i odrzuciła go o parę kroków w dal.

Arąaj padł na plecy i przez krótką chwilę łowił oczami ostatnie widoki doczesnego świata: korony drzew i długi bełt sterczący w niebo, niczym znak pokazujący, którą drogą dla uciekającej duszy. Karlito dmuchnął w palce, którymi naciskał na spust.

- Dragiełło! - krzyknął Dobrosław, usiłując wyplatać szyję z więzów. Z tyłu rozległ się tupot nóg. Środkiem drogi, z oczami rozszerzonymi od radości, biegł chłopiec, z małą kłosa w rękach.

A na wzniesieniu pojawiło się więcej postaci. Poza niezwykłym rycerzem stanął tam Szalbierz, podpierając się pod boki i dwaj bracia Job. Na koniec, z krzaków wytarabanił się karzeł, ciągnąc za sobą wielką kuszę. Ignaś leciał do przodu, jak na skrzydłach. Jasne światło podświetlało kontury ludzi, tak że się zdali drużyną ciemnych figur wyciętą z czegoś i postawioną na tle nieba. Gdybyż chłopiec mógł krzyczeć! Las by cały huczał jego radością.

- Wilczek! - krzyknął Szalbierz i upadł na kolana.

Chłopak wpadł w jego objęcia i utonął w silnych ramionach.

- Ignaś! - Karlito wznosił oczy ku górze.

- Chłopcze dzielny! - Dragiełło rzekł łamiącym się głosem, nie mogąc ukryć wzruszenia.

; §r°bo\v-

na

Gigi wrzasnęła szaleńczo i wskoczyła Jeruzalemowi na bark, po czym jęcząc z niebywałego szczęścia zaczęła bić

„iąstkami po łbie, a po chwili iskać z wielkim poświęce- 1.

Może będzie osobą duchowną z więzów uwolnili? ilnili. ot co! - rozległ się krzyk od strony powiązanych jeńców.

- Dobrosław! - Szalbierz próbował się wyswobodzić z uścisków Gigi i Ignasia. Karlito wrzasnął, przykładając dłonie do ust:

- Zdrowi bądźcie, pobożni pątnicy! Piękną to pokutę żeście sobie nadali! Piękną być musi w oczach Najwyższego! Nie będziemy wam drogi do Królestwa Niebieskiego zagradzać i pozwolimy wam iść dalej w pokutnym marszu!

- Już ja ci, Karlito, pokutę zadam odpowiednią! - brzmiała odpowiedź - jeno zaraz mnie z tych więzów uwolnijcie! I tych rycerzy dzielnych! Michałka z Ciepłowody i Bogusława Bocianka z Bocianowic!

Arąaj Gere Mortaj tych krzyków już nie słyszał. Stygl i sztywniał w błocie traktu ciągnącego się z Krakowa do Wrocławia.

\*\*\*

Laudetur Iesus Christus!

Bracie mój umiłowany w Chrystusie Panu. Piszę do ciebie, a serce moje boleściwe i dusza płacze. Ledwośmy uszli nawale tatarskiej z Kijowa, a już jesteśmy pod nią byli nękani w Sandomierzu. Klasztor i kościół nasz ostały się od pożogi, a w nim ludzi trochę, którzy z miasta uchodzili. Krom tego jednakowoż wszystko w popiół obrócone. Trupami ptactwo się karmi, a my za mur nie możemy wyjść, bo nieprzyjaciel ciągiem w okolicy się pokazuje.

Trwam w modlitwie nieustannej i wierzę, że cierpienie, nawet najsroźsze, my jeno z ludzkiego, ograniczonego, świeckiego punktu widzieć możemy. Z Bożego widzenia ono insze. Prowadzi ku zbawieniu dusz.

A to jedyny cel naszej wędrówki.

Polecam i Ciebie, Czesławie, moim modlitwom upraszając o błogosławieństwo i siłę do trwania w / niu Jego woli.

Zwrócić zechciej uwagę, mój bracie, na ludzi, którzy ten ci wręczą. Oni mnie z płonącego kościoła, w czasie k' jowskiej pożogi wyratowali, gdym wynosił z płomieni Ciało Chrystusowe ukryte w monstrancji i figurę Matki Bożej je den z nich, rycerz szlachetny, imieniem Dragiełło, rzucił się w środek ognia i mnie z pożaru wyprowadził. Sam to przypłacił poparzeniem ciała i późniejszym atakiem trądu, który się z łatwością na osłabione ciało dostał. Drugi zwie się Jeruzalem i jest Tatarem, co długo u chanów siedział, lecz chowany w klasztorze w Tyńcu, sercem przyłgnął do tego, co polskie, Polskę ukochał i jej chce być wiernym synem. Może ów człowiek wielkie oddać zasługi w ratowaniu ojczyzny naszej. Proszę cię, Czesławie, byś go czym prędzej do księcia Henryka przywiódł i prosił o wysłuchanie. Jeruzalem skarb to najlepszy, wiedzę bowiem posiada o tatarskim wojsku, sposobie ich walki i tych rzeczach wszystkich, które potrzebne są do pokonania wroga...

Dominikanin przerwał czytanie listu, który już po raz wtóry przebiegał oczami i popatrzył na stojących przed nim ludzi.

- Kiedy Tatarów czekać mamy? - spytał.

- W każdej chwili - odpowiedział mu trędowaty rycerz.

- Konie gnaliśmy równo z ich pierwszymi patrolami - dodał Szalbierz - już ich można wypatrywać z murów.

Czesław podszedł do okna zamkowego i w milczeniu zaczął spoglądać na wymarłe podgrodzie i kominy, z których nie snuł się żaden dym.

- Jak podejda tu chytrze, nie zobaczymy ich szybko. Tam lasy, aż po sam wjazd do miasta.

- Usłyszycie ich - wyjaśnił Jeruzalem - widać koni. Tysiące.

Zakonnik przeżegnał się i rzekł:

„Zęby sobie wybija na naszych murach. Książę wojsko l'ra w Legnicy i od północy uderzy na oblegających. I \_ Jeśli będą chcieli oblegać. Im nie na grodach zależy. ^ na samym księciu i jego rycerzach. Główne siły idą na Wę- gPj, na Belę i Kolomana.

- Patrzę na was i dziwuję się. Wierzajcie mi, że gdyby nie pisanie od mego brata, kazałbym was pewnikiem do lochu wtrącić i wydać sądzemu księżęcemu.

Na twarzy Odrowąża znać było ślady nieprzespanych nocy. Uśmiechał się blado i dokończył nie spuszczać z oka Tatara:

- Bo to o was wieści były rozpuszczane, żeście tatarski szpieg i że jeno dzięki waszym zdradom chany wiedzą, jak nas podchodzić.

Jeruzalem cofnął się dwa kroki, wiele wysiłku wkładając w to, by teraz milczeć. I by nie splunąć.

- Kto wieści takie śmie rozprawdzać? - zapalczywym tonem rzekł za to Dragiełło - Ja rycerskim słowem zaświadcę...

- Nie trzeba - przerwał mu zakonnik - mnie starcza słowo przez brata mego, Jacka, skierowane, bym zawierzył. Bardziej jemu, niżli jakiemuś Jaćwięgowi...

- Jaćwięgowi? - zakrzyknął Szalbierz.

- Juści. Bliski był tu człowiek od księcia Jaćwieży, Bli- znobrodego. Zwał się Wulfstan. On to ostrzegał, by wam nie wierzyć, a gdybyście się pojawili schwytać i ubić na miejscu.

- Matko Boża! Daj mi spokoju, abym od gniewu nie przeklął w złe wyrazy! - Dragiełło aż się gotował ze złości i nie mogąc głosu opanować wykrzyknął:

- To on zdrajca! Gad przeklęty! Jego ubić trzeba!

Brat Czesław znak krzyża nad wszystkimi uczynił, po czym usiadł do stołu, by pisać list do księcia Henryka. Do Legnicy.

## LEGNICA

9 KWIETNIA A.D. 1241

W rtmie hełmie orzeł czarnopióry '??eroko skrzydła rozwinął, płaszcz mój był z pąsu; na nim moje córki dziergały złotą nicią CHRYSSTUS imię, nim je w weselnej wywiodłem drużynie... \X'onym to hełmie skrzydlatym, ja w czynie, #płaszczu z płomieni, ze krwi i purpury wbiegłem na pola Lignicy...

Niechaj się święci moja Śmierć-Przemiana, ducha przemiana, odrodzenia święto. Tam chrzest przyjąłem na się z rąk tyrana, chrzest krwi - gdy mię tam Bożego przyjęto. Naród zakrzyknął cały: „On zmógł chana!” „On święty polski” - Głowę moją wtknięto na żerdź. - Ujrzałem był rzeszę bez liku, jako szalona drży: „Króluj” w okrzyku.

Zgasły me oczy - a Bóg wstrząsnął duszą, bom oto wolny i ptak pąso-pióry. Skrzydła się ze mnie wija, więzy kruszą i wstałem władcy-król, ja - Henryk Wtóry. Ciężaru-m ciała zbył, ciała katuszą; mocen lotami uderzyć o chmury, na moich skrzydłach orłowych do góry unosząc Polskę, ja: KRÓL HENRYK WTÓRY!

Stanisław Wyspiański, fragment rapsodu „Henryk Pobożny pod Lignicą”

## Z

agrały rogi. Christus vincit! Ręka księcia śląskiego zatoczyła koło. Poszedł sygnał. Ruszyli. Wszyscy. Drgnęły linie odzianych w stal rycerzy. Załopotwały proporce. Miliony kółeczek stalowych w kolczugach zaczęło chrzęścić, jak niebotycznej wielkości grzechotka śmiercionośna. Śpiewy, okrzyki i nawoływania wznosiły się nad głowami chrześcijańskich oddziałów.

Widząc, że armia mongolska obróciła się bokiem, okrążając Dypoldowica, księżę Henryk nakazał atak frontalny trzema pozostałymi hufcami: Mieszka Opolskiego, Sulisława i rycerzy zakonnych.

Jak lawina miażdżąca wszystko na swojej drodze gnały szeregi rycerstwa w stronę tatarskiej cizby. Ta zaś z wielką szybkością zaczęła się formować na nowo, a w stronę atakujących znów poleciały chmury strzał.

W tejsze chwili na pierwszą linię chrześcijańską wysunęli się konni kusznicy i gradem dobrze mierzonych bełtów

zepchnęli w tył lekką jazdę stepową. Pomagali im piesi, którzy dobiegli od strony skrzydła braci zakonne\*^

\*\*\*

Ordu ze złością zacisnął dłoń na rękojeści szabli Bit^ szła nie po jego myśli. Szalony atak krzyżowców Tatar ' zdławili, lecz stracili dużo krwi, a co może i ważniejsze - ?^ cjątywę i przewagę ustawienia.

- Bajdar tu na wzgórzu! Mangkutai! - krzyknął wódz mongolski do gońców. Ci popędzili na tyły, gdzie czekał odwód złożony z elitarniej, pancerniej jazdy mongolskiej.

\*\*\*

Książę Henryk co i raz podnosił się w strzemionach, jakby dzięki temu mógł co lepiej widzieć. Jeruzalem był niedaleko, ciągle czujny i skupiony. Wokół władcy stali w gotowości jego najwierniejsi rycerze: Konrad Konradowie i Jan Iwanowic. Dalej zaś, na niespokojnych koniach czekało rycerstwo śląskie. Kopie skierowane w niebo, drżały z niecierpliwości.

Przy taborze, rycerz trędowaty Dragiełło kazał giermkowi konia podprowadzić. Karlito przytrzymał mu strzemię do wsiadania. Potem miecz podał, tarczę z herbem kraplan i kopię.

\*\*\*

Grzmot galopujących rycerzy zakutych w stalowe pancerze szedł wokół, jak huk tysięcy piorunów dobytých z niebios przez gromowładnego. Kopyta ciężkich, bojowych rumaków wrywały z ziemi kęsy traw, korzeni, piachu i wszystko razem wyrzucały w powietrze, tworząc za sobą wielką chmurę idącą w niebo, jak dym. Dźwięczały upręże, kółka stalowe, sprzączki, zapinki. Migotały w słońcu wężowe cielska kolczug. W rytmie galopady charczały oddechy ciężko pracujących koni. Las kopii pochylił się tworząc masę najeżonych, żelaznych ostrzy skierowanych w pogańskie piersi.

Ujądanie, okrzyki, nawoływania tatarskich dowódców rj<sup>-</sup> swoje. Małe, stepowe koniki wykonały zwrot z osza- f<sup>^</sup>iającą prędkością. Jeźdźcy ułożyli się na powrót w forma- łącząc w harbany, dżauny i mingany. Krótkie łuki powędrowały do rąk, długie do sajdaków. Z kolczanów wyjęte wraz strzały z grotami do przebicia stali. Końce łuków w strzemią Naciągnięcie. Łuczyska skrzypią. Cięciwy oparte na kamiennych pierścieniach. Pierścienie na każdym palcu wskazującym. Strzała, ręka, oko, palec, pierścień. Mierzenie w cel. Wyczucie rytmu galopujących koni. Tylko krótka chwila, gdy wszystkie kopyta są w powietrzu. Wtedy palce wyprostowują się. Cięciwy ześlizgują z pierścieni naciągowych. Puszczenie cięciw. Świsł. Lot. Uderzenie. Znowuż naciąg. Strzemię, oko, ręka, palec, pierścień. Zawis konia. Salwa. Tysiące razy. Galop. Futrzane otoki na czapkach szaleją. Krzyk. Ujądanie stepowych psów. Chwiejąca się ziemia.

Lecz z dała widać, czuć, nadciąga żelazna lawina. Tatarzy gnają konie. Ucieczka szalona. Hejda! Hejda! Wysiętek potworny. Lecz nie ujdą. Lawina stalowa coraz bliżej, dyszy, wali, pędzi! Coraz bliżej!

Więc gwizdki, piszczałki, strzały sygnałowe. Nie można już uciekać. Trzeba się zetrzeć! Łuki do sajdaków. Szable z pochw. Włócznie do rąk.

Ryk potworny dowódców i nagły, tysiąc razy ćwiczony, zwrot w miejscu, aż ziemia faluje pod kopytami. I psów zgraja rzuca się do gardeł pędzącym chrześcijanom.

Wielka, najeżona kopiami, stalowa fala spadła na Tatarów jak smagnięcie wściekłego, rozjuszonego oceanu żelaza. Starły się dwie masy, wyrzucając w powietrze chmurę potrzaskanych drzewców, fragmentów upręży i siodeł, ciał ludzkich i końskich, wyrwanych uderzeniami płatów pancerzy. Na chwilę wszystko stężało, opadło i rozpoczęła się absolutna rzeź, w której jeno krew tryska i ostrza biją siebie w krzesząc miliony iskier. Wrzask poszedł potężny - krz<sup>^</sup> ci, którzy padali ranni, i ci co wrzaskiem dodawali sobie<sup>^</sup> muszu. Nad wszystkim powiewały flagi z krzyżami o różn<sup>f</sup> itych barwach: czarne krzyżackie, czerwone - templariuszy białe na kolorowym tle - polskich rycerzy. Z drugiej stro<sup>^</sup> kołysały się buńczuki i sztandary z czarnymi łbami.

Co i rusz kolejni jeźdźcy padali martwi, ginąc między tysiącami kopyt końskich i nóg żołnierzy. Przez chwilę się zdawało, że będą tak trwać dwie armie w morderczym uścisku, nie uzyskując przewagi, jednak po pewnym czasie szala zwycięstwa zaczęła się chylić na chrześcijańską stronę. Szyki tatarskie zdały się być na granicy wytrzymałości. Równe ich linie poczęły pękać.

- Niebo nie jest dla nas przychylnie. Wycofajmy się i czekajmy posiłków od Batu - rzucił Kaadan, patrząc z przerażeniem, na to co działo się w dolinie. Sprawna, nigdy nie popadająca w chaos machina wojenna tym razem zaczynała zawodzić. Impet żelaznego uderzenia



ciężkiej konnicy polskiej był tak duży, że pozbawieni dobrego opancerzenia jeźdźcy mongolscy nie mogli mu strzymać.

Nim mangkutai do boju wejdą może być za późno, myślał Ordu, skubiąc nerwowo warkoczek wystający spod hełmu. Może i Kaadan ma rację? Trzeba się cofnąć, oszczędzając co można z wojska, które po wzmocnieniu zaatakuję jeszcze raz? Może trzeba podać tyły?

Lecz oto zdarzyło się coś, co zatrzymało myśli mongolskiego wodza...

Mieszko Opolski nie szedł w pierwszej linii. Stał za swoim hufcem i z tyłu do boju go zagrzewał, bacząc na rozwój wypadków; inaczej niżli Sulisław, który pierwszy uderzył, frontowej linii, wiodąc rycerzy krakowskich i wielkopolskich - h Kurz się taki uniósł w powietrze, iż ledwie oddychać zna było: tysiące kopyt zmieliło podeschle, stare trawy na "l j zniszczało z ziemią i piaskiem, a powstałe przez to tu- Jnany ograniczały widoczność.

Tumult był, a wrzask, a szcęk oręża, że ino krzykiem można było sobie co przekazać.

Mieszko ze swiata obserwował walkę. Naraz ujrzał, jak od strony księcia Henryka konny do niego jedzie. Jeździec wstrzymał spienionego konia tuż obok orszaku. W siodle był starzec siwy, który nie mieszkając wrzasnął:

- Jam jest Wulfstan! Jaćwieski sojusznik!

- Poznaję was! - odparł książę.

- Biegajcie! Biegajcie! - ledwo oddech łapiąc wykrzyczał Jaćwieg - Bitwa przegrana! Z życiem uchodźcie! Biegajcie!

Posłaniec odjechał i zniknął w tumanach kurzu.

Opolczyk otarł pot z czoła, popatrzył na rycerzy ciągle dzielnie w boju stawających i rozkazał przybocznym swoim:

- Trąbić odwrót! Z życiem uchodźcie!

Pognali jego ludzie między rycerstwo, krzycząc: Biegajcie! Biegajcie! Uchodźcie z życiem! Bitwa przegrana!

Zgrały książęce rogi. Trąbiono odwrót w hufcu opolskim.

Fortuna tyleż razy śmiała się w nos niedoszłym zwycięzcom, iż ten kto widzi laur na swych skroniach zawsze winien czekać, aż ostatni nieprzyjaciel życie złoży, by cieszyć się wiktoria. Henryk Pobożny już Bogu w myślach dziękował, iż pogańskie szyki zmieszał, a rycerstwo polskie wiedzie ku glorii. Już myślał nawet, że obiecana przez papieża korona Polski na jego głowie spocznie, toć on zbawcą się stanie całego chrześcijańskiego świata; on odeprze nawałę piekielną! Otóż by ziściły się myśli ojcowe o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego.

Ale bitwa nie była skończona. Nagle pewne zwyc' poczęło się obracać w klęskę. Wszystko zaś stało się , • 0

V W jpfl

nej tylko chwili. Z tumanów bitewnych wyłoniła się i. chmara uciekającego bezwładnie rycerstwa. Opolanie b' w chaosie, rzucając oręż, skacząc po dwóch na jednego kon potykając się, lecąc na łeb na szyję w stronę Legnicy, by tam schronić się za murami. Między nimi galopował książę opolski. Hufiec krakowsko-wielkopolski, dopiero co uzyskawszy przewagę na Tatarami, teraz się znalazł w osamotnieniu, natychmiast otoczony przez liczniejszego wroga.

Henryk Pobożny milczał. Patrzył, jak lodem skuty, na to co się dzieje.

- Górze są nam stało\* - rzekł zdławionym głosem.

Rycerstwo zgromadzone wokół niego także trwało w ciszy i jedynie twarze smutne, ściągnięte, żałobne mówiły, co się w duszach dzieje.

- Patrzaj, mój panie, czy to nie Wulfstan? - spytał Karlito Dragiełłę. Pogromca smoków przyglądał się przez chwilę samotnemu, galopującemu w oddali jeźdźcowi.

- On ci to - metalicznym głosem powiedział rycerz. Przez dolinę pędzili uciekający opolanie, a na wskroś od

nich człowiek o długich, białych włosach.

Dragiełło obliczył odległość, potem stuknął rękawicą w hełm, złapał krócej konia, dziobnął go ostrogami i puścił się pędem za Wulfstanem.

Karlito wskoczył na przywiązane do wozu gniadosza i pogalopował za swoim panem.

Wiatr zakręcił pąsowym płaszczem księcia, jak krwistym sztandarem. Henryk Pobożny stanął przed swym śląskim

Według Długosza. Słowa te stanowią najprawdopodobniej pierwsze zapisane zdanie polskie. hufcem' Rycerze mieli hełmy zdjęte i wszyscy patrzali na władcę w skupieniu. On ich także wzrokiem objął, jakby to „o raz ostatni ich widział.

Za jego plecami trwała heroiczna walka osamotnionego hufca krakowsko-wielkopolskiego. Czasu wiele nie było.

Książę znak krzyża w powietrzu uczynił, błogosławiąc stojących przed nim ludzi.

Przemówił krótko:

- Większą chwałę przynosi śmierć waleczna w imię Chrystusa, niżli życie miałkie. Ufajcie Panu, bo jest Dobry!

Henryk założył hełm bojowy. Także uczynili jego rycerze. Obrócił konia, stając na czele hufca. Po jego prawej ustawił się Konrad Konradowie, po lewej Jan Iwanowic. Nad sobą miał niebo. Pod kolczugą serce bijące.

Świat znowu się zamknął w wąskiej szparze hełmu. Oddech zahuczał pod stałą.

Bogurodzica! Ruszył hufiec świetlistych rycerzy. \*\*\*

Zamknąć można lata całe w jednej chwili. Skrócić. Skupić w ułamku. Zobaczyć w kropli, albo w promieniu ulotnym. Wdech jeden trwa tyle, co wdechów tysiące. Wydech każdy, jak duszy tchnienie. Jechał książę zamknięty w stali, jak obłok świetlisty, okuty żelazem przez Wiekuistego Kowala. Serca uderzenia. Powoli. Raz i drugi. Między oddechem. Z tyłu, daleko, koni szaleństwo, kopyt ciosy, jak grad kamienny rzucony na ziemię, by zeń rośli ludzie. Czy można całego Wszechświata istnienie skupić w jednym hełmie? W kawałku zanitowanej stali? Gdzieś na przedzie diabłów krocie widać, lecz ich zupełnie nie słyhać - tylko swój oddech rwany. Pot płynący po czole czuć. Żyły pulsujące życiem czuć.

On pędzi na czele zastępów. Czy to jeźdźcy anielscy się unoszą? Może im skrzydła rosną na plecach? Słońce ostro zaświeca i blachy szyszaków, kolczug nitowania błyszczą bielą nieznośną.

Coraz wolniej i wolniej kłęby pyłu przed oczami m' Wicher dmie w kościach. Wszystko się zatrzymuje, SD ^ nia, tonie w mazi wyhamowanego czasu.

Coraz bliżej gęby tatarskie, dzikie, wykrzywione.

Nagle jazda śląska, pędząca ze wzgórze coraz prędZe świeża, silna, stalowa, najeżona kopiami, wbija się w niezli czony tłum mongolskiej konnicy. Spycha, miażdży, tratuje siecze.

Henryk odrzuciwszy utraconą kopię za mecz chwytą Tnie na prawo i lewo. Zbija uderzenia. Odcina ręce. Pcha głównię w ciała pogańskie.

A nad nim, na szczycie hełmu, jak dwa drapieżne symbole zwycięstwa, grzebienie półkoliste z czarnymi orłami. Znaki piastowe. Leonidasa dziedzictwo.

Jeruzalem widząc rozpoczynający się atak hufca książęcego natychmiast konia zawrócił i podjechał do taboru. Chwytał Dobrosława za ramię.

- Bierz chłopca na konia i gnajcie tam, w stronę wsi. Bitwa przegrana.

- Cóż gadasz, Szalbierzu? Książę uderzył! - odpowiedział pustelnik.

- Wiem co mówię, nie spieraj się, mnichu! Czasu nie ma! Bierz Wilczka i jedźcie. Ja... do boju!

Ignas wstał i wyciągnął z rękawa dwa noże. Pokazał je kuglarzowi i wskoczył na konia, najwyraźniej by także ruszyć do walki.

- To niech ci nawet przez myśl nie przechodzi! Nie zezwalam! Przyjdzie czas, będziesz się bił. Teraz pilnuj Dobrosława i jedź z nim do wsi. Tam się spotkamy.

Chłopiec nie zamierzał posłuchać tych nakazów, więc go Jeruzalem ściągnął na siłę ze zwierzęcia.

- Bywajcie - rzekł i przekazał Ignasia Dobrosławowi- Mnich złapał chłopca mocno i nie puszczał.

Szalbierz już miał odjechać, lecz nagle się wrócił. Pod- gt do chłopaka i przykleknął.

\_ Słuchaj, Wilczku - rzekł jakoś tak nieporadnie, nie mogąc słów znaleźć - słuchaj... ja od gadania dobry nie jestem. Snadziej od sztuczek, oszustw albo i rwania łańcucha. Aleć odkąd... tyś na wóz mój skoczył... odkąd los nas połączył, tak się ze mną coś takiego dziać zaczęło, że... że już sam nie wiem, czy to dalej ja jestem, czy kto inny... Widzisz, że dzisiaj nie po tatarskiej, a po polskiej stronie stoję... Gdyby mi kto rzekł to kiedy... A tak, żem was... umiłował. Ciebie i Hannę. Ją mi piekło zabrało. Ciebie chcę przy życiu zostawić. Dlatego cię proszę, ty jeden chociaż, życie wynieś z tego, co dzisiaj się dzieje... Ty jeden... Boś ty...

Zamilkł Szalbierz nagle, słowa nie mógł wykrztusić. W końcu powiedział cicho:

- Boś ty jest, jak mój syn.

Wilczek rzucił się na niego i uściskał mocno. Kuglarz wstał i wskoczył na konia. Już nie oglądał się za mnichem i Ignasiem. Ruszył w stronę bitwy. Chłopiec zaś wdrapał się na wóz i przytulił małąkę. Dobrosław machnął na niego zniecierpliwiony.

\*\*\*

Przez las, w stronę wzgórze, podążały dwa mingany pod dowództwem Bajdara. Mangkutai - żelazna elita tatarskiej armii. Wychowani przez straż nocną Wielkiego Chana. Odziani od stóp do głów w zbroje, złożone ze stalowych płytek naszywanych na skórzane paski, uzbrojeni w najlepsze łuki, najdoskonalsze szable i długie czterometrowe piki. Jechali cicho, lawirując między drzewami, tak by nie czynić hałasu; migały pośród pni połyskujące cielska opancerzonych koni.

Zbliżali się do pola bitwy zasłonięci ścianą lasu i wzgórzem. W końcu stanęli na skraju, w pierwszej linii drzew. Sygnalista wysłał strzałę dźwiękową w stronę tatarskiego sztabu.

Ordu popatrzał w górę, odprowadzając wzrokiem gw dżący pocisk.

- Bajdar jest gotów - rzekł do niego Kaadan.

- Najwyższy czas - odpowiedział wódz.

Wojsko tatarskie po raz drugi było bliskie pęknięć i przegranej. Szarża jazdy śląskiej pod wodzą Henryka wbita się klinem w mongolskie siły i zaczęła je spychać.

Na twarzy Ordu malowało się najwyższe napięcie. Zdjął hełm, otarł pot z czoła i uniośł palec badając kierunek wiatru Dał rozkaz chińskim inżynierom:

- Podpalać!

Kitajcy pobiegli skuleni w dół i u podnóża pagórka zaczęli zapalać zawartość wielkich dzbanów ustawionych wśród traw. Mieszanka specjalnych, suszonych liści zaczęła się tlić i wkrótce strzeliła kłębamii gęstego, gryzącego dymu. W tej samej chwili przybocznii unieśli sztandar będący znakiem dla dowódców na polu bitwy. Była na nim wielka, czarna głowa, przedstawiająca tatarskiego diabła oraz biały, ukośny krzyż.

Naraz całe wojsko tatarskie rzuciło się do ucieczki, odrywając od wroga. Drobne koniki w oka mgnieniu robiły zwrot i gnały w tył.

Rycerstwo chrześcijańskie puściło się w pogoń. W niebo uderzył wrzask tryumfu.

Tatarzy uciekali, strzelając za siebie, obrócenii w siodłach, a za nimi parły ciężkie konie jazdy polskiej, aleć już bez impetu i siły, zmęczone długą walką.

Na czele pancernych hufców, z uniesionym mieczem, galopował Henryk Pobożny.

Nagle przed rycerstwem wyrosła szeroka, bijąca w niebo, ściana gęstego, nieprzeniknionego dymu. Uciekający Tatarzy wpadali w nią i znikali, jak we mgle.

Książę wstrzymał konia, ściągając mocno wodze. Wierzchowiec stanął dęba, rżąc ze złości. Rozpędzone hufce zatrzymywały się nagle, by nie wjechać w niewidoczną czeluść czarnych oparów. Nie wiadomo było przeca, co z drugiej

ony Tatarzy szykują. Niektóre wierzchowce, zmuszone . natychmiastowego wstrzymania biegu, upadały, a rycerze starali się wyciągnąć w porę nogi ze strzemion, by nie uległy zmiądzeniu.

Konrad Konradowie i Jan Iwanowic stanęli blisko księcia, osłaniając go z dwóch boków.  
\_ Pułapka! Pułapka! - zaczął krzyczeć nadjeżdżający z tyłu człowiek. Machał rękami i krzyczał - Biegajcie! Dym pułapka!

Nie zdążył dojechać. Jeden ze stojących z tyłu rycerzy obejrzał się i widząc tatarską gębę zamachnął się mieczem, tnąc poziomo, z wielkiego zamachu, w bok. Jeździec o tatarskiej twarzy uchylił się kładąc prawie na siodle, lecz nie zdołał całkowicie uniknąć ciosu. Koniec miecza ciął go po twarzy. Mężczyzna upadł z konia, zalewając się krwią.

\*\*\*

Ordu patrzył na dym z przeciwległej strony. Gdy ostatnie harbany lekkiej jazdy przejechały przez zasłonę, uśmiechnął się. Wszystko jeszcze mogło się obrócić na jego korzyść. Uniósł rękawicę.

Dwa tysiące mangkutai wypłynęło z lasu, uformowało równe szeregi na wzgórkach, i po uniesieniu buńczuków ruszyło do przodu. W ciszy. Żadnych teraz nie było słychać piszczałek, zawodzenia, ujadania, okrzyków. Jechali najpierw stępa, by jak najmniej hałasu uczynić zbliżając się do dymnej przesłony, potem szybciej i nagle, gdy już byli blisko siwych, nieprzenikniętych kłębow przyśpieszyli do galopu. Równo, jakby kto sznurek przewlekl przez końskie łby pierwszego szeregu. Coraz prędzej, coraz silniej. Jak jeden organizm złożony z tysięcy stalowych koni.

Wiatr znosił dym w stronę polskiego rycerstwa. Woje poczęli kasłać, trzeć oczy rękami. Szły ciągle nowe, gryzące

tumany, przez które nie dość, że widać nic nie było, to i cze się oddychało ciężko. Konie zaczęły burzyć się, wier<sup>^</sup>" parskać - zapach był obrzydliwy i duszący. W pewnej chwili się zdało, jakby grzmot szedł od strony tatarskiej. Huk nara' stał zza dymnej ściany, lecz ciągle nic widać nie było.

Znak krzyża zaczęli czynić rycerze, spoglądając ku za czadzonej przestrzeni. Niektórzy wołali, by zewrzeć szeregi Inni, by się cofnąć.

Książę Henryk konia spał, popatrzył na Konrada i Jana Przyboczni trwali przy nim, skupieni, obserwując sino-bru- natną chmurę. Nagle wypadła z niej ciężka jazda tatarska. Jak gryfy stalowe, w piekle rodzone, z czeluści Tartaru dobyte, wylecieli okuci żelazem jeźdźcy - mangkutai. Czarne, konturowe sylwetki zjaw diabelskich jakby w tych oparach gęstych zrodzone, jakby byli ich częścią. Pojawili się równocześnie, na całej szerokości polskich hufców.

Zamigotały łuski zbroi. Bestie nie z tego świata, ziejące rozdętymi chrapami, straszące pianą z pysków, najeżone tysiącami pik jak drapieżnymi pazurami. Runęli na chrześcijan.

Armia polska poszła w rozsypkę. Bitwa była przegrana.

Tatarska cizba otoczyła garstkę rycerzy, którzy walczyli, tworząc niewielkie koło i odpierając ataki ze wszystkich stron. Jeden z nich miał na głowie hełm ozdobny, a na nim dwa grzebienie półkoliste. Na każdym grzebieniu orzeł czar- nopióry.

Morze głów falowało wokół. Bezkreśnie. Jako psów ujadanie, co zdobył bliskie, tako ich krzyki! Książę, oddech ledwie zbierając w swej stalowej trumnie na głowie naciśniętej, raz z razem miecz wznosił. Uderzał, ciosy parował, tarczą włócznie pogańskie odpędzał. Przy nim czterech, ostatnich, wiernych do śmierci, gdy już armia cała zniknęła. Sulisław, Klemens, Konrad Konradowie i Jan Iwanowic. Czterech

•eZłomnych. Wokół zaś tysiące. Tatarzy, wodza polskiego

orłach poznawszy, parli w jego stronę. Każdy chciał głowę władcy zdobyć, każdy sławą chciał być okryty.

I oto koń Henryka trafiony celnie pada pod nim. Czerwienieje od bryzgającej juchy. Osłaniają księcia przed ciosami czterech rycerzy. Rąbią, tną, biją na oślep. Ktoś się przebija z drugim koniem, sam krwią zalany na twarzy. Księżę na siodło znów się wspina, znówu miecz unosi.

\*\*\*

Wąską szparą w hełmie na świat patrząc, widział jeno oczy wściekle w siebie wlepione. Diabłów mrowie. Którzy szatańskiej służąc woli, ziemię jego w popiół obróciwszy, także zniszczyli koronne marzenie. Wycia ich nie słyszał, choć widział usta otwarte. Sen mu się wrócił na pamięć. Noce w gorączce trawione. Pot w oczy się lał pod hełmem. Wzrok oszalał. Żona jego piękna i dobra, z macierzyńskim ciepłem po głowie go gładzi, mówi czule. - Miłuję - szepcze.

Zamknął oczy. I otworzył do blasku, co przychodził nad pogańskim tłumem. Znów cios sparował, znów odbił ostrze w serce skierowane. Rycerze jego coś krzyczą. Trwają. I on trwa jeszcze. Chrystus vincit. On Salvator. Uniósł miecz, by ciąć z góry. Wtedy włócznia mierzona od dołu wbiła się w jego bok. Ból był, a jakby go nie czuł. Daleko i blisko. Rwący i nieobecny. Koniec wszystkiego. Chryste, wybacz winy. Omdlały ręce. Opadł z siodła. Runął na ziemię. Nad nim się zamknął tłum diabelski. Zalało go morze psów pogańskich. Ciało szarpane. Lecz jeszcze nie zginął. Jeszcze oddech trwał, a oczy szukały błękitu.

\*\*\*

Zawlekli go do Ordu, pod namiot zwycięzcy. Tam z szat odarli. Rzucili o nie losy. Przywiedli przed tatarskiego wodza.

- Klęknij! - krzyknęli mu do ucha. - Ukorz się! - krzyczeli  
- A życie ocalisz!

Słyszał to, a jakby nie słyszał. Ostatkiem sił oparł • nie klęknąć. Zmusili. Pchnęli go. Upadł w końcu. Pon^^ w oczy Ordu. Uśmiechnął się, już duch jego był gdzie

Krzyczeli nad nim coraz głośniejsze. Milczał.

Obcięli mu głowę.

Sen się dopełnił.

\*\*\*

Wieś była pusta. Chłopi uciekli do Legnicy. Duktem, między opłotkami, jechał rycerz. Tętent konia niósł się echem pośród milczących, głuchych ścian domostw. Spomiędzy zagród wychyło dwóch Tatarów. Mongołowie skuleni na niewielkich konikach pognali w stronę rycerza. Wyjęli szable i odchylił się w siodłach, by lepiej ciosy wyprowadzić. Wtedy dopiero zobaczyli, ktoś galopuje drogą naprzeciw nich. Nie człowiek, ale jakiś duch przeklęty, trup z grobu zerwany, cały poowijany pasami całunu, z twarzą sino-błądą, otoczoną bandażem. Rycerz uniósł miecz i najpierw sparował idący od lewej cios Tatarą, a potem z prawej ciałem poziomym półkolem. Łeb mongolski odpadł oderżnięty i potoczył w piachu, brocząc krwią.

Dragiełło zawrócił rumaka i chwilę potem utopił głównię w brzuchu drugiego Tatarzyna. Kolejne ciało legło w bocie drogi.

Pędził dalej. Trzy strzały warknęły mu nad uchem, szkody jednak nie czyniąc. W końcu rycerz minął wieś całą, aż na jej drugim końcu, koło kuźni i pieców wytopowych, zoczył tego, za którym go.

Przy niewielkiej szopie stało dwóch konnych Tatarów i rozmawiało z jeźdźcem, o długich, białych włosach.

- Wulfstan! - krzyknął pogromca smoków i popędzając wierzchowca skierował ostrze w stronę starca, jakby chciał już z dala klingę wycelować w gardło - Psie przeklęty!

Jeźdźcy tatarscy chwycili za rękojeści szabel.

tycerz zatoczył odwróconym Zedrzykapturem szerokie i, odbił atakujące ostrza Tatarów. Potem wymierzył w Ja-?więga ' ciał mocno, zza pleców, z góry, na głowę. Wulfstan już miał swój miecz w rękę i zdołał się osłonić. Mongołowie doskoczyli z boków. Dragiełło jedną szablę odbił klingą, drugą zablokował tarczą. Teraz Wulfstan z rykiem na ustach pchnął miecz wprzód.

- Dragiełło, giń! - wrzasnął.

Nie trafił. Przeciął jeno powietrze. Pogromca smoków zrobił unik, a Zedrzykaptur wszedł ze zgrzytem w ciało jednego z Tatarów. Wojownik z jękiem spadł z siodła. Dragiełło przerzucił ociekający krwią miecz na drugą stronę konia i odparował kolejny cios Wulfstana. W tej chwili pozostający jeszcze przy życiu Tatar wbił włócznię w konia rycerskiego. Zwierzę poleciało z kwikiem na ziemię. Rycerz zdołał jednak w porę wyciągnąć nogi ze strzemion. Zatoczył się, zachwiał i dysząc ciężko dopadł do szopy, opierając plecami o ścianę. Mongoł chwycił drugą włócznię i z całej siły pchnął nią w Dragiełłę. Zbita tarczą na bok, wbiła się w ścianę. Miecz rycerski przeciął gardło tatarskiego konia, który bluzgając krwią opadł na kolana. Jeździec zeskoczył przez łeb, do przodu, ale ostrze Zedrzykaptura rozplatało go na dwie połowy.

Wulfstan korzystając z tego, iż pogromca smoków zmagał się z Tatarami, rzucił się do ucieczki. Pochylony nad grzywą, smagał konia płazem, co i raz oglądał się w tył.

Dragiełło spojrział za nim z wściekłością i rozpaczą. Cały był umazany krwią. Po tarczy spływały jej świeże strugi, także po prawym ramieniu. Widząc oddalającą się sylwetkę zdrajcy mógł już tylko krzyknąć:

- Wulfstan! Psie! I tak cię dopadnę!

Nagle z boku, z niewielkiego wzniesienia, wyleciała potężna, długa strzała. Ze świstem przecięła powietrze i wbiła się w bok galopującego konia. Zwierzę przekoziółkowało, zrzucając jeźdźcę na ziemię. Karlito, karzeł i rycerski giermek, odsunął policzek od drewnianej rękojeści w' kuszy, Adelajdy.

- Patrzajcie, braciszku, garb garbem, a oko celne rzekł do siebie zadowolony.

Wulfstan przez chwilę przychodził do siebie, oszołomiony upadkiem. Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą dwie p0 stacie, obie jak z koszmarnego snu wzięte. Stał nad nim rycerz trędowaty i giermek o fizjonomii nieurodziviego diabła

- Toż i dzień na ciebie nastał ostatni, zdrajco - powiedział Dragiełło, mierząc końcem miecza, zbrukanego krwią prosto w gardziel Jaćwięga.

- Dragiełło, miejże litość nade mną i moim wiekiem - zaczął jęczeć Wulfstan, próbując podnieść się niezdarnie - toć nie rycerska rzecz zabijać niewiasty, dzieci, albo i starców, takich jak i ja jestem. Wzgląd miej na siwe włosy...

- Wstawaj, łotrze! Całe życie szukał gadziny, którą ze świata strącę w piekielną otchłań. I w końcu znalazł. Tyś to!

- Zlituj się nad niedołągą! Cóżem ci zawinił? Musiałem! Toć inaczej by mnie na śmierć zaćwiczyli, jakbym im nie służył. Skórę by ze mnie darli.

- Wstawaj.

- Miej miłosierdzie. Ulituj się, błagam. Życie daruj.

Jaćwięg skulił się i drżącymi rękami zaczął chwytać nogi rycerza. Jęczał, płakał, chlupał, aż Dragiełło z obrzydzeniem wygiął wargi i splunął na niego.

- Plwaj na mnie... - szlochał starzec - ...prawda, ja niegodny. Ja szczer. Ja śmieć. Ale życie daruj. Masz, o masz, zapłacę ja tobie...

Naraz zaczął wyciągać zza pazuchy, zza gieźla, trzosi uwiązane na sznurkach. Drżącymi palcami je rozsypał i zaczął unosić dziesiątki monet do góry, na dłoniach.

- Masz! Masz! Wszystko ci oddam! Zapłacę! Masz! Złoto! Srebro! Tylec tego! Do końca życia ci starczy. Gród sobie cały

^pisz. Masz, oddam ci wszystko. Jenó życie daruj staremu.

Błagam!

Dragiełło z rozmachem uderzył go w twarz. Monety rozsypały się w błoto. Wulfstan zawył.

- Wstawaj, zdrajco! - przez zęby rzekł rycerz i chwyciwszy Jaćwięga za kark podniósł go w górę. Potem go podprowadził pod drzewo. Karlito przerzucił sznur przez gałąź. Zrobił pętlę z powroza.

- Łotr taki jak ty na śmierć chwalebną nie zasłużył! Umrzesz śmiercią Judasza! - rzekł rycerz, przytroczył koniec liny do siodła i odjechał kilka kroków. Wulfstan zawisł trzepocząc nogami.

Odtąd się przyjęło, że ta część Dobrego Pola zwana była Polem Krwi.

\*\*\* |

Kroki w pustym kościele brzmiały głośno, jakby kto walił młotem o kamienne płyty. Wilhelm z Montfort nie oglądał się. Czekał. W końcu ucichły. Tuż za nim. Inkwizytor przerwał modlitwę. Przeżegnał się.

- Wiesz, kim jestem? - spytał mężczyzna stojący mu za plecami.

- Domyślam się.

- Jesteś tak blisko prawdy o nas. Więc już wiesz, kim są tacy, jak ja.

Wilhelm przejechał sobie palcem po brwiach. Milczał chwilę, łowiąc uchem brzęczącą ciszę świątyni. W końcu rzekł:

- Przyszedłeś mnie zabić.

-Nie.

- Po cóż więc?

- Przyszedłem zabrać twoje ciało, kiedy umrzesz. Masz jeszcze kilka chwil. Wypieś truciznę. Pochowam cię w jednym ze starych grobowców.

Człowiek stojący za plecami inkwizytora prze wprzód, wszedł na stopnie ołtarza i usiadł na nich, opierając się wygodnie plecami, jak w wielkim krześle. Był w czarny kaftan, także buty i spodnie, nosił misterną czarną kolczugę i płaszcz zwieńczony na barkach wilczy<sup>^</sup> futrem.

- Patrzyliśmy na ciebie z podziwem. Nikt nie doszedł tak blisko.

- Ciągłe za daleko. Gdyby nie Tatarzy...

- Gdyby nie Tatarzy! - zaśmiał się człowiek w czerni i zdjął rękawice.

- Co się z wami stało? Zakon zniknął.

- Bo teraz, tutaj, zrobiliśmy swoje. Nie rozumiesz?

- Wezwał was cesarz? Fryderyk? Wróciliście do Italii? - spytał inkwizytor i w tej chwili poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić, a w gardle pali silny jad.

- Służymy jednemu panu - wyszeptał mu prosto w twarz mężczyzna w czerni.

- Komu?

Człowiek w kruczym stroju uśmiechnął się błyskając zębami i zaczął tłumaczyć:

- I zwodzi mieszkańców Ziemi znakami, które jej dano uczynić przed Bestią, mówiąc mieszkańcom Ziemi, by wykonali obraz Bestii, która otrzymała cios mieczem, a ożyła.

Pot zaczął płynąć po czole Wilhelma. Inkwizytor wsparł się ręką o klęcznik. Wychrypiał:  
- Wyście są zakonem katarskim. Perfecti. Na usługach Hohenstaufa. Bóg stworzył Niebo, Szatan ziemię. Temu drugiemu służycie...

Zabójca zdjął drugą rękawicę i ciągle się uśmiechając gadał dalej, słowami Apokalipsy:

- I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia - imienia Bestii lub liczby jej imienia.

- Numery! Na czole! - mówił słabnącym głosem Wilhelm, osuwając się na klęcznik -  
Numery na waszych maskach...

Człowiek w czerni patrzył na niego, czekając aż trucizna zrobi swoje. Inkwizytor starał się nie tracić go z oczu. Świat zaczął wirować, rozmywać się w niewyraźne kształty.

- A chłopiec? - spytał ledwie słyszalnym szeptem.

- Chłopiec? Miał być Numerem Jeden. Lecz... niestety... nie mógł się wyzwolić...

- Wyzwolić? Od czego?

- Od Miłości.

Wilhelm de Montfort, inkwizytor dominikański, umarł  
tocząc pianę z ust i wijąc się w strasznych boleściach.

\*\*\*

Dwie kobiety, unosząc wysoko suknie, szły pobożowskim, coraz to przy stertach trupów zatrzymując się i czegoś szukając. Tysiące jeszcze leżały nieopogrzebione, a nad nimi latały wielkie wronie stada. Kobiety zakrywały usta i nos chustkami, gdyż wokół unosił się niemożliwy do wytrzymania odór rozkładających się ciał. Starsza z nich, miała oczy suche; druga, młodsza szlochała, nie kryjąc łez. Matka i córka to były, Jadwiga i Anna. Przy nich orszak dworski i rycerze.

Niewiasty, przy pomocy wielu ludzi, szukały ciała syna i męża, księcia Henryka Pobożnego. Nie było łatwo go odnaleźć w takim zwałowisku zabitych. Tym bardziej, że księciu Tatarzy odcięli głowę, przynosząc ją na pice pod mury Legnicy i pokazując na postrach obrońcom.

Księżna Jadwiga kazała trupom wszystkim ściągać buty z lewych stóp, by znaleźć taką, na której by sześć palców było: tym się różnił jej syn od innych ludzi, iż był właśnie sześciopalczyk na lewej nodze.

- Sześciopalczy... - powtórzył za nią, jak echo, Jeruzalem - Sześciopalczy! Toć Hanna wieszczyla o sześciopalcym!

Szalbierz szedł w niewielkim orszaku księżnej, a na tw rzy miał opatrunek założony na miejscu cięcia, jakiego i znał w czasie bitwy. Przeżył porażkę polskiej armii i te^ pomagał odnaleźć księcia, bo widział, gdzie Henryk tocz \ swój ostatni bój.

Kuglarz zbliżył się do samej Jadwigi i rzekł, iż co mu jeszcze przychodzi na myśl, to że mogli Tatarzy księcia wywlec z pola, jeśli jeszcze żył i zabić go na wzgórku, z którego dowodził wódz mongolski Ordu. Wkrótce się okazało, że miał rację - pośród kilku ciał leżących w nieładzie znaleziono jedno, pozbawione odzieży, a na którego stopie lewej sześć palców było. Anna upadła płacząc na kolana, owinęła martwego męża chustą. Wokół się zgromadził tłum smutnego rycerstwa. Wszyscy mężowie milczeli. Jadwiga stanęła nad ciałem syna i z kamienną twarzą rzekła:

- Sławię Cię Boże za to, że z łaski twojej urodziłam takiego syna, który przez całe życie okazywał mi należytą cześć, miłość, posłuszeństwo i nigdy mi nie sprawił przykrości, ani mnie nie obraził. Choć w tym przemijającym i znikomym życiu życzyłabym sobie, żeby mi zawsze żył w zdrowiu, to jednak wołę, cieszę się i raduję, że przez krew wylaną dla Ciebie i Twojej wiary, wrócił do swego Stwórcy, a jego duszę, błagając na kolanach, pokornie polecam Twemu Majestatowi.\*

Henryka położono na wozie i wśród lamentów i pieśni żałobnych powieziono w stronę Legnicy.

Jadwiga rzekła przychylnie o Jeruzalemie, iż wielkie położył zasługi, a za swą służbę ziemię winien uzyskać we władanie i tytuł rycerski wraz z herbem.

I Jan Iwanowicz także się pochlebnie o nim wyraził, mówiąc, iż radą wspierał księcia Henryka dzielnie, ostrzegając

Wypowiedź Jadwigi za „Rocznikami czyli Kronikami Sławnego Królestwa Polskiego” Jana Długosza, PWN 1974



zed tatarską taktyką. Zaprosił Jeruzalema na zamek legnicki i poszedł z nim na mury. Tam obaj stanęli, patrząc daleko, w stronę lasów i traktu idącego na Wrocław.

\_ Wieści bardzo złe - rzekł Jan - na Węgrzech król Bela pobity-

- Dobrze to nie wróży - odparł Szalbierz - aleć już żadna moja pomoc się nie przyda...

- Tegoż taki pewien bym nie był - powiedział Iwanowic i z niewielkiej sakwy u pasa wyciągnął zrolowany list.

- Umiecie czytać?

- Umiem.

- To macie. Przeczytajcie, co pisze o was ojciec Jacek Odrowąż, którego to chyba zdążyliście dobrze poznać.

Jeruzalem chwycił pismo skreślone ręką dominikanina. Przebiegł je wzrokiem. Opuścił rękę, uśmiechając się.

- Zbyt piękne słowa - rzekł - ojciec ten serce ma szlachetne i podług tego serca osądza innych ludzi. Widzi w nich dobro.

- Znaczy, że je w was zobaczył.

- Mylił się pewnikiem.

- Pisz tu, że znacie być może sposób, który by sprawił, że armia tatarska się cofnie.

Szalbierz zaśmiał się błyskając zębami, jak dziki zwierzę.

- Rzekłem mu kiedyś o tym, gdy mnie spytał, jakeśmy siedzieli przy ognisku.

- Cóż więc za koncept?

- Darujcie, rycerzu, toż były jeno gadki przy wieczorze, takie bajanie. Nie bierzcie tego na rozmyśl, bo zbyt wiele w tym trudności, by się mogło okazać do wykonania. Ot, takie myślenie dla myślenia. Wiecie, jak to się snuje coś w umyśle, gdy ktoś siedzi przy ogniu, bajdurzy o niestworzonych historiach...

Iwanowic nie spuszczał poważnego oka z Jeruzalema, który pokręcił głową raz i drugi, a w końcu rzekł:

- Chcicie wiedzieć, com wtedy rzekł...

- To chcę właśnie...

- No to słuchajcie... - zawiesił głos i w końcu wypalą trzeba zabić jednego człowieka.

- Jednego?

- Tak. Lecz nie zwykłego.

- O kim myślicie?

- O Wielkim Chanie. Ugededju.

- O tatarskim cesarzu?

- O nim właśnie.

Teraz Jan Iwanowic głową pokręcił, ze zmarszczoną brwią. Przez twarz jego przebiegły różne myśli, których ukryć nie mógł.

- I to jest myśl wasza? Że jak Chana zabić by się dało, to cała armia mongolska, tysiące onej jazdy, te tabory, te poroki, te trebusze, to wszystko w tył się zawinie i do Tartarii wróci? - spytał nie kryjąc ironicznego tonu.

- Tak się właśnie stanie, jeśli tylko wodzowie mongolscy się o tym dowiedzą, że Chan nie żyje.

Jan Iwanowic przeszedł kawałek dalej murami. Zakręcił węża.

- Daliście dowody wiernej rady, lecz wybaczcie... - powiedział patrząc z ukosa - to się zdaje niepodobnością. A czemuż to by się miała armia cofać?

Szalbierz stanął koło niego i zaczął tłumaczyć:

- Bo tak każą wodzom dwie rzeczy. Pierwsza z nich to chęć zdobycia władzy, rycerzu Janie, chęć bardzo silna. Ci, co tu przybyli na wojnę, wszyscy oni to wnukowie, wujowie, bracia, synowie jednej rodziny, wielkiego Dżyngis-chana a teraz chana Ugededja. Po jego śmierci każdy z nich zacznie myśleć o tronie cesarskim w Kara-korum i władaniu Azyją aż do krańca

świata. Jeśli nie on sam miałby władzę zdobyć, to jego najbliżsi. Dlatego zaraz z wyprawy każdy wróci, by walczyć o wpływy. Zjadą się wodzowie wszystkich plemion stepowych na kurułtaj.

Szalbierz przerwał i splunął z wysokości, patrząc jak ślina jeCi gdzieś na sam dół wału. Iwanowic zakręcił sobie drugiego węża na palcu i rzekł:

- Może być, że tak by się stało. Ale pewności nie ma.
- Jest - przerwał mu Szalbierz - nie rzekłem wam o drugiej rzeczy, a ta już pewnikiem was przekona, iż gadam prawdę. Chodzi tu, szlachetny panie, o Jasę.
- O cóż?
- O prawo mongolskie, które świętym jest dla każdego Tatara. Jeśli dziwi was, czemu Tatar się nie myje, pytajcie co o tym mówi Jasa. A mówi, że woda jest święta i nie można jej brudem z ciała zanieczyszczać. Jeśli was dziwi, czemu w obozie inne jurty są stawiane dla nojanów, a inne dla medyków, a inne dla zwykłych żołnierzy, to zobaczą, co tym mówi Jasa. Jasa całe życie mongolskie ustawia, a każdy jest jej posłuszny.
- Cóż więc Jasa mówi o śmierci Wielkiego Chana?
- Że gdy dusza Chana odejdzie do nieba, wtedy wszyscy wodzowie, choćby byli najdalej na świecie, mają wszelkie zajęcia porzucić, czy polowanie to będzie, czy wojna i jechać do Karakorum. Na Wielki Kurułtaj. I wybierać nowego Chana. Więc na koniec wam powtarzam, że gdyby zabić Wielkiego Chana, wtedy całe się wojsko mongolskie stąd ruszy. Za to mogę głowę dać.

Jan Iwanowic już się nie śmiał. Westchnął ciężko i odszedł do swych komnat. Poprosił jeszcze by Jeruzalem ich rozmowy dla siebie tylko zostawił i nikomu o tym nie gadał.

\*\*\*

Następnego dnia wezwano wszystkich Siedmiu przed oblicze księżnej Anny: Dragiełłę ze swym giermkim, Ignasia, Dobrosława, Jeruzalema i braci Job. Iwanowic w skrócie opisał ich losy, szczególnie przy zasługach dla dominikanów się zatrzymując i ratunku figury Matki Bożej z Kijowa. Okazał też list od Jacka, którego księżna wielce sobie, jako osoba świętobliwa, ceniła.

Księżna słuchała o ich przygodach, czasem się śmieła, czasem pochmurniejąc na twarzy. Wspomniała też rycerz' Michałka, który o wieszczonej misji Siedmiu ciągle gacja} i głęboko w nią wierzył. Następnie wypytała o to, czy łatwo jest dostać się do pałacu Wielkiego Chana.

- To bardzo trudne, miłościwa pani - wyjaśnił jej Szalbierz - by do niego dojechać, trzeba przebyć mil tysiące przez wysokie, suche góry, stepy i pustynie. Przy ciągłej zmianie koni, korzystając z poczty mongolskiej, podróż zajęłaby nam pół roku. A w stolicy samej, która jak perła leży na szerokiej plaży, wielka jurta chana tak jest strzeżona, iż nietoperz tam nocą nawet nie wleci. Samej straży stoi ciągle dwa tysiące najlepszych wojowników.

Jan Iwanowic pokręcił głową rozkładając ręce, na znak, że wszystko mrzonki, ale się w tej chwili odezwała księżna.

- A kto rządzi, kiedy chan umrze, a następnego jeszcze nie wybiorą?
- Wdowa po nim - odparł Jeruzalem.
- To w myśleniu mongolskim ja teraz jestem chanem mego księstwa?
- Tak właśnie, pani...
- Jeszcze mi rzeknijcie, jak Tatarzy traktują posłów?
- Darzą ich szacunkiem, dają bezpieczeństwo i zawsze wysłuchają...

Księżna wstała i podeszła do okna. Błysnęły dziko jej oczy. Odwróciła się nagle, gorąco, z takim impetem, o jaki nikt by jej nie podejrzewał:

- Dobrze więc. Ja was, jako księżna ślaska, do Wielkiego Chana posyłam. Jako posłów! Zaraz wam listy napiszą!
- Ależ miłościwa pani, myśmy jeno rozprawiali... - próbował wtrącić się Jan Iwanowic.

- Proszę was, nie stawajcie temu na przeszkodzie! - rzekła nagle z pasją w głosie. Podeszła do rycerza henrykowego i popatrzała mu w oczy.

- Oni tu przyszli i zabili wszystkich! I mego męża, którego umiłowałam! Modlić ja się będę, razem z księżną matką,

o to się nie bójcie! Ale swoją zemstę wezmę! I ci ludzie mi w tym pomogą!

- Toć nie słuchajcie wieszczb jakichś, co...

- Nie o wieszczbę tu idzie! Ale o honor! I o jeszcze jedno...

Odwróciła się i przeszła po izbie, szeleszcząc suknią.

- O ratunek dla tego świata. Dla chrześcijańskiego mundusa, za który mój mąż życie w ofierze złożył. Czy ktoś stoi tam jeszcze? Ktoś nas broni? Madziary padli, jako i my. Dlatego nie dbam, czy wieszczba to, czy proroctwo Boże. Wierzę, że Duch dobry jest w tych Siedmiu ludziach. I wyślę ich, jako poselstwo. Z zadaniem drugim. Trudnym, ale jedynym, jakie nam teraz zrobić należy...

Podeszła do Jeruzalema i z bliska zajrzała mu w oczy.

- Czy zabijesz Wielkiego Chana?

Szalbierz zobaczył w jej źrenicach taki gorąc, takie szaleństwo dzikie, jakie kiedyś widział u Hanny. Długo nie zwlekał z odpowiedzią:

-Tak.

- Widziałeś, Janie? Taki Duch w nich drzemie!

Iwanowicz pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Jakbym wiedział, do czego to... A jak księżna Jadwiga się dowie?

- Nie dowie się! Wszyscy tu zaprzysięgną!

- Nie trzeba przysięg - wystąpił nagle naprzód rycerz Dragielło, herbu Kraplan - my z Jeruzalemem tyle dróg już przeszli. Pojedziem i tą jeszcze.

Zaraz karzeł przy nim stanął. I Ignaś. I Dobrosław za nim.

I bracia Job.

Księżna Anna przeszła po kolei od jednego do drugiego i każdemu zaglądała w oczy, jakby chciała spojrzeć na samo dno duszy.

- Oni dadzą radę, Janie.

Iwanowicz także opuścił resztki zimnego rozsądku i krok uczynił ku przodowi.

- Dadzą! - zakrzyknął poruszony - Tak im dopomóż Bóg!

W tym czesnym rankiem w Legnicy słyhać było jeno m<sup>o</sup> i JP dwie rzeczy: ogłuszające bicie dzwonów kościelnych i wycie diabelskiego wichru. Jeszcze ciemno było, gdy się zaczęło nabożeństwo, a pierwsza szarość dnia ukazała nieprzeliczone tłumy, stojące w ciasnych uliczkach wokół kościoła Najświętszej Maryi Panny. Jak okiem sięgnąć, każdy zaułek był wypełniony wojskiem, a taka była mnogość herbów, chorągwi, barwnych tunik, różnokolorowych tarcz i wszelkiej maści uzbrojenia, że mieszczanie wyglądający z okien nie mogli przestać się dziwować, pokazywać palcami i komentować gorąco.

Wszystkie twarze wojów zwrócone były w stronę kościoła, gdzie trwała uroczysta Msza Święta. Ciżba rycerska stała w milczeniu, patrząc przed siebie i modląc się w duchu. Wiatr był silny i świszczał na grotach włóczni, warczał na cięciwach kusz i łuków, szarpał proporcami i do reszty przenikał wszystko, wciskając się w najdrobniejsze szpary. Jakby

muzykę złowieszczą przygrywał, do spółki z dudniącym dzwonami.

Gdy wewnątrz kościoła, nabitego do granic możliwości wierni uklękli, dopiero po chwili, prawem ludzkiej fali, zaczęli zginać kolana ludzie stojący na ulicach. A od tego klękania poszedł łomot stalowych kolczug i metalowych nogawic opadających na kamienny bruk.

Między ścianami budynków, w korytach uliczek, zastygła lawa tysięcy okutych w żelazo głów. Klęczały hufce, milcząc i wspólnie słuchając chorałów wyśpiewywanych przez wicher.

W świątyni, przed samym ołtarzem, na klęczniku z miękką poduszką pod nogi, tkwił mężczyzna, zgięty w pół, wsparty na łokciach i opierający czoło o splecione dłonie. Książę, syn Henryka Brodatego i Jadwigi z Andechs-Meran, zwany przez lud miłujący Henrykiem Pobożnym.

Słodki zapach kadzideł unosił się wokół, dźwięczały łańcuszki kadzielnic bujanych przez ministrantów, mrok otulał przyjaźnie. Mimo tłumów za plecami - czuł się zupełnie sam w tej świątyni, jakby to co miało się dziać było nierzeczywiste, a on tu zaszedł, by w kątku i w cichości pogadać z Ojcem w Niebie. Zaciskał powieki, odpływając myślami w swoją duchową samotnię.

Zapomniał na chwilę, że tuż koło niego klęczą dostojnicy i możnowładcy, że dwa kroki dalej modli się Poppo von Ostern, że jest Sulisław, brat wojewody krakowskiego, że ręce nabożnie złożył Bolesław, syn Dypolda, zwany Szepioł- ką... A gdyby ptakiem wylecieć z kościoła i unieść się wysoko w górę, to by widać było rycerzy szeregi, którzy na wojnę przyszedli i tu swe żywoty kładą przed ołtarzem, oczy ich utkwione zaś w jeden punkt, jakby chcieli z niego wyczytać przyszły los — życie czy śmierć: w plecy książęce.

Nie czuł Henryk palących spojrzeń. Zamknął się w pustelni splecionych rąk. Modlił się. Gorączkowe myśli mieszały się, jak we wrzącym kotle.

Matka mu się jawiła, gładząca po czole. I żona tuląca do piersi synka, Bolesława. Potem obie naraz zobaczył, drżące za murami krośnieńskiego zamku i wypatrujące wieści z bitwy.

- Corpus Christi<sup>77</sup> - usłyszał i otworzył oczy, wracając do rzeczywistości.

- Amen - szepnął.

Najwyższy przyszedł do niego i wlał w jego serce moc niebotyczną, ukoił serce walące, uspokoił drżenie palców.

Wiatyk udzielano całemu wojsku i gdy zaczęły się śpiewy chóralne, na powrót zanurzył się książę w rozmyślaniach. Na koniec, otrzymawszy błogosławieństwo, wstał, otarł pot z czoła i obrócił się w stronę wyjścia. Rozstąpiono się dając miejsce pośrodku. Szedł, trzymając pod pachą szyszak paradny, ze złocistą koroną na obwodzie. Szeroko za nim trzepotał płaszcz pasowy. Twarz jego biała, ze snu, z nocy nieprzespanej, cienie mocne pod oczami, sine, a oczy zamglone i dalekie.

Ludzie patrzyli za nim, milcząc.

Henryk wyszedł z ciszy w poszum wiatru świszczącego na zewnątrz kościoła i stanął na stopniach. Popatrzał na morze głów niknące w ulicach.

Zaczęły stukać kopyta koni podprowadzanych przez giermków. Rycerze wstawali, szykując oporządzenie, dopinając pasy i nawołując się wzajem.

Książę przypasał miecz i wsiadł na białego konia. Podano mu hełm bojowy, okrywający w walce całą głowę, z wąską szparą na oczy i zwieńczeniem z grzebieni zdobionych czarnymi orłami. Henryk ujął hełm w dłonie. Obok, na inne konie, zaczęli wsiadać dostojnicy i znamienite rycerstwo. Pojawili się templariusze, w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami, joannici i krzyżacy, uniosły się barwne chorągwie obcych rycerzy.

Wiatr przybrał na sile i nagle z dachu kościoła zerwała się dachówka i poleciała w dół, w stronę księcia.

Ludzie zamarli na moment ze zgrozy. Kamień huknął w ziemię, tuż przy Henryku i rozpadł na kilka kawałków Władca pozostał nietknięty. W tłumie dał się słyszeć szmer

- Zły znak - zaczęto gadać do siebie.

Ulicami miasta ruszyła rzeka uzbrojonego wojska. Ciągnęły kolejne poczty rycerskie z uniesionymi przyłbicami, hufce, oddziały zakonne, setki kuszników, piechota, górnicy ze Złotorii, a nawet prości chłopci zebrani naprędce w bojowe grupy.

I tak jak wcześniej było słyhać jeno dzwony i wicher huczący w mieście, tak teraz uderzał w niebo tupot tysięcy ciężkozbrojnych stóp.

\*\*\*

Ordu i Bajdar gnali swoje tumeny nie bacząc na zmęczenie koni i jeźdźców. Czas grał na ich niekorzyść. Z południa ciągnęła na pomoc Polakom kilkutyśięczna armia pod wodzą Wacława. Trzeba było ich uprzedzić i dopaść wojsko Henryka, nim się połączy z sojusznikiem. Dwa psy wielkiego chana, Batu i Subedej, zażądały od Ordu tylko jednego: unicestwienia polskiej siły wojennej, by nie mogła przyjść na pomoc Węgrom. Główne uderzenie szło mierzone prosto w serce państwa Madziarów. Tydzień jeno minął od spalania Krakowa, a już się tatarskie zagony pokazały pod Wrocławiem. Nad obu zamkami łopotały chorągwie książęce z czarnym orłem piastowskim, lecz wódz mongolski nie uwierzył, że książę ze swoimi siłami tu na niego czeka. Kazał spalić niechronione części miasta i obsypać obrońców najpierw gradem strzał dźwiękowych, a potem ognistych. Na tym zakończył oblężenie.

Tatarzy schwytali kilku wieśniaków i zaczęli skórę z nich drzeć pasami. Szybko dowiedzieli się, że książę Henryk poszedł ze swoimi do Legnicy.

Ordu kazał zebrać siły i natychmiast ruszyć legnickim traktem. Wojownicy dokonali wymiany koni na zapasowe i pognali pędem. Byli o kilkanaście mil od miasta, gdy wrócili zwiadowcy na spienionych wierzchowcach. Wieści mieli dobre, lecz wymagające natychmiastowej reakcji - siły chrześcijańskie wychodziły z Legnicy szykując się na bój w polu.

Ordu wydał rozkazy i ruszył z Bajdarem oraz resztą sztabu szukać dobrego miejsca do ataku.

\*\*\*

W kaplicy zamku w Krośnie Odrzańskim rozległ się krzyk. Przez chwilę huczał echem w kamiennych sklepieniach. Siostra Joanna wbiegła przerażona, sprawdzając co się dzieje. Zastała księżnę Jadwigę opartą o kolumnę i dyszącą ciężko.

- Co wam? - spytała z troską.
- Widzenie miałam - odparła Jadwiga dysząc ciężko - straszne widzenie. Syn mój...
- Chodźcie za mną. Musicie się położyć. Twarz biała, ledwie stoicie.
- Nie, tu zostanę. Na modlitwie. No, puść mnie. I idź! Idź już!

Joanna pobiegła przynieść wody.

\*\*\*

- Mi się tak koncyduje serdeczny panie, że trąd ma działania jeszcze przez medyków nieodgadnione. Czy któryś z nich to przebadał, azaliż mózg człowieka chorego się nie rozpada podobnie, jak inne części ciała? Pomyślcie, jeśli palec może odpaść i zgnić, jeśli nos też, albo ucho, to czemu nie może tak być z zawartością łepetyny?

Karlito siedział na wozie w taborze książęcym i gadał czyszcząc wielką kuszę Dragiełły. Nagle w łeb go coś pacnęło. To był siedzący blisko Hiob.

- Na pana złego nie gadaj! - warknął.
- Nie gadaj! - dodał Job i przywalił karłu w garb.
- Wstrzymać te łapska! - wrzasnął Karlito - Nie godzi się giermka rycerskiego w garb uderzać!
- Nie gadaj na pana!
- Mogę ja nie gadać, tylko patrzcie, co wasz, i mój jednocześnie, pan wyprawia. Książę nam kazał jechać z taborem, a rycerz Dragiełło do linii chce stawać i w bój iść. Panie mój! To nijak się ma z mądrym pomysłem!

- Zamilcz, karle i broń szykuj! - rzucił pogromca smoków, a znaczyło to, że jednak słyszy paplaninę swego sługi. A od dłuższego czasu się zdawało, iż jest nieobecny duchem; patrzył gdzieś daleko przed siebie, a siwe oczy zachodziły mu mgłą. Już dwa razy podjeżdżał do

orszaku księcia i rozpytywał, czy go do jakiego hufca nie przydzielą. I wracał ciągle z tą samą odpowiedzią.

Karzeł patrzył na niego spod oka i gadał sobie pod nosem:

- Jakby to huf trędowaty był, to by przyjęli.

Ale cicho to mówił, żeby jego pan nie usłyszał.

Jeruzalem jechał po drugiej stronie wozu i także milczał ponuro. Czasem jeno spluwał z niechęcią. I jemu pewnie pozycja na tyłach nie odpowiadała. Jednakowoż tu mu rozkazał być księżę Henryk, a w czasie bitwy blisko się gdzie znaleźć, by tłumaczyć mongolską taktykę i sztuczki. Jazda z taborem i dla niego była upokorzeniem w dniu bitwy.

- Jak baby tu jedziem - syknął nie kryjąc złości.

- I dobrze, Szalbierzu, dobrze - odezwał się nagle ze szczytu wozu Dobrosław - nie po to Bóg nas na powrót połączył, byśmy się rozdzielili. Ot, na małąkę swoją popatrzcie, to wam humor wróci. Na Ignasia zerknijcie, wraz się będziecie cieszyć, bardzo cieszyć. Przy taborze być, ważna rzecz. A nuż się zdarzy, że księżę ranny będzie? Opatrzmy. A nuż zgłodnieje? Toć mamy tu kurczaki, mięsiwo, chleb. I bukłaczki pełne. Nie turbujcie się.

Szalbierz jednak nie tracił z gęby ponurego grymasu.

- Na złe idzie - rzekł w końcu - pamiętacie Hanny...

Urwał w pół zdania. Dopiero po chwili dokończył:

- ...Hanny wieszczbę pomnicie?

- Co mamy nie pomnieć? Świeć, Panie, nad jej duszą, pomnimy! - odparł pustelnik - siedmiu nas miało być, siedmiu jest. A zliczając Bocianka i Michałka, to nawet i dziewięciu. Numer jeszcze właściwszy!

- Nie o to idzie, mnichu...

- A o cóż to?

- O to, czego nie ma! - wtrącił się nagle karzeł - O miecz ze znakami! On miał od wszystkiego uwolnić.

Szalbierz nagle spochmurniał, schował głowę w kołnierzu. Pustelnik westchnął głęboko i prawił nie tracąc dalej rezonu:

- Miecza nie mamy, prawda to. Przeczyć się nie da. Aleć Jeruzalem nam rzekł, że Tatarzy miecz zawieźli do samego chana wielkiego, do mongolskiej stolicy. I tam go trzymają, pewnie pod strażą silną. Wieszczba wieszczbą, a życie co innego przynosi. Ileż to dni drogi będzie, Szalbierzu, do waszego chana, do stolicy mongolskiej?

- Pół roku jazdy - odparł Jeruzalem - a to też z Jamu korzystając.

- Z czego? - spytał skrzekliwie karzeł.

- Z Jamu. Poczty tatarskiej. Co pół dnia drogi stacja kurierska stoi, tam się zmienia konie i jedzie dalej.

- Masz tobie, rzecz jasna - ogłosił Dobrosław oficjalnym tonem - Tatarzy ponoć blisko, już koło Wrocławia. Jutro pewnie bitwę stoczym. I tego się trzymajmy, modląc o zachowanie żywota. I to róbmy, o co nas księżę prosił, czyli pilnujmy zapasów, by ręka pogańska ich nie dotknęła. Może pociągnięcie trochę miodu?

W tej chwili goniec się pojawił, który zawezwał Jeruzale- ma i Dragiełkę do księcia. Zaraz za nim ruszyli.

Pustelnik pomachał im bukłaczkiem i rzekł:

- Widzisz, Ignasiu, pierwsza rzecz to dobrze w życiu rozeznąć, do czego człowiek powołanie ma. Do miecza, to do miecza. Do habitu, to do habitu. Ot, co! Wybacz święty Augustynie, żem przy winie, żem przy winie!

Czknął na potwierdzenie swych słów. Wojna denerwowała go coraz mniej. Tym mniej, im więcej miodu w sobie wlał

\*\*\*

- Tatory! Tatory! - krzyczał z dala jeździec. Zsunął się z konia i, ledwie na nogach stojąc, przed księciem uklon złożył.

- Wielu ich? - spytał Henryk.

- Nie zliczysz. Idą traktem od Wrocławia i koło Dobrego Poła się lokują.

- Trąbić na jazdę. Niech jadą na tamto wzgórze! - krzyknął książę wskazując rękawicą kierunek i gdy pierwsze sygnały rogów zabrzmiały, sam pognął konia na pagórek. Za nim pojechała najbliższa świta. Gdy dojechał na szczyt wzniesienia, ściągnął ostro wodze, osadzając konia w miejscu. W dali widać było unoszące się chmury pyłu nad wojskiem nieprzyjacielskim.

- Oni tamto wzgórze, po drugiej stronie, zajmują! Prędej! Pośpieszać piechotę!

Ruszyło dwóch gońców do oddziałów pieszych, by im wydać dyspozycje książęce.

- Kto pierwszy rozlokuje, ten ma przewagę! - Henryk krzyczał na przybocznych, by poganiali wojsko - lewe skrzydło oprzeć o tamtą rzeczkę, prawe o drugą! Ustawimy się między nimi. Jak zwą te strumienie?

Przyprowadzono chłopca miejscowego. Zgiął się w pas i objaśnił nazwy:

- Biała Struga i Strumień Księginicki!

- Grząsko tu?

- Nie bardzo. Koń, panie, pójdzie.

- Dobrze. Dajcie mi tu tego Tatara. Jerozolimę!

\*\*\*

- Psy chrześcijańskie! - ze złością rzucił Ordu. Tatarski wódz stał ze sztabem obu tumanów na niewielkim wzgórku i patrzył daleko przed siebie.

- Zajmują pozycje! - rzucił zapalczywie - Prędej! Kto pierwszy miejsce uchwyci, ten większy ma pożytek!

Rozszalały się chorągiewki sygnałowe. Mingany lekkiej jazdy, podzielone na trzy grupy zaczęły ustawiać się frontem, w zielonej dolinie, naprzeciw nieprzyjaciela. W powietrzu fruwały pociski dźwiękowe, wyjąc niemiłosiernie. Nojani dżunów wykrzykiwali komendy, stając w strzemionach. Tysiące jeźdźców w szaroburym płaszczach, futrzanych czapach i wojskowych butach o skórzanej podeszwie wykonywało manewry tak sprawnie, jakby wszyscy byli kierowani jedną uzdą trzymaną w ręku wodza.

- Ciężka jazda za las! Tam, za wzgórze! Bajdar, ty z nimi!

- komenderował Ordu nie kryjąc podniecenia - tam się skryjecie i czekajcie znaku.

Bajdar pogalopował w stronę ciężkozbrojnych mangku- tai. Chwycił za pikę z buńczukiem na szczycie i zatoczył nią koło. Zawył dziko. Dwa tysiące zakutych w stalowe zbroje jeźdźców zawróciło konie i pojechało za nojanem, okrążając wzgórze i niknąc wśród drzew.

\*\*\*

- Co oni robią? Nic nie widzę! - po przeciwległej stronie doliny na niespokojnym siwku kręcił piruety książę Henryk, starając się zobaczyć cokolwiek poprzez koszarne, gęste chmury pyłu podnoszone przez obie armie.

- Właśnie zajmują pozycję. Ta formacja zwie się Jezioro!

- wyjaśnił Jeruzalem.

- Jezioro? Cóż to znaczy?

- Tworzą płaskie koło. Trzy oddziały z przodu, jeden z tyłu. Odwód. Tyle, że tam górka, nic nie widać.

- A nasi? Nie może być! Ciągle biegają jeszcze! Przyspieszcie ich! - książę nerwowo targał ozdobną uzdzienicę.

- Teraz, miłościwy panie, i tak ataku nie przypuszczają. Co nam przeszkadza w patrzeniu, także i im wadzi. Nic nie widzą. Tego wyczekają, aż pył opadnie.

Henryk zjechał ze wzgórza, w stronę hufców, by je ponaglić. Szalbierz splunął. Plwocina zginęła wśród wygniecionej trawy. Poczuł, że go coś palić zaczyna, jakby parzyło żelazo do piersi przytknięte. Rozsupłał sznurek wiążący giezło. Popatrzał na tatuaż i zakrył go dłonią.  
\*\*\*

Gęba Michałka z Ciepłowody świeciła kroplami potu i pąsowała od silnego afektu. Rycerz zdawał się nie czuć swej tuszy, tak go unosila od środka myśl o nadchodzącej walce. Konie i miecze otrzymali od księcia, za poleceniem Kwiatka, i już uzbrojeni oddali się pod komendę margrabiego morawskiego, Bolka Dypoldowica, zwanego Szepiołką, czyli takim, co szepluni, gdy gada.

Jechali teraz klusem pośród krzyżowców z dalekich krain przybyłych, ochotników różnorakich, wojów gadających obcymi językami, rycerzy o smagłych licach i niespotykanych barwach i herbach, poszukiwaczy przygód, najemników, obieżyświatów i straceńców, którzy z Europy tam ciągnęli, gdzie nad wojskiem krzyż krucjatowy, życie pełne chwały a śmierć męczeńska i w bramy rajy wiodąca.

Za konnicą truchtem biegła piechota, która różnorodnością stroju i oręża jeszcze większe wrażenie czynić mogła, niżli europejska jazda. Z chrzęstem i łomotem stalowym podążali woje ze wszystkich okolic pościągani, a każdy inaczej był uzbrojony, inną miał tarczę, inny szyszak na głowie, innego kroju i barwy tunikę. Gadali tak różnymi językami, że jeden drugiego nie mógł wyrozumieć.

Byli tu bowiem i Polacy, i Niemcy, i Czesi, i osadnicy flandryjscy, i Rusini, i Połowcy, a dużą część hufca tworzyli górniczy ze Złotoryi uzbrojeni w kilofy, długie siekiery leśne, młoty, topory, a nawet w maczugi drewniane, nabijane kamieniami.

W końcu się margrabia Bolesław zatrzymał, a jego przyboczni zaczęli równać szyki, ustawiając je przodem do Tatarów.

Bocianek swego konia tak pchnął kolanami, by stanąć z lewej strony Michałka.

- Druhu mój! - krzyknął.

- Cóż, Bocianku? Strach cię obleciał?

- Nie, jeno chcę ci rzec...

- Gadaj.

- Żebyś w Bocianowicach odnalazł moją siostrę Zbysławę i jej sprawę złożył, jak zginąłem, a ten pierścień jej przekazał...

Wyciągnął swoją kościstą rękę i ściągnął ze szponiastego palucha niewielką obrączkę z grawerunkami rodowymi.

- Bocianku! - rzekł Michałko kręcąc głową - toć ja ciebie chciałem suplikować...

Grubas rozchylił koszulę i wyjął wiszący tam na łańcuszku malutki ryngraf, z wrytym inicjałem i wizerunkiem Matki Bożej.

- ...suplikować, panie bratku, byście po bitwie pojechali do Ciepłowody i tę pamiątkę po moim synu, którego nigdy już pewnikiem... a cóż u kroćset!

Obaj się po sobie spojrzeli z głupimi minami, zaśmiali i cofnęli ręce. Bocianek założył na powrót rękawicę, a Michałko schował ryngraf.

- Po bitwie obaczym, co będzie! - rzekł Bogusław.

- Prawda, choć raz porządnie gadasz.

Nagle chudzina spojrział na niego z ukosa, ze złośliwym uśmiechem.

- Aleć to się pan Michałko nie chwalił tymi precjozami. Byśmy już je wcześniej spożytkowali. Na zakup konia, zamiast wołu od naszego woza!

- A to imć Bocianek nie myślał, by pierścienie sprzedać?

Już by się kłócić zaczęli, gdy naraz dał się słyszeć krzyk komendy.

- Szyk! Szyk! Kopie! - powtarzano, przekazując sobie dalej polecenie Dypoldowica.



Poczęto formować zwykłe, bitewne ustawienie „kopie”. Jeden z przodu, dwaj po bokach. I tak trójki kolejne, koło siebie.

Bocianek zajął pozycję po lewej ręce Michałka. Prawą część „kopii” uzupełnił rycerz, który ciągiem gadał w jakiejś diabelskiej mowie, a gęba mu się nie zamykała.

- Michałko! - znowuż zawołał Bogusław z Bocianowic  
- Co znowuż? - spytał grubas, patrząc przez ramię.  
- Może być, że ostatni raz gadamy...  
- Prawda to! I cóż? - Michałko zaczął luzować zbyt mocno dopięty pasek szyszaka.  
- To... to chciałem ci rzec, że wszystko co złe żeś uczynił, to ja ci teraz przed Bogiem wybaczam, a ciebie proszę... Ciebie proszę, to com ja tobie złego i głupiego uczynił, żebyś mi wybaczył...

Michałko nie wiedział, jakie słowa znaleźć. W gardle mu coś wielkiego się zrodziło. Cofnął konia, zrównał strzemiona z Bociankiem i uściskał go mocno.

\*\*\*

Kuno von Kirchenstein oddychał ciężko. W hełmie było gorąco i duszno. Przypomniawszy sobie swoją Lubekę. Wyprawy z matką na nabrzeże. Krzyki mew. Czerwone zachody słońca. Zapach mokrego piasku zraszanego falą. Ślimak pełził po kamieniu. Zdeptał go nogą i z lubością wsłuchiwał się w dźwięk miażdżonej skorupki. Dlaczego to zrobiłeś, zapytała go matka. Nie wiedział. Spuścił głowę. Oczyszczył buta z resztek ślimaka w piasku. Mama ciągnęła go za rękę do domu. Nie zabijaj bez potrzeby, powiedziała mu wieczorem.

Teraz stał wśród innych rycerzy zakonu, na jakimś nieznanym, trawiastym, rozległym polu. Jak ślimak w skorupce. Tu więc, pomyślał, tu więc będzie koniec?

Tego dnia widział rycerza, który pozbawił go kiedyś ręki. Stał niedaleko w czasie mszy. Poznał go po herbie ze smoczym ziele. Poznałby go wszędzie, nawet mimo bandaży, jakimi miał owiniętą twarz. Chciał podejść do niego, wyzwąć na pojedynek. Może zabić. Nic nie uczynił. Modlił się. Było mu gorąco. Słońce wschodziło coraz wyżej, zapowiadając ciepły, kwietniowy dzień.

\*\*\*

Chorągiewki uniesione w górę przez sygnalistów dały znać, że lekka jazda zajęła pozycje. Ordu skwitował to lekkim pochyleniem głowy. Po drugiej stronie doliny, w opadającym pyłe, widać było ustawiające się chrześcijańskie wojsko. Z daleka zaczął rysować się widoczny układ, podział na cztery duże hufce i odwód na wzgórzu.

- Czekamy - rzucił dowódca do swoich przybocznych.

Chińscy inżynierowie już wbiegli za linię tatarską i, ukryci za równymi szeregami koni, zaczęli ustawiać w ziemi dzbany wypełnione palną substancją.

Tymczasem jeźdźcy Wielkiego Chana wyjęli łuki długodystansowe. Setnicy wzniesli swoje buńczuki. W górę powędrowały chorągwie ze znakami oddziałów: rysunki czarnych, przerażających głów, symbole smoków, duchów, cieni wychodzących z mrocznych głębin, posłańców śmierci.

- Oby Tengri było dla nas łaskawe - rzekł Ordu wznosząc oczy ku niebu.

- Zabijemy wszystkie te psy - dodał Kaadan.

\*\*\*

Po kolei przybywali gońcy, meldując Henrykowi, że hufce zajęły swoje miejsce w szyku armii. Książę patrzył z góry na wojsko. Po prawej, od Białej Strugi, miał ochotników i krzyżowców pod Bolkiem Szepiołką; byli oni wzmocnieni oddziałem piechoty z różnych stron świata i górniami ze Śląska. Dalej, w centrum, były dwa hufce polskie tworzące tron - rycerstwo krakowskie i wielkopolskie pod dowództwem Sulisława oraz woje opolscy, na czele których stał książę Mieczysław. Lewe skrzydło trzymał hufiec rycerzy zakonnych:

krzyżaków, templariuszy i joannitów. Ci zamykali szyk armii od strony Strumienia Księginickiego.

Wreszcie, na górze, gdzie znajdował się książęcy sztab był jeszcze odwód w postaci hufca śląskiego.

Gdy Henryk zoczył, że wszyscy stoją na stanowiskach, wtedy kazał zawołać do się księdza i podać sobie krzyż do ucałowania.

\*\*\*

Ludzie okoliczni zwali to miejsce Dobrym Polem. Nie wiedzieć k czemu. Być to może, iż z racji tej, że kto tędy gościńcem jechał, ten wzdry na nim pogodnie myśli znajdował, modlitwy spokojne, a nierzadko widział duchy przodków, które dobrym słowem człeka wspierały w doczesnej wędrówce. Gdy wojska oba naprzeciw siebie stanęły, to owo Dobre Pole leżało między nimi, jak wielka, zielona, bezkresna łąka. Świeże trawy, ogrzewane od kilku dni wiosennym, gorącym słońcem, w górę wzeszły i szumiały na wietrze szczęśliwym, delikatnym szelestem. Taki spokój panował wokół, iżby można nie zauważyć, że po obu stronach piętrzą się, wyczekujące walki, masy wojska. Opadł kurz przemarszów, wszystko ucichło i tylko ów wiatr na trawach wygrywał swoje zamyślane melodie.

Dwa wzgórze zamykały dolinę, a na każdym się rozlokował wódz ze swoją świtą i spoglądał w dal, ku przeciwnikowi.

Gdyby wzrok strzelał magicznymi strzałami, można by zobaczyć tor lotu owego pocisku-spojrzenia, jak idzie równiutką linią od oczu księcia Henryka Pobożnego, leci nad głowami jego rycerzy, przemierza bezkres łąk Dobrego Pola, mija tysiące wojowników tatarskich, muska ich czapki i wreszcie dolatuje do Ordu, Kaadana i mongolskiego sztabu. A wódz tatarski tę strzałę-wzrok nagle chwyta w dłoń, zaciska, łamie i śle swoją w odwecie.

Wicher się wzmaga chwilami i wtedy ciszę rozbija warkot proporców. Setki ich fruwa nad głowami rycerzy polskich. Las kopii w górę wzniesiony kołysze się lekko, stuka wzajem o siebie grotami. Proporce szaleją jakby coś żywego w nich było. Jakby się rwały do walki.

\*\*\*

W niedalekiej odległości od księcia i jego świty stanęło siedmiu ludzi. Patrzali przed się, na trawy, na łąki, na proporce w warkocie, na błyszczących szyszaków krocie nieprzebrane i milczeli wszyscy. Oto ich tu zawiodła przepowiednia.

Cóż znaczyły wieszczby nieodgadnione? Prawdę-li, czy szatański podszept? Ścieżkę jasną wskazywały, czy tunel mroczny, gdzie czeka zagłada i śmierć, a nie chwala nieśmiertelna? Miecz, pustota, gorączkowe majaki, dymy snujące się nad wodami, mgły w duszy zalegające, myśli w gonitwie, serce oszalałe.

Cóż było na celu, co jest kresem i sensem wędrówki? Słowa czcze? Marzenie o czymś? Rozmysły różne? Zbawienne podszepty?

Stali w siedmiu, ramię w ramię - Jeruzalem, Dragiełło, Karlito, Ignaś, Hiob, Niob i Dobrosław.

Słowa wieszczki pulsowały w skroniach. Lecz gdzież ich prawdziwe znaczenie? Jaki los się wypełni?

Naraz jeden z siedmiu się odezwał. Potomek świętego Jerzego, rycerz duszy czystej, imieniem Dragiełło.

- Szalbierzu - rzekł - pamiętacie, jakeście kiedyś śmiali się ze mnie?
- Kiedy, rycerzu?
- Jakem wam prawil o smokach. Iż mój żywot cały do tego zmierza, bym się wzorem mojego przodka spotkał ze smokiem. I bym świat uwolnił od gadziny. Pamiętacie to?
- Pamiętam.
- Nie wierzyliście mi i przy ognisku pod lasem tak żeście ze mnie dworowali, żeśmy się prawie żelazem ze sobą starli.
- 1 to prawda.

- To patrzajcie tam, w dal. Co widzicie?

Jeruzalem wzrok skierował w stronę tatarskiej armii. Nad szeroko rozciągniętymi liniami mongolskiej jazdy unosiły się chińską metodą robione fruujące totemy-latawce, a każdy z nich przedstawiał diabelskie poczwary. Wedle wierzeń stepowych, które każą duchy złe na wojnę ku wspomżeniu wołać. Takoz i wśród nich były smoki. 1

- Widzę, rycerzu - rzekł cicho kuglarz - smoki.

Dragiełło uśmiechnął się. Oczy jego jaśniały blaskiem i jakaś niebywała szczęśliwością, jakby to już kosztował rozkoszy raj. Powoli odsunął z twarzy zasłaniające ją bandaż. Przyjaciele spojrzeli zdziwieni. Na bladym licu było kilka blizn i sinych znaków, lecz nie była tak przerażająca, jak wcześniej. Zdawała się świecić od środka jakimś blaskiem. Rycerz uśmiechnął się.

- Jeruzalemie... - rzekł cicho, ciągle uśmiechając się - dzisiaj, mój druhu, będę mógł zakończyć wędrówkę. Dzień nastał.

-O nie, mój panie! Ja was do boju nie puszcze! — zakrzyknął Karlito i chwycił swego pana za rękawicę - tu zostaniecie, ze mną, na wzgórzu, z taborem!

Dragiełło nic mu nie odpowiedział. Patrzył na fruujące daleko latawce.

\*\*\*

- Kyrie Eleison! Christe Eleison! - odezwały się gdzieniegdzie głosy ponad chrześcijańskim wojskiem. Książę Henryk wyjechał przed szeregi w jednej ręce miecz trzymając, a w drugiej krzyż i zaczął błogosławić rycerstwu. W tej to chwili od hufca zakonnego, wzniesiony pierwem przez templariuszy, uniósł się śpiew, który zaraz podjęli i joannici, i krzyżacy wraz ze swymi oddziałami:

- Te Deum laudamus, te Dominum confitemur. Te aeter- num Patrem omnis terra veneratur!

Płynął ten śpiew, ponad zbrojnymi szeregami, coraz dalej i dalej. Wraz i opolanie od Mieszka pieśń podbili pół tysiącem głosów, a za chwilę i hufiec krakowsko-wielkopolski Sulisława dodał mocy swoimi piersiami:

- Tibi omnes Angeli;

Tibi caeli et universae Potestates;

Tibi Cherubim et Seraphim

incessabili voce proclamant!

Na koniec i prawe skrzydło, złożone z cudzoziemskich ochotników i krzyżowców dołączyło do pieśni. Blisko pięć tysięcy gardeł chrześcijańskich poczęło równocześnie śpiewać kolejne wersety łacińskiego hymnu. Stali koło siebie i czuli, że choć przed chwilą gadali różnymi językami, to owe Te Deum, które z ust im wychodziło, jednoczyło ich słowem. Jakby to za każdym z nich anioł był i tchnął jednego ducha w tyle ciała. Płynęło ponad Dobrym Polem to anielskie, potężne, dech zapierające śpiewanie: - Sanctus, Sanctus, Sanctus, Dominus Deus Sabaoth. Pleni sunt caeli et terra maiestatis gloriae tuae. 78

\*\*\*

Do tatarskiej linii śpiew chrześcijański doleciał niesiony wiatrem. Brzmiał potężnie. Wojownicy tatarscy słuchali go nieruchomo, z kamiennymi twarzami. Gdy pienie umilkło przyszła kolej na zrodzonych w stepach wojowników chana. Zadzźwięczały piszczałki. Poleciały nad szeregami wyjące strzały. I tysiące jeźdźców zaczęło ujadać. W Tartarze zrodzone psy wierne, psy o czołach miedzianych i językach z żelaza, zaczęły szczekać. Ujadanie ciekące dzikim zapachem nienawiści uniosło się w niebo i spadło na polską armię, jak ostrzeżenie z piekła.

\*\*\*

Skumna rozpałiła ogień. W starej karczynie zrobiło się jasno. Wiedźma podeszła do ławy i wspięła się na nią. Zza pasa wyjęła kozik i oderznęła trzy żelazne główki dyndające na belce pod powalą. Mruczając coś do siebie, przymocowała je na końcu kija. Potem napchawszy

ziołami wsadziła w ogień Wewnątrz metalowych czaszek poczęły się liście gotować, palić i skwierczeć. Z oczu i uszu żelaznych masek zaczął się sączyć dym.

\*\*\*

Jacek Odrowąż uklęknął przed alabastrową figurą Matki Bożej. Kolejne paciorki różańca przepływały mu przez palce, a on szeptem zmawiał jedno Ave Maria za drugim. W sandomierskim kościele świętego Jakuba było cicho i pusto. Kwietniowe słońce wpadało smugami do środka, biegnąc od wąskich okienek i kładąc się długimi pasmami na kamiennej posadzce.

\*\*\*

Książę Henryk nałożył na głowę hełm. Świat zmalował do wąskiej świetlistej szpary jaśniejącej w podłużnym otworze wyciętym w stalowej osłonie. Oddech zaświszczał pod żelazem. Dwa półkoliste grzebienie na górnej części, zdobione z obu stron czarnymi orłami, tę miały w sobie zadziorność, co pióropusze na hełmie Leonidasa.

##\*

Rozszalały się chorągiewki sygnałowe. Ujądanie tatarskich zagonów przybrało na siłę. Ruszyli. Jak jeden organizm sterowany szybko płynącą myślą - sprawnie i równo, pilnując odstępów między rzędami i szeregami. Ziemia zatrzęsa się od uderzeń kilku tysięcy kopyt. Im bliżej byli, tym szczekanie stawało się głośniejsze.

\*\*\*

- Cóż się dzieje? Ruszyli wszyscy naraz! - krzyknął Henryk zdejmując hełm, by lepiej sytuację rozeznąć - gdzie mój Tatar? Dawajcie tu Jerozolimę, aleć migiem!

Zaraz się obok księcia pojawił Jeruzalem. Jeden rzut oka mu wystarczył, by rozpoznać formację.

- Muszla Ślimaka! - krzyknął.

- Cóż to znowuż?

- Zacznie się ostrzał, panie, z daleka. Każdy szereg, zanim dojedzie na dystans walki, wystrzeli, zawinie w tył, jakby się zakrecała muszla ślimaka, znowuż nawróci i tak dalej i w kółko. Póki im strzał starczy w kołczanach.

- Co robić?

- Kryć się! Za tarczami! To jedno można. Tu gdzie się da, kusznikami odpędzić!

Pognali gońce z rozkazami książęcymi. Za tarcze! Za tarcze!

Gdzie było można zaczęło się rycerstwo osłaniać.

Pierwsza linia Tatarów włożyła końce łuków w strzemiona. Naciągnęła cięciwy, uniosła łuki w górę. Poleciała pierwsza chmura strzał. Nie mierzonych, lecących szerokim łukiem. Linia nawróciła i każdy wojownik wjechał między poruszające się w przeciwną stronę kolumny. Teraz się w siodle obracał i strzelał za plecy, w tył, sposobem partyjskim. Kolejne linie wykonywały ten sam manewr. Za chwilę widać było ze wzgórza książęcego ruchliwy dywan jeżdżących w różnych kierunkach mongolskich linii, które się oplatały i zawracały, bez przerwy strzelając. Z nieba zaczął się sypać nie kończący się grad strzał.

W wojsku henrykowym zaczęli padać ranni i zabici. Kolejne tarcze pękały, kolejni ludzie lecieli na ziemię krzycząc przeraźliwie, kolejne konie wywracały się z kwikiem.

Na lewym skrzydle, w hufcu zakonników, wysunięto na przód kuszników. Ci zaczęli wroga odpędzać.

Dużo gorzej było na skrzydle prawym, u Bolka Dypoldowicza. Tu bowiem było najwięcej piechoty nieopancerzonej, pozbawionej częstokroć nawet tarcz. Trup więc słał się gęsto, a krzyki rannych stawały się coraz okropniejsze.

Szepiołka widział, że lada chwila wybuchnie panika i wszystko się rzuci do ucieczki. Mimo więc tego, iż mieli czekać książęcego rozkazu, Bolko się w strzemionach podniósł, machnął mieczem i ile miał mocy w płucach krzyknął:

- Bogurodzica!

Potem od giermka przejął kopię i poprawiwszy hełm dał sygnał do ataku. Lepsze to było, niżli to ginąć od strzał czekając w polu.

- Kyrie Eleison! - zabrzmiał tubalny okrzyk jazdy krzyżowców. Ruszyli z kopyta obniżając kopie. Poniósł się tętent głęboki.

Książę Henryk podniósł się w siodle, by lepiej widzieć.

- Dypoldowic ruszył! - wrzasnął ni to do swity, ni do siebie samego.

Za Bolesławowym rycerstwem konnym zaraz poleciała też piechota z prawego skrzydła.

\*\*\*

Ordu nie spodziewał się tak szybkiego ataku ze strony polskiej. Szepiołka ze swoim hufcem uderzał jednak sam. Reszta sił chrześcijańskich została na pozycjach, przyduszo- na ostrzałem.

Wódz tatarski wydał szybkie rozkazy. Załopotaly chorągwie. Lewy oddział mongolski przegrupował się i zawrócił.

\*\*\*

Michałko nie czuł swego ciężaru, zapomniał o tuszy i przyklejony do konia gnał przed siebie, zachłystując się szybkością. Zaraz obok niego pędził Bocianek, chudy taki, aż się cały trząsał w siodle. Z nieba ciągle leciał deszcz strzał. Co i raz któryś z koni padał kwicząc przeraźliwie, co i raz jakiś jeździec rozkładał ręce i z krzykiem nikał między rycerzami.

Dwa mingany tworzące lewe skrzydło mongolskie zawróciły i, nie zaprzestając ostrzału, zaczęły cofać. Bolko Dypoldowic obniżył kopie. Także i Za nim rycerstwo rozpędzone. Las długich drzewców opuścił się na wysokość łbów końskich. Huk kopyt potężniał. Leciały w górę grudy ziemi.

- Zaprzyj! - wrzasnął Szepiołka.

- Zaprzyj! - powtórzyła reszta. Teraz się rycerze pochyłili w przód, żeby strzemionami w tyle znaleźć punkt oparcia i w chwili uderzenia nie wypaść z siodła. Wróg był coraz bliżej. Już widać było tatarskie gęby. Już błyskały ich dzikie oczy. Łuki mongolskie powędrowały do sajdaków. Zamiast nich wojownicy stepowi chwycili za troczone na tylnich łękach oszczepy. Zagrały piszczałki dowódców. Na chrześcijańskie koleczugi poleciała chmura niewielkich włóczy. Kolejne ciała zabitych gruchnęły o ziemię, kolejne bojowe konie upadły w rozbryzgach błota. Lecz i to nie mogło zatrzymać pędu jazdy krzyżowej.

W końcu dopadli przeciwnika.

Trzask kruszonych kopii. Kwik padających koni. Wycie ludzi. Ciała wyrzucane w powietrze. Krew bryzająca strumieniami.

Tatarzy wyciągnęli z pochew szable i rozpoczęła się walka z rycerstwem. Od strony wzgórza tymczasem biegła polska piechota. I oni byli coraz bliżej. Unieśli broń nad głowami.

Nim jednak zdołali uderzyć, okazało się, że sami znaleźli się w potrzasku. Odwrót lewego skrzydła tatarskiego wciągnął hufiec Szepiołki w głąb, oderwał całkiem od pozostałych sił. Teraz jego rycerze zostali zamknięci w morderczym kotle. Z boków uderzyły na nich setki lekkiej jazdy, zasypując takim gradem mierzonych z bliska strzał, że ludzie padali, jak zboże pod ręką żeńcy.

Dzielny syn margrabiego Moraw Dypolda, Bolesław, zwany Szepiołką, został przeszyty włócznią. Po kolei upadali krzyżowcy, śmierć za wiarę znajdując nie pod murami Akki, nie pod świętym Jeruzalem, ale na trawiastym polu pod Legnicą.

Tam też zginął Michałko z Ciepłowody, naszpikowany strzałami jak święty Sebastian. Tam jego ciała próbował bronić Bocianek, lecz i on, konia straciwszy, długo nie ustał. Upadł kładąc się w poprzek druha i dławiąc krwią patrzył w niebo. Modlił się za siebie i za Michałką.

Zastygli obaj, sponiewierani, w błocie, pośród kobierca utkanego z setek ciał.

Resztki oddziału Morawianina rzuciły się do ucieczki, lecz wielu ich już nie było. Piechota, pozbawiona odpowiedniej osłony, została zmasakrowana strzałami. Ci, co przeżyli, wycofali się w popłochu i nieładzie.

### XXIII

wyruszyliśmy w maju. Do Tartaru mieliśmy dotrzeć ! za pół roku. Wyposażono nas w konie, dobre ubrania i niezbędne listy do Chana, zaopatrzone w książęce pieczęcie. Na początku czerwca minęliśmy Kijów. Miasto było opustoszałe i spalone. Na pustych ulicach leżały ludzkie szkielety. Wiatr jeno hulał między kośćmi. Potem jechaliśmy dniami i nocami wzdłuż rzek, przełęczami górskimi albo środkiem pustyni. Byliśmy radośni. Znow nas było Siedmiu, tak jak mieliśmy pisane. Dragiełło czuł się coraz lepiej i z dnia na dzień zdrowiał. Goiły się jego rany, a w końcu pozdejmował wszystkie bandaże. Odrosły mu wypalone włosy, a bródka na powrót sterczała wprzód, niczym chorągiew prowadząca do boju.

Gdy zatrzymaliśmy się nad rzeką, kapaliśmy się. Ja podwijałem sutannę i wchodziłem do wody po kolana. Ignas chlapał się szczęśliwy, a Jeruzalem udawał drapieżną rybę, która pływa głęboko i nagle atakuje ludzi. Nurkował, znikał pod wodą, a chłopiec w wielkim napięciu patrzył, czy gdzieś

się nagle bąbelki powietrza nie pokażą na powierzchni. Gdy zaś ryba chwyciła go za nogi, wtedy krzyknął dziko i wesoło.

Wieczorami paliliśmy ogniska wśród traw, na wysokich brzegach. W nocy patrzyliśmy w gwiazdy.

Im bliżej Tartaru było, tym się kraina robiła bardziej pusta, a w końcu już całkiem się stała pozbawiona roślinności. Wokół piętrzyły się skały, rosły niebotyczne góry, a myśmy szli korytami starych strumieni. Czasem wychodziliśmy na płaskowyż, skąd widać było więcej i dalej. Daleko na horyzoncie majaczyły kolejne pasma gór, brązowe, rude, złociste, żółte i ugrowe. Szliśmy w ich stronę i śpiewaliśmy piosenki. Gdy padał deszcz, zdejmowaliśmy nakrycia głowy i łowiliśmy nimi wodę. I padające z nieba ryby.

Któregoś dnia zobaczyliśmy w odległej dolinie miasto. Całe było skąpane we mgle. Wjechaliśmy do tego miasta i gdy nas pytano, kim jesteśmy, odpowiadaliśmy, że jesteśmy posłami księżnej Anny do Wielkiego Chana. Ludzie tam żyjący nigdy nie widzieli Słońca, bo miasto tonęło we mgle przez cały rok. Gdy szło się ulicą, to widać było jeno pojawiające się ciemne sylwetki innych przechodniów. Nabraliśmy mgły do dzbanka i postanowiliśmy użyć jej wtedy, gdy będzie za gorąco i nie będziemy mogli znaleźć osłony przed upałem. W mglistym mieście wymieniliśmy nasze konie na wielbłądy. Ruszyliśmy dalej. Wędrowaliśmy przez stepy. Całe dni krajobraz nie zmieniał się. W którąkolwiek stronę nie obróciliśmy się, wszędzie ciągnęło się bezkresne morze traw.

Tu i Jeruzalem czuł się szczęśliwy. Biegał po tych trawach, jak żrebak albo mały chłopiec. Bawił się z Ignasiem w gonitwy.

Potem kładł się na plecach, a Ignas kładł się obok niego i patrzali razem na chmury.

Kiedy Szalbierz zasnął, chłopiec złapał mnie za rękę i przyprowadził mnie do niego. Pokazał mi tatuaż wykłuty na piersiach kuglarza. Był to miecz, którego szukaliśmy wedle wieszczby. Dokładnie ten sam, z tymi wszystkimi dziwacznymi napisami na sobie.

Nie wiem, coż to znaczyło? Czy była to jakaś kolejna wskazówka w naszej podróży? Właściwy cel? Może tylko dla niego?

Jadąc przez stepy natrafiliśmy na wielkie jezioro i wypływającą zeń rzekę. Nad jej brzegami było tysiące ludzi. Bracia Job chcieli się napić wody, ale wtedy nadleciał ptak i ostrzegł nas. Powiedział, że to jest Rzeka Zapomnienia, nazywa się Lete, a kto napije się z niej wody,

zapomni kim był w swoim życiu. Podeszliśmy do siedzących na brzegu. Mieli na sobie różne ubrania, bogate i biedne, stroje chłopskie, kolczugi rycerskie, albo czerwone, bogato zdobione kapelusze biskupów. Kim jesteście, pytaliśmy.

Oni jednak podnosili smutne oczy i odpowiadali, że nie wiedzą. Pojechaliśmy dalej.

Po wielu dniach podróży, gdy byliśmy bardzo zmęczeni, trafiliśmy na wielki mur. Ciągnął się on przez pustynię i niknął na horyzoncie. W murze była brama, ale nikt nie chciał nam otworzyć, gdy stukaliśmy. Zawróciliśmy wielbłądy i przez miesiąc jechaliśmy wzdłuż owego muru, aż pojawił się most.

Pod nim płynęła rzeka, a na brzegach stały tysiące ludzi i wszyscy płakali. Przyleciały dwa ptaki, które nazywały się Erebos i Nyks. Szukały swoich dzieci, Eteru i Dnia, ale myśmy ich nie widzieli. Erebos i Nyks ostrzegły nas, żebyśmy nie pili wody z tej rzeki. Kto się napije wody z Acheronu, Rzeki Smutku, ten będzie płakał na wieki.

Przejechaliśmy więc most spragnieni i długo krążyliśmy po lasach i pagórkach.

Pewnego razu, gdy rankiem obudziliśmy się w namiocie, nie znaleźliśmy chłopca. Zaczęliśmy go szukać, ale nigdzie go nie było.

Czekaliśmy trzy dni, bardzo się martwiąc. W końcu przyleciały Orły i w szponach przyniosły Ignasia. Bardzo się cieszyliśmy. Chłopiec otworzył buzię i ku naszemu zdumieniu - zaczął mówić. Opowiedział, że był u pewnego starego człowieka, a ten przykleił mu język. Wtedy otworzyły się bramy i chłopiec zaczął iść długą ścieżką zawieszoną na łańcuchach wśród szczytów gór. W dole płynęła rzeka Pyriflegeton, a cała była jednym wielkim ogniem i strzelającą lawą. I myśmy szli za nim. Doszliśmy do Wielkiego Pałacu. Pałac miał kształt potężnego namiotu. Strzegło go dwa tysiące czarnych wojowników z łukami. Wszyscy oni spali z opuszczonymi głowami. Szliśmy między nimi ostrożnie, żeby żadnego nie potrącić i nie obudzić. Skradaliśmy się na palcach. Weszliśmy do namio- tu-pałacu. Tryskała tu fontanna pełna mleka zamiast wody. Na poduszkach leżały piękne kobiety, w setkach drogocennych ozdób, kolczyków i bransolet. Na złocnym tronie siedział Chan. Władca Tartaru. Spał.

Tuż przed jego stopami, ubranymi w atlasowe buciki o wygiętych noskach, leżał miecz.

Ignas wziął go do ręki. Zabłyszczały napisy. Sedelai. Ebre- hel. Zaczęły dzwonić dzwony. Chór wielkich głosów zaśpiewał. Chłopiec uniósł miecz i przyłożył do szyi śpiącego Chana. Zerwały się tysiące ptaków. Smutna pani o imieniu Nemezis stanęła bardzo blisko. Drżała na całym ciele.

Nagle chłopiec odjął ostrze od szyi bezbronniego Chana i odwrócił się. Popatrzył na nas. Poszliśmy z powrotem. Gdy byliśmy na moście, Ignas cisnął miecz w bok. Głownia zataczała ze świstem kręgi i w końcu wpadła do rzeki ognia, topiąc się w niej z sykiem.

Nemezis zapłakała i tysiąc diabłów zawyło ze złości. Przed nami, na moście, ukazała się Królowa o pięknym, spokojnym obliczu i ciemnych oczach, głębokich jak jeziora.

Uśmiechała się delikatnie, a wiatr rozwiewał jej czarne włosy, pełne ognistych kwiatów.

Nazywała się Toregene<sup>79</sup>, była żoną Pana Tartaru, ale nie powiedziała nam swojego imienia. My jednak, wszyscy, usłyszeliśmy je, wykrzykiwane przez nietoperze.

Trzymała w dłoniach flaszkę, pełną wina i trucizny.

Szła, patrząc daleko przed siebie, w stronę tronu. Obudziła Chana pocałunkiem. Potem wlała mu słodko-pałące krople do ust. On znowu zasnął, by się już nigdy nie obudzić. Jego głowa opadła na piersi.

Z dała rozległo się ujadanie. Ze wszech stron świata zaczęły pędzić stada psów. Gnały setkami, tysiącami, z najodleglejszych krain, zza odległych mórz, zza gór i stepów. Wracały z pól bitewnych umorusane krwią, zjeżone i smutne.

Mijały nas, ocierając się sierścią, warcząc i trącąc łbami i ogonami. Lecz bały się uczynić nam krzywdę.

Otoczyły tron martwego władcy i skomlać starały się dopchnąć jak najbliżej, by polizać stygnącą dłoń.

Psy Tartaru. Wracały tu, gdzie się zrodziły.

Królowa uniosła rękę i wszystkie bestie usiadły. Zaczęła do nich przemawiać, ale my nie słyszeliśmy jej słów, porywanych przez wiatr. Odwróciliśmy się i poszliśmy dalej, a skrzydlaty anioł przysiadł nam na ramionach i szeptał, byśmy nie oglądali się za siebie.

Wszystko było wypełnione.

Wędrowaliśmy Tartarem bardzo długo, mijając długie tunele, jaskinie i wąskie korytarze.

Na końcu jednego z nich jaśniało światło. Zbliżyliśmy się do wyjścia. Gdy byliśmy na krawędzi powiał wiatr. Stanęliśmy zdumieni pięknym widoku. Przed nami był ocean traw i łąk, pełen kołyszących się kwiatów i setek motyli. Weszliśmy w te łąki.

Szliśmy szczęśliwi, muskając trawy końcami palców. Wdali zobaczyliśmy samotne drzewo, w którego cieniu siedziała kobieta. Była do nas odwrócona tyłem i widzieliśmy tylko, że ma długie, jasne włosy.

Jeruzalem rzucił na ziemię nasze podrózne sakwy. Zaczął biec. A my pobiegliśmy za nim. Drzewo było coraz bliżej. Siedząca pod nim niewiasta spojrzała w bok. Szalbierz dobiegł do niej i upadł na kolana. Dotknął jej ramienia.

Spojrzała na niego, a twarz jej promieniała szczęściem i spokojem:

- Czekałam na ciebie, kochany - rzekła i pogładziła go po głowie.

Wiatr unosił jej włosy, łaskotały go w policzki, a on je całował i śmiał się jak szalony. Podał jej rękę.

Szliśmy dalej przez łąki, wdychając cudowny zapach. Ignas wbiegł między Jeruzalema i Hannę. Złapał ich oboje za ręce i zaczął nimi bujać.

Dragiełło odpiął hełm i rzucił go w trawy. Potem zdjął kolczugę i zostawił za sobą. Szedł lekki, szczęśliwy.

Karlito zrobił się piękny i młody. Wyprostował się, a gdy wiatr smagał go po twarzy, wtedy przymykał oczy.

Przed nami pojawiła się góra.

Zaczęliśmy się na nią wspinać, patrząc w Niebo.

Nagle Ignas się obrócił, wszystkich zatrzymując. Tam w dole, za nami, została małpka. Gigi.

Skakała, płakała, machała łapkami.

- Czemu ona nie idzie z nami? - spytał chłopiec.

- Może dlatego, że zwierzątka nie chodzą do Nieba. Tylko ludzie tam chodzą - odparł Karlito.

- Ale to nasza Gigi. Ona z nami nie pójdzie?

- Wiesz, Ignas? - powiedziałem - zejdź po nią i weź ją za łapkę. Jeśli ty chcesz mieć ją w swoim Niebie, to ona tam będzie. Jeśli ją kochasz, to wprowadzisz ze sobą do Nieba.

Chłopiec zbiegł na dół i wziął Gigi na rękę.

Przytuliła się do niego.

Szedł, jak z malutkim dzieckiem. Ścieżka prowadząca na górę.

Doszedł do nas.

Dalej wspinaliśmy się wspólnie.

W końcu stanęliśmy na szczycie.

Popatrzyliśmy wszyscy w Niebo.

Ktoś się do nas uśmiechał.

Dobry Bóg.

Krzyżowa, 4 marca 2010 r.



- \*\* Non nobis... (łac.) - Nie nam, Panie, chwała, lecz przez Twoje imię do chwały.
- \* exemplum (łac.) - przykład.
- Bezoar - kuliste twory w żołądkach zwierząt, powstałe ze zlizywanych włosów.
- HAEC... (łac.) - „Ten znak umacnia miłość królów i książąt, a gniew sędziów”.
- \* in toto... (łac.) - w całym świecie Kościoła apostolskiego, katolickiego.
- " Poppon von Osternah - Krzyżacki Mistrz Krajowy (Landmeister), w 1240 roku zastąpił na tym stanowisku zmarłego Hermana von Balka.
- Arpadowie - dynastia książąt i królów węgierskich (889 - 1301).
- \* In perpetuum (łac.) - na zawsze.
- \* Jałmużnik - w klasztorach średniowiecznych funkcja tzw. czwartego oficjum, związana z bezpośrednią usługą wobec ubogich.
- \*\*\* Gąsawa - w listopadzie 1227 roku odbył się w Gąsawie zjazd władców piastowskich: Henryka Brodatego, Leszka Białego, Władysława Odonica i Konrada Mazowieckiego. Gdy książęta przebywali w łaźni, doszło do zdradzieckiego ataku siepaczy Świętopelka Gdańskiego, najprawdopodobniej przy znaczącym współudziale gospodarza zjazdu, Władysława Odonica. Leszka Białego zamordowano, gdy nagi uciekał na koniu. Henryk Brodaty został ranny, był broniony przez kilku wiernych rycerzy, w tym słynnego Peregryna, który tego dnia poległ w obronie władcy.
- \* Lector - średniowieczny nauczyciel.
- \* Morinu... (średniomong.) - Pozbieramy ich, jak koński nawóz i przyprowadzimy ich tobie, tych tam!
- " Outremer - średniowieczne określenie ziem zdobytych w wyniku pierwszej krucjaty.
- 1 Czas w tradycji prawosławnej był liczony od stworzenia świata.
- 2 Harban, dzaun, mingan, tumen - oddziały w strukturze armii mongolskiej. Odpowiednio „dziesiątka” „setka”, „tysiąc” „dziesięć tysięcy”
- 3 Sajdak - pojemnik na łuk.
- 4 Pajdze - znaczki pełniące rolę dystynkcji oficerskich w armii mongolskiej.
- 5 Mangkutai - doborowe, elitarne oddziały ciężkiej jazdy.
- 6 Laudetur... (łac.) - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, bracie Jacku.
- 7 -Carogród - ruska nazwa Konstantynopola.
- 8 Horodnia - rodzaj drewnianego przesła, składającego się na „mur” wschodniego zamku drewnianego.
- 9 In modo divino (łac.) - na sposób boski.
- 10 Tengri - Niebo, najwyższe bóstwo w mitologii mongolskiej.
- 11 Laudamus... (łac.) - Chwalimy wszechmocnego Boga.
- Apage... (tac.) - Precz Szatanie!
- 12 je rej (prawosł.) - kapłan.
- 13 trebnik (prawosł.) - modlitewnik.
- 14 Jorci-ja (średn.-mong.) - Idziemy!
- 15 Deo gratias (łac.) - Bogu dzięki.
- 16 Mangkutai - elitarne oddziały ciężkiej jazdy mongolskiej
- 17 Homines... (łac.) - ludzie grzeszni.
- urbs (łac.) - miasto.
- 18 Wiersza - samotówka na niewielkie ryby i raki, pleciona z pręcików wiklinowych.
- 19 Ochodza - nadany teren, którego wielkość obliczało się obchodząc go dookoła i znacząc graniczne punkty.

20 Teksty z Apokalipsy Świętego Jana cytowane są za Nowym Testamentem wydany przez Wydawnictwo Diecezjalne w Sandomierzu.

21 In nomine... (łac.) - w imię Pańskie, lecz w imię diabelskie.

22 Driakiew - rodzaj dawnego leku, specjalnej mieszanki dziwnych składników, zalecany przez średniowiecznych lekarzy, między innymi przez Awicennę. Panaceum na wszelkie dolegliwości.

Santok - gród u ujścia Noteci do Warty. Odbity z rąk brandenburskich przez Henryka Pobożnego, w czasie walk z niemieckimi książętami o panowanie nad ziemią lubuską.

Studium generalae - specjalny wydział nauk medycznych, prowadzony w XIII w. przez dominikanów przy Uniwersytecie w Montpellier.

23 Canon medicinae, Colliget - dwa fundamentalne dzieła średniowiecznej medycyny. Jedno napisane przez Awicennę, drugie przez Awerroesa.

24 CON CITOMON... (hebr.) - „Żarliwą wiarę wzbudzają imiona Boga Sedalai i Ebrehel". Napisy na Szczerbcu, mieczu Bolesława Chrobrego.

25 Według obliczeń E. Stamma - mile polskie miały: 6250 m (mała), 7030 m (średnia), 7810 (wielka).

Dominik Guzmiłn - Święty Dominik, założyciel zakonu kaznodziejskiego, dominikanek i dominikanów.

26 Clastrum (łac.) - zamknięcie, tu w znaczeniu „klasztor"

" lube... (łac.) - Pobłogosław mnie, Ojcze.

\*" Fratres! Sobrii estate (...) - miserere nobis. (łac.) - Bracia, bądźcie trzeźwi i czuwajcie, albowiem nieprzyjaciel wasz, diabeł, krąży jak lew ryczący, szukając kogo by pożarł, któremu opierajcie się będąc mocnymi w wierze. Ty, Panie, zmiłuj się nad nami.

29 Fratres (tac.) - bracia.

30 Iwo Odrowąż - (1160-1229) kanclerz Leszka Białego, biskup krakowski, inicjator założenia polskiej prowincji dominikańskiej.

31 Czesław Odrowąż - (1175-1242), jeden z pierwszych polskich dominikanów, prowincjał w latach 1233-36, patron Wrocławia, według Długoszowej legendy cudowny obrońca tego miasta wobec najazdu tatarskiego.

32 Gloria Patri (łac.) - Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.

33 Delikwent (staropol.) - przestępca skazany na śmierć, przez ścięcie.

34 Orden...(niem.) - Zakon Szpitala Marii Panny Domu Niemieckiego, zwany u nas krzyżakami.

35 Maria Włostowicowa - żona Piotra Włostowica, fundatora wielu wrocławskich dóbr, córka księcia ruskiego Olega Michała.

36 Gratia...(łac.) - Dzięki Świętej Maryi zawsze Dziewicy i wszystkim Świętym.

37 Santa Casa - domek w Loreto, sanktuarium maryjne. W XIII wieku zbudowano go z kamieni przywiezionych przez krzyżowców z Nazaretu.

38 Bela Czwarty - (1206-1270), król Węgier, syn Andrzeja II Arpado-wicza i Gertrudy z Meran, siostry Św. Jadwigi Śląskiej.

39 Herbord - franciszkanin, spowiednik świętej Jadwigi, Anny czeskiej, żony Henryka i samego księcia śląskiego.

" Koloman (1208-1241) - król halicki, zmarł wskutek ran odniesionych w czasie bitwy z Mongołami nad rzeką Sajo.

Czarny orzeł śląski - w XIII wieku nie istniały jeszcze przyjęte barwy narodowe polskie, ani polskie godło. W symbolu Piastów śląskich na ramionach czarnego orła znajduje się jeszcze

odwrócony półksiężyc maryjny, znak używany przez Henryka Brodatego. Kocjan - chan Połowców, wydał córkę za Stefana, syna Beli IV, zamordowany w Peszcie tuż przed najazdem tatarskim przez magna- M tów węgierskich.

Furor (łac.) - szaleństwo

41 Wacław I Przemyślida - (1205-1253) - zwany „Jednookim” król Czech, przyrodni brat Anny, żony Henryka Pobożnego. W czasie najazdu tatarskiego i bitwy pod Legnicą stał beczynnie przy zamku Świny, jeden dzień drogi od miejsca bitwy.

" „Henricus”... (łac.) - „Henryk, najbardziej chrześcijański książę Po” ski”.

43 Hanc igitur... (łac.) - Oto cię więc prosimy.

44 Mieszko II Otyły - (1220 - 1246) - syn Kazimierza I, książę Opolsko-Raciborski 1230-1246. Do 1239 pod kuratelą Henryków Śląskich. W bitwie pod Legnicą uciekł ze swoim hufcem z pola walki-

45 Łebka - rodzaj hełmu średniowiecznego.

46 Jabu-tqun (średn.-mong.) - Wyruszajcie!

47 Quia... (łac.) - Albowiem kiedy Jednorodzony Syn twój w śmier; telnej postaci naszej się ukazał, nowym światłem nieśmiertelności swojej życie nam przywrócił. Przeto też z...

48 Epifania - (gr. Em(|>dvEia) - objawienie, liturgiczna nazwa święta o stycznia (Trzech Króli).

49 Święty Bertold - założyciel zakonu karmelitów. Przybył do Ziemi

Świętej wraz z II Krucjatą (1147-1149) i osiedlił się na górze Karmel, dając wzór pustelniczego życia.

Szafarz (cellulariusz) - zakonnik do którego obowiązków należało zaopatrzenie, sprawował nadzór nad spiżarnią. Dbał o zapasy żywności i utrzymanie (victus).

50 Humiliate... (łac.) - Ukorzcie głowy wasze przed Bogiem.

51 In odore... (łac.) - w zapachu świętości.

" Misericordia (łac.) - miłosierdzie.

Michałko wspomina okres walk Henryka Brodatego z Konradem Mazowieckim, w 1228 w Małopolsce, finałem tego było porwanie Henryka przez ludzi Konrada Mazowieckiego z kościoła w czasie Mszy

Sw. w Spytkowiach, w czasie wiecu dzielnicowego w 1229 roku.

54 Nasyпка (staropol.) - poduszka.

55 Dżilbab - strój kobiecy, arabski, szata zakrywająca całe ciało.

56 Machaira - broń biała, tradycji greckiej i wschodniej, o esowat° wygiętej głowni.

57 Fryderyk II Hohenstauf prowadził rozliczne eksperymenty. Również na dzieciach. Próbował na przykład odnaleźć język pierwotny, jakim ludzie powinni porozumiewać się, gdyby nie uczyli się języków narodowych. W tym celu kazał szukać niemowląt sierot, a potem wychowywać w całkowitej izolacji, tak by nie miały w ogóle kontaktu z mówiącymi osobami. Potem je wypuszczał i sprawdzał, jakim językiem będą mówić. Jego szaleństwa mogą przywołać na myśl eksperymenty niemieckie w czasie drugiej wojny światowej.

58 Castel del Monte - najbardziej znany zamek Fryderyka w Apuli" pełniący funkcję rezydencji myśliwskiej.

59 magna voce per umbras (łac.) - wielkim głosem w cieniu.

60 Histrion - błazen.

61 Giovanni da Pian del Carpine - (ok. 1180 - 1252) - bliski współpracownik św. Franciszka, papieski wysłannik do mongolskiego wielkiego Chana, Gujukana, do którego wyruszył w 1245 roku wraz z Benedyktem Polakiem. Obaj pozostawili pisemne relacje z podróży i pobytu w Karakorum.

" Christianissimus... (łac.) - „najgorliwszy chrześcijanin, książę Polski” - cytat z pisma legata Grzegorza IX, Alberta Beheima, w tłumaczeniu Witolda Chrzanowskiego.

63 Et introibo...(łac.) - I przystąpię do ołtarza Bożego...

64 Miserere... (łac.) - Zmiłuj się nad nami, Panie.

65 Accipe... (łac.) - Weź, co daję i nic więcej.

Sententiorum libri quatuor - dzieło powstałe ok. 1150, jeden z podstawowych podręczników akademickich w XIII w., autorstwa Piotra Lombarda. Exempla - przykłady.

67 Andrzej II (1176-1235) - król Węgier, brał udział w V wyprawie krzyżowej.

68 Al-Adil (1145-1218) - sułtan z dynastii Ajjubidów. Zginął w czasie walk z krzyżowcami.

69 Ego te... (łac.) - Ja ciebie rozgrzeszam w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

70 Tu me... (franc.) - Znasz mnie, biedny starcze?

71 Bien sur, que... (franc.) - Ależ oczywiście, że was znam, czekałem na was od wielu lat!

72 Szymon z Montfort (1160-1218) - francuski możnowładca, przywódca krucjaty przeciw albigensom.

73 Mundi... (łac.) - świata chrześcijańskiego.

Perfecti - „doskonali” - tytuł, jakim określali wybraną część spośród siebie katarzy.

Consolamentum - katarski „sakrament”, nałożenie rąk na drugiego wiernego.

74 Ketii-gelze... (średn.-mong.) - Jacyś ludzie kręcą się w lesie!

---

75 Bo'ol... (średn.-mong.) - Niech będą niewolnikami!

76 Qangutine... (średn.-mong.) - Ten nadawałby się dla chana!

456

77 Corpus Christi (łac.) - Ciało Chrystusa.

78 Te Deum laudamus... (łac.) - Ciebie, Boże chwalimy, Ciebie, Panie wysławiamy. Tobie, Ojcu Przedwiecznemu, wszystka ziemia cześć oddaje. Tobie wszyscy Aniołowie, Tobie niebiosa i wszystkie Moce, Tobie Cherubini i Serafini, nieustannym głosem: Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępów! Pełne są niebiosa i ziemia majestatu chwały Twojej.

79 Toregene-katun - żona Wielkiego Chana, Ugedeja, późniejsza regentka imperium. Według niektórych hipotez zamordowała męża. Śmierć Ugedeja spowodowała nagle wycofanie się wszystkich wojsk tatarskich z Europy, pomimo druzgocących zwycięstw.